JERZY WITEK

SPOTKANIA ZE WSCHODEM

NA ŚCIEŻKACH WSPOMNIEŃ

Książka rekomendowana przez
Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej
oraz
Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

WYDANIE Z OKAZJI
XI Krajowego Zjazdu Delegatów
Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej
Warszawa, 13-15 marca 2012 r.

Egzemplarz bezpłatny

Copyright © by Jerzy Witek

ISBN

Wydanie książki sfinansowała Fundacja Polskiego Państwa Podziemnego

W portalu Fundacji Polskiego Państwa Podziemnego
http://www.fundacja-ppp.pl/
Repozytorium Armii Krajowej → Książki elektroniczne

dostępne są postacie elektroniczne książki oraz audiobook z jej fragmentami

Wydawca
VIZJA PRESS&IT Sp. z o.o.
vizja@vizja.pl

Druk i oprawa

Pragnę specjalnie podziękować memu przyjacielowi
i towarzyszowi obozowej niedoli, Jerzemu Michałowskiemu,
za wspieranie mnie swą pamięcią, a w szczególności
swą wiedzą w zakresie historii II wojny światowej.

autor

UWAGI DO TRZECIEGO WYDANIA MEJ KSIĄŻKI W WERSJI ELEKRONICZNEJ

Minęło już prawie 10 lat od ukazania się po raz pierwszy tej pozycji książkowej, a pomimo dwóch jej edycji, (w sumie ok. 1200 egzemplarzy), ku memu zaskoczeniu, a równocześnie satysfakcji, cieszy się ciągle sporym powodzeniem i zainteresowaniem.

Ze względu na wysokie koszty trudno mi było wznowić jej dalszy druk. Na szczęście mam teraz tę okazję, że będąc członkiem Rady Fundacji Polskiego Państwa Podziemnego przy ŚZŻAK, zainteresowano się moją książką. Wiceprezes Zarządu Fundacji PPP prof. Marek Cieciura, podjął się przygotowania postaci elektronicznej książki oraz plików dźwiękowych obejmujących jej wybrane fragmenty. Za ten wysiłek i poświęcony czas chcę wyrazić tu panu profesorowi mą wdzięczność i podziękowanie.

Rad przeto jestem, że teraz będę mógł zgłaszających się chętnych czytelników odsyłać pod internetowy adres w portalu Fundacji PPP gdzie udostępniona jest moja książka w postaci e-booka i audiobooka.

Mam nadzieję, że tak jak poprzednio, te moje memuary, również i obecnie, spotkają się z życzliwością i aprobatą czytających.

Mimo, że treść ich oparta jest na mojej biografii, zwłaszcza w okresie wojennym, to przewodnim motywem jest tu martyrologia narodu polskiego związana z terrorem sowiecko komunistycznym. To spojrzenie na Rosję Sowiecką starałem się pokazać na tle odwiecznego naporu rosyjskiego na nasze ziemie. Próbuję też zgłębić genezę tych zbrodni i okrucieństwa, jak również odpowiedzieć na pytanie na czym polegał ich charakter.

Myślę, że czytelnika może tu zainteresować wiele wiadomości o Wilnie, wspaniałym polskim mieście, utraconym niestety na skutek działań wojennych. Sądzę też, że powodzenie moja książka zawdzięcza licznym odniesieniom do kultury i sztuki i ogromnej roli jaką odegrały w naszej historii i jak ważnym były czynnikiem przetrwania i podtrzymywania ducha naszego narodu. Ciekawe też mogą być liczne i obszerne dygresje na tematy ogólnoludzkie.

Jerzy Witek

ADNOTACJE I UWAGI ODNOŚNIE DRUGIEGO WYDANIA NINIEJSZEJ POZYCJI KSIĄŻKOWEJ

Pierwszy nakład tej książki ukazał się w końcu września 2002 r. i już w lutym następnego roku był całkowicie wyczerpany.

Początkowo wydawało się, jak twierdzili wydawcy, że tego rodzaju tematyka pamiętnikarska nie będzie miała czytelników. Nie dość, że jako społeczeństwo mało czytamy, to jeszcze problematyka związana z ostatnią wojną nie jest popularna, a rynek i tak jest zarzucony wojennymi wspomnieniami. Mimo to jednie, również ku mojemu miłemu zaskoczeniu, „Spotkania ze Wschodem" zdobyły sobie nadspodziewanie bardzo szerokie oraz pozytywne i przychylne przyjęcie. I to nie tylko w środowisku kombatanckim mego pokolenia, czy też osób równie dotkniętych terrorem sowieckim, ale także w szerszych kręgach czytelniczych. Muszę leż powiedzieć, że ostatnio zainteresowanie tą pozycją wyraziła Prokuratura Instytutu Pamięci Narodowej.

Duże powodzenie książki oraz wiele nieustających próśb i nalegań znajomych i przyjaciół, a w tym szczególnie byłych żołnierzy AK rozsianych po całym kraju oraz ponaglanie w tej sprawie licznej Polonii na terenie Wilna, spowodowało moją decyzję o ponownym wydaniu tej pozycji.

Na podstawie licznych wypowiedzi i komentarzy czytelników muszę przyznać z satysfakcją, że niemal wszystkie moje zawarte w tej pracy tezy i poglądy spotkały się z pełną aprobatą i zrozumieniem. Zwłaszcza cenna jest zgodność opinii kolegów razem ze mną wywiezionych do ZSRR co do oceny oraz przytoczonych przeze mnie faktów.

Ostatnio, mniej więcej pół roku temu, z okazji 60 Rocznicy Powstania Warszawskiego ukazała się u nas wspaniała, obszerna i niepowtarzalna książka Normana Daviesa p.t. „Powstanie 44". Jej treść i zawarta w niej faktografia często oparta na odnośnych dokumentach historycznych również, ku mojemu wielkiemu zadowoleniu, podbudowuje i potwierdza wiele faktów, zdań i tematów podanych w mojej skromnej pracy. Dotyczy to szczególnie roli ZSRR i Sojuszu Zachodu w Powstaniu Warszawskim, ale mówi też o ogólnych skutkach Wielkiego Sojuszu w ukształtowaniu politycznym powojennej Polski, a w obszernych rozdziałach porusza tragiczny obraz terroru i masowych zbrodni sowieckich.

Na koniec pozwolę sobie przeto przytoczyć kilka charakterystycznych wypowiedzi z książki tego znakomitego znawcy najnowszej naszej historii:

- „Polscy historycy (PRL i nie tylko) byli zbyt skłonni przerzucać całą winę na własną, polską stronę, a ignorancji, niekompetencji i złej woli należy szukać gdzie indziej." [dot. Powstania Warszawskiego]
- „Tragedia Powstania Warszawskiego była skutkiem ogólnego załamania w łonie Wielkiego Sojuszu. Polacy dostali się bez własnej winy w pułapkę nie tylko bezwzględnej przemocy Hitlera i Stalina, ale także Sojuszu z Zachodem."
- „Stalin, podobnie jak w 1939 r., wybrał strategię ugody z Niemcami, nawet gdyby to miało być rozwiązanie przyjęte milcząco i tylko na pewien czas, w nadziei, że takie stanowisko przyczyni się do ostatecznego zdławienia niepodległości Polski", [dot. Powstania Warszawskiego]
- -„Powstanie Warszawskie było wspaniałym zbrojnym zrywem, który przeszedł wszelkie oczekiwania i decyzja o jego rozpoczęciu nie była lekkomyślna, ani tym bardziej „zbrodnicza-[Stalin mówił o Powstaniu: „Lekkomyślna awantura - banda zbrodniarzy, którzy ją wywołali]
- „Brytyjczycy i Amerykanie nie wierzyli w prawdę o sowieckiej rzeczywistości, jest bardzo prawdopodobne, że ta prawda była nie do uwierzenia."
- „Ze Stalina zrobiono dobrotliwego „wujka Joe". Mówiąc brutalnie, masowy zbrodniarz, który prowadził walkę z masowym zbrodniarzem faszystowskim, w umysłach biurokracji Zachodu przestał być łotrem, a miliony ludzi, których nadal mordował podczas wojny stały się niewidzialne i przestano o nich wspominać".
- Podbite ludy były z całą premedytacją karcone ostrym mieczem sowieckiej władzy… Grabieże stanowiły element rutyny. Napaści i pobicia były na porządku dziennym. Mord był częścią zwykłej codzienności. Gwałt stał się rzeczą powszechną".

Uwaga redakcyjna:
Drugie wydanie zostało wzbogacone o kilkanaście grafik dotyczących niektórych zabytków Krakowa. Wilna i Warszawy, a wykonanych przez autora.

S P I S T R E Ś C I

PRZEDSŁOWIE, CZYLI MOTYWACJE I WĄTPLIWOŚCI PISZĄCEGO 9

TA CO NIE ZGINĘŁA 13

1. Lata 20-te i wojna bolszewicka 13
2. Mój rodzinny Kraków 17
3. Okres wileński 1932 - 1937 23
4. Wilno - lata 1938 - 1939 35
5. Polska międzywojenna 38
6. Józef Piłsudski 42
7. Wilno - odrobina historii 45
8. Wileńszczyzna i podróże po kraju 47
9. Wojny, żołnierze i Legenda Ułańska 54
10. Wilno - ostatnie miesiące wolności 62

W O J N A 66

1. Pierwsze dni września 66
2. Uderzenie w plecy 68
3. Litwa i konflikt polsko-litewski 73
4. Ponowna okupacja sowiecka 79
5. Ogólne załamanie, ponure nastroje i smutne refleksje 86
6. Uderzenie hitlerowskie na wschód i okupacja niemiecka 89
7. Wilno - lata 1942 – 1943 95
8. Czas dojrzewania 101
9. Problem żydowski 105
10. Wilno - I połowa 1944 r. 110
11. Walka o Wilno 116
12. Rozbrojenie 120
13. Armia Krajowa 123

OBOZOWA EPOPEJA 126

1. Obóz w Miednikach 126
2. Droga do Kaługi 130
3. Kaługa 132
4. Na robotach leśnych 138
5. Nie samym chlebem 158
6. Sybir 168
7. Łagrowe mocarstwo 171
8. Szpital w Jegoriewsku 173
9. I znowu las 183
10. Powrót do kraju 187

PIERWSZA DEKADA W KRAJU (1946 – 1956) 193

1. Rozmyślania i refleksje powojenne 193
2. Pierwsze spotkanie z powojenną Warszawą 196
3. Studenckie początki 201
4. Więzienia i obozy ojca 207
5. Warszawa 1949 – 1955 211
6. Powrót i sowiecka gehenna mamy 216

7. Sowiecka machina zła 218
8. Rok 1956 223

45 LAT KOMUNY 226

1. Socjalizm z małpią twarzą 226
2. Prosperity na kredyt 229
3. Fenomen „Solidarności" 232
4. Czas nadziei i upadek PRL 237
5. Gorzki smak PRL-owskiej wolności 239

TRWAĆ ... ABY PRZETRWAĆ 243

1. Wiara i Kościół 243
2. Kultura i sztuka - wzloty przetrwania 247
3. Krótkie spojrzenie na architekturę 253
4. Humor i pogodny charakter 259

DYGRESJE KOŃCOWE 263

1. Posępne oblicze komunizmu 263
2. Pamięć Przeszłości 270
3. Współczesność i jej nowe zagrożenia 273

„Wspomnienie to cicha nuta
Wyjęta z tonów przeszłości.
Wspomnienie to nić wysnuta
Ze złotej tkanki młodości.
Wspomnienie to brzęk łańcucha
Co łączy miłość z nadzieją.
Wspomnienie to puszcza głucha,
Na której groby bieleją...

(K.Przerwa- Tetmajer)

PRZEDSŁOWIE, CZYLI MOTYWACJE I WĄTPLIWOŚCI PISZĄCEGO

Każde pokolenie, niemal każdy człowiek u schyłku życia pragnie coś, jakąś cząstkę samego siebie uchronić od zapomnienia, pozostawić choćby najmniejszy, ale trwały ślad swego istnienia, jakby namiastkę nieśmiertelności, świadectwo swego czasu.

Wplątany i porwany przez burze i zawieruchy upływającego wieku, a zwłaszcza ostatniej wojny, świadek niezliczonych zdarzeń, zanurzony i uniesiony płynącym wraz ze mną nurtem historii, pragnąłbym i ja pozostawić okruch swych przeżyć, wrażeń, doświadczeń i przemyśleń, jak obraz rzucony przez projektor własnego życia.

Całe nasze życie jest jednym wspomnieniem, ale po latach przekonujemy się jak nikła, krucha i zawodna jest pamięć ludzka, jak ograniczona jest jej pojemność i jej możliwości. Wielekroć nie pamiętamy dni, ani nawet lat; w pamięci pozostają zaś chwile. Z drugiej jednak strony, wydaje się, że obserwacja pewnych ogólnych zjawisk z oddali sprzyja rzetelności obrazu. Przeszłość jest bowiem przestrzenią, którą najlepiej ogląda się z perspektywy. Patrzymy wtedy bardziej syntetycznie uzbrojeni w dodatku w pomocną pamięć i poglądy innych świadków oraz innych źródeł.

Z zamglonej i często zawodnej pamięci wyciągnięte z wysiłkiem fragmenty, odłamki i okruchy wspomnień potrafimy dzisiaj po latach z większą zręcznością i większym doświadczeniem składać jak klocki w poszczególne całości.

Większość moich wspomnień i rozważań z okresu dzieciństwa i wojny dotyczy północno-wschodnich terenów, wraz z Wilnem, gdzie przypadkiem miałem szczęście mieszkać przez 12 lat. Przypadek zaś, jak pokazuje czas i doświadczenie bywa często bardzo ważnym elementem kształtującym nieraz całe nasze życie.

Te ziemie, wraz z całym dziś utraconym Wschodem Rzeczpospolitej przechodziły szczególne losy, a ich problematyka pełna konfliktów związanych z niepolskimi społecznościami Litwinów, Białorusinów czy Ukraińców, jakże była odmienna od terenów okupowanych przez Niemców.

Te przesłanki oraz fakt, że terytorium to stanowiące ponad połowę przedwojennej Polski została siłą i podstępem zagrabiona przez Związek Radziecki, sprawiły, że karty tych memuarów dotyczą przede wszystkim przeżyć związanych z sowieckim terrorem na Wschodzie. Z tego też powodu ten właśnie motyw dziejowej martyrologii polskiego narodu wybrałem jako przewodni.

Długo zastanawiałem się, czy potrafię sprostać tak postawionemu sobie zadaniu, czy potrafię oddać choćby przybliżony i możliwie prawdziwy obraz wraz z komentarzem tamtego minionego czasu. Czy wskutek wygórowanej ambicji nie podejmuję się zbyt trudnego

zadania? Czy w ogóle słowami można wyrazić ogrom cierpienia i upodlenia, jaki przyszło nam w dziejach doznać od wschodniego sąsiada? Czy można oddać skomplikowaną i tragiczną naszą historię ostatnich wieków pełną ciągłego, niezmordowanego i nieubłaganego okrucieństwa tyranów, ogromu ofiar oraz poświęcenia i waleczności polskiego narodu.

Myślałem też nad tym, czy warto spisywać tak błahą w istocie i banalną sprawę jak własne wspomnienia, skoro tak wiele, tak wspaniałych i przejmujących oraz o wiele bardziej dramatycznych kart pamiętnikarskich naszych wschodnich, smutnych dziejów już się ukazało. Zwłaszcza że moje losy i przeżycia osobiste były skromne, ubogie i niewspółmierne do wielekroć bardziej porażających i tragicznych cierpień opisywanych przez byłych więźniów i zesłańców tej nieludzkiej ziemi.

Dlatego też zdecydowałem się na trochę szersze potraktowanie tematu. Chciałbym tu szczególnie podkreślić rolę carskiej Rosji, która była początkiem nieustannego naporu na nasz kraj. Ten „Drang nach Westen", jakby to można określić przez analogię do niemieckiego naporu na Wschód, pełen był zawsze do nas nienawiści, okrucieństwa, więzień i mordów oraz systematycznego i wyjątkowego niszczenia przejawów wszelkiej polskości.

Stosunki polsko-rosyjskie, zwłaszcza w ciągu ostatnich trzech wieków miały dominujące znaczenie w naszej historii. Można też powiedzieć, że większa część naszych nowożytnych dziejów stanowi jarzmo rosyjskie narzucone siłą.

Konflikty z Rosją były również walką dwóch odmiennych światów: cywilizacji łacińskiej i moskiewskiej, światłej Europy i barbarzyńskiej Azji.

Myślę, że przytoczone w tych wspomnieniach wzmianki o Rosji pomogą lepiej zrozumieć współczesnym pokoleniom bolszewicko-sowieckie czasy oraz poszerzą i wyostrzą obraz późniejszych wydarzeń.

Mam również nadzieję, że pozwoli to pełniej odebrać czytelnikowi moje własne spotkania z rosyjskim Wschodem.

Poruszając ponadto ten temat, mam na względzie nieco banalną, ale jakże prawdziwą myśl, że historia jest naszą nauczycielką i trudno nam czasem oceniać współczesne wydarzenia, nie wiedząc co było przedtem.

Jeżeli teraz się słyszy, że każdy pisze dla „późnego wnuka", to być może dlatego, że moje odchodzące pokolenie, które przeżyło koszmarną i najkrwawszą w dziejach ostatnią wojnę z jej ponurym peerelowskim epilogiem, ma jeszcze o czym i po co pisać.

W ustabilizowanym dzisiejszym świecie ciągle boimy się nieobliczalnej Rosji z jej imperialnymi zapędami i nostalgią za utraconą mocarstwowością. Dobrze więc, aby nasi wnukowie bliżej poznali tego groźnego sąsiada. Łatwiej im wtedy będzie, być może, nie dopuścić do powtórzenia zdarzeń z przeszłości – historia bowiem bywa złośliwa i lubi się powtarzać. Warto tu przytoczyć piękne słowa Augusta Comte'a:

„Wiedzieć aby przewidywać, przewidywać aby zapobiegać."

Wprawdzie nowe znudzone pokolenia nie interesują się zbytnio naszą historią i często ziewają na dźwięk słowa: wojna, okupacja, powstania czy obozy – to dobrze jest im czasem przypomnieć, że dzięki tej właśnie historii mają dziś własny, wolny kraj.

Mimo to trzeba rozumieć dzisiejszą młodzież. Niekiedy trudno jest bowiem sobie uświadomić, że historia ciągle jest obok nas, i że jej echo w każdym z nas wciąż jest żywe. Przeszłości nie można uważać za zamkniętą, skoro do dziś odczuwamy skażony jej oddech. Dlatego z przeszłości należy czerpać doświadczenie oraz inspirację do teraźniejszych i przyszłych działań.

Chęć przekazania potomnym prawdziwego oblicza naszych „przyjaciół Moskali" wypływa też z faktu, że ten rozdział losów Polaków na Wschodzie ciągle jest jednak mało znany, a przez ostatnie dziesięciolecia fałszowany, zniekształcany i przemilczany.

W latach osiemdziesiątych oraz później w okresie polskich przemian ustrojowych stopniowe zamieranie sowieckiej, rządowej cenzury wywołała w naszej literaturze spontaniczny powrót do przeszłości. Ten nawrót do naszych ostatnich dziejów świadczy nie tylko o tłumionym dotąd pragnieniu poznania prawdy, ale też do usiłowania dotarcia i odnalezienia własnej, autentycznej tożsamości.

Przy obecnym kryzysie tożsamości narodowej trwa walka o świadomość historyczną młodych Polaków. Dlatego, między innymi, minione wydarzenia są teraz tak starannie i systematycznie odsłaniane i opisywane.

Nad wyraz dramatyczny, a często i głęboko tragiczny wschodni wątek naszych najnowszych dziejów dominuje dziś nad innymi nie dlatego, że cierpienia zgotowane nam przez hitlerowskie Niemcy przyniosły mniej łez i bólu, ale dlatego, że przez dziesiątki lat ofiarom sowieckiego terroru dotąd zamykano usta. Dominuje też dlatego, że podczas gdy polska gehenna wojenna rozpoczęła się niemal równocześnie z zachodu i ze wschodu, to ta ostatnia trwała bez porównania dłużej. Gdy hitlerowska okupacja skończyła się wraz z wojną, to pod sowieckim butem dla wielu tysięcy Polaków trwała ona nadal przez długie lata, a często była dopiero początkiem ich katorżniczej drogi. Ich los był tym tragiczniejszy, że jedyną winą tych ludzi było to, że byli Polakami.

Podobnie jak w moim przypadku, pisanie bywa też potrzebą duszy i serca. Przez tyle lat ograniczano naszą osobistą wolność, zaklejano usta i zatykano uszy, trzymając nas w politycznym i intelektualnym odosobnieniu. Przez tyle lat manipulowano prawdą, poniżano i robiono nam wodę z mózgów. Tak bardzo więc chciałoby się teraz wyrzucić z siebie to wszystko, co uwięzło w nas gdzieś głęboko, ten nagromadzony latami bunt i gniew, ten ból i poczucie krzywdy tkwiący wciąż w każdym zakątku ciała, to wszystko, o czym trzeba było milczeć.

I wreszcie to, co wydaje się najważniejsze. Mimo, że wschodnia fala polskiej martyrologii powoli opada, ciągle, my żyjący, mamy moralny dług wobec tych wszystkich, którzy za polskość tak drogo płacili. Im właśnie, męczennikom na Wschodzie, winniśmy za to trwałą pamięć i zadośćuczynienie.

W tym miejscu muszę wspomnieć o moich Świętej Pamięci Rodzicach, wobec których mam szczególne zobowiązania do spłacenia. Oboje aresztowani, celowo rozdzieleni od siebie tysiącami kilometrów, przeszli przez wyjątkowo ciężką, długą katorgę i poniewierkę. W nadzwyczaj trudnych warunkach spędzili długie lata w więzieniach i łagrach sowieckiej niewolniczej pracy. Wycieńczenie, głód, zimno i choroby wyniszczały ich fizycznie i psychicznie. Nieprzystosowani do tak trudnej egzystencji przechodzili tym większe cierpienia. Ze zrujnowanym zdrowiem, pozbawieni całego majątku osobistego musieli zaczynać życie od początku.

Im więc, moim Rodzicom, przede wszystkim dedykuję te wspomnienia, ten zapis przeżytych wspólnie zdarzeń wraz z czarodziejskim powrotem w świat mego dzieciństwa, film z odległych, dawnych lat, nieco przymglony, poszarzały, ale przecież prawdziwy.

Może w ten właśnie sposób uda mi się spłacić choć część tego długu, jaki winienem za ich miłość, oddanie, troskę i nieustanny lęk o mnie. Również, a może przede wszystkim, za cudowną i patriotyczną atmosferę, jaką potrafili stworzyć wokół dorastającego małego chłopca.

By bardziej uwiarygodnić własne przeżycia i własne przemyślenia pozwolę sobie na kartach tych wspomnień od czasu do czasu cytować pewne fragmenty obszernych i ciekawych pamiętników, jakie pozostawił mój ociec oraz podpierać się ich interesującą treścią

Na koniec trochę samokrytyki. To prawda, że zawsze jesteśmy skorzy do samousprawiedliwień. Pisanie o własnych przeżyciach i odczuciach oraz ocena zaistniałych, historycznych faktów jest trudna i niebezpieczna. Istnieje zawsze tendencja do subiektywnego widzenia świata i naginanie poszczególnych interpretacji zdarzeń do własnych poglądów. Ale przecież cała historia ludzkości skazana jest na taki mechanizm. Nie ustrzegli się tego nawet najwięksi historycy.

Ponadto wszelkie wspomnienia w większym lub mniejszym stopniu mają skłonność do bardziej krytycznej oceny innych niż siebie. Obiektywnie rzecz biorąc o sobie przeważnie najmniej wiemy. Nasz własny obraz zniekształcony jest bowiem przez naturalny egotyzm i przez naszą wybiórczą pamięć. Żyjemy wyobrażeniami na własny temat, a mijający czas nie tylko wiele zaciera, ale też wiele idealizuje lub demonizuje.

Zapewne dlatego pamiętniki i biografie były i są powszechnie krytykowane. Złośliwi mówią, że często piszą je ludzie, którzy tak naprawdę nie zrobili w życiu niczego, co wartałoby pamiętać. Jednak, jak twierdzi T. Carlyle „historia jest esencją niezliczonych biografii", a za Czapskim powtórzyć można: „Wszystko co piszę jest biografią, bo wszystko przechodzi przeze mnie".

W obrazach wydobywanych po latach z zakamarków pamięci trudno uniknąć drobnych błędów i nieścisłości, bo wszystkie wrażenia odbieramy przez pryzmat własnej osobowości i własnej wrażliwości.

Niewątpliwie i mnie w chłodnym odbiorze współczesnej mi i skomplikowanej naszej historii przeszkadza pewna doza romantyzmu i sentymentalizmu. Tę psychologiczną postawę, emocjonalność uczuć oraz młody, zielony, niedoświadczony wiek, starałem się w miarę możliwości korygować obecną wiedzą opartą o stosowną literaturę i podpierać pamięć pisanymi, wiarygodnymi źródłami.

Nie chcę, ani też nie mogę, w swych wypowiedziach być ani trochę historykiem. Jeżeli podaję jakieś wydarzenia historyczne, to głównie po to aby zachować chronologię wydarzeń oraz uzasadnić pewne prawdy polityczne, psychologiczne czy też natury ogólnej. Nie opieram się na dokumentach czy nawet jakiś zapiskach z tamtych czasów. Nie jestem też znawcą lub kronikarzem II-giej wojny światowej czy specjalistą w zakresie wojskowości. Nie jestem nawet zbyt chętnym i skrupulatnym czytelnikiem dzieł fachowych w tej dziedzinie.

Jestem po prostu nowicjuszem, amatorem, który na tle własnych obserwacji i doświadczeń swojej epoki usiłuje przekazać jakieś nieco głębsze myśli.

Jako świadek swojego czasu staję przeto z obawą, a jednocześnie nadzieją przed nie zapisanymi jeszcze kartami tych wspomnień, jak przed wielką sceną, na której po raz drugi ma się rozegrać spektakl mojego własnego życia, niczym czarodziejska baśń z dzieciństwa i młodości.

TA CO NIE ZGINĘŁA

„Niegdyś radzono się wyroczniów, dzisiaj we
wszystkich razach ważnych radzić się trzeba
wielkiej mistrzyni przeszłości i rozwierać księgę
dziejów, a w niej czytać nie proste zdarzenia,
lecz myśl, która nimi rządziła i przyszłością rządzić ma."
(Henryk Kamieński)

Po powstaniu styczniowym oraz na przełomie wieków przychodziło na świat pokolenie, któremu dane było doczekać tak z dawna upragnionej wolności. Nadchodziło ono w atmosferze głębokiego patriotyzmu, silnej świadomości narodowej i umiłowania wzniosłych tradycji polskich walk powstańczych. Niosło ze sobą cały bagaż przejętych po przodkach cnót i wad narodowych.

W takim właśnie klimacie i w takiej atmosferze przesiąkniętej miłością do własnego kraju i naznaczoną pamięcią o jego na przemian wzniosłych i dramatycznych dziejach, rodziło się pokolenie moich Rodziców.

Od Nich to teraz pragnąłbym zacząć mój najbardziej osobisty wątek, jako retrospekcję moich własnych losów.

1. Lata 20-te i wojna bolszewicka

Nadchodziły lata dwudzieste naszego stulecia. Niepodległa Rzeczpospolita, dopiero co wyłoniona z krwawego kotła I wojny światowej, złupiona, wyniszczona i osłabiona ubytkiem ponad 4,5 miliona swych obywateli, z których przeszło pół miliona stanowili jej polegli żołnierze, nie zdołała jeszcze zaleczyć zadanych jej ran, a już musiała stanąć do śmiertelnego boju przeciw bolszewikom.

Społeczeństwo polskie początkowo z zadowoleniem przyjęło rewolucyjne zmiany w Rosji. Wierzono, między innymi, że zmiany te umożliwią braterstwo ludów – polskiego i rosyjskiego przeciw nawale niemieckiej. Wkrótce jednak nadzieje te okazały się płonne. Komunistyczne państwo nie miało zamiaru ograniczyć się do samej Rosji. Szybko wyszło też na jaw, że uznanie przez Lenina państwa polskiego było tylko wybiegiem propagandowym i blefem mającym przekonać Europę o wolnościowych tendencjach komunizmu

Obłędna idea światowej rewolucji proletariackiej spod znaku czerwonej gwiazdy miała podpalić świat. Bolszewicka armia pod wodzą M. Tuchaczewskiego parła na Zachód przez Warszawę do Niemiec. Zamierzała wspomóc trwającą tam robotniczą rewolucję, opanować Niemcy, a potem ruszyć dalej i dalej aby zawładnąć całym światem.

Znamienna była w tym względzie odezwa Tuchaczewskiego wydana do swych wojsk w momencie ataku :

> „ Wojska spod znaku Czerwonego Sztandaru i wojska łupieżczego
> Białego Orła oczekuje śmiertelny pojedynek. Na Zachodzie rozstrzygną się losy światowej rewolucji. Ponad trupem Białej Polski wiedzie droga do ogólnoświatowej pożogi. Poniesiemy na bagnetach szczęście i pokój pracującej ludzkości."

Obok tej odezwy wydano też dla wojska specjalną dyrektywę głoszącą :

> „We krwi rozgromionej armii polskiej utopić przestępczy rząd Piłsudskiego."

NAPÓR ROSYJSKI NA ZACHÓD

SCHEMAT – LATA 1454·1989

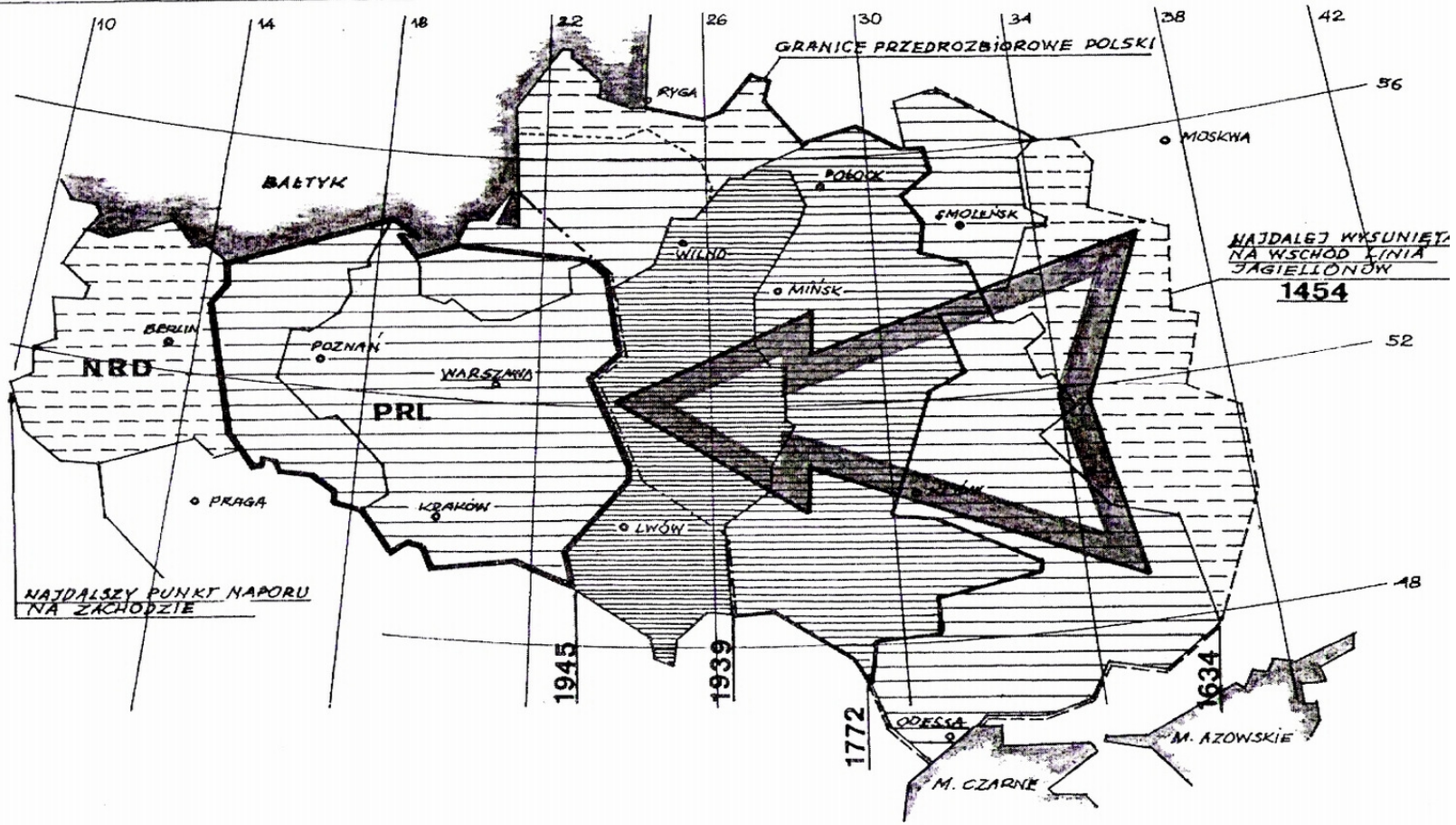

Jak więc widać bolszewizm był naszym wrogiem śmiertelnym, a konflikt polsko-bolszewicki był dalszym ciągiem naporu rosyjskiego na nasze terytorium i nasz naród, miał więc głębokie korzenie historyczne, cywilizacyjne i kulturowe.

Zaraz po odzyskaniu niepodległości, w obliczu nowego zagrożenia militarnego przez Rosję Sowiecką, patriotyczna część społeczeństwa poczęła masowo wstępować ochotniczo w szeregi odrodzonego Wojska Polskiego. W zaciągu tym dopisała przede wszystkim inteligencja i młodzież akademicka, a nawet młodzież gimnazjalna i rzemieślnicza.

Jeszcze w końcu 1918 roku, wśród tych młodych ludzi znalazł się również mój ojciec, niespełna wówczas 20-to letni student wydziału medycznego krakowskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zmobilizowany rok wcześniej do armii austriackiej tuż przed upadkiem Austro-Węgier, wstąpił do Ochotniczego Batalionu Akademickiego. Po krótkiej służbie wartowniczej w Krakowie oraz pracy w Okręgowym Szpitalu Wojskowym, już jako podchorąży medyk został przeniesiony do Łodzi. Jako znający język francuski znalazł się tam w sporym oddziale Francuzów (głównie oficerów) szkolących w ramach pomocy militarnej nasze kadry i dozbrajające armię w specjalny typ karabinu maszynowego, zwanego mitraliezą. Następnie przez Lwów wyjechał na front bolszewicki gdzie w okolicach Tarnopola brał udział w walkach z Ukraińcami oraz słynną kawalerią Budionnego.

Tam też zastała go i zmusiła jego oddziały do stopniowego wycofywania się lipcowa ofensywa bolszewicka 1920 roku.

W tym miejscu pozwolę sobie przytoczyć fragment pamiętników ojca :

...„Znaleźliśmy się zatem w pasie frontowym, oddzieleni od nieprzyjaciela tylko wspomnianą rzeką (Seret) i jej grząskim pobrzeżem – a Kutkowce, w których zatrzymaliśmy się, stały się bazą wypadową naszych pierwszych akcji wojennych.

Od razu wypada tu zaznaczyć, że w owych czasach, kiedy nie było jeszcze jednostek pancernych i zmechanizowanych a lotnictwo wojskowe było dopiero w zalążku – strategia wojenna wyglądała zgoła inaczej i w przeważającej mierze polegała na działaniach określanych mianem wojny pozycyjnej i podjazdowej, w których – jak już wspomniałem – brały udział przede wszystkim dywizje piechoty i brygady kawalerii.

Dodać by też trzeba, że organizowanie naszej armii w 1918-20 r. odbywało się w trudnych warunkach budowania zrębów państwowości i ustalania granic, oraz w równie trudnej sytuacji gospodarczej kraju i słabo rozwiniętego przemysłu zbrojeniowego – co wszystko powodowało, że wyposażenie techniczne armii stało na niskim poziomie, zaś wyszkolenie wojskowe opierało się głównie na wzorach francuskich.

Armia przeciwnika, wyczerpana pierwszą wojną światową i długotrwałą wojną domową, również nie posiadała wysokiego potencjały militarnego, i podobnie jak nasza – rozporządzała przestarzałym przeważnie sprzętem uzbrojeniowym.

Przy takim układzie sił obu walczących stron, poza rzadkimi bataliami o większym znaczeniu strategicznym, działania wojenne – jak już zaznaczyłem – sprowadzały się głównie do wyczerpujących walk pozycyjnych, przeważnie z odpowiednio umocnionych okopów, a rzadziej do natarć niedużymi oddziałami na niektórych odcinkach strefy frontowej lub niewielkich bitew i potyczek podjazdowych, dokonywanych przez najbardziej ruchliwy rodzaj wojsk lądowych, jakim była podówczas kawaleria.”

Z przeżyć ojca w tej wojnie chciałbym dodać jeszcze jedno ciekawe doświadczenie mówiące o dużej odporności Rosjan na nieszczęścia i to zarówno na zbiorowe kataklizmy, jak i indywidualne niepowodzenia.

Otóż walcząc na froncie bolszewickim niedaleko Zbaraża, opisuje palące się kilka chat, których nikt w wiosce nie usiłował gasić. Kiedy nasi żołnierze, próbując coś poradzić, pytali ludzi czemu nie ratują płonących chałup, usłyszeli spokojną odpowiedź: „Zapaliłoś, tak eto uże kaniec", a miejscowy pop dał wyraźnie do zrozumienia, że nie godzi się sprzeciwiać Bogu.

W ten sposób bardzo często w Rosji wszelkie nieszczęścia uważane były za dopust boży wobec czego należało je przyjmować z pokorą. W tym świecie było to nieodzowne do przetrwania. Taka odporność jest rodzajem samoobrony szczególnie w warunkach niskiego i biednego standardu codziennego bytowania. Pamiętam też jak dużą wagę przywiązywał ojciec do tej cechy Rosjan. Powtarzał, że zawsze niebezpieczni i nieobliczalni są ludzie, którzy nie mają wiele do stracenia, a często i swe własne życie mają za nic.

Kiedy armia Tuchaczewskiego podeszła pod Warszawę sytuacja wydawała się beznadziejna i tragiczna. Jednak doskonale zaplanowana taktycznie, choć ryzykowna, kontrofensywa wojsk polskich, poparta męstwem i walecznością naszego żołnierza, zatrzymała bolszewików, a następnie odrzuciła ich daleko na wschód.

To rozstrzygające starcie, zwane też Bitwą Warszawską, przeszło do historii jako 18-ta najważniejsza bitwa decydująca o losach Europy i świata. Planowana rewolucja w skali światowej została przekreślona na przedpolach Warszawy, a Armia Czerwona straciła prawie 100 tysięcy żołnierzy.

Trzeba pamiętać, że dla pokolenia naszych ojców obrona młodego, niepodległego Państwa Polskiego miała szczególne i wyjątkowe znaczenie, bowiem II Rzeczpospolita była moralnym zadośćuczynieniem oraz przezwyciężeniem syndromu klęsk, rozbiorów i nieudanych powstań.

Ten pierwszy konflikt zbrojny z Rosją Sowiecką przypominam nie tylko dlatego, że był on związany z udziałem w walkach mego ojca, ale przede wszystkim dlatego, że był on groźnym doświadczeniem i groźnym memento na przyszłość. Okazało się wszak, że z upadkiem caratu rosyjska nienawiść do Polaków nie zelżała, a wprost przeciwnie, wyraźnie się wzmogła, wywołując nową, silną falę wrogości i antagonizmu do Moskwy, lub jak powszechnie mawialiśmy do „czerwonej zarazy".

Doświadczenia nasze w tej wojnie były tym bardziej groźne i złowieszcze, że wojska bolszewickie stosowały okrutne i masowe mordy więźniów i jeńców, a w czasie odwrotu dokonywane przez nich zbrodnie osiągały niebywałe rozmiary.

Z kolei polityka Piłsudskiego oparta o przekonanie, że największym naszym wrogiem jest Rosja, znalazła pełne, a zarazem prorocze uzasadnienie.

Na wiosnę 1921 roku ojciec powrócił na studia do Wszechnicy Krakowskiej. Udział w walkach frontowych i bezpośrednia styczność z bolszewikami, jak również związane z tym przeżycia osobiste, pozostawiły trwały ślad w jego psychice i w znacznym stopniu wpłynęły na późniejszą patriotyczną atmosferę w naszej rodzinie.

Nie było to zresztą podówczas jedyne spotkanie mego rodzica z rosyjską armią Urodzony w małym, podgórskim, pięknie położonym na wysokiej skarpie miasteczku, Grybowie, w Nowosądeckim, w momencie wybuchu I wojny światowej miał 15 lat. Jako chłopiec był świadkiem tzw. rekwizycji, a właściwie masowego rabunku, jakiego dokonywało rusko-kozackie żołdactwo, kiedy w początkowym etapie wojny zajęło tę część Galicji.. Ludność ogołacano nie tylko z żywności, ale też z wszystkiego, co wpadło pod rękę w prywatnych domach i kwaterach. Rabowano nawet poszczególne osoby na ulicy ściągając z

nich m.in. odzież i buty. W sklepach – jak mówił ojciec – powszechne i znane było powiedzenie: „Nie ma, bo wsio Moskale zabrali!"

Wspominając mojego drogiego ojczulka, muszę nadmienić, że pochodził on z wielodzietnej, średniozamożnej rodziny. Dziadek Edward był piekarzem i poważanym obywatelem Grybowa. Miał własną piekarnię i mały sklepik z pieczywem. Dodać trzeba, że był to człowiek wielkiej uczciwości i solidności.

Niezbyt dobre warunki materialne dziadków, na co niewątpliwie miało wpływ znajdujące się na ich utrzymaniu liczne rodzeństwo, zmuszały ojca do podejmowania dorywczych prac zarobkowych, zarówno przed ukończeniem matury, jak i później w czasie studiów.

Od najmłodszych lat przejawiał usposobienie wesołe i żywe oraz odznaczał się wyjątkowymi zamiłowaniami humanistycznymi. Pisał wiersze oraz ubóstwiał łacinę i grekę do tego stopnia, że jeszcze w późnej starości potrafił deklamować obszerne fragmenty „Iliady", czy cytować łacińskie wyjątki z pism Cezara. Posiadał przy tym rzadko spotykane zdolności poligloty.

Niewątpliwie jakąś część usposobienia, jak i umiłowania literatury pięknej, czy też łatwość w przyswajaniu sobie języków obcych, musiałem odziedziczyć po ojcu.

Tymczasem, po skończonej wojnie, w latach 20-tych, ten student pochodzący z niezamożnej rodziny stawał się powoli, jak na ironię, przedstawicielem „inteligenckiej burżuazji". Jak się wkrótce okazało, miało to niestety poważny wpływ na dalsze losy naszej rodziny.

2. Mój rodzinny Kraków

Po początkowej, krótkiej wzmiance o moim ojcu przyszła kolej na Kraków, moje rodzinne miasto, gdzie spędziłem pierwsze lata dzieciństwa i do którego powracam zawsze z jakimś dziwnym uczuciem ciepła i wzruszenia.

Tu w Krakowie, w początkach lat 20-tych poznali się i pokochali moi rodzice. Ojciec kończył studia a mama była urzędniczką w Izbie Skarbowej. Ślub ich odbył się w kościele parafialnym na Podgórzu, a skromne przyjęcie z tej okazji miało miejsce w słynnej „Jamie Michalikowej".

W tym to szacownym, starym podwawelskim grodzie przyszło mi pojawić się na tym najwspanialszym ze światów. Ponieważ imiona jak suknie czy fryzury są przedmiotem sezonowych mód, nadano mi imię Jerzy. Jak bardzo to imię miało wzięcie w owym czasie i jaką cieszyło się niezwykłą popularnością wśród moich rówieśników, uwiecznił to znakomity satyryk, mój równolatek i też Krakowiak - L. Jerzy Kern. Przytoczę tylko mały fragment dowcipnego wierszyka :

„ Ile jest gwiazd na niebie
Ile robaków jest w glebie
..... Ile kucharki przez dobę tłuką na świecie talerzy
Tyle mniej więcej w sumie – jest, było i będzie - Jerzych !"

Pierwsze 5 lat miałem dość urozmaicone i bogate w przeróżne przygody. Ale jak zawsze dobrotliwa i czuwająca nade mną Opatrzność chroniła mnie przed ich poważniejszymi skutkami.

Jako 2-letni malec, leżąc chory na szkarlatynę w szpitalu, w Prądniku pod Krakowem, przeżyłem wybuch pobliskiej prochowni. Poczynił on wówczas poważne szkody w budynku

szpitalnym, zerwał dach, powybijał wszystkie szyby, a silny podmuch zdewastował część pomieszczeń.

Innym znów razem, kiedy ledwo zaczynałem mówić, zgubiłem się mamie na Plantach Krakowskich i dopiero po wielu godzinach zaniepokojeni i zrozpaczeni rodzice odnaleźli mnie w jednym z komisariatów.

Wreszcie, w wieku 5-ciu lat, przeżyłem groźny wypadek. Otóż jadąc bryczką sanatoryjną z Batowic do Krakowa uczestniczyłem w katastrofie, w której kilka osób zostało mocno poturbowanych, a jedna z pań przypłaciła to nawet życiem. Mnie całego i zdrowego znaleziono pod przewróconą bryczką, przykrytego szczęśliwie miękkim siedzeniem.

Wspominam o tym dlatego, że Łaska Boża i mój Anioł Stróż czuwały nade mną od zarania, pozwoliły kilkanaście lat później przeżyć ciężkie lata wojenne, i dotąd, aż do chwili obecnej, nie opuszcza mnie ich zbawienna opieka.

Pomnę, jak w tamtych latach, podobnie jak robiło to wiele dzieci z katolickich rodzin, modląc się razem z mamą, dodawałem zawsze krótką prośbę do swego opiekuńczego Anioła :

„Aniele Stróżu mój
Ty zawsze przy mnie stój
Rano, wieczór, we dnie, w nocy
Bądź mi zawsze do pomocy ”

Skoro już mowa o przygodach, chciałbym jeszcze przytoczyć inne, bardziej wesołe ale i trochę niezwykłe wydarzenie. Otóż, jako 2-letni brzdąc, byłem obecny na uroczystej promocji doktorskiej ojca, która z dawnym podniosłym ceremoniałem odbywała się w historycznej auli Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ta znacznie opóźniona doktoryzacja wyniknęła głównie z przerw na służbę wojskową i przebywanie ojca na froncie.

W czasie tej uroczystości najzabawniejsze było to, że podczas ceremonii wyrwawszy się na moment mamie, wpadłem na podium między ubrane w uroczyste togi ciało profesorskie, wywołując wśród dostojnego grona nie lada konsternację i rozbawienie.

W tym mniej więcej czasie ojciec pracował już jako lekarz w pobliskim Sanatorium w Batowicach, gdzie też zamieszkaliśmy. Na terenie lecznicy byłem niemal jedynym dzieckiem. Rozpieszczał mnie więc i obdarowywał niezliczonymi prezentami nie tylko sam personel, ale i pacjenci. A trzeba powiedzieć, że klientela była tam nie byle jaka, że wymienię choćby tylko kilka znakomitych nazwisk : znani powieściopisarze Piotr Chojnowski, Kornel Makuszyński, Michał Choromański czy Władysław Orkan, poetka Bronisława Ostrowska, malarka Zofia Stryjeńska, aktor Stefan Jaracz, znany kartograf Eugeniusz Romer, czy też wybitny badacz mórz prof. Michał Siedlecki. W sanatorium wiele też było ziemian, przemysłowców i arystokracji jak Ks. Radziwiłł, hr. Potocki czy hr. Tarnowski. Od wielu z nich otrzymywałem nieraz cenne prezenty, często były to piękne książki opatrzone specjalną dedykacją.

Nawiązując do arystokratycznej części sanatoryjnej klienteli, warto nadmienić, że snobowanie się swym urodzeniem było przez jakiś czas słabostką pewnej części naszej inteligencji i wywodziło się zapewne jeszcze z polskiego sarmatyzmu. Nie było to zresztą zjawisko odosobnione w ówczesnym świecie. Był to rodzaj szlacheckiego rasizmu, coś z mistyki „błękitnej krwi”. Ta duma z dobrego urodzenia i nazwiska w pewnych sferach żywa była jeszcze nawet do połowy XX wieku.

Brama Floriańska

KRAKÓW

Barbakan Krakowski

KRAKÓW

Wracając do Krakowa, już jako 6-letni malec rozpocząłem naukę. Moim pierwszym wędrówkom do szkoły towarzyszyły często płacz, niechęć i gorycz, jak gdybym już wówczas przeczuwał, że odtąd zostałem skazany na długą, trudną, równo 20-letnią edukację.

Uczęszczanie do szkoły wiązało się również z ciężką i brutalną koniecznością rozstania się z rodzicami i zamieszkania u ciotki w samym Krakowie. Na szczęście szybko przywykłem do nowych warunków, zwłaszcza że znalazłem w nowym miejscu miłe towarzystwo siostrzeńców w moim wieku, a rodzice nie zapomnieli o częstych odwiedzinach swego jedynaka.

Kraków wydawał mi się wtedy miastem ogromnym, wspaniałym i bogatym. Wszystko było zachwycające i zapierało dech w piersiach. Mieszkałem na Bagateli niedaleko Barbakanu, który wraz z Bramą Floriańską, przez którą codziennie przechodziłem, oraz starymi murami obronnymi szczególnie działał na moją dziecięcą wyobraźnię. Przenosiłem się wtedy jak gdyby w baśniowy świat pełen obronnych grodów, zaklętych zamczysk i średniowiecznych rycerzy.

Muszę też dodać, że tuż na osi Barbakanu położony był Plac Matejki ze słynnym krakowskim Pomnikiem Grunwaldzkim, którego wspaniałe rzeźbiarskie postacie dziwnie mi zawsze pasowały do tego wyimaginowanego rycerskiego świata. To miejsce było dla mnie też wyjątkowe, ponieważ tu, jako 11-letni chłopiec, ojciec mój był na uroczystym odsłonięciu Pomnika ufundowanego w 500-lecie bitwy. Jak opowiadał, była to podniosła uroczystość odebrana powszechnie przez Polaków jako wzniosły element pokrzepienia serc.

Ogromne wrażenie robiło Wzgórze Wawelskie z potężnym, starodawnym zamkiem, siedzibą królów polskich, których zaklęte w marmur dostojne postacie spoczywały w kamiennych koronach pod bogato zdobionymi baldachimami swych grobowców.

Równie silnie oddziaływał cały przepyszny świat zabytkowej architektury Krakowa. Jej urzekające piękno już wówczas, mimo dziecięcego wieku, intuicyjnie odczuwałem bardzo głęboko. Oszałamiała wielka ilość różnorodnych kościołów z ich niesłychanym bogactwem wnętrz pełnych złota, koloru, rzeźb i malowideł. Zachwycały niezliczone formy najdziwniejszego detalu z istną orgią łuków, filarów, kolumn i gzymsów.

I wreszcie Krakowski Rynek z przepięknymi Sukiennicami, Kościołem Mariackim i starą ratuszową wieżą. Otoczony dziesiątkami zabytkowych kamienic pozostał w pamięci przez długie lata przeogromny, rozległy, wspaniały, zawsze gwarny, pełen ludzkiej, kolorowej ciżby i krakowskich gołębi.

Nigdy nie zapomnę, gdy w niespełna 20 lat później, już po wojnie, odwiedziłem po raz pierwszy mój ukochany Kraków. Odniosłem wtedy wrażenie, że mam do czynienia z jakąś zubożałą miniaturą tamtego dziecięcego świata. Ulice nie były już tak szerokie, ruchliwe i bogate, Rynek wydawał się mniejszy i skromniejszy, w Sukiennicach kramy jakby zbiedniały a przelewający się przez nie tłum dziwnie poszarzał. Nawet Wieża Mariacka, z której rozbrzmiewał niezapomniany hejnał, nie sięgała już aż do nieba. Również dostojny Wawel nie przygniatał tak swoim ogromem.

Niewątpliwie na odbiór tamtego dawnego Krakowa miała wpływ przede wszystkim naiwna dziecięca imaginacja i zauroczenie. Nie bez skutku w odczuciu małego chłopca pozostawała przerysowana skala miasta. A tak niezależnie od tego, to powojenny Kraków rzeczywiście mocno zbiedniał.

Nie znaczy to oczywiście, że dziś Kraków przestał mi się podobać. Przeciwnie, wsparty o dorosłą wiedzę o jego wspaniałej historii i zasługach, znając i rozumiejąc ogromne znaczenie dla kultury i nauki polskiej, oraz zainteresowanie się bogatym rozwojem sztuk

pięknych jak i zabytkami tego miasta - stał się dla mnie skarbem jeszcze bardziej drogim i bliskim.

Wracając ciągle chętnie myślą do tamtego Krakowa chciałoby się powtórzyć słowa poety :

„...Kraj lat dziecinnych ! On zawsze zostanie
Święty i czysty, jak pierwsze kochanie."

Dzisiaj, spoglądając spokojnie wstecz i poszukując korzeni mego współczesnego „ego", mogę z całym przekonaniem powiedzieć, że ukształtowały mnie oraz wpłynęły decydująco na własne widzenie świata trzy miasta, trzy stolice, trzy historyczne sanktuaria narodowe i kulturalne : **Kraków, Wilno i Warszawa.**

Miałem to szczęście, że bieg wydarzeń sprawił iż właśnie w takich znakomitych grodach przyszło mi mieszkać, uczyć się i dojrzewać. Wydaje się, że żaden inny zestaw polskich miast nie potrafiłby tak silnie utrwalać obrazu minionych epok, przebrzmiałej historii oraz upływającego czasu. To głównie ich przeszłość stała się fundamentem polskiej współczesności.

Przy okazji, jako już zasiedziały od ponad pół wieku mieszkaniec Warszawy, poruszając temat Krakowa, nie mogę przemilczeć przykrej, zadawnionej i nieusprawiedliwionej animozji między oboma miastami. Stare przysłowie powiada :

„Dla Polaków ojciec Kraków a matka Warszawa."

Ci przysłowiowi rodzice jednak, na przestrzeni ostatnich dwu wieków, byli w jakiś sposób ciągle lekko ze sobą skłóceni. Powodem tego była zapewne ich rywalizacja, odmienna historia i występujące wzajemne kontrasty. Warszawiacy zarzucali Krakusom prowincjonalizm i centusiostwo, Krakowianie zaś Warszawie cwaniactwo i ubóstwo kulturalne.

W Krakowie, bardziej niż w stolicy, na skutek względnej autonomii Galicji, mogła się swobodnie rozwijać sfera kultury, sztuki i nauki. Natomiast krakowskie „centusiostwo" wynikało ze starych, zwyczajowych konwenansów, zgodnie z którymi dumni i ambitni mieszczanie, zubożała arystokracja i stan urzędniczy liczył się z każdym centem by utrzymać pozycję oraz odpowiednią stopę życiową.

Co zaś się tyczy warszawskiego cwaniactwa, to było ono reakcją na dotkliwe represje ekonomiczne i polityczne najpierw rosyjskiego zaborcy a potem niemieckiego okupanta. Spryt, zaradność i pomysłowość konieczne tu były do przetrwania.

Zamykając okres mojego beztroskiego i sielskiego dzieciństwa związanego z Krakowem, muszę poświęcić jeszcze nieco miejsca mojej ukochanej matce.

Jak każdemu dziecku była ona najbliższą i najdroższą istotą, której wszystko zawdzięczam. Ona swoją wrażliwością, miłością i niezwykłą uczuciowością wprowadzała mnie w nieznany, otaczający świat, uczyła patrzeć i kochać piękno, uczyła pierwszych słów i pierwszego pacierza. –

„Ona mi pierwsza pokazała księżyc
i pierwszy śnieg na świerkach
i pierwszy deszcz...
Byłem wtedy mały jak muszelka
(K. I. Gałczyński)

Na jej cudownych opowieściach, wzruszających bajkach, kolorowych baśniach i na jej z wielką miłością nuconych piosenkach rozwijałem własną wrażliwość, wyobraźnię, fantazję

i umiłowanie piękna. Starała się wszczepić w moje serce najdelikatniejsze i najszlachetniejsze ludzkie uczucia. Miała ogromny wpływ na kształtowanie mej osobowości i usposobienia.

Emanowały z niej niezwykle intensywnie najpiękniejsze cechy kobiecej natury, czułość, wrażliwość i głęboka uczuciowość. Te właśnie, częściowo przyswajane przeze mnie cechy mojej matki, sprawiły i zdecydowały o moim emocjonalnym i nieco sentymentalnym stosunku do świata i życia.

Na kartach przedstawionych wspomnień jeszcze wielokrotnie będę przywoływał piękną postać matki, zwłaszcza w ciężkich i trudnych chwilach podczas ostatniej wojny. Na rosyjskiej ziemi Imię jej będzie mi towarzyszyć nieustannie łagodząc tęsknotę, podtrzymując wiarę i nadzieję oraz dodając sił do przetrwania.

Życie mojej mamy już od poczęcia nosiło znamiona tragiczne, jak gdyby była to jakaś złowieszcza i złowroga zapowiedź przyszłych jej losów z niemal 12-to letnią katorgą w sowieckich łagrach i więzieniach.

Niejako naznaczona nieszczęściem urodziła się w smutnym dniu Święta Zmarłych, 1 listopada 1901 roku z ojca Stanisława Morawieckiego i pochodzącej ze Lwowa matki Ludwiki. Urodziny miały miejsce we wsi Paczołtowice, gdzie dziadek mój miał skromny majątek. Posiadłość dziadka leżała w uroczej dolinie Prądnika, o miedzę od słynnych kościuszkowskich Racławic.

Tuż po przyjściu na świat obumarła ją matka na często jeszcze w tych czasach występującą gorączkę połogową. Niespełna dwutygodniową dziecinę ochrzczono w dniu pogrzebu matki. Ponieważ przypadło to w dzień Św. Stanisława Kostki, nadano jej imię Stanisława, Karolina.

Zrozpaczony ojciec przez pierwsze dwa lata opiekował się nieszczęsną córeczką, poczym oddał ją pod czasową opiekę dopiero co owdowiałej ciotce zamieszkałej we Lwowie. Mała dziewczynka uwielbiała swego ojca, ale i tu los okazał się okrutny i nieubłagany. Mając 13 lat traci go w tragicznym wypadku. Osierocona, przygarnięta przez dalszą rodzinę, kończy naukę w Jarosławiu. Później przenosi się do Krakowa, gdzie podejmuje pracę urzędniczą.

Mój dziadek, Morawiecki, był artystą malarzem a studia kończył na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Wrażliwa i delikatna natura tego mało znanego malarza uwidoczniała się w jego pracach i równocześnie w jakiś dobrotliwy i subtelny sposób wpływała na moją mamę. Od ojca też przejęła ona umiłowanie sztuki i piękna.

Twórczość dziadka, mocno klasycyzująca, odznaczała się delikatnym liryzmem pełnym prostoty i umiaru. Pamiętam jego szkice, akwarele i oleje, których jeszcze przed wojną mieliśmy w domu kilka. Niestety, zarówno te prace jak i niemal cały jego dorobek malarski zaginął i został zapomniany. Dzieło zatraty dopełniły kolejne, I i II wojny światowe. Do dzisiaj udało nam się zachować jedynie dwie prace olejne, cudem zdobyte od dalszej rodziny.

3. Okres wileński 1932 - 1937

Wiosną 1932 roku ojciec mój otrzymał korzystną propozycję pracy w charakterze ordynatora dużego, przyklinicznego państwowego szpitala w dalekim, położonym na północy i oddalonym od Krakowa o prawie 700 km, dla nas niemal nieznanym, Wilnie.

Początkowo trudno nam było oswoić się z myślą, że będziemy musieli porzucić uwielbiany Kraków. Ja właśnie ukończyłem chwalebnie 1-szy rok mojej edukacji i zdążyłem się już przyzwyczaić do szkoły oraz zaprzyjaźnić z dziećmi mojej ciotki, u której

zamieszkiwałem. Żal rozstania z tak miłym towarzystwem starałem sobie wynagrodzić perspektywą dalekiej i kuszącej podróży pociągiem.

Gdzieś w drugiej połowie sierpnia po licznych pożegnalnych wizytach, imprezach i obcałowywaniach się z rodziną i znajomymi, pociągiem pośpiesznym do Warszawy opuściliśmy nasz podwawelski gród. Po przesiadce w stolicy, już następnego dnia wcześnie rano postawiłem po raz pierwszy swą 7- letnią stópkę na wileńskim bruku.

Po gorącym Krakowie ranek był przenikliwie chłodny i mglisty, jak gdyby chciał przypomnieć, że znajdujemy się na dalekiej północy. Tak więc pierwsze odczucia związane z aurą i lekkim zmęczeniem podróżą były niezbyt przyjemne, ale na szczęście krótkotrwałe.

Natomiast nie zapomnę pierwszego prawdziwego zaskoczenia jakim był widok dorożek stojących przed dworcem. Miały grube samochodowe opony i wyglądały nader pociesznie, jakby ubrane były w kalosze. Również jacyś dziwni woźnice oraz ich niskie, krępe konie mocno odbiegały od ich krakowskich krewniaków.

Zamieszkaliśmy w wynajętym uprzednio mieszkaniu przy ul. Tartaki, w pobliżu Placu Łukiskiego. Od razu muszę zaznaczyć, że spotkała nas tam miła niespodzianka. Otóż piętro wyżej mieszkał z żoną i dwiema córeczkami dawny uniwersytecki kolega ojca, Julian Szwed. Był to profesor gimnazjalny, literat i redaktor zarazem. Swoje reportaże zamieszczał m/i w „Słowie" wileńskim. Nie muszę dodawać, że szybko zaprzyjaźniliśmy się z sąsiadami, co w dużym stopniu ułatwiało nam przystosowanie się do nowego środowiska. Potem jeszcze przez wiele lat rodzice podtrzymywali przyjaźń z tą miłą rodziną.

Tak rozpocząłem nowy, 12-to letni, wileński okres młodzieńczej przygody. Z krakowskiego „galileusza" przedzierzgnąłem się w przyszywanego „wilniuka". O dziwo, nie tylko szybko przyzwyczaiłem się do zupełnie nowych warunków, ale też polubiłem i pokochałem to piękne miasto. Do dziś dnia, mimo wojny i katastrof jakie tam przyszło mi przeżyć, wspominam je zawsze miło a nawet z pewnym wzruszeniem. –

„Nie zapomnę uroku twojego,
Nie zapomnę niczego z twej krasy,
Nie uronię z pamięci niczego,
Z tobą wiążę najlepsze me czasy."
(H. Sobolewski)

Pierwszą rzeczą jaką to miasto zaskakuje każdego przybysza jest jego niezwykle piękne i malownicze położenie. O Wilnie usytuowanym w naturalnej kotlinie otoczonej niemal ze wszystkich stron pełnymi zieleni wzgórzami i pagórkami, pośród których kręta Wilenka wpada do szerokiej Wilii, Syrokomla pisał : „ Wilno, pieszczota pięknej natury", a F. Ruszczyc nie bez racji twierdził : „Wilno to miasto o dziwnej, tajemniczej i pociągającej sile i niezniszczalnym pięknie."

Naszym niezastąpionym przewodnikiem w pierwszych tygodniach okazał się redaktor Szwed.

Dominującym nad miastem wzgórzem jest Góra Zamkowa z pozostałym na jej szczycie fragmentem baszty. Na tej górze, według legendy, książę Gedymin był usłyszał i zobaczył żelaznego wilka. Postanowił wtedy zbudować na niej zamek, a następnie u jego stóp założyć gród.

Obok na sąsiednim wzgórzu jaśnieją potężne trzy białe Krzyże, niczym symbol wiary i męczeństwa miasta. A Wilno zaiste wycierpiało więcej niż inne miasta Rzeczpospolitej. Ta kolebka Jagiellonów, położona na północno-wschodnich kresach, pełniła przez wieki rolę reduty i bastionu polskości. Jako polska enklawa na etnicznym pograniczu litewsko-białoruskim była tyglem, gdzie stykały się, mieszały i wzajemnie na siebie oddziałowywały

wpływy polskie, litewskie i ruskie. Jeśli do tego dodać liczną społeczność żydowską i spore środowisko tatarskie, uświadomimy sobie jak ta wielka różnorodność kultur, wyznań i tradycji musiała wpłynąć na specyficzny koloryt miasta.

Widome dziedzictwo polskich dziejów i polskiej kultury odbijało się najpełniej w jego bogatej architekturze. Bo właśnie mimo wspomnianej różnorodności, gdziekolwiek tu spojrzeć, wszędzie bije serce Polski, a 37 kościołów z cudownym i sławnym sanktuarium Matki Boskiej Ostrobramskiej, świadczy o przywiązaniu miasta do wiary katolickiej.

O tym wszystkim, my nowi przybysze z południa, nieco sceptycznie nastawieni do środowiska wileńskiego, bardzo szybko się przekonaliśmy. Ówczesny skład narodowościowy Wilna również był tego przykładem : 66 % ludności stanowili Polacy, 28 % Żydzi, 4 % Rosjanie i 2 % razem Litwini i Białorusini.

Gdy chodzi o nas, to po jako takim zadomowieniu się na nowym lokum, powoli zaczęliśmy poznawać miasto z jego uroczymi zakątkami i licznymi zabytkami. Również coraz swobodniej zaczęliśmy oddychać jego niezwykłą atmosferą.

W stosunkowo krótkim czasie, kiedy akurat kończyłem 2-gą klasę, przenieśliśmy się na Antokol, gdzie mieścił się szpital, w którym pracował ojciec. Nowa dzielnica położona nad rzeką Wilenką odznaczała się terenem pagórkowatym i dość silnie zalesionym.

Wśród takich to pagórków, przy ulicy Letniej 5, leżał olbrzymi teren „Państwowego Szpitala dla Psychicznie i Nerwowo Chorych". Tu początkowo zamieszkaliśmy w jednym z pawilonów, a następnie w specjalnie dla nas zbudowanym nowym apartamencie. Ogromnym szpitalem na 800 łóżek, z 200 osobowym personelem, jak również znajdującą się na terenie Kliniką Uniwersytecką, kierował prof. Maksymilian Rose. Był to dużej miary uczony, wybitny badacz mózgu oraz człowiek o wielkiej kulturze osobistej.

W obrębie szpitala profesor utworzył również Instytut Badań Mózgu, w którym mój ojciec odbył odpowiedni staż, realizując tym samym swoje zainteresowania naukowe. Instytut zajmował się głównie anatomią i architektoniką mózgu, gdyż wiedza o fizjologii tego skomplikowanego organu była i jest do dzisiaj bardzo śladowa. Tak naprawdę nie mieści się ona w naszych kryteriach poznawczych i pozostaje ciągle w dużej części niezbadana.

Moje pierwsze zetknięcie się z chorymi umysłowo było niewątpliwie silnym przeżyciem. Dopiero jednak w miarę upływu czasu oraz wiedzy jaką nabywałem na ten temat, mogłem zrozumieć jak głęboko nieszczęśliwi są to ludzie. Przez większość społeczeństwa choroby psychiczne postrzegane są jako coś niezwykłego, niebezpiecznego a nawet śmiesznego. Powszechnie używane, niestosowne słowo „wariat" kojarzy się właśnie z podobnymi pojęciami. Tymczasem granica między chorobą a zdrowiem psychicznym nie zawsze jest w pełni wyraźna, czasem też zaburzenia występują przelotnie. Również pogląd o nieuleczalności tego rodzaju chorób jest fałszywy, dużą część schorzeń daje się leczyć i w wielu wypadkach uzyskuje się pozytywne wyniki. Niemniej, ta trudna dziedzina medycyny ma jeszcze dużo białych plam i ze względu na specyfikę mózgu ogromne pole badawczo naukowe.

Moje spotkania z chorymi ograniczały się głównie do olbrzymiej świetlicy szpitalnej, gdzie często lubiłem zaglądać. Można tam było pograć w ping-ponga, w szachy, posłuchać gry na fortepianie, oglądać ciekawą twórczość artystyczną chorych, a nawet prowadzić niekiedy interesujące rozmowy. Na sąsiadującym ze świetlicą boisku grało się w siatkówkę, kręgle czy inne gry.

Przez tyle lat kontaktu z psychicznie chorymi nie zdarzyła mi się nigdy żadna sytuacja jakiegokolwiek zagrożenia. Trzeba jednak dodać, że owi pacjenci byli starannie wyselekcjonowani i niegroźni dla otoczenia.

Miałem jednak pewną niebezpieczną przygodę, w której niestety sam ponosiłem całą winę. Chłopięca ciekawość sprawiła, że niekiedy z kolegami podglądaliśmy chorych przebywających na zewnątrz za drewnianym ogrodzeniem. Któregoś dnia, korzystając z dziury w płocie o mało nie straciłem oka, kiedy jeden z chorych ogarnięty prawdopodobnie jakąś manią prześladowczą, włożył nagle w otwór sporych rozmiarów gwóźdź.

Nie zdawałem sobie jeszcze wtedy sprawy, że choroba psychiczna bardzo często jest królestwem lęku oraz towarzyszy jej inny świat pełen urojeń, halucynacji i zagrożenia.

Po tej osobistej i szpitalnej dygresji pragnę powrócić znowu do samego Wilna, a na początek, do naszej dzielnicy antokolskiej.

Szczyci się ona bowiem chyba najwspanialszą i niepowtarzalną perłą polskiego baroku, zabytkiem wielkiej miary – kościołem Piotra i Pawła. Kościół ten fundacji Mikołaja Paca, wojewody wileńskiego, jakkolwiek zewnątrz nie jest może zbyt ciekawy, posiada unikatowe, nieprawdopodobnie bogate wnętrze pełne barokowego przepychu. Włoscy artyści stworzyli tu jedną wielką białą i szaloną orgię rzeźbiarską, która mimo patosu i bogactwa urzeka swoją elegancją, wytwornością i harmonią.

Jako, że był to najbliżej nas położony kościół, często chodziliśmy tam na niedzielne nabożeństwa. Pamiętam z jakim zachwytem i zainteresowaniem przyglądałem się zawsze niezliczonym rzeźbiarskim dekoracjom i ich sztukatorskiemu mistrzostwu. Zwłaszcza trudno było oderwać oczy od wspaniałego świecznika w kształcie Łodzi Piotrowej. Ten olbrzymi okręt z kryształu i światła, mieniąc się i drgając tysiącem blasków, wisiał w centralnym punkcie kościoła przed głównym ołtarzem.

Z placu przykościelnego Piotra i Pawła idąc w stronę śródmieścia szło się ulicą Kościuszki a następnie Arsenalską osiągało Plac Katedralny. Z placu, prosto na osi Katedry, biegła ul. Mickiewicza, główna arteria miasta.

Tu znajdowały się gmachy sądów i banków, najelegantsze hotele, znane restauracje i kawiarnie, kina, bogatsze sklepy i różne ważniejsze urzędy i instytucje. Na tej ulicy odbywały się paradne defilady wojskowe, które zawsze z wielkim zaciekawieniem oglądałem. Było to również najwytworniejsze corso spacerowe wileńskiego, eleganckiego, lepiej sytuowanego świata.

Wyjątkowo monumentalnie prezentowała się okazała Katedra Wileńska pod wezwaniem św. Stanisława. Fundacji Władysława Jagiełły, już za jego czasów uważana była obok katedry krakowskiej i gnieźnieńskiej za najznamienitszą świątynię chrześcijańską. Dzisiejsza jej postać w formie trzynawowej, klasycznej bazyliki pochodzi z XVIII wieku. Jej główny fronton zdobi sześć gigantycznych, toskańskich kolumn, które podpierają bogato rzeźbiony tympanon zwieńczony trzema równie ogromnymi figurami, ze środkową postacią św. Stanisława z krzyżem w ręku.

Kiedy po raz pierwszy oglądaliśmy ten wileński akropol, cały przepyszny portyk pokryty był niestety rusztowaniami. Jak się okazało, w 1931 roku Wilno nawiedziła ogromna powódź, a woda podmyła fundamenty Katedry. Stało się to przyczyną sensacyjnego odkrycia grobów królewskich w podziemiach kościoła. Przez parę dobrych lat miasto huczało na ten temat. Znaleziono bowiem królewskie szczątki zmarłego w 1506 r. Aleksandra Jagiellończyka, dwu żon Zygmunta Augusta, Elżbiety i Barbary Radziwiłłówny, oraz serce Władysława IV.

Ekipie, która dokonała tego odkrycia przewodził wówczas prof. Juliusz Kłos, architekt, historyk sztuki i wyjątkowy miłośnik Wilna. Towarzyszył mu dr Stanisław Lorenz, konserwator wojewódzki, późniejszy wieloletni dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie. W pracach tych brał także udział prof. Marian Morelowski, późniejszy znajomy i przyjaciel ojca, o którym jeszcze będę pisał przy innej okazji.

Odkrycie to miało olbrzymie znaczenie historyczne i potwierdziło bliskie związki Korony z Litwą. W roku 1933 odbyła się podniosła uroczystość przeniesienia królewskich szczątków do prowizorycznego mauzoleum w kaplicy katedralnej, na wprost słynnej ze swej wspaniałości kaplicy św. Kazimierza.

Kaplica ta, wzniesiona ku czci Kazimierza Jagiellończyka w XVII wieku, jest jednym z najwspanialszych i najbardziej cennych zabytków miasta. Przypomina nieco wawelską Kaplicę Zygmuntowską. Nad ołtarzem w ozdobnym srebrnym relikwiarzu w kształcie trumny wspartej na orłach polskich przechowywane są szczątki św. Kazimierza, patrona Litwy. Wokół, w marmurowych niszach jaśnieją posrebrzane posągi Jagiellonów.

W kaplicy znajduje się również niezwykłej piękności pozłacana chrzcielnica w formie kielicha opartego na ogromnym orle z koroną. Według legendy była ona amboną Piotra Skargi, znakomitego kaznodzieja oraz autora „Kazań sejmowych". Skarga był bardzo blisko związany z Wilnem, był między innymi pierwszym rektorem założonego przez Stefana Batorego Uniwersytetu Wileńskiego.

Być może, właśnie z tej ambony padały jego gromkie ataki na anarchię szlachecką. Może stąd, przybierając postawę biblijnego, natchnionego proroka, niczym z obrazu Matejki, płynęły zapowiedzi nieuchronnej kary bożej, ukazując przyszły upadek „ nieszczęsnego królestwa".

Katedra, Ostra Brama oraz kościół Piotra i Pawła były najczęściej odwiedzane przez turystów i liczne wycieczki. Ilekroć gościliśmy kogoś po raz pierwszy w tym mieście, przede wszystkim te wspaniałe zabytki pragnęliśmy pokazać.

Ostra Brama wraz z cudownym obrazem jest miejscem wyjątkowym. Słynący cudami obraz Matki Boskiej w szczególny sposób czczony był w niemal całej wschodniej części Rzeczpospolitej i obok Obrazu Jasnogórskiego był największym skarbem i obiektem kultu maryjnego w katolickiej Polsce. Tu w 1920 r. przyszły papież Pius XI, jako nuncjusz, modlił się za naszych żołnierzy walczących z nawałą bolszewicką. W podzięce za zwycięstwo wizerunek Matki Bożej ukoronowano uroczyście, jako Królową Korony Polskiej. Odtąd nad Jej głową widnieją dwie korony: Królowej Niebios i Królowej Polski.

Ten symbol Wilna jest równocześnie cennym zabytkiem. Jest to jedyna dzisiejsza pozostałość po dawnych, XVI wiecznych murach obronnych. Kiedyś była bramą miejską, zwaną Miednicką, gdyż prowadziła na trakt do Miednik Królewskich.

Wiele razy odwiedzaliśmy to święte miejsce cieszące się sławą i czcią nie tylko samych Wilnian. Pamiętam, jak idąc w kierunku cudownego obrazu, już daleko przed nim zdejmowało się nakrycia głowy, a tłumy wiernych klęczały na ulicy modląc się do Matki Bożej. Czyż mogłem wtedy przypuszczać, że w niespełna 10 lat później w Miednikach Królewskich przyjdzie mi zakosztować pierwszego obozu sowieckiego.

Poza pięknem samego miasta poznawaliśmy też stopniowo jego przemiłych mieszkańców. Byli to na ogół ludzie poczciwi, skromni oraz nad wyraz serdeczni i gościnni. Większość z nich cechował jakiś dziwny flegmatyzm czy ospałość, jak gdyby czas nie miał tu większej wartości. Życie toczyło się tu jakby w zwolnionym tempie. Zawsze dziwił nas niezwykle mały ruch na ulicach miasta.

Zapewne w dużej mierze było to wynikiem przenikania do tradycji i obyczajów, a więc i do mentalności Wilnian, silnych wpływów wschodnich, głównie poprzez długotrwały rosyjski zabór. Było tu mniej zachodniego racjonalizmu a więcej wschodniego mistycyzmu.

Wyraźnie dawał się zauważyć lokalny patriotyzm tutejszych ludzi. Ta cecha, prawdopodobnie dawne dziedzictwo szlacheckie, wyrażała się zwłaszcza w wierze w wartość jednostki, w indywidualizm oraz w poczuciu własnej godności. Tu, na tych terenach, ta godność była uciemiężonemu narodowi szczególnie potrzebna i wyjątkowo cenna.

Czas upływał, a ja powoli przedzierzgałem się z małolata w gimnazjalnego młokosa. Jeszcze kiedy uczęszczałem do 3-ciej i 4-tej klasy , chodzenie do szkoły było dla mnie prawdziwą torturą a moje osiągnięcia „naukowe" były bardzo mizerne.

Ostatnie dwie klasy szkoły powszechnej spędziłem w prywatnej szkole M-me Szepowalnikowej, im. E. Orzeszkowej, położonej w zaułku Ponomarskim, stosunkowo niedaleko naszego miejsca zamieszkania. Była to koedukacyjna podstawówka z francuskim językiem nauczania, o dość wysokim poziomie oraz miłej i przyjemnej atmosferze. Uczęszczały tam głównie dzieci z lepiej sytuowanych rodzin. Nieco zaskakujące, a zarazem sympatyczne było to, że klasy liczyły zaledwie do dziesięciu uczniów.

Dopiero tu szkoła przestała być mi zmorą a stała się przyjemnością. Tutaj też znalazłem miłe towarzystwo i zawarłem pierwsze naprawdę szczere i trwałe przyjaźnie.

Jak było do przewidzenia, nie uchodziłem za cudowne dziecko. Mówi się, że najczęściej talenty zwiastujące przyszłego geniusza objawiają się w wieku około 10 lat. We mnie jakoś nic się nie objawiło. Na nic też zdało się pocieszanie się, że Einsteina uważano w szkole za opóźnionego w rozwoju, że Mickiewicz powtarzał klasę, czy też, że Edison wcale się nie uczył, bo jak twierdził, nie miał na to czasu.

Powoli chłopięce zabawy w Indian czy kowbojów zastępowały różnego rodzaju gry. Oprócz piłki i ping-ponga najbardziej popularne były : cymbergaj i gra w stalówki do pisania, których różne odmiany zbierało się i wymieniało między sobą.

W zimie chodziło się na łyżwy do Ogrodu Bernardyńskiego u stóp Góry Zamkowej, albo na narty na tzw. Rowy Sapieżyńskie. Latem na boisku szkolnym lub na pobliskim Belmoncie odbywały się gry w siatkówkę.

Belmont był pięknym, zalesionym przedmieściem, podobnym do warszawskiego Lasku Bielańskiego, który w dni wolne od pracy Wilnianie tłumnie odwiedzali.

Trudno też nie wspomnieć o zamiłowaniach kolekcjonerskich, z których zbieranie ołowianych żołnierzy i znaczków pocztowych szczególnie było mi bliskie. Filatelistyka, będąca wtedy dla mnie rodzajem cudownej podróży po świecie, pozostała do chwili obecnej, wprawdzie trochę wyblakłym, ale ciągle aktualnym hobby.

Stopniowo jednak te namiętności ustępowały miejsca innym zainteresowaniom. Moim najbardziej ulubionym zajęciem stało się rysowanie i malowanie.

Być może głębsze nieco zamiłowania plastyczne odziedziczyłem trochę po dziadku, a trochę po mamie. Matka lubiła malować, najchętniej malowała kwiaty i ornamenty roślinne, uwielbiała też rysowanie wzorów do różnorakich haftów i wyszywanek. Zajmowała się również modnym podówczas liworowaniem, to jest malowaniem olejem na kolorowych tekstylnych podkładach, z częściowym posypywaniem farby błyszczącymi proszkami.

Muszę dodać, że mama przywiozła z dalekiej Syberii sporo akwarel i gwaszy, z których utworzony niewielki albumik przechowujemy jak bliską sercu i drogą pamiątkę.

Co do mnie, to najbardziej lubiłem rysowanie i malowanie różnych scen bitewnych i żołnierskich. Ponieważ jednak wszelkie postacie, a zwłaszcza konie są szczególnie trudnym tematem, chętnie kopiowałem fragmenty moich obrazków z licznych malarskich reprodukcji, których sporo posiadaliśmy w domu.

Między innymi, w ten właśnie sposób narodziło się moje zainteresowanie malarstwem i sztuką, a w konsekwencji też poezją i literaturą, jako wyrazem tej samej idei piękna. Bo jak ktoś słusznie zauważył :

„Czyż malarstwo nie jest milczącą poezją, a poezja
Czyż nie jest gadającym malarstwem ?"

Przez pewien czas byłem też wielkim miłośnikiem kina, nie ja pierwszy zresztą i nie ja ostatni. Kino niezmiennie, od dziesiątków lat fascynuje miliony widzów. Ludzie tęsknią za innym ciekawszym i bogatszym światem. Marzą o przygodzie i miłości, pragną silnych przeżyć, chcą płakać i śmiać się. Okazuje się, że natura nasza nie znosi zbyt dużych dawek rzeczywistości.

Mnie porywała przede wszystkim romantyka przygód, walka, mocni ludzie, szlachetne charaktery i melodramatyczne sytuacje. Ulubionym mym gatunkiem był western i film przygodowy. Idolami chłopców w moim wieku byli walczący ze złem dzielni kowboje, szlachetni Indianie, czy nieustraszeni szeryfowie.

W świat wielkiej przygody wprowadzały nas takie filmy jak Tarzan, Robin Hood czy Kapitan Blood z uwielbianym aktorem Erol Flynn'em. Po takich filmach wychodziło się z kina z wypiekami na twarzy, a wielkie przeżycia sprawiały, że czuliśmy się wtedy jacyś mocniejsi, lepsi i jakby odmienieni.

Niemniej nasze chłopięce i wesołe usposobienia tęskniły też za zwyczajnym śmiechem i często niewybrednym humorem. Prawdziwą frajdą były więc okrzyczane komedie z Flipem i Flapem, czy też polskie filmy komediowe z Dymszą, ulubieńcem przedwojennej publiczności.

Trzeba przypomnieć, że oglądane przez nas filmy były jeszcze wtedy czarno białe. Dopiero w końcu lat 30-tych pojawiły się pierwsze obrazy kolorowe, a było to wielkie przeżycie dla wszystkich miłośników kina. Istną furorę zrobił w tych czasach wspaniały, rysunkowy film Disney'a „Królewna Śnieżka". Prostotą bajkowej fabuły, genialnymi rysunkami, bogatą, żywą kolorystyką oraz przepiękną muzyką zachwycali się wszyscy, i dzieci, i dorośli .

Słabość do kina wiązała się również ze słabością do teatru, choć odbierane wrażenia miały zupełnie inny charakter.

Pamiętam, już trochę jak przez mgłę, kiedy pierwszy raz jako 6-cio latek znalazłem się na widowni wspaniałego Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Ciekawe, że wtedy najbardziej zachwycił mnie nie sam spektakl, ale niezwykle bogate i ogromne wnętrze teatru oraz podniosły nastrój panujący na sali.

W Wilnie już w sposób bardziej dojrzały mogłem odbierać przedstawienia teatralne. Najmilej wspominam teatr „Lutnię" z jej uroczymi operetkami, które poprzez bogatą scenografię, światło, kolor, a przede wszystkim zachwycającą muzykę i śpiew, szczególnie przypadły mi do gustu. Późniejsze zauroczenie operą tu chyba miało swe początki. Sądzę, że tego rodzaju spektakle dlatego tak silnie oddziałują na widza, ponieważ łączą w sobie wszystkie sztuki piękne - literaturę, poezję, muzykę, śpiew, taniec i plastykę. Nie darmo R. Wagner nazywał teatr, a zwłaszcza operę, mianem „Gesamtkunstwerk", czyli syntezą sztuki.

Skoro poruszam temat kina i teatru oraz związane z tym doznania, uciechy i radości cielęcego wieku, trudno nie powiedzieć choćby paru słów o innej sferze rozrywki i przyjemności jaką była piosenka, a w szerszym znaczeniu ogólnie muzyka.

Już od wczesnego dzieciństwa za sprawą mamy byłem uczulony na sentymentalne i melodyjne piosenki. Nic więc dziwnego, że bardzo często słuchaliśmy z wielkim upodobaniem, a czasem i wzruszeniem, ówczesnych przebojów piosenkarskich, a także popularnej muzyki. Niezastąpiony był tu stary, domowy patefon. Trudno dziś pojąć, że mimo tak niedoskonałego i zniekształconego dźwięku, jaki wydawało z siebie to stare pudło, odbiór tej muzyki był zawsze wielką radością i głębokim przeżyciem, a zamiłowanie do melodyjnych i nastrojowych piosenek pozostało mi na całe życie.

Myślę, że jest to jakieś ogólne zjawisko. Muzyka bowiem i proste piosenki, czasem z banalnymi a nawet dziwacznymi słowami, niezwykle silnie panują nad naszymi uczuciami, pobudzają marzenia i są ich niezastąpionym akompaniamentem.

Może dlatego często zeszyt miernych, mało znaczących piosenek wzrusza bardziej, niż niejedno arcydzieło klasyki. Jakże pięknie kiedyś wyraził tę myśl Proust, mówiąc :

„Ta byle jaka muzyka nie zajmuje żadnego miejsca w historii
muzyki, ale zajmuje ogromne miejsce w dziejach uczuć ludzkich."

Czasem rzeczywiście banalna treść piosenki nabiera cech prawdziwego dramatu. Do dziś w takich niezapomnianych szlagierach jak m.in. „Tango Milonga", „Miłość ci wszystko wybaczy", lub „Już nigdy", pobrzmiewają ciągle jakieś miłe echa wspomnień tamtych lat.

Wracając do samego Wilna, chciałbym teraz przypomnieć coroczne, popularne święto i wydarzenie wileńskie, jakim był wielki kiermasz tzw. „Kaziuk". Odbywał się on zawsze na Placu Łukiskim 4 marca, w dniu patrona Litwy i Korony, św. Kazimierza.

Ten ogromny plac miał niestety też ponurą swą historię. Tu dokonywano niegdyś za cara egzekucji powstańców i tu znajdowało się największe i najcięższe więzienie, w którym dziesiątki tysięcy polskich patriotów było więzionych, męczonych i mordowanych.

„Kaziuk" miał charakter ludowo-odpustowy. Na targ zjeżdżali się chłopi z całej Wileńszczyzny przywożąc oprócz bydła i trzody, niezliczone ilości swych wyrobów : beczek, balii, niecek, dzież, misek i donic, koszyków i różnorodnych plecionek, garnków, łyżek i drewnianych zabawek barwionych na kolorowo. Obok przeróżnych słodyczy, pełno tam było fujarek, piszczałek, terkotek, koników, ptaszków i kogucików. Nie brakowało też zwykłych chłopskich kolorowych samodziałów.

Oprócz jednak tych różnorakich cudów, na targu tym niestety rzucała się w oczy cała ówczesna bieda polskiej wsi.

Największą jednak atrakcją tych kiermaszy były słynne już w całym kraju przepiękne palmy wielkanocne, pisanki i smorgońskie obwarzanki.

Dzień ten traktowany był, wedle starego obyczaju, jako święto miłości i zakochanych, coś w rodzaju amerykańskiej „Walentynki". Z tej okazji wielkim powodzeniem cieszyły się „kaziukowe serca". Były to bogato zdobione wypieki z przeróżnymi lukrowanymi napisami, które ofiarowywało się najbliższym, a zakochani obdarowywali nimi swoje sympatie.

Teksty wypisywane na piernikowych sercach były często swoistą, ludową poezją pisaną w gwarze wileńskiej, jak na przykład :

„Weronisia , moja życia
daj mi igła, daj mi nicia,
a ja wezma serca swoja
i przyszyja tam, gdzie twoja !"

Ulica Świętojańska

WILNO

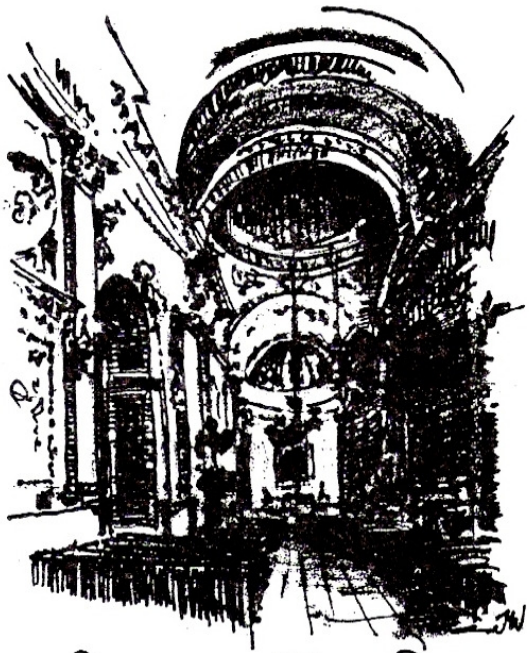

Wnętrze kościoła Piotra i Pawła

Brama klasztoru bazylianów

WILNO

Archikatedra

Do innych, wartych przytoczenia, tradycji i obyczajów wileńskich należało wyjątkowo uroczyste obchodzenie Świąt Wielkanocy. W masowym, obowiązkowym odwiedzaniu w kościołach Grobów Pańskich prym wiodła młodzież. Rywalizowaliśmy ze sobą, kto odwiedzi ich więcej, a potem trwały żywe dyskusje, który z Grobów był najpiękniej udekorowany.

W kościołach bardzo podniośle odbywało się święcenie jaj i ciast świątecznych. My młodzi, bezwarunkowo braliśmy udział w malowaniu pisanek oraz przygotowywaniu zielonego owsa, na którym umieszczany był cukrowy baranek z biało czerwoną chorągiewką.

Ze Świętami wiązała się popularna na Wileńszczyźnie gra zwana toczeniem jajek, której zwłaszcza my chłopcy z ochotą się oddawaliśmy. „Kaczanie jaj", jak się mówiło po wileńsku polegało z grubsza na puszczaniu jajek z niewielkiej pochylni, zwykle dachówki, w taki sposób by trafić w jajo przeciwnika - oznaczało to wygranie go na własność.

Permanentną sprawą ciągnącą się od wielu lat w Wilnie były kontrowersje i kłótnie na temat pomnika Adama Mickiewicza. Temat ten nie schodził z łam gazet i czasopism.

Już w roku 1924 ustawiono nad Wilią, w rejonie ujścia Wilenki, drewnianą makietę pomnika według projektu Zb. Pronaszki. Kilkunastometrowa postać wieszcza przedstawiona w sposób kubistyczny wywołała z miejsca szereg protestów. To, że pomnik ten robił jakieś nieprzyjemne wrażenie mieliśmy możność przekonać się na własne oczy. W potężnej i kanciastej postaci, pomalowanej na zielono, trudno się było dopatrzyć jakichkolwiek rysów czy wyrazu twarzy. W dodatku brak cokołu i niefortunne usytuowanie sprawiały nieprzyjemny widok.

Być może dzisiaj taki niezwykły, futurystyczny monument spotkałby się z bardziej życzliwą opinią społeczeństwa.

Tak czy owak zdania były podzielone zwłaszcza, że w wyniku konkursu 1932 r. pojawił się inny projekt A. Kuny. Cały spór przypominał nieco słynne kłótnie i zwady na temat pomnika Chopina w Warszawie i jego niecodziennej, romantycznej kompozycji.

W rezultacie do czasów wojny żaden z projektów pomnika Mickiewicza nie został zrealizowany.

Wielkim i doniosłym wydarzeniem wileńskim było przeniesienie urny z sercem marszałka J. Piłsudskiego do mauzoleum na cmentarzu Rossa. Uroczystość odbyła się 12 maja 1936 roku.

Już rok wcześniej śmierć Marszałka była smutnym przeżyciem nie tylko dla nas Wilnian, ale dla całego polskiego społeczeństwa. Jednak dla Wilna ten symboliczny pogrzeb miał szczególne znaczenie poprzez wyjątkowo bliskie więzy uczuciowe Piłsudskiego z miastem.

W tej uroczystości pogrzebowej brałem poniekąd czynny udział, występując w poczcie sztandarowym naszej szkoły. Nie zapomnę jak pięknie i bogato przystrojone było wtedy całe miasto. Na całej trasie konduktu widniały olbrzymie, pionowe flagi zawieszone na specjalnych słupach o barwach na przemian biało-czerwonych i niebiesko-biało-czarnych, symbolizujących wstęgę Orderu Virtuti Militari. Flagowe słupy zostały zwieńczone polskimi orłami.

W żałobnym pochodzie, oprócz bardzo licznego wojska uczestniczyły sztandary i delegacje wszystkich większych organizacji i stowarzyszeń. Na wszystkich ulicach, którymi podążał pochód z Sercem Marszałka zgromadził się nieprzebrany ludzki tłum.

U wejścia na cmentarz, wśród mogił żołnierzy poległych w walkach o Wilno, umieszczono grobowiec, na którym, zgodnie z życzeniem zmarłego, obok prochów matki pochowano jego serce w srebrnej urnie. Matka bowiem, jak mawiał była mu największym bohaterem – patriotą. To ona właśnie przygotowywała go do działania.

Na marmurowej, czarnej płycie pod napisem „Matka i Serce Syna" wyryto znamienny cytat ze Słowackiego :

„Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła, niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu
I słychać jęk szatanów w sosen szumie
Tak żyłem ..."

Na marginesie chciałbym dodać, że z osobą Marszałka wiąże się sprawa pośmiertnego badania jego mózgu w Instytucie na ul. Letniej. Badania te miały na celu ewentualne wykazanie, czy mózg ten posiada jakieś szczególne cechy świadczące o jego sprawności. Praca, w której osobiście brał udział mój ojciec, nie została niestety zakończona, tak ze względu na przedwczesną śmierć prof. Rosego, jak i na skutek zbliżającej się wojny.

O Józefie Piłsudskim, spadkobiercy dawnej tradycji powstańczej, wielkim mężu stanu, a szczególnie o jego polityce wschodniej, będę jeszcze osobno mówił na kartach tych spotkań z przeszłością.

Opisując niezwykłą uroczystość na Rossie, trzeba przypomnieć, że cmentarz ten jest największą i najwspanialszą nekropolią wileńską. Cudownie położony w gęsto zalesionym, pagórkowatym i pofałdowanym terenie został założony w 1769 r., przez co jest jeszcze starszy od warszawskich Powązek. Poeta pisał :

„Wileńskie cmentarze mają pejzaż gór,
umarli tu jeden ponad drugim leżą."

Z wybitniejszych postaci spoczywają tu szczątki m. in. J. Lelewela, Wł. Syrokomli, Fr. Smuglewicza, braci J. J. Śniadeckich, czy ojca J. Słowackiego, Euzebiusza. Tu też znajduje się grób mego ulubionego profesora z Tajnych Kompletów, Jerzego Ordy.

Tyle wybitnych nazwisk przedstawicieli polskiego świata kultury i nauki świadczy o ogromnej roli, jaką w ciągu wieków odegrało Wilno w sferze myśli, oświaty i twórczości.

Przyczynił się do tego przede wszystkim Uniwersytet Stefana Batorego, najstarszy i najznamienitszy zaraz po krakowskim. Chyba największy wpływ na oświatę i kulturę miał on na początku XIX wieku, kiedy to tworzył fundament pod ogólny triumf polskiej literatury i sztuki tego stulecia. Wielki reformator oświaty Stanisław Staszic głosił nawet :

„Jeśli światło nie zapaliłoby się w Wilnie, zgasłoby
w całej Europie."

W owym czasie do sławnej już uczelni przybywała młodzież nawet z zaboru pruskiego i austriackiego.

Profesorami Akademii były nie lada indywidualności, jak wspomniani już : Jan i Jędrzej Śniadeccy – wybitni uczeni polskiego oświecenia, Joachim Lelewel – historyk, autor pierwszej syntezy naszych dziejów i twórca historycznej myśli polskiej, czy Franciszek Smuglewicz – pierwszy narodowy malarz historyczny, założyciel wileńskiej szkoły malarstwa.

Uniwersytet prześladowany, ograniczany i zamykany przez rosyjskiego zaborcę, drugi swój okres świetności przeżywał dopiero w odrodzonym Państwie Polskim. Pierwszym jego powojennym rektorem był prof. Michał Siedlecki, wybitny zoolog i badacz fauny morskiej. W tym czasie wykładały też takie sławy jak : Władysław Tatarkiewicz, Marian Zdziechowski, Konrad Górski, Ferdynand Ruszczyc, Julian Kłos, Kornel Michejda i dziesiątki innych znakomitych postaci. Większość z tych wybitnych Polaków zawłaszczyli sobie Litwini, przerabiając ich nazwiska na litewsko-brzmiące. Dlatego ktoś, kto nie zna polskiej historii tego miasta, może dziś sądzić, że są to wybitne postacie Litwinów.

Prawdziwą wielkość nadał Wilnu i ziemi wileńskiej Adam Mickiewicz. Głównie dzięki niemu miasto stało się kolebką polskiego romantyzmu. Tu mieszkał i tworzył, tu też w r.1822 ukazał się jego pierwszy tom poezji.

Z Wilnem związany był też ściśle Juliusz Słowacki, który studiował na tutejszym Uniwersytecie, a zarówno ojciec, jak i ojczym Becu, byli profesorami tej uczelni. Nota bene, przez pewien czas studiował tu także Zygmunt Krasiński.

Wilno nie przypadkowo ukształtowało największych naszych wieszczów romantycznych. Tu właśnie w latach 20-tych XIX w. o wiele wcześniej i ostrzej odczuwano upadek starego porządku i kryzys wieku oświecenia. Wobec cierpienia narodu racjonalistyczne idee nie zdawały egzaminu. Wileńska młodzież poza tym pierwsza odczuła okrutne rosyjskie prześladowania -

„Zły car kazał ich wszystkich do ciemnicy wsadzić
I jak Herod chce całe pokolenie zgładzić"

„III Część Dziadów", z której pochodzi cytat, to rodzaj dokumentu zbrodni popełnionej na wileńskiej młodzieży. To właśnie wrażliwość poety na rosyjski ucisk stworzyła to nieśmiertelne arcydzieło dedykowane „Spółuczniom, spółwięźniom i spółwygnańcom za miłość ku Ojczyźnie prześladowanym."

O „Dziadach" George Sand wyraziła się kiedyś, że od czasów Starego Testamentu nikt z równą siłą nie opowiedział wydarzenia tak wielkiego, jak upadek narodu.

„Dziady", jedno z najwznioślejszych wzlotów polskiej romantyki są również związane z Wilnem poprzez istniejącą tu, legendarną i słynną Celę Konrada. Znajduje się ona w położonym nie opodal Ostrej Bramy prawosławnym Klasztorze Bazylianów i była odwiedzana zawsze z wielkim zainteresowaniem przez rzesze turystów.

Nie zapomnę wielkiego wzruszenia, jakie mnie ogarnęło, kiedy jako rozkochany w poezji licealista byłem tam pierwszy raz. Wydawało się jakby w tych murach grzmiały jeszcze światoburcze słowa potężnej Improwizacji, w której Konrad buntuje się przeciw Stwórcy świata pełnego chaosu, bezprawia, krzywdy i cierpienia. Zadaje dramatyczne i odwieczne pytanie : dlaczego Bóg dopuszcza do takiej niesprawiedliwości, dlaczego ludzie muszą tak cierpieć i czy to cierpienie ma jakiś sens, czy też jest tylko grą przypadku ?

Niezwykły nastrój tego pomieszczenia sprawił, że Cela Konrada prawie przez cały okres niepodległego państwa, a podobno i obecnie, była również miejscem tzw. „Śród Literackich", na których poeci i pisarze prezentowali swoje utwory. Inteligencja wileńska brała liczny udział w tych spotkaniach, bywali tam też często moi rodzice.

Kontynuując motyw mickiewiczowski warto przypomnieć, że nie tylko w „Dziadach", ale i w „Panu Tadeuszu" wieszcz wiele razy nawiązuje do Wilna, jak choćby w następującym, przepięknym fragmencie :

„Rówienniki litewskich wielkich kniaziów drzewa
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa,
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy
I Gedymina, kiedy na Ponarskiej górze
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi."

4. Wilno - lata 1938 - 1939

W roku 1938, po ukończeniu powszechniaka i przejściu przez specjalny egzamin, stałem się gimnazjalistą. Było to dla mnie wielkie wydarzenie oraz poważny i znaczący krok

w wymarzoną dorosłość. Powoli ze względnie ładnego chłopaka wykluwał się nieco niezgrabny i niezbyt ciekawy wyrostek. Te niedoskonałości fizyczne rekompensował mi na szczęście stopniowy rozwój umysłowy. Otaczający mnie świat stawał się bardziej ciekawy, a przebywając coraz częściej wśród dorosłych nabierałem ogłady i pewności siebie.

Miejscem, które od czasu do czasu odwiedzałem wraz z rodzicami była kawiarnia Rudnickiego. Pewne kręgi wileńskiej inteligencji od wielu lat upatrzyły sobie tę kawiarnię, znajdującą się na rogu Placu Katedralnego i ul. Mickiewicza, za miejsce spotkań. W tym miłym lokalu przy dobrej orkiestrze i równie dobrej obsłudze spotykali się przeważnie literaci, lekarze i adwokaci.

Od paru lat wieczorami moi rodzice byli tu niemal stałymi bywalcami. Na kawiarnianym forum przeglądało się aktualną prasę i czasopisma, słuchało się dobrej muzyki, omawiało ze znajomymi bieżące wydarzenia, a przede wszystkim można było pożartować i pośmiać się oraz poplotkować o bliźnich. Ale, jak można się było tego spodziewać, coraz częstszym tematem była tu polityka.

Początkowo w cukierni bywałem na lodach i ciastkach okazyjnie, przeważnie w dni świąteczne. Później zabierano mnie czasem popołudniami. Każdy taki kawiarniany seans, co w moim wieku było zrozumiałe, był dużym przeżyciem i sporą frajdą. Największą przyjemność sprawiały mi opowiadane przez dorosłych anegdotki i kawały, słuchanie orkiestry i przeglądanie ilustrowanych czasopism. Mimo woli jednak coraz bardziej wciągały mnie i interesowały komentarze odnośnie naszego zagrożenia przez III Rzeszę. Najwięcej mówiło się o Hitlerze i niemieckim totalitaryzmie. Wówczas jeszcze nie bardzo rozumiałem znaczenia pewnych słów. Na ogół jednak ton dyskusji bywał optymistyczny a nawet nieraz żartobliwy. Pamiętam jeden z dowcipów, jaki tam opowiadano : „Jaka jest różnica między Kossakiem a Hitlerem? – Kossak to malarz wojenny, Hitler zaś to malarz pokojowy."

Komplikująca się sytuacja polityczna Europy powodowała, że codzienna prasa miała coraz większe powodzenie. Prasę reprezentowały trzy główne tytuły : „Dziennik Wileński", „Kurier Wileński" oraz „Słowo". Redaktorem naczelnym tego ostatniego był Stanisław Cat-Mackiewicz, konserwatywny ideolog, jeden z najwybitniejszych polskich publicystów XX wieku. Pisał on też liczne eseje historyczne i literackie. Po wojnie w latach 1954 – 55 był premierem Rządu Polskiego na Uchodźstwie. Z pismem tym współpracowało wiele znakomitych piór, między innymi Ksawery Pruszyński, czy Melchior Wańkowicz.

W domu naszym prenumerowaliśmy tę gazetę, która obok radia dawała obszerny przegląd aktualnych wiadomości światowych, krajowych a głównie z rodzinnego wileńskiego podwórka.

W tym czasie wiele aktualnych „ploteczek" dostarczało już wtedy spore, grono przyjaciół i znajomych, z których wielu bywało stałymi gośćmi w naszym domu. W tym miejscu wspomnę tylko o zaskakującym spotkaniu mojej matki z byłym kolegą ze studiów dziadka Morawieckiego – prof. Wileńskiej ASP, Gadomskim. Był to znakomity malarz, głównie portrecista, z którym utrzymywaliśmy dłuższą znajomość. Dla mnie wielką radością były wizyty u niego w pracowni na ul. Zamkowej, gdzie pokazywał nam swoje bieżące prace.

Mój nowy, wyższy stopień edukacji rozpocząłem w gimnazjum im. Adama Mickiewicza. Najbardziej imponowało mi noszenie obowiązkowego, granatowego mundurka z niebieską tarczą na lewym ramieniu i gimnazjalną czapką z daszkiem. Pożegnałem się też z tornistrem, którego tak poważnemu uczniowi nie wypadało już nosić. Wszystko to razem dodawało mi powagi i splendoru oraz pozwalało czuć się bardziej dorosłym.

Gimnazjum, wraz z połączonym bliźniaczym gimnazjum im. J. Słowackiego, mieściło się przy ul. Dominikańskiej, w dawnych budynkach pijarskiego klasztoru. Ulica ta była przedłużeniem ul. Świętojańskiej, przy której u zbiegu z ul. Zamkową wznosił się okazały, późnobarokowy kościół św. Jana z wolnostojącą, wysoką dzwonnicą. Budowla ta wybijała się

wyraźnie w całej sylwecie miasta. Przy kościele, którego założycielem był Władysław Jagiełło znajdowały się zabudowania Uniwersytetu powstałego z dawnego jezuickiego Kolegium.

Niezwykle silny i aktywny zakon jezuitów wzniósł również jedną z najwspanialszych świątyń wileńskich. Jest nią potężny, barokowy kościół św. Kazimierza z początku XVII w. z majestatyczną kopułą i niezwykle bogatym wystrojem wnętrza.

W okresie gimnazjalnym moja piesza trasa na ul. Dominikańską prowadziła przez dzielnicę Zarzecze. Przechodząc przez mostek na rzece Wilence, po prawej stronie mijało się placyk z trzema zabytkowymi kościołami. Nad tym zespołem górował zbudowany z czerwonej cegły, w gotyckim stylu obronnym, duży kościół Bernardynów z oryginalną gotycką dzwonnicą w kształcie wieży.

Obok, niemal bezpośrednio przytulony do niego, zachwycał swym niecodziennym pięknem bogatego frontonu mały kościółek św. Anny. Budowla wzniesiona z cegły w stylu późnego gotyku, zwanego „płomienistym", zaliczana jest do najcenniejszych zabytków europejskich i odznacza się wyjątkową wirtuozerią i wytwornością formy. Jak powiada legenda, ta perła XVI-wiecznej architektury tak zachwyciła swym wdziękiem i lekkością Napoleona, że chciał ją koniecznie zabrać do Francji.

Po przeciwległej stronie obu wspomnianych budowli znajdował się poklasztorny kościół św. Michała, fundacji Sapiehów, z licznymi grobami i grobowcami tej magnackiej rodziny. Kościół ten słynie zarówno z cudownego obrazu Matki Boskiej, jak i z tragicznych dziejów. W 1655 r. Kozacy wymordowali przebywające tu zakonnice wraz z dużą ilością wiernych, plądrując i rabując doszczętnie przy tym kościół.

W podziemiach przy szczątkach bestialsko zamordowanej siostry przełożonej można odczytać złowrogi napis : „Umęczona przez dzicz moskiewską".

Po wybuchu wojny, kiedy musieliśmy opuścić nasze lokum na Letniej i zamieszkać na Zarzeczu, często chodziliśmy w niedzielę do Bernardynów. O dzwonach tych kościołów wzywających na modlitwę, a których dźwięk wyraźnie był słyszany w naszym domu, pięknie pisała wileńska poetka Z. Bogdanowiczowa :

„ I grały trzy kościoły w blask dnia obleczone,
Jak szczęśliwego Wilna trzy harfy natchnione..."

Wilno, podobnie jak Warszawa, miało swoje Stare Miasto, miało ono jednak zdecydowanie inny charakter. Zaczynało się od Placu Katedralnego, a kończyło na Ostrej Bramie. Jego główną oś tworzyły ulice Zamkowa, Wielka i Ostrobramska.

Istotą tej Starówki była gęsta, pokręcona i powyginana sieć wąskich uliczek i zaułków, często z charakterystycznymi arkadami przerzuconymi górą pomiędzy domami. Domy były tu skromne, niekiedy krzywe i powykręcane od starości, obsypane liszajem wilgotnych, odpadających tynków i jakby odwrócone frontem od uliczek. W pogodny, słoneczny dzień gra cieni i światła w tych zaułkach czarowała swym romantyzmem i niezwykłą malowniczością. W jednym z takich urokliwych zaułków, zwanym Bernardyńskim, mieszkał i tworzył kiedyś Adam Mickiewicz.

Chciałbym prosić o wybaczenie, że rozpisuję się o Wilnie, może nazbyt obszernie. Miałem jednak na względzie to, że miasto to, choć na wskroś polskie, znajduje się dziś poza naszymi granicami. Warto więc chyba ożywić i utrwalić o nim nieco głębszą pamięć tych, co przyjdą po nas.

Tak mijał czas w tym pięknym i romantycznym mieście, a wraz z nim moje młode lata. Nadchodziła zawierucha wojenna. Odchodzący świat chłopięcy tracił powoli swą ostrość, zanurzając się coraz bardziej w pyle niepamięci.

Dziś jeszcze, jak we śnie, czuję zapach tych ulic, widzę mrok zaułków i słyszę nawoływanie przekupniów oraz stukot końskich kopyt po nierównym bruku. Uleciał gdzieś, dziś już nieistniejący, tamten podwórkowy światek pełen różnych, cudownych orkiestr, którym rzucało się zawinięty w papierek bilon, kataryniarzy z papugami i małpkami cudacznie ubranymi oraz snopami złotych iskier, jakie wyczarowywali ostrzacze noży. Gdzieś jeszcze odzywa się zamierające echo nawoływań podwórkowych handlarzy :

„Garnki drutuję ! Ziemia do kwiatów ! Szmaty ! Butelki kupuję! - Handełe, handełe !"

„Wszystko płynie i wszystko się zmienia" - tak więc i z wiekiem zmieniały się też moje zainteresowania. Przyszła, własna, osobowość ciągle rozwijała się i kształtowała. Tkwiące gdzieś głęboko pierwiastki uczuciowości i wrażliwości potęgowały zaciekawienie malarstwem, poezją i muzyką.

Otaczająca mnie atmosfera domowa rozbudzała zamiłowanie do ojczystych dziejów i uczuciowy stosunek do przeszłości. Pojawiło się pragnienie poznania i wiedzy, ta ciekawość i niecierpliwość ułatwiała naukę i sprawiła, że zacząłem dużo czytać.

Duża doza wrodzonego, naiwnego romantyzmu łączyła się równocześnie z usposobieniem żywym, naturą namiętną i charakterem pełnym optymizmu i humoru. Ważnym motorem postępowania była rodząca się ambicja, pragnienie imponowania niemal w każdej dziedzinie. Dużą rolę zaczęła tu odgrywać chęć podobania się dziewczętom.

Równocześnie jednak, jako wychuchanemu jedynakowi brakowało mi obrotności, samodzielności, sprytu i zarówno jakiegoś realistycznego oparcia, jak i zwykłej, codziennej praktyczności.

Nadchodziły czasy, dla których te cechy nie były niestety najlepszym prognostykiem.

5. Polska międzywojenna

Podczas gdy fale procesów historycznych unosiły nas bez naszej wiedzy, Wilno, podobnie zresztą jak cały odrodzony kraj, borykało się z trudnościami budowania niepodległej państwowości. Wiedzieliśmy jak ciężkie to zadanie po wiekowej niewoli oraz wyniszczeniu biologicznym i gospodarczym I wojną światową i wojną bolszewicką.

Podobnie, jak w uzyskaniu państwowości oraz rozbudzaniu świadomości narodowej, tak i tu inteligencja polska odegrała wyjątkową rolę. To ona teraz stała się przodującą warstwą społeczną w nowym państwie. Los sprawił, że właśnie moja rodzina miała to szczęście i ten zaszczyt przynależności do tej wiodącej grupy.

Po historycznej katastrofie pierwszej wojny, stabilny dotąd świat odchodził w przeszłość. Rozpad wielkich mocarstw spowodował odradzanie się młodych narodów. Z kolei załamanie się pojęć i poważny kryzys gospodarczy lat 30-tych doprowadziły do powstania i rozprzestrzeniania się ruchów komunistycznych oraz rozwoju idei totalitarno-faszystowskich.

Znany już powszechnie masowy udział Żydów w światowym komunizmie stał się przyczyną sporadycznych antyżydowskich reakcji prawicowych ugrupowań. Sami byliśmy świadkami tego rodzaju zachowań, zwłaszcza wśród młodzieży akademickiej.

Tego rodzaju manifestacje antyżydowskie sam miałem okazję obserwować w Wilnie. Studenckie korporacje, poza nielicznymi ekscesami z użyciem siły, głosiły przede wszystkim gospodarczy bojkot Żydów. Głoszono hasła: „Nie kupuj u Żyda!" Zdarzały się wypadki

przyczepiania na plecach klientom wychodzącym z żydowskich sklepów kartek z napisem: „Ta świnia kupuje u Żyda".

Mówiąc dalej o obywatelach pochodzenia żydowskiego, muszę zaznaczyć, że w przedwojennym, wolnym Państwie Polskim stosunek do Żydów był zróżnicowany. Jeżeli występowało czasami antysemickie nastawienie, to miało ono charakter bardziej ekonomiczny, a nie rasowy. Żydzi, mimo że mieli w Polsce własne szkoły, bożnice, synagogi, mieli swoje pisma i gazety, teatry, kluby sportowe i stowarzyszenia oraz mieli swoich przedstawicieli w sejmie, czuli się poniżani i dyskryminowani, podkreślając na każdym kroku swoją do nas wrogość.

Rzeczywiście, niektórzy działacze II Rzeczpospolitej usiłowali uczynić z Żydów obywateli 2-giej kategorii i pozbawić ich pewnych praw politycznych. Uważali, że skoro są tak zamknięci w swoim środowisku i nie obchodzą ich losy ziemi i kraju, w którym żyją. to nie powinni o nim decydować.

Izolacjonizm polskiego żydostwa widoczny był powszechnie i wszędzie. W Polsce międzywojennej działało wiele partii żydowskich. Niektóre z nich wyraźnie dążyły do uzyskania w Polsce własnej autonomii. Ponadto większość z nich miała najpierw prorosyjskie, a potem prosowieckie i prokomunistyczne nastawienie, na skutek czego w istocie rzeczy były wrogie Państwu Polskiemu.

Chciałbym też przypomnieć, że Żydzi stanowili wówczas w Polsce olbrzymi odsetek ludności. Było ich 3,5 miliona, tj. 10%, a w miastach około 30%, a trzeba dodać, że napływały ciągle nowe rzesze Żydów prześladowanych przez hitleryzm.

W Wilnie było wyjątkowo dużo Żydów. Jeżeli uświadomimy sobie, że w 1939 r. na około 210 000 mieszkańców było ich prawie 70 000, a więc co trzeci Wilnianin był Żydem, w dodatku Żydem w dużej większości wyobcowanym oraz wrogim wierze katolickiej i Polakom, pojmiemy jakim poważnym problemem było to odmienne środowisko w naszym wzajemnym współistnieniu. Dlatego też problematykę tę będę jeszcze poruszał w osobnym rozdziale

Pojawienie się na arenie europejskiej faszystowskich Włoch Mussoliniego, hitlerowskiej III Rzeszy, a przede wszystkim totalitarnej Rosji Sowieckiej zmieniło realia polityczne w tej części świata. Polska znowu znalazła się w najniebezpieczniejszym miejscu Europy, pomiędzy dwoma totalitarnymi potęgami.

W dodatku słaba gospodarka, o czym już wspominałem, nie pozwalała na dostateczną modernizację i dozbrojenie wojska. Korpus oficerski stanowił mozaikę trzech armii zaborczych, co powodowało różnego rodzaju tarcia i konflikty. W tych warunkach scementowanie armii było bardzo trudne i długotrwałe

Do kłopotów obronnych dołączyły wewnętrzne trudności społeczno-polityczne. Mieliśmy zakorzeniony nawyk opozycji. Scena polityczna składała się z wielu skłóconych ze sobą partii i ugrupowań. Odżyły szlacheckie kłótnie i swary, a polska demokracja była skorumpowana, rozlazła i niezdyscyplinowana. Panowała bieda i bezrobocie. Handel pozbawiony tradycji narodowych był niemal całkowicie w rękach żydowskich, a przemysłem zawładnął w dużej mierze obcy kapitał. Chłop polski był ubogi i zacofany.

Wyniszczony kraj mógł tylko śnić o potędze i szklanych domach. Społeczeństwo na skutek wiekowej zależności i bierności nie było przygotowane do myślenia kategoriami państwowymi. Na domiar złego w latach 1929-33 dotknął nas dodatkowo wielki kryzys światowy. Dla słabej polskiej gospodarki był on szczególnie wyniszczający. Te wszystkie trudności były w mojej rodzinie szeroko omawiane i komentowane. Między innymi ojciec, jak mi po latach opowiadał, nie mógł zrozumieć co się właściwie stało. Dla zwykłych ludzi zjawisko kryzysu było całkowicie niezrozumiałe.

Nastroje niezadowolenia i narzekania wykorzystywane były przez wrogów i opozycję. Po oczekiwanym przez pokolenia zwycięstwie pojawił się znany syndrom rozczarowania, frustracji i wyolbrzymiania zjawisk negatywnych. Nasuwa się tu jakże ciekawa analogia z okresu po 1989 roku. Jestem przekonany, że w jednym i drugim wypadku zadziałała tu również nasza skłonność do narzekania, bowiem ludzie zawsze silniej odbierają negatywne skutki ustroju, niż pozytywne.

W tych warunkach i w tak krótkim czasie, trzeba uznać za cud, że niepodległy kraj wyszedł szybko na prostą, a wszystko zaczęło współdziałać i grać. Oto Polacy, zdolni jakoby tylko do romantycznych porywów i nierealnych marzeń potrafili odbudować polską państwowość, zintegrować trzy zabory, umocnić świadomość narodową i wznieść się na wyżyny realnego, pragmatycznego działania.

To była wielka zasługa tego, przecież krótkiego, międzywojennego okresu.

Postępująca, choć trudna stabilizacja dokonała również błyskawicznej regeneracji biologicznej narodu. Przyrost naturalny w ciągu 20 lat zwiększył liczebność ludności z 24 do 35 milionów.

Jednak najbardziej zaskakujący i obiecujący był niesłychany rozwój sfery kulturalno – naukowej. Już w końcu XIX wieku nastąpił ogromny rozwój polskiej kultury, zwłaszcza literatury i malarstwa. Dowodził on, że po stu latach niewoli pozostaliśmy społeczeństwem jeszcze bardziej kochającym swój kraj oraz jeszcze bardziej przywiązanym do swej kultury, wiary, języka i narodowych wspomnień.

Nic więc dziwnego, że teraz nastąpiła eksplozja wszelkiego rodzaju talentów. Pojawiło się całe pokolenie znakomitych myślicieli i uczonych. Staliśmy się jednym z głównych ośrodków filozoficznych i matematycznych w Europie. Nastąpił bogaty rozwój życia kulturalnego, nauk humanistycznych i twórczości.

Rozkwit twórczej działalności zapowiadało już pokolenie Młodej Polski, za swym bogatym, oryginalnym i dynamicznym okresem w sztuce.

Tragiczne w swej wymowie samobójstwo St. Ignacego Witkiewicza, w znamiennym dniu 17 września 1939 roku, można uznać za symboliczny koniec tego pięknego i płodnego międzywojennego okresu.

Warty podkreślenia jest fakt, że jedne z najbardziej aktywnych okazały się środowiska kresowe z lwowskim i wileńskim na czele.

W drugiej połowie lat trzydziestych pojawiły się pierwsze symptomy nadciągającej wojny.

Podczas gdy o groźnym i tajemniczym, odseparowanym od świata imperium stalinowskim niewiele do nas docierało wiadomości, o tyle z rodzących się hitlerowskich Niemiec napływały coraz bardziej niepokojące wieści.

Już zaraz po objęciu władzy przez Hitlera, demonstracyjne wystąpienie Niemiec z Ligi Narodów było dowodem, że nie chcą się oni pogodzić z istniejącym po pierwszej wojnie porządkiem, a zwłaszcza z powstaniem niepodległego Państwa Polskiego. Hitler odbudowywał szybko armię i wzmagał polityczny terror. Powstały pierwsze obozy koncentracyjne.

Rok 1936 był rokiem przełomowym, wojska niemieckie przy biernej postawie Francji zajmują Nadrenię. Wybucha wojna domowa w Hiszpanii, gdzie angażują się w przeciwnych obozach Niemcy i Sowieci. Powstaje pakt antykominternowski Niemiec z Japonią, do którego w następnym roku przystępują faszystowskie Włochy.

Wspominając ten rok, chciałbym opisać niezwykle ciekawą i pouczającą wycieczkę, jaką wraz z rodzicami odbyłem w czasie wakacji na polskie wybrzeże. Na początek zwiedziliśmy Gdynię, która z niedawnej jeszcze małej wsi rybackiej rozwinęła się już wówczas we wspaniałe duże i piękne miasto portowe.

Najciekawszą jednak i zaskakującą część wycieczki stanowił Gdańsk. Okazało się, że chociaż prawnie było to Wolne Miasto, to w praktyce było niemal całkowicie podporządkowane hitlerowskiemu reżimowi. Już na punkcie granicznym przywitali nas niezbyt przyjaźnie celnicy i strażnicy w hitlerowskich mundurach z czarną swastyką na ramieniu. Również w samym mieście mogliśmy obserwować dużą ilość umundurowanych podobnie niemieckich funkcjonariuszy kroczących butnie po ulicach. Było to typowe dla reżimu hitlerowskiego, który charakteryzował się przede wszystkim pychą, arogancją i przesadnym poczuciem wyższości głównie na podłożu rasistowskim i cywilizacyjnym.

Ta buta przebijała w każdym ich ruchu i zdawała się być smutnym prognostykiem zwyrodnienia i moralnego upadku narodu niemieckiego. Hardość, megalomanię i silnie zarysowany nacjonalizm wyrażały też tu i tam widoczne hasła, jak „Jeden naród, jedna Rzesza, jeden Führer!", czy też „Wierzyć, słuchać i walczyć!" Można było też nie raz zauważyć używanie przez Niemców typowego pozdrowienia „Heil Hitler!" poprzedzonego charakterystycznym wyciągnięciem prawej dłoni.

O wrogim nastawieniu Niemców do nas mogliśmy się przekonać kiedy usłyszawszy, że mówimy po polsku, nie wpuszczono nas do kościoła N.M.P.

Po tym opisie, chyba nikogo nie zdziwi, że czuliśmy się tam jak w czysto niemieckim mieście. Ogarnął nas jakiś smutek i rozgoryczenie.

W dwa lata później sytuacja w Europie uległa gwałtownemu zaostrzeniu. Stukot podkutych butów Wehrmachtu rozlegał się coraz szerzej i głośniej, a wielkie manifestacje i parady wojskowe uzbrojonych po zęby hitlerowskich żołnierzy miały na celu zastraszenie Europy.

Po Nadrenii Hitler zagarnął Austrię i Czeskie Sudety. U nas staje się głośna sprawa Zaolzia, które Czesi zagarnęli wykorzystując wojnę z bolszewikami 1920 r., a które zostało teraz odzyskane przez polskie wojska. Sprawa miała też aspekt strategiczny, gdyż Polska obawiała się dodatkowego okrążenia przez Niemców od południa. Ponadto rząd nasz, twardo sprzeciwiający się terytorialnym roszczeniom hitlerowskim, a znający silną pozycję militarną Pragi, mógł mieć też uzasadnione pretensje do Czechów za kapitulancką postawę w Sudetach.

Agresja niemiecka na Polskę wisiała na włosku choć oficjalne źródła ciągle były pełne optymizmu. Groźbę nadchodzącej katastrofy najwcześniej przewidziało bogate, ustosunkowane żydostwo europejskie, które licznie emigrowało za ocean.

Z tym zjawiskiem zetknęliśmy się bezpośrednio, kiedy jeden z lekarzy pochodzenia semickiego zaproponował ojcu kupno swojego samochodu na bardzo korzystnych warunkach. Wyjaśnił, że wyjeżdża do Stanów, wyrażając jednocześnie swój niepokój i uprzedzając nas o nadchodzącym niebezpieczeństwie ze strony Niemiec.

Większość jednak naszego społeczeństwa nie wyczuwała zbliżającego się śmiertelnego zagrożenia. Jedynie sporadycznie niekiedy brzmiały słowa niektórych poetów. Wł. Sebyła pisał :

„Krzyczą tłumy szaleństwem wodzów zagrożone,
Wyje zwierz wypłoszony głodem z legowiska,
Nadchodzą noce ognia, dnie od krwi czerwone.
Pora, gdy skały pójdą w proch, już bliska ..."

A T. Bujnicki przepowiadał :

„Nie bój się burzy i słuchaj dobrych mych rad,
Bo przyjdzie czas, że sami... zburzymy ten świat.”

6. Józef Piłsudski

Przywołując na pamięć i rozważając temat przedwojennej Polski oraz trudności, wysiłki i sukcesy w budowie zrębów II-giej Rzeczpospolitej, nie mogę oczywiście pominąć chyba najważniejszej w tym procesie postaci, jaką był Józef Piłsudski.

Z nim to bowiem najgłębiej i najmocniej związani byli ideą walki o niepodległość nasi ojcowie. To w jego duchu umiłowania własnego kraju i w cieniu jego wielkości wychowywało się moje pokolenie. To on, wreszcie, zdawał się nieustannie przypominać nam młodym nieśmiertelne przesłanie Norwida :

„Ojczyzna to wielki, zbiorowy obowiązek.”

Mnie osobiście, dzisiaj, gdy spoglądam wstecz na wydarzenia ostatniej wojny, nasuwa się nieodparte pytanie, czy Piłsudski, gdyby żył, mógłby zmienić bieg jej wypadków. Czy takie gdybanie w ogóle ma jakiś sens ? - A jednak... Wiemy z doświadczenia, że wybitne jednostki często decydowały o dziejach tego świata. Nie jest więc wykluczone, że w wypadku Marszałka losy nasze mogły by się potoczyć nieco inaczej.

Znaliśmy dobrze jego życiorys i działalność niepodległościową, wiedzieliśmy więc że był przede wszystkim znawcą Wschodu. Znał Rosjan i wyczuwał ich zamiary niemal bezbłędnie. Wiedział doskonale do czego są zdolni i na pewno przewidziałby ich wrogą agresję na nasze wschodnie tereny w 1939 r.

I choć historia jest kapryśna i wielokrotnie zależy od przypadku, jak to się mówi od przysłowiowego nosa Kleopatry, to jednak korzeni jej zawsze należy szukać w przeszłości.

Większość historyków uważa, że II wojna światowa była konsekwencją pierwszej i wybuchła ze splotu antagonizmów między mocarstwami rywalizującymi o dominację w Europie.

Pierwsza zawierucha wojenna 1914 r., zwana też „Wojną Powszechną”, oczekiwana od dziesięcioleci, wytęskniona w marzeniach poetów oraz snach i modlitwach Polaków, dawała nam wreszcie realną nadzieję na niepodległość.

Zadziwiające, a jednocześnie niespodziewane było to, że wyśnionym ideałem, jak przewidywał Piłsudski, było wykończenie Rosji przez Niemcy, a z kolei Niemców i Austrię przez aliantów. - I tak się dokładnie stało.

Polacy w tej wojnie zapłacili za swoje przywiązanie do wolności morzem krwi, łez, zniszczeń, niedoli i ognia. W zaborach, wcielani siłą do wrogich armii, musieli występować przeciwko sobie. Ten tragizm pięknie wyraził w swym znanym wierszu, który niemal każdy z nas młodych znał na pamięć, E. Słoński :

„Rozdzielił nas mój bracie
Zły los i trzyma straż –
W dwóch wrogich sobie szańcach
Patrzymy sobie w twarz.
.....
A gdy mnie z dala ujrzysz
Od razu bierz na cel
I do polskiego serca
Moskiewską kulą strzel.

Bo wciąż na jawie widzę
I co noc mi się śni,
Że „Ta co nie zginęła”
Wyrośnie z naszej krwi.”

Trzeba przypomnieć, że w chwili wybuchu wojny ¾ obszaru etnicznej Polski znajdowało się pod władzą Rosji. Tylko z tych terenów do carskiego wojska zostało zmobilizowanych 1. 200 000 Polaków, a nasze ogólne straty wojenne w ludziach były prawie tak wielkie, jak w II wojnie światowej.

Rosyjskie i niemieckie mocarstwa wyniszczając się wzajemnie prześcigały się w umizgach, celem pozyskania sympatii Polaków. Tymi poczynaniami bezwiednie zapoczątkowano międzynarodową dyskusję o „sprawie polskiej”, zakończoną w 1918 r. znaną deklaracją prezydenta Wilsona o konieczności utworzenia niezawisłego Państwa Polskiego.

Józef Piłsudski, jako nie tylko działacz niepodległościowy czy żołnierz, ale ponad wszystko jako doskonały polityk, obserwował bacznie tę scenę polityczną i wyciągał z niej wnioski. Dobrze rozumiał, że słabej Polski nie stać na konflikt z dwoma potężnymi sąsiadami. Jego polityka była w zasadzie oparta na równowadze między Niemcami a ZSRR, jednak w Rosji upatrywał on naszego głównego wroga.

Jako klasyczny kresowiak był zwolennikiem jagiellońskiej koncepcji naszych ziem wschodnich i widział Polskę jako silne, wielonarodowe państwo. Chciał osłabić Rosję poprzez sformowanie antyrosyjskiego bloku, tworząc niepodległą Ukrainę i przekonując Litwinów do współpracy z nami.

Piłsudski, zdecydowany wróg Rosji, powtarzał : „Dusza Rosjanina jest przepełniona nienawiścią do każdego Polaka.” Utwierdzały go w tym poglądzie barbarzyńskie i zbrodnicze metody, jakie wobec Polaków stosowały na frontach najpierw wojska rosyjskie, a potem sowieckie.

Ze strony Rosji groził nam nie tylko nowy zabór, ale też destrukcyjny i obłędny komunizm, którego bał się panicznie cały cywilizowany świat. Bolszewicka idea światowej rewolucji sprzeczna była z naszym światopoglądem i polskimi koncepcjami polityki wschodniej.

Wydaje się, że ten pogląd podzielała większość Polaków, a zwłaszcza inteligencja z terenów wschodnich i dawnego zaboru rosyjskiego. Między innymi mój ojciec, zagorzały zwolennik Marszałka, powtarzał zawsze, jak jakieś prorocze przeczucie, że najgorszym naszym wrogiem jest bolszewizm.

Z problemów wewnętrznych najtrudniejszy był spór Piłsudskiego z Dmowskim. Dmowski, wielki Polak, przedstawiciel Narodowej Demokracji, liczył na przejęcie władzy przy pomocy wojsk Ententy i polskiej armii gen.Hallera utworzonej we Francji. Obaj politycy reprezentowali skrajne poglądy. Dmowski był kontynuatorem upokarzającej ugodowości z zaborcami i zwolennikiem metod dyplomatycznych. Głównego wroga upatrywał w Niemcach uważając, że zacofana Rosja nie jest groźna. Jednak mimo tych różnic, w chwilach zagrożenia niepodległości, obaj politycy potrafili się zawsze porozumieć.

Piłsudski był twórcą nie tylko niepodległej Polski i jej wojska, ale również polskiego parlamentaryzmu. Demokrata z przekonań w rekordowym czasie 3 miesięcy potrafił

doprowadzić do demokratycznych wyborów parlamentarnych, a w dwa lata później do uchwalenia konstytucji.

Naczelnik Państwa ubóstwiany przez wojsko, który tytuł Marszałka otrzymał za zwycięską wojnę w 1920 r., wśród polityków rozbudzał namiętności partyjne. Rozczarowany powojennym sejmowładztwem, korupcją, anarchią i rozzuchwaleniem się partii i stronnictw dbających tylko o własny interes, w roku 1923, kiedy już wielkie mocarstwa zaakceptowały granice Polski, zrzekł się wszystkich funkcji państwowych.

W następnych latach chaos parlamentarny, finansowy, superinflacja i wreszcie impas sejmowy pogłębiały niechęć Marszałka i jego oficerów do skłóconych polityków. W rezultacie zaowocowało to przewrotem majowym w 1926 r.

Lata 1926 – 1935, aż do śmierci Marszałka uważa się czasem za tzw. reżim sanacyjny. Niewątpliwie był to jakiś rodzaj rządów autorytarnych. Ale rządy jego nie miały ani dyktatorskiego, ani tym bardziej faszystowskiego zabarwienia. O ile wiem, to w tym czasie w większości powstałych państw Europy Środkowo-Wschodniej załamały się systemy demokratyczne. Na tym tle więc rządy Piłsudskiego należały do najłagodniejszych.

Oczywiście moi rodzice zdawali sobie sprawę, że świat, a zwłaszcza polityka nie bywa jednobarwna – były i momenty niechlubne, że wspomnę tu o aresztowaniu w 1930 r. kilkunastu posłów i osadzenie ich w słynnej Berezie, czy też głośne wydarzenie w Wilnie pobicia przez sanacyjnych oficerów redaktora St. Cywińskiego, które miało miejsce w 1938 r. Ten ostatni przykry incydent szczególnie przeżył ojciec, ponieważ w czasie swych służbowych obowiązków biegłego zetknął się przypadkowo z pobitym redaktorem w gabinecie lekarza więziennego na Łukiszkach.

W roku 1930, powstały z inicjatywy Piłsudskiego BBWR (Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem), zdobył w sejmie miażdżącą przewagę. Podobnie jak Marszałek, zdecydowana większość społeczeństwa popierającego ten Blok, dość miała kłótni partyjnych na forum parlamentu. Wiem, że zwolennikami tego rodzaju postawy od początku byli też moi rodzice.

Józef Piłsudski pod koniec życia, pomimo że nie zajmował oficjalnie wyższych urzędów, miał ogromny wpływ na politykę państwa. W życiu prywatnym był człowiekiem nad wyraz skromnym i mało wymagającym, a ze swojej wysokiej pozycji w kraju nie czerpał korzyści materialnych.

Dla mnie, kilkunastoletniego chłopca zakochanego w wojsku i wyrosłego w patriotycznym klimacie, postać Wodza Naczelnego Wojska Polskiego, powszechnie przez młodzież zwanego „Dziadkiem", była szczególnie droga i bliska. Tak dla mnie, jak i dla wszystkich był on legendarnym symbolem niepodległego czynu zbrojnego oraz uznanym powszechnie autorytetem.

Sądzę, że dzisiaj, po tragicznych doświadczeniach II wojny światowej, po 45-cio letnich rządach komunistycznych, jak również z uwagi na obecne bardzo dobre nasze stosunki z Niemcami, można jeszcze pełniej ocenić geniusz tego polityka i męża stanu. Zadziwiać może bowiem trafność jego poglądów jak i wizjonerski instynkt polityczny.

Jakże smutne było to, że przez pół wieku, właśnie w Polsce, w kraju który tak ukochał, ten człowiek był bezczeszczony, opluwany, a jego pamięć szargana i zakłamana przez plugawych służalców Moskwy.

Na koniec tych refleksji, jak gdyby w osobistym hołdzie dla tej historycznej postaci, nie mogę się powstrzymać od przytoczenia choćby kilku ostatnich strof wspaniałego wiersza

J. Lechonia pt. „Piłsudski”. Ten dość obszerny utwór zawsze pociągał mnie swoim poetyckim pięknem i podniosłym tematem, do tego stopnia, że kiedyś znałem go niemal cały na pamięć.

...” Aż nagle na katedrze zagrali trębacze !
Mariackim, zrazu cichym śpiewają kurantem,
A później, później bielą, później amarantem,
Później dzielą się bielą i krwią, i szaleństwem,
Wyrzucają z trąb radość i miłość z przekleństwem
I dławią się wzruszeniem i płakać nie mogą
I nie chrypią, lecz sypią w tłum radosną trwogą.
A ranek, mroźny ranek sypie w oczy świtem,
A konie ? Konie walą o ziemię kopytem.
Konnica ma rabaty pełne galanterii.
Lansiery – bohatery ! Czołem kawalerii !
Hej kwiaty na armaty ! Żołnierzom do dłoni !
Katedra oszalała. Ze wszystkich sił dzwoni,
Szeregi za szeregiem ! Sztandary ! Sztandary !
.....
A On mówić nie może ! Mundur na nim szary...”

7. Wilno - odrobina historii

Powracając do Wilna, „Miłego Miasta”, jak zwykł je nazywać Piłsudski, chciałbym jeszcze, choćby bardzo pobieżnie, sięgnąć do jego ciekawej i trudnej historii. Sądzę, że będzie to pożyteczne, a nawet niezbędne, zwłaszcza z uwagi na narastający w naszych czasach problem litewski i związany z tym stosunek Litwinów do Polaków.

Specyficzną historię Wilna określało przede wszystkim jego geograficzne położenie. Tak jak Lwów był wschodnią stolicą Polski, a Kraków południową, tak Wilno było jej północną metropolią.

Tu zaczynały się i rodziły pierwsze konflikty narodowościowe między Polakami, Litwinami, Rosjanami i Białorusinami. Właśnie tu miały swe korzenie późniejsze, a trwające aż po dzień dzisiejszy, trudne i napięte nasze stosunki z Litwą.

Jako nowo upieczeni Wilnianie staraliśmy się poznać i zainteresować bliżej burzliwymi dziejami tego sympatycznego miasta. Pamiętam, że głównym źródłem pisanym był dla nas wtedy przewodnik po Wilnie autorstwa prof. USB Juliusza Kłosa. Jako że po wojnie Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej wydało reprint tej arcyciekawej lektury, posłużę się nim w opisie kilku ważniejszych wydarzeń z historii tego grodu.

Wilno, założone przez księcia Gedymina około 1320 r. stało się stolicą Księstwa Litewskiego po przeniesieniu jej z pobliskich Trok. Od czasów Władysława Jagiełły już właściwie należało do Polski. Tu w końcu XIV w. odbył się chrzest Litwy.

W epoce Jagiellonów napływała do miasta znaczna ilość polskich księży, urzędników, dworzan, rzemieślników i kupców szerząc swą kulturę, wiarę i obyczaje. Kazimierz i Aleksander Jagiellończykowie tu mieli swoją stałą siedzibę. Złoty okres rozkwitu miasta nastąpił w drugiej połowie XVI w.

Kolejne pakty unijne Polski z Litwą, aż po Unię Lubelską, wzmacniały wpływy polskie, a urzędowy język ruski W.Ks.Litewskiego wypierany był stopniowo przez łacinę i język polski.

Szczególne klęski i nieszczęścia Wilno przeżyło w czasie potopu szwedzkiego. Najstraszniejszy był najazd wojsk moskiewskich, podczas którego miasto doszczętnie grabiono i palono, dokonując przy tym prawdziwej rzezi mieszkańców. W następnych latach znowu było plądrowane i niszczone na przemian przez Szwedów i Moskali.

Dopiero w drugiej połowie XVIII w.. za czasów Stanisława Augusta, dłuższy okres spokoju, żywotne Wilno wykorzystuje na wzmocnienie się poprzez rozwój handlu i przemysłu. Powstaje bogate mieszczaństwo oraz rozwija się budownictwo, oświata i kultura.

Ten względnie spokojny okres przerywa nowa wojna polsko rosyjska. Rosyjscy żołdacy po raz kolejny zajmują miasto. Nie pomaga Powstanie Kościuszkowskie, w którym polskie oddziały wileńskie tylko na krótko uzyskują powodzenie. Po kilkakrotnym szturmie Moskale opanowują Wilno i zaprowadzają rządy wojskowe.

Po trzecim rozbiorze Polski miasto na przeszło sto lat dostaje się pod panowanie Rosji. Następuje stopniowa jego degradacja .

Po krótkim epizodzie napoleońskim i po Kongresie Wiedeńskim, mimo nasilenia się carskich represji, Wilno staje się ważnym ośrodkiem nauki i kultury.

Trzeba przypomnieć, że w obu powstaniach, podobnie jak w insurekcji kościuszkowskiej, duża część Litwy wraz z Wilnem brała solidarny udział.

Kiedy powstanie styczniowe zostało tam krwawo stłumione, patriotyczna młodzież chcąca kontynuować walkę uchodziła przez granicę na Niemnie do Królestwa. Z tego okresu pochodzi popularna i wielokrotnie przez nas śpiewana pieśń powstańcza :

„Za Niemen hen precz
Koń gotów i zbroja
Dziewczyno ty moja
Ucałuj, daj miecz...
Za Niemen, za Niemen..."

Po powstaniach nastąpiło apogeum represji i prześladowania Polaków. Nie tylko jednak Rosjanie dawali się we znaki Wilnianom. W czasie I wojny światowej 3 letnia okupacja niemiecka była również jednym pasmem udręczeń i szykan wobec ludności polskiej.

Po opuszczeniu miasta przez Niemców, bolszewicy, po krótkiej walce z utworzoną naprędce Wileńską Samoobroną, zajęli Wilno. Wtedy to wysunęli koncepcję utworzenia Litewsko-Białoruskiej Republiki Radzieckiej. Trzeba bowiem przypomnieć, że władze carskie prowadziły politykę prolitewską roztaczając opiekę nad nowopowstałym nacjonalistycznym ruchem litewskim. Nastawiając Litwinów antypolsko, utworzono nawet fikcyjne państwo litewskie ze stolicą w Wilnie. W ten sposób podsycano jeszcze wzajemną niechęć Litwinów i Polaków.

Niepodległa już wtedy Polska szybko jednak wyzwoliła miasto. Stało się to w samą Wielkanoc 1919 r. To było prawdziwe Zmartwychwstanie, jak opowiadali nam zaprzyjaźnieni Wilnianie, wśród mieszkańców zapanował nieopisany entuzjazm, a dzwony wszystkich kościołów obwieszczały radość z odzyskania wolności po z górą 100 letniej niewoli.

Ale zaledwie po roku, temu miastu krwią i łzami przesiąkniętemu ponownie przyszło przeżyć nawałę bolszewicką. Bardzo szybko jednak po przegranej z Polską wojnie wycofali się z miasta przekazując je Litwie Kowieńskiej.

Korzystając z ustalonej przez Ententę tymczasowej przynależności Wilna do Litwy, Litwini rozpoczęli politykę restrykcji wobec polskiej ludności. Piłsudski, po fiasku rozmów z Litwinami w sprawie ewentualnej federacji obu państw, wybrał drogę „buntu wojskowego", dokonanego przez litewsko-białoruską dywizję gen. Lucjana Żeligowskiego.

W dniu 9 października 1920 roku, prawie bez rozlewu krwi, uwolniła ona miasto spod rządów litewskich, sprawiając ponowną wielką radość miejscowej ludności. Ponieważ jednak formalnie Wilno i kilka okolicznych powiatów nie należały do Polski, utworzono miniaturowe państewko pod nazwą „Litwa Środkowa".

Po dłuższych pertraktacjach dyplomatycznych na forum europejskim Ligi Narodów ustalono na styczeń 1922 roku wybory do sejmu na terenie całej Wileńszczyzny.

Wybrana Izba jednogłośnie postanowiła o przyłączeniu tych ziem do Polski. Wilno powróciło do Macierzy i rozpoczęło swój rozwój kulturalny i materialny.

8. Wileńszczyzna i podróże po kraju

W ciągu wielu lat naszej przygody wileńskiej, oczarowani pięknem i historią tego interesującego miasta, nie mogliśmy nie odwiedzić jego bliższych i dalszych okolic.

Przedwojenne Województwo Wileńskie, oprócz różnorodności etnicznej cechowało bardzo małe zaludnienie. Na obszarze 29.000 km2 zamieszkiwało zaledwie 1.200 000 ludzi. Wileńszczyzna, obszar styku wielu narodów była ziemią pojednania i zbliżenia kultur i religii. W tym wielowyznaniowym kraju oprócz katolików i prawosławnych, żyli też unici, luteranie, żydzi, kalwini, arianie i tatarscy mahometanie.

Bogata i burzliwa dziejowa przeszłość, duże niezamieszkane przestrzenie, inny pejzaż i koloryt, wszystko to nadało tym ziemiom odrębne, niepowtarzalne oblicze, jakiś nieodparty urok, atrakcyjną siłę i jakby inny oddech. Stanowiło też silny kontrast z ziemiami Małopolski, z której przybyliśmy.

Kresowy krajobraz z za Bugu opiewali liczni poeci , m.in. A. Mickiewicz pisał :

.....
„...do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych
szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,
do tych pól malowanych zbożem rozmaitem ..."

Niezrównany pejzaż tych ziem przenosili też na płótno malarze, a wielki fotografik Jan Bułhak uwiecznił go w unikalnych artystycznie zdjęciach.

I mnie, młodemu wtedy chłopcu, zapadał gdzieś głęboko w duszę obraz tych cudownych miejsc, które miałem szczęście widzieć i podziwiać podczas naszych turystycznych wojaży.

Najkrótszą ale atrakcyjną wycieczką była wyprawa statkiem w górę Wilii do oddalonych od miasta o 10 km Werek. W ciepłe, letnie dni wypływało się z położonej przy ul. Arsenalskiej przystani. Ze statku można było podziwiać po drodze dzikie, kręte i urwiste brzegi, porośnięte bujną zielenią. Po minięciu kościoła i klasztoru Trynitarzy w Trynopolu, dobijało się do celu. Znajdował się tam ciekawy zespół pałacowy położony w pięknym, starym parku. Z wysokiego stromego brzegu można było z tarasu widokowego podziwiać wijącą się fantastycznie w dole rzekę.

WILNO 1932-44

SCHEMAT PLANU

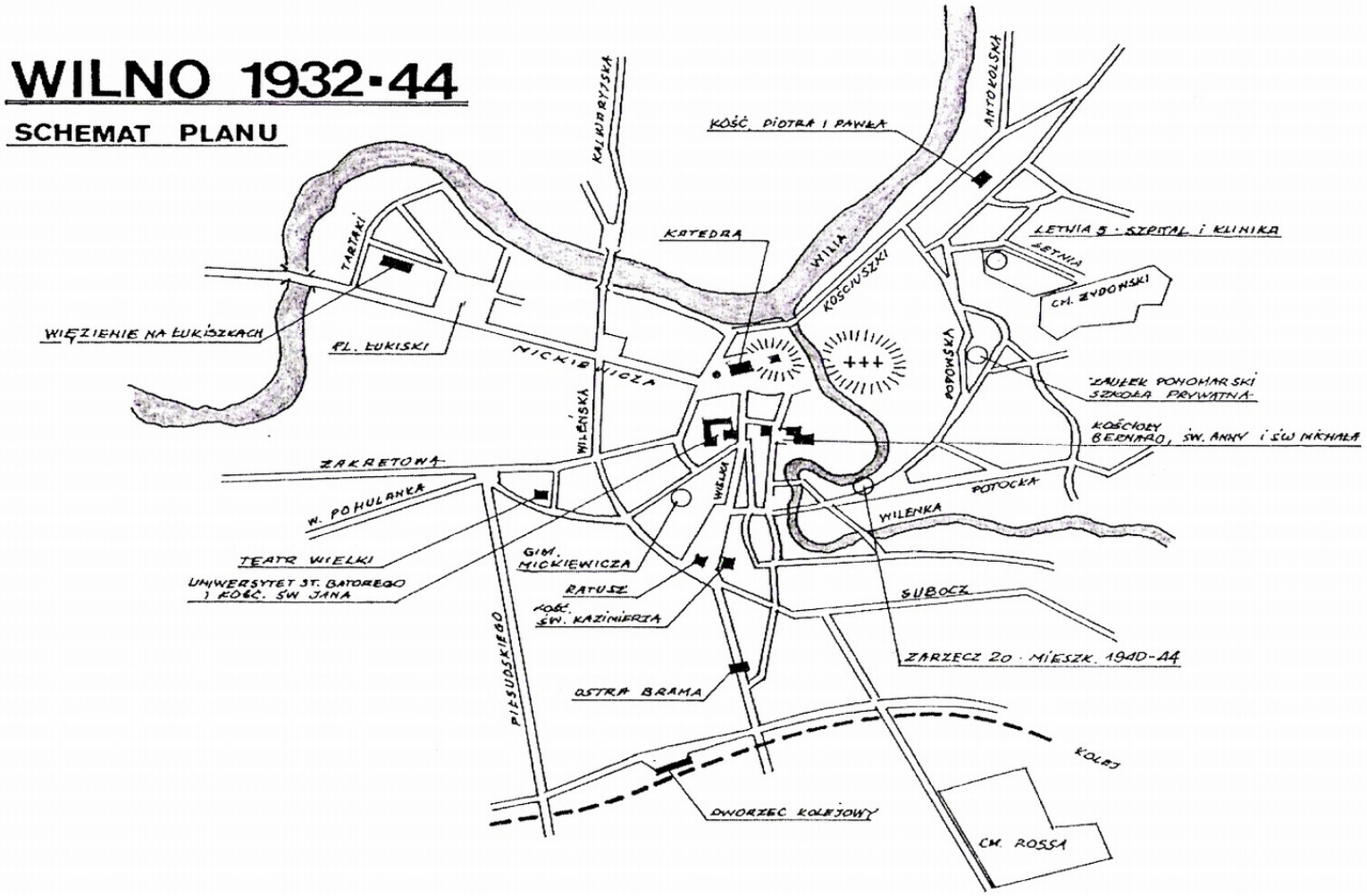

Najwspanialszym przeżyciem, jak pamiętam, była zawsze wyprawa do położonych 28 km od Wilna jezior trockich. Kompleks tych jezior zawdzięczał swą wyjątkową malowniczość licznym wysepkom gęsto porośniętych zielenią. Na jednej z nich znajdowały się urocze ruiny starego, dużego zamku średniowiecznego. Zamek na wyspie robił wrażenie jakiejś baśniowej budowli. Odbijająca się w tafli jeziora czerwień cegieł, przy błękicie wody i soczystej zieleni drzew, tworzyły niezapomniany widok.

Troki były niegdyś stolicą Księstwa Litewskiego, tu na zamku przebywali książęta litewscy. W pobliżu było miasteczko Troki, gdzie w jednym z kościołów znajdował się kiedyś cudowny obraz Matki Bożej, miejsce wielu pielgrzymek.

Muszę przyznać, że z jedną z takich wycieczek do Trok wiąże się pewne moje niemiłe wspomnienie. Tam bowiem wystąpiły u mnie pierwsze poważne objawy zapalenia płuc. Nie pisałbym o tym, gdyby nie to, że choroba okazała się niezwykle groźna i tylko jakimś cudem dzięki Boskiej Opatrzności zdołałem z tego wyjść z życiem.

Wracając do naszych turystycznych ekskursji, dużo pięknych wrażeń dostarczało nam, poza Trokami, odwiedzanie innych, znanych ze swego uroku, jezior Wileńszczyzny.

Najbliżej położony znajdował się piękny zakątek kryjący tzw. Zielone Jeziora. Usytuowane wśród sporych wzgórz pokrytych gęstym lasem, jeziora te zawdzięczały swą nazwę zielono-malachitowej barwie swych wód. Dzikość przyrody, jakby nie naruszonej od wieków przez człowieka, wraz z niezwykłą ciszą i bezruchem dodawały temu miejscu dziwnej tajemniczości.

Odmienne wrażenie wywarło na nas jezioro Narocz, oddalone od Wilna około 100 km na północny-wschód. W okresie międzywojennym było ono w Polsce największym jeziorem (ponad 80 km2). Olbrzymia płaszczyzna wody, ciągnąca się aż po horyzont, przypominała morze i przytłaczała swą wielkością. Piękny widok tworzyły białe żagle łodzi, które na tle ciemno granatowej toni jeziora wyglądały jak śnieżnobiałe mewy.

W latach 1938 – 39, już własnym samochodem, robiliśmy szereg dalszych wycieczek, między innymi do sąsiadującej z Wileńszczyzną Ziemi Nowogrodzkiej. Postanowiliśmy zwiedzić miejsca związane z Adamem Mickiewiczem, a więc od Nowogródka poprzez Czombrów, uważany za pierwowzór Soplicowa, aż po jezioro Świteź.

Nowogródek, miasto wojewódzkie, był prastarym grodem litewskim. Tu Jagiełło brał ślub z Zofią, księżną Holsztyńską. O świetnej przeszłości miasta świadczą liczne zabytki, jak choćby wyniosłe ruiny zamku książęcego, wspaniały kościół farny, czy klasztor benedyktynek z XVII wieku.

Dla nas najciekawsze były wtedy pamiątki mickiewiczowskie. W Nowogródku, przed cudownym wizerunkiem Matki Boskiej odbył się chrzest poety. Tutaj też w szkole dominikańskiej kształcił się w latach 1807 – 1815.

Odwiedziliśmy jeszcze dwa miejsca związane z wielkim wieszczem : Tuhanowicze koło Baranowicz, gdzie spotykał się z Marylą, oraz oczywiście słynne jezioro Świteź. Niestety nie było to przy świetle księżyca, jak spotykali się tam strzelec ze Świtezianką, ale i tak jezioro i jego okolice urzekły nas swym rzeczywistym, niepowtarzalnym i romantycznym urokiem.

Na ziemi Nowogródzkiej zwiedziliśmy jeszcze Lidę z ruinami XIV wiecznego zamku Gedymina, ważny ośrodek między Litwą a Rusią, oraz starą siedzibę Radziwiłłów, Nieśwież z potężnym zamkiem.

Bardzo ciekawe było zwiedzanie Grodna. Po drodze zahaczyliśmy o znaną na kresach miejscowość uzdrowiskową, Druskienniki – uznane za kurort jeszcze dekretem St.

Augusta Poniatowskiego. Byliśmy tu już wprawdzie poprzednio, kiedy to moi rodzice spędzali tu krótki urlop, zażywając leczniczych kąpieli borowinowych. Pamiętam, że piękny, ukwiecony park uzdrowiskowy był w dużej mierze miejscem spotkań inteligencji wileńskiej. Uzdrowisko miało bowiem stare, dobre tradycje, leczyli się tu m.in. Orzeszkowa, Moniuszko, Kraszewski i Piłsudski.

Grodno, duże, stare miasto nad Niemnem, założone jako gród warowny pod koniec XI w. na słynnym szlaku bursztynowym, urzeka swoim pięknem i bogatą historią. Nad miastem wznoszą się ruiny polskiego zamku z XIV wieku, rozbudowanego potem przez Kazimierza Jagiellończyka i Stefana Batorego. Ten ostatni tu właśnie zmarł w 1586 r. Tutaj, w roku 1793, odbył się ostatni Sejm wolnej Rzeczpospolitej.

We wrześniu 1939 r. gród ten wsławił się bohaterską walką z sowieckim agresorem. Trzeba też przypomnieć, że tutaj przez 40 lat mieszkała Eliza Orzeszkowa, autorka znanej powieści „Nad Niemnem".

Wiele z tych odwiedzanych przez nas miejscowości obecnie należy do Białorusi. Większość z nich są to dzisiaj brudne, biedne, cuchnące i bezludne miasteczka, gdzie jakby czas się zatrzymał. Z rzadka słyszy się tam polski język, a przecież były to miejscowości wyjątkowo polskie. Polacy stanowili zdecydowaną większość ludności.

To co się dzisiaj dzieje na naszych terenach zajętych przez Białoruś jest wynikiem długiego okresu zaborów a następnie półwiekowej, bezwzględnej rusyfikacji i sowietyzacji. W konsekwencji najbardziej wartościowy i patriotyczny element polski albo znalazł się w łagrach, albo zmuszony był do tzw. repatriacji.

Trzeba jednak z przykrością przyznać, że przed wojną na tych terenach było również wiele biedy i zacofania. Podczas naszych wędrówek i wycieczek po Wileńszczyźnie zatrzymywaliśmy się czasem w bardzo biednych zagrodach chłopskich. Mimo to byliśmy przyjmowani życzliwie i z wielką gościnnością. Rolnictwo było tu prymitywne i mało wydajne. Zacofanie gospodarcze i cywilizacyjne, jak już nadmieniałem, było dziedzictwem pozaborowym, a później wynikiem słabości polskiej polityki kulturalnej i społecznej.

Chłopi białoruscy byli przeważnie analfabetami, a mówili mieszaniną rosyjsko-polską. Charakterystyczny był brak poczucia przynależności narodowej. Kiedy pytaliśmy ich czy są Polakami czy Białorusinami, niemal zawsze odpowiadali : „My tutejsi."

Ciekawe, że nie spotykało się tutaj nigdzie ani śladu jakiejś litewskości. Tylko śmieszące nas nieco nazwy niektórych miejscowości z końcówką „iszki", jak np. Mikuliszki, Taboryszki czy Ejszyszki, brzmiały jakoś trochę z litewska. Mimo to zamieszkane były przez rdzennych Polaków, a ludność litewska stanowiła zaledwie parę procent.

W krajobrazie Wileńszczyzny oprócz biednych i rozpadających się nieraz siedzib chłopskich, jak perełki pojawiały się od czasu do czasu stare szlacheckie dworki. Biało tynkowane, wielokrotnie z tradycyjnymi wejściowymi kolumienkami, na tle ciemnej zieleni ogrodów, prezentowały się nadzwyczaj malowniczo. Wszystkie, zarówno te biedne, należące do dawnej zubożałej szlachty zaściankowej, jak i bogate dwory ziemiańskie, zameczki czy pałacyki, były zawsze czyste i zadbane.

Wileńszczyzna, a ściślej kresy północno-wschodnie, jak pisał Piłsudski, są terenem najbardziej nieszczęśliwym, którego los jest nieustannie zmienny, a historia wstrząsa nim w sposób szczególny. A przecież nie wiedział on jeszcze, że na tych ziemiach w czasie II wojny światowej Sowiecka Rosja dokona na Polakach największego holocaustu w dziejach.

Mieszkańcy tej nieszczęśliwej ziemi ustawicznie walczyli z zagrożeniem języka, kultury, wiary katolickiej oraz własnej tożsamości i wolności. Ta ciągła walka ze

znienawidzonym zaborcą w sposób szczególny i trwały hartowała ich charaktery, podsycała patriotyzm i czyniła z nich jednostki o wyjątkowej wartości.

Nie jest więc przypadkiem, że Kresy wydały tak wielu wybitnych i gorąco miłujących ojczyznę Polaków.

Przytoczone wyżej wrażenia i uwagi o klimacie i pejzażu Ziemi Wileńskiej i Nowogródzkiej, skłaniają mnie do bardziej ogólnej refleksji o charakterze i urodzie polskiego krajobrazu.

Wiele razy przemierzając wzdłuż i wszerz nasz rodzinny kraj, zastanawiałem się często nad nieodpartym wrażeniem, że piękno przyrody i ziemi ojczystej ma w sobie coś z dziwnej zadumy i smutku. - jak gdyby sama natura przeżywała i opłakiwała nieszczęścia tego umęczonego narodu.

Przeważający równinny, płaski teren, jednostajne szachownice pól, samotne sosny na piaszczystym podłożu, przydrożne rosochate wierzby, mgły i bociany włóczące się po łąkach, czy też leniwie płynące rzeki - to wszystko sprawia, że pejzaż ten pełen jest liryzmu, zadumy i specyficznej melancholii. Zupełnie jak w pięknej i sentymentalnej piosence, śpiewanej przez Irenę Santor :

„...gdzie płonie słońcem wrzos i głóg,
gdzie cienie brzóz -
wiatr mazowieckich dróg.
Gdzie wierzby pośród pól,
Gdzie klucze białych chmur..."

W tym pejzażu natury z rzadka pojawiają się niestety nieliczne już, rozsiane elementy architektoniczne naszej bogatej kultury narodowej. Dawne zamki, pałace, dwory, romantyczne kościółki, zgarbione od strzech chaty czy wreszcie smętne przydrożne kapliczki, widnieją jak znaki przeszłości, które pozostawił czas i historia.

Ze szczególnym umiłowaniem piękno polskiego krajobrazu opisywali i utrwalali wielcy artyści, pisarze i poeci. Ileż, i jakże cudownych opisów naszej ziemi dostarcza rodzima literatura. Do mnie obok poezji zawsze bardzo silnie przemawiało malarstwo.

Mówi się wprawdzie, że żadna sztuka nie potrafi oddać piękna natury, to jakże sugestywna i wzruszająca jest wieś polska Szermentowskiego czy Kotsisa. Jaką dziwną zadumą tchną pola z żurawiami i bocianami Chełmońskiego, albo też wędrujące po polskiej ziemi anioły Malczewskiego. Jak silnie przemawia, wspomniany już poprzednio F. Ruszczyc w swym obrazie „Ziemia", pokazując z niezwykłą dramaturgią odwieczną walkę polskiego chłopa z naturą, trud oracza, który zmaga się z monstrualnym ugorem pod ogromnym, zachmurzonym niebem.

Upojenie pięknem Natury to jedna z najgłębszych rozkoszy ducha, niewyczerpane źródło przeżyć i doznań. Obcując z przyrodą wydaje się nam czasem, że jesteśmy bliżej Boga, bo w jej pięknie jakby lepiej odczytujemy Jego wielkość.

Wiele razy podobne uczucia towarzyszyły także i mnie, a miało to miejsce zwłaszcza ilekroć odwiedzałem góry. W pewnych partiach polskich Tatr potęga, dzikość i groza działały na wyobraźnię ze szczególną siłą. Jakże małym i kruchym stworzeniem wydawał się tam człowiek. Skalne olbrzymy wyłaniające się z mgieł i chmur, grzmiące potoki i wodospady, drzemiące wśród omszałych piargów stawy i wyrastająca z kamiennych szczelin, powykręcana przez wichry, górska roślinność sprawiała, że byłem rozkochany w tatrzańskiej przyrodzie.

Muszę też nadmienić, że od wczesnych lat dziecinnych, poprzez okres wileński, a również i po wojnie, niemal corocznie odwiedzałem Zakopane. Jego urokiem i nastrojem można się było bez końca delektować. Działał nie tylko niepowtarzalny górski krajobraz, ale też w dużym stopniu specyficzny i malowniczy folklor góralski. Mnie, rodowitego Krakowiaka, urzekała zwłaszcza dźwięczna i swojska gwara góralska.

Moje częste wizyty w górskiej stolicy Tatr wynikały też z faktu, że mieliśmy tam rodzinę ze strony ojca i wielu przyjaciół rodziców, którzy tam mieszkali na stałe. Jedno z takich miejsc, gdzie wielokrotnie byliśmy zapraszani była willa „Atlas" na stokach Gubałówki, własność profesora E. Romera, byłego, wspomnianego już, pacjenta ojca, wybitnego kartografa, na którego atlasach uczyło się moje pokolenie. Miejsce to było interesujące nie tylko ze względu na roztaczającą się stamtąd wspaniałą panoramę Tatr, ale też z uwagi na wyjątkową gościnność profesorostwa oraz pięknie i bogato urządzony dom.

Miałem to szczęście, że w młodych mych latach dużo podróżowałem pociągami. Wprawdzie jeździliśmy tylko po Polsce, ale i tak wydawało się, że przemierzam jakieś ogromne, nie kończące się przestrzenie. Każda wprawa pociągiem była prawdziwą przygodą i przeżyciem pełnym wrażeń i niespodzianek.

Największą frajdą było siedzenie przy oknie i oglądanie przesuwającego jak na ekranie kolorowego obrazu pól, łąk, lasów, rzek, dróg i zabudowań - całego bogactwa krajobrazu.

Z tych licznych podróży szczególnie utkwiła mi w pamięci wyprawa jaką odbyliśmy z Wilna do Lwowa w 1937 r. Wydawało się, że udajemy się gdzieś na koniec świata, albowiem od nas do stolicy kresów południowo-wschodnich było prawie 700 km.

Lwów był rodzinnym miastem moich pradziadków ze strony mamy, Karoliny i Jerzego Beckerów, którzy zamieszkiwali tam z liczną rodziną. Tu babcia moja, też Karolina, brała ślub z dziadkiem Morawieckim. Tutaj też mama przez kilka lat była na wychowaniu u ciotki, aż do roku 1914.

Wspominając lwowskich krewniaków, pragnę dodać, że ojciec prababki, Feliński, był powstańcem 1863 roku. Niewątpliwie te rodzinne tradycje musiały też w pewnej mierze wpłynąć na wielce patriotyczną postawę mojej matki.

Lwów, sławny gród Rusi Czerwonej, założony w XIII w. został już w połowie następnego stulecia przyłączony do Polski. W swych burzliwych tradycjach walki o polską tożsamość, szczególnie wsławił się bohaterską obroną w 1918 r. przed Ukraińcami, a potem w 1920 r. przed bolszewikami. O słynnych lwowskich „Orlętach" układano wiersze i śpiewano pieśni. Pamiętam wzruszającą balladę o Jurku Bitrzanie, którą mama często śpiewała mi w domu.

Cmentarz „Orląt" z grobami tych bohaterskich chłopców na Cmentarzu Łyczakowskim przywołuje pamięć tamtych dni chwały zawsze wiernego Polsce Lwowa. Ten fragment cmentarza, jako widomy symbol polskości, w ciągu ostatnich dziesięcioleci był przez sowietów systematycznie profanowany i demolowany, aż w końcu został kompletnie zniszczony. Dopiero od paru lat władze ukraińskie zezwoliły na stopniową i częściową jego odbudowę, ale i to odbywa się nie bez trudności.

Gdy mowa o Łyczakowskiej Nekropolii, warto przypomnieć, że znajdują się tu groby Marii Konopnickiej i Artura Grottgera.

Prosta i sentymentalna poezja Konopnickiej wzruszała mnie zawsze. Wrażliwa na ludzką niedolę i chłopską krzywdę umiała w sposób szczególny trafiać do młodocianych

uczuć i serc. Ulubiony mój poemat „W piwnicznej izbie", którego fragmenty wiele razy sobie powtarzałem, dziś jeszcze potrafi wzruszyć smutkiem i głębią swej liryki.

Również Grottger, malarz oraz ilustrator historyczny o romantycznym i nieco patetycznym zabarwieniu, był mi wówczas znany i bliski. W domu mieliśmy wiele reprodukcji grottgerowskich. Na mnie najmocniej oddziaływały jego obrazy z powstania 1863 r. Pełne dramaturgii i romantycznego nastroju urzekały nie tylko samą tematyką, ale i mistrzowskim warsztatem oraz niezwykłym, tajemniczym operowaniem światłem. W moim pokoju przez długi czas, niemal jak obrazek święty, wisiało jego „Kucie kos" oprawione za szkłem, z podpisem :

„Czy słyszysz, jak kują kosy,
Jak ze snu budzi się Polska ?
Brzmi trąbka, w lasy poszły
Na bój powstańcze wojska."

Wracam jeszcze do samego Lwowa. Znamienne jest, że to polskie, galicyjskie miasto nigdy nie należało do Rosji, gdyż już w czasie I rozbioru przyłączone zostało do Austrii. Dopiero 22 września 1939 r. Lwów „wyzwoliły" sowieckie wojska i odtąd aż do upadku Związku Radzieckiego wchodził w skład Związkowej Republiki Ukraińskiej.

W pamiętnym 1939 roku bolszewicka zaraza nie oszczędziła miasta. Duża część mieszkańców wywieziona została w głąb ZSRR, a terror wobec ludności polskiej, podobnie jak w Wilnie, trwał tam nieustannie.

Opisując nasz pobyt we Lwowie, na koniec pozostawiłem najmocniejsze i najbardziej niezwykłe przeżycie, jakiego doznaliśmy oglądając słynną Panoramę Racławicką, znajdującą się w Parku Stryjskim.

To olbrzymie dzieło namalowane zostało przez grupę malarzy z J. Styką i W. Kossakiem na czele, w celu uczczenia 100 - lecia bitwy racławickiej. Samo wystawienie Panoramy na lwowskiej Powszechnej Wystawie Krajowej w 1894 roku było wielką manifestacją Polaków ze wszystkich 3-ech zaborów. Przypomnienie zwycięskiej bitwy insurekcji kościuszkowskiej nad Rosjanami było wydarzeniem wielce krzepiącym, wielką lekcją dziejów ojczystych oraz patriotycznym orężem zniewolonej Rzeczpospolitej.

Było to też ogromne wydarzenie artystyczne, bo i chyba dotąd, żadne inne dzieło malarskie nie wzbudziło w widzach takich emocji, i nie wywołało takiego oszołomienia.

Doświadczyliśmy tego na sobie, kiedy znaleźliśmy się w środku tego fantastycznego, panoramicznego obrazu. Pamiętam, kiedy stanąłem jak oniemiały w centrum ogromnej bitwy. Realizm oświetlenia, wielkie nagromadzenie postaci, dym bitewny i kurz wydobywający się spod końskich kopyt sprawiały wrażenie niezwykle sugestywnej autentyczności. Można było niemal słyszeć okrzyki rozkazów, szczęk kos, odgłosy trębaczy, tętent i rżenie koni oraz wybuchy granatów armatnich. W którą stronę było nie spojrzeć, coś się działo. Tu Kościuszko na koniu wskazuje kierunek natarcia, tu atak kosynierów na działa rosyjskie, tam szarżująca jazda i bój kawalerii z kozakami, tam znów z wąwozu wyłania się nowy oddział chłopskiej piechoty.

Realistyczna iluzja jest tu doprowadzona do perfekcji. Teren na pierwszym planie i fragmenty rozrzuconych na nim żołnierskich akcesoriów, częściowo prawdziwe, częściowo domalowane zacierają granicę między rzeczywistością a obrazem, stwarzają złudzenie pełnego zanurzenia się w autentyczną bitwę.

Muszę przyznać, że dokładnie po 50-ciu latach, kiedy po raz drugi oglądałem to arcydzieło, tym razem we Wrocławiu, chyba jeszcze mocniej i głębiej to przeżyłem. Sprawiły to chyba względy psychologiczne, balast własnych przemyśleń i doświadczeń oraz głębsza wiedza i dojrzałe już rozmiłowanie w sztuce.

Wówczas to naprawdę zrozumiałem dlaczego Panorama przez ponad 40 lat nie była eksponowana w komunistycznej Polsce. To nie była jedynie polityczna ostrożność, by nie urazić czasem moskiewskiego protektora. To był niebezpieczny, potężny ładunek emocjonalny polskiej niezależności i polskiego patriotyzmu. To był historyczny sygnał do podjęcia walki z komunistyczną Rosją.

9. Wojny, żołnierze i Legenda Ułańska

Jeżeli do nieustannych wojen na wschodzie i odwiecznego naporu rosyjskiego na nasz kraj dodać podobnie stare i trwałe zmagania z Niemcami, a do tego dorzucić jeszcze sporadyczne wojny z Tatarami, Krzyżakami, Turkami czy Szwedami – możemy powiedzieć, że nasze polskie dzieje to przede wszystkim historia wojen.

Przemoc towarzyszy człowiekowi od zarania jego istnienia. Każdy atak, każdy mord wywołuje reakcję łańcuchową poprzez chęć odwetu i zemsty. Wzajemne unicestwianie się jest związane głównie z przestrzenią życiową poszczególnych grup ludzkich, rodzin, rodów czy narodów. Jest wynikiem ich naturalnego egoizmu i pragnienia dominacji nad innymi. Silniejszy chce sobie podporządkować słabszego.

Zakreślając granice swego terytorium, człowiek chce wyciągnąć z niego jak najwięcej korzyści i zysków. Chcąc je sobie powiększyć dąży nieustannie do ekspansji terytorialnej i środowiskowej. Podobnie jak zwierzęta ludzie bronią swojej ziemi przed obcymi intruzami. Ileż to krwi popłynęło właśnie w obronie granic.

Walki zbiorowe człowieka zwane wojnami, są ulubionym nałogiem ludzkości od początku świata. Ale też wojny, o których mówi się, że ich wozem kieruje niezgoda i mord, stały się tragedią rodu człowieczego.

Ileż to wspaniałych dzieł literatury i sztuki pragnie nas ostrzec przed zgubnymi skutkami wojen, pokazując ich dramat, grozę i okropieństwo. Tego rodzaju przykładów nie brak i w naszej rodzimej twórczości. W mojej pamięci, choćby, utkwił mi szczególnie niezapomniany cykl barwnych litografii Grottgera pt. „Wojna". W sposób przejmujący i boleśnie dotkliwy przedstawia on rezultaty zbrojnych zmagań naszego narodu, uwypuklając ich tragizm i bezsilność. Przychodzi mi również na myśl, zapamiętany z dawnych lat fragment wiersza Konopnickiej, w którym poetka z goryczą zdaje się przypominać, że :

„A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali niby snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopy !..."

W kategoriach moralnych zastanawiamy się często nad tym, które wojny są sprawiedliwe, a które nie. Odpowiedź nie jest prosta. Wielokrotnie trudno jest ustalić kto ponosi winę, a tzw. sprawiedliwość dziejową nie zawsze można ocenić obiektywnie.

Nam Polakom, wobec historii własnego narodu, również nie łatwo jest o całkowicie bezstronną ocenę. Ale wszak każdy naród ma prawo do subiektywnego stosunku do swych dziejów. Nawet wielkim historykom i kronikarzom nie zawsze się to udawało. Można jednak

jedno stwierdzić z czystym sumieniem : znakomita większość walk oręża polskiego miała charakter obronny.

Nieszczęśni Lechici, wzięci niby w kleszcze między Rosję a Niemcy, od wieków walczyli z rosyjskim i germańskim naporem w obronie własnego terytorium.

Wojny i walki oraz liczne powstania zbrojne w czasach zaborów i okupacji weszły nam w krew i hartowały od kilkudziesięciu pokoleń. Właśnie powstania głównie leżały u źródła późniejszych walk Armii Krajowej, w których, choć w znikomym zakresie, miałem sam możliwość uczestniczyć.

Nasze zrywy powstańcze nigdzie nie osiągnęły takiego zakresu i takiej siły, jak w zaborze rosyjskim. I choć kończyły się klęską, były szeroko opisywane przez rodzimą literaturę i przedstawiane na licznych płótnach malarstwa historycznego stanowiąc przez dziesięciolecia patriotyczną szkołę i pożywkę dla zniewolonego narodu.

To one, wzniecając wzmożoną nienawiść do Rosji i chęć odwetu za poniesione klęski i ofiary jednoczyły nas do dalszej walki.

Każde z tych powstań było też desperacką, straceńczą próbą zamanifestowania Europie palącej sprawy polskiej. Za każdym razem, jak pięknie pisał Asnyk, naród chciał:

„...ostatnim orężnym protestem
Zapisać w dziejach nieśmiertelne:
...jestem!”

Z krwi naszych przodków rodzili się nowi mściciele. Krew użyźniała przeorany przez pług historii polski patriotyzm i umiłowanie ojczystego kraju. Tu w Europie środkowo-wschodniej skupiły się wielkie wojny, a zwłaszcza zawieruchy współczesnych naszych dziejów.

W dziejowych paroksyzmach XX wieku, z bezmiaru bólu, udręczenia i ofiar dwóch największych w historii wojen światowych, odrodziła się nasza ojczyzna wolna i niepodległa.

Ciągła konieczność walki zbrojnej o wolność zrodziła kult dla wojska, konfederata, powstańca i żołnierza. Związane z tym cnoty waleczności i odwagi nabrały szczególnego znaczenia. Bitność i waleczność Polaków stała się przysłowiowa, a Szabla, mistyczny wyraz walki, obok Krzyża i Orła uznana została za święty symbol narodowy. O niej to, z dumą, ale i z nieukrywaną goryczą pisał Załucki :

„Tysiąc lat tą szablą
cięliśmy dla glorii –
Nikt się tak, jak my
Nie naciął w historii ”

Ważną, towarzyszącą walce cechą polską był honor. Poczucie honoru i dumy narodowej często graniczyło z brakiem rozsądku, rozwagi i praktycyzmu. Już Szekspir mawiał: „Czasem honor trzeba kryć w fałdach konieczności”. Honor, jako jedna z ważniejszych cnót szlachecko-romantycznych, umieszczany jest od czasów ks. J. Poniatowskiego na sztandarach naszego wojska w postaci hasła „Bóg, Honor i Ojczyzna”. Trzeba też z przykrością powiedzieć, że wśród wychowanych na XIX wiecznym kodeksie honorowym Boziewicza oficerów Polski międzywojennej, honor przybierał często przesadne i niemal chorobliwe formy.

ZIEMIA WILEŃSKA

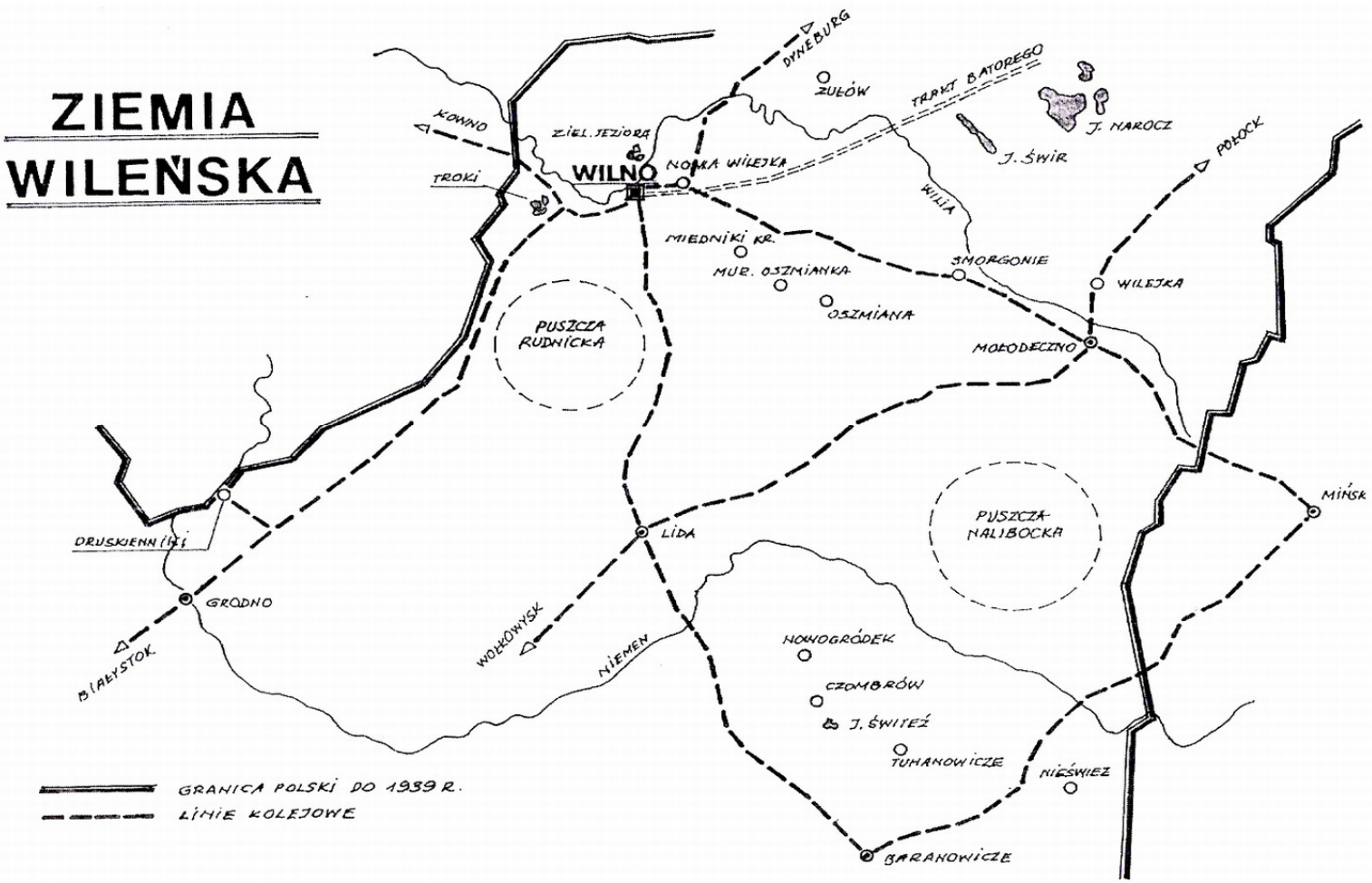

Los sprawił, że moja obecność oraz istnienie na tej ziemi przypadło na znaczną większość tego okrutnego wieku wojen i totalitaryzmów. Wplątany i uwikłany w biegnącą nieprzerwanie historię, jestem dzieckiem określonego miejsca i czasu.

Może dlatego po odzyskaniu własnego Państwa, miałem szczęście wychowywać się i wyrastać w atmosferze tradycji narodowych oraz przywiązania i umiłowania polskiej ziemi, w domu silnie wrośniętym w wiarę katolicką. Ten szczególny klimat wydawał się wtedy powszechny. Sprzyjało temu wyjątkowe poczucie więzi i świadomości narodowej Polaków. Ileż to tysięcy polskich dzieci, podobnie jak ja, powtarzało choćby taki popularny wierszyk :

„ Kto ty jesteś ? – Polak mały.
Jaki znak twój ? – Orzeł biały.
Gdzie t mieszkasz ? – Między swemi.
W jakim kraju ? – W polskiej ziemi."

Jak już podkreślałem, bardzo wiele zawdzięczam mojej matce. Dzięki dużej sile jej charakteru i bogatej, czułej psychice wprowadzała mnie w wyidealizowany, romantyczny świat i przekazywała swój religijny, niemal mistyczny patriotyzm. Dobroć serca i miłość wszystkiego co polskie stawiała zawsze na pierwszym planie, jak gdyby chciała powtórzyć cytowane często słowa poety :

„ I pomnij, jakimkolwiek chodzi
Los twego życia szlakiem,
Że każdy wraz się tutaj rodzi
Człowiekiem i Polakiem.
I że to dwie są święte rzeczy
O sile apostolskiej :
Piękny i dobry duch człowieczy
W gorącej piersi polskiej."

Przesiąknięte na wskroś wszelkiego rodzaju wojnami i walkami karty naszych dziejów silnie oddziaływały na mą młodzieńczą wyobraźnię. Historia polskiego oręża, powstań i walk o niepodległość, była w naszym domu ciągle żywa.

Trudno się więc dziwić, że jak większość chłopców w moim wieku uwielbiałem wojsko, broń i walkę. Największą przyjemnością i wspaniałą zabawą było układanie i staczanie niezliczonych, wyimaginowanych bitew i potyczek przy pomocy ołowianych żołnierzyków. Były to ponadto nie rzadko prawdziwe miniaturowe cacka, jak np. bajecznie kolorowe figurki żołnierzy Księstwa Warszawskiego, czy też barwne mundury Prusaków albo carskich feldjegrów.

Najcenniejszymi i najpiękniejszymi jednak ołowianymi postaciami byli zawsze polscy ułani. Piękne sylwetki galopujących koni i pochylonych na ich grzbietach żołnierzy,

przywoływały na pamięć sławne szarże naszej kawalerii, budziły zachwyt i podziw.

W latach trzydziestych legenda ułańska była żywa niemal w każdym polskim domu. Ułan był uosobieniem wszelkich cnót żołnierskich. To on, w egzaltowanych marzeniach i fantazyjnych snach młodego pokolenia, jawił się jak bohaterski rycerz pędzący na spienionym koniu z podniesioną szablą w dłoni i okrzykiem „Do boju !"

Ten szczególny kult wojska podtrzymywały bardzo popularne i powszechnie śpiewane pieśni oraz ballady ułańskie i legionowe. Ich wzruszający liryzm, proste, czasem naiwne i romantyczne strofy zapadały w serce z wyjątkową siłą i trafiały na podatny grunt mego rozmiłowania wojskiem.

Do dziś nie opuszcza mnie pewne uczucie rozczulenia, kiedy słucham ułańskich piosenek :

„Ułani, ułani, malowane dzieci
Niejedna panienka za wami poleci ...”

„Wojenko, wojenko, co żeś ty za pani ?
Że za tobą idą, że za tobą idą chłopcy malowani ...”

„Jak to na wojence ładnie,
Kiedy ułan z konia spadnie ...”

„Przybyli ułani pod okienko ...”

„Tam na błoniu błyszczy kwiecie,
Stoi ułan na widecie ...”

Dla mnie najbardziej bliską, ukochaną oraz najgłębiej oddającą piękną ideę dawnej legendy ułańskiej i żołnierskiego etosu, była balladowa piosenka „Ja bajki tak lubię ogromnie”. Napisaną w roku 1918 przez Juliana Tuwima, mama nuciła ją wiele razy z nieco zmienionymi słowami. Ze względu na wyjątkowy, moim zdaniem, jej urok, trudno mi jest się powstrzymać od przytoczenia choćby paru wybranych strof.

„Pomnę, gdy byłam dziewczynką małą,
Ogromną książkę dostałam w dani.
Dziewczęce serce do niej się śmiało,
Byli w tej książce polscy ułani !

Niania mi o nich snuła bez końca
Złotą legendę bitewnych scen,
Że o ułanach w promieniach słońca
Marzyłam zawsze, nawet przez sen ...

I często w mój pacierz dziecięcy
Maleńkie złączywszy rączęta
Słów kilka dodałam goręcej :
O Panno, ulituj się Święta !

Niech we śnie słoneczni ułani
Na koniach przybędą tu do mnie.
O Niebios Królowo i Pani
Ja bajki tak lubię ogromnie ...
.....
Pognał by wicher w szarży ułanów
Migając w słońcu szabli brzeszczotem.
Padł z kulą w sercu wśród kwietnych łanów,
Kędy ich tylu legło pokotem.

Dziś mi poeta śpiewa w legendzie,
Że rycerz odszedł w niebiański próg,
Że jego głowę na wieki będzie
Tulił do piersi swej, dobry Bóg !”

.....

Ułańskie zauroczenie obejmowało wiele pokoleń i było tak powszechne jak to wyrażała stara, popularna przyśpiewka o naszych babciach :

„Babcia umierała, jeszcze się pytała
Czy na tamtym świecie ułani będziecie ?”

W przedwojennej Polsce, nie licząc pułków szwoleżerów i strzelców konnych, było aż 27 pułków ułanów. Te formacje lekkiej kawalerii uzbrojone w lance i szable, a potem i karabiny, utworzone w XVIII w., wywodziły się od jazdy tatarskiej i odgrywały dzięki swej ruchliwości dużą rolę w ówczesnej strategii wojennej. Warto dodać, że ostatnia polska szarża kawaleryjska miała miejsce w walkach o Wał Pomorski w 1945 r.

Tradycje ułańskie kontynuowane były również w mojej najbliższej rodzinie. Tuż przed wojną ukończył szkołę podchorążych kawalerii mój najmłodszy stryj Roman, oraz cioteczny brat Zygmunt. Obaj, już jako oficerowie, brali potem udział w tragicznej kampanii wrześniowej.

Pamiętam, jak stryj, absolwent Szkoły Podchorążych w Grudziądzu, uznawanej za taką polską West Point, odwiedził nas w Wilnie w 1938 r. Mimo, że byłem oswojony ze zwyczajową elegancją polskich oficerów, których nie brakowało w gronie bliskich przyjaciół i znajomych rodziców, wygląd Romana wprawił mnie w prawdziwy zachwyt. Młody, przystojny, postawny i opalony, w nienagannie uszytym i dopasowanym mundurze, w lśniących, czarnych wysokich butach z ostrogami oraz z błyszczącą szabla u boku, jawił się niczym sam bóg wojny. Brakowało mu tylko rączego, ognistego rumaka.

Stryj do dziś dnia, jako senior w randze majora, kultywuje dawne tradycje ułańskie. Organizuje i bierze udział w różnorodnych spotkaniach przedwojennych kawalerzystów oraz w licznych uroczystościach wojskowych i rocznicowych.

Ciekawe, że wiele współczesnych jednostek pancernych przejmuje obecnie niektóre przedwojenne, kawaleryjskie symbole i obyczaje. Niektóre oddziały, nawiązując do jeszcze dawniejszych czasów polskiej husarii, zmieniają nawet nazwę na kawalerię pancerną.

Pisząc o ułanach, trudno nie wspomnieć o dowcipnych i wesołych przyśpiewkach kawaleryjskich, zwanych „żurawiejkami”. Przyśpiewki te, zwykle w formie refrenu, dodawano do innych śpiewów. Przytoczę tu jedną z bardziej znanych, która zawsze szczególnie mi się podobała :

„Lance do boju, szable w dłoń,
Bolszewika, goń, goń, goń !”

14-ty pułk ułanów we Lwowie przyśpiewywał :

„Hej dziewczęta ! W górę kiecki,
Jedzie ułan jazłowiecki !”

A i wileńskie pułki kawalerii też miały swoje żurawiejki. Np. 4-ty pułk ułanów śpiewał :

„Czwarty”, to nie lada gratka
Kwateruje w mieście „Dziadka”.

Jednym z najwspanialszych kawalerzystów II Rzeczpospolitej był słynny gen. Wieniawa – Długoszowski, postać barwna i błyskotliwa oraz wojak, jak to się mówiło,

„i do szabli i do szklanki”. Rozkochany w wojaczce, „Kmicic naszych czasów”, jak go nazywano, pisał w swoim wierszu „Jesień Ułańska”:

„Lecz gdyby mi kazały wyroki ponure
Na ziemi się meldować, by drugi raz żyć,
Chciałbym starą z mundurem wdziać na siebie skórę,
Po dawnemu... wojować, kochać się i pić”.

A jakże pięknie ten „pierwszy ułan” wyraził swą miłość do konia :

„Bo serce ułana,
gdy położysz na dłoń :
na pierwszym miejscu panna –
przed panną, tylko... koń !”

Nawiązując jeszcze do ułańsko – kawaleryjskiej tematyki, muszę przyznać, że na moją młodzieńczą fascynację wojskiem, a równocześnie na historyczną edukację, ogromny wpływ miało malarstwo batalistyczne. Łączyło się to z namiętnym gromadzeniem kolorowych reprodukcji obrazów przedstawiających historyczne bitwy i chwałę oręża polskiego.

Z pośród takich malarzy, jak Matejko, Grottger, Brandt czy Chełmoński najbardziej podziwiałem płótna Wojciecha Kossaka, niedoścignionego batalisty i kolorysty. Ten malarz o ogromnym talencie i rozbudzonym temperamencie, malujący z rozmachem i szeroko sceny pełne akcji i dynamicznego ruchu, był wielkim znawcą i miłośnikiem koni. Nikt tak jak on nie potrafił ich malować. Talent i wrażliwe serce patrioty odziedziczył po ojcu Juliuszu. On najgłębiej i najpiękniej utrwalił historię jazdy zbrojnej i polską legendę ułańską. Jego obrazy to niezliczone postacie ułanów, szwoleżerów, kirasjerów i kawalerzystów wszystkich maści.

Takie obrazy, jak bitwa pod Raszynem, Olszynka Grochowska, Rokitna, Stoczek czy Samosierra pozostawały na długo w pamięci. W tych bitwach, potyczkach, szarżach, pościgach, patrolach czy zwiadach utrwalił to, co najdroższe każdemu Polakowi - wojsko polskie.

Trudno się więc dziwić, że i mnie ten „Sienkiewicz palety”, jak go czasem nazywano, był tak bliski. Uwielbienie dla tego wielkiego artysty pozostało mi do dzisiaj. Może również dlatego, że sam lubiłem malować i wiele, wiele razy próbowałem nieudolnie kopiować i naśladować jego wspaniałe konie i jego ukochanych ułanów.

Ukochanych – bo kiedy kończył pracowity 86 – letni żywot, prosił by na jego pogrzebie „zagrali ukochani ułani”.

Militarystyczne zamiłowania, historia wojen, jak i słabość do wielkich, bohaterskich wodzów, skłaniała mnie, zwłaszcza w latach nieco późniejszych, do rozczytywania się w ich biografiach i prowadzonych walk i wojen.

Kult bohaterów istniał zawsze. Każda epoka i każdy kraj ma swoich herosów. Oprócz polskich uwielbianych bohaterów narodowych, jak np. Tadeusza Kościuszki,

ks. Józefa Poniatowskiego czy Józefa Piłsudskiego, moim wielkim zainteresowaniem cieszyły się takie postacie, jak Aleksander Wielki, Hannibal, Nelson czy Napoleon.

Z nich wszystkich właśnie Napoleon Bonaparte był i pozostał przedmiotem mojego największego podziwu i adoracji. Od wczesnej młodości uwielbiałem tego „boga wojny” oraz jego barwną i bogatą epokę. Być może dlatego, że wizja tej epoki w Polsce zawsze była silnie idealizowana. Tym niezwykłym, ale też i kontrowersyjnym geniuszem zachwycały się między innymi takie znakomitości jak Goethe, Beethoven, czy Słowacki. Nawet sami

Francuzi, którzy po wojnach napoleońskich, poza morzem krwi, nie zdobyli nic prócz sławy, czczą go i ubóstwiają do chwili obecnej.

Kult Napoleona, cesarza Francuzów, był w Polsce zawsze żywy i bardzo rozpowszechniony. W całej historii mieliśmy słabość do Francji. W naszej sytuacji, czyż można było wymarzyć sobie wspanialszego bohatera, niż Francuza bijącego na głowę polskich potężnych nieprzyjaciół i w dodatku niemal wszystkich równocześnie.

Napoleon, geniusz wojny, błyskotliwy wódz ubóstwiany przez żołnierzy, w trójgraniastym kapeluszu i ręką założoną za rozpięty mundur stał się dla mnie symbolem siły, odwagi i waleczności. Jego niezwykła i ciekawa epoka pełna szczęku oręża i huku armat, naznaczona wielkimi, rozstrzygającymi bitwami, uwieczniona przez malarzy, poetów i pisarzy zawsze rozbudzała namiętności i ogromne zainteresowanie. Bo geniusze jak meteory, spalając się oświecają swój wiek.

Epopea napoleońska zrodzona na przełomie wieków w epoce romantyzmu, począwszy od kampanii włoskiej, a skończywszy na Waterloo, była dla nas Polaków okresem wielkich nadziei i oczekiwań. Utworzone przez Napoleona Księstwo Warszawskie jawiło się furtką do upragnionej niepodległości i podsycało w nas ducha walki.

Mnie, kilkunastoletniemu młodzikowi wydawało się, że Bonaparte szczególnie mocno związany był z Wilnem. Tędy przecież, przez Pohulankę, prowadził słynny trakt napoleoński, którym Wielka Armia, a z nią stutysięczny Korpus Polski, ciągnęła na Rosję. Tu, podobnie jak cała Litwa, Wilno witało entuzjastycznie Cesarza, głosząc radosne hasło : „Bóg z Napoleonem, Napoleon z nami !" I wreszcie tu, miasto głęboko i dotkliwie przeżywało tragiczny jego odwrót spod Moskwy.

Urzeczony jego wielkością, jako zagorzały bonapartysta, po kilkunastu latach będąc pierwszy raz w Paryżu, pierwsze swe kroki skierowałem do jego grobu w Kościele Inwalidów. Nie zapomnę tego wrażenia jakie wywarło na mnie spotkanie z ubóstwianym herosem. Cała wspaniała świątynia o cudownej sylwetce, zwieńczona złotą kopułą, jeden z cudów Paryża, to sanktuarium poświęcone Napoleonowi.

W centrum kościoła, pod kopułą, otwarte okrągłe zagłębienie, w którym usytuowano sarkofag z czerwonego marmuru, jak gdyby zmuszało każdego przybysza do schylenia głowy przed prochami Cesarza.

Dookoła grobowca rozmieszczonych jest 12 postaci kobiecych symbolizujących jego największe zwycięskie bitwy. Obok w gablocie spoczywa szpada spod Austerlitz, odznaczenia i kapelusz. W otaczających świątynię kaplicach znajdują się groby jego braci i jego marszałków.

Ta majestatyczna całość, to jeden wielki hołd oddany swemu cesarzowi przez Francuzów. Uwielbiany przez lud, czczony przez żołnierzy, tu do tego miejsca w roku 1840 odbył swą ostatnią, tryumfalną podróż. W uroczystym pogrzebie uczestniczył cały Paryż i niemal cała Francja.

Jakże pięknie opisał Słowacki tę ostatnią drogę Cesarza w poetyckim epitafium -„Na sprowadzenie prochów Napoleona" :

.....

„Szumcie, szumcie więc morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma.
Piramidy ! Wstępujcie na góry
I patrzajcie nań wieków oczyma.

.....

Z tronów patrzą szatany przestępne,
Car spogląda blady spoza lodów,
Orły siedzą na trumnie posępne
I ze skrzydeł krew trzęsą narodów."

.....

10. Wilno - ostatnie miesiące wolności

Nadchodziła powoli najstraszniejsza i najkrwawsza z wojen w historii ludzkości. Już na wiosnę 1939 roku atmosfera stawała się napięta i przygnębiająca. Jak już wspomniałem, ogólne podenerwowanie zaistniałą sytuacją polityczną i groźbą konfliktu zbrojnego z Niemcami powodowało, że z niepokojem omawialiśmy i śledziliśmy aktualny rozwój wypadków. Głównym źródłem informacji była oczywiście prasa i radio.

Komplikująca się na polskiej granicy zachodniej sytuacja polityczna powodowała nasze, coraz większe zainteresowanie niemieckim sąsiadem. Podobnie jak w całej Polsce, w wileńskich kręgach inteligenckich, jak to obserwowałem, Niemcy byli postrzegani jako naród o wyjątkowo wysokiej kulturze. Takie nazwiska, jak m.in. Goethe, Schiller, Lessing, Beethoven czy Bach, były symbolami niemieckiego ducha.

Kultura, nauka i technika niemiecka miały ogromny wpływ na nasz rozwój cywilizacyjny. Czerpaliśmy pełną garścią z ich dorobku, a znajomość języka niemieckiego stawała się koniecznością dla ludzi o bardziej ambitnych aspiracjach zawodowych.

W bibliotece medycznej mego ojca większość dzieł i podręczników była w tym języku. Również najcenniejsze książki z dziedziny sztuki, czy innych rodzajów popularnej wiedzy było wydawnictwami niemieckimi. Ja sam, też ze względów praktycznych, mając w perspektywie studia politechniczne, porzuciłem język francuski i w gimnazjum rozpocząłem naukę niemieckiego.

Ta ocena niebezpiecznego sąsiada działała na nas w pewnym stopniu uspokajająco. Trudno było bowiem przypuścić, że taki naród mógłby się dopuścić podstępnej, zbrojnej agresji na nasz kraj.

Do tego wizerunku Niemiec, jak to oceniała niemal cała Europa, dziwnie nie pasował nam jednak buńczuczny i krzykliwy Hitler. Niemałym zaskoczeniem był więc fakt, że w bardzo krótkim czasie zdołał on zawładnąć umysłami zdecydowanej większości Niemców i zdobyć ich zaufanie.

Ówczesna prasa i radio, zapewne w celu uspokojenia panujących nastrojów usiłowała ośmieszać i przedstawiać niemieckiego Führera, jako niepoważnego megalomana. Pamiętam słynną piosenkę parodiującą Hitlera, którą śpiewał Sempoliński :

„Ten wąsik, ach ten wąsik..."

Ale przy bierności francusko – angielskiej, ten „pajac", jak go czasem nazywano przy stolikach kawiarnianych, w dalszym ciągu odnosił same sukcesy. W połowie marca, łamiąc traktat monachijski, III Rzesza zajęła Czechy i Morawy. Niemcy zagarnęły pełne uzbrojenie 38 dywizji czeskich i cały ich potężny przemysł zbrojeniowy. W dodatku, w tydzień potem, Hitler zmusił Litwę do oddania Kłajpedy.

Już wtedy o zachodniej polityce utrzymania pokoju za wszelką cenę jakże trafnie wyraził się W. Churchill w swym słynnym powiedzeniu: „Wielka Brytania i Francja miały wybór wojna albo hańba, wybrały hańbę i będą miały wojnę."

Dla nas oznaczało to klęskę strategiczną, a poczynione przez Niemców manewry okrążające nie wróżyły nic dobrego. Powstała sytuacja zmusiła dyplomację polską do szukania sojuszników i zapewnienia sobie gwarancji Zachodu wobec ewentualnego napadu

hitlerowskiego. Po udzieleniu gwarancji przez Wielką Brytanię oraz obietnicy pomocy francuskiego gen. Gamelina, Hitler demonstracyjnie zerwał polsko- niemiecki pakt o nieagresji. Wysunął równocześnie ponowne żądania zwrotu Gdańska i eksterytorialnego korytarza łączącego zachodnią część Niemiec z Prusami Wschodnimi.

Polska nie zgadzała się na żadne ustępstwa. Pamiętam jak z dumą ale i niepokojem przyjęliśmy słynne oświadczenia ministra Becka : „Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da" oraz „My w Polsce nie znamy pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor." W związku z tymi wypowiedziami, już wtedy ogłoszono pierwsze tajne mobilizacje.

W maju rozpoczęły się już oficjalne przygotowania do wojny, a cała Polska jednoczy się w obliczu zagrożenia.

Tę patriotyczną solidarność obserwujemy bezpośrednio w Wilnie. Zadziwiała przede wszystkim spontaniczna reakcja społeczeństwa na szereg inicjatyw rządowych, między innymi takich jak: Krajowa Pożyczka Obrony Przeciwlotniczej, zbiórka pieniędzy i kosztowności na dozbrojenie armii, czy też powszechna zbiórka metali kolorowych.

W tym czasie uczestniczyliśmy osobiście w rekwizycji na rzecz wojska wszelkich pojazdów mechanicznych. Nie zapomnę tej chwili, kiedy w Cielętniku z wielkim żalem, ale też bez wahania, traktując to jako obowiązek patriotyczny, oddaliśmy nasz samochód.

Gazety i radio pełne były propagandowych, podnoszących na duchu haseł: „Silni, zwarci, gotowi" czy „Nie oddamy ani piędzi ziemi". Niestety z tych haseł jedno tylko było prawdziwe - rzeczywiście cały naród był wyjątkowo zwarty. Pojawiły się też wzmianki o szpiegach i dywersantach niemieckich, a rozlepione plakaty ostrzegały : „Uwaga ! Wróg podsłuchuje !"

Tymczasem, jak już dzisiaj stało się powszechnie wiadome, na arenę polityczną szykującego się konfliktu wkroczyła Rosja Sowiecka. Stalin w tym czasie prowadził pertraktacje zarówno z Francją i Anglią, jak i z Niemcami. Zachód był kompletnie nieprzygotowany do wojny, o czym oczywiście nikt z nas nie miał pojęcia.

Kreml prowadząc dwustronną, obłudną grę, jako rzekomy przyjaciel Zachodu, proponował nam w razie ataku niemieckiego przyjść z pomocą. Postawił jednak zaskakujące i złowróżbne żądanie zgody na wkroczenie Armii Czerwonej na terytorium Polski. Wyglądało to na to, jak gdyby Stalin nie wyzbył się jeszcze rewolucyjnych mrzonek ponowienia scenariusza z 1920 roku.

Kiedy Beck odrzucił ten absurdalny projekt, urażona Moskwa podpisuje w dniu 23 sierpnia, zaskakujący świat, pakt o nieagresji z Niemcami. Związek Radziecki wyczuwając okazję, parafuje równocześnie tajną klauzulę podziału interesów, będącą faktycznie nowym rozbiorem Polski. W ten sposób Stalin w zamian za odstąpienie mu naszych wschodnich terenów wyraził zgodę na niemiecki atak zbrojny na Polskę.

Pakt ten, zwany potem przez historyków paktem Ribbentrop – Mołotow, przypominał jota w jotę XVIII- wieczne rozbiory Rzeczpospolitej, kiedy to Katarzyna II, uprzedzając Prusy o swym ataku na Polskę, oferowała im w zamian nasze zachodnie ziemie.

W ten sposób, podobnie jak to już bywało niegdyś, zmowa morderców wydała wyrok na nasz kraj. My Polacy mieliśmy się przekonać o tym 1-ego i 17-tego września.

W międzyczasie w Wilnie trwały gorączkowe przygotowania do wojny. Mogłem je sam obserwować zarówno w mieście, jak i przede wszystkim w Szpitalu na ul. Letniej, gdzie

mieszkaliśmy. Ojciec mój, jako dyrektor, dostawał bez przerwy różne szczegółowe instrukcje co do poczynań w zakresie szeroko pojętej obrony cywilnej Szpitala.

Na naszym terenie rozpoczęto kopanie rowów przeciwlotniczych. Tę ciężką pracę wykonywali solidarnie wszyscy mężczyźni bez względu na zajmowane stanowisko. Przy pracy pomagali również niektórzy pacjenci szpitala. Ja zajmowałem się przygotowywaniem desek i przykrywaniem nimi rowów, co miało chronić przed ewentualnymi odłamkami bomb.

Zorganizowano specjalne kursy dla lekarzy i personelu pielęgniarskiego w niesieniu pomocy rannym. Z obawy przed użyciem przez Niemców gazów bojowych prowadzono szkolenie w zakresie ich działania, jak również ćwiczenia z maskami przeciwgazowymi. Z braku dostatecznej ilości masek zorganizowano szycie prowizorycznych tamponów z węglem aktywizowanym. W podziemiach, gdzie tylko się dało, urządzano schrony przeciwlotnicze. Przygotowywano materiały do zaciemniania i uszczelniania okien. Polecono zabezpieczenie od podmuchu wszystkich szyb okiennych za pomocą naklejanych pasków papieru. Gromadzono zapasy żywności, leków i środków opatrunkowych.

Ojciec w czasie kilkakrotnych wyjazdów służbowych do Ministerstwa w Warszawie przywoził nam coraz to bardziej niepokojące wieści. Między innymi, w związku z napiętą sytuacją, nie otrzymał dalszych pieniędzy na rozbudowę jednego z pawilonów Szpitala, gdyż jak mu oświadczono w Departamencie Zdrowia: „Wszystkie środki finansowe państwa przeznaczane są obecnie jedynie na cele militarne."

Ojciec mój dwoił się i troił, doglądał, sprawdzał, kontrolował i załatwiał najróżniejsze sprawy. W domu czuć było podniecenie i podenerwowanie, które narastało z dnia na dzień aż do ostatnich dni sierpnia. Wtedy to wezwano ojca do Urzędu Wojewódzkiego w celu pobrania odprawy pieniężnej dla pracowników całego szpitala i kliniki oraz środków bieżących na potrzeby tych instytucji. Pamiętam, że do naszego mieszkania, pod nadzorem konwojentów, przyniesiono dwie olbrzymie walizy pieniędzy. Zważywszy, że łączny personel liczył prawie 300 osób, zaś każdy pracownik miał dostać kilkumiesięczną pensję, można sobie wyobrazić jak ogromna była to suma. Nigdy w życiu nie widziałem i chyba już nie zobaczę na oczy naraz tylu pieniędzy. Ze względu na konieczny pośpiech z wypłatami część tej sumy była rozdzielana i kopertowana pod odpowiednią kontrolą u nas w domu.

Wraz z 1-szym września zbliżał się też początek nowego roku szkolnego. Z powodu jednak ogólnego zamieszania nie wiadomo było do ostatniej chwili czy nauka rozpocznie się w normalnym terminie.

Dodatkowy rozgardiasz powstał na skutek ogłoszonej spóźnionej powszechnej mobilizacji. Tego rodzaju pobór rząd chciał ogłosić już znacznie wcześniej, ale Zachód obawiał się, że takie posunięcie może rozdrażnić Hitlera, a chciano za wszelką cenę uniknąć wojny. Miasto oblepione było plakatami „Do Broni !" a obwieszczenia wzywały do wstępowania do wojska.

25 sierpnia dowiedzieliśmy się z radia, że Wielka Brytania, jako odpowiedź na pakt hitlerowsko – stalinowski, podpisała formalny układ sojuszniczy z Polską. Wiadomość ta wywołała powszechny entuzjazm i radość całego społeczeństwa.

Nas jednak nie opuszczały złe przeczucia, że groźna i decydująca chwila nastąpi lada dzień.

Kiedy dla mnie, kilkunastoletniego chłopca rozkochanego w wojsku i wojnach, rozpoczynała się wielka, nieznana przygoda, nikt z moich najbliższych nie przypuszczał wtedy, że wojna ta będzie równocześnie początkiem i końcem naszego krótkiego, lecz cudownego romansu z pięknym i miłym miastem, jakim było Wilno. Nikt też z nas nie mógł

przewidzieć, że to nie hitlerowskie Niemcy będą naszym najbardziej okrutnym i nieprzejednanym wrogiem, lecz bolszewicka Rosja, Rosja Nowosilcowów, Murawiewów i komunistycznych Stalinów, że nieprzewidywalna historia zatoczy tak tragiczne koło. Że znowu ciało naszej Ojczyzny rozszarpią dwie odwiecznie nam wrogie bestie.

Pamięci nie można wymazać podobnie jak nie można zmienić przeszłości. A ta przeszłość odchodziła razem z tamtym naszym polskim miastem nad Wilią. Niespełna 20-letnia ostatnia, piękna karta jego dziejów odwracała się nieuchronnie, a z nią zamykała się wielowiekowa przynależność do Polski.

Nieubłagane wydarzenia wojenne odebrały nam Wilno, ale mimo, że zabrały budowle, ulice czy place, wysiedliły, bądź wywiozły w głąb Rosji dziesiątki tysięcy jego mieszkańców, to jednak tego co naprawdę polskie, co jest duszą tego miejsca i duchem tej ziemi odebrać nie mogły. Bo można w tej kolebce kultury narodowej niszczyć polskie pamiątki, zacierać napisy, zmieniać nazwy, ale nie można jej pozbawić historii i pamięci.

Dla obecnych pokoleń, które przecież tak niewiele wiedzą o tym niezwykłym starym grodzie, zapewne nie ma to większego znaczenia. Ale w nas, którzy związaliśmy z nim swą młodość i byli świadkami i uczestnikami ostatnich walk o jego polskość, budzi się przygnębiający żal i ból za utraconą ziemią i miastem.

Tam, w moim odczuciu zostawiłem część samego siebie, a zachowane i zamknięte w sercu piękne wspomnienie wzdrygało się zawsze przed ponownym odwiedzeniem Wilna po wojnie. Chowam w pamięci jego wizerunek z tamtych lat. Wydawało mi się zawsze, iż nie mógłbym znieść zniekształconego, zeszpeconego widoku tego miasta, z obcymi, nieprzychylnymi mi ludźmi i obcym językiem, przywołującym na pamięć jak najgorsze obrazy.

W O J N A

„Są chwile w życiu takiego cierpienia,
Które się w słowach wyrazić nie umie'
Chwile goryczy, żalu i zwątpienia,
Nastroje, które nie każdy zrozumie.
Rany, na które nie ma żadnej rady,
Które uraża nawet dłoń ostrożna,
Zmartwienia, które zostawiają ślady
I słowa, których zapomnieć nie można!"

(K. Przerwa-Tetmajer)

1. Pierwsze dni września

W dzień 1 – września o świcie, bez wypowiedzenia wojny, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia rozpoczął się bandycki napad hitlerowski na Polskę.

Z zachodu, południa i północy potężne zmotoryzowane, uzbrojone po zęby dywizje współczesnych germańskich hunów przekroczyły nasze granice. Jednocześnie niemiecka Luftwaffe rozpoczęła barbarzyńskie, masowe bombardowania miast i dróg komunikacyjnych.

Hitler swą operacją „Fall Weiss" zapoczątkował najtragiczniejszą wojnę XX wieku, która w ciągu nadchodzących paru lat miała pochłonąć ponad 50 milionów istnień ludzkich.

Na falach radiowych usłyszeliśmy kilkakrotnie powtarzany, specjalny i jakże znamienny komunikat polskiego rządu : „A więc wojna ! Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory. Cały wysiłek Narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym : walka aż do zwycięstwa!"

„Wszyscy zostaliśmy żołnierzami", to nie było tylko symboliczne hasło, albowiem rozpoczynająca się współczesna wojna totalna w równej mierze, a może nawet głównie, zagrażała ludności cywilnej, a nie wojsku.

Od razu było wiadomo, że obecna siła rażenia, jak broń maszynowa, artyleria, a zwłaszcza silne oddziały pancerne i lotnictwo zmieniały na naszą niekorzyść realia wojenne.

Wilno, o czym wtedy nie wiedzieliśmy, oddane już wcześniej bolszewikom, nie było silnie bombardowane z wyjątkiem lotniska i węzłów kolejowych. Trudno mi zapomnieć reakcji mojej mamy, kiedy tego dnia, słysząc dalekie odgłosy bombardowania wyszła na balkon i nadsłuchując z niepokojem zapytała naiwnie : „Czy to grzmi, czy strzelają ?" Niedługo potem odezwały się spóźnione syreny ogłaszając alarm lotniczy. Wtedy wiadomo już było, że na miasto spadły pierwsze bomby.

Ze schronami na terenie szpitala, jak zresztą wszędzie, nie było najlepiej. Przeważnie były to zwykłe piwnice, mniej lub bardziej zabezpieczone. W naszym budynku było wprawdzie niewielkie pomieszczenie piwniczne przeznaczone na węzeł centralnego ogrzewania, ale prawie z niego nie korzystaliśmy.

Pierwsze komunikaty były przygnębiające i wysoce niepokojące. Wróg wdzierał się z trzech stron w głąb kraju. Podawane wiadomości radiowe były krótkie i lakoniczne. Najczęściej powtarzano zdanie : „Po ciężkich, krwawych walkach nasze oddziały, zadając

nieprzyjacielowi poważne straty, pod naporem przeważających sił wroga musiały zająć nowe pozycje obronne."

Słuchaliśmy tego z głębokim smutkiem i obawą. Wierzyliśmy jednak, że natarcie zostanie zatrzymane, a obiecana pomoc z Zachodu lada chwila nadejdzie. Ufaliśmy, że cywilizowany świat nie pozwoli na taki zbrodniczy i bezczelny rozbój.

W tej wierze podtrzymywały nas kłamliwe i pocieszające plotki rozsiewane przez radio i prasę ku pokrzepieniu serc. A to rozruchy i głód w Niemczech, a to mobilizacja w całej Europie, a to znów zamach na Hitlera, lub też zapewnienia z wiarygodnych źródeł, że wojna nie potrwa dłużej niż dwa tygodnie.

Trzeciego dnia wojny z wielką radością przyjęliśmy wieść o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Wielką Brytanię, a w parę godzin później przez Francję. Ale już w ciągu następnych dwóch dni dobry nastrój prysnął – Grudziądz, Bydgoszcz i Kraków zostają zajęte przez wroga. Radio podaje ,że nad Bałtykiem broni się ciągle polska placówka wojskowa na Westerplatte oraz półwysep Helski.

Znowu dochodzą nas fałszywe wiadomości o uderzeniu armii francuskiej na Niemcy oraz o wielkim bombardowaniu Berlina i miast niemieckich.

Tylko „Słowo" wileńskie bardziej trzeźwo oceniało sytuację przewidując, że wojna zapowiada się na długo i przestrzegając przed zbytnim optymizmem związanym ze sprzymierzeńcami i frontem zachodnim. Podkreślało też dużą przewagę armii niemieckiej w uzbrojeniu, a zwłaszcza w broni pancernej i lotnictwie.

Siódmego dnia, ostrzeliwane z morza i lądu oraz bombardowane z powietrza padło Westerplatte, symbol oporu, poświęcenia i odwagi polskiego żołnierza. Jak później napisze poeta :

„A kiedy się wypełniły dni
i przyszło zginąć latem
prosto do nieba czwórkami szli
żołnierze z Westerplatte."

Równocześnie Niemcy podchodzą pod Warszawę. Jeszcze pobrzmiewają w eterze propagandowe przemówienia do żołnierzy płk. Umiastowskiego, rzecznika Naczelnego Dowództwa. W końcu dociera do nas pełna determinacji i dramatyczna odezwa prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego : „Warszawa będzie się bronić !" 8 września rozpoczyna się bohaterska obrona stolicy.

Wzrastał niepokój i przygnębienie jak również obawa o własny los. Nadchodzące wieści coraz jawniej potwierdzały smutny fakt, że na froncie francusko-niemieckim nic się nie dzieje, a Polska dotąd żadnej pomocy ani wsparcia nie dostała.

Zaczęły nas opuszczać wszelkie nadzieje. Wraz z wycofującymi się oddziałami nastąpiła ewakuacja rządu polskiego w kierunku Lwowa. W Wilnie wyszło już z miasta wojsko i policja oraz likwidowano niektóre urzędy i instytucje.

Na krótko wzbudziło jeszcze trochę otuchy oświadczenie Gamelin'a, że francuskie dywizje weszły do walki, ale i to okazało się zwykłym kłamstwem.

Pośród ogromnego zamieszania i zamętu, kiedy miasto szykowało się do obrony, w międzyczasie z parodniowym opóźnieniem rozpocząłem dalszą naukę w gimnazjum. Chaos potęgowały duże ilości uciekinierów z położonych na zachód miejscowości. Na skutek

przygotowań do walki najpierw zamknięto część starszych klas licealnych, a potem, około połowy września, naukę przerwano całkowicie.

Dla nas, mieszkańców rozległych wschodnich, kresowych terenów zbliżał się do końca pierwszy smutny i tragiczny etap wrześniowej kampanii. Zapatrzeni na zachód, zwróceni twarzą do nacierającego hitlerowskiego wroga, nieświadomi nowego niebezpieczeństwa od wschodu, oczekiwaliśmy na dalszy rozwój wypadków.

2. Uderzenie w plecy

Korzystając z naszego osłabienia walką ze śmiertelnym wrogiem i wykonując ustalenia wynikające z paktu z Niemcami, podstępnie i znienacka, w dniu 17-tym września, przekroczyło polskie granice 60 sowieckich dywizji. Był to cios nie tylko niespodziewany, ale też wyjątkowo podły i haniebny, a zarazem pełen obłudy i fałszu. Armia Czerwona głosiła bowiem, że wkracza jako przyjaciel, aby nam pomóc i wyzwolić od obszarników i burżujów. Potem, kiedy minął moment zaskoczenia okazało się, że Moskwa przyszła bronić swoich rodaków i oswobadzać bratnie narody Zachodniej Ukrainy i Białorusi.

Wkrótce mieliśmy się przekonać, że oswobadzanie i uszczęśliwianie narodów było specjalnością sowiecką i biada każdemu krajowi, do którego wkraczają czerwoni wyzwoliciele. Na razie nikt z nas nie przypuszczał jakie to cierpienia i tragedie przyniesie całemu polskiemu narodowi.

Natychmiast w prasie wileńskiej pojawiły się pełne dramatyzmu tytuły: „Brutalna agresja w warunkach wyjątkowo ohydnych", „Napad na wolny naród znajdujący się w stanie wojny z Niemcami", „Pogwałcenie polsko-sowieckiego paktu o nieagresji z 1932 roku".

Tego samego dnia Prezydent Mościcki wygłosił swoje ostatnie orędzie radiowe do rodaków, przekazując między innymi następujące słowa: „Stanęliśmy nie po raz pierwszy w obliczu nawałnicy zalewającej nasz kraj z Zachodu i ze Wschodu... Walczymy przeciwko bezprawiu, bezdusznemu barbarzyństwu, przeciwko panowaniu zła na świecie."

A już w następnym dniu „Słowo" olbrzymimi nagłówkami zagrzewało do walki: „Wilno będzie się bronić !", „Niech żyje żołnierz polski !" Ukazał się też dramatyczny tytuł „Boże dopomóż w słusznej walce i zmiłuj się nad Wilnem !"

Jak się okazało, 17 września stał się dla nas Polaków decydującą datą tej wojny. Skutki sowieckiego zaboru mieliśmy bowiem tym razem odczuwać przez ponad pół wieku, kiedy to w 1993 r. Polskę opuścił ostatni okupacyjny oddział sowiecki.

Nagły atak Moskwy wywołał w pierwszej chwili w kręgach rządowych i dowódczych dezorientację, co spowodowało, że formalnie Polska nie znalazła się w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim. I znowu, jak dawniej w naszych dziejach ilekroć armie rosyjskie maszerowały na Polskę, ożywało w nas wspomnienie o Hunach i Mongołach.

Mimo, że z naszego grona najbliższych znajomych z kręgów oficerskich ubyli prawie wszyscy mężczyźni dowiedzieliśmy się, że w sztabie wileńskich jednostek wojskowych, uszczuplonych wymarszem głównych sił garnizonu na front a ponadto słabo uzbrojonych, rozgorzała ostra dyskusja, czy stawiać Armii Czerwonej zbrojny opór. Zdecydowano oddać miasto bez walki i dokonać natychmiastowej ewakuacji wojska na Litwę. Tę dramatyczną, ale chyba słuszną decyzję wielu Wilnian uznało za zdradę i żądało wydania broni. Najbardziej bojowo i patriotycznie nastawiona była młodzież uniwersytecka i gimnazjalna.

Kiedy megafony w mieście znów rozgłaszały fałszywe, pocieszające pogłoski o rewolcie w Niemczech, oraz wycofywaniu się niemieckiej i sowieckiej armii, wtedy właśnie, 18 września wieczorem, pierwsze czołgi sowieckie wtaczały się do miasta.

Nieliczne grupy obrońców usiłowały stawiać opór, ale po krótkich walkach czołgi te następnego dnia przedarły się w głąb śródmieścia i tegoż dnia Armia Czerwona zajęła ostatecznie Wilno. W sporadycznej obronie udało się między innymi jednym działkiem przeciwpancernym zniszczyć kilka czołgów nacierających od strony Antokola.

Muszę dodać, że w tych walkach liczny udział brali nasi starsi koledzy z gimnazjum A. Mickiewicza i J. Słowackiego.

Wielce wymownym i tragicznym zarazem był bierny opór kilku żołnierzy stojących na warcie honorowej przy płycie Marszałka na cmentarzu Rossa. Po odmowie opuszczenia stanowisk zostali bestialsko zastrzeleni. Do dziś, pochowani w grobach tuż przy płycie, pełnią tam swą wieczną wartę.

Zaraz po wkroczeniu bolszewików pojawiły się propagandowe ulotki wzywające żołnierzy do przechodzenia na stronę Armii Czerwonej oraz kłamliwe i haniebne odezwy do Polaków. Były one pisane okaleczonym polskim językiem i głosiły, że „niosą nam braterstwo i szczęśliwe życie". Rozlepiono również różne ohydne plakaty, spośród których pamiętam bojca przebijającego bagnetem Orła polskiego oraz wizerunek naszego chłopa witającego radośnie i całującego z wdzięcznością czerwonoarmistę – wybawiciela. Plakatom towarzyszyły też różne wrogie hasła, jak np. „Śmierć polskim pamieszczykom", czy „My was rozkułaczym".

Walkę zbrojną przeciwko nowemu agresorowi podjęły również pewne oddziały K.O.P.-u, Grupa Operacyjna Polesie gen. Kleeberga oraz inne pojedyńcze jednostki wojska polskiego. Były to bitwy pod Sarnami, Grodnem, Szackiem, Chełmem oraz bitwa pod Kodziowcami, gdzie odnieśliśmy nad bolszewikami największe zwycięstwo.

W tej walce obronnej wyróżniło się Grodno, najbardziej niepokorne na drodze sowieckich wojsk. W tym 60-tysięcznym mieście 101 pułk ułanów wraz z ludnością cywilną bronił się aż do 21 września niszcząc 22 czołgi wroga. Grodno zapłaciło za bohaterstwo wysoką cenę. Czerwoni barbarzyńcy po wkroczeniu do miasta mordowali i rabowali miejscową ludność a obrońców, którzy nieopatrznie pozostali, rozstrzeliwali na miejscu bez sądów.

To co mogliśmy zauważyć i co nas w pewnym stopniu zaskoczyło to to, że ludność białoruska nie stanęła po stronie „wybawicieli", lecz zachowała się biernie, mimo silnego podżegania i prowokacji ze strony różnych kryminalistów i mętów społecznych.

W momencie zajęcia Wilna przez bolszewików wśród mieszkańców panowało ogólne głębokie przygnębienie oraz niepokój i lęk przed czekającym nas niewiadomym jutrem. Ten ponury nastrój dziwnie kontrastował z piękną, słoneczną i suchą aurą, jaką obdarzył nas pamiętny wrzesień.

Moi rodzice, podobnie jak cała inteligencja wileńska, mając jeszcze żywo w pamięci wojnę 1920 r. z krwawymi i bandyckimi wyczynami bolszewików, mieli szczególne powody do ogromnego lęku i trwogi o nasz najbliższy los. Znana była niemal powszechnie zwierzęca ich nienawiść do polskiej inteligencji. Zwłaszcza ojciec, jako były ochotnik tamtej wojny, lekarz, a w dodatku dyrektor olbrzymiego szpitala, był tym bardziej narażony na niebezpieczeństwo. Nie było bowiem wcale takie pewne czy czerwoni nie będą się chcieli mścić za poniesioną klęskę. Przypominam sobie, jak ojciec w pośpiechu chował na strychu swoje papiery, fotografie i dokumenty wojskowe.

W domu panował nastrój zdenerwowania i niemal paniki. Mama wraz z pomocą domową robiły co mogły, by zgromadzić jakie takie zapasy żywności. Ojciec odpowiedzialny za cały szpital, klinikę oraz należący do szpitala 300-hektarowy majątek w Kojranach był prawie bez przerwy poza domem. Ja natomiast, przeważnie godzinami ślęczałem przy Telefunkenie, wyłapując i słuchając ostatnich wiadomości radiowych.

Broni się jeszcze Warszawa, Modlin i Hel. Poza suchym komunikatem o wkroczeniu wojsk sowieckich na tereny polskie, nie ma żadnego poważniejszego odzewu ze strony naszych zachodnich sojuszników. Jakby się nic nie stało. Europa przypatruje się naszej tragedii w milczeniu, jak gdyby w obawie by czasem jakimś zwykłym ludzkim odruchem, choćby wyrazem potępienia, nie narazić się bandyckim agresorom.

Napływają same złe wieści. Dowiadujemy się, że władze polskie wraz z licznymi oddziałami wojska przekroczyły granicę rumuńską. 20-tego września kończy się naszą porażką największa bitwa kampanii wrześniowej nad Bzurą. I wreszcie na koniec, świadomi poniesionej klęski, niezwykle silnie przeżyliśmy najpierw zamilknięcie radia Warszawa, a następnie kapitulację Stolicy.

Okupowane przez Sowietów Wilno opanowuje rozpacz i ogólna, niemal narodowa żałoba. Tylko społeczność żydowska przejawiała wyraźne zadowolenie witając bolszewików kwiatami i rosyjskimi okrzykami na ich cześć.

Duża część wileńskich Żydów momentalnie zaczęła tworzyć milicję ludową. Z karabinami i czerwonymi opaskami opatrzonymi w sierp i młot, z wyższością i dumą spoglądali na nas, jakby chcieli powiedzieć: „Teraz my wam pokażemy, Polaczki !" Nieprzyjemne również było to, że w swych umizgach do bolszewików nagle zapomnieli polskiego języka. Zaczęli udawać, że nie rozumieją po polsku i zmuszali mówić do siebie tylko po rosyjsku.

Ta nieoczekiwana ich postawa budziła wśród nas zrozumiałą odrazę i pogardę, godną jedynie sprzedawczyków i zdrajców. Mimo, że już dawniej wyczuwało się pewną niechęć Żydów do nas, to teraz otwarcie po raz pierwszy przekonaliśmy się o ich nielojalności wobec narodu polskiego oraz ich komunistycznym nastawieniu. Potem niestety w ciągu wielu, wielu następnych lat swym antypolskim zachowaniem utwierdzali nas tylko w tej negatywnej ocenie.

Zdawaliśmy sobie oczywiście sprawę, że nie wszyscy Żydzi byli tak entuzjastycznie nastawieni do bolszewików. Ale przecież wiedzieliśmy, że już w roku 1920 mocno popierali oni bolszewizm i uznawani byli powszechnie za zdrajców i renegatów. Ponadto wielu z nich, jako komunistyczni ateiści, wyklętych było zarówno przez społeczność katolicką, jak i przez samych ortodoksyjnych Żydów.

Na marginesie tych obserwacji zastanawialiśmy się nad brakiem lojalności naszych semickich braci. Kiedy się spojrzy głębiej w historię, widać jak często wchodzili oni w układy z wrogami krajów, które zamieszkiwali.

Wśród witających radośnie „wyzwolicieli" byli też niestety, na szczęście niezbyt liczni, polscy nie żydowscy komuniści. Wśród nich przewodzili między innymi – Stefan Jędrychowski, działacz lewicowy i publicysta oraz Jerzy Putrament, komunista, późniejszy pisarz.

Osobnym rozdziałem, wywołującym niebywałą sensację i zaskoczenie Wilnian, była sama wkraczająca zwycięsko armia bolszewicka. Ta „niepabiedimaja, kriestiańsko raboczaja Krasnaja Armia" przypominała bowiem bardziej hordy dzikich, śmierdzących, średniowiecznych Mongołów czy Tatarów, niż współczesne wojsko.

Przede wszystkim rzucał się w oczy ich ubiór. Był to widok niesamowity i straszny zarazem. Piechurzy mieli na sobie grube, długie aż do ziemi, szarobure, brudne i postrzępione szynele. Na nogach szare, rozczłapane, obłocone i wiązane sznurkami buty ze szmatławymi, czarnymi, często podartymi owijaczami. Na głowach charakterystyczne dziwne, spiczaste bolszewickie czapki zwane budionnówkami, o których żartowano, że ten wystający „cycek" jest po to, żeby wszy miały się gdzie gromadzić. Całość obrazu takiego bojca dopełniał równie oberwany i przywiązany sznurkiem do pleców worek, służący za tornister.

Podobnie wyglądali „kawalerzyści" na małych, zabiedzonych konikach, jak na tatarskich bachmatach, bez siodeł, podrygiwali niezgrabnie włócząc niemal nogami po ziemi.

Obraz nędzy i niewyobrażalnego prymitywizmu wzmagało jeszcze ich uzbrojenie, a zwłaszcza stare karabiny jeszcze z I wojny światowej z charakterystycznymi bagnetami przywiązanymi niechlujnie kawałkiem sznurka do luf.

Sowieckie czołgi wyglądały jak kupa żelastwa, czy starego szmelcu, brudne i umazane ropą i olejami. Podobnie samochody ciężarowe były jakimiś przedpotopowymi gratami, tak samo brudne i prymitywne. Dziwiliśmy się w jaki sposób to całe tałatajstwo potrafi się jeszcze poruszać.

U wielu Wilnian widok tego żołdactwa wywoływał śmiech i żarty. Ja sam miałem okazję przyglądać się temu osobliwemu widowisku. Miało to miejsce na placu św. Piotra i Pawła, kiedy to kolumny bolszewickie ulicą Antokolską wkraczały do miasta. Mnie jednak daleko było wtedy do śmiechu, a jedyną reakcją był jakiś okropny lęk i przerażenie. Wydawało się, że te odczłowieczone, dzikie istoty, pozbawione jakichkolwiek uczuć, zdolne są do wszystkiego, nawet najbardziej krwawych i okrutnych mordów.

Grozy i niesamowitości dodawały ich straszne, zdziczałe twarze – szare, brudne i umazane, o wystających kościach policzkowych, przymrużonych, wąskich i głęboko osadzonych oczach oraz mięsistych, niekształtnych nosach.

Jakby tego było mało, bił od nich już z daleka okropny smród, jakaś mieszanina dziegciu i juchty, potu i brudu zarazem, tak mocna, że wszystko było przesiąknięte tym ostrym, odrażającym zapachem. Wydawało się, że ta dzicz azjatycka przyszła jakby z innego świata, z innej epoki i z innej cywilizacji.

Sama myśl o tym, że takie prymitywne wojsko mogło bezkarnie zawładnąć połową naszego kraju, budziła sprzeciw, rozpacz, rozczarowanie oraz jak najgorsze refleksje.

Jak twierdzą dzisiejsi historycy, rzeczywiście ówczesna Armia Czerwona była wyjątkowo nędznie wyposażona i uzbrojona. Brakowało wszystkiego : żywności, paliwa, amunicji - brak było też środków łączności i wykwalifikowanej kadry dowódczej.

Wśród żołnierzy powszechny był świerzb i wszawica. Wojsko było jedną wielką zbieraniną ludzką, która mogła nam imponować jedynie liczebnością i dużą ilością broni pancernej. (ok. 4000 czołgów)

W Wilnie tymczasem zaczęły się poważne trudności zaopatrzeniowe, zwłaszcza w żywność. Jak już nadmieniałem, sytuację pogarszały jeszcze dziesiątki tysięcy uchodźców. Dla tej olbrzymiej rzeszy uciekinierów z zajmowanych przez Niemców terenów utworzono w mieście „Komitet Pomocy Uchodźcom", którego zadaniem obok wyżywienia było zdobycie dla tych ludzi jakiegoś dachu nad głową. Nota bene, wielkie zasługi na tym polu położył prof. Kazimierz Pelczar, bliski znajomy mojego ojca. O tej pięknej postaci będę jeszcze pisał przy innej sposobności.

Wkrótce po opanowaniu miasta przez czerwoną szarańczę rozpoczęło się oswobadzanie nas od wszystkiego, w pierwszym rzędzie od wszelkiej żywności. Nagle

wszystko ze sklepów poznikało. W plądrowaniu i szabrowaniu, masowo stosowanemu przez zwycięzców, pomagały różne męty społeczne i zwykli kryminaliści. Rabowano wszystko, co się dało : sklepy, magazyny, instytucje państwowe, fabryki i warsztaty pracy. Rabusie ośmieleni byli bezkarnością i panującym bezprawiem. Był przypadek, zapewne nie odosobniony, że w sąsiednim szpitalu wojskowym krasnoarmiejcy wyciągali prześcieradła spod chorych oraz zabierali buty. W naszym szpitalu na Letniej również obawiano się rabunku, ale widocznie chętnych odstraszało ewentualne spotkanie się z tzw, „wariatami".

Co najzabawniejsze, to ta cała wojskowa bieda z nędzą głosiła wokół, że oni wszystkiego mają pod dostatkiem. „U nas wsio jest'" i „Wsiewo mnogo" - wychwalali swój wspaniały dobrobyt radziecki.

Taką fałszywą i głupawą propagandę świetnie oddaje anegdotka, jak to dumny sałdat zapytany czy w Związku Radzieckim są pomarańcze, odpowiada, że jest mnóstwo bo są ich całe ogromne fabryki.

Ci bajcy zachowywali się trochę jak dzieci. Wszystko ich dziwiło, a zwłaszcza ogromna ilość towarów w sklepach. Rowery były ósmym cudem świata, nowością były polskie owoce, wędliny i bułki, a cukier wsypywali sobie do czapek, że nie wspomnę już o znanym powszechnie ich zauroczeniu zegarkami. „Czasy", tykające błyszczące cacko, to był szczyt marzeń i pragnień.

Początkowo, prawdopodobnie aby nie drażnić ludności, nowa władza starała się zachowywać względnie poprawnie. W rozlepianych rozporządzeniach czy ogłoszeniach nie było żadnych gróźb ani sankcji. Szybko jednak okazało się, że był to zwykły podstęp, aby uśpić naszą czujność.

Zakłamanie i fałsz coraz silniej widoczne były w postępowaniu Komendantury Wojskowej. Powoli, najpierw zaczęły się rewizje, gdzie w istocie głównie szukano złota, biżuterii i pieniędzy, a potem przyszły aresztowania tzw. elementów antysowieckich.

Rozpętała się cała wojna propagandowa zwrócona przeciw Państwu Polskiemu i polskiej inteligencji. Pojawiły się obraźliwe i haniebne epitety w rodzaju „burżujska swołocz", „bandy polskich oficerów", „kułackie mordy", czy tym podobne. Wypisywano różne brednie, między innymi jak to lud polski był dręczony i męczony przez obszarników i panów.

Dla nich każdy dobrze ubrany Polak był potwierdzeniem, że tu u nas sami burżuje. Już takie akcesoria jak kapelusz, parasol, rękawiczki czy krawat świadczyły, że mają do czynienia z „niebłagonadziożnym" wrogiem ludu i niebezpiecznym elementem. Natomiast okulary oraz gładkie, czyste ręce wskazywały niezbicie na inteligenta, kapitalistę, krwiopijcę i wszystko co najgorsze. Strach było wyjść na ulicę.

Za wojskiem zjawiło się szybko sowieckie gestapo, czyli NKWD, które zajęło duży budynek Sądów przy ul. Mickiewicza, róg Ofiarnej. Coraz częściej widywało się ich sino-niebieskie czapki z czerwonym otokiem.

Pierwsze aresztowania i wywózki objęły kilkaset osób z najwyżej postawionej polskiej inteligencji, Wśród nich znalazło się między innymi trzech profesorów USB, prezydent i wiceprezydent miasta oraz prezesi i dyrektorzy banków i większych urzędów. Aresztowano także dwóch braci Józefa Piłsudskiego, Kazimierza i Jana. Jak się później okazało wszyscy zginęli bez wieści - prawdopodobnie zostali zamordowani.

Ulice i gmachy zaczerwieniły się od wszelakich transparentów propagandowych, czerwonych gwiazd pięcioramiennych i krasnych flag ozdobionych sierpem i młotem. Ta cała

dekoracja i ohydne szmaty sprawiały nieprzyjemne wrażenie taniej i brzydkiej tandety. Miasto powoli traciło swój polski, swoisty charakter.

Strach i groza, jaką powiało w naszym najbliższym środowisku po wejściu bolszewików do Wilna, nie była bezzasadna. W tym czasie wiedzieliśmy już sporo o narodzinach wynaturzonego sowieckiego komunizmu, oraz o rewolucji 1917 roku i jej zbrodniczym charakterze.

Mieliśmy w domu parę bardzo ciekawych i znanych książek o bolszewickiej Rosji. Między innymi były to książki prof. M. Zdziechowskiego, jednego z najwybitniejszych umysłów ówczesnej Polski. Pamiętam jego publikację „W obliczu końca", gdzie autor na podstawie własnych doświadczeń doznanych w Rosji w czasie rewolucji, przedstawia jej krwawy terror i snuje pesymistyczny pogląd na ekspansję bolszewizmu w Europie. Zwraca też uwagę na jego zdeprawowanie i głęboko w nim zakorzenione zło. Już wtedy przepowiadał wielką katastrofę światową – i jak się okazało miał rację.

Znana była też książka J. Parandowskiego o bolszewizmie, w której autor ze zdumiewającą przenikliwością ukazał barbarzyńską istotę leninowskiego komunizmu i przestrzegał przed rodzącym się totalitaryzmem sowieckim. Lenina określał jako niebezpiecznego i szkodliwego fanatyka o płytkiej umysłowości.

Ale chyba najciekawszą książką była bardzo wtedy popularna powieść Ferdynanda Ossendowskiego p.t. „Lenin". W niej to pisarz i podróżnik znający doskonale realia rosyjskie, przedstawia Lenina bez ogródek, jako żądnego władzy, bezwzględnego i krwawego kata własnego narodu. Autor opisuje jak w imię stworzenia leninowskiego raju na ziemi rozpoczął się gigantyczny mord i nieznane dotąd na tak wielką skalę prześladowania i bezprawie. W wyniku tego Rosja ogarnięta strachem i jakimś egzaltowanym szaleństwem, oszołomiona upiorną iluzją, że „każdy otrzyma tyle ile zechce", niszczy gospodarkę i likwiduje najwartościowszych i najmądrzejszych swoich obywateli, głównie inteligencję. Z winy Lenina popłynęła rzeka krwi i zginęły dziesiątki milionów ludzi. Pod przykrywką „dyktatury proletariatu" wódz sam się ogłosił dyktatorem, a przemoc uznał za główną zasadę bolszewizmu. Również obłuda i kłamstwo kryło się w fundamentalnych hasłach rewolucyjnych, gdyż wiadomo było, że w jego państwie robotniczym ani proletariat, ani robotnicy nie odgrywali żadnej roli, z wyjątkiem chyba uczestniczenia w aparacie terroru.
Książka ta w czasach PRL-u uważana była za paszkwil i znajdowała się na indeksie. Jako ciekawostkę dodam, o ile dobrze pamiętam, otrzymaliśmy ją od bratanka autora, dr Aleksandra Ossendowskiego, którego znał dobrze ojciec, występując z nim razem jako biegły w sądach wileńskich.

Dla mnie, pewną niespodzianką był też negatywny stosunek do wodza rewolucji X. Dunikowskiego, naszego czołowego artysty rzeźbiarza, który niestety po wojnie uległ pewnemu konformizmowi twórczemu. W latach 50-tych ten bezkompromisowy artysta nadał popiersiu Lenina cechy istnie diaboliczne. Pokazana w Moskwie rzeźba wywołała prawdziwą konsternację i osłupienie. Na marginesie warto dodać, że Dunikowski na zamówienie Bieruta podobnie potraktował Stalina. Przedstawił go jako potężne monstrum w budionówce na głowie. Posąg ten podobał się, a równocześnie przerażał. Nie został jednak, jak przewidywano, zrealizowany.

3. Litwa i konflikt polsko-litewski

Zanim przejdę do nadchodzącej litewskiej okupacji Wilna oraz roli Litwinów w ostatniej historii tego miasta, warto przypomnieć genezę narastającego od wieków konfliktu polsko-litewskiego. Jest to o tyle ważne, że właśnie z dawnych zaszłości zrodziło

się nacjonalistyczne i antypolskie nastawienie Litwinów, którzy do dziś nie mogą nam wybaczyć historycznej, 500-letniej dominacji.

Zbliżenie Polski i Litwy zaczęło się od przymierza Łokietka z Gedyminem oraz małżeństwa córki księcia, Aldony, z Kazimierzem Wielkim. Decydująca była tu pierwsza umowa polsko-litewska zawarta w Krewie w 1385 r., w obliczu wspólnego zagrożenia przez Krzyżaków. Wówczas Litwa, dodatkowo zagrożona przez Ruś i nowopowstałe Państwo Moskiewskie, zobowiązała połączyć się z Polską i przyjąć wiarę chrześcijańską. Konsekwencją tego było małżeństwo Jadwigi z Jagiełłą i początek 200-letniego panowania Jagiellonów. Trzeba przypomnieć, że przez te związki z Litwą zostaliśmy wciągnięci w długoletnie wojny z Moskwą.

Zacieśnienie stosunków obu narodów następowało przez kolejne unie, by w końcu Unią Lubelską w 1569 r. zakończyć ostatecznie proces integracyjny. Powstała wtedy Rzeczpospolita Obojga Narodów.

Związek Korony i Litwy przetrwał aż do rozbiorów Polski. Potem jego tradycje objawiały się w polszczeniu się Litwy i Zachodniej Białorusi. Dopiero od końca XIX w. rozwój odrębnej świadomości narodowej Litwinów doprowadził po I wojnie światowej do konfliktu z Polską.

Kilkusetletnie, bliskie stosunki polityczne z większą i potężniejszą Polską, stojącą ponadto na wyższym poziomie cywilizacyjnym, były przyczyną dominacji Korony i stopniowej polonizacji Litwy. Było to przede wszystkim oddziaływanie intelektualne i duchowe poprzez myśl i kulturę.

Dużą rolę w tym procesie odegrała chrystianizacja Litwy.. W kościele litewskim i w klasztorach panowała ogólna hegemonia Polaków. Poprzez kościół cywilizacja zachodnia płynęła z Polski na Litwę.

Już na początku XV w., najpierw drobna szlachta, a potem elity kulturalne zaczęły osiedlać się na ziemiach litewskich. Równocześnie na jej wzór powstawała szlachta litewska, przejmując od nas tradycje i obyczaje. Silnie polonizowały się też bogate rody magnackie.

W XVIII i XIX wieku, bez nacisków polonizacyjnych, lecz na skutek samopolszczenia się nastąpiło takie zespolenie obu narodów, że mieszkańcy tych terenów czuli się zarówno Litwinami jak i Polakami, a pojęcie Litwa nabrało charakteru dzielnicowego.

Żeby nie być posądzonym o jednostronne naświetlenie przedstawionych związków polsko-litewskich dodam, że podobne poglądy wyrażali liczni znajomi Litwini w rozmowach z moim ojcem, w czasie jego pobytu na Litwie.

Po I wojnie światowej i po upadku trzech mocarstw zaborczych, kiedy zaczęły się odradzać ujarzmione narody i powstawać nowe państwa, Litwini, podobnie jak Polacy, marzyli o niepodległości. Obudzona świadomość narodowa i nostalgia za dawną Wielką Litwą przypominała o Polsce, która w ciągu wieków tak skutecznie spolonizowała litewskie elity intelektualne i społeczne. Przypominała też o sprawie odzyskania Wilna.

Zadawniony uraz szybko przekształcił się w jawną nienawiść.

Ponieważ Litwa, poza małym swym etnicznym terytorium nadbałtyckim, nie miała żadnych szans na odzyskanie swych rozległych ziem od Rosji Sowieckiej, skupiła swe roszczenia na ziemi wileńskiej, a zwłaszcza na jej historycznej stolicy, Wilnie. Kłopot polegał na tym, że te ziemie i miasto w przytłaczającej większości zamieszkane były przez ludność polską, a już w najmniejszym stopniu przez Litwinów. Przypomnę, że w 1939 r. w Wilnie było 0,7% ludności litewskiej.

Próbując znaleźć uzasadnienie litewskości ziemi wileńskiej próbowano nam wmówić, że na Wileńszczyźnie nie było żadnych Polaków, a jedynie polskojęzyczni Litwini, jakby tutejsi. Było to oczywiście czystym absurdem.

Decydujący moment konfliktu nastąpił po wojnie polsko-bolszewickiej, kiedy Litwini zaślepieni nienawiścią do Polski, stanęli po stronie Rosji Sowieckiej. W ten sposób przybył nam już jawny wróg, wobec którego, jako sprzymierzeńca bolszewików, trzeba było użyć siły.

Ciągle jednak istniał dylemat czy Litwinów należy traktować jak swoich, czy jak obcych. Jak ziomków tej samej Rzeczpospolitej, czy jak sąsiadów. Charakterystyczny był apel wystosowany do polskich żołnierzy idących przeciw Litwinom w 1920 r. : „Nie idźcie w pole z nienawiścią, jak przeciw wrogowi śmiertelnemu, lecz jak przeciw braciom zbłąkanym."

Nic już jednak antagonistycznego w stosunku do nas nastawienia litewskiego nie zdołało zmienić ... niestety, aż po dzień dzisiejszy.

Z relacji naszych przyjaciół Wilnian o wrogiej postawie Litwinów do nas wiedzieliśmy już coś niecoś jeszcze przed wojną. Również rodzice opowiadali jak butnie i arogancko zachowywało się wobec Polaków kilku Litwinów którzy odwiedzali od czasu do czasu wspomnianą cukiernię Rudnickiego i w jaki awanturniczy sposób domagali się od właściciela pism w języku litewskim. Nikt jednak nie przypuszczał, jak dotkliwie odczujemy to, my Polacy, już niebawem w Wilnie.

Zaraz po wybuchu wojny Litwa ogłosiła neutralność, ale nie przestała myśleć o odzyskaniu swej dawnej stolicy, która od przynajmniej dwóch wieków była czysto polskim miastem. 10 października Litwa zawiera ze Związkiem Sowieckim pakt, dzięki któremu za udostępnienie na swym terytorium baz wojskowych otrzymuje upragnione Wilno z częścią Wileńszczyzny. Stalin przekazał Wilno, jako wspaniałomyślny dar, wiedząc doskonale, że już niedługo odbierze je wraz z całą Litwą.

Litwa szalała z radości. Od dawna ich propaganda rozpowszechniała kłamliwe pogłoski o nieszczęśliwym Wilnie, którego ludność z utęsknieniem oczekuje przyłączenia do litewskiej macierzy.

Litwini niecierpliwie szykowali się do wkroczenia na odzyskane tereny, ale bolszewicy z rozmysłem zwlekali. Chcieli mieć dostateczny czas na jak najdokładniejsze obrabowanie z wszystkiego oddawanych ziem i miasta. A rabowano i ogołacano z dóbr materialnych bez opamiętania. Wywożono całe fabryki, zabrano milion ton węgla z zapasów zgromadzonych na placach dworca towarowego, zabierano liczne materiały budowlane, zrywano nawet blachy z domów i wyrywano szyny kolejowe. Rabowano też skarby kultury - biblioteki, muzea i archiwa. U nich wprawdzie „wsio jest'", ale wszystko się przydawało. Słuchaliśmy o tym i obserwowaliśmy to z przerażeniem.

28 października 1939 r. oddziały litewskie uroczyście wkroczyły do Wilna witane entuzjastycznie przez garstkę Litwinów i niewielkie grupy Żydów.

Wraz z wojskiem napływało z Kowna i Żmudzi coraz więcej Litwinów, którzy obsadzali wszystkie ważniejsze urzędy i całą administrację. Fala aktywistów litewskich objęła handel, porządek publiczny i bezpieczeństwo, wraz z ich słynną bezpieką „Saugumą".

Trudną sytuację zaopatrzeniową miasta nowe władze rozwiązały częściowo w zakresie żywności, przywożąc ze sobą spore ilości produktów mięsnych i mleczarskich.

Litwini chcieli w ten sposób nam zaimponować swą gospodarnością i bogactwem oraz zjednać sobie i zdobyć wdzięczność Wilnian.

Bardzo szybko jednak ich poczynania nabierały charakteru coraz bardziej antypolskiego, przeradzając się w otwartą wobec nas wrogość.

W sklepach ze wspomnianą żywnością „Maistas" i „Pienocentras" sprzedawano tylko za walutę litewską, lity, której niestety my Polacy w większości nie posiadaliśmy. Również coraz częściej szowinistycznie nastawieni sprzedawcy odmawiali sprzedaży jeśli używało się języka polskiego. Traktowano nas oschle i ostentacyjnie nieżyczliwie. Pamiętam ile poniżenia musiała czasem doznać moja mama, żeby coś kupić i jak zbulwersowana wracała z zakupów. Wymiana złotych na lity odbywała się opieszale i była nie tylko ograniczona kwotowo, ale też dla nas mocno krzywdząca.

Wszystko to nie wróżyło nam nic dobrego – i rzeczywiście...

Zaczęły się masowe zwolnienia z zajmowanych dotychczas miejsc pracy, bez jakichkolwiek odszkodowań czy odpraw, a także bez możliwości przeniesienia na inne stanowisko. Wzięto się też za oświatę. Zwalniano nauczycieli i profesorów, m.in. w listopadzie usunięto z Uniwersytetu rektora St. Ehrenkreuza. Zamknięto część szkół średnich i zabroniono noszenia mundurków gimnazjalnych. Wprowadzono też zakaz gromadzenia się grup powyżej 5 osób i dłuższego zatrzymywania się na ulicach i placach. Zakazano wszelkich manifestacji, śpiewów i agitacji.

Nacjonalizm litewski na każdym kroku likwidował bez skrupułów najmniejszy nawet objaw polskości. Rozpoczęło się gwałtowne odpolszczanie Wilna. Znikały polskie nazwy i napisy, zmieniano pospiesznie nazwy ulic, nakazano wymianę szyldów i napisów informacyjnych.

Pojawiła się policja litewska. Największym zaskoczeniem, w pierwszej chwili, było dla nas jej umundurowanie. Budziło nie tylko zdumienie, ale wręcz śmiech i żarty. Były to bowiem stroje bardziej przypominające operetkę, bądź cyrk, niż ubiór poważnych, policyjnych stróżów porządku.

Ich czerwono-niebiesko-białe, udziwnione i bogate mundury błyszczące od guzików i innych świecidełek, ich kolorowe, wysokie czaka zakończone śmiesznymi, wielkimi i podłużnymi pomponami, czyniły z nich postacie komiczne i jakby nie z tej epoki. Ten zabawny widok potęgował jeszcze nienaturalny wzrost (powyżej 1.80 m), napuszone i dumne miny oraz wystudiowany paradny krok. Nazywaliśmy ich urągliwie „kałakutasami", czyli indykami.

Wkrótce jednak przestało nam być do śmiechu, kiedy poszły w ruch policyjne pałki używane w sposób brutalny i bezwzględny, a w dodatku często bez wyraźnego powodu. Miało to nas Polaków nauczyć szacunku i posłuszeństwa dla nowej władzy. Do tego antypolskiego kursu przyłączyły się też niestety spore grupy naszych semickich współmieszkańców.

Z licznych incydentów pobicia, pamiętam jak rodzice, a zwłaszcza ojciec, przeżył skandaliczne i ciężkie spałowanie dr W. Ligiejki, które szerokim echem rozeszło się po całym Wilnie. Pobicie nastąpiło kiedy doktor odezwał się po polsku.

Na skutek tych szykan i jawnie okazywanej nienawiści, w społeczeństwie pojawiła się chęć wzmożonego manifestowania polskości. Pierwsze niepokoje ludności zaczęły się od 20 tysięcznej polskiej manifestacji, która w dniu 1 listopada, idąc na cmentarz Rossa, zwarła się z wojskiem litewskim. W 10 dni później, z okazji rocznicy odzyskania niepodległości,

miało miejsce podobne antylitewskie i antyżydowskie wystąpienie. Liczne tego rodzaju zajścia uliczne były protestem i odwetem za antypolskie poczynania Litwinów.

Osobnym miejscem demonstracji były kościoły. Kiedy na zakończenie mszy świętej Polacy śpiewali „Boże coś Polskę", specjalne bojówki Litwinów wmieszane w tłum wiernych, urządzały kontrśpiewy, burdy i bójki. Najczęściej podobne szowinistyczne wybryki odbywały się w jednym z największych kościołów wileńskich św. Kazimierza. W tej sprawie polskie duchowieństwo wysyłało nawet skargi do Watykanu.

Naturalnie, fala litewskich represji i szykan nie mogła ominąć także naszej rodziny, a zwłaszcza ojca. Już w listopadzie zwolniono go z zajmowanego stanowiska dyrektora Szpitala. Jego miejsce zajął, wrogo nastawiony do Polaków lekarz litewski, który z miejsca zaczął stosować wobec większości psychicznie chorych okrutne i niedopuszczalne metody eksterminacji. Na tym tle doszło ze strony ojca i innych lekarzy do ostrych protestów.

Problem eutanazji, a w tym zabijanie uznanych za nieuleczalnie chorych pacjentów, uznawany był, i jest obecnie, przez cały cywilizowany świat za nieludzki i sprzeczny z podstawowymi zasadami etyki. Litwini w swej nienawiści do Polaków skwapliwie wykorzystali praktyki hitlerowskie oparte o wymyśloną przez Niemców teorię „życie nie godne życia", które pozwalały im na mordowanie kalek i ciężko chorych.

Wkrótce po zwolnieniu ojca, otrzymaliśmy nagły nakaz eksmisji z zajmowanego mieszkania, i to w ciągu zaledwie 24 godzin. Cudem znaleźliśmy mieszkanie w pobliskiej dzielnicy Zarzecze. Było ono jak na nasze potrzeby o wiele za duże i niestety z ogrzewaniem piecowym, co wobec nadchodzącej bardo mroźnej zimy wróżyło dodatkowe kłopoty z opałem. Trudno było jednak w tych warunkach grymasić. Bardzo szybko doświadczyliśmy na sobie jak ciężko było o opał. Zdobywanie drewna wymagało dużego wysiłku, a i nie mało szczęścia. O węglu nawet trudno było marzyć, gdyż był to niedostępny rarytas. Nie zapomnę, jaką wielką radość i frajdę zrobił nam jeden z pacjentów ojca, uiszczając należne za wizyty honorarium w kilku workach węgla.

Dużym zmartwieniem było, że ojciec, jako wyjątkowo wrogi element, otrzymał coś w rodzaju „wilczego biletu" z zakazem jakiegokolwiek zatrudnienia. W tej sytuacji oczywiście nie mógł znaleźć żadnej stałej pracy i był zmuszony rozpocząć praktykę prywatną.

Po tych dramatycznych przejściach rodzinnych przejdę do mojej skromnej osoby. Jak już wspomniałem w gimnazjum, wobec tragicznych wydarzeń, które przeżywało Wilno i cały kraj, nastąpiła kilkutygodniowa przerwa w nauce. W październiku sytuacja się nieco unormowała i lekcje odbywały się w miarę regularnie.

Wroga ingerencja władz litewskich w polskie szkolnictwo wzmagała się z dnia na dzień. Młodzież gimnazjalna co jakiś czas demonstrowała swoją polskość i sprzeciw wobec stosowanych restrykcji.

Na początku grudnia, kiedy zwolniono dyrektorów i dużą część nauczycieli, w większości szkół średnich wybuchły strajki uczniowskie. Nasze męskie gimnazjum Mickiewicza i Słowackiego spontanicznie włączyło się do tych akcji protestacyjnych. Strajk trwał kilka dni nabierając stopniowo charakteru okupacyjnego. Żądaliśmy przywrócenia do pracy naszych profesorów i protestowaliśmy przeciw narzuconemu nam obowiązkowemu językowi litewskiemu.

Wobec przedłużającego się buntu i braku nań jakiejkolwiek reakcji pozostawaliśmy zabarykadowani w poszczególnych klasach. Na skutek dotkliwego zimna, jakie odczuwaliśmy, aby się dogrzewać paliliśmy wewnątrz ogniska ze starych ławek i krzeseł. W końcu nastąpił atak policyjnych „kałakutasów", którzy po sforsowaniu bramy na podwórze

oraz głównego wejścia, rozpoczęli na nas polowanie. Nie obyło się ono bez brutalności i bez pomocy broni palnej. Nie zapomnę swej ucieczki, kiedy to cichaczem, przez położone na tyłach piwnice, wydostałem się z budynku, a następnie okrężną drogą szczęśliwie dotarłem do domu.

Finałem naszej demonstracji były liczne zatrzymania i aresztowania oraz całkowite zamknięcie gimnazjum. Po pewnym czasie ogłoszono ponowne zapisy, żądając jednak jako warunku dalszej nauki podpisania aktu lojalności wobec władz litewskich. Wówczas to rodzice zrezygnowali z kształcenia mnie dalej w tym gimnazjum.

Jak się później okazało, tylko nieznaczna część uczniów postąpiła tak samo i większość powróciła do nauki na żądanych warunkach. Było to dla nas niemiłym zaskoczeniem zwłaszcza, że podobnie postąpiono również w innych szkołach średnich.

W kilka dni po naszym strajku zamknięto dla Polaków Uniwersytet Wileński. Otrzymanie indeksu uzależniono od przyjęcia obywatelstwa litewskiego. Nawet tu jednak wprowadzono dodatkowe utrudnienia. Odnośna ustawa bowiem wymagała przynajmniej 18 lat zamieszkiwania na terenie obecnej Litwy, ale jednocześnie, co było prawdziwym kuriozum, nie zaliczała do tego okresu 19 lat między rokiem 1920 a 1939. Tak więc praktycznie Wilnianie mieli ewentualną szansę studiowania, nie wcześniej niż po 37 roku życia.

Wracając do mojej edukacji, to udało nam się znaleźć nowoutworzone, koedukacyjne gimnazjum dla uchodźców. Znajdowało się ono na Placu Ratuszowym od strony ul. Niemieckiej. Była to szkoła o stosunkowo niskim poziomie, ale nie wymagała żadnych wstępnych deklaracji. Niestety, jak we wszystkich wileńskich gimnazjach obowiązywał tu dodatkowo język litewski.

Korzystając z okazji, chciałbym temu językowi poświęcić nieco więcej miejsca. Był on przede wszystkim dla nas kompletnie niezrozumiały i niemal egzotyczny. Nic dziwnego, skoro należał do grupy języków bałtyckich, dalekiej od znanej nam nieco rodziny słowiańskiej, romańskiej czy germańskiej.

Współczesny język litewski jest językiem bardzo młodym, który formował się dopiero w końcu XIX wieku, a potem, jeszcze stosunkowo niedawno, był parę razy reformowany i zmieniany. Dzisiaj językiem tym posługuje się zaledwie niecałe 3 miliony ludzi.

Na Litwie język właściwie nigdy nie był decydującym czynnikiem integracyjnym, nie dawał też poczucia jakiejś odrębności narodowej. W Wielkim Księstwie Litewskim, jako państwie wielonarodowym sprawy językowe schodziły na drugi plan. Interesujące jest to, że większość posługiwała się ruskim, a polszczyzna, jako mowa najbardziej wykształconej i cywilizowanej części tego terytorialnego molocha, stała się oznaką nobilitacji, szlachectwa i wysokiej pozycji społecznej. Ta rola języka polskiego przetrwała aż do czasów międzywojennej, niepodległej Litwy. Cała inteligencja litewska, zarówno przed, jak i w czasie wojny, znała doskonale język polski. Posługiwanie się nim było modne i świadczyło o wyższym poziomie wykształcenia.

O tym miał okazję przekonać się osobiście mój ojciec podczas wygnania na Litwę. Na marginesie trzeba dodać, że w tym czasie, jako zapalony lingwista, ale też w dużej mierze z konieczności życiowej, dobrze opanował język litewski. Pamiętam, jak zawsze podkreślał ze znawstwem dziwaczność jego konstrukcji, sztuczność i ubogie słownictwo.

Po zajęciu Wilna przez Litwę, jego gwałtowną lituanizację i walkę z polskością rozpoczęto właśnie od rugowania, gdzie to tylko możliwe, naszego języka i wprowadzanie na to miejsce litewskiego.

Hipertrofia litewskich uczuć narodowych i chęć usuwania wszystkiego co polskie powodowała nawet w najbardziej błahych sprawach zaskakujące posunięcia.

Takim niespotykanym w innych krajach dziwadłem była maniera zmiany polskich nazwisk na litewskie. Polegało to w większości przypadków na dodawaniu końcówek : dla mężczyzn – „is", „as" lub „ius", dla kobiet „ienie", a dla panien „ajtie". Tak więc na przykład nasze nazwisko brzmiało Vitekas, ale już matki Vitekienie, a przykładowo małżeństwo Kowalskich z córką musiało się nazywać : Kowalskis, Kowalskiene i Kowalskajtie. Nie dość tego, wiele nazwisk odsłownych zamieniane było poprzez dosłowne tłumaczenie na litewski. Np. Wróbel przechodził na Żwirblis, a Kowal na Kálvis, potrafiono też np. z Zajączkowskiego zrobić Kiškisa, co znaczy po litewsku zając. Chodziło o to, aby nowe nazwiska jak najmniej przypominały polskie. Podobnie zresztą było z imionami.

Ciekawym wybrykiem językowym była też zmiana odwiecznej nazwy rzeki Wilii na Neris, ale tylko na odcinku Litwy, natomiast ta sama rzeka na terenie Białorusi dalej nazywała się Wilia.

Przy takiej wrażliwości nacjonalistycznej nowych okupantów trudno się było dziwić, że w szkołach wprowadzono obowiązkową, intensywną naukę języka litewskiego. To posunięcie uzasadniać miały oficjalne rozporządzenia władz o wyłącznym używaniu tego języka we wszystkich biurach i instytucjach. Nie trzeba nadmieniać, jak wielkim do było dla nas utrudnieniem.

W tych warunkach zrozumiałe, że Litwini wprowadzili do wszystkich szkół swój język. Tak więc i mnie przyszło uczyć się obcej i nikomu nie potrzebnej, a w dodatku niemiłej mowy litewskiej. Na szczęście trwało to krótko, bo po skończeniu trzeciej klasy przerwałem naukę w gimnazjum.

Początkowo moje nauczanie litewskiego ograniczało się prawie wyłącznie do wkuwania na pamięć tekstu litewskiego hymnu narodowego oraz litewskiego brzmienia Międzynarodówki. Początek hymnu niemal żywcem wzięto z Mickiewicza : „Lietuva Tevijné Musu" (Litwo Ojczyzno Nasza). Międzynarodówka zaś zaczynała się czymś w rodzaju : „Pirmin wieżgaj nužamintiei".

Trzeba dodać, że późniejsza nauka rosyjskiego polegała również głównie na śpiewaniu podobnych hymnów, a ponadto na uczeniu się na pamięć apologetycznych wierszy o wielkich wodzach, Stalinie i Leninie. Aby wyrazić swą radość z bolszewickiego wyzwolenia musieliśmy też ciągle śpiewać radosne i pełne szczęśliwości piosenki ludu radzieckiego, z których najpopularniejsza była wtedy słynna „Katiusza" :

„Wychadziła na biereg Katiusza
na wysokij, na biereg krutoj.
Wychadziła, pieśniu zawadiła ..."

4. Ponowna okupacja sowiecka

Zima tego roku była wczesna, mroźna i śnieżna. Czas mijał, a warunki bytowania stawały się coraz trudniejsze i to nie tylko ze względu na aurę czy niedostatki materialne, ale też głęboko przygnębiające nastroje, które wciąż nas nie opuszczały. Mieliśmy ciągle w pamięci dramatyczną i krótką walkę z hitlerowskim najeźdźcą i coraz dotkliwiej odczuwaliśmy bolszewicko-litewski zabór.

Wojna jakby przycichła, a Zachód niepokojąco milczał. Wiedzieliśmy już o powstaniu w Paryżu prawomocnego Emigracyjnego Rządu Polskiego z gen. Władysławem Sikorskim jako premierem i jednocześnie Naczelnym Wodzem tworzącej się we Francji armii polskiej. Armia ta stale rosła i już w następnym roku liczyła 85 tysięcy żołnierzy.

Nadchodził rok 1940. W międzyczasie, niespodziewanie wojska spod znaku czerwonej gwiazdy uderzyły na Finlandię. Związek Sowiecki został wykluczony z Ligi Narodów, a nieporadność i niepowodzenia Czerwonej Armii z tak nieliczną ale dzielną armią fińską cieszyły nas niepomiernie.

Wojnę tę, która trwała przez całą zimę, śledziliśmy pilnie mając nadzieję, że być może rozszerzy się ona na nowych przeciwników Moskwy. Nic takiego jednak nie nastąpiło, a konflikt zbrojny zakończył się sukcesem Finów, którzy nie dopuścili do zajęcia kraju a utracili jedynie kilka niewielkich obszarów swego terytorium.

Niedługo po tych wydarzeniach ruszyła lawina niemieckich sukcesów na froncie zachodnim, a z nią nowe nasze rozczarowania i utrata wszelkiej nadziei na szybkie zakończenie wojny.

Zaczęło się od zajęcia bez jednego wystrzału Danii i lądowania wojsk hitlerowskich w Norwegii. W miesiąc później, 10 maja, Niemcy uderzyły na Francję przez Belgię i Holandię. Zaskoczone dywizje francuskie wycofały się w głąb kraju prawie bez walki. 14 czerwca Niemcy zajęli Paryż, a potężna Francja skapitulowała.

Niemal równocześnie, jak gdyby to było umówione, zazdroszcząc Hitlerowi takich zdobyczy terytorialnych, do akcji ruszył przyjaciel Berlina, Stalin. Korzystając z zamieszania i oszołomienia świata wobec zaskakującej francuskiej klęski, sowieccy wyzwoliciele wkroczyli do państw bałtyckich, Litwy, Łotwy i Estonii, a zaraz potem zagarnęli rumuńską Besarabię i Północną Bukowinę.

W ten sposób Wilno już po raz trzeci w tej wojnie zmieniło okupanta. I tym razem bolszewicy przyszli „na prośbę" uciskanego przez burżuazję ludu.

15 czerwca zajęcie miasta odbyło się spokojnie i tak jakby po cichu, bo prawdę mówiąc, Sowieci Wilna tak do końca nie opuścili. Agendy NKWD przez cały czas dyskretnie działały, a na wiosnę tego roku były już niemal jawne.

Litewscy komuniści mieli już przygotowaną odpowiednią kadrę. Po zarządzonych „wyborach" sejm powziął szybką i entuzjastyczną uchwałę o przyłączeniu Litwy do Związku Sowieckiego i wystąpił z taką „prośbą" do Moskwy. Na początku sierpnia Litwa wraz z Wilnem i Wileńszczyzną została oficjalnie przyjęta i stała się Republiką Radziecką.

Na Łotwie i w Estonii w tym samym czasie zastosowano ten sam scenariusz. Należałoby tu uzupełnić, że prezydenci tych niepodległych krajów zostali z miejsca aresztowani i straceni. Jedynie litewskiemu prezydentowi udało się uciec do Niemiec.

Po ponownym wejściu bolszewików znowu wróciła trwoga i niepewność jutra. Trzeba jednocześnie przyznać, że paradoksalnie zarówno nasze najbliższe środowisko, jak i przypuszczalnie duża część społeczeństwa polskiego odczuła pewną, choć niestety chwilową, ulgę i rodzaj zadośćuczynienia za doznane w ciągu ostatnich 8 miesięcy litewskie szykany i dyskryminację. Zelżały nieco represje narodowościowe, wolno już było mówić po polsku, a w sklepach zaczęto rozumieć nasz język.

Dla nas Polaków zaczęła się druga sowiecka okupacja. Szczęśliwie, z powodu braku obywatelstwa litewskiego, nie braliśmy udziału w zaaranżowanych wyborach.

Kościół Św. Anny

WILNO

Zaułek Św. Ignacego

Zaułek Św. Kazimiera

WILNO

Zarzecze - Brama i Kalcaty Św. Bartłomieja

Jednakże, powoli zaczynały się znowu aresztowania i deportacje inteligencji, jak również wśród pierwszych powstałych polskich organizacji podziemnych.

Tym razem wzięto się też, po raz pierwszy, za niewygodnych i „niebłagonadziożnych" Litwinów. Wśród ludności litewskiej powstał popłoch. Litwini nie bardzo wiedzieli jak się wobec Sowietów zachować. Na współpracę z bolszewikami zdecydowali się już 20 lat wcześniej, uważali ich dotąd za swoich sprzymierzeńców i dobroczyńców, bo przecież od nich dostali zagrabione Polakom Wilno.

Teraz Stalin zabrał im nie tylko ten wcześniejszy, łakomy podarunek, ale co najważniejsze pozbawił ich kraj niepodległości. Popularne, powszechnie powtarzane w Wilnie i wielce znamienne stało się litewskie powiedzenie: „Vilnius musu a Lietuva rusu" – Wilno nasze a Litwa rosyjska.

Tymczasem na nasze kłopoty i trudności codziennego bytu nakładały się napływające ciągle smutne i niepomyślne wieści o europejskich wydarzeniach polityczno-wojennych.

Jakby nie dość było porażającej i haniebnej kapitulacji Francji, do wojny po stronie Niemiec przyłączają się faszystowskie Włochy. Hitler zajmuje już pół Europy i uruchamia na tym terytorium ogromny przemysł zbrojeniowy.

Równocześnie w sierpniu, z udziałem polskich lotników, rozpoczyna się wielka bitwa powietrzna o Wielką Brytanię. Masowe bombardowania miast angielskich były przygotowaniem do planowanej inwazji na Wyspę. Ten epizod działań wojennych śledziłem ze zdwojoną uwagą ze względu tak na udział w nim Polaków, jak i moje specjalne zainteresowania współczesnym lotnictwem wojskowym.

Do nas, do Wilna, wszystkie te wiadomości dochodziły bądź przez miejscową prasę, bądź przez rozgłośnię BBC. Oczywiście, jeśli chodzi o wileńskie gazety, to zdawaliśmy sobie sprawę, że podawane informacje są fragmentaryczne, selekcjonowane i odpowiednio preparowane. W dodatku gdzieś w lipcu w miejsce „Kuriera Wileńskiego" oraz litewsko-polskiej „Gazety Codziennej" zaczęła się ukazywać sowiecka, polskojęzyczna „Prawda Wileńska" i „Prawda Konsomolska".

Z tej powodzi przygnębiających doniesień staraliśmy się wyłapywać i nieraz sztucznie wyolbrzymiać te pomyślniejsze wieści. Wciąż żywiliśmy naiwną nadzieję, że w końcu jakiś cud odwróci losy tej wojny.

Do całego kontekstu niepomyślnych wydarzeń na arenie europejskiej dochodziły nasze wileńskie, bezpośrednie, coraz bardziej zasmucające i nerwowe przeżycia związane z nasilaniem się represji sowieckich.

Aresztowania i wywózki naszych rodaków przybierały charakter masowy. Doszły nas słuchy, że w momencie zajęcia Litwy i Łotwy władze sowieckie deportowały w głąb Rosji internowanych tam w 1939 r. Polaków, w tym około tysiąca oficerów. W Wilnie znowu zagrożenie osobiste zawisło nad każdym obywatelem polskim, a z nim groza, strach i niepokój.

Zapełniły się więzienia wileńskie. Panowały w nich głód, antysanitarne warunki, cierpienie i śmierć. Największe i najstarsze więzienie Łukiszki oraz tzw. „Ofiarna" były nieprawdopodobnie przepełnione. Z tych więzień głównie organizowano masowe wywożenia do sowieckich obozów. Stąd, w kierunku dworca kolejowego prowadzono ulicami miasta tysiące skazanych. Któż mógł wtedy przypuszczać, że za parę lat, z tych właśnie upiornych karcerów, podobnym korowodem przejdą również moi rodzice w drodze na wieloletnie zesłanie.

Muszę dodać, że ul. Ofiarna była taką warszawską „Aleją Szucha". Wraz ze wspomnianym więzieniem znajdowała się tu główna siedziba sowieckiego NKWD. Tu także mieściło się później hitlerowskie Gestapo. Nazwę ulicy utworzono na pamiątkę stojących tam niegdyś, za czasów Murawiewa szubienic, na których wieszano polskich powstańców.

Tak jak cała wileńska inteligencja, tak i nasza rodzina żyła w wiecznym lęku, nie wiedząc co nas czeka jutro. Nocami nadsłuchiwaliśmy warkotu ciężarówek, odgłosów podkutych żołdackich butów, czy dobijania się kolbami karabinów do mieszkań naznaczonych ofiar. Najbardziej przeżywała to mama, której zatrwożone o nas serce i napięte do ostatnich granic nerwy, kazały czuwać dzień i noc bez zmrużenia oka.

Wiele deportacji odbywało się bezpośrednio z domów na punkty wysyłkowe, które oprócz towarowego dworca wileńskiego, znajdowały się też w podmiejskiej Kolonii Wileńskiej oraz w Nowej Wilejce. Całe rodziny ze skromnym dobytkiem pakowano do bydlęcych wagonów towarowych i wywożono w nieznane.

Lato 1940 roku było wyjątkowo upalne. Uciekinierzy z południowo-wschodnich terenów opowiadali nam o wstrząsających i makabrycznych scenach, kiedy podczas tego gorącego lata w czekających wiele dni, zamkniętych szczelnie wagonach umierały dzieci, a ich ciała wyrzucano bezlitośnie na zewnątrz.

Trudno dziś powiedzieć, jaki by nas spotkał los z rąk bolszewickich oprawców, gdyby nie nagła, przymusowa banicja mego ojca do pracy na Litwie. Jak już pisałem, ojciec jako wyjątkowo wrogi element, został ukarany zakazem zatrudniania go na terenie Wilna. Teraz, zapewne na prośbę Litwinów, Komendantura Miasta uznała tę sankcję za niewystarczającą i skazała go na swoistą, samotną zsyłkę w obce i wrogie Polakom strony.

Szczęściem nie był to ani zamknięty obóz ani też ośrodek odosobnienia, ale Szpital Psychiatryczny, w oddalonej od Wilna ok. 200 km, Kalwarii. Mimo, że przez pewien okres nie wolno było ojcu opuszczać tego szpitala, najważniejsze było to, że nowa praca w pewnym sensie chroniła go przed aresztowaniem, a poza tym była płatna, dzięki czemu dostawaliśmy z mamą regularne finansowe wsparcie.

Pod koniec roku tylko jedna pomyślniejsza wiadomość osłodziła naszą przygnębiającą rezygnację i apatię. Wielka lotnicza „Bitwa o Anglię", trwająca 3 miesiące, zakończyła się niepowodzeniem Luftwaffe, a mnie szczególnie napełniła wielką dumą i radością.

Zwłaszcza cieszyło to, że polscy piloci w tej walce wykazali się niezwykłymi umiejętnościami i bohaterstwem. To o nich potem m.in. wygłosił swoje słynne zdanie Churchill: „Nigdy w historii tak wielu, nie zawdzięczało tak niewielu, tak wiele".

Styczeń 1941 roku przebiegał w Wilnie pod znakiem kolejnych błazeńskich „wyborów". Tym razem do Rady Najwyższej Związku Radzieckiego wystawiono tylko jednego kandydata, sowieckiego komunistę, tow. Pozdniakowa. Podobnie jak poprzednio jawna bezczelność i zuchwałość władz wywołała powszechne wzburzenie.

W związku z tym wyborczym cyrkiem, nasze najbliższe grono przyjaciół i znajomych zostało niemile zaskoczone i rozczarowane postawą znanego nam od lat zdolnego i lubianego poety wileńskiego, Teodora Bujnickiego, którego moi rodzice, nota bene, znali osobiście ze spotkań u „Rudnickiego". Otóż niezależnie od tego, że umieszczał on swe utwory w ogólnie uważanej za wrogą „Prawdzie Wileńskiej", to tym razem wystąpił z wyjątkowo podłym wierszem apologetycznym do towarzysza Pozdniakowa.

Dopiero po wojnie dowiedziałem się o smutnym i tragicznym losie tego poety. Na skutek wypisywanych hymnów i peanów na cześć Stalina i Związku Sowieckiego, uznany za zdrajcę i sprzedajne pióro, został wyrokiem polskiego sądu podziemnego zastrzelony.

Poruszam tę sprawę dlatego, że tego rodzaju postaw wśród ludzi kultury i sztuki mieliśmy w dawnej, a zwłaszcza późniejszej historii trochę więcej, niżby należało się tego spodziewać. Problem moralny czystych rąk wystąpił najsilniej w literaturze okresu powojennego, kiedy to nawet wybitni literaci czy poeci nie uniknęli artystycznych kompromisów i danin na rzecz narzuconej władzy. Często był to zwykły, płaski oportunizm, karierowiczostwo, wazeliniactwo, czy schlebianie władzy dla własnych korzyści, czy też wreszcie naiwność albo głupota. Niekiedy przybierało to niestety formę kolaboracji i zaprzedania. Opisując czasy PRL-u, będę jeszcze miał okazję wrócić do tego tematu.

Druga z kolei wiosna naszych wojennych losów dalej nie wróżyła nic dobrego. Hitler poszerza swoje zdobycze terytorialne opanowując Bałkany, Grecję, w tym wyspę Kretę, ważną bazę brytyjską. Osamotniona Anglia ma coraz większe trudności w przeciwstawieniu się potędze III Rzeszy, a tym samym oddala się perspektywa pokonania przez Zachód hitlerowskich Niemiec.

Wokół nas aresztowania i deportacje wciąż się wzmagają. Po inteligencji przyszła kolej na wszystkich – kupców, rzemieślników, a nawet robotników i chłopów, wystarcza, że się jest Polakiem. Dalej tropione jest i wyłapywane wzrastające wciąż polskie podziemie.

Jak dzikie, drapieżne bestie polujące nocami na swoje ofiary, enkawudziści wyciągali z domów ludzi, ładowali na samochody i odjeżdżali w nieznane. Nigdy nie mówiono dlaczego aresztują ani dokąd wiozą. Czerwoni oprawcy nie musieli się przed nikim tłumaczyć, byli katami i sędziami jednocześnie.

Czasem tylko ogólnikowo używali wobec zatrzymanych określenia : „Niebłagonadziożnyj element podwiergajuszczyj wremiennomu zadzierżanju" – czyli niepożądany element podlegający czasowemu zatrzymaniu. Trzeba podkreślić, że słowo „czasowemu" oznaczało w najlepszym wypadku parę lat wyniszczającego obozu pracy, a w najgorszym kilkanaście lat, lub najczęściej po prostu śmierć.

W tym czasie nastąpiła też znaczna eskalacja działalności propagandowej władz sowieckich. Wszędzie wieszano znienawidzone czerwone flagi, pięcioramienne gwiazdy, i czerwone transparenty z rosyjskimi hasłami. Aż niedobrze się robiło od tej krzyczącej, szmatławej i tandetnej czerwieni. Do dziś pozostał mi dziwny uraz do czerwonego koloru. Ta piękna skądinąd barwa kojarzy mi się wciąż z wszystkim co najgorsze – bolszewikami, komunizmem, krwią i cierpieniem.

Innym elementem propagandowym, równie tandetnym i prymitywnym była wręcz paranoidalna obsesja eksponowania na każdym kroku portretów Stalina. Podobizny Wielkiego Wodza i Ojca Narodu, jak święte obrazki wisiały w różnorodnych formatach i wersjach na budowlach, w szkołach, urzędach, warsztatach czy w witrynach sklepowych. Nawet u rzeźnika wśród krwawych ochłapów mięsa musiał być „Baćka Stalin".

Nie brakowało też i drugiego wodza, Lenina, no i oczywiście słynnego MELS-a, czyli wizerunku wielkiej „świętej czwórki" w postaci nakładających się profili Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Wiele lat później Warszawa żartowała, że ta „banda czworga" ustawiła się według zarostu, od najbardziej kosmatego i zarośniętego do najmniej owłosionego.

Specjalnością sowiecką były także niebywale okazałe manifestacje w dniu 1 maja oraz w rocznicę Rewolucji Październikowej. Pierwszomajowe Święto Pracy, podobnie jak cały

przesadny i sztuczny kult pracy, zostało właściwie zawłaszczone przez komunistów. Wyglądało to tak, jakby oprócz Związku Sowieckiego, żaden inny kraj ani żaden inny ustrój nie szanował pracy. Ale przecież wiadomo było, że nigdzie na świecie ludzka praca i pot człowieczy nie był tak marnotrawiony i tak poniżany jak w sowieckim imperium. Był to też kult pracy szczególnej, fizycznej i ciężkiej, często niemal prymitywnej, podczas gdy praca umysłowa była niedoceniana i ledwie tolerowana.

Ze specyficznym i naciąganym hołdem oddawanym sowieckiej pracy, wiązało się fałszywe pojęcie, że tylko robotnik jest przedstawicielem prawdziwie wartościowej warstwy społecznej, bo tylko on na prawdę pracuje. Dzień 1-szego maja był więc formalnie świętem robotniczym.

Pochody pierwszomajowe miały jednak niewiele wspólnego, ani z pracą, ani z robotnikami. Były one przede wszystkim jedną wielką kampanią propagandową, prorządową, prokomunistyczną i prosowiecką. Były manifestacją mającą wyrazić radość i wdzięczność za wspaniałe osiągnięcia partii komunistycznej i sowieckiej władzy ze Stalinem na czele. Były też dodatkowo deklaracją polityczną „za", przez co stały się praktycznie obowiązkowe.

Ludzie bojąc się ewentualnych represji brali w tych manifestacjach masowy udział. Tegoroczny pochód pierwszomajowy w Wilnie był więc liczny, choć zdecydowana większość manifestantów nie wykazywała zbytniego entuzjazmu.

Zbliżał się czerwiec. Niezauważalnie nad naszymi głowami poczęły gromadzić się nowe, ciemne chmury. Nadchodził najkrwawszy etap tej wojny angażujący wielomilionowe armie i nieprawdopodobne ilości broni i sprzętu. Nieświadome niczego Wilno miało już wkrótce mieć swego kolejnego, czwartego już z rzędu, okupanta.

5. Ogólne załamanie, ponure nastroje i smutne refleksje

Jak już wspomniałem, haniebna kapitulacja najpotężniejszej armii lądowej świata, za jaką się powszechnie uważało wówczas armię francuską, a ponadto powstanie kolaboracyjnej Francji Petaina, było dla nas Polaków strasznym ciosem. Było to tym boleśniejsze, że we Francji znajdowały się Polskie Siły Zbrojne, z których tylko cudem udało się ewakuować, wraz z angielskim Korpusem Ekspedycyjnym, zaledwie trzecią część żołnierzy, nie mówiąc już o stracie wielkiej ilości broni.

Wywołane tą klęską wyjątkowo deprymujące nastroje pobudzały do dyskusji, rozmyślań i różnorakich refleksji na temat naszej sytuacji politycznej i militarnej. Bolał głęboki zawód jaki sprawili nam zachodni sprzymierzeńcy. Mimo licznych deklaracji dyplomatycznych pozostawiono nas w osamotnieniu, zdanych jedynie na własne siły. W dodatku ofiara pokonanej Polski została zmarnowana.

Brak zdecydowanej reakcji na agresję Związku Sowieckiego można było uznać również za swego rodzaju zdradę wobec Państwa Polskiego.

Ta zdrada oraz sojusz Moskwy z Berlinem były tematem nieustających naszych rozmów i dyskusji. Wyglądało na to, że Stalin bardzo pomógł Hitlerowi w uderzeniu na Zachód, choć sam po cichu realizował swoje cele. Liczył na wykrwawienie się Niemiec, Anglii i Francji aby samemu uderzyć na Zachodnią Europę. Potrzebował tylko czasu na wzmocnienie własnej armii, ciągle bowiem nie pozbył się jeszcze mrzonek o opanowaniu przez sowiecki komunizm świata.

My, nie bardzo orientowaliśmy się podówczas, jak ścisła stała się współpraca nazistów z komunistami. Dopiero znacznie później dowiedzieliśmy się, że po wkroczeniu armii sowieckich na nasze wschodnie ziemie, dla uczczenia razem dokonanej likwidacji Polski, urządzono w Brześciu nad Bugiem wspólną, triumfalną defiladę wojsk sowieckich i hitlerowskich. Przyjacielska Moskwa przekazała też Niemcom wiele tysięcy polskich jeńców z ziem przez nich okupowanych.

Prasa donosiła jak ostentacyjnie Hitler i Stalin obnosili się ze swą przyjaźnią Na zewnątrz wyglądało to jak prawdziwa idylla i co nas najbardziej zaskakiwało, że tak niedawno jeszcze Zachód hołubił Rosję Sowiecką uważając, że jest to jedyne antidotum na niebezpieczny obłęd hitleryzmu.

W tych kardynalnych błędach oceny sytuacji politycznej Zachód prześcigał się nawzajem. Za brak instynktu politycznego musiał potem bardzo drogo płacić. Zapłaciła też Polska poprzez swoje ścisłe związki, zwłaszcza z Francją.

Historyczna Francja zawsze była naszym naturalnym sprzymierzeńcem w Europie. Nieustanne konflikty z Niemcami skłaniały ją również przez stulecia do szukania sojuszu z Polską. Francja była jedynym mocarstwem europejskim, w którym pokładaliśmy nadzieje pomocy, darzyliśmy sympatią i braliśmy z niego przykład. Niestety te nasze związki ciągle przynosiły tylko zawód i rozczarowanie. Najwięcej oczekiwań wiązaliśmy z Napoleonem. Wojnę z Rosją nazywał on „polską wojną". Dzięki Bonapartemu we Włoszech powstały Legiony Polskie, które w polskich mundurach walczyły pod trójkolorowym sztandarem francuskim. To pierwsze polskie wojsko na obczyźnie wierzyło, że u boku cesarza walczy o własną niepodległość.

Nawiązując do wojen napoleońskich śpiewano wówczas w „Warszawiance" gorzkie strofy :

„O Francuzi ...
Bracia, my wam krew dawali,
Dziś wy dla nas nic - prócz łzy ..."

Jakże te słowa pozostały ciągle aktualne. Trzeba jeszcze przypomnieć znamienną i przykrą dla nas wypowiedź jednego z generałów francuskich po powstaniu styczniowym : „W Warszawie przywrócono porządek".

Potem w czasie I wojny światowej, mimo że przyjaźnie do nas nastawieni, oficjalnie, jako sojusznik Rosji, pozostawali wobec spraw polskich ostrożni i powściągliwi

Również w 1920 r. zamiast jakiejś pomocy Francuzi postanowili czekać bojaźliwie i bezczynnie.

Nic więc dziwnego, że i w obecnej wojnie nasz odwieczny francuski sojusznik nie zmienił swego zachowawczego i ostrożnego wobec nas zachowania. Nie tylko, że nie pomógł w owym tragicznym dla nas wrześniu, ale można powiedzieć, że pośrednio w pewnym sensie kolaborował ze Stalinem.

Bo jak się bowiem później okazało, Komunistyczna Partia Francji, bardzo popularna i popierana przez dużą część społeczeństwa, była wspierana finansowo i kadrowo przez Związek Sowiecki. Stalin planował dodatkowe dozbrojenie komunistów francuskich, którzy w wypadku sowieckiego uderzenia na Francję mieli rozpocząć działania destrukcyjne wobec własnej armii. Ciekawe, że przewodniczący K.P.F. Thorez w rozmowie ze Stalinem zapewniał go, że Francuzi przyjmą Rosjan entuzjastycznie.

Na koniec, trzeba podkreślić, że w dużej mierze narodowy, kapitulancki pacyfizm francuski, przejawiający się niechęcią umierania nie tylko za Gdańsk, ale również za własny Paryż, wynikał z przykrych doświadczeń I wojny światowej.

Oprócz przytoczonych rozważań na temat zaistniałej tragicznej sytuacji politycznej oraz roli jaką odegrali w niej nasi zachodni sojusznicy, załamani ogromem klęsk szukaliśmy instynktownie pocieszenia w Boskiej Sprawiedliwości i innych bliżej niesprecyzowanych siłach nadprzyrodzonych.

Wiara w Boga ratowała nas od rozpaczy i zwątpienia. Przy dodatkowych codziennych kłopotach i trudnościach brak nadziei groził kompletnym załamaniem. Szukaliśmy pomocy w modlitwach. Kościół, poprzez modły za Ojczyznę i patriotyczne kazania podtrzymywał ducha znękanego narodu. Kościoły coraz bardziej zapełniały się wiernymi i coraz częściej i głośniej rozbrzmiewała w nich błagalna pieśń „Boże coś Polskę".

Zasłynęły wówczas w Wilnie kazania księdza Henryka Hlebowicza, doktora teologii i profesora USB. Ten wybitny kaznodzieja wygłaszał najczęściej swe homilie w kościele św.Jerzego, gdzie od czasu do czasu chodziliśmy na nabożeństwa. Pamiętam jeszcze dziś jego miękki, ciepły i niezwykły głos, którym wszystkich wzruszał do łez. Nie zapomnę nigdy osobliwych i chwytających za serce chwil, kiedy pod wpływem jego słów niemal cały kościół szlochając padał na kolana.

W tym czasie ożywiły się też bardzo modlitwy Wilnian do Matki Boskiej Ostrobramskiej, jako do Opiekunki strapionych i pokrzywdzonych. Prawie w każdym domu katolickim znajdował się Jej święty obrazek bądź ryngraf.

Drugim źródłem pociechy i ulgi, jakim próbowaliśmy się ratować, były różne wróżby, przepowiednie i proroctwa. Najczęściej powtarzaną, zresztą w różnych wariantach, była tzw. „Przepowiednia Wernyhory" z 1894 roku, o której wspominano już przed wybuchem wojny. Najciekawszy jej fragment, o ile pamiętam, brzmiał mniej więcej następująco :

„Czarny orzeł, gdy się na wschód obróci
... z złamanym skrzydłem powróci.
Krzyż splugawiony razem z młotem padnie ..."

To proroctwo interpretowano jako upadek Niemiec hitlerowskich i Rosji Sowieckiej.

Sięgano też do innych proroków i wizjonerów, jak np. do XVI wiecznego astrologa i wieszcza, Nostradamusa, który już przed wiekami nakreślił wizję krwawego XX stulecia.

Ciągle za dużo było w nas emocji i często naiwnej wiary, a za mało chłodnej, spokojnej i realnej oceny sytuacji. Człowiek powinien starać się rozumieć nieubłaganą konieczność, pozwala to lepiej wiedzieć czego może oczekiwać bez zbytniego, ciemnego pesymizmu i przesadnej nadziei.

Przypomina się tu znana swego czasu filozoficzna i niezwykle mądra modlitwa :

„Boże, daj mi znosić ze spokojem sprawy, których nie mogę zmienić, odwagę aby zmieniać sprawy, które mogę zmienić i mądrość abym rozróżniał jedne od drugich."

6. Uderzenie hitlerowskie na wschód i okupacja niemiecka

Hitler tymczasem, po przegranej „Bitwie o Anglię", podpisał tajny plan uderzenia na Związek Sowiecki, zwany operacją „Barbarossa". Szykował się kolejny wielki etap ekspansji hitlerowskiej na Wschód.

Stalin zaś potrzebował pokoju celem wzmocnienia swych sił militarnych. Mimo deklarowanej przyjaźni, w gruncie rzeczy bał się Hitlera i sam po cichu przygotowywał uderzenie gromadząc m.in. duże ilości czołgów na swej zachodniej granicy.

Żeby przekonać Niemców o swych przyjacielskich zamiarach posyłał wciąż tysiące wagonów zboża, surowców i innych materiałów strategicznych osłabiając w ten sposób brytyjską blokadę niemieckiego terytorium. Była to cena jaką Kreml płacił za pokój.

O tych olbrzymich transportach głośno było w Wilnie. Niestety, o szerszych aspektach wielkiej polityki nie bardzo wtedy mieliśmy pojęcie. Jedno co niepokoiło wszystkich był fakt współpracy niemiecko – rosyjskiej. Wiadomo było, że tego rodzaju sojusz nigdy nie wychodził nam na dobre. Odwrotnie, każdy między nimi konflikt tworzył nowe szanse dla Polski. Niewielu z nas przewidywało wówczas, że już niedługo te dwie potęgi zewrą się ze sobą w śmiertelnym uścisku.

Nadszedł czerwiec 1941 roku. Już w maju pojawiły się pierwsze plotki o koncentracji niemieckich dywizji na granicy ZSRR i mającej nastąpić wojnie. Dochodziły też słuchy o ściąganiu sowieckich wojsk na zachód. Oficjalne wiadomości wręcz zaprzeczały tym zasłyszanym pogłoskom. Trąbiono na cały świat, że pokojowa polityka Związku Sowieckiego nie dopuszcza nawet myśli o wojnie.

Kiedy pogłoski o nadchodzącej wojnie nasiliły się, dnia 15 czerwca TASS wydał oficjalne oświadczenie Rządu Sowieckiego dementujące wszelkie spekulacje o wojnie. To dementi, jak również nagła fala aresztowań i wywózek, która nastąpiła dzień wcześniej wywołała panikę oraz gorączkowy run na sklepy w celu robienia zapasów. Również my ulegliśmy tej psychozie próbując sobie zapewnić jakie takie rezerwy żywności.

Wzmożony pośpiech w aresztowaniach budził uzasadnione podejrzenie, iż władze sowieckie boją się, że nie zdążą tego dokonać przed atakiem niemieckim.

Już w parę dni potem okazało się to prawdą. 22 czerwca, w niedzielę, pancerne i zmotoryzowane dywizje hitlerowskie, na całym liczącym kilka tysięcy kilometrów froncie, runęły na swego dotychczasowego sojusznika. Rozpoczął się nowy etap wojny na wschodzie, zwany później przez Rosjan „Wielką Wojną Ojczyźnianą".

W naszym domu niemiecki atak wywołał przede wszystkim wielki lęk i troskę o ojca, który jak wspomniałem, znajdował się w Kalwarii na Litwie, bardzo blisko granicy niemieckiej. Na dodatek szpital, w którym pracował przylegał do dużych koszar sowieckich.

Na szczęście, uniknąwszy bombardowania, w obawie o nas wyruszył natychmiast pieszo do Wilna. Po kilku dniach w silnym stanie wyczerpania zjawił się w domu żywy i zdrowy. Jak się dowiedzieliśmy, po drodze miał bardzo poważne przejścia. Złapany i zatrzymany przez Litwinów został oskarżony o szpiegostwo i tylko cudem uniknął więzienia, a być może nawet śmierci. W tym miejscu pozwolę sobie zacytować krótki fragment pamiętników ojca dotyczący tego właśnie incydentu.

„...Tu jednak spotkała mnie pierwsza nader przykra niespodzianka, gdyż nagle wóz zatrzymało dwóch litewskich policjantów, którzy po wylegitymowaniu mnie i sprawdzeniu zawartości mego portfela oraz teczki – wymownie jakiś czas wzrokiem porozumiewali się ze

sobą. Po chwili brutalnie wykręcając mi ręce, wypchnęli mnie z furmanki, po czym jako Poloka-spiona (bo tak mnie z pogardą nazywali), z bronią w ręku zaprowadzili do dowództwa sztabu sowieckiego. które mieściło się w centrum Mariampola, a które – jak się na miejscu zorientowałem – już szykowało się do wymarszu na wschód."

Owa pamiętna niedziela zapisała się też w naszym domu pewnym tragicznym i bolesnym wydarzeniem, Mimo, że tego dnia naloty niemieckie na Wilno skierowane były głównie na obiekty strategiczne, od bomby zginęła bliska przyjaciółka mamy p. E. Śleszyńska, wdowa po wybitnym chirurgu z Grodna, oraz zaprzyjaźniony z rodzicami ksiądz dr W.Siekierko, prefekt gimnazjum Mickiewicza. Oboje ponieśli śmierć w podziemiach kościoła św. Rafała, tuż przy moście Zielonym, wraz z kilkudziesięcioma osobami, które tam schroniły się przed bombardowaniem.

W Wilnie zapanował nieopisany chaos i zamieszanie. Sowieci uciekali w niesamowitym popłochu i bezładzie, widać było, że zostali kompletnie zaskoczeni. Na wschód, oprócz nielicznych, bezładnych grup cywilów, pędziły dziesiątki i setki samochodów i innych środków transportu przepełnionych do ostatnich granic sowieckimi żołnierzami.

Miasto było zapchane ciężarówkami. Ze względu na brak w nich miejsc, oficerowie sowieccy pozostawiali na pastwę losu swoje rodziny.

Na dworcu kolejowym działy się dantejskie sceny. Uciekający tratowali się nawzajem próbując na siłę wcisnąć się do odchodzących pociągów.

Nie bardzo wiedzieliśmy co się dzieje. Dlaczego Sowieci nie walczą, dlaczego nie stawiają żadnego oporu ? Dla nas była to sytuacja pomyślna. Przyjemnie było patrzeć jak znienawidzony czerwonoarmista bierze nogi za pas, a ponadto wiadomo było, że każdy opór bolszewików stwarzał dla miasta i jego mieszkańców nie dające się przewidzieć konsekwencje.

Powszechny strach ogarnął również ludność żydowską. Wówczas już wielu z nich wiedziało o prześladowaniach i wrogim nastawieniu hitlerowców do Żydów. Bali się też zemsty Polaków za ich prosowiecką i prokomunistyczną postawę. Część z nich, w większości najzagorzalszych zwolenników komunistycznej władzy, dołączyła do uciekających.

Ten chaos i ogólna panika były niczym w porównaniu z horrorem, jaki się jednocześnie odbywał w więzieniach wileńskich. NKWD na gwałt wywoziło więźniów, brakowało wagonów dla wojska czy instytucji, ale dla nich musiały być. Trzeba wiedzieć, że w tym czasie Wilno było jedną wielką katownią złożoną z wielu przepełnionych po brzegi więzień.

Dochodziły do nas coraz to straszniejsze wieści. Natychmiastowej ewakuacji uległo kilka tysięcy uwięzionych. Z samych Łukiszek wywieziono 3 pociągi, a czwarty, przygotowany do drogi nie zdążył już odejść. Kolejarze polscy robili wszystko, by ratować więźniów - odczepiali wagony, opóźniali transporty, pomagali w ucieczkach.

Tych, których nie rozstrzelano na miejscu w więzieniach, bądź nie zdążono wywieść pędzono pieszo w strasznych warunkach, zabijając po drodze słabnących i chorych.

Takie potworne zbrodnie miały miejsce na całej linii odwrotu.

Najokropniejsze sceny odbywały się na tzw. „drodze śmierci" prowadzącej ze Starej Wilejki. Gnano tam ludzi w ogromnym pośpiechu dobijając padających ze zmęczenia, pragnienia i upału. Bolszewicy, uciekając z Wilna mordowali Polaków tak samo, jak to robili w 1920 roku.

Sowieckie NKWD nie poprzestało na ewakuacji i zbrodni na więźniach. Uruchomiono masowe wywózki całych rodzin zabieranych prosto z domów. Odbywało się to jak zawsze w sposób bezwzględny i brutalny, dając ludziom kilkanaście minut na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy, by potem pędzić ich pieszo z tobołami i tobołkami na stację kolejową. Znowu w domu zapanował strach, obawa i przyszły nieprzespane noce.

Jak już podkreślałem, głównym centrum wywozowym była Nowa Wilejka. Przez jej stację towarową w ciągu paru dni, jak podawali świadkowie, przewinęło się około 50 tysięcy osób.

We wtorek 24 czerwca pierwsze niemieckie jednostki pancerne wkroczyły do Wilna. Za nimi wlała się cała bogata i różnorodna orgia niemieckiej motoryzacji. Mogliśmy dokładnie obserwować z naszego balkonu wjeżdżające ul. Zarzecze oddziały Wehrmachtu. Ani jednego piechura, wszystko na samochodach, ciągnikach, motocyklach. Uderzał nieprawdopodobny kontrast z oglądanym już parokrotnie wojskiem sowieckim, i to nie tylko od strony estetycznego wyglądu żołnierzy czy też ich wyposażenia wojskowego, ale również sposobu zachowania się. Niemców cechował spokój, wysoka organizacja, zdyscyplinowanie i karność. Widzieliśmy na platformach zatrzymujących się samochodów żołnierzy golących i myjących się, sprzątających lub też czyszczących broń.

Pamiętam jak ogarniały nas wtedy wielce mieszane uczucia, które jak sądzę, odczuwała większość Polaków. Wiedzieliśmy, że wkracza bandycki i bezwzględny hitlerowski okupant, który Bóg jeden wie, jaki zgotuje nam los. Ale gdzieś głęboko czuliśmy jakąś dziwną ulgę i satysfakcję z przegnania bolszewików z naszego miasta. Błąkała się też pod czaszką obłędna myśl, że z dwojga złego łatwiej będzie znosić prześladowania, a może nawet umierać z rąk cywilizowanego bandyty niż prymitywnego bandziora.

Temu trudnemu problemowi moralnemu oraz próbie porównania czerwonych i brunatnych zbrodniarzy, będę jeszcze później chciał poświęcić kilka osobnych uwag.

Powracając do owych pamiętnych dni czerwcowych, nie można pominąć pierwszych reakcji społeczności litewskiej i żydowskiej. Litwini na ulicach Wilna witali Niemców entuzjastycznie. Młode Litwinki w strojach ludowych, przy wtórze orkiestr, występowały z chlebem i solą, podkreślając w ten sposób, kto tu jest gospodarzem.

Litwini niemal natychmiast poszli na całkowitą współpracę z Niemcami oddając z miejsca swoje całe wojsko i policję pod ich komendę, a osławioną Saugumę na usługi Gestapo. Niezwłocznie powstał też marionetkowy, proniemiecki rząd litewski deklarując pełną lojalność wobec hitlerowców.

Ta postawa Litwinów, niewdzięczna w stosunku do sowieckich przyjaciół, była dla nas pewnym zaskoczeniem, choć znając ich antypolskie nastawienie można było sądzić, że każdy wróg Polaka jest jednocześnie przyjacielem Litwina.

Wobec zagrożenia stalinowsko-hitlerowskiego, zajęcie proniemieckiego stanowiska przez Litwinów przekreślało i tym razem słabe nadzieje na porozumienie polsko-litewskie.

Podobnie jak Litwini, zaskoczyli nas też wileńscy Żydzi. Ci, co pozostali w mieście i nie uciekli na wschód witali wkraczających Niemców radośnie, z kwiatami i głośnymi okrzykami „Heil !" Mimo, że robili to prawdopodobnie bardziej ze strachu niż z entuzjazmu, nas Polaków napawało to głęboką odrazą. Jeszcze raz okazało się jak bardzo byli wśród nas wyobcowani, jak nie chcieli się z Polakami solidaryzować, a Polska była dla nich jedynie pustym dźwiękiem.

Tę haniebną postawę pogarszało jeszcze ostentacyjne używanie przez Żydów niemieckiego języka, co miało na celu przypodobanie się i podlizanie nowemu okupantowi.

Patrzyliśmy na te poniżające sceny łaszenia się do Niemców z prawdziwym niesmakiem, pamiętając jak jeszcze tak niedawno używali wobec nas tylko języka rosyjskiego. Ponadto, ten język pełen znamiennego charkotu przypominał bardziej żydowski jidisz, niż język niemiecki.

Wśród rdzennych Polaków zdarzały się też niestety, wprawdzie sporadyczne, proniemieckie zachowania. Berlin miał wszędzie swoich zaufanych ludzi, a wywiad hitlerowski był sprawny i rozbudowany. Jakież było oburzenie i zdziwienie rodziców, kiedy powszechnie znane i szanowane osobistości życia wileńskiego pojawiły się nagle w mundurach oficerów Wehrmachtu - m.in. dyrektor elektrowni wileńskiej Glatman i znany dziennikarz Dangel.

Po wejściu Niemców Wilno przedstawiało smętny widok. Zdewastowane i ograbione przez wycofujących się bolszewików, po niesamowitej kotłowaninie i zamieszaniu, po morderstwach i wywózkach, teraz sprawiało wrażenie wymarłego miasta. Jakby wszyscy się gdzieś pochowali czekając z niepokojem na dalszy rozwój wypadków.

Władze niemieckie od razu zajęły główne urzędy i instytucje. Gestapo zajęło miejsce swej siostrzanej organizacji NKWD, i to zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym. Niemcy znając nienawistny stosunek Litwinów do nas, skrzętnie to wykorzystywali przy wszelkich antypolskich działaniach. Jak najsilniejsze poróżnienie Litwinów z Polakami leżało w interesie polityki hitlerowskiej.

Zaczęło się wyraźne faworyzowanie ludności litewskiej. Sauguma, korzystając z okazji, z nową energią i zapałem kontynuowała ucisk i szykany wobec naszego społeczeństwa.

Wobec powstałego nowego zagrożenia rodzice w trosce o moje bezpieczeństwo zastosowali wobec mnie specjalny nadzór z niemal rygorystycznym aresztem domowym. Było to o tyle możliwe, że w tym czasie nie chodziłem już do gimnazjum, a jeszcze nie podjąłem nauki na tajnych kompletach.

Dodatkowo sytuację naszą skomplikował wyjazd ojca, który dostał ostry nakaz natychmiastowego powrotu do szpitala w Kalwarii. Mej nadopiekuńczej i ciągle pełnej niepokoju o mnie mamie, coraz trudniej było utrzymać w ryzach dorastającego chłopca, którego budząca się „męska" ambicja buntowała się wyraźnie przeciw domowemu matriarchatowi.

Rozgrywające się wokół nas historyczne i wielkie wydarzenia sprawiły, że zacząłem bacznie śledzić powstałą i ciągle zmieniającą się sytuację na frontach europejskich. Myślę, że atmosfera domowa a głównie ciekawość świata oraz moje zainteresowania wojenno-militarystyczne w połączeniu z wrażliwością, właściwą zapewne memu wiekowi, czyniła mnie obserwatorem w miarę wnikliwym i zaangażowanym.

A było się czym interesować. Błyskawiczny rozwój wypadków na olbrzymim wschodnim froncie coraz bardziej wciągał, a równocześnie zaskakiwał nas wszystkich.

Pierwsze uderzenie 190 dywizji niemieckich było katastrofą i istnym pogromem Armii Czerwonej, która zaskoczona z miejsca poszła prawie w kompletną rozsypkę. Niemieckie formacje zmotoryzowane posuwały się w głąb Związku Sowieckiego z szybkością kilkudziesięciu kilometrów dziennie siejąc śmierć i spustoszenie. Niemal natychmiast setki tysięcy czerwonoarmistów dostało się do niewoli.

Co do ogromnej ilości jeńców sowieckich, to dopiero po wojnie podano, że zawiniło tu głównie dowodzenie (wymordowanie dowódczej kadry oficerskiej w 1937 r.) oraz rozkaz Stalina zabraniający oddziałom cofania się. Ułatwiło to hitlerowcom okrążanie nie mogących się wycofać całych dywizji i związków taktycznych, tak że po pół roku liczba wziętych do niewoli Rosjan wzrosła do niebywałej cyfry 3.600.000 jeńców.

Zrozumiałe, że my w Wilnie mieliśmy o tej sytuacji tylko jednostronne, pełne euforii niemieckie naświetlenie wydarzeń frontowych oraz fragmentaryczne wiadomości z radia londyńskiego. O te ostatnie było ponadto coraz trudniej, bowiem zabroniono pod karą śmierci nie tylko słuchania zachodnich stacji, ale nawet posiadania radioodbiorników, które zgodnie z zarządzeniem trzeba było oddać.

Wkrótce, już w lipcu, potwierdziły się głoszone wieści o niezliczonej ilości jeńców sowieckich. W Wilnie powstało wiele obozów jenieckich, gdzie w nieludzkich warunkach, jak zwierzęta, trzymano ich dziesiątki tysięcy.

Sam widziałem taki obóz przy ul. Kościuszki, przy dawnym więzieniu wojskowym. To był wstrząsający, wprost dantejski widok. Nieprawdopodobnie stłoczonych jeńców trzymano na odkrytym terenie ogrodzonym drutem kolczastym, wynędzniałych, głodnych i spragnionych w lipcowym upale. Na wpół rozebrani, w jakiś okropnych łachmanach, z ogolonymi głowami, nieprzytomnym spojrzeniem i z wyciągniętymi z prośbą o chleb rękami, robili wrażenie upiornych potępieńców z najgłębszych otchłani piekieł.

Wzdłuż drutów, uzbrojona straż niemiecka uniemożliwiała wszelki z nimi kontakt i ewentualne przekazanie im czegokolwiek. Nie zapomnę, gdy komuś odważnemu udało się przerzucić coś poza ogrodzenie, a te ludzkie istoty, niczym wściekłe psy, rzuciły się na siebie w walce o życiodajną zdobycz.

Nic dziwnego, że w tych warunkach umierali oni z głodu i pragnienia całymi setkami.

Mówiło się, że to zbrodnicze wobec jeńców postępowanie było między innymi wynikiem tego, że ZSRR nie podpisał międzynarodowej konwencji w sprawie jeńców. Było też chyba błędem hitlerowców, gdyż wzmacniało opór Armii Czerwonej.

Analizując po latach przyczyny klęski niemieckiej na Wschodzie, można stwierdzić, że armia „nadludzi" popełniła jeden zasadniczy błąd. Hitler zlekceważył przeciwnika, rozległe terytorium i rosyjski klimat przez co błyskawiczna wojna, która miała trwać tylko kilka tygodni przeciągnęła się na jesień i zimę, a błoto, śnieg i mróz dopełniły swego.

Wracając do wydarzeń frontowych, to podczas gdy wojska niemieckie kontynuowały natarcie, opór sowiecki powoli tężał. Stalin, chcąc spowolnić postępy Niemców, rozkazał burzenie i palenie wszystkich opuszczanych wsi i miasteczek celem pozbawienia agresora jakiegokolwiek zaplecza. Ogrom zniszczenia, śmierci i cierpienia stał się niewyobrażalny.

Jak podawali Niemcy, ich oddziały już w listopadzie były tylko 27 km od Moskwy. Stalin w popłochu próbuje w tajnych negocjacjach paktować z Niemcami, a równocześnie na gwałt szuka sojuszników. W połowie lipca podpisuje układ z Wielką Brytanią a następnie gen. Sikorski nawiązuje stosunki dyplomatyczne z Moskwą. Mimo obawy paktowania ze Stalinem, Sikorski chciał przede wszystkim ratować setki tysięcy wywiezionych w głąb Rosji Polaków. Układ bowiem przewidywał powstanie samodzielnej Armii Polskiej na terenie ZSRR.

Wtedy to, w grudniu 1941 roku, nareszcie dochodzą nas w Wilnie pomyślne wieści o wielkich, przełomowych wydarzeniach obecnej wojny. Niemcy ponoszą pierwszą dużą porażkę pod Moskwą, a atak japoński na Pearl Harbour zapoczątkowuje wielkie zmagania na obszarze Pacyfiku i wciąga Stany Zjednoczone do wojny po stronie aliantów.

Wojna wyraźnie się przedłuża i rozszerza, ale wiadomość o przystąpieniu USA do wojny wywołała wśród nas i w całym polskim społeczeństwie Wilna szczególnie wielką radość i związane z nią nowe nadzieje. Jak dotąd na europejskim teatrze zmagań wojskowych doznawaliśmy samych zawodów i rozczarowań.

W międzyczasie w Wilnie, druga połowa 1941 roku upływała pod znakiem pogłębiającej się antypolskiej współpracy niemiecko-litewskiej i coraz większego szykanowania Polaków.

W naszym domu na Zarzeczu na szczęście panował względny spokój. Ojciec w tym czasie parę razy przyjeżdżał do nas na krótko z Kalwarii, podreperowując spiżarnię domową w różne produkty żywnościowe, oraz naszą kasę w marki, które teraz zamiast rubli pojawiły się w obiegu. Mama przez cały czas czyniła bezowocne starania u naczelnych władz lekarskich o powrót ojca na stałe do Wilna. Nieustanna troska i niepokój o jego zdrowie i bezpieczeństwo bardzo nam dokuczał.

Wspominając pobyt ojca na Litwie, chciałbym dodać kilka związanych z tym uwag o Litwinach. Generalnie potwierdzała się ich antypolska postawa wobec Polaków. Swoje relacje ojciec opierał na szczerych i serdecznych rozmowach z zamieszkałymi tam polskimi rodzinami, m.i. z zamieszkałą tam od lat rodziną pp. Niziołomskich. Sam zresztą był tam szykanowany w różny sposób, jak choćby kilkumiesięcznym nakazem meldowania się dwa razy w tygodniu na posterunku miejscowej policji litewskiej. Ale opowiadał także o Litwinach przyjaźnie nastawionych do nas. Taka była większość lekarzy w szpitalu kalwaryjskim, tacy też byli niektórzy chłopi litewscy, u których zatrzymywał się na wypoczynek w czasie swych wojaży na trasie Kalwaria – Wilno. Przyjaźnił się również z litewskim księdzem M. Krupovicziusem, który świetnie mówił po polsku i odnosił się bardzo życzliwie do Polaków. Było to o tyle nietypowe, że ogólnie kler litewski był bardzo antypolski.

Po tych uwagach wracam tym razem do mojej osoby. Otóż, nie uczęszczając do szkoły, a w dodatku rzadko opuszczając dom miałem mnóstwo czasu, który starałem się jakoś zagospodarować. Do licznych moich zainteresowań, o których już pisałem, nieoczekiwanie dołączyło bębnienie na fortepianie. Myślę, że była to swoista ucieczka od codziennych trosk i zmartwień.

Początkowo próbowałem brać lekcje u pewnej starszej pani z tzw. „towarzystwa". Szybko jednak jednostajne granie niemelodyjnych gam znudziło mi się. Ponieważ na poważne kształcenie pianistyczne byłem już „za stary", przerwałem naukę i zacząłem grać najprostsze znane mi melodie ze słuchu. Moje nieudolne zmagania się z fortepianem trwały aż do 1944 roku. W miarę upływu czasu ambicje rosły i coraz więcej czasu poświęcałem temu nowemu hobby.

Aby wyczerpać temat tego „muzykowania" muszę wybiec parę lat wprzód. Wtedy to zetknąłem się z prawdziwą muzyką fortepianową, która wywarła na mnie ogromne wrażenie i jeszcze bardziej zdopingowała mnie go gry. Były to przede wszystkim wspaniałe wykonania utworów fortepianowych naszego profesora Puciaty, w których zachwycało zwłaszcza bogactwo dźwięków i brzmień jakie wydobywał z fortepianu. Do gry zachęcał mnie również nasz sąsiad i sublokator, który przez ścianę, całymi dniami ćwiczył grę na pianinie.

Niebagatelną rolę odegrały tu także efektowne popisy gry ze słuchu przypadkowo spotkanych dwóch starszych kolegów.

Wygórowana ambicja, nowe podniety i chęć dorównania tym zasłyszanym pianistom sprawiła, że zacząłem sam uczyć się nut i znajdywać ich odpowiedniki na klawiaturze. Pozwalało to na stopniowe opanowywanie grania prostych utworów na prawą rękę, dorabiając akompaniament lewej z dużą dozą improwizacji. Po wielu ćwiczeniach, co wymagało nie lada cierpliwości, osiągało się całkiem niezły efekt, zwłaszcza dla przeciętnego, nieprofesjonalnego słuchacza.

Muszę przyznać, że niezależnie od dużej przyjemności, nastroju i sentymentalnego przeżywania jakiego dostarczała gra, było w tym też wiele zwykłego snobizmu. W miarę dojrzewania pragnąłem być lubiany i podziwiany przez otoczenie a zwłaszcza, co zrozumiałe, przez dziewczęta. Te nieco cyrkowe pianistyczne wyczyny przydawały się bardzo w towarzyskim, młodzieńczym gronie przyjaciół i kolegów.

Moje muzyczne zapędy miały zapewne też swoje źródło w lekko romantycznym usposobieniu, zmysłowości i emocjonalnym stosunku do świata. Zastanawiające jest to, że muzyka, o czym dotąd nie wiedziałem, mimo że chyba najbardziej abstrakcyjna ze sztuk, potrafiła tak silnie przemawiać do uczuć i wyobraźni.

Kontynuując te muzyczne wyznania, przy sposobności muszę wspomnieć, że w tym czasie mieliśmy sublokatora skrzypka, p. Jankowskiego, który całymi dniami ćwiczył zapamiętale na swym „stradivariusie". Na Zarzeczu też mieszkała tuż obok nas niezwykle utalentowana muzycznie rodzina państwa Szeligowskich, ze znanym kompozytorem i pianistą, Tadeuszem. Ojciec mój, a pośrednio i my utrzymywaliśmy z tym domem luźne kontakty towarzyskie.

Trzeba dodać, że także wspomniany prof. Puciata zajmował lokal w sąsiedniej kamienicy, a wielki pianista Stanisław Szpinalski zamieszkiwał również na Zarzeczu.

Na koniec, używając nieco żartobliwego tonu, można przypuścić, że chyba właśnie to sąsiedztwo tak wspaniałych muzyków wpłynęło na wyjątkowo muzyczno-pianistyczny klimat naszego mieszkania. W nim bowiem, oprócz dwóch przez ścianę grających fortepianów, niekiedy nocami, na pozostawionej otwartej klawiaturze grywał nawet nasz kot Maciuś, podczas swych nocnych spacerów.

Po tym trochę przydługim wątku muzycznym powracam do wypadków pierwszych miesięcy 1942 roku.

7. Wilno - lata 1942 – 1943

W Wilnie zbrodniarze hitlerowscy rozpoczęli aresztowania i prześladowania ludności żydowskiej już w 1941 roku. Najpierw wprowadzono surowe restrykcje w ich poruszaniu się - obowiązek noszenia żółtych łat oraz zakaz chodzenia po chodnikach. Drugim etapem było utworzenie getta. Getto mieściło się w samym centrum miasta, w dzielnicy żydowskiej. Spędzono tam Żydów z całego miasta, niemal tak jak stali, tylko z tym co mieli przy sobie. W pewnym okresie przebywało ich tam prawie 70.000, nieprawdopodobnie stłoczonych w wyjątkowo antyhumanitarnych i antysanitarnych warunkach.

Przypominam sobie, jak kiedyś przed wojną, wybraliśmy się przez ciekawość z kolegami odwiedzić tę tajemniczą i oryginalną dzielnicę żydowską. Zaledwie jednak

weszliśmy w gąszcz i plątaninę wąskich, małych, zatłoczonych uliczek, uderzył nas taki brud i zaduch, że szybko opuściliśmy to niesamowite i jakieś odrażające ludzkie mrowisko.

Można więc sobie było wyobrazić co tam się działo teraz. Przy takim zagęszczeniu ludzie umierali w getcie setkami z chorób i wycieńczenia.

Władze niemieckie, nie bez pomocy Litwinów, urządzały całe polowania na Żydów. Okupanci ogłosili oficjalnie, że za pomoc w ukrywaniu Żydów grozi kara śmierci. Dla postrachu przy Katedrze powieszono kilku mężczyzn umieszczając na ich piersiach napisy : „Za pomoc Żydom".

Wkrótce zaczęły się masowe egzekucje, czyli jak to eufemistycznie nazywali Niemcy „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej". Utworzono specjalne oddziały egzekucyjne złożone w dużej części z litewskich „Szaulisów", zwane popularnie przez Wilnian „strzelcami ponarskimi".

Ponary były to duże obszary leśne położone ok. 10 km na zachód od miasta, między linią kolejową a szosą prowadzącą na Grodno. Tutaj znajdował się największy wileński poligon śmierci. Tu w latach okupacji hitlerowskiej zamordowano ponad 100 tysięcy osób, w tym około 60 tysięcy Żydów i kilka tysięcy Polaków.

Poza gettem, wielu Żydów przetrzymywanych było w przepełnionych po brzegi więzieniach. Stąd wywożono ich ciężarówkami jakoby na roboty, a w istocie na śmierć.

Wiedzieliśmy, że tego rodzaju eksterminacje odbywały się równocześnie na całej Wileńszczyźnie i w całej Litwie. Dla ilustracji posłużę się znowu fragmentem wspomnień ojca o masowej zagładzie Żydów z Kalwarii i okolicznych miejscowości.

„...ta ludobójcza zbrodnia była z iście niemiecką dokładnością przeprowadzona. Najpierw bowiem wykopano na dużej przestrzeni rowy wzdłuż Szeszupii pod Mariampolem – a po kilku dniach zapędzono całą ludność żydowską z Kalwarii i okolicy do dwóch opustoszałych i częściowo zdewastowanych dawnych stajni rosyjskiej kawalerii – znajdujących się w pobliżu miejsca kaźni. Stąd dużymi grupami zabierano ofiary i ustawiano szeregiem tuż nad brzegiem rowów... po czym zabijano serią strzałów z broni maszynowej.

Potworny ten mord trwał całą noc i kilkanaście tysięcy zwłok kobiet, mężczyzn i dzieci – zapełniło głębokie rowy. Ohydę tej masowej eksterminacji potęgował fakt, że hitlerowscy oprawcy do końca mamili Żydów, że zostaną oni czasowo umieszczeni w utworzonym dla nich mariampolskim ghetcie."

Do tych tragicznych wspomnień dodam jeszcze jedno dramatyczne przeżycie mego ojca, kiedy wśród spędzonego tłumu Żydów ujrzał po raz ostatni swego zaprzyjaźnionego kolegę, dr-a Blumensona.

Społeczeństwo żydowskie próbowało się bronić zakładając tajne organizacje w celu ratowania poszczególnych jednostek. Była to między innymi Zjednoczona Partyzancka Organizacja (ZPO) i chyba najbardziej znana i zasłużona „Rada Pomocy Żydom" przy Delegaturze Rządu, o konspiracyjnym pseudonimie „Żegota". W jej skład wchodzili również przedstawiciele Armii Krajowej. Trzeba zaznaczyć, że organizacja ta w czasie ponad 2-letniej działalności zdołała ocalić dziesiątki tysięcy osób.

Chyba wrodzona niechęć, a może nawet bojaźń naszych semickich współmieszkańców do wszelkiej walki zbrojnej powodowała, że niezwykle mało Żydów szło do leśnej partyzantki - ani do sowieckiej, która właśnie teraz na wiosnę poczęła powstawać, ani też potem do polskich oddziałów AK.

Nieliczni tylko Żydzi współpracowali z naszymi organizacjami konspiracyjnymi, wykorzystując swój spryt w zdobywaniu różnych materiałów – głównie materiałów wybuchowych i amunicji. Wielu z ich pracowało przymusowo fizycznie w samym Gestapo

i w poszczególnych więzieniach, skąd dostarczało cennych wiadomości dla naszego podziemia.

Wówczas jeszcze nikt nie przypuszczał, że likwidowanie ludności żydowskiej było zakrojone przez Niemców na ogromną skalę. Ginęli oni w obozach koncentracyjnych całej Europy, a zwłaszcza na terenach Polski, gdzie znajdowało się ich największe skupisko i gdzie wobec powszechnie panującego terroru można było najłatwiej tę zbrodnię ukryć. Ogółem, ten bez precedensu w dziejach ludzkich potworny, zorganizowany mord całego narodu pochłonął 6 milionów Żydów, w tym 3.500.000 zamieszkałych w Polsce.

W tej sytuacji nasuwało się nam wszystkim pytanie, skąd u Niemców wziął się taki antysemityzm, który potem przerodził się w nienawiść prowadzącą do ludobójstwa.

W Niemczech przedhitlerowskich właściwie nie było wyraźnego antysemityzmu. Panowała tolerancja i liberalizm. Żydzi opanowali handel, przemysł i bankowość oraz zajmowali wysoką pozycję w nauce i badaniach naukowych. Spauperyzowane masy żydowskie nie były powszechnie lubiane, ale nie ze względów rasowych, a raczej z uwagi na brud i niechlujstwo. Natomiast bogate żydostwo brało udział w życiu wyższych sfer niemieckich.. W porównaniu z Żydami, obywatele niemieccy polskiego pochodzenia byli uważani za obywateli II kategorii i wyraźnie dyskryminowani.

Dopiero hitlerowska NSDAP od początku swego powstania głosiła hasła antyżydowskie, głównie na tle rasistowskim. Poza tym Żydów oskarżano o prokomunistyczne nastawienie oraz o inspirowanie i rozniecanie wojen przez wielkich bankierów i banki, które w większości znajdowały się pod ich kontrolą. Już w 1933 roku, słynny pożar Reichstagu stał się pretekstem do rozpoczęcia prześladowań, a w dwa lata potem Ustawy Norymberskie postawiły praktycznie wszystkich Żydów poza prawem. W roku 1938 pozbawiono Żydów prawa głosowania i zajmowania stanowisk w urzędach państwowych. W tym roku miały miejsce największe pogromy i aresztowania ludności żydowskiej.

Wracając do plutonów egzekucyjnych to zabierały one swoje żniwo śmierci także wśród ludności polskiej. Obok wymienionych już Ponar, nasi rodacy ginęli też masowo w więzieniach i katowniach hitlerowskich. Nierzadkie były wielotysięczne zbrodnie na całej Wileńszczyźnie, jak na przykład w Nowych Święcianach, gdzie m.i. litewscy policjanci rozstrzelali 1200 Polaków w odwecie za rzekome zabicie oficera Wehrmachtu i dwóch cywili. Ta zbrodnia szczególnie nas w Wilnie poruszyła.

W roku 1942 rozpoczęły się też wywózki na roboty do Niemiec. Na stopniowe nasilanie się antypolskich represji nasze społeczeństwo odpowiadało wzmagającym się ruchem oporu i działalnością konspiracyjną. Coraz częściej przygotowywane były i wykonywane akcje dywersyjne, zwłaszcza na liniach kolejowych. Zdobywano broń i amunicję dla nowo powstających jednostek Armii Krajowej. Ukazywały się drukowane przez podziemie gazetki, jak np. „Niepodległość" czy „Nasza wieś", biuletyny niepodległościowe oraz różnego rodzaju ulotki.

Tajna prasa dość często gościła w naszym domu przynosząc pokrzepienie i wiele ważnych i niedostępnych wiadomości. Również, tak oczekiwany powrót mego ojca z Kalwarii, w maju tegoż roku, ożywił znacznie nasze kontakty z ludźmi. Szczególnie prywatna praktyka oraz objęcie przez ojca funkcji lekarza kolejowego, wzbogacały wiedzę o dziejących się wypadkach, zarówno na terenie Wilna, jak i na całym teatrze toczącej się wojny. A trzeba zaznaczyć, że nikt tak jak polscy, patriotycznie nastawieni kolejarze nie miał tylu wiadomości o aktualnych wydarzeniach.

Wieści, jak zawsze bywają dobre i złe, tym razem na szczęście więcej było tych pomyślniejszych.

Na odległym Pacyfiku Japonia, odnosząca dotąd olbrzymie sukcesy, zaczyna powoli tracić inicjatywę. To samo dzieje się z Niemcami na froncie wschodnim. Ich ofensywa na południu utknęła pod Stalingradem. Równocześnie niemal w Afryce Północnej ofensywa osławionych dywizji pancernych Rommla została zatrzymana w bitwie pod Al.-Alamein.

Ale chyba najwspanialszą wiadomością dla nas Polaków w tym roku 1942-gim było cudowne wyprowadzenie ze Związku Sowieckiego i wyrwanie ze stalinowskich łap dużej części wojska polskiego pod dowództwem gen. Andersa. Byli to ludzie z sowieckich obozów i innych miejsc odosobnienia. Wykorzystano znakomicie odpowiedni moment zamieszania i trudności militarnych Moskwy, bowiem w innych warunkach taka akcja nie miałaby, jak się wydaje, szans powodzenia.

Warto dodać, że ten nieprawdopodobny, niemal biblijny exodus polskich niewolników, był dla nich początkiem wielkiej, wieloletniej odysei – wędrówki poprzez Iran, Irak, Bliski Wschód, afrykańskie piaski aż po Italię. Był nieustanną walką „za naszą i waszą wolność", sławiąc bohaterstwo i bitność polskiego żołnierza. Przez dziesiątki lat po wojnie gen. Władysław Anders był uważany za wroga nr 1 PRL-u, a jego postać na białym koniu symbolizowała znienawidzoną przedwojenną Polskę.

Pod koniec roku doszła nas nowa elektryzująca wiadomość o potężnej klęsce wojsk niemieckich pod Stalingradem, gdzie Niemcy stracili ogromne zgrupowanie armii, w zabitych i wziętych do niewoli około pół miliona żołnierzy. Po raz pierwszy Hitler przyznał się do klęski i ogłosił dni żałoby w Niemczech.
Mimo wrogości jaką żywiliśmy do Moskwy, Kremla i Stalina, było to dla nas wydarzenie wyjątkowo radosne i dla wielu zwiastujące rychły koniec wojny, którego tak wszyscy oczekiwali i pragnęli.

Na marginesie tego zwycięstwa trzeba powiedzieć, że oprócz krzepnącego męstwa żołnierza radzieckiego oraz wzmożonych dostaw własnego przemysłu zbrojeniowego, wycofanego aż za Ural, sukces ten Moskwa zawdzięczała w dużej mierze pomocy Stanów Zjednoczonych w sprzęcie i uzbrojeniu.
Wydaje się jednak, że najbardziej znaczącą pomocą była żywność ze słynną amerykańską „swinnają tuszonką", o której jeszcze wspomnę przy okazji mego pobytu w sowieckim obozie, a która kto wie, czy mnie i mnie podobnym nie uratowała życia.

Rok 1943 przeszedł do historii jako rok dalszych porażek i klęsk wojsk hitlerowskich na obu frontach. Wraz z klęskami na froncie wschodnim przyszły niepowodzenia niemieckie na zachodzie. Zagrożona III Rzesza wzmacnia tzw. „Festung Europa", szykuje się do obrony powołując nowe, coraz młodsze roczniki pod broń oraz buduje umocnienia na ogromną skalę. Niemcom brakuje rąk do pracy zwłaszcza w przemyśle i rolnictwie.

Konsekwencje tej sytuacji niestety nie ominęły również nas. Tak jak na wszystkich okupowanych terenach, tak i w Wilnie, władze niemieckie nasiliły przymusową akcję rekrutacyjną polskiej ludności do pracy w Rzeszy. Wydane w tej sprawie rozporządzenie dotyczyło wszystkich mężczyzn od 16-tego roku życia oraz niezamężnych kobiet, zobowiązywało to do rejestracji w miejscowym Arbeitsamtcie. Polskie władze podziemne wydały tajną odezwę o nie zgłaszanie się dobrowolne, ani do rejestracji, ani do innych służb niemieckich.

Wśród Polaków to zagrożenie spowodowało wzmożony niepokój i próby zapobieżenia niebezpieczeństwu.

Już na wiosnę 1943 r. powstały pierwsze oddziały partyzanckie AK. Stopniowo coraz więcej starszej młodzieży uciekało do lasu. Wilno powoli pustoszało. Nawet Litwinów zaczęto wywozić do pracy w Niemczech.

W naszym mieszkaniu coraz częściej zjawiali się i szybko znikali jacyś pojedynczy mężczyźni, z którymi mama konfidencjonalnie zamieniała na osobności kilka słów, czasem wynosili jakieś paczki czy zawiniątka. Wówczas jeszcze nie bardzo wiedziałem co się dzieje, gdyż rodzice, ze względu na moje bezpieczeństwo, nie wtajemniczali mnie w sprawy konspiracyjne. Nie mniej domyślałem się, że muszą być związani w jakiś sposób z podziemiem. Jak się wkrótce okazało, rzeczywiście nasz dom był skrzynką kontaktową zaś rodzice, a zwłaszcza mama wraz z naszą sąsiadką panią Pietkiewiczową, organizowały pomoc sanitarną i zaopatrzenie oddziałów leśnych AK w niezbędne środki farmaceutyczne i materiały opatrunkowe. Dla uzupełnienia dodam, że p. Pietkiewiczowa była farmaceutką i byłą właścicielką apteki, która znajdowała się na parterze naszej kamienicy. Mieszkała u nas jako sublokatorka z dwoma dorastającymi synami Ziutkiem i Romkiem.

Wczesną wiosną tego roku radio Berlin podało, iż na okupowanej Białorusi w miejscowości Katyń odkryto groby ponad 4 tysięcy polskich oficerów i jeńców wojennych, obwiniając o tę zbrodnię władze sowieckie. Początkowo uważano tę sensację za chwyt propagandowy Goebelsa. Bardzo szybko jednak niezależni, międzynarodowi świadkowie stwierdzili, że ofiary zostały zamordowane wiosną 1940 r., kiedy Niemców tam jeszcze nie było. Okazało się, że Katyń był tylko jednym z miejsc likwidacji ponad 21.000 polskich oficerów, podoficerów, policjantów i pewnej liczby cywilów, którzy znajdowali się w trzech głównych obozach: Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, jak również w więzieniach na okupowanych ziemiach wschodnich RP.

Sprawa nabrała rozgłosu. Rząd Polski w Londynie usiłował nadać jej bieg międzynarodowy. Źródła sowieckie oburzały się obłudnie na jakoby bezpodstawne oskarżenia, obwiniając rząd londyński o współpracę z hitlerowcami. Ta kłamliwa wersja obowiązywała w ZSRR i całym bloku sowieckim przez 50 lat. Moskwa przez dziesięciolecia starała się wszelkimi sposobami maskować ten potworny mord. Dopiero za czasów Gorbaczowa przyznano, że zrobiło to NKWD na osobisty rozkaz Stalina.

Ta stalinowska zbrodnia to jedna z wielu konsekwencji polityki Kremla mającej na celu zniszczenie Państwa Polskiego i ponury symbol wszystkich morderstw dokonanych na Polakach. Warto przypomnieć, że bolszewicy w stosunku do żadnej innej armii, nawet Wehrmachtu, nie dopuścili się tego rodzaju zbrodni.

Myśmy w domu, podobnie jak większość Polaków w Wilnie, od razu byli przekonani, że tym razem w sprawie Katynia Niemcy nie kłamią . Niezależnie od doświadczeń historycznych, wszystkie antypolskie postępki władz sowieckich od 1939 r. dostatecznie nas upewniały co do prawdziwie wrogich ich zamiarów wobec obywateli polskich. Ogólnie też było wiadomo do jakich podłości, zbrodni i perfidii są gotowi się posunąć. Potwierdzała się stara prawda, że tam gdzie jest jakaś tajemnica, niedaleko czai się zło, występek i draństwo.
Co do Niemców, to mimo całej ich bandyckiej bezwzględności trudno było przypuścić by w tym czasie, kiedy ważyły się pod Moskwą losy wojny, zajmowali się akurat mordowaniem polskich jeńców, których tysiące przebywało w samych Niemczech. Zwłaszcza, że w tym okresie brali do niewoli i osadzali w obozach setki tysięcy jeńców sowieckich.

Rodzice przyjaźnili się z panią H. Meleniewską, żoną majora Wojsk Polskich wywiezionego przez NKWD w 1939 r. Kiedy wyszła na jaw sprawa Katynia, była ona przekonana, że jej mąż tam właśnie został zamordowany. Świadczył o tym między innymi fakt, że jego korespondencja urwała się nagle w kwietniu 1940 roku. O ile mi wiadomo zginął tam również serdeczny przyjaciel ojca, neurolog doc. Al. Ślączka.

Tegoż 1943 roku w lipcu, dotarła do nas przygnębiająca wiadomość o tragicznej śmierci Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego w katastrofie lotniczej pod Gibraltarem. W naszym najbliższym otoczeniu panowała wtedy opinia, że nie był to wypadek, a morderczy zamach uderzający w żywotne interesy Polski.
Zgodnie z powiedzeniem „Qui fecit cui prodest" byliśmy przekonani, że była to robota wywiadu hitlerowskiego bądź sowieckiego. Niestety do dzisiaj nie rozwiązano ostatecznie tej zagadki. Coraz więcej mówi się o dziwnych i podejrzanych jej okolicznościach, mieszając również do tej sprawy specjalne służby angielskie. Być może kiedyś jakieś tajne archiwa uchylą rąbka tej tajemnicy.

W połowie roku, w Wilnie utworzono tajny oddział Związku Patriotów Polskich w celu współdziałania z Armią Czerwoną. Składał się on z komunistów ukrywających się w mieście, którzy nie zdołali się zeń wydostać i uciec w 1941 r. Była to osobliwa prosowiecka organizacja, której wydaje mi się konieczne poświęcenie kilku osobnych uwag.

Stalin, jako przeciwwagę polskiej armii na Zachodzie chciał stworzyć na terenie ZSRR polskie oddziały pod dowództwem sowieckim. Dla uzyskania odpowiedniego efektu propagandowego potrzebna mu była jakaś polska organizacja, która by wystąpiła z prośbą o sformowanie takiego wojska i równocześnie była jego zapleczem politycznym. Do tego celu nadawał się Związek Patriotów Polskich, dopiero co utworzony w marcu 1943 r. w Moskwie przez komunistów znajdujących się w Związku Radzieckim.

Organizacja ta, której przewodniczącą była Wanda Wasilewska, była wrogo nastawiona do naszego rządu emigracyjnego. Formalnie miała ona na celu niesienie pomocy Polakom znajdującym się w Rosji. Politycznie związek optował za ścisłym powiązaniem kraju z ZSRR, łącznie z utworzeniem Polskiej Republiki Radzieckiej.

Najbardziej znamienną i zadziwiającą cechą tych „patriotów" było to, że niemal 80% działaczy stanowili polscy Żydzi, którzy potem po wojnie w znacznym stopniu opanowali nasze władze. Była to ekskluzywna, wroga grupa polakofobów pałających nienawiścią do Wolnej Polski. Ślepo oddani Moskwie nie tylko uprawiali wrogą propagandę wobec Armii Krajowej, ale też uczestniczyli czynnie w penetracji naszych oddziałów AK, współpracując z NKWD.

Jak wyglądała ich pomoc obywatelom polskim przebywającym w ZSRR, mogłem się przekonać sam, kiedy w czasie pobytu tam usiłowałem dowiedzieć się czegoś o rodzicach znajdujących się wtedy w obozach sowieckich, nie mówiąc już o informacjach o moim i współtowarzyszy położeniu. Na kilka wysłanych listów, zarówno z łagru jak i potem po powrocie do Polski, nie dostałem żadnej odpowiedzi.

Podobnie ojciec będąc w obozie w Saratowie w 1946 r. dowiedziawszy się, że jest tam miejscowy oddział ZPP, próbował zdobyć jakieś informacje co do dalszego losu znajdujących się tam więźniów, bądź też uzyskać jakąś pomoc pieniężną. Rezultat był taki, że został przyjęty jak natręt przez mówiącego kiepską polszczyzną Żyda i niemal po chamsku wyproszony za drzwi.

Tak wyglądał w praktyce „patriotyzm" naszych sowieckich „Polaków". Z przedstawicielami tego Związku miałem sposobność zetknąć się też w obozie miednickim, o czym jeszcze będę mówił.

Pisząc o 1943 roku nie można pominąć jeszcze jednego niezwykle ważnego wydarzenia, o którym nie mieliśmy wtedy pojęcia. W końcu roku odbyła się w Teheranie tajna konferencja Wielkiej Trójki (Roosevelt, Stalin i Churchill), ustalająca podział łupów i strefy wpływów w powojennej Europie. Wtedy Stalin był już tak silny, że trzeba było się z nim poważnie liczyć. Zostaliśmy sprzedani Moskwie, a nasza polityczna i terytorialna przyszłość została rozstrzygnięta zgodnie z interesami ZSRR.

Churchill oficjalnie ogłosił rezultaty tych rozmów dopiero w parę miesięcy potem, ale większość polskiego społeczeństwa dowiedziała się o tym znacznie później. To była dla nas prawdziwa tragedia...

8. Czas dojrzewania

Dla zaczerpnięcia oddechu, jako przerywnik po nieco jednostajnym i chwilami nudnym kronikarskim opisie następujących po sobie ważniejszych wydarzeń, chcę teraz więcej miejsca poświęcić osobistym sprawom i własnym refleksjom. Nadszedł bowiem czas bogaty w nowe doznania 17 letniego młokosa związane z ogólnym rozwojem właściwym okresowi dojrzewania.

Mniej więcej gdzieś w końcu 1942 roku rozpocząłem naukę na tajnych kompletach nauczania. Po dwóch latach przerwy dalsze leniuchowanie mogłoby być potem trudne do odrobienia.

Tajne nauczanie w czasach okupacji nie było w Wilnie żadnym nowym wynalazkiem. Wobec zamknięcia większości szkół, a pozostawienia tylko tych o specjalnym, spreparowanym proniemieckim programie, była to po prostu zwykła konieczność.

Młodzież polska, prześladowana i wynaradawiana przez okupantów na przestrzeni historii, często korzystała z tej jedynej szansy nauki, a przede wszystkim poznania własnych dziejów, własnej kultury i własnego polskiego języka. Dotkliwy głód nauki, nękany przez ciemięzcę naród zaspokajał nawet w najbardziej skrajnych warunkach, jak w więzieniach i obozach.

Jak dowiodła tego choćby ostatnia wojna, dopóki nie upadał duch, nie upadała nadzieja, wielu broniło się przed kompletnym odczłowieczeniem właśnie między innymi poprzez intelektualny wysiłek samokształceniowy. Ci, co coś wiedzieli, starali się to przekazać chętnym najlepiej i najdokładniej, jak tylko potrafili. Sam zresztą doświadczyłem tego na sobie przebywając w obozie sowieckim.

Konspiracyjne kształcenie miało miejsce przez cały okres zaborów. Na Wileńszczyźnie tradycja ta sięga czasów Filaretów i Filomatów, kiedy na Wileńskim Uniwersytecie w 1823 r. zawiązało się tajne kółko samokształceniowe. Pod hasłem „Ojczyzna, Nauka, Cnota" skupiła się w nim najbardziej żywa, zdolna i patriotyczna młodzież.

W zaborze rosyjskim po powstaniu styczniowym, kiedy rusyfikacja młodzieży osiągnęła swoje apogeum, a carat zabronił nauczania i używania publicznie języka polskiego, również powstały tajne komplety. Uczono na nich dzieci polskiej mowy i polskiej historii.

Nauczanie było zresztą zawsze wdzięcznym obszarem do wynaradawiania przez okupanta dzieci i młodzieży. W tym celu było albo całkiem zabronione, albo też dowolnie fałszowane i przeistaczane. Słynne i rozpowszechnione były w Generalnej Guberni, pod okupacją niemiecką, zajęcia uniwersyteckie zwane „latającymi uniwersytetami" organizowane przez Tajną Organizację Nauczycielską (TON). A trzeba przypomnieć, że tajne nauczanie było też jedną z form walki z okupantem.

Tak więc, rozpoczęte przez nas nauczanie było mimowolną kontynuacją starej polskiej tradycji konspiracyjnego kształcenia. Zorganizowanie takich kompletów nie było w naszych warunkach ani łatwe, ani tym bardziej bezpieczne. W czasie terroru hitlerowskiego każde spotkanie nawet kilku osób mogło być poczytane za działalność antyniemiecką i groziło nieobliczalnymi konsekwencjami. Z tego powodu, jak również ze względów konspiracyjnych, starano się aby ilość uczestników zespołu była jak najmniejsza i możliwie koedukacyjna. Obowiązywała wzmożona dyscyplina i punktualność, albowiem każda przedłużająca się ponad planowaną nieobecność, powodowała uzasadniony niepokój najbliższych. Każde wyjście z domu musiało dokładnie określać czas powrotu i miejsce przebywania.

Lekcje odbywały się w coraz to innym mieszkaniu, któregoś z uczestników. U nas na Zarzeczu odbywały się nieco częściej, jako że mieszkanie było wyjątkowo przestronne i co najważniejsze miało dwa niezależne wyjścia na zewnątrz. Mama, zawsze niezwykle ostrożna, czuwała przez cały czas z przygotowanym nakryciem i jakimś ciastem lub posiłkiem, by można było w razie czego udawać zwykłe spotkanie towarzyskie. W tym celu w pogotowiu był też zawsze domowy patefon.

Nasz komplet składał się z trzech do pięciu osób. Trzon zespołu, poza mną, stanowiła Alina Michałowska, siostra Jurka, mojego przyjaciela i towarzysza późniejszej wspólnej niedoli, oraz Jędrek Kotecki. Pozostali t.j. Halina Możejkówna i Witold Rymsza dołączali do nas okresowo.

Grono profesorów było również nieliczne, ale doskonale dobrane, zarówno od strony wysokiego poziomu wiedzy, wyjątkowych zdolności pedagogicznych, jak i postawy patriotycznej. Zwłaszcza dwoje z nich zapisało się w mojej pamięci szczególnie ciepło, ponieważ jak sądzę mieli oni znaczący i decydujący wpływ na moją dalszą edukację. Byli to profesorowie: Eugenia Januszkiewiczowa i Jerzy Orda.

Prof. Januszkiewiczowa uczyła nas matematyki, fizyki i chemii, będąc równocześnie jakby naszym wychowawcą i kierownikiem zespołu profesorskiego. Była to osoba bardzo żywotna o niezwykle silnej indywidualności i ogromnej wiedzy. Te zalety, jak też łatwość przekazywania szerokiego i skomplikowanego materiału, czyniły prawdziwe cuda. Ona to między innymi sprawiła, że ja, z natury humanista, rozkochałem się w naukach ścisłych. Ta intelektualna miłość, bez której, jak to się mówi, nie ma poznania, opanowała mnie do tego stopnia, że nie tylko wyprzedzałem często bieżący materiał, ale wychodziłem daleko poza obowiązujący program licealny.

Pociągała mnie zwłaszcza matematyka i fizyka, w których dzięki pani profesor, odkryłem niezwykłą logikę i piękno. Nowe zainteresowania miały dla mnie też ważne i praktyczne znaczenie, ponieważ już wówczas zastanawiałem się nad studiami na Politechnice i snułem pierwsze, jeszcze trochę niejasne, marzenia o architekturze.

Drugim filarem zespołu nauczycielskiego był profesor Jerzy Orda, który uczył nas historii i częściowo geografii. Był to człowiek niezwykły pod każdym względem, człowiek o głębokim sercu a przede wszystkim wspaniały pedagog. Trochę dziwak i oryginał

imponował nieprzeciętnym intelektem i nieprawdopodobną erudycją. Jako wykładowca uniwersytecki była to postać barwna oraz znana w świecie kulturalnym i naukowym Wilna.

Nigdy nie przypuszczaliśmy, że taki przedmiot jak historia może być tak pasjonujący i bogaty, powiązany tak silnie i konsekwentnie niemal ze wszystkimi dziedzinami wiedzy. Wykłady, jakich słuchaliśmy były zawsze czymś wyjątkowym. Przykuwały one w najwyższym stopniu uwagę i były prawdziwym majstersztykiem kunsztu akademickiego. Można było łatwo sobie wyobrazić jakie tłumy studentów waliłyby na jego wykłady, gdyby je mógł obecnie dalej prowadzić na USB.

Kiedy dziś usiłuję dociec, co właściwie było główną zaletą tak perfekcyjnie prowadzonych przez niego lekcji, to sądzę, że była to chyba niezrównana umiejętność wpisywania dziejów ludzkich w bardzo szerokie tło zjawisk politycznych, społecznych, kulturowych, ekonomicznych i cywilizacyjnych. Całość okraszana była licznymi przykładami literatury i sztuki i ciekawymi poglądami filozoficznymi. Szczególnie fascynujące wydawało się powiązanie historii Polski z dziejami Europy i świata. Podawane przez profesora genezy poszczególnych zdarzeń historycznych były tak jasne i przekonywujące, tak wypływające jedne z drugich i tak się zazębiające, iż zdawało się, że dzieje świata nie mogłyby się potoczyć inaczej.

Poświęcam temu zagadnieniu tyle uwagi, ponieważ widzę w tym jakby szerszy aspekt. Stosując bowiem podobne zasady przedstawiania wiedzy, można by poprzez uatrakcyjnienie i wzbogacenie wiadomości, zainteresować młodzież prawie każdym przedmiotem.

Języka polskiego i literatury powszechnej uczył prof. Około – Kulicz, którego niestety imienia nie zapamiętałem. Był to poważny, dociekliwy i rzeczowy intelektualista, który na tle prezentowanej literatury analizował i omawiał z nami wiele uniwersalnych zagadnień myśli ludzkiej. Literatury polskiej uczyliśmy się też ze znakomitego podręcznika prof. USB, Konrada Górskiego. Dla nas, patriotycznie nastawionej młodzieży, najciekawszym był okres polskiego romantyzmu. Młoda, niezła pamięć pozwalała mi dość łatwo na uczenie się na pamięć dziesiątków wierszy a nawet całych dużych fragmentów tej wielkiej poezji.

Ostatnim profesorem o jakim chcę wspomnieć był Paweł M. Puciata, u którego pobieraliśmy naukę języka niemieckiego. Niemieckiego uczyłem się już w gimnazjum, jeszcze przed wojną. W tym przedmiocie dużą pomocą był ojciec, który znał doskonale niemiecki i był niezwykle czuły i wymagający jeśli chodziło o poprawną gramatykę. Język ten po agresji hitlerowskiej był ogólnie wrogi i znienawidzony, może więc dlatego bardziej ceniłem i lubiłem profesora za jego piękne koncerty pianistyczne, o których wspominałem, niż za udzielane nam lekcje. Nie mniej muszę przyznać, że znajomość niemieckiego okazała się w dalszym kształceniu bardzo przydatna.

Niestety o dalszych losach moich profesorów niewiele mogę powiedzieć. Wiem tylko, że prof. Orda pozostał w Wilnie i zajmował się historią sztuki. Zmarł w 1972 r, i został pochowany na cmentarzu Rossa.

Dzisiaj mogę ocenić z całą pewnością, że to grono profesorskie odegrało ogromną rolę w kształtowaniu naszych osobowości i w tworzeniu własnego wizerunku świata. Rozbudziło też zaciekawienie i zamiłowanie wszechstronnym poznawaniem jego przejawów. Przekonaliśmy się, że właśnie ciekawość, chęć i radość poznania najskuteczniej napędzają intelekt. „Nie ma poznania bez intelektualnej miłości" – powiada Pascal.

Ci pedagodzy nie tylko potrafili wpoić w nas rzadką miłość do wiedzy i nauki, ale pokazali przede wszystkim jej niezwykłe piękno i nieznaną dotąd siłę – w myśl maksymy :

„Im więcej wiem, tym więcej mogę". Nauczyli też kochać książki, które zawsze pozostają wiecznym lekarstwem dla umysłu.

Muszę przyznać, że od strony mego kształtującego się światopoglądu, jak również mojej obywatelskiej postawy wobec własnego kraju, najwięcej dały mi chyba lekcje historii i literatury. Zawdzięczam to wspomnianym już profesorom, którzy niezwykle szeroko traktowali i komentowali swoje tematy zarówno co do przeszłych, jak i najnowszych wydarzeń.

Współczesną problematykę II wojny światowej często poruszał z nami prof. Orda. Jeżeli chodzi o kluczowy, poruszany w mych wspomnieniach problem Rosji, to dużo się mówiło o jej długiej i burzliwej historii będącej odwiecznym polem walki o ziemię, chleb i władzę. Każda władza ma zawsze w sobie coś z choroby. Ale władza absolutna i nieograniczona samodzierżawia powodowała szczególne zaślepienie i degenerację panującego. Carat, podobnie jak cały absolutyzm, podpierał autorytet swej władzy starą, jeszcze średniowieczną doktryną katolicką o pochodzeniu wszelkiej władzy od Boga. Cerkiew prawosławna zawsze silnie wspierała carat, była otwartą i potężną zwolenniczką samodzierżawia i utwierdzała prosty, nieoświecony lud o boskości cara, wieszając jego podobizny w cerkwiach.

Pamiętam mickiewiczowską „Redutę Ordona", której fragmentów uczyliśmy się wtedy na pamięć. Jak dosadnie i zwięźle ujmuje ona m.in. charakter caratu:

... „Król wielki, samowładny świata połowicy,
Zmarszczył brwi – i tysiące kibitek wnet leci.
Podpisał – tysiąc matek opłakuje dzieci.
Skinął – padają knuty od Niemna do Chiwy.
Mocarzu, jak Bóg silny, jak szatan złośliwy
Warszawa jedna twej mocy urąga,
Podnosi na cię rękę i koronę ściąga
.....
Car dziwi się – ze strachu drżą Petersburczany.
Car gniewa się – ze strachu mrą jego dworzany."

Profesor podkreślał też ciągłe zagrożenie, jakie stanowiła Rosja zwłaszcza dla Polski poprzez nieustanną, imperialną agresję. Carat przez 300 lat, niemal bez przerwy, przy pomocy miecza i korupcji próbował nas zniewolić i całkowicie sobie podporządkować. Rosjanie w swych rusyfikacyjnych działaniach pragnęli przede wszystkim oprzeć się na rodzimym polskim elemencie, na ludziach zaufanych, przekupionych i wszelkiego rodzaju zdrajcach. Chociaż w wielu wypadkach im się to niestety udawało, to jednak generalnie trafili na wyjątkowo twardego i odpornego przeciwnika. Przekonali się, że Polaków stosunkowo łatwo jest bić, ale nie sposób ich pokonać. Spowodowało to specyficzny uraz i kompleks Rosji na naszym punkcie, wzmagający zawziętość i nienawiść wzajemną.

Po wyżej wspomnianych dygresjach na temat Rosji cofam się znowu do spraw ściśle mnie dotyczących.

W tym czasie, obok rozwoju umysłowego, wyraźnie wzmagało się moje zainteresowanie płcią odmienną oraz związaną z tym całą intymną sferą uczuciową, typową dla okresu dorastania i dojrzewania.

Mimo surowego i wręcz nieraz purytańskiego wychowania przez matkę, zjawiska te dały o sobie znać już znacznie wcześniej. Pierwszym objawem była natrętna i nieco wstydliwa ciekawość. Potem stopniowo, gdzieś w zakamarkach świadomości, począł się rodzić instynktowny, uczuciowy erotyzm. To nowe, nieznane zjawisko wzbudzało niepokój i zakłopotanie. W obecności dziewcząt czułem się jakoś głupio, bywałem zmieszany

i onieśmielony. Nie zdawałem sobie sprawy, że rozwijające się ciało rzucało mi nowe, nieznane i dręczące wyzwania.

Gdzieś w głębi wzbierał jakiś tajemniczy zachwyt i fascynacja kobietą. Całość odczuć i przeżyć wydawała się tak porażająca i wstydliwa, że skrzętnie to ukrywałem. Zapewne natury prostsze, mniej skomplikowane, przeżywały dojrzewanie w sposób spokojniejszy i jakby nieuświadomiony.

Coraz bardziej podobały mi się te ładne, delikatne i pociągające istotki. Niewątpliwie obok czynnika erotycznego odgrywał tu dużą rolę element estetyczny. Piękno bowiem jest zawsze tam, gdzie coś się nam podoba, wzrusza i sprawia przyjemność. Estetyczna doskonałość kobiety była dla mnie i pozostała do dzisiaj źródłem wiecznej egzaltacji i uwielbienia. Nic dziwnego, że Goethe pisał: „Das Ewigweibliche – pociąga nas zawsze wzwyż", a piękne kobiece ciało zawsze było inspiracją malarzy i poetów. Mój zaś artystyczny idol, Michał Anioł, mawiał : „Piękny ludzki kształt kocham, bo jest Boga odbiciem".

Kiedy już będąc studentem, zainteresowałem się trochę freudowskim seksualizmem brakowało mi tam właśnie pierwiastka Piękna i towarzyszącej mu Miłości. Freud, twierdząc że cała nasza podświadomość przesiąknięta jest seksualizmem i popędem płciowym, widzi w Erosie tylko czysty seks, jak gdyby chciał nas przybliżyć do zwierząt, a oddalić od bogów. Tymczasem, bóg miłości budzi przede wszystkim ekstazę i uwielbienie dla piękna. To przecież wzajemna fascynacja, zachwyt i podziw rodzą między kobietą a mężczyzną miłość, jedno z najpotężniejszych i najpiękniejszych ludzkich uczuć.

Spoglądając wstecz na moje własne, zarówno młodzieńcze, jak i dorosłe przeżycia w tej sferze uczuciowo zmysłowej mogę bez wahania i z całym przekonaniem powtórzyć za Norwidem : „Miłość jest kształtem Piękna".

Myślę, że Tetmajer, którego uwielbiałem, najgłębiej i najsilniej w swych namiętnych erotykach pełnych urody, miłości i żaru zmysłowego, wyrażał piękno kobiecości :

„... ma w sobie taki urok boski
I takie dziwne piękności i czary,
Że zda się, jakiś malował ją stary
Anioły w duszy noszący mistrz włoski."

9. Problem żydowski

Wiele razy zastanawialiśmy się w naszym gronie nad zamieszkałą wśród nas społecznością żydowską. Zdawaliśmy sobie sprawę jak istotną rolę odgrywa to odmienne środowisko w naszym wzajemnym współistnieniu. Ale najbardziej przykry i drażniący był jego antypolonizm, izolacjonizm i przede wszystkim prosowieckie i prokomunistyczne nastawienie. Na szczęście probolszewicka była głównie biedota i młodzież, inteligencja łatwiej się asymilowała i nie była w takim stopniu antypolska – rozumiała zapewne, lub przeczuwała, że bolszewizm zagraża przede wszystkim inteligencji.

Może dlatego, ponieważ obracaliśmy się raczej w sferach inteligenckich, rodzina moja nie była nastawiona wrogo do Żydów. W lekarskim świecie wielu było przyjaźnie do nas nastawionych ludzi tej narodowości. Najlepszy dowód, że wielce przyjacielski był prof. Rose, a ojciec darzył go wielkim poważaniem i wszyscy bardzo dużo mu zawdzięczaliśmy. Pamiętam z jaką przyjemnością zawsze słuchałem żydowskich kawałów opowiadanych wspaniale przez profesora. Również w adwokaturze wileńskiej byli Żydzi, z którymi ojca łączyła miła i serdeczna współpraca.

Czasy wojny niestety w sposób zasadniczy zmieniły nasz stosunek do problemu żydowskiego.

Dlatego też sądzę, że my, mieszkańcy wschodnich terenów Rzeczpospolitej zajętych już w 1939 r. przez Rosję Sowiecką, mamy szczególne powody, a nawet obowiązek wypowiadać się w tej sprawie. Mieliśmy bowiem rzadką okazję bezpośredniej obserwacji społeczności żydowskiej w czasie wkraczania wrogich nam armii sowieckiej, litewskiej i niemieckiej w latach 1939-1941, oraz późniejszego jej zachowania. Właśnie na kresach wschodnich, gdzie Żydów było najwięcej, ujawniły się z większą ostrością niektóre ich ujemne cechy, a w szczególności ich antypolskie nastawienie.

Zapewne również my, częściej i głębiej zastanawiamy się nad niezwykłym i dramatycznym losem narodu żydowskiego, starając się zrozumieć przyczynę ich nieszczęśliwej historii oraz zrozumieć motywy ich antypolonizmu. Wydaje się, że nam, Polakom, dzieje Izraelitów są bliższe niż jakiejkolwiek innej narodowości, a to przede wszystkim z dwóch najważniejszych powodów.

Po pierwsze dlatego, że na naszych ziemiach gościliśmy od wieków najliczniejszą i najbardziej żywotną część żydowskiej światowej diaspory. Po drugie, na naszym terytorium dokonano najstraszniejszego, barbarzyńskiego holocaustu Żydów, za który usiłuje się dziś Polaków uczynić współwinnymi, oskarżając nas o antysemityzm.

I to jest najbardziej zastanawiające, dlaczego dzisiaj pewne środowiska żydowskie, zwłaszcza amerykańskie, właśnie nas uważają za największych swych wrogów. Dziwne, że antysemitami nie są Niemcy, którzy dokonali na Żydach najstraszniejszej zbrodni ludobójstwa. Nie są Francuzi, o których wiadomo, że sami bez udziału żołnierzy niemieckich wyłapywali Żydów i wywozili do obozów, nie mówiąc już o reżimie Vichy, który aby się przypodobać Hitlerowi był wyjątkowo wrogi Żydom. Antysemitami nie są też inne narody, które w czasie wojny ściśle współpracowały z Niemcami w zagładzie rasy semickiej.

Nawet do Rosjan nikt nie ma pretensji, mimo że wiadomo iż carat generalnie był zawsze antysemicki, a Rosja Sowiecka, początkowo przyjacielska, później zmieniła front, kiedy w Państwie Izrael swoje wpływy zdobyły Stany Zjednoczone. Znane są takie poczynania Stalina, jak próba wysiedlenia Żydów z Moskwy, czy zwalczanie i likwidowanie członków Antyfaszystowskiego Komitetu Żydowskiego, czy też wreszcie w pewnym okresie przekonywanie opinii publicznej, że ofiary obozów hitlerowskich to jedynie antyfaszyści.

Wiemy też dobrze, jakie masy Żydów w obawie przed prześladowaniami, biedą i sowieckim antysemityzmem uciekało do Polski oraz do Izraela.

Na koniec warto przypomnieć, że podczas gdy w ciągu XIV i XV wieku wypędzono Żydów z Anglii, Francji, Hiszpanii czy Portugalii, a następnie z niektórych miast i księstw niemieckich, w Polsce przez cały ten czas znajdowali oni azyl i schronienie. Tu u nas zamieszkało i cieszyło się szeroką tolerancją ich największe skupisko w Europie. Już w Polsce piastowskiej tworzyli jakby odrębny stan, zajmując się handlem i dzierżawą karczem oraz młynów od szlachty.

Niestety, kiedy w XVII w. wśród wyznawców judaizmu rozwinął się u nas chasydyzm, ortodoksyjny i fanatyczny odłam religijny, zaczęła stopniowo pojawiać się coraz większa niechęć do społeczności żydowskiej i aż do czasów rozbiorów postępował powolny proces ograniczania jej uprawnień. Trwał on również dalej szczególnie w miastach. W zaborze rosyjskim pojawiały się sporadyczne tumulty antyżydowskie.

Jak już częściowo wspomniałem w drugiej połowie XIX w. napłynęło z Rosji do wschodniej Polski dziesiątki tysięcy Żydów uciekających przed prześladowaniami, niosąc ze sobą niepewność, niepokój i zastraszenie. Nie jest wykluczone, że te właśnie cechy przejęła potem większość żydostwa polskiego, u którego wystąpiły objawy antypolskiej fobii i przewrażliwienia na punkcie prześladowań. Poza tym imigranci ci, wśród których była

większość biedoty, przywlekła ze sobą brud, nędzę oraz niezrozumiały i nieznany dotąd żargon, pokraczny język z silnymi naleciałościami rosyjskimi. Wszystkie te nowe zjawiska nie zyskały sobie przychylności społeczeństwa polskiego. W dodatku powolne wykształcanie się wyraźnej odrębności narodowej polskich Żydów poczęło tworzyć wobec nich nastroje nieprzyjazne.

Narastająca niechęć do Żydów wypływała również po części z naszych własnych wad narodowych, a głównie pewnego rodzaju zawiści. Żydzi byli inteligentni, zdolni, pracowici i tym górowali nad większością „gojów". Opanowali dziedziny gospodarki przynoszące największe zyski, oraz mieli wyjątkowy talent do handlowania. Byli cierpliwi, potrafili bogacić się powoli, zadowalając się małym dochodem. Znakomicie umieli się targować i zachwalać swój towar. W przeciwieństwie do naszych kupców byli grzeczni i uniżeni oraz niezwykle usłużni.

Obserwowaliśmy to przy okazji różnych zakupów, czy też korzystania z pewnych usług rzemieślniczych i muszę przyznać, że często korzystaliśmy z różnych żydowskich ofert. Nigdy nie zapomnę ile wysiłku poświęcił kupiec starając się nam sprzedać komplet robionych pod antyki mebli do salonu. Dwa razy przywoził i zabierał meble, gdyż po ustawieniu w pokoju nie przypadały rodzicom do gustu, a co najważniejsze robił to z wielką życzliwością i serdecznością. Byliśmy przekonani, zresztą z doświadczenia, że u kupca nie żydowskiego było by to niemożliwe. Podobnie ojciec miał zaprzyjaźnionego, taniego i usłużnego żydowskiego krawca i kuśnierza w jednej osobie, który zawsze nas zaskakiwał swą solidnością i terminowym wykonywaniem zamówień.

W przedwojennej Polsce bogatsi Żydzi opanowali dwa podstawowe i najbardziej wzięte wolne zawody, to jest medycynę i adwokaturę. Ojciec mój opisuje w swoich pamiętnikach, jak wielki był napływ młodzieży żydowskiej na wydział medyczny i prawniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. W 1917 r. z reguły na 5-ciu kandydatów było 3-ech Żydów. Ten stan rzeczy wynikał częściowo z ich lepszej sytuacji finansowej, a częściowo z faktu ochotniczego wstępowania dużej ilości młodych Polaków do Legionów, podczas gdy Żydzi unikali za wszelką cenę jakiejkolwiek służby wojskowej.

Poza wymienionym już zamiłowaniem do handlu, należy poruszyć tu pewną słabostkę ludzką, jaką jest zamiłowanie do pieniądza. Choć jest ono bardzo powszechne, u Żydów rozwinęło się niezwykle bujnie i bogato, a przesada w tej miłości do mamony dodatkowo wzbudzała w nas pewną niechęć. Oprócz bankierstwa, czyli handlu pieniędzmi, zajmowali się też chętnie lichwiarstwem i prowadzili lombardy.

Należy przypuszczać, że właśnie umiłowanie handlu i pieniądza pozwoliło Żydom zawładnąć większością kapitału światowego. Znane są do dziś bogate rodziny bankierskie Rothschildów, Epsteinów, Rockefellerów, Tifanich, czy choćby przedwojennych polskich Kronenbergów. Plutokracja żydowska i obecnie trzyma w ręku i kontroluje światową finansjerę. Że wielkie pieniądze nie dają szczęścia, stara się ją usprawiedliwić popularne powiedzenie żydowskie : „Bieda prześladuje biednego, bogactwo bogatego".

Wydaje się, że przez 2000 lat główną receptą żydowską na życie było zdobycie większego majątku, pozycji społecznej, czy też wpływu na ośrodki władzy - a to zawsze budziło zawiść.

Mówiąc o naszej niechęci do semickiej rasy nie można pominąć względów obyczajowo – psychologicznych i charakterologicznych. Bowiem tego rodzaju cechy przede wszystkim decydują, czy się kogoś lubi bądź nie lubi.

Maria Dąbrowska wyraża swój negatywny stosunek do Żydów w następujący sposób : „...są jacyś przeraźliwie obcy i odpychający, brudni, niechlujni, ich język jest nieprzyjemny, chrapliwy, zaflegmiony szwargot jakiejś wynaturzonej niemczyzny".

Istotnie, z własnych obserwacji i odczuć pamiętam jak dziwny i obcy był to żargon o osobliwie brzmiącej, jakby pytającej ciągle melodii. Ich mowie towarzyszyła zwykle żywa, przesadna gestykulacja rąk poparta jakimiś dziwnymi ruchami ciała oraz zmienną, niespokojną mimiką twarzy.

Dla mnie, kilkunastoletniego chłopca, w tym żydowskim, egzotycznym świecie wszystko było jakieś dziwne, nierealne i odmienne. Obok tego, że często śmieszyło to wszystko nas młodych, to jednocześnie odpychało, jak gdyby nie byli to normalni ludzie.

Jednakże w tym nierzeczywistym i bajkowym świecie, pełnym brudnych, czarnych chałatów, mycek, lisich futrzanych czap, niezwykłej galerii typów o błyszczących, rozgorączkowanych oczach oraz długich i białych brodach, czy też zabawnie wiszących, pokręconych pejsach, był równocześnie jakiś ciekawy koloryt, uroczy prymitywizm i jakby zabytkowy archaizm. Pamiętam niektóre sklepiki żydowskie ciasne, ciemne, brudne i zagracone, o nieprzyjemnym zatęchłym zapachu, z ich biednymi sprzedawcami, w wyświechtanych chałatach, cuchnących czosnkiem, cebulą i śledziami. (Co do śledzi to trzeba powiedzieć, że był on najtańszym pożywieniem i symbolem biedy od pokoleń.)

Ten odmienny świat, który odszedł bezpowrotnie, ten żydowski koloryt, melancholijny klimat żydowskich miasteczek i miejskich dzielnic zatłoczonych, gwarnych i ruchliwych, chyba najpiękniej oddał i ocalił od zapomnienia Izaak Singer. Zmarły przed paru laty pisarz żydowski, laureat Nagrody Nobla, urodzony w Polsce, w swym przesiąkniętym polskością pisarstwie miesza miłość do naszej ziemi z rozgoryczeniem, bólem i nostalgią.

Bardzo ważną rolę w procesie odseparowania się środowiska żydowskiego od społeczności polskiej odegrał nacjonalistyczny ruch tzw. syjonizm. Powstał on pod koniec XIX wieku i miał na celu utworzenie państwa żydowskiego oraz zahamowanie procesów asymilacyjnych wśród współwyznawców. Walka z asymilacją i zachęcanie do separatyzmu było prowadzone na przestrzeni całej historii ludów izraelskich po to, aby rozproszony po świecie naród nie uległ zagładzie. Rasa semicka miała silne poczucie przynależności do tej samej wspólnoty etniczno-kulturowej. W Europie najbardziej zasymilowani byli Żydzi na Zachodzie, im dalej na wschód tym silniejsze były wpływy orientalne i bardziej widoczne odrębności kulturowe.

Syjonizm wywierał moralny nacisk na światowe żydostwo nawołując do podwójnej lojalności obywateli pochodzenia semickiego zarówno wobec państwa, w którym żyją i mieszkają, jak i wobec państwa Izrael (nawet jeszcze nie istniejącego). Ta sprzeczność pogłębiła jeszcze tak naganną, naszym zdaniem, ich podwójną moralność, inną wobec siebie, a inną wobec nas Polaków. Powstanie państwa Izrael nasiliło te procesy. Równocześnie wpłynęło na częściowe osłabienie semickiego wiekowego kompleksu niższości w stosunku do chrześcijan i obaliło tradycyjną koncepcję Żyda – wiecznego tułacza skazanego przez Boga na marną wegetację i błądzenie po świecie.

Wspomniany kompleks niższości miał też prawdopodobnie wpływ na nieprzyjemny sposób ukrywania swej tożsamości przez Żydów. Jakby wstydzili się swego pochodzenia, dotyczyło to szczególnie jednostek inteligentniejszych i bardziej wykształconych. Już na przełomie XVIII i XIX wieku masowo zmieniali swoje niemiecko brzmiące nazwiska

z końcówkami „baumów", „feldów", „zweigów" czy „blumów", na polskie. Być może powodem było też powszechne odczucie, zresztą nie tylko w Polsce, że słowo „Żyd" ma jakieś pejoratywne znaczenie, a nazwanie kogoś Żydem uznawano jako obelgę. J. P. Sartre powiedział kiedyś : „Tylko w Izraelu można powiedzieć o kimś, że jest Żydem nie będąc posądzonym o antysemityzm".

Dla syjonizmu i tendencji antyasymilacyjnych miała olbrzymie znaczenie religia. Judaistyczny monoteizm odznaczał się silną nietolerancją wobec innych wyznań, ekskluzywnością i drobiazgowym trzymaniem się przepisów religijnych, fanatyzmem i jakimś niewytłumaczalnym wstecznictwem. Zdecydowało to o zamknięciu się Żydów w jednej odseparowanej wspólnocie religijno – narodowej.

Obok tendencji separatystycznych wobec otaczającego świata, religia mojżeszowa stała się głównym czynnikiem integracyjnym i narodowym rozproszonej społeczności żydowskiej. To ona głównie pozwoliła, mimo tak licznych prześladowań, zachować jej swą tożsamość. Bez niej nie byłoby dzisiaj Żydów bo cała ich historia jest wyjątkowo silnie związana z religią. Żyd świecki to abstrakcja. Zawsze największą szansę na przetrwanie w rozproszeniu mają grupy religijne. Naród, który nie ma własnego państwa szuka ocalenia w religii i symbolach. Myślę, że o tym mogli się również przekonać Polacy, zwłaszcza w okresie zaborów.

Spośród z tych wszystkich semickich cech i ogromnych różnic psychologicznych, socjologicznych, religijnych i obyczajowych, dla nas, zwłaszcza mieszkańców ziem wschodnich, zdecydowanie najgorsze było jednak wrogie nastawienie środowiska żydowskiego do Państwa Polskiego i Polaków. Ta wrogość była czasem jawna, czasem utajona.

Jak już wspomniałem, nastawienie to zaczęło narastać w początkach naszego stulecia i silnie się ujawniło w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Dopiero jednak wybuch II wojny światowej i związane z nią wydarzenia pokazały to wrogie oblicze w całej pełni.

W okresie ostatniej wojny nasz stosunek do Żydów kształtowała zarówno ich postawa wobec okupantów, jak i wobec nas samych. Jak już pisałem, swe antypolskie uczucia manifestowali za każdym razem, kiedy wkraczały wrogie nam armie. Władze sowieckie znając ich antypolskie zapatrywania wykorzystywały to. Wielu z nich przeszło na ścisłą współpracę z NKWD.

Żydzi stanowili też trzon aparatu propagandowo-policyjnego. W śledztwach i służbie więziennej należeli do najokrutniejszych. Potwierdzają to liczne wspomnienia aresztowanych Polaków. Między innymi ojciec mój opisuje podłego i zdegenerowanego swego nadzorcę w wileńskim więzieniu na ul. Słowackiego - Żyda, Rabinowicza.

Żydzi również denuncjowali polskich patriotów i ukrywających się członków tajnych organizacji. Z całą pewnością mój ojciec, a z dużym prawdopodobieństwem później także matka, zostali aresztowani na skutek donosu żydowskiego zegarmistrza, który zamieszkiwał w sąsiedniej kamienicy.

Antypolskie nastawienie żydostwa po zakończeniu wojny nie ustało. Ocalałe od pogromu rzesze Żydów zasiliły nowe komunistyczne władze polskie, zarówno państwowe jak i partyjne (PZPR). Byli enkawudziści upodobali sobie zwłaszcza organa policyjne i wojskowe. Powojenny nasz Urząd Bezpieczeństwa obsadzony był w dużym stopniu przez starozakonnych, głównie przez zajadłych prosowieckich polonofobów.

Polacy mają na świecie opinię antysemitów. Jestem przekonany jednak, że nie jesteśmy antysemitami. Doskonale zdajemy sobie sprawę z wielkiego wkładu rasy semickiej w kulturę i naukę światową. Ten wysoce integracyjny czynnik pozwala mieć dla ich dorobku uznanie i szacunek. Każdy polski inteligent musi to przyznać i docenić. Także wśród polskich Żydów było wiele wybitnych jednostek, które wywarły ogromny wpływ na polską kulturę i naukę. Niewątpliwie pod wieloma względami bez Żydów Polska byłaby uboższa.

Jednak, że się kogoś mniej od innych lubi nie oznacza jeszcze wrogości. Sprzeczności istnieją zawsze – zarówno w świecie wewnętrznym, jak i w kontaktach międzyludzkich. Nasze wysiłki w zwalczaniu żydowskiej nuty antychrześcijańskiej, polonofobii i polakożerstwa, czy też krytyka żydowskiego szowinizmu i nacjonalizmu nie powinna być nam poczytywana za przejaw antysemityzmu. Czasami wydaje mi się, że Żydzi sami fabrykują i rozpowszechniają o nas te złe opinie. Wspomniany już noblista Singer powiedział: „Żyd współczesny nie może żyć bez antysemityzmu. Jeśli antysemityzm gdzieś nie istnieje, on go stworzy."

W obecnej demokratycznej Polsce olbrzymia większość społeczeństwa nie jest nieprzyjaźnie nastawiona do Żydów. Dlaczego dziś Polacy nie odczuwają niechęci do Żydów? Po prostu pozostało ich u nas bardzo niewielu, a poza tym to są już inni ludzie bardziej otwarci i bardziej zasymilowani. Żyjemy w innych czasach pełniejszej demokracji, silnych tendencji integracyjnych, walki z wszelką ksenofobią i walki o prawa każdego człowieka. Powoli zacierają się odrębności narodowościowe, wszyscy stopniowo stajemy się obywatelami jednego świata.

Na zakończenie tej niezwykle ważnej a równocześnie ciekawej problematyki żydowskiej trzeba stwierdzić, że miała ona duży wpływ na naszą ostatnią historię, a często też na nasze indywidualne losy.

Oczywiście, trzeba też powiedzieć, że nie wszyscy Żydzi byli nastawieni antypolsko, nie wszyscy kolaborowali z komunistami i Rosją Sowiecką, tak jak nie wszyscy są odpowiedzialni za niegodziwości i zbrodnie popełnione na polskim narodzie.

10. Wilno - I połowa 1944 r.

Piękna jak zawsze w swym nieodpartym uroku wiosna 1944 roku okazała się tym razem szczególnie trudnym i pełnym znaczących wydarzeń okresem w mej dotychczasowej sztubackiej egzystencji.

Nie dość, że na moich tajnych kursach nauczania trwały wtedy ostatnie, gorączkowe przygotowania do matury, to tak się złożyło, że w tym samym czasie, wraz z kilku moimi najbliższymi kolegami wstąpiłem do Armii Krajowej.

Na te dwa doniosłe wydarzenia nałożyło się w dodatku nagłe otrzymanie nakazu do stawienia się przed niemiecką komisją werbującą Polaków do pracy w Rzeszy. Wezwanie to, mogące mieć fatalne skutki, wywołało w naszym domu zrozumiałe, wielkie zdenerwowanie. Ojciec zadecydował, że muszę się ratować symulowaniem pewnej odmiany padaczki i natychmiastową hospitalizacją. Po dokładnym instruktażu tej fikcyjnej choroby, dzięki znajomym lekarzom z Neurologicznego Szpitala na Zwierzyńcu, zostałem tam przyjęty jako pacjent.

Wśród personelu lekarskiego był między innymi szczerze oddany ojcu, jego niedawny asystent, dr Zygmunt Kanigowski, człowiek wielkiej energii i poświęcenia, znany później wśród braci akowskiej pod pseudonimem „Ordynator". Jak szybko się zorientowałem, nie ja jeden byłem tu symulantem, a niemal cały polski personel Szpitala z narażeniem życia, jak tylko mógł, pomagał licznej młodzieży chroniąc ją przed niemieckimi represjami.

W wyznaczonym dniu, prosto ze szpitala pojechałem w towarzystwie ojca na niemiecki punkt komisyjny. Pamiętam, że z emocji oraz lęku czy komisja nie odkryje czasem zaplanowanego podstępu, dostałem lekkiej gorączki. Pedantyczni jak zwykle Niemcy od razu stwierdzili podwyższoną temperaturę i po krótkim badaniu oraz przejrzeniu mojej szpitalnej historii choroby wydali mi wymarzony papierek z orzeczeniem „Untauglich", czyli niezdolny do pracy i służby.

Niedługo po tym denerwującym incydencie, zostaliśmy nieprzyjemnie zaskoczeni nagłym zarekwirowaniem jednego z naszych pokoi przez litewskiego policjanta. Spowodowało to w domu wiele zamieszania oraz dodatkowych stresów i trudności. Trzeba było uprzedzić na czas łączników AK i zerwać ich kontakty z mieszkaniem oraz zlikwidować odbywające się u nas lekcje tajnego nauczania.

Litewski funkcjonariusz był na szczęście spokojnym lokatorem i wydawał się być nastawiony raczej przyjaźnie. Nie było jednak pewności czy nie ma polecenia szpiegowania naszego lokalu, gdzie bądź co bądź, mieszkało wraz z sublokatorami aż czterech mężczyzn.

Początkowo młody, zapasiony i potężny wiejski chłop udawał, że nie zna języka polskiego. Szybko się jednak okazało, że doskonale nim włada. Potwierdzało to, co już powiedziałem, jak wielu Litwinów i to nie koniecznie tylko inteligentów, znało język polski.

Nasza litewska „glina" co pewien czas wracał do domu dobrze podchmielony. Zapominając o patriotycznej czujności, szczerze wówczas bełkotał po polsku. Wyszło wtedy na jaw, że wraz z litewskimi kolegami bierze on czynny udział w niemieckiej akcji rozstrzeliwaniu Żydów w ponarskim lesie. Przed i po każdej takiej morderczej akcji jej bestialscy członkowie dla kurażu byli pojeni alkoholem. Cała ta historia dowodziła niezbicie udziału Litwinów w rozstrzeliwaniu wileńskich Żydów.

O Ponarach i masowej eksterminacji ludności żydowskiej już pisałem. Wspomniałem też, że zamordowano tam również kilka tysięcy Polaków. Właśnie z Ponarami wiąże się jeden z wcześniejszych epizodów tej zbrodni, który szczególnie wstrząsnął polskim społeczeństwem.

Było to rozstrzelanie na miejscu, w Ponarach, 10 zakładników wybranych z polskiej inteligencji. Był to odwet za zastrzelenie jakiegoś litewskiego agenta. Zbrodnia ta była głośna w całym Wilnie. O aresztowaniu i egzekucji obwieszczały plakaty rozmieszczone w mieście, a lista zakładników sporządzona była przez Litwinów.

Ta tragedia w sposób szczególny dotknęła moich rodziców, ponieważ jedną z zamordowanych ofiar był bliski znajomy ojca, prof. USB. Dr Kazimierz Pelczar. Był to europejskiej sławy uczony, pionier polskiej onkologii, oddany społecznik i patriota oraz człowiek niezwykłej dobroci. Dla ojca śmierć profesora była tym bardziej dramatyczna, że w przeddzień rozstrzelania miał z nim bardzo długą i serdeczną rozmowę. Drugim zamordowanym w tej akcji dobrym znajomym ojca był wzięty i znany adwokat wileński Engel, z którym często występował razem jako biegły w sądach.

Skoro mowa o ojcu, to trzeba przypomnieć, że podobnie jak większość polskiej inteligencji znajdował się ciągle pod presją ewentualnego aresztowania. Jako lekarz prowadził praktykę prywatną, a równocześnie jako neurolog pracował w przychodni kolejowej. Było to o tyle niebezpieczne, że wiązało się z wydawaniem licznych zaświadczeń o fikcyjnych chorobach oraz zwolnień lekarskich ludziom, którzy często w tym czasie przeprowadzali różne akcje antyniemieckie, bądź też byli zaangażowani w podziemnym ruchu oporu.

W tym czasie nasiliły się znacznie polskie sabotaże na komunikacyjnych liniach kolejowych. W wiele z nich zamieszani byli kolejarze. Oni też prowadzili dokładną obserwację ruchu pociągów i przekazywali dane odpowiednim komórkom AK. Od nich mieliśmy przez ojca najwięcej aktualnych informacji z frontów wojennych oraz z ważniejszych miejscowych wydarzeń.

Między innymi jeden z zaprzyjaźnionych pacjentów ojca przekazał nam wiadomości o nieudanej wyprawie litewskiego specjalnego Korpusu gen. P. Plechaviciusa w celu zlikwidowania akowskiej brygady „Szczerbca". Korpus ten z inicjatywy niemieckiej utworzyli Litwini dla zwalczania polskiej i sowieckiej partyzantki.

Walki Litwinów z naszymi oddziałami stwarzały też pewne zabawne sytuacje. Pamiętam, jakim głośnym echem odbiła się w Wilnie polska potyczka z „plechaviciusami" pod Graużyszkami. Nie dość, że Litwini stracili 36 zabitych, to w dodatku 150 jeńców litewskich rozebranych do bielizny musiało przemaszerować ulicami miasta, budząc zrozumiałą sensację oraz humorystyczne reakcje Polaków. W tydzień potem, jak się dowiedzieliśmy, Korpus poniósł znacznie większą porażkę w Murowanej Oszmiance.

O ile mi wiadomo, po licznych tego typu klęskach osławionego Korpusu, gen. Plechavicius został przez Niemców aresztowany, a resztki jego oddziału rozbrojone. Jako ciekawostkę warto dodać, że pechowy generał planował utworzenie w Wilnie specjalnego getta dla Polaków.

Oprócz wiadomości przekazywanych z ust do ust, źródłem informacji ze świata było oczywiście zawsze gdzieś skrzętnie zakonspirowane radio. Najbardziej wiarygodne były wiadomości BBC radia Londyn w języku polskim. Przez szereg lat z napięciem i uwagą wsłuchiwaliśmy się w słowa „Tu mówi Londyn", poprzedzone charakterystycznym „bum, bum, bum."

Jak zaznaczyłem na wstępie, w kwietniu wstąpiłem formalnie w szeregi Armii Krajowej jako szeregowiec „Morawa". Pseudonim ten przyjąłem od panieńskiego nazwiska matki (Morawiecka), chcąc w ten sposób podkreślić jej głęboko patriotyczną postawę, jaką wpajała we mnie od najwcześniejszych lat.

Dowództwo AK podzieliło organizacyjnie Wilno na cztery rejony. Dowódcą naszego 4-ego rejonu dzielnicy Zarzecze był porucznik o pseudonimie „Ogniwo" (Leon Tejwan). Obowiązywał system piątkowy tworzący tzw. sekcję. Chodziło o to, aby działając w konspiracji, ze względów bezpieczeństwa, każdy z nas znał jak najmniejszą ilość swych towarzyszy. W skład naszej piątki wchodzili moi koledzy gimnazjalni i przyjaciele, jak m.in. Jerzy Michałowski i Zygmunt Kowalski. Szkoleniem piątki zajął się ojciec Zygmunta, przedwojenny sierżant zawodowy . On też w swym mieszkaniu na ul. Zarzecze odebrał od nas uroczystą przysięgę żołnierską.

Nigdy nie przypuszczałem, że będzie to dla mnie tak ogromne przeżycie, że te kilka prostych słów przysięgi będzie miało taką potęgę i wywoła tak niezwykłe wzruszenie. Powtarzaliśmy te uroczyste słowa przed krucyfiksem, niemal sztywni i sparaliżowani podniosłością chwili. Niestety nie zachowałem w pamięci dokładnego tekstu tego ślubowania, ale brzmiało ono mniej więcej tak :

„W obliczu Boga Wszechmogącego i Ojczyzny
przysięgam, że będę stał na straży honoru Polski
i będę dla Niej pracował i o wyzwolenie Jej
z niewoli walczył ze wszystkich sił swoich,
aż do ofiary życia - Tak mi dopomóż Bóg !"

To było coś więcej niż żołnierska przysięga, to była swoista nobilitacja obywatelskiej i patriotycznej dojrzałości, to było przejęcie sztafety pokoleń walczących o wolność naszej Ojczyzny. Nieodparcie cisnęły się wtedy słowa poety :

„Synkowie moi, poszedłem w bój
jako wasz dziadek i ojciec mój.
Jak ojca ojciec i ojca dziad
Co z Legionami przemierzył świat ..."

Ale cóż, nie przeczuwaliśmy wtedy, że nieubłagane fatum w swej niezbadanej przekorze i złośliwości nie pozwoli nam na walkę zbrojną, a naszą żołnierską służbę naznaczy rychłym i tragicznym końcem kapitulacji i rozbrojenia.

Obok podniosłej przysięgi, pamiętam jak wielkim przeżyciem było w moim wypadku wzięcie po raz pierwszy do ręki prawdziwej broni. Dla mnie, zauroczonego od małego strzelaniem i walką, prawdziwy karabin, a zwłaszcza pistolet zdawał się być szczytem wszelkich marzeń. Broń dawała niezależność, poczucie swoistej wolności i wewnętrzną siłę. Była niejako świętym rekwizytem, bogiem wojny decydującym o życiu i śmierci.

Nic więc dziwnego jak wiele wysiłku wkładaliśmy w jej dokładne poznanie. Na ćwiczeniach dziesiątki razy rozkładaliśmy i składaliśmy zamki karabinowe i pistolety różnych typów. Uczyliśmy się szybkiego ładowania i rozładowywania broni i poznawaliśmy różne rodzaje amunicji. Broń musiała być zawsze sprawna i w każdej okoliczności gotowa do strzału. Dlatego czyszczenie i sprawdzanie broni było sprawą własnego bezpieczeństwa.

W szkoleniu najbardziej emocjonujące były dalekie wyprawy za miasto do wyznaczonego miejsca, gdzie odbywało się ostre strzelanie. Emocje rodziło przede wszystkim niebezpieczeństwo natknięcia się w czasie drogi na Niemców czy Litwinów, jak i obawa, że odgłosy strzałów mogą zdradzić naszą obecność. Oczywiście, według zapewnień sierżanta, cały teren był odpowiednio zabezpieczony.

Te wszystkie nowe obowiązki świeżo upieczonego akowca nałożyły się częściowo na z dawna oczekiwany i przygotowywany egzamin maturalny. Mimo dobrego opanowania materiału oraz świetnego samopoczucia i pewności siebie, nie opuszczało mnie jednak lekkie podenerwowanie. Przeżywałem trudny okres zarozumiałego osiemnastolatka, któremu się wydawało, że posiadł wszystkie rozumy, a wygórowana ambicja nie dopuszczała myśli o jakimkolwiek niepowodzeniu.

Na kompletach, o dziwo, zdawało się maturę ze wszystkich przedmiotów łącznie nawet z historią kościoła, etyką i propedeutyką filozofii. Najważniejszymi jednak przedmiotami, podobnie jak obecnie, były – język polski, matematyka i fizyka. W tych dziedzinach byłem teoretycznie mocny, jakkolwiek zawsze wiele zależało od tematu czy zadania. Szczególnie w wyższej matematyce i fizyce nie można się wszystkiego nauczyć. Można bowiem znać doskonale wzory, metody i prawa, a nie potrafić ich właściwie zastosować w odpowiednim zadaniu.

Na szczęście, moje obawy okazały się w końcu płonne i całość egzaminu poszła doskonale. Zamiłowanie do poezji i literatury przydało się bardzo przy pisaniu wypracowania z języka polskiego, które okrasiłem licznymi, przytaczanymi z pamięci cytatami, zaś pasja matematyczno-fizyczna zaowocowała zdobyciem z tych przedmiotów ocen bardzo dobrych.

Tak więc wraz z pozostałą piątką koleżanek i kolegów stałem się teoretycznie dojrzałym i dorosłym człowiekiem. Było to o tyle zabawne, że w moim cielęcym wieku

niewiele jeszcze wtedy wiedziałem o życiu i jego trudnych i zawiłych meandrach. Nadchodziły czasy, w których przyszło mi zdawać prawdziwy egzamin dojrzałości.

Tymczasem tak na dalekich frontach, jak i na swojskim wileńskim podwórku przewalała się lawina wielkich wydarzeń, które niebawem miały zadecydować o naszej najbliższej gorzkiej i ponurej przyszłości.

Co ciekawe, to w tym czasie dochodziły nas z frontów same wspaniałe i pomyślne wieści, jakby sama historia chciała uśpić naszą czujność przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Pojawiły się wprawdzie dalsze symptomy wyjątkowej wrogości nadchodzącej sowieckiej bestii, ale w ogólnej euforii zwycięstw nad znienawidzonym hitleryzmem i nadziei na szybkie zakończenie wojny, umknęły one powszechnej uwadze.

Niemal zaraz po maturze dowiedzieliśmy się, że w walkach o Monte Cassino, Polacy zdobyli wzgórze i na ruinach klasztoru zawiesili biało czerwoną flagę. Amerykanie wkroczyli do Rzymu.

6 czerwca rusza wreszcie potężna aliancka inwazja w Normandii. Anglo-amerykańskie wojska, po ciężkich walkach o umocnienie przyczółków, posuwają się w głąb Francji. Dowiedzieliśmy się wtedy z satysfakcją o potężnych bombardowaniach niemieckich miast przez alianckie połączone siły powietrzne.

Wszystko to raduje nas i podnosi na duchu. Zbliża się czas rozliczeń za barbarzyńskie zbrodnie i zniszczenia dokonane przez hitlerowskich siepaczy na polskim narodzie i na polskim państwie.

W tym czasie na froncie północno-wschodnim natarcie Armii Sowieckiej zatrzymało się nieoczekiwanie jeszcze w końcu 1943 roku, po zdobyciu Smoleńska. Wobec zbliżającej się Armii Czerwonej do granic Polski, Rząd Tymczasowy w Londynie oraz Dowództwo AK postanowiło wystąpić jako sojusznik w roli gospodarza naszych ziem.

W związku z powyższym, w marcu 1944 powstał plan akcji pod kryptonimem „Ostra Brama", według której połączone oddziały wileńskie i nowogródzkie AK miały przed nadejściem wojsk sowieckich opanować własnymi siłami Wilno.

W koncepcji tej, jak się wkrótce okazało, było przede wszystkim wiele naiwności politycznej i błędnej oceny zachowania się Sowietów, mających wobec nas zdecydowanie zaborcze plany. Jak się okazało, potraktowanie Moskwy jako sojusznika było kardynalnym błędem.

Drugim poważnym niedociągnięciem planowanej akcji był brak rozeznania niemieckich sił i liczebności garnizonu wileńskiego, jak również ich planów strategicznych. Nie wiedziano między innymi, że Wilno miało być zamienione w twierdzę chroniącą Prusy Wschodnie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że winę za ten stan rzeczy ponosi wywiad AK, w którym częściowo my młodzi braliśmy udział.

Sądzę, że co do zamiarów bolszewickiego sojusznika w ostatnich latach było dostatecznie dużo sygnałów ostrzegawczych, które zlekceważono. Ponadto nasiliły się zbrodnie i podstępne postawy partyzantki sowieckiej wobec oddziałów AK.

Takie incydenty, między innymi, miały miejsce już w 1943 roku w okolicach jeziora Narocz, kiedy Sowieci udając przyjaciół aresztowali i rozstrzelali „Kmicica" wraz z 70-cioma żołnierzami jego dużego i znanego oddziału. Podobnie w Puszczy Nalibockiej, pozorując przyjaźń, zaproszone na naradę dowództwo oddziałów AK zostało rozbrojone i aresztowane. Tego rodzaju informacje przekazywali nam bezpośrednio partyzanci, z którymi, jak wspomniałem, dom nasz miał ciągły kontakt.

O wrogim nastawieniu Sowietów do AK świadczyło choćby zarządzenie KCKP Białorusi, w którym nakazywano jednoznacznie „wszelkimi siłami zwalczać oddziały i grupy polskich nacjonalistów" (czytaj – patriotów AK).

Wreszcie wiele aktów rozbrojenia oraz internowania oddziałów akowskich na terenach polskich, gdzie Armia Czerwona ponownie wkraczała w pierwszych miesiącach tego roku, wyraźnie dawały do zrozumienia, że Moskwa uważa te ziemie za swoje. Tak np. było na Wołyniu.

Mimo jawnych, wrogich objawów wobec Polski, Związek Sowiecki ciągle pozostawał w sojuszu z aliantami. Stwarzało to dla dowództwa Armii Krajowej, trzeba przyznać, wyjątkowo trudną i nie do pozazdroszczenia sytuację - wróg czy sojusznik ?

Gdzieś w maju, dowódcy naszych oddziałów partyzanckich i konspiracji podziemnej zaczęli czynić przygotowania do „Operacji Ostra Brama". Wiele ugrupowań AK postawiono w stan podwyższonej gotowości. Gromadzono na gwałt broń i amunicję, wzmocniono działalność wywiadowczą i zacieśniono łączność między oddziałami.

Odczuła to też, naturalnie, nasza piątkowa sekcja zarzeczna poprzez dodatkowe, intensywne szkolenie, działalność kurierską i zbieranie informacji o siłach niemieckich. Atmosfera stawała się coraz gorętsza, mimo że oficjalnie nic nie wiedzieliśmy o przygotowywanej akcji. W domu również wyczuwało się rosnące napięcie i niepokój rodziców.

Także wśród Niemców można było łatwo zauważyć wzmożony ruch i przygotowania do obrony miasta. Wzdłuż Wilii budowano umocnienia i bunkry. Na wprost naszych okien, na ul. Subocz, ukończono duży bunkier, który jak się później okazało był główną kwaterą łączności dowództwa garnizonu niemieckiego i dostosowany był do ostrzału wschodniej części miasta.

Nagle, 23 czerwca ruszyła wielka ofensywa Frontu Białoruskiego. Dwu i pół milionowa armia sowiecka momentalnie zdobywa Witebsk, Orszę i Mohylew. Niemiecka Grupa Armii Środek marszałka Modela załamuje się. Armia Czerwona w szybkim tempie zbliża się do granic Polski.

Na skutek tych, szybko po sobie następujących wydarzeń, operacja „Ostra Brama" musiała ulec nagłemu przyspieszeniu. Zaczęły się pierwsze kłopoty dowództwa połączonych okręgów AK – brakowało czasu. Sytuację pogorszyła jeszcze wiadomość, że już 3 lipca wojska sowieckie zdobyły Mińsk i znalazły się zaledwie o 160 km od Wilna. Oznaczało to, że za kilka dni mogą być już w naszym mieście.

W dowództwie AK wkradł się chaos i nerwowość. Wielu wyższych oficerów i dowódców było niechętnie albo wręcz negatywnie nastawionych do planowanej operacji. Oddziały Nowogródzkie znajdowały się około 150 km od Wilna, co groziło niemożnością dotarcia na czas do miasta. Zawodziła łączność, a dodatkowych kłopotów przysporzyło jeszcze w ostatniej chwili przyspieszenie akcji o jeden dzień.

W naszym domu panowało silne podenerwowanie, gdyż w każdej chwili spodziewałem się rozkazu dołączenia do zgrupowania. Nasz litewski policjant gdzieś zniknął nie zabierając nawet swoich wszystkich rzeczy. Widocznie zwiał wraz z tysiącami Litwinów, którzy w pierwszych dniach lipca w obawie przed Rosjanami uciekli w popłochu z miasta.

W Wilnie wzmagało się napięcie. Dowiedzieliśmy się, że Niemcy rozstrzeliwują ostatnich więźniów. Młodzież masowo szła do oddziałów partyzanckich. Można było

obserwować wzmożony ruch niemieckich funkcjonariuszy i oficerów. Widać też było masy przemieszczającego się wojska hitlerowskiego. Ale wśród Niemców nie było paniki, co dla dowództwa AK mogło dać wiele do myślenia.

4 lipca usłyszeliśmy pierwsze odgłosy dział armatnich i bombardowań lotnictwa sowieckiego. W ciągu dwu następnych dni padły Smorgonie i Nowa Wilejka, kilkanaście kilometrów od Wilna.

Nadszedł dzień 6 lipca, kiedy rozpoczęły się walki w celu opanowania miasta przez Armię Krajową.

Zanim jednak przejdę do dalszych wydarzeń i samych walk o Wilno, chcę pokrótce scharakteryzować siły i sytuację obu stron : niemieckiej i polskiej. Dla ścisłości posłużę się tu doskonałą i rzetelną pracą Romana Korab –Żebryka pt. „Operacja Wileńska AK".

Garnizon niemiecki liczył 17.200 żołnierzy i oficerów dobrze uzbrojonych, zmotoryzowanych oraz dysponujących bronią ciężką i lotnictwem. Niemcy wiedzieli, że Polacy szykują się do powstania i znali przybliżoną liczbę naszych oddziałów. Najistotniejsze jednak było to, na co zresztą bardzo liczyło nasze dowództwo, że Niemcy nie ulegli panice i w sposób zorganizowany przygotowali się do obrony w dobrze wybranych punktach miasta.

W przeciwieństwie do okupanta, polskie siły przewidziane do akcji wileńskiej w liczbie ok. 8.000 ludzi, na skutek różnych przyczyn i niedociągnięć znacznie stopniały. Na akcję nie zdążyło kilka brygad z uwagi na zbyt późne zawiadomienie, bądź wręcz braku odnośnego rozkazu. Tak na przykład duże zgrupowanie „Węgielnego", liczące ok. 2.4000 ludzi, nie zdążyło, gdyż nie otrzymało na czas rozkazu. Niektóre oddziały spoza Wilna zostały uwikłane w walki z nacierającą Armią Czerwoną, co opóźniło ich przybycie.

Żołnierze nasi byli ponadto źle uzbrojeni, brakowało broni i amunicji, nie posiadaliśmy broni ciężkiej, nie mówiąc już o broni pancernej czy lotnictwie. Większość żołnierzy musiała atakować zmęczona prosto po wyczerpującym marszu. Łączność sprawiała duże kłopoty, gdyż brak było odpowiedniego sprzętu. Na koniec, jak już wspomniałem, brak było rozeznania sił niemieckich.

Jeżeli się do tego doda moment zaskoczenia prze armie Frontu Białoruskiego, to widać, że jedynym naszym atutem, jak zresztą nie pierwszy raz w historii, było poświęcenie, bohaterstwo i waleczność żołnierza oraz walka na własnym terenie o polskie, ukochane Wilno.

Jak wynika z przedstawionego porównania obu stron, w tych warunkach zdobycie miasta przez AK z góry skazane było na niepowodzenie. Oczywiście wówczas nikt z nas, może poza wyższymi oficerami, nie zdawał sobie sprawy z wielu tych niekorzystnych uwarunkowań. Toteż żołnierze byli pełni zapału i wiary w zwycięstwo polskiej, słusznej sprawy. Kryptonim akcji „Ostra Brama" dodatkowo podtrzymywał na duchu, każąc wierzyć w nadprzyrodzoną pomoc i orędownictwo Najświętszej Panny Ostrobramskiej.

11. Walka o Wilno

Zbliżała się godzina „X" naszego Wileńskiego Powstania. Jej właśnie poświęcił jeden z żołnierzy, Kazimierz Cis („Halny"), piękne strofy swego wiersza, oddając w ten sposób uczucia nas wszystkich:

„Godzina „X" wybiła w Wilnie,
Od kul się robi jasno w krąg,
Serca walą mocniej i silniej,
Prawda wolności w setkach rąk.
.....
Łaskawa Matko w Ostrej Bramie
Wstaw się u Syna cichą łzą,
Modlitwę serca Ci składamy,
Błogosław przyszłość dłonią swą."

Koncentrację akcji wileńskiej wyznaczono na 6-7 lipca. W tym czasie rozpoczęły się pierwsze potyczki, a nocą Niemcy wysadzili w powietrze Most Zielony na Wilii. W początkowej fazie zmagań najważniejsze było zdobycie maksymalnej ilości broni w koszarach i magazynach niemieckich.

Niestety tu spotkały akowców pierwsze niepowodzenia. Hitlerowcy wiedząc o naszych zamiarach dobrze je zabezpieczyli. Atut zaskoczenia okazał się w wielu wypadkach chybiony. Niektóre akcje nie dość, że się nie udały, to jeszcze zostały okupione dużymi stratami.

Zaraz potem rozpoczęto kilka zaplanowanych akcji w celu zdobycia takich strategicznych obiektów, jak lotnisko, dworzec kolejowy, więzienie na Łukiszkach oraz mosty na Wilii. I tu właściwie wszędzie oddziały AK osiągnęły jedynie połowiczne sukcesy. Przewaga ogniowa Niemców była ogromna.

Już 7 lipca na przedmieściach Wilna pojawiły się pierwsze sowieckie szpice pancerne. Zawiodły również ataki naszych brygad celem wdarcia się do śródmieścia. Brygada „Szczerbca" uderzyła przez Belmont w kierunku Zarzecza, ale zaległa pod silnym i zmasowanym ogniem niemieckich karabinów maszynowych i moździerzy prowadzonego z bunkrów. „Szczerbiec" wycofał się 12 lipca tracąc kilkudziesięciu zabitych i tyleż rannych.

Znaczne sukcesy odniosło jedynie zgrupowanie kpt. „Jana" w Dzielnicy Kalwaryjskiej, które zdołało się przeprawić przez rzekę do śródmieścia, zdobyło ul. Baksztę i podeszło pod bunkier na ul. Subocz, który był intensywnie ostrzeliwany przez Sowietów.

9 lipca nawiązano kontakt z Armią Czerwoną i nastąpiło krótkie pomyślne współdziałanie jednostek. Tymczasem dowództwo Armii Krajowej z gen. „Wilkiem" na czele, ciągle wierząc w porozumienie z Rosjanami usiłowało bezskutecznie doprowadzić do rozmów na wysokim szczeblu. Udało się to dopiero 12 lipca, ale odbyta rozmowa nie rokowała nadziei na jakikolwiek układ.

W tym dniu Niemcy wycofali się już z miasta w dużych grupach. Wtedy właśnie odnieśliśmy jeden z większych i znaczących sukcesów militarnych. Kilkutysięczne zgrupowanie hitlerowskie natknęło się na „Węgielnego", który po ciężkiej walce pod Krawczunami zadał mu duże straty w liczbie ok. 1.000 ludzi, w tym 300 wziętych do niewoli. Własne straty wyniosły 80 zabitych i 40 rannych.

13 lipca Wilno zajęte już było przez Armię Sowiecką. Walki ustały, a na baszcie Góry Zamkowej załopotała flaga polska, która zrywana kilkakrotnie przez bolszewików, niestety wisiała zaledwie kilka godzin.

Jak już wspomniałem, od pierwszych dni natarcia sowieckiego ja wraz ze swoją drużyną znajdywaliśmy się w ciągłym pogotowiu. Do dziś trudno jest ustalić dlaczego nie było rozkazu włączenia nas do walki. Prawdopodobnie mieliśmy dołączyć do brygady

„Szczerbca", ta jednak nie przebiła się na Zarzecze. Być może zawiodła też łączność. Ale chyba decydująca była tu zaskakująca szybkość rozgrywających się wypadków, w czasie których Zarzecze zajęte zostało już 10 lipca.

Znajdowaliśmy się przez cały czas pod silnym sowieckim ostrzałem artyleryjskim, usiłującym rozbić usytuowany o kilkaset metrów przed naszymi oknami kluczowy bunkier przy ul. Subocz. Sam bunkier też gęsto ostrzeliwał z granatników całą wschodnią część miasta wraz z naszą dzielnicą. Do tego dochodziły bombardowania przez niemieckie i sowieckie samoloty.

Z naszych okien roztaczał się rozległy widok na południową część miasta, aż po kościół Wizytek na Rossie. Można też było widzieć fragment owego groźnego bunkra tuż obok strzelistych, późnobarokowych wież kościoła Misjonarzy, stojącego przy tej samej ulicy Subocz.

Ta dogodna obserwacja bunkra sprawiła, że zaraz po zajęciu przez Sowietów Zarzecza utworzyli oni w naszym mieszkaniu punkt obserwacyjny kierujący ogniem artyleryjskim właśnie na to potężne betonowe umocnienie. Jak się można domyślić, taka wizyta radzieckich towarzyszy nie była ani przyjemna, ani bezpieczna. Mimo, że zachowywali się względnie poprawnie, to jednak bez przerwy myszkowali po mieszkaniu, zachowując się trochę jak dzieci. Wszystko im się podobało i wszystko by chcieli mieć. Mama moja, która z konieczności starała się mieć ich na oku miała tyleż kłopotu i zdenerwowania, co pociechy i zdziwienia z ich zachowania. O wszystko się pytali, a najbardziej zainteresowani byli łazienką. Smarowali się mydłem i kremami, smakowali pastę do zębów oraz odkręcali i zakręcali wielokrotnie wodę. Ich zachwyt „toaletnym myłom", mojej zawsze dobrotliwej i współczującej mamie kazał obdarować ich tymi pachnącymi i kolorowymi kostkami.

Oczywiście, kiedy pytali czy nie ma coś „pokuszać", mama musiała przygotowywać im jakieś skromne posiłki. Było to o tyle niebezpieczne, że cały czas dom był pod nieustannym ostrzałem i w dodatku w strefie bombardowań lotniczych. Przebywanie zwłaszcza na ostatnim piętrze stwarzało duże ryzyko. Z tego powodu większość mieszkańców kamienicy schroniła się w piwnicach.

Ojciec i ja na wszelki wypadek nie chcieliśmy się pokazywać na górze sowieckim gościom, szczególnie że obaj mieliśmy w piwnicy ciągłe zajęcie. Ojciec jako lekarz udzielał rannym pierwszej pomocy, ja zaś wraz z paru mężczyznami znosiłem rannych i zabitych. Obsługiwaliśmy w ten sposób zaplecze kilku sąsiednich kamienic.

Bomby i granaty poczyniły w dzielnicy wiele spustoszenia i wiele pożarów, wielu też było zabitych i rannych. Od wybuchu bomby kontuzjowana też była mama, a ja oberwałem bolesne zranienie odłamkiem w nogę.

Operacja Armii Krajowej „Ostra Brama" była więc jeszcze jednym nieudanym zrywem powstańczym, jakie od pokoleń towarzyszyły naszej historii. Było to równocześnie jakby preludium i złowieszcze ostrzeżenie dla mającego już nie długo nastąpić Powstania Warszawskiego. Dramat wileński był zwiastunem zagrożenia całej Europy Środkowej przez stalinowską czerwoną zarazę.

U źródeł niepowodzenia tkwił jak zawsze stary, polski romantyzm, wygaszony nieco po Powstaniu Styczniowym, ale jeszcze głęboko w nas tkwiący patriotyzm, umiłowanie wolności i waleczność, z jednoczesnym przecenianiem sił i własnych możliwości oraz nieliczenie się z realiami.

Niebagatelną rolę odegrał tu wyjątkowo tragiczny splot naszej sytuacji politycznej i międzynarodowej. Z tego też powodu Powstanie Wileńskie było bardziej aktem politycznym, niż strategicznym czy wojskowym. „Ostra Brama" była jeszcze jednym wkładem polskiego żołnierza w śmiertelne zmagania z hitlerowskim najeźdźcą i zaznaczała naszą obecność w koalicji alianckiej. Pokazała, że Armia Krajowa jest czynna i aktywna, że jest ściśle zespolona ze społeczeństwem i mimo potężnej przewagi wroga wykazuje niezrównanego ducha walki, bohaterstwa i poświęcenia. Ocena tego czynu : czy było warto, czy jest to dużo czy mało ? - należy indywidualnie do każdego z nas.

Kto wie, czy właśnie takie tragiczne, czasem błędne czy źle dopracowane zrywy powstańcze, jak to miało miejsce w Wilnie, a potem we Lwowie i w Warszawie, nie zadecydowały o tym, że w 1944 roku nie zostaliśmy 17-tą Republiką Radziecką. Kto wie, czy tak jak twierdzą niektórzy historycy, te dramatyczne doświadczenia nie zaowocowały tym, że w latach 1956 – 1989 szliśmy do niepodległości bez powstań, bez ofiar, metodą małych kroczków. I niemal bez wystrzału pozbyliśmy się znienawidzonego komunistycznego jarzma.

Powstanie Wileńskie miało jeszcze jeden bardzo ważny aspekt pozytywny. Odsłoniło prawdziwe oblicze sowieckiego „sojusznika", wykazało naiwność wszelkiej polityki współpracy czy też porozumienia ze Stalinem. Zwłaszcza epilog naszych wileńskich zmagań potwierdził tę tezę w całej rozciągłości.

Tuż przed zakończeniem walk o Wilno gen. „Wilk", mimo licznych zastrzeżeń wierzył, że uda mu się nawiązać sojusznicze stosunki z sowiecką armią. Utwierdzały go w tym kilkudniowe, udawane grzeczności, komplementy i pochwały strony rosyjskiej.

14 lipca w wyniku wzajemnych pertraktacji uzgodniono utworzenie specjalnej jednostki AK współpracującej z Armią Czerwoną w dalszych działaniach przeciw Niemcom. W związku z tymi ustaleniami dowództwo AK zarządziło koncentrację wszystkich swych oddziałów w rejonie Puszczy Rudnickiej.

Równocześnie jednak ukazują się w mieście plakaty o poborze mężczyzn do Armii Czerwonej, dając nam wyraźnie do zrozumienia, że sowiecki okupant zdobyte ziemie wraz z ich ludnością, uważa za swoje.

W dniu ogłoszenia koncentracji, o ile pamiętam była to sobota, dociera do nas, akowców Zarzecza, rozkaz o nagłym wymarszu. Pomimo już dawno poczynionych przygotowań wiadomość ta spowodowała w domu spore zamieszanie i zdenerwowanie rodziców. Dodatkowego kłopotu przysparzała moja noga. Rana na udzie wprawdzie się goiła ale ból sprawiał, że poważnie kulałem.

15 lipca wyruszyłem na zbiórkę mojej zarzecznej grupy. Było nas tam kilkudziesięciu chłopców. Odprowadzało nas wiele osób, przeważnie rodziny, wśród których byli też moi rodzice. Spora grupka dziewcząt i naszych koleżanek żegnała nas śpiewem, kwiatami i przyjaznymi uśmiechami. Atmosfera wymarszu była podniosła i radosna zarazem. Tylko twarze rodziców i najbliższych, szczęśliwych i zatroskanych jednocześnie, uśmiechały się do nas jakby przez łzy wyrażając ukryty niepokój i troskę.

Było to wzruszające, piękne i niezapomniane przeżycie. Poczułem się prawdziwym żołnierzem, wolnym Polakiem, pierwszy raz otwarcie z karabinem w dłoni oraz w hełmie z orzełkiem na biało-czerwonej tarczy, bez potrzeby ukrywania się. Wszystkich nas wypełniała radość i duma potęgowana jeszcze tak serdecznym i spontanicznym pożegnaniem. Szliśmy w nieznane, na front, na wojnę, maszerując po kwiatach rzucanych nam pod nogi. Dziesiątki rąk machało nam przyjaźnie polskimi chorągiewkami, chusteczkami i czym tylko

kto mógł. Widziałem matki, które ze łzami w oczach błogosławiły nas na drogę znakiem Krzyża Świętego.

Zaskrzypiały koła konnych podwodów taboru, zastukały o wileński bruk żołnierskie buty, a z dala dobiegły nas słowa pieśni :

„Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani,
Że za tobą idą, że za tobą idą
Chłopcy malowani ..."

Ani ja, ani nikt z moich kolegów nie przeczuwał wówczas, jak okrutnie zakpi sobie z nas historia, jakże nieprawdopodobnie krótko nieubłagany los pozwoli czuć się wolnymi żołnierzami. Nie mogłem też przewidzieć, że od tej chwili nie zobaczę już nigdy Wilna, ani domu, a z rodzicami Bóg pozwoli spotkać się dopiero po długich, długich latach.

Maszerowaliśmy szybkim krokiem najpierw ul. Krzywe Koło potem Subocz w kierunku południowym. Po drodze, już za miastem dołączyliśmy do innych większych oddziałów akowskich.

Na skutek forsownego marszu moja kontuzjowana noga zmusiła mnie parę razy do korzystania z wozów taborowych. Następnego dnia zaczął narastać pośpiech i ogólne podenerwowanie. Musiało się dziać coś niedobrego. Rozkazano nam porzucić część ciężkiego sprzętu, niepotrzebnego ekwipunku i niektórych taborów konnych. Byliśmy zmęczeni ponad dwudziesto kilometrowym marszem w pełnym obciążeniu w lipcowym upale. Bolały ramiona od niesionej broni, a spod rozgrzanych od słońca stalowych hełmów spływał rzęsisty pot.

12. Rozbrojenie

Szybko wyjaśnił się powód ogólnego zamieszania. Okazało się, że rejon w którym znaleźliśmy się wraz z kilkoma tysiącami żołnierzy i oficerów AK, jest jedną wielką pułapką obstawioną przez wojska sowieckie. Już na początku, nocą obserwowaliśmy niepokojące rakiety świetlne. Kiedy zaś za dnia zatrzymaliśmy się na odpoczynek na wielkiej leśnej polanie, zaczęły pojawiać się i krążyć nad nami samoloty radzieckie. Część z tzw. „kukuryźników" zrzucała ulotki z żądaniem natychmiastowego poddania się, część zaś ostrzeliwała nas seriami z karabinów maszynowych.

Powstał zamęt i kompletna konsternacja naszego dowództwa. Co robić? Obowiązywał ciągle rozkaz nie strzelania do jednostek sowieckich, a władze londyńskie nakazywały traktowanie Armii Czerwonej jako sojusznika. Wytworzyła się zupełnie dramatyczna sytuacja. Odezwały się pojedyncze strzały, a w ogólnym zamieszaniu nie bardzo było wiadomo, kto do kogo strzela. W dodatku pojawiły się przed nami sowieckie czołgi. Zrozumieliśmy, że dalsza droga w kierunku Puszczy Rudnickiej jest odcięta.

W stosunku do bolszewików, ja i moi najbliżsi koledzy mieliśmy zawsze jak najgorsze przeczucia. Również większość żołnierzy, zwłaszcza tych starszych, przejawiała obawy i ogólną niechęć do współpracy z Moskwą. To był zamaskowany wróg, któremu nie dowierzano. Jak dowiodła tego historia ostatnich lat oraz mające nastąpić wydarzenia najbliższych dni, nasze obawy i nieufność były w pełni uzasadnione. Uznanie Rosji za największego, najbardziej znienawidzonego, najokrutniejszego i długotrwałego wroga nie było żadną rusofobią, czy jakimś uprzedzeniem – było po prostu wynikiem historycznych faktów i zwykłej ich analizy.

Niemal jednocześnie, w drodze na koncentrację, dotarła do nas złowroga wiadomość o podstępnych aresztowaniach naszej kadry dowódczej.

Jak już nadmieniłem, gen. „Wilk" pertraktował z dowódcą Frontu w sprawie utworzenia Polskiego Korpusu AK działającego u boku dywizji sowieckich. Zwiedziony zręcznie udaną uprzejmością i życzliwością wyższych oficerów radzieckich, w dniu 17 lipca, przybył na kolejną naradę do sztabu radzieckiego. Tam, wraz z towarzyszącym mu szefem sztabu AK, został zdradziecko aresztowany i osadzony w więzieniu.

W parę godzin później w podobny sposób jak zbrodniarzy aresztowano dalszych trzech wyższych oficerów dowództwa.

Nie dość tego, w tym samym dniu w godzinach popołudniowych, we wsi Bogusze, w czasie narady, podczas której 40-tu naszych dowódców i oficerów średniego szczebla miało być jakoby dekorowanych radzieckimi odznaczeniami za udział w walkach o Wilno, znowu nastąpiło perfidne rozbrojenie i aresztowanie polskiej ekipy.

Można sobie wyobrazić jak wstrząsająco i porażająco podziałały na nas te wiadomości. Czekaliśmy na dalsze wypadki przeczuwając już, że wszystko co najgorsze może nas teraz spotkać.

Wśród młodszych oficerów, którzy nam tylko pozostali, atmosfera była napięta do ostatnich granic i zapanowała kompletna dezorientacja. Należało podjąć błyskawiczne decyzje: stawiać opór, dać się rozbroić, czy też rozwiązać oddziały i pozwolić na indywidualne ucieczki. Wobec broni pancernej i lotnictwa byliśmy bezsilni i opór na dłuższą metę był niemożliwy. Ponadto konfrontacja zbrojna z Sowietami mogła by być poczytana nam za przejście na stronę niemiecką.

Ostatecznie wybór pozostawiono poszczególnym oddziałom. Część zgrupowań, które dotarły do Puszczy Rudnickiej zdążyły się wymknąć z okrążenia. Inne postanowiły się przedzierać w kierunku Puszczy, a potem na południe w kierunku Warszawy, a jeszcze inne by uniknąć rozbrojenia, aresztowania i wywiezienia, rozwiązały się umożliwiając pojedyncze próby wydostania się z kotła.

Brygada „Szczerbca" zastosowała odmienny wariant. Podzieliła się na trzy grupy, z których jedna miała przedzierać się na zachód, druga ratowała się na własną rękę, natomiast trzecia pozorując, że to całość brygady, miała się poddać.

Nasz oddział, podobnie jak wiele innych, znalazł się w szybko zacieśniającym się okrążeniu. Wobec pojawiającej się coraz większej liczby jednostek sowieckich, w tym sporej ilości czołgów oraz patroli konnych, wszelka ucieczka stawała się prawie niemożliwa.

Wreszcie nadeszła chwila ostateczna. Pamiętam, jak nasz porucznik, o ile się nie mylę o pseudonimie „Jan", blady jak ściana, w największym podnieceniu przybiegł i krzyknął do nas z rozpaczą : „Przed chwilą Sowieci zakomunikowali mi, że jesteśmy otoczeni i jeżeli się nie poddamy natychmiast rozpoczynają ogień - musimy kapitulować !"

Wychodziliśmy z lasu ze spuszczonymi głowami. Ciągle jeszcze z bronią w ręku szliśmy gęsiego przed siebie, w ciszy przerywanej jedynie co chwila salwami z karabinów maszynowych i pokrzykiwaniami konnych żołdaków z wymierzonymi w nas pepeszami. Samoloty nieustannie śledziły każdy ruch naszych oddziałów.

Opuszczaliśmy rejon Puszczy Rudnickiej, który stał się miejscem szczególnie tragicznym w historii wileńskich oddziałów AK. Jeszcze długo po naszym rozbrojeniu i aresztowaniu NKWD przeczesywało te lasy w poszukiwaniu ukrywających się tu polskich partyzantów.

Po wyjściu z lasu na zalane słońcem pola, złociste łany zboża potęgowały jeszcze blask światła słonecznego, a oślepione oczy powoli przyzwyczajały się do nadmiaru tej jasności. Można było zauważyć, że ilość eskortujących nas czerwonoarmistów wyraźnie się zwiększyła. Łatwiej też było teraz bliżej im się przyjrzeć. Znowu zobaczyłem te same prymitywne, dzikie twarze, jakie zapamiętałem z roku 1939 - przerażający obraz barbarzyńskiej dziczy.

To był ponowny szok, gdy się patrzyło na tych azjatyckich zbirów. Dla nich życie ludzkie, łącznie z własnym, nie miało żadnej wartości, a w oczach widać było jedno dominujące uczucie wielkiej nienawiści i zemsty za własną nędzę i niedorozwój.

Idąc dalej miedzami wśród złotnistych zbóż i patrząc jak ich bachmaty tratują polskie pola, nasuwały się smutne refleksje o ludzkim losie i człowieczym przeznaczeniu. Osaczeni jak zwierzyna przez sprzysiężenie złych mocy, chroniliśmy się instynktownie w świat wewnętrznych myśli. Przepełnieni bólem i żalem próbowaliśmy się ratować przed rozpaczą okruchami jakiejś nadziei i optymizmu. Rozpoczynaliśmy nieznaną odyseję, współczesną epopeję przeznaczenia.

Ze zwieszonymi głowami szliśmy dalej przed siebie, jeden za drugim. Wśród grobowej ciszy odzywały się jedynie pokrzykiwania poganiaczy. Sporadyczne, krótkie serie karabinowe i pojedyncze strzały miały nam uświadamiać, że jesteśmy dokładnie pilnowani. Oddawano je w wypadkach indywidualnych ucieczek, a często tylko na postrach.

Oglądając się do tyłu wśród falistego terenu, widać było niekończący, wijący się potok naszych żołnierzy. Patrząc za siebie, jeszcze jakby podświadomie szukaliśmy jakiegoś ratunku czy cudu, który nas ocali. Ale nic się nie działo, a nieruchome, palące słońce tak samo przyświecało zarówno katom, jak też ich ofiarom.

Z tych ponurych rozmyślań wyrwał nas narastający stopniowo i powtarzający się okrzyk „Brasajcie arużja ! Brasajcie arużja !", a zaraz potem polski rozkaz „Złożyć broń !"

Trudno wyrazić słowami jak bardzo przygnębiająca i tragiczna była to chwila, kiedy kolejno podchodząc jeden po drugim rzucaliśmy na bezładny stos karabiny i pistolety. Każdy szczęk padającej stali przeszywał na wskroś serce, a bezsilność i poczucie klęski dławiło aż do bólu. Niektórzy starsi koledzy ze łzami w oczach ukradkiem całowali rzucaną przez siebie broń. Dla nas młodzików nie zahartowanych i niedoświadczonych, ale pełnych zapału, z głowami nabitymi wzniosłymi ideami, tak poniżająca kapitulacja bez walki i bez krwi była szczególnym ciosem i dramatem. Muszę też wspomnieć, że wielu starszych kolegów w czasie marszu rozmontowywało i wyrzucało ukradkiem niektóre części broni, by nie dostała się sprawna w ręce sowieckie.

W duchu odczuwaliśmy wtedy jakiś głęboki żal do Boga i ludzi, że znowu zniewala nas ten sam odwieczny wróg, który tyle krzywd i cierpienia wyrządził polskiemu narodowi. Rodząca się w sercu gorycz i zwątpienie zatruwały nas i obezwładniały swym jadem.

Po złożeniu broni, zszokowanych i zrezygnowanych prowadzono nas dalej pod silną strażą z wymierzonymi lufami karabinów. Dopiero po pewnym czasie, na dużej łące położonej łagodnie na zielonym wzniesieniu, zarządzono postój i zbiórkę.

Siedzieliśmy tam w niemiłosiernym upale głodni i spragnieni przez dobrych kilka godzin. I znowu przez głowę przewalały się, kłębiły i roiły same przygnębiające myśli i uczucia. I choć wokół złociły się zboża, rozpościerał się błękit nieba i zieleniły się trawy, nam przyszłość jawiła się w najczarniejszych kolorach.

W międzyczasie specjalne oddziały NKWD dokonywały wśród nas selekcji. Szybko zorientowaliśmy się, że chodziło głównie o wyłapanie spośród zatrzymanych oficerów i podoficerów.

Kiedy wreszcie rozległ się prikaz „Padnimajcieś !" pognano nas dalej popędzając i pokrzykując bez przerwy „Pa skariej !", „Pa skariej !"

Zagrożono nam z całą surowością, i to kilka razy, że każde najmniejsze oddalenie się od kolumny, czy też jakakolwiek próba ucieczki karana będzie śmiercią.

Tym razem wyszliśmy z pól i posuwaliśmy się dużą, szeroką kolumną, która w miarę upływu czasu rwała się i deformowała. Ja oraz wielu z moich kolegów, pomimo ostrzeżeń, zastanawiało się nad ucieczką. Okoliczności stały się bowiem mocno sprzyjające. Zachęcały do tego liczne zarośla, krzaki i zagajniki, między którymi przechodziliśmy. Kiedy lasek gęstniał, co chwila wyskakiwało z kolumny po kilka skulonych postaci i szybko znikało w gęstwinie. Nasi czerwoni żołdacy, jeśli coś takiego zauważyli posyłali w gąszcz, na oślep parę serii karabinowych okraszając je głośnymi, soczystymi przekleństwami i okrzykami.

To, co nas dziwiło, nie kwapili się do jakiejś bardziej zaangażowanej pogoni. Albo nie było im wolno opuszczać posterunku przy kolumnie, albo też po prostu bali się zapuszczać w ciemne zarośla.

W naszym gronie po krótkiej naradzie, dwóch moich przyjaciół zdecydowało się nagle wymknąć niepostrzeżenie i dać drapaka w las. Tak szybka decyzja podyktowana była obawą, że przy dalszym marszu mogą się nie powtórzyć tak sprzyjające warunki.

Po dalszych paru godzinach uciążliwego marszu w upale, bez wody i jedzenia, ledwo żywi dotarliśmy wreszcie do celu. Były to Miedniki, które okazały się być naszym obozem przejściowym.

13. Armia Krajowa

Zanim przejdę do dalszych naszych losów obozowych, jako epilog do mej krótkiej i nieszczęsnej służby w AK, chciałbym przekazać nieco ogólnych uwag o tej niezwykłej organizacji, jaką była w Polsce Armia Krajowa.

„Opór tyranom oznacza posłuszeństwo Bogu, a historia wolności to historia oporu" – mówił T. Jefferson.

To właśnie z ruchu oporu, jaki rozwinął się jeszcze podczas oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 roku, Armia Krajowa wywodziła swój rodowód. Organizacja ta, początkowo jako Służba Zwycięstwu Polsce (SZP), potem Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), powstała w swej obecnej nazwie w lutym 1942 roku.

Polskie Państwo Podziemne, którego zbrojnym ramieniem była Armia Krajowa stało się niespotykanym zjawiskiem w dziejach podziemnej Europy. W 1944 r. AK liczyła prawie 400 tysięcy żołnierzy ochotników, których służba była czysto ideowo-patriotyczna. Była więc w naszych dziejach największą ochotniczą armią walczącą o wolność i suwerenność Polski. Mimo działania w kompletnej izolacji był to najlepiej zorganizowany w Europie ruch podziemny.

Ale AK nie była tylko „oporem", byliśmy również ruchem zbrojnym, w dużej mierze partyzanckim, prowadzącym dywersję, zdobywanie i produkcję broni, szkolenie wojskowe, wywiad, łączność z Rządem RP na Uchodźstwie oraz walkę propagandową. Nasze tajne wydawnictwa starały się podgrzewać polski patriotyzm. Głównym celem tej organizacji była wojna psychologiczna mająca trzymać wroga w ciągłym napięciu i strachu oraz osłabiać jego siły. Armia Krajowa, podobnie jak to było kiedyś głównie w zaborze rosyjskim, przygotowywała żołnierzy do narodowego powstania.

Był to ruch w zdecydowanej większości zorganizowany, ale też i spontaniczny, obejmujący przekrój całego społeczeństwa. Choć najwięcej było młodzieży inteligenckiej, to

dużą jego część stanowiła ochotnicza ludność wiejska. Na przykład, wśród paru tysięcy moich towarzyszy niedoli w ZSRR, większość stanowili chłopcy ze wsi i małych miasteczek. Oprócz Polaków sporo też było Białorusinów. Zdarzały się też poszczególne jednostki pochodzenia żydowskiego.

Armia Krajowa obejmowała cały obszar przedwojennej Polski zajętej przez hitlerowskie Niemcy i była jedyną liczącą się zbrojną organizacją na tym terenie, walczącą o odzyskanie niepodległości w dawnych granicach międzywojennych. Zarówno GL (Gwardia Ludowa), jak i AL. (Armia Ludowa) były nastawione prokomunistycznie i całkowicie uzależnione od Moskwy.

Najtrudniejszą sytuację miała AK w latach 1943 – 44 na terenach wschodnich zajętych przez Sowietów w 1939 r. AK w zasadzie nie była wrogo nastawiona do Moskwy i jako z sojusznikiem naszych sojuszników gotowa była walczyć u jej boku przeciw Niemcom. Jednakże polityka nienawiści, siły i gwałtu, jaką Stalin stosował wobec nas, chcąc narzucić Polsce swoją władzę sprawiła, że ZSRR stał się naszym wrogiem nr 2.

Sowieci otwarcie traktowali żołnierzy AK jak bandytów i nazywali obraźliwie „białopolskie hitlerowskie bandy", a przywódców AK Stalin określał jako „garstkę żądnych władzy zbrodniarzy".

Moskwa rozgłaszała też po całym świecie, że polska AK unika walk z Niemcami. Miało to między innymi uzasadniać jej perfidne i zbrodnicze poczynania wobec nas. Przypisywanie nam prohitlerowskich działań było o tyle zaskakujące, że jak dowiodła tego historia, Polska była w Europie jedynym krajem, w którym hitlerowski okupant nie znalazł chętnych do kolaboracyjnego rządu, ani żadnego niemieckiego „legionu bolszewickiego".

Ale Armia Krajowa była także bolszewikom na rękę, bowiem ujawniała elementy najbardziej patriotyczne, co pozwalało na systematyczne ich aresztowania i mordowania.

Jak wiadomo, ponury żart i okrutna ironia historii sprawiły, że ostatecznie AK została rozbrojona i zniszczona przez sowieckiego sprzymierzeńca aliantów. Najpierw stało się tak na terenach wschodnich, a potem już w całym kraju

Na koniec jeszcze kilka słów o Armii Krajowej na Wileńszczyźnie.

W 1944 roku siły Okręgu Wileńsko – Nowogródzkiego liczyły około 15 tysięcy żołnierzy. Z tej liczby na skutek działań wojennych poległo 2.000 do 2.300 żołnierzy i oficerów. Komendantem tego Okręgu został mianowany w 1942 roku ppłk „Wilk" (Aleksander Krzyżanowski).

Oddziały AK zagrożone rozbrojeniem, likwidacją i wywózkami w głąb Rosji, ostatnią walkę stoczyły z Sowietami w sierpniu 1944 roku, pod Surkontami.

W tym miejscu warto przypomnieć o tragicznym losie jaki sowieckie NKWD zgotowało naszemu Komendantowi. Aresztowany pamiętnego lipca, gen. „Wilk" w latach 1944-47 przebywał w więzieniach, a następnie w obozach na terytorium ZSRR. Repatriowany do Polski został ponownie aresztowany przez polskie UB i osadzony w warszawskim więzieniu na Mokotowie.

Tutaj, po paru latach zmarł z wycieńczenia w r.1951 i został skrycie pogrzebany w bezimiennym grobie, pod murem cmentarnym. Dopiero w 1957 r. zwłoki ekshumowano i pochowano uroczyście na warszawskich Powązkach Wojskowych. Pochówek był ogromną

demonstracją patriotyczną z udziałem tysięcy akowców przybyłych nawet z odległych stron całego kraju.

Od tej pory, co roku w dniu 1 sierpnia setki byłych żołnierzy AK z oddziałów wileńskich i nowogródzkich spotykają się tu właśnie przy mogile swojego generała, zdobiąc ją kwiatami i zapalając kolorowe znicze.

OBOZOWA EPOPEJA

„...Ale spójrz tylko na nieszczęsnych ludzi,
Których boleść ku ziemi nachyla i ciśnie,
Których krwawe sny straszą, a cierpienie budzi –
Lepiej patrz...bo łezka nad twym dziobkiem błyśnie.
Łezka zaś przyjacielu, to nie deszcz, nie rosa
Chociaż w sobie najpiękniej odbija niebiosa ..."

(C.K. Norwid – „Skowronek")

1. Obóz w Miednikach

Oto po raz pierwszy trafiłem za obozowe druty. I to nie za druty jakiegoś hitlerowskiego „Konzentrationslager", jak można by się spodziewać, ale do łagru innego wroga, kryjącego się pod fałszywą maską „wielkiego wyzwoliciela" i „sojusznika".

Podówczas nie wiedzieliśmy jeszcze, że jest to zaledwie jeden z dziesiątków tysięcy obozów, łagrów, miejsc odosobnienia, więzień i innych karnych kolonii niewolniczej, katorżniczej pracy w Związku Sowieckim oraz w zagarniętych przez niego krajach.

Obóz miednicki był terenem starego zamku królowej Bony, skąd zapewne Miedniki wzięły przydomek „Królewskie". Kiedyś ta miejscowość, oddalona od Wilna około 30 km znana była i opisywana przez historyków. Teraz niewiele pozostało po tej królewskiej rezydencji, jedynie nieliczne bielejące fragmenty kamiennych murów zamkowych, które stanowiły częściowe ogrodzenie obozu uzupełnione drutem kolczastym i jakimiś kawałkami płotów.

Na ogrodzonym terenie stały stare baraki w postaci jakby dawnych stajni czy obór, być może pozostały po jakimś majątku. Pozostałości końskiego nawozu, które usuwaliśmy świadczyły, że pomieszczeń tych Niemcy również używali jako stajni.

Ja z moim przyjacielem Jurkiem Michałowskim, jak dwaj nierozłączni Jerzowie, wybraliśmy sobie miejsce w jednym z tych szopo-baraków. Do dyspozycji była tylko ubita ziemia i trochę słomy, której resztki niemal w ostatniej chwili zdołaliśmy zagarnąć dla siebie. Niestety nie dla wszystkich jej wystarczyło.

Wtedy po raz pierwszy instynktownie uświadomiliśmy sobie podstawowe zasady przetrwania w tym nowym świecie : szybkość działania i orientacji, właściwa ocena sytuacji, zapobiegliwość i niezbędny spryt. Oprócz jednak takich cech zawsze potrzebny jest jeszcze ten przysłowiowy łut szczęścia, którego zabrakło między innymi żołnierzom, dla których nie wystarczyło miejsca nawet w tych nędznych stajniach, zmuszając ich do spania pod gołym niebem.

Zdenerwowani i przygnębieni ostatnimi przeżyciami, wymęczeni, głodni i spragnieni legliśmy w swoich barłogach czekając, aż błogi sen wybawi nas wreszcie od smutnych rozmyślań.

Następnego dnia ze zdumieniem stwierdziliśmy, jak niesamowicie nasz obóz jest przepełniony. Było nas początkowo w Miednikach około 7.000 ludzi stłoczonych na stosunkowo małym terenie. Widok tej ludzkiej masy pogłębiał tylko przygniatające uczucie klęski, a jednocześnie dla nas nowiciuszy, gdzieś w zakamarkach serca był jakimś swoistym pocieszeniem, że wśród nas znalazło się tylu doświadczonych i starych partyzantów, że nie

tylko my żółtodzioby daliśmy się tak podstępnie podejść i złapać. Ponadto tak duża liczba współtowarzyszy niedoli dodawała złudnego poczucia siły i bezpieczeństwa. Jakby każdy z nas odczuwał jakąś szczególną potrzebę przynależności do grupy i stada.

Wśród nas olbrzymią większość stanowili tacy jak my szeregowi. Było też wiele podoficerów i chyba kilkudziesięciu młodszych dowódców, którzy nie ujawnili się jako oficerowie. Poza tym była niewielka grupa dziewcząt, łączniczek i sanitariuszek AK.

Ta ogromna armia ludzi z miejsca stworzyła olbrzymie zamieszanie oraz przede wszystkim kłopoty i trudności sanitarne, żywieniowe i zdrowotne. Nasi bolszewiccy opiekunowie nie bardzo się tym przejmowali. Na szczęście sami akowcy, tworząc odpowiednie służby zdołali częściowo zaradzić tym problemom.

Najważniejsza była woda, której wciąż brakowało. Jeżdżono po nią beczkowozami do pobliskiej wsi poza granice obozu. Wyprawy po wodę były między innymi okazją do licznych ucieczek naszych chłopców. Poważnym problemem były wykopane latryny, które momentalnie się zapełniały, a upalne lato potęgowało nieznośny odór jaki się z nich dobywał. Najbardziej dokuczliwe było wyżywienie, nie dość że podłe, to jeszcze ilościowo znacznie ograniczone. Zaczęły się pierwsze dolegliwości żołądkowe i permanentne uczucie głodu, które, jak się okazało, miało mi odtąd towarzyszyć bez przerwy w czasie mojego pobytu w sowieckim raju.

W międzyczasie wiadomość o naszym rozbrojeniu i aresztowaniu oraz pobycie w Miednikach szybko dotarła do Wilna bulwersując i zaskakując społeczeństwo polskie.

Mama moja zdobyła się na heroiczną wędrówkę pieszo do Miednik, aby zobaczyć się ze mną i dowiedzieć się coś bliżej o naszym losie. Niestety wszelkie widzenia były surowo zabronione. Po dwóch dniach i nocach spędzonych na dworze udało się jej jedynie przekazać mi trochę żywności i niezbędnej bielizny. Ja zaś zdołałem przemycić jej przez chłopców z beczkowozem krótką wiadomość o sobie i najbliższych kolegach.

Ojciec wspominając w swych pamiętnikach te matczyne poświęcenie i trud przytacza jakże piękne i prawdziwe słowa W. Hugo : „Kobiety są słabe, ale matki są silne."

Wszyscy zastanawialiśmy się co z nami będzie. Jeszcze tliła się nikła nadzieja, że może żołnierze o najniższych stopniach wojskowych powrócą do domów. Najwięcej jednak mówiło się o wywiezieniu nas w głąb Rosji na roboty, bądź też o wcieleniu naszych oddziałów do Polskiej Armii gen. Berlinga.

O armii tej wiedzieliśmy wtedy bardzo niewiele. Tylko tyle, że sformowano ją z dziesiątków tysięcy naszych rodaków wywiezionych i przebywających w obozach ZSRR, oraz że wszystkimi oddziałami dowodzili oficerowie sowieccy.

Co do samego Berlinga, oprócz jego prosowieckiego nastawienia też nie było nam wiele wiadomo. Dopiero po latach okazało się, że był to jeden z koniunkturalnych zdrajców, który już w 1939 r. zadeklarował dobrowolną współpracę z NKWD. Jako przeciwnik Zachodu nie tylko, że pozostał obojętny wobec dramatu żołnierzy AK, ale też czynnie ich zwalczał.

Pogłoski o Armii Berlinga sprawdziły się. Pewnego dnia po przeprowadzonej agitacji przez jakiegoś sowieckiego oficera pojawiły się listy ochotników do „Polskiej Armii". Chętnych jednak nie było, a na listach powpisywano szereg wymyślonych i nieprzyzwoicie brzmiących nazwisk.

Po tym incydencie do agitacji przystąpiła delegacja „Berlinga" w składzie - płk Soroka, Jerzy Putrament pełniący funkcję oficera politycznego armii, oraz jakiś wyższy oficer

NKWD. Podobno był to gen.leutnant Sierow (tak przynajmniej podaje w swym opracowaniu Korab Żebryk). Jeżeli tak, to był to zastępca Berii, jedna z najczarniejszych postaci wśród naszych prześladowców i morderców. Specjalny człowiek wyznaczony do spraw wyniszczenia najbardziej patriotycznych i wartościowych obywateli polskich. Człowiek odpowiedzialny za zamordowanie polskich oficerów w Katyniu i tysięcy więźniów na naszych wschodnich terenach, oraz organizator i wykonawca podstępnego aresztowania dowódców AK i całej akcji rozbrojenia.

Przemówienie do nas wygłosił płk Soroka. Jego prostacka, nalana twarz półinteligenta oraz niechlujny, przypominający polski, mundur oficerski nie budził zaufania. Już po pierwszych słowach wygłoszonych z rozwalającej się beczki, a wypowiedzianych wstrętną zruszczoną polszczyzną, odezwały się gwizdy i śmiechy. Niezrażony pułkownik mówił o niezwyciężonej Armii Czerwonej, wspaniałym kraju Rad, o burżuazyjnym, zdradzieckim Rządzie Londyńskim oraz o sprawiedliwej i szczęśliwej Polsce z ludem robotniczo chłopskim na czele. Nie omieszkał oczywiście wspomnieć o polskich siłach zbrojnych w ZSRR, nie mówiąc już o bzdurach związanych z utworzeniem rządu polskiego w Warszawie (?).

Tej drętwej mowy propagandowo-politycznej nasza brać partyzancka dłużej już nie mogła znieść i „pałkownik" został wygwizdany i wyśmiany. Odezwały się wrogie okrzyki : „Oddajcie nam gen. „Wilka" i aresztowanych oficerów!", „Hańba wam za podstępne aresztowanie oficerów!", czy też „My chcemy „Wilka"!".

Politruka Putramenta w ogóle nie dopuszczono do głosu. Obrzucony błotem i kamieniami wycofał się bardzo szybko. Mimo tych niepowodzeń, zarządzono ogólną zbiórkę i przed zgromadzone szeregi polecono wystąpić wszystkim tym, którzy mają chęć zapisania się do Berlinga. Zgłosiło się wtenczas coś koło 30 osób. Początkowo byliśmy zdziwieni i wściekli na nich, obrzucając zdrajców najgorszymi epitetami. Rychło jednak okazało się, że cała ta grupa wyprowadzona na zewnątrz obozu, prawdopodobnie z obawy jakiegoś samosądu z naszej strony, już tej samej nocy rozbroiła swoich strażników i uciekła prawie w komplecie. Wydarzenie to wywołało w całym obozie wielką radość i satysfakcję z dzielnych chłopaków.

Tymczasem z obozu dniem i nocą uciekało coraz więcej osób. Te ucieczki stały się niemal masowe. Do dziś nie rozumiem tego i zastanawiam się, jak to było możliwe. Nasuwają się dwa wytłumaczenia. Nie jest wykluczone, że było to jakieś ciche przyzwolenie władz wobec faktu ogromnego przeludnienia oraz braku czasu i środków na właściwe zorganizowanie obozu. Możliwe też, że straże rekrutujące się ze zwykłych frontowych „bajcow" nie bardzo miały ochotę na dokładne pilnowanie nas. Wprawdzie na murach obozu stały groźne karabiny maszynowe, ale chyba wcale nie zostały użyte.

Jakby nie było, mieliśmy w tym względzie dużo szczęścia, a tego rodzaju wypadek należy uznać za wyjątkowy w dziejach bolszewickiej łagierologii.

W sumie w ciągu niecałych dwóch tygodni naszego tu przebywania uciekło około 1.500 ludzi. Trzeba jednak pamiętać, że dla większości żołnierzy ucieczka oznaczała jednak ciągle dalsze ukrywanie się i ciągły strach przed ponownym aresztowaniem.

Sprzyjające warunki do ucieczki sprawiły, że nasza najbliższa paczka kolegów zastanawiała się poważnie: wiać, czy nie wiać ? Muszę przyznać, że głównym powodem pozostania w obozie była obawa przed podjęciem takiego ryzyka. Byliśmy żołnierzami młodymi, niedoświadczonymi i nieobytymi z prawdziwym partyzanckim życiem. Nie znaliśmy dobrze terenu oraz brak nam było odpowiedniej sprawności fizycznej. Była również

obawa, że powrót do domu może narazić nasze rodziny na ewentualne aresztowania i nieprzewidziane konsekwencje. Poza tym byliśmy w obozie razem z przyjaciółmi, w zgranej paczce i to wydawało się najważniejsze.

Jeżeli chodzi o mnie, to wychowanemu najpierw w cieplarnianych i dostatnich warunkach, a potem w czasie wojny w ustawicznym zagrożeniu oraz niepokoju rodziców o moje zdrowie i życie, pozostała mi gdzieś pod skórą nadmiernie rozbudzona ostrożność i dyscyplina.

W rezultacie nasilonej lawiny ucieczek i zabraniu do wileńskich więzień wszystkich oficerów oraz innych podejrzanych osób, jak również po usunięciu z obozu kobiet i służb sanitarnych, pozostało nas w Miednikach około 4.000 ludzi.

Wspominając nasz pobyt w obozie miednickim, trzeba powiedzieć o wielkim, wzruszającym przeżyciu, jakim dla nas wszystkich była przypadająca na pierwszą niedzielę naszego tu przebywania, wspólna uroczysta msza święta. Podniosła modlitwa kilku tysięcy uwięzionych żołnierzy prowadzona przez kapelana obozowego sprawiała niesamowite wrażenie i zespalała nas w jedną wielką, solidarną rodzinę.

Po zakończeniu mszy niezapomnianym momentem było chóralne odśpiewanie modlitwy partyzanckiej :

„O Panie, któryś jest na niebie
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń..."

Te proste słowa w takim momencie jakże były wtedy wyjątkowo aktualne, jak głęboko oddawały nastrój chwili i miejsca w jakim się znaleźliśmy. Jak gdyby miały nas bronić od złego, nieznanego losu jaki miał nas spotkać.

A decydujące wypadki nie dały na siebie długo czekać. Gdzieś koło 28 lipca, po dokładnym zrewidowaniu i przeliczeniu nas, pognano całą obozową brać na pobliską stację kolejową w Kienie, gdzie czekały już przygotowane towarowe, bydlęce wagony – współczesne carskie kibitki.

Prysła nadzieja na ewentualne uwolnienie, nie nastąpił żaden cud ani przełom, na który czekaliśmy. Liczyliśmy po cichu na jakąś interwencję anglo-amerykańską, ale Zachód w decydującym stadium wojny nie chciał sobie psuć stosunków z Moskwą sprawą jakichś tam polskich akowców.

Jak się później dowiedzieliśmy, Mikołajczyk już 18 lipca powiadomił Churchilla o rozbrojeniu i aresztowaniu przez Sowietów dowódców AK oraz oddziałów Wileńskich i Nowogródzkich na terenie Wileńszczyzny. Prawie równocześnie powiadomione zostało o tym Naczelne Dowództwo AK z uwagą, że 5 do 7 tysięcy żołnierzy AK wywieziono w nieznanym kierunku.

Tymczasem wojna przetaczała się dalej przez nasz kraj. Po raz kolejny hordy bolszewickie parły na zachód paląc, niszcząc i rabując polską ziemię oraz mordując i wywożąc polskich obywateli.

23 lipca armia sowiecka zdobywa Lublin, a dzień wcześniej komunistyczny Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) ogłasza słynny Manifest Lipcowy. Rozpoczęły się komunistyczne rządy i 45-letni okres całkowitej zależności Polski od Moskwy.

2. Droga do Kaługi

Trwały przygotowania do załadunku transportu. Liczono nas, spisywano i przegrupowywano bez końca. Gotowe do drogi wagony stały w polu, jak gdyby starano się ukryć fakt przeprowadzanej deportacji. Wagony towarowe, zwane z rosyjska „karobkami" były stare, brudne, odrapane, o jakimś trudnym do określenia zapachu. Obudowa była drewniana wzmocniona zardzewiałą, lekką konstrukcją stalową. Po obu stronach miały ciężkie przesuwane wrota, a wysoko w górze po jednym maleńkim okienku. W środku były zupełnie puste, bez jakichkolwiek ławek czy choćby śladu słomy na legowisko. Ładowano nas jak barany po 40 do 50 osób pod ścisłą strażą odliczając każdą „sztukę" po kilka razy.

Początkowo wydawało się niemożliwe, żeby w jednym takim małym pudle zmieściło się tyle osób. Nieświadomi i naiwni nie znaliśmy jeszcze tego kraju wszelkich możliwości.

Przed odjazdem wydano nam nader skromny „suchy pajok" (przydział żywności) składający się z sucharów i małych puszek z konserwami rybnymi. Niestety nie dano nam ani kropli wody, której spragnieni tak bardzo potrzebowaliśmy. Dobrze, że niektórzy z nas mieli jeszcze jej małe zapasy w podręcznych manierkach.

Po długich godzinach wyczekiwania padła wreszcie komenda „zakrywać wagony". Z trzaskiem i hukiem zatrzaśnięto wrota, a z zewnątrz głuchy i skrzypiący dźwięk zasuwanego rygla i wyraźny odgłos drutowania zasuw upewnił nas, że zostaliśmy dokumentnie zamknięci.

Zrobiło się zupełnie ciemno – poczuliśmy się jak zwierzęta w klatce. Pociąg ruszył powoli z miejsca.

Ze względu na niesamowitą ciasnotę i zaduch oraz krępującą potrzebę załatwiania spraw fizjologicznych trzeba było jakoś się zorganizować. Na szczęście kilku doświadczonych i starszych kolegów objęło samorzutnie dowodzenie całym wagonem. Ponieważ na gołej podłodze brakowało miejsca aby wszyscy mogli równocześnie siedzieć, ustalono grupową kolejność dla tej luksusowej pozycji. Wyznaczona ekipa rozpoczęła przy pomocy cudem przemyconego scyzoryka drążenie otworu w podłodze dla wiadomych celów.

Najbardziej jednak intrygującą sprawą było rozeznanie, w którym kierunku zmierzał nasz transport. Gdzie nas wiozą ? Były pogłoski, że Armia Berlinga znajduje się gdzieś w okolicy Żytomierza. Na podstawie jednak obserwacji przez okienka wynikało, że jedziemy na wschód, a więc na Mińsk.

W miarę upływu czasu warunki w wagonie stawały się coraz bardziej uciążliwe. Raz dziennie dostawaliśmy wiadro wody do podziału na wszystkich, po jednym niezbyt świeżym solonym śledziu oraz po kawałku słodkiej, dziwnej mazi podobnej do melasy.

Najbardziej dokuczał brak wody, gdyż upał, zmęczenie i solone śledzie wzmagały pragnienie nie do wytrzymania. Na którymś z postojów, a były one bardzo częste i trwające nieraz po kilka godzin, udało mi się zamienić zegarek na wiadro wody.

Mimo tych ciągłych postojów wypuszczano nas z wagonów tylko raz na dobę, przeważnie w polu i na bardzo krótko. Załatwialiśmy wtedy nasze potrzeby pod wagonami, podczas gdy strażnicy z karabinami gotowymi do strzału gęsto obstawiali obie strony pociągu. Było w tym coś smutnego i komicznego zarazem, coś poniżającego ale też dającego pewną satysfakcję, kiedy wypinaliśmy nasze gołe pośladki na żołnierzy sowieckiej armii.

Nasi konwojenci przez cały czas pilnowali transportu niezwykle gorliwie. Na pierwszym i ostatnim wagonie umieszczono groźne karabiny maszynowe przygotowane zapewne na wypadek masowych ucieczek.

Co do ucieczek, to zdarzały się one w czasie jazdy przez polskie tereny. Zatrzymywano wtedy pociąg i słychać było strzały konwojentów. W rezultatach tych prób trudno się było nam zorientować. Po wjechaniu na tereny sowieckiej Białorusi ucieczki ustały, gdyż szanse ich powodzenia w obcym środowisku malały do zera. Również na postojach słychać było ciągłe strzały – były to prawdopodobnie albo jakieś próby nieznacznego oddalenia się od transportu, albo też po prostu był to ogień oddawany na postrach. W czasie jazdy czasami słychać było biegających po dachach strażników.

Dziwiła nas ta wzmocniona straż, czyżbyśmy byli wciąż tak groźni i niebezpieczni dla potężnego Związku Sowieckiego ? I to w momencie, kiedy jego jednostki pancerne niepowstrzymanie parły na Berlin, a losy wojny zostały już praktycznie przesądzone.

Już po kilku dniach tej wyniszczającej i nieludzkiej podróży byliśmy kompletnie wyczerpani. Głód i pragnienie, brak ciepłych posiłków, brak świeżego powietrza, potworny smród i odór w wagonie oraz dolegliwości żołądkowe w postaci biegunki robiły swoje. Brakowało też snu, bowiem na skutek ciasnoty musieliśmy spać na zmianę i to jeszcze jeden na drugim.

Nasza kondycja psychiczna też nie była najlepsza. Niepewność, gdzie jedziemy, dokąd nas wiozą, jak również sposób traktowania świadczący o naszej niezbyt różowej przyszłości, dopełniały ogólny niepokój i rozgoryczenie. Z dnia na dzień traciliśmy siły.

Uporczywy mrok i jednostajny łoskot kół wprowadzał w stan odrętwienia. Każde uderzenie kół o złącza szyn odmierzało wlekący się nieubłaganie czas. Ukołysany rytmicznym ruchem wagonu czułem gromadzący się pod czaszką natłok myśli i wrażeń.

Aby się od nich uwolnić próbowałem obserwować przez szparę między deskami ściany mijany krajobraz. Ale i tu jakby przyroda sprzysięgła się z naszym prześladowcą. Dookoła pustkowie szare i smutne, ani śladu ludzi czy jakichkolwiek zabudowań. Brak indywidualnego charakteru, opuszczone pola, jednostajne masywy leśne i płaski jak stół teren – wszystko to robiło wrażenie, jakby tej ziemi zakazano czymkolwiek się wyróżniać, bo w tym kraju wszyscy muszą być równi.

Przejeżdżaliśmy też przez całkowicie zrujnowany Mińsk, dopiero co wyzwolony przez wojska sowieckie.

Z załamania i drętwoty trzeba było jednak się wyrwać za wszelką cenę. Żeby mieć siłę do dalszego funkcjonowania trzeba wrócić na ziemię, obserwować wszystko dookoła, wyciągać wnioski, poznawać każdy szczegół otaczającej twardej rzeczywistości i jak najszybciej się do niej dostosować. Nie można przecież swego losu zmienić, ale można go złagodzić.

Trzeba się też pocieszać, że nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej. Równie dobrze mogliśmy przecież być pędzeni pieszo. Na szczęście technika współczesna skutecznie udoskonaliła nie tylko metody deportacji, ale też zniewolenia i eksterminacji.

Przypomina to trochę peerelowską anegdotę o największej wdzięczności, jaką winniśmy kolejarzom. Gdyby bowiem nie oni, to na własnych plecach musielibyśmy nosić węgiel do Związku Radzieckiego.

W czasie drogi mijały nas ciągle transporty wojskowe jadące na zachód. Na jednej ze stacji przeżyliśmy związany z tym niemiły incydent, kiedy to jadący na front sowieci chcieli

do nas strzelać sądząc, że jesteśmy „germańcami". Zmyliły ich niektóre nasze poniemieckie ubiory.

Nic nie trwa wiecznie, tak i wspólna upiorna jazda wreszcie dobiegła końca. Po siedmiu dniach i nocach pociąg stanął i ku swemu niepomiernemu zdziwieniu i zaskoczeniu sądząc, że to jakiś złośliwy senny omam, usłyszeliśmy orkiestrę grającą polskiego krakowiaka.

Po odsunięciu wrót i komendzie „wysiadać !" opuszczaliśmy ciemne czeluście wagonowe, mrużąc oślepione blaskiem dnia oczy, półprzytomni słaniając się na uginających się glinianych nogach. To była Kaługa. (4 sierpień 1944 r.)

Sięgając dzisiaj do próby opisu tej koszmarnej podróży wileńskich akowców, trzeba przypomnieć, że nie byliśmy tu jakimś specjalnym wyjątkiem. Tego rodzaju transporty naszych rodaków całymi niezliczonymi setkami szły przez lata w głąb Związku Sowieckiego. Setki tysięcy Polaków przeżywało podobny, albo jeszcze wielokrotnie gorszy koszmar i nieludzkie warunki. Tak wleczono, między innymi, tysiące kilometrów po łagrach i więzieniach moją matkę, tak też wieziono ojca na dalekie południe Rosji. Tak zginęło od chorób i wyczerpania setki, a może tysiące naszych rodaków. Tak między innymi zmarł z dyzenterii nasz współlokator i mój starszy kolega, Ziutek Pietkiewicz.

I jeszcze jedna smutna uwaga dotycząca naszego transportu. Jadąc od Mińska w kierunku wschodnim na Smoleńsk, mieliśmy świadomość, że przed nami jest Katyń, wspomniane już miejsce potwornej zbrodni dokonanej przez stalinowskich siepaczy na polskich oficerach. Wydawało się chwilami, że to po tych samych torach wieziono ich na śmierć, że tutaj, niemal w zasięgu ręki spoczywają pochowani skrycie w masowych grobach po bandyckich strzałach zadanych w tył głowy.

Jeszcze teraz, gdy o tym myślę, wspomnienie to przyprawia o dreszcz i każe być wdzięcznym Dobremu Bogu, że nasze losy potoczyły się inaczej.

Do Katynia i Smoleńska nie dojechaliśmy jednak, gdyż pociąg wcześniej skręcił na południowy wschód, w kierunku na Mohylew.

3. Kaługa

Po opuszczeniu ciemnych i cuchnących naszych więziennych cel na kółkach, z orkiestrą, w sformowanych grupach, wycieńczeni i osłabieni chwiejnym krokiem maszerowaliśmy przed siebie. Znowu obawa i ciekawość zarazem – dokąd nas prowadzą, co oznacza to perfidne powitanie przez orkiestrę wojskową ?

Kaługa to dawne miasto gubernialne, położone nad rzeką Oką, niecałe 200 km na południowy – zachód od Moskwy, kilkadziesiąt kilometrów od tragicznego Kozielska i 150 km od Riazania. Kaługę zamieszkiwało podówczas około 150 tysięcy mieszkańców.

Szliśmy przez miasto brudne i zaniedbane. Kamienice przeważnie trójkondygnacjowe, nędzne i odrapane, wszystkie jakby jednakowe bez sklepów, usług czy jakichkolwiek reklam. Gdzieniegdzie widać było zniszczenia wojenne. Ulice pustawe, a pojawiający się od czasu do czasu ludzie byli równie szarzy i biedni jak ich miasto. Jedynym ożywieniem tej szarzyzny była skąpa zieleń i zawieszone tu i tam czerwone transparenty.

Dopiero gdzieś na peryferiach wprowadzono nas do ogrodzonego terenu starych, chyba jeszcze carskich koszar, z jednopiętrowymi zabudowaniami przeważnie z czerwonej cegły.

Wkrótce ze zdumieniem dowiedzieliśmy się, że jesteśmy wcieleni do 361 pułku piechoty zapasowej dywizji i będziemy odtąd traktowani jako żołnierze Armii Radzieckiej. Przejdziemy odpowiednie szkolenie, a następnie zostaniemy wysłani na front.

Na marginesie dodam, że pułki zapasowe służyły do uzupełnienia lub zastąpienia wykrwawionych na froncie oddziałów.

Oczywiście tej zaskakującej wiadomości towarzyszyła odpowiednia polityczna drętwa mowa o wielkim Stalinie, niezwyciężonej armii, wyzwoleniu Polski i tym podobne.

Nasz status był więc obecnie co najmniej dziwny. Niby internowani, a wcieleni siłą do obcej, wrogiej armii. A może to jakaś karna jednostka dla „niebłaganadziożnych Paliakow" ?

Umieszczono nas w olbrzymich pomieszczeniach koszarowych, prymitywnych ale względnie czystych. Prycze były trójpoziomowe, a na każdej był siennik ze słomy, koc i coś w rodzaju poduszki.

Obaj z Jurkiem, z którym cały czas trzymaliśmy się razem, znaleźliśmy się w 1-szej rocie (kompanii) rusznic przeciwpancernych (Rota PTR). Cały pułk miał ponad 3.000 ludzi i podzielony był na 4 bataliony liczące mniej więcej po 800 osób. Te dzieliły się na 4 kompanie (roty), a kompania na 4 plutony (zwody). Pluton miał około 50 do 60 ludzi, co stanowiło mniej więcej 5 drużyn 10-cio osobowych. Tylko drużynowi byli Polakami, cała reszta kadry dowódczej była sowiecka.

Zaraz po przyjeździe mieliśmy otrzymać nowe umundurowanie i broń (!). Praktyczna brać partyzancka w mig się zorientowała, że jest to okazja do sprzedaży naszych ciuchów i bielizny miejscowym mieszkańcom. Kałużanie od razu wyczuli, że z Polakami można porobić dobre interesy i licznie obstawili co bardziej ustronne odcinki ogrodzenia. Kupowali dosłownie wszystko, płacili niewiele, ale zawsze. Było też trochę handlu wymiennego zwłaszcza na produkty żywnościowe. Nasze wygłodniałe żołądki dopominały się ostro dodatkowego przydziału kalorii. Miejscowe kobiety sprzedawały głównie tzw. „lepioszki". Było to coś w rodzaju jakiegoś placka z łupin ziemniaczanych z kawałkiem surowego buraka w środku. Ten ruski rarytas był mdły i niesmaczny, ale jak to się mówi na bezrybiu i rak ryba, nie można było wybrzydzać.

Jak się szybko okazało, pośpiech w handlu naszymi tekstyliami był wielce uzasadniony, gdyż po ogólnej łaźni a następnie ostrzyżeniu i ogoleniu zabrano nam całą własną odzież dając swoje umundurowanie „sawieckowo bajca".

Jako ciekawostkę trzeba dodać, że goleniem zajmowały się młode „żeńszczyny" (kobiety). Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że goliły nam również najbardziej intymne miejsca. Było to i zaskakujące, i śmieszne, i nader krępujące zarazem.

Przy okazji tych wysoce higienicznych zabiegów, dokonano na nas kolejnej rewizji ogałacając nas z drobnych przedmiotów osobistych. Rewizje tego rodzaju, powtarzające się co kilka dni, były po prostu zwykłym ordynarnym rabunkiem.

Z braku lustra nie mogłem się zobaczyć w nowo wyfasowanym mundurze, ale patrząc na kolegów można było sobie wyobrazić, jak sam wyglądam. Obwisła i pomięta drelichowa „gimnaściorka" (bluza) z patkami na ramionach, na nogach podobne spodnie zapinane pod

kolana, poniżej owijacze zachodzące na buty. Całość uzupełniał nieodzowny prymitywny pasek parciany i niezgrabna, spadająca na oczy furażerka na łysej pale.

Prawie wszyscy z nas mieli jakieś polskie orzełki czy naszywki białoczerwone, niestety w ostry i stanowczy sposób zakazano ich noszenia.

Szkolenie, jak we wszystkich armiach świata polegało na mustrze, marszach, zapoznawaniu się z bronią oraz na ćwiczeniach polowych. Ciekawostką było to, że przez cały czas nie dano nam amunicji i hełmów. Nieufność i ostrożność w stosunku do nas była zresztą widoczna na każdym kroku.

Dzień rozpoczynał się tzw. „padiomem" o 6-tej rano. Wówczas to półnadzy, w pośpiechu wybiegaliśmy na dziedziniec do ustawionych tam drewnianych koryt, aby dla orzeźwienia ochlapać się zimną wodą – nazywało się to myciem. Potem następowało kilkanaście minut porannej gimnastyki.

Problemy pojawiły się już przy samym wstawaniu. Najwięcej zachodu wymagało znalezienie swoich butów i sznurowadeł, które znajdowały się przy pryczach na podłodze. Ja, śpiąc najwyżej, miałem zadanie specjalnie utrudnione, ponieważ zanim zeskoczyłem, ci na dole byli już przy butach pierwsi.

Szybko przekonaliśmy się, że nie tylko spryt, ale też siła, bezczelność a nawet bezwzględność były nieodzowne do jako takiego przetrwania w tej najcudowniejszej armii świata. Najgorsze było, że akty przemocy, oszustwa czy wręcz kradzieży miały miejsce w naszym własnym gronie. Zdobywać, kombinować i kraść – ta charakterystyczna cecha socjalizmu sowieckiego zrodzona z walki o byt występowała w wojsku oficjalnie deprawując i demoralizując żołnierzy.

Brak jakiejkolwiek części garderoby czy wyposażenia, albo też, niewłaściwe lub spóźnione jej założenie groziło surowym karcerem. Karcery i dodatkowe nocne prace przy myciu i skrobaniu podłóg, czy też czyszczeniu koszarowych kibli, były dawane za byle co, na przykład za znalezienie wszy w „gimnaściorce".

A zawszenie było powszechne i to mimo częstych łaźni i odkażania odzieży oraz ciągłego wyrywkowego jej sprawdzania. Ponadto w koszarach pojawiły się pluskwy, które najwidoczniej zwabione zapachem świeżej polskiej krwi stawały się coraz bardziej natarczywe.

Całe hece działy się z ruskim językiem. Większość z nas nie tylko, że go nie znała ale jeszcze starała się specjalnie przekręcać poszczególne słowa by brzmiały bardziej po polsku. Często też udawaliśmy, że nic nie rozumiemy mimo, że doskonale wiedzieliśmy o co chodzi. Trzeba było jednak to robić z wyczuciem, by sierżanci nie domyślili się złośliwości. Za takie żarty, czy niewłaściwe odezwanie się do przełożonego też groziły karcery i różne inne wymyślne kary.

Najbardziej jednak dawało się nam we znaki niedożywienie oraz ciągłe, natrętne i ssące uczucie głodu.

Dowództwo pułku, chcąc zapewne nadać jedzeniu szczególnego znaczenia, stosowało ciekawy i podniosły rytuał naszych „bajeckich" codziennych posiłków. Odbywały się one w tzw. stołówce w postaci kilku bardzo długich stołów i ław umieszczonych pod chmurką. Jedliśmy kolejno kompaniami. O określonej ściśle godzinie zaczynało się formowanie oddziału. Po niezliczonych sakramentalnych : baczność, spocznij itd. padał wreszcie ten najmilszy rozkaz wymarszu do stołówki.

Prowadzący sierżant wypowiadał go ze szczególnym namaszczeniem, niezwykle wolno i donośnie : „Pierwaja rota PTR priamo w stałowoju szagom ... marsz !" Tylko słowo „marsz" przypominało komendę. Dziwiła nas ta strata czasu na tak długie rozkazy, kiedy nasze puste żołądki dopominały się niecierpliwie jedzenia. Wszystko jednak odbywało się zgodnie z regulaminem dzielącym wyraźnie każdy rozkaz na zapowiedź i komendę. Pierwsza mogła być długa i wolna, zaś komenda, krótka i zdecydowana.

Ruszaliśmy więc zwartym szeregiem i uroczystym krokiem w „stałowuju". Po ustawieniu się przy stołach wzdłuż ław padały dalsze komendy : „Obornyje gałowy zniać" (zdjąć czapki), „Sadziś" itp. Z jedzeniem należało się spieszyć, bo czekali następni. Po komendzie „Padnimajś" (wstać) nie było pardonu dla guzdrałów, natychmiast trzeba było wszystko zostawić, a to dodatkowo uszczuplało i tak głodowe już porcje.

Intensywna musztra, ciągłe marsze i parady pułkowe wyczerpywały nasze siły. Przy maszerowaniu „obiezatielno" należało śpiewać. Początkowo były to pieśni radzieckie, jak np. słynna „Katiusza" czy „Szyraka strana maja radnaja", gdzie zawsze niezauważalnie zmienialiśmy słowa śpiewając :

„Ja drugoj takoj strany nie znaju,
gdzie tak ledwo dyszyt czaławiek !"

Jednak te rosyjskie pieśni, mimo że melodyjne i rytmiczne nie bardzo nam szły, wychodziły markotnie i bez życia. Pozwolono nam przeto na śpiewanie polskich pieśni marszowych. Tu od razu całe bractwo się ożywiało, jak gdyby chciało pokazać bolszewikom jak śpiewają polscy partyzanci. Repertuar nasz był różny, począwszy od poważnych i refleksyjnych pieśni, jak „Rozszumiały się wierzby płaczące" czy „Maszerują strzelcy, maszerują" aż po wesołe i nieco słonawe piosenki w rodzaju :

„Idzie dziewczę po lesie, po lesie, po lesie,
pod fartuszkiem coś niesie, coś niesie – bęc"

Darliśmy się tak głośno i z taką werwą, żeby słyszała cała Kaługa. Najczęściej i najchętniej śpiewaliśmy „Marsz, marsz Polonia". Była to częściowa przeróbka „Mazurka Dąbrowskiego", bardzo melodyjna, z refrenem o patriotycznym wydźwięku :

„Marsz, marsz Polonia,
Marsz dzielny narodzie
Odpoczniemy po swej pracy
W ojczystej zagrodzie !"

Niestety, po pewnym czasie zabroniono nam śpiewać po polsku.

Żeby wyczerpać temat naszej marszowej wokalistyki, to do ciekawostek należał stary ruski zwyczaj tzw. „zapiewajły". Był to specjalnie wyznaczony żołnierz, który pierwszy rozpoczynał śpiew. Warto też przypomnieć, że przy paradach z orkiestrą nie było śpiewów, obowiązywała wtedy komenda : „Wziać nogu pod taraban".

Poobiednie chwile wolne od ćwiczeń starano się wykorzystywać na polityczne i światopoglądowe dokształcanie nas. Były to nudne i prostackie pogadanki zawsze o tym samym – o niezwyciężonej armii sowieckiej, o wielkim i mądrym ojcu narodu Stalinie, o pełnym szczęśliwości państwie robotniczo-chłopskim, czy też o innych bredniach.

Do tego celu służyły też propagandowe filmy sowieckie, którymi co pewien czas nas raczono. Żelaznym repertuarem było nieśmiertelne, naiwne filmidło „Świat się śmieje" z Olgą Orłową, jako radosną, rozśpiewaną kołchoźnicą sławiącą „szczastliwoju rodinu" i pełną radości, śmiechu i dobrobytu wieś radziecką.

Niemal do obowiązku należało słuchanie specjalnych komunikatów radiowych o kolejnych „pabiedach Krasnej Armii". Cieszyły nas te wieści, wróżąc szybki koniec wojny. Bawiła natomiast forma w jakiej były wypowiadane, a mianowicie z dziwnym, nienaturalnym patosem i powagą, niezwykle wolno cedząc słowo po słowie. Żartowaliśmy, że widocznie tak wolne mówienie pozwala półinteligentom chociaż połowę zrozumieć.

Dowódcą naszego 361 pułku był gwardii podpułkownik Jermołow, jedyny oficer sowiecki, który nieco pozytywniej zachował się w mojej pamięci. Był to człowiek niemłody, wysoki, lekko kulejący, chodzący zawsze z laską, o marsowym i surowym obliczu. Posiadał niezwykle donośny i tubalny głos. Widywaliśmy go bardzo rzadko.

Nie zapomnę, jak kiedyś przed zgromadzonym na ogromnym polu całym pułkiem swym potężnym głosem wydawał komendy. Kiedy rozległo się jego „smirnooo!!", a potem „tawariszczy aficery ka mnieee !!", to aż ciarki przechodziły po skórze. Z satysfakcją patrzyliśmy jak nasi ważni leutnanci biegiem lecieli i stawali przed nim na baczność, czyli jak to się mówiło po rosyjsku „ruki pa szwam".

Jak już wspomniałem teren koszar był szczelnie ogrodzony, a całość ogrodzenia była jeszcze dodatkowo zabezpieczona drutem kolczastym. Ten drut, symbol zniewolenia, jakby mówił i przypominał : pamiętaj, że jesteś więźniem i nie próbuj uciekać.

Jak trafnie zauważa R. Kapuściński w swej znakomitej książce „Imperium", drut kolczasty był nieodłącznym atrybutem sowieckiej rzeczywistości. Było nim odrutowane jedno gigantyczne więzienie, jakim był Związek Sowiecki.

Powoli przekonywaliśmy się, że w tym dziwnym kraju wszystko było odmienne i zaskakujące, jak byśmy znaleźli się w innym świecie. Otaczał nas prymitywizm, zacofanie, nędza materialna i moralna oraz obłuda. Z obłudą i pozoranctwem postępu oraz troski o człowieka stykaliśmy się na co dzień.

Podczas gdy gryzły nas wszy, pchły i pluskwy, a nasze, pożal się Boże, mundury bardziej były podobne do więziennych niż do żołnierskich, przywiązywano wyjątkową wagę do czystego kołnierzyka. Była to biała szmatka odpowiednio złożona, którą należało prać, zmieniać i przyszywać tak, aby wystawała 2-3 mm ponad kołnierz bluzy.

Te pozory dbania o czystość funkcjonowały w ciągłym sprawdzaniu odzieży, kiedy to rozbierano nas do naga, zabierając przy sposobności i okradając z różnych osobistych rzeczy. Tego rodzaju „abzory" były powszechne we wszystkich obozach sowieckich.

Między innymi ojciec opisuje zabawny incydent, jaki się zdarzył dnia 1 maja w kutaiskim obozie. Właśnie w dniu święta pracy urządzono tam taki „abzor" pod pozorem poszukiwania insektów w garderobie więźniów. Jakież było zdumienie i rozbawienie rewidowanych, kiedy tuż nad sobą spostrzegli transparent z napisem : „Da zdrastwujet 1 maja, dzień abzora rewolutionnych sił Sawieckowo Sajuza !"

Skoro mowa o szalonym zamiłowaniu do czystości w sowieckiej armii, to świetnie je oddaje anegdota przytoczona przez T. Ginko w swoich wspomnieniach z Kaługi. Otóż w czasie sprawdzania czystości w koszarach pułkownik pociągając palcem po pryczy woła z oburzeniem : „Czto eto takoje ?" - „Griaź, tawariszcz pałkownik", odpowiada polski „bajec". - „Nu wot griaź tak może być w waszej Polskoj Armii, no nie u nas w Krasnoj Armii !"

Ale chyba najzabawniejszy i dotąd dla mnie niepojęty był pokaz strategii, techniki i precyzji, jaki demonstrowano nam na ćwiczeniach strzelania do nieprzyjacielskich czołgów.

Ćwiczenia odbywały się na poligonie z „protiwtankawoj" bronią. Polegało to na tym, że po okopaniu się w napotkanej w terenie nierówności, należało ustalić z dowódcą jakiś stały punkt przed sobą na horyzoncie. Wówczas następowało strzelanie przy pomocy najbardziej sprawdzonego i niezawodnego celownika... palców !

Otóż, kiedy dowodzący sierżant krzyknął na przykład : „Dwa palca w prawo – agoń !" lub „Czetyry palca w lewo – agoń !" należało wyciągnąć przed siebie rękę, odmierzyć w odpowiednią stronę podaną ilość palców od ustalonego punktu i oddać w kierunku wroga śmiertelny strzał. Oczywiście, przy całej tej zabawie strzału nie było bo nie mieliśmy amunicji, ale za to było dużo śmiechu.

Po tych żartobliwych dygresjach chciałbym wrócić do smutnej rzeczywistości i ciągle upływającego czasu.

Nadszedł wrzesień, chłód stawał się coraz bardziej dotkliwy, a niedożywienie i głód coraz bardziej dawały się we znaki. Nieustannie trapiła nas myśl – co dalej ? A opuszczające nas siły nie wróżyły nic dobrego. Trwało daremne oczekiwanie – może się ktoś o nas upomni? Panująca jednak cisza rodziła zwątpienie – czyżby o nas zapomniano ?

Zaniepokojenie budził też ciągły brak wiadomości z domu. Co z rodzicami ? Może zostali aresztowani albo, nie daj Boże, jeszcze gorzej ? Pozwalają nam pisać do rodzin. Niecierpliwie wysyłam list za listem.

Przy okazji kopertowanie listów znowu jest zaskoczeniem. Ze względu na oszczędność papieru zapisaną jednostronnie kartkę składało się zmyślnie w trójkąt, czystą stroną do góry zastępując w ten sposób kopertę. Rosjanie takie listy nazywali „tryugolnikami".

Wiadomości, jakie do nas docierały były jednostronne i dotyczyły jedynie osiągnięć sowieckich. Od kraju i świata zachodniego chyba celowo byliśmy odcięci. Nie wiedzieliśmy nawet, że w Warszawie wybuchło powstanie. Nie podawano też, że Alianci odebrali Niemcom Paryż, że III Rzesza wyraźnie przegrywała na wszystkich frontach. Wojna się kończy. A my ? Ni to „sałdaty", ni to jeńcy, czekamy jak te przysłowiowe kamienie, kiedy i na jaki szaniec zostaniemy rzuceni.

Tymczasem jesień coraz wyraźniej dawała znać o sobie. Dnie stawały się coraz krótsze i chłodniejsze, a niebo i zieleń coraz bardziej szare i smutne dostrajały się do naszego ogólnego wisielczego nastroju.

Ciągle szukano wśród nas nieujawnionych oficerów. Wykryto ich podobno kilkunastu i wywieziono w nieznanym kierunku.

Minęło mniej więcej 6 tygodni szkolenia, kiedy nagle rozeszła się wiadomość, że mamy składać jakąś przysięgę Związkowi Sowieckiemu. Zbulwersowani i oburzeni tego rodzaju żądaniem z miejsca uzgodniliśmy i zdecydowali, że o żadnej przysiędze mowy być nie może. Kiedy wiadomość o naszym nastawieniu i odmowie dotarła do dowództwa, zebrano wszystkich na wielkim placu koszarowym. Jakiś major starał się przekonać zgromadzonych, że jako żołnierze sowieckiego pułku „obiezatielno" musimy złożyć ślubowanie na wierność „niepabiedimej" armii i jej wielkiemu wodzowi, Stalinowi. Jeszcze w czasie, kiedy nie przebrzmiały słowa majora, rozległy się gromkie okrzyki : „Jesteśmy Polakami !", „Przysięgaliśmy już Polskiej Armii Krajowej !" , „Nie będzie żadnej przysięgi !"

Ten powszechny bunt był wyjątkowo spontaniczny i jednomyślny. Do dziś pamiętam, jak wtedy wściekły major wypowiedział znamienne słowa groźby : „Nu pomnicie, czto w Rasiji dla was miesta chwatajet !" (Pamiętajcie, że w Rosji wystarczy dla was miejsca)

Po tak jasno i otwarcie wypowiedzianym ostrzeżeniu po raz pierwszy złamaliśmy rozkaz i samowolnie zaczęliśmy opuszczać plac. Ktoś zaintonował „O Panie, któryś jest na niebie" i cała polska brać podjęła tę naszą piękną pieśń-modlitwę. Wiedzieliśmy już co nas czeka, a tego rodzaju wroga manifestacja patriotyczna nie mogła ujść nam na sucho.

Ostentacyjna demonstracja naszej polskości oraz wynikła nowa sytuacja, kiedy było już wiadomo, że nas gdzieś wywiozą na roboty, wzmogła wśród nas wyraźne patriotyczne nastroje i zbiorowy opór wobec niektórych poczynań leutnantów i sierżantów.

Równocześnie zaczęły chodzić różne plotki - a to, że wywiozą nas do kopalni na Ural, a to, że gdzieś do obozu karnego w tajgę na budowę torów kolejowych i dróg, a nawet, że czeka nas zsyłka na Sybir. Były też słuchy o aresztowaniu prowodyrów i podżegaczy naszego buntu. Mówiło się też o wzmożonej inwigilacji pułku przez NKWD. Te ostatnie pogłoski, jak się potem okazało, sprawdziły się.

Nic nas nie dziwiło i trzeba było przygotować się na najgorsze. Pierwszą jaskółką przygotowywanych represji było zabranie nam broni i mundurów oraz ubranie w stare, używane mundurowe łachy, często podarte i poplamione. Niektórzy twierdzili, że pochodziły one z odzieży zdejmowanej na froncie z trupów.

Mniej więcej w 2 tygodnie po odmowie złożenia przysięgi, a więc gdzieś w połowie września rozpoczęła się wywózka. Wywożono nas batalionami, jak zwykle w nieznanym kierunku, podobno na ciężkie roboty.

Znowu te same bydlęce wagony i znowu wzmocniona straż dookoła. W tym wszystkim jedno było zastanawiające, jechali z nami ci sami sierżanci i wydawali rozkazy, jak byśmy dalej byli ich żołnierzami a nie więźniami. No cóż, tu wszystko było niezrozumiałe i dziwne.

Wkrótce, jak było do przewidzenia, stwierdziliśmy, że jedziemy na wschód. Tym razem najgorsze było zimno i nie opuszczające nas ani na chwilę uczucie głodu potęgowane jeszcze przez wychłodzenie organizmów. Dotkliwy, chłodny wiatr przenikał przez ściany wagonów, a dopiero co wyfasowana cieplejsza odzież nie wiele tu pomagała.

Na szczęście tym razem podróż była krótka. Po zaledwie kilkunastu godzinach wjechaliśmy na jakiś stary opuszczony, pojedynczy tor w bardzo gęsto zalesionym terenie. W kompletnej leśnej głuszy transport się zatrzymał. Byliśmy na miejscu.

4. Na robotach leśnych

Lasy i drzewa, jedne z najwspanialszych tworów natury, nie zawsze kojarzyły się z odwiecznym i doskonałym pięknem przyrody. Tak przed, jak i po wojnie ich przebogata gama zieleni, wspaniałe różnorakie formy pni, konarów i korzeni, zapach listowia, szum gałęzi i ptasi śpiew, czy wreszcie często bogate poszycie pełne mchów, jagód i grzybów, były zawsze wielką radością i wytchnieniem.

W okresie wojny jednak, kiedy powstały pierwsze oddziały partyzanckie, ten symbol nieskończonego piękna przyrody nabrał innego wyrazu, stał się symbolem oporu i walki.

Lasy i partyzanci, pojęcia te były wówczas ze sobą nierozerwalnie związane. Przeważnie źle uzbrojony i wyposażony partyzant najlepiej czuł się w dużych obszarach

leśnych, gdzie łatwiej było o schronienie. Tam z bronią w ręku czuł się prawdziwie wolny. Powszechne powiedzenie „poszedł do lasu" jednoznacznie i skrótowo oznaczało wstąpienie do partyzantki.

Leśni chłopcy na leśnych polanach przy ogniskach śpiewali swe pieśni, w których las bywał częstym i zawsze miłym motywem, jak choćby :

„Lesie, polski lesie,
Ty leśne pustkowie,
Wiatr od ciebie niesie,
Wiatr od ciebie niesie
Wolnej Polski powiew."

Ale teraz, tu na rosyjskiej ziemi, był jeszcze inny las – obcy i groźny, milczący i odrętwiały, smutny i ponury. Las ciężkiej niewolniczej pracy. To tu właśnie mieliśmy poznać i zrozumieć, że człowiek zdolny jest najpiękniejsze nawet twory natury zmienić w piekło bólu i cierpienia.

Znaleźliśmy się w olbrzymim kompleksie leśnym w pobliżu wsi Sieredniakowo, około 200 km na południowy wschód od Moskwy.

Kiedy po niedługim marszu w głąb lasu osiągnęliśmy obszerną i rozległą polanę, poinformowano nas, że oto jesteśmy teraz na tzw. „trudawom froncie" i odtąd będziemy pracować przy wyrębie lasów w tym okręgu. „Wy partizany" – stwierdzono, umiecie żyć w lesie. Oświadczono też , co przyjęliśmy ze zdziwieniem, że dalej pozostajemy sołdatami 361 pułku i mamy ściśle wykonywać rozkazy naszych dowódców. Nie omieszkano przypomnieć, że za niewykonanie rozkazu grożą surowe kary, łącznie z pozbawieniem życia, czyli jak to potocznie określano „pulą w łob".

Ale i tak nie było tak źle i należało dziękować Opatrzności, że teraz z nadchodzącą rosyjską zimą nie trafiliśmy gdzieś do dalekich łagrów czy kopalni północy bądź Sybiru.

Z niebywałym zaskoczeniem i zdumieniem przyjęliśmy wiadomość, że tu na polanie, gdzie się znajdujemy, sami własnymi siłami mamy wznieść zabudowania obozowe. W tym celu rozdano łopaty, piły i siekiery oraz wytyczono miejsca dla poszczególnych budowli.
Zanim przystąpiliśmy do właściwego zadania to jest do zbudowania ziemianek w których mieliśmy mieszkać i przetrwać zbliżającą się zimę, trzeba było zbudować jakieś szałasy. Konieczny był pośpiech, gdyż początkowo musieliśmy spać pod gołym niebem na gałęziach z jodły. Ale nawet w szałasach spanie przy zimnym wietrze, deszczach i jesiennych przymrozkach było trudne oraz wyczerpujące i tak już wątłe nasze siły.

Każdy pluton budował własną ziemiankę. Była to budowla w rodzaju prymitywnego baraku zagłębionego częściowo w ziemi. Ściany i dach stanowiły okrągłe, proste bale łączone bez użycia desek czy gwoździ. Dach dodatkowo przykryty był jeszcze iglastymi gałęźmi, a cała część wystająca ponad teren przysypana grubą warstwą ziemi. Tylko na szczytach, z jednej strony były drzwi wejściowe z odpowiednią pochylnią w dół, z drugiej zaś małe okienko do słabego oświetlenia i wentylacji.

„Ziemlanka" była oryginalnym i powszechnym obiektem architektonicznym Związku Sowieckiego, nieznanym w innych częściach świata.

W jednej takiej podziemnej norze przebywał cały pluton („zwod"), czyli około 50 osób. Legowiska były rozmieszczone z obu stron wzdłuż ścian. Te tzw. „nary" zostały również wykonane z okrąglaków, co wymagało koniecznie jakiegoś rodzaju podściółki.

Przeważnie były to gałęzie sosnowe lub świerkowe, gdyż siano było tam chyba zupełnie nieznane, zaś słoma zbyt cenna i reglamentowana.

Z czterech batalionów pułku 1-szy batalion oraz nasz 2-gi rozmieszczone były o kilka kilometrów od siebie. 3-ci przebywał w Jegoriewsku, zaś 4-ty podobno z powodu licznych dezercji został niedługo po przyjeździe do lasu karnie rozwiązany.

Wraz z pierwszymi śniegami rozpoczęła się praca przy wyrębie lasu. Dobieraliśmy się dwójkami, a każda para otrzymywała swój rewir leśny, tzw. „uczastek". Początkowo było to około 2 km od obozu, potem coraz dalej i dalej. Trzeba było wykonać normę dzienną, która polegała na spiłowaniu i powaleniu drzew, obcięciu gałęzi, pocięciu pnia na 2 metrowe bale i ułożeniu ich w sągi („sztable"). Na początku norma wynosiła 2 metry sześcienne.

Wykonanie normy było niemal sprawą życia i śmierci, był to bowiem warunek otrzymania pełnodobowej porcji wyżywienia, a porcje te i tak były niezmiernie skąpe. Wyznawano komunistyczną ideologię, że darmozjady, albo po rusku „parazity", nie jedzą.

Ciągłe uczucie głodu, które towarzyszyło nam w Kałudze, tu na skutek wytężonej ponad siły pracy i zimna, jeszcze bardziej się wzmogło i stało się bardziej dokuczliwe.

Sytuację pogarszał fakt, że normę ciągle powiększano. Głównie przyczyniła się do tego nasza wiejska młodzież, silna i zaprawiona do tego rodzaju prac, która często przekraczała określoną ilość dziennych kubików. Również „naczalstwo" uważało, że nabieramy wprawy i możemy pracować bardziej wydajniej.

Ja pracowałem oczywiście w parze z nierozłącznym przyjacielem Jurkiem. Nasz tandem należał do jednych z najmniej wydajnych. Było to wynikiem naszego kompletnego braku umiejętności i predyspozycji do ciężkiej pracy fizycznej leśnych drwali.

Zarówno koledzy, jak i pilnujący nas sierżanci potocznie i uszczypliwie nazywali nas „gienierały", albo „gienierały Żorżyki". Miało to oznaczać, że nie nadajemy się do tak przyziemnych prac fizycznych, a we względnie grzecznej formie oznaczało to krótko, że jesteśmy ofiary boże.

Określenie to brało się również stąd, że często widywano nas czytających jakieś nie wiadomo skąd zdobyte książki lub gazety. W trudnych warunkach obozowych było to niespotykane i wręcz zaskakujące, a dla Rosjan graniczące nawet z dziwactwem. Śmialiśmy się, że w ich prostym pojęciu zapewne czytać, nie mówiąc już o pisaniu, mogła tylko generalicja. Nie było w tym nic dziwnego skoro oficerowie mieli ukończone 6-7 klas, zaś sierżanci zaledwie 4 do 5.

Praca na „lesowyrubie" nie była łatwa. Pomijając ogromny wysiłek fizyczny, nasze rdzewiejące piły i tępawe siekiery przysparzały dodatkowych trudności. Poza tym sama przyroda wypowiedziała nam walkę. Wysokie, potężne sosny, jak żywe istoty opierały się jak tylko mogły i broniły się przed śmiercią, a ostre warunki klimatyczne paraliżowały i obezwładniały nas.

Najtrudniejszym elementem było samo ścięcie drzewa. Najpierw trzeba było określić kierunek nachylenia pnia aby rozpocząć piłowanie z odpowiedniej strony. Wtedy była nadzieja, że drzewo nie zaciśnie piły. Często określenie takiego nachylenia było wprost

niemożliwe. Zdarzało się, że zaciśniętej piły nie można było w żaden sposób wyciągnąć, mimo prób podpierania pnia i wybijania piły siekierą.

Trzeba przyznać, że wśród całej leśnej braci panowała wyjątkowa solidarność. Sąsiednie silniejsze pary „lesorubów" starały się pomagać słabszym. Tak więc „gienierały" zawsze mogły liczyć na jakąś pomoc kolegów. Gorzej było z ruskimi opiekunami, którzy nie szczędzili nam przekleństw i obelg, a często trzymali nas do zapadnięcia zmroku i grozili, że będziemy tu siedzieć całą noc aż wykonamy normę. Pewnie by też do tego dochodziło, gdyby nie to, że sami głodni i przemarznięci pragnęli jak najprędzej znaleźć się w obozie. Może z tego powodu, a może ze zwykłego ludzkiego odruchu zdarzało się, że starali się też nam pomagać.

Nigdy nie zapomnę pewnej niezwykłej przygody, jaka się przydarzyła naszej generalskiej dwójce. Któregoś dnia zaczynając wycinkę na nowym „uczastku", pierwsza ogromna sosna pochyliła się i oparła o sąsiednie drzewo. Zawisła nad nami i ani rusz nie dawała się powalić. Jako że „małpa nie cielę, sobie poradzi", podcięliśmy z kolei stojącą przeszkodę, ale niestety z tym samym skutkiem. Do południa, kiedy przyszedł nasz sierżant, na ziemi nie leżało ani jedno drzewo. Pięć potężnych sosen opierało się o siebie nawzajem, tworząc gigantyczny parasol w postaci plątaniny pni i gałęzi, groźnie zawieszony nad głowami nieszczęsnych drwali.

Sierżant zamarł ze zgrozy widząc co się dzieje i polecił nam natychmiast opuszczenie niebezpiecznej strefy. Po przywołaniu kilkuosobowej doświadczonej pomocy udało się bezpiecznie doprowadzić do powalenia na ziemię tej całej sosnowej konstrukcji. Dopiero po ogromnym huku i tumanach śniegu jakie powstały przy tej akcji uświadomiliśmy sobie jak wielkie zagrożenie wisiało nad nami.

Praca w lesie wbrew pozorom, jak widać bywała też niebezpieczna. Zdarzało się wiele wypadków, w tym nawet śmiertelnych, przeważnie na skutek przywalenia spadającym drzewem. Wyczerpanie, niedożywienie i zimno tłumiły naturalny instynkt samozachowawczy i spowalniały refleks.

Przyszła zima. Las coraz bardziej stawał się dziki i wrogi. Przyroda jeszcze silniej broniła się przed ingerencją człowieka w jej odwieczny porządek. Boleśnie kąsający mróz, przenikliwy zimy wiatr, uciążliwy głęboki śnieg sprawiały, że praca stawała się coraz częściej nie do wytrzymania. Licha, podarta i poszarpana odzież, często wilgotna czy przemoczona nie chroniła należycie naszych ciał przed zimnem.

Oprócz jedzenia, którego brak odczuwaliśmy bardzo dotkliwie, brakowało teraz tego co najcenniejsze – ciepła. Ciepło stało się największym dobrem, a względnie cały waciak, czyli tzw. „ciełogrejka", prawdziwym skarbem. Ciepła brakowało także w ziemiankach. Jeden prymitywny piecyk zrobiony z jakiejś starej, zardzewiałej beczki po benzynie, ustawiony w środku, nie był w stanie ogrzać całego pomieszczenia.

Wilgotne ubrania nigdy nie wysychały. Koce otrzymane jako przydział zimowy były cieniutkie jak prześcieradła. Nie wolno było spać w ubraniach. Głód, zimno i robactwo nie pozwalały zasnąć. Zaczęły się szerzyć choroby, zaziębienia i odmrożenia. Na skutek zimna częste parcie na mocz zmuszało do wielokrotnego wstawania w nocy i wyprawy do znacznie oddalonego dołu kloacznego. W dodatku trzeba było biegać w samej bieliźnie, bo nie wolno było nocą wychodzić z ziemianki w ubraniu. To był już koszmar.

Nadeszło Boże Narodzenie, pierwsze tak uroczyste święto spędzone w niewoli, a z nim razem ponowny nawrót smutnych refleksji. Znowu zaczęły trapić nas wszystkich myśli o rodzinach, o bliskich i o naszym parszywym losie. Nasiliło się poczucie bezsilności i krzywdy oraz gniew i nienawiść do naszych prześladowców. Na domiar nie dość, że nie było ani świątecznej choinki ani opłatka, to jeszcze skromna próba śpiewania kolęd została przerwana i zakazana ostrym rykiem sierżanta.

Tego rodzaju rozmyślania były jednak krótkie i sporadyczne ponieważ cały nasz wysiłek koncentrował się na przyziemnym, codziennym przetrwaniu. Walka z głodem i zimnem oraz własną słabością pochłaniała każdą myśl i każde działanie. Nie było miejsca na jałowe rozczulanie się nad własnym losem, kiedy zagrożone było zdrowie i życie.

Pierwsze zimowe miesiące 1945 roku były szczególnie trudne. Mróz dochodzący do minus 30-40 stopni powodował liczne bolesne odmrożenia, przede wszystkim nóg i rąk. Zwłaszcza nogi ze względu na często dziurawe i wiecznie wilgotne obuwie narażone były na działanie mrozu. Powstałe pęcherze wypełnione krwawym płynem po pęknięciu tworzyły jątrzące rany, które nie tylko sprawiały ogromny ból ale też nie chciały się goić.

W tym okresie zaatakowała nas też fala groźnych i niebezpiecznych dla życia chorób. Najpoważniejszą była choroba głodowa czyli dystrofia. Niedożywienie, brak witamin i białka powodował najpierw szkorbut charakteryzujący się wypadaniem zębów i różnego rodzaju owrzodzeniami dziąseł, nóg, szyi i pleców oraz powodujący ogólne zmęczenie i bóle stawów. Potem przychodziły objawy dystrofii – ociężałość, wzmożona apatia i senność. Obniżała się waga ciała, a na twarzy występowały obrzęki (tzw. puchlina głodowa). W końcowym stadium pojawiała się śpiączka i wtedy już tylko śmierć była błogosławioną wybawicielką.

Choroba głodowa była typowa dla obozów koncentracyjnych i gułagów oraz w czasie klęsk głodu. Dlatego jej ojczyzną był Związek Sowiecki.

Drugą groźną chorobą związaną z głodem była dyzenteria. Osłabienie i odwodnienie organizmów przy byle czym powodowały poważne biegunki, które wyczerpywały resztki sił. Powstałe przy tym odruchy wymiotne nie pozwalały jeść nawet tych minimalnych porcji jedzenia, jakie dostawaliśmy. Zaawansowana dystrofia i dyzenteria zbierały najokrutniejsze żniwo śmierci.

Na terenie obozu znajdował się punkt sanitarny, czyli tzw. „san-cząść", z której wielokrotnie przyszło mi korzystać. Był to również prymitywny, nieduży ziemlanko-barak. Dla ciężej chorych, czyli „dochodziagów", wydzielono tam osobne pomieszczenie. Także osobny szałas usytuowany na skraju obozu przeznaczony był dla zakaźnie chorych. Wokół tej izolatki już z daleka unosił się nieprzyjemny zapach dziegciu, którego używano jako środka odkażającego do smarowania przebywających tam w większości chorych na świerzb.

W „san-czaści" nie było żadnej opieki lekarskiej, chorych nikt nie doglądał, a nawet porcje żywnościowe dla „balnych" były mniejsze. Tu rządził i decydował o wszystkim przyuczony felczer, a opieka zdrowotna ograniczała się jedynie do zmierzenia gorączki i ewentualnego otrzymania zwolnienia z robót. Sporadycznie dostawało się jakąś maść czy jakąś miksturę do wypicia. Najczęściej stosowana była tzw. „mergancowka", uniwersalny środek na wszystko – podobno była to jodyna lub nadmanganian potasu.

Ze zwolnieniem z wymarszu na roboty nie było łatwo. O tym decydowała tylko wysoka gorączka, wszelkie inne dolegliwości nie były w ogóle brane pod uwagę.

Lekarze bywali u nas bardzo rzadko, raz na tydzień lub dwa tygodnie. Ich rola ograniczała się głównie do kontroli samego punktu sanitarnego. Oni też wydawali decyzję wysyłania najciężej chorych do pobliskiego szpitala w Jegoriewsku.

Jak już wspomniałem, w zimowe miesiące dokuczało nam ciągle przeraźliwe zimno. W lesie w czasie pracy musieliśmy palić ogniska dla ogrzania się. Ogień był nieocenionym skarbem, życiodajnym żywiołem niezbędnym do przetrwania w warunkach, kiedy mróz wgryzał się w ciało jak wściekły pies, a wiatr przenikał przez skórę kłując tysiącem igieł.

Ośnieżony i skuty lodem las w jego niemal śmiertelnym bezruchu i milczeniu tworzył pełną grozy scenerię. Mocujący się z potężną naturą człowiek czuł się mały i jeszcze bardziej bezbronny. Dochodzące czasem smętne poszumy wiatru sprawiały wrażenie jakby te sosny płakały nad naszą niedolą. –

„Zaszumiał ciemny, głęboki las,
Żałość się po nim niesie,
Nieznany smutek, ogromny żal
Zaszumiał w ciemnym lesie..."

Ale nie tylko w lesie mróz dawał się tak we znaki. Marzliśmy również, zwłaszcza nocami, w ziemiance. W mroźne i wietrzne noce, kiedy nie można było z zimna zasnąć, przed wejściem do ziemianki też paliliśmy ogniska. Niekiedy płonęły one całą noc. Każdy mógł wtedy wyjść na zewnątrz i dogrzewać się jak długo chciał. Byli tacy co całą noc potrafili siedzieć przy ogniu.

Sam także korzystałem z tego dobrodziejstwa. Była to jakaś niewypowiedziana rozkosz, kiedy przemarznięte ciało napełniało się cudownym ciepłem. Przygasające i jaśniejące na przemian płomienie działały uspokajająco, a roziskrzone gwiazdami niebo dopełniało jakiejś nieziemskiej szczęśliwości.

Kiedyś, gdy dogrzewałem tak zdrętwiałe z zimna nogi i ręce, zbytnio zbliżyłem się do ogniska. Nie zauważyłem wtedy, że jedna z „obmotek", którymi owijaliśmy nogi, zajęła się od ognia tląc się i żarząc z lekka. W ziemiance nad ranem obudził mnie piekący ból w kostce i smród palącej się bawełny. Dotkliwe i bolesne oparzenie zaogniło się i nie chciało się goić. Kiedy przybrało postać jednej krwawej rany, dostałem na pewien czas zwolnienie z pracy w lesie.

Z ogniskiem związana była jeszcze jedna moja przykra przygoda. W celu uprzątnięcia gałęzi pozostałych po ścięciu drzew palono je w ogromnych ogniskach. W któryś ponury, wilgotny dzień olbrzymia sterta gałęzi nie chciała się w żaden sposób palić. Kiedy wypalił się cały środek u dołu, a reszta mokra i wilgotna pozostała nietknięta, wdrapałem się na samą górę sterty, żeby własnym ciężarem przygnieść gałęzie by rozpaliły się od gorącego żaru na dole. Wtedy nagle wpadłem do środka. Na szczęście wydobyty szybko przez kolegów wyszedłem z tego ambarasu tylko z poparzonymi lekko rękami.

Pisząc o naszych zimowych mękach i torturach, nie sposób nie wspomnieć o jakże przyziemnej sprawie, a mianowicie o potrzebach fizjologicznych. W tej dziedzinie, jak chyba zresztą w każdej, sowiecki system osiągnął wyjątkowe dno graniczące z istną farsą.

Ubikacje, czyli „ubornoje" były szczytem techniki i higieny. Był to olbrzymi dół kloaczny na otwartym powietrzu o wymiarach około 6 x 3 m i głębokości ponad 2 metry. W poprzek dołu przerzucone były pomosty z podwójnych, okorowanych i śliskich okrągłych belek. Jak się można domyślić, trzeba było nie lada umiejętności ekwilibrystycznych aby

w tych warunkach, przy załatwianiu się utrzymać równowagę. W zimie był to prawdziwy horror, gdyż belki były oblodzone zamarzniętym moczem, a często jeszcze przysypane śniegiem. O ile wiem było wiele wypadków wpadnięcia do dołu a nawet utonięcia. Te koszmarne warunki pogarszał jeszcze fatalny stan naszych nerek i pęcherzy.

Chcąc ograniczyć choć trochę korzystanie z tego niebezpiecznego urządzenia doszło w batalionie do wręcz nieprzyzwoitej, ale zarazem i komicznej sytuacji. Regulamin obozu przewidywał, że zaraz po wieczornym capstrzyku, sprawdzeni i policzeni szliśmy do ziemianek, których od tej chwili nie wolno było opuszczać w ubraniu. To obostrzenie i lęk prze kloaką zrodziło pomysł wysiusiania się przed nocą w czasie uroczystego capstrzyku. Wymagało to pewnej zręczności, aby nie zdradzić się zbyt głośnym szumem oddawanego płynu. Były na to różne zmyślne metody, o których już nie wspomnę.

Przypominam sobie, że już w Kałudze stosowaliśmy podobne metody. Tam najlepiej i najbezpieczniej było to robić w czasie grania hymnu radzieckiego przez batalionową orkiestrę.

Trudno uwierzyć, ale jeszcze parę lat po powrocie do Warszawy, na dźwięk tego hymnu czułem nieodpartą chęć, proszę mi wybaczyć, wysikania się. Oprócz komizmu takiego odruchu i skojarzenia, była w tym też jakaś głęboka symbolika.

W lesie, w tym optymalnym procederze była jednak jedna luka. W mroźne dnie na placu apelowym zamarzający mocz tworzył lodową ślizgawkę w wyraźnie żółtym kolorze, co oczywiście nasi dowódcy szybko spostrzegli i domyślili się wszystkiego. Mimo zwiększenia kontroli i dozoru, zawsze jednak jakoś potrafiliśmy postawić na swoim.

Drugim podobnym wyczynem było nocne oddawanie moczu na dworze, zaraz po wyjściu z ziemianki. Robiono to by zaoszczędzić sobie dalekiej wyprawy do „ubornej" na mrozie i wietrze. Ponieważ do wyjścia prowadziła z terenu dość stroma pochylnia, wkrótce zrobiła się z niej prawdziwa lodowa zjeżdżalnia.

W naszym plutonie wszystko było dobrze do czasu, kiedy dowódca na tym lodzie się pośliznął i lekko poturbował. Surowe zakazy i kary nie na wiele się jednak zdały. Każda taka akcja powodowała powstawanie nowych pomysłów i nową kontrakcję.

Jak już pisałem, najgorszą rzeczą naszej obozowej wegetacji było ustawiczne, dręczące aż do bólu uczucie głodu. Było ono niezależnie od pory roku powodem najgroźniejszych chorób i największej ilości zejść śmiertelnych.

Ono to dokuczało i absorbowało najbardziej. W dzień i w nocy trudno było myśleć czy rozmawiać o czymkolwiek innym, niż tylko o jedzeniu. Głód, określany niekiedy jako jeden z potworów strzegących piekła, nie pozwalał zasnąć i wywoływał męczące sny.

Nasze młode, rozwijające się wciąż organizmy jeszcze silniej i dotkliwiej odczuwały te tortury. Nikt, kto nie doświadczył sam na sobie permanentnego głodu, nie potrafi pojąć tego potwornego uczucia.

W naszym dziennym wyżywieniu najcenniejszy był chleb i posiłek obiadowy składający się przeważnie z łyżki prosa i cienkiej wodnistej zupki z kapusty. Co to była za zupa, świetnie oddawała to rosyjska nazwa kapuśniaku – „szczy".

Największym skarbem i niemal świętością był chleb. Jadło się go z namaszczeniem jak komunię świętą. I choć 600 gramowa dzienna porcja bardziej podobna była do wilgotnej gliny dawała jednak szanse przeżycia. Chleb przechowywany był przeto i strzeżony jak relikwia. Jakże prawdziwie głęboko brzmiały nam wówczas słowa modlitwy :

„Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj ..."

Przydział chleba otrzymywaliśmy raz dziennie, a jego rozdzielanie w ziemiance przybierało formę podniosłego ceremoniału. Najpierw wyznaczony „chleborez" dzielił bochenki bardzo dokładnie na możliwie równe porcje, potem odbywało się losowanie aby nikt nie miał pretensji, że dostał mniejszy kawałek. Kiedy rozdzielający wskazywał kolejne porcje chleba i pytał : komu? - odwrócony doń tyłem chłopak wyznaczał na chybił trafił poszczególnych kolegów.

Identyczne losowanie urządzaliśmy przy rozdziale porcji obiadowych. Chodziło tu przede wszystkim o większy lub mniejszy pływający w tzw. zupie, kawałeczek ziemniaka.

Uświadamianie naszym ciemięzcom powszechnie znanego faktu, że jesteśmy ciągle bardzo głodni miało miejsce w dość humorystycznych warunkach, w czasie porannego i wieczornego apelu. Gdy wyczytywano nasze nazwiska, każdy z nas musiał potwierdzić swą obecność. Zamiast jednak głośnego i miękkiego rosyjskiego „jest'" (jestem) wrzeszczeliśmy na całe gardło : „jeść !"

Jedynym rekwizytem świadczącym o tym, że w ogóle coś jemy była łyżka, i to nie jakaś tam prosta, drewniana „łożka", ale aluminiowa, godna sowieckiego sołdata.

Nóż i widelec należał do przeżytków burżuazyjnych. Łyżka była cenna i trzeba było jej pilnować bo chętnych do kradzieży nie brakowało. Najczęściej nosiło się ją więc przy sobie na nodze, zatkniętą za owijacze. Łyżki się nie myło tylko nacierało się ziemią i wycierało o spodnie; nie tylko była czysta, ale i pięknie błyszczała.

Gorzej było z naczyniami. Tu geniusz sołdacki musiał wznieść się na najwyższy poziom. Jak wiadomo, pomoc amerykańska dla Rosji Sowieckiej oprócz wszelkiego rodzaju uzbrojenia i sprzętu technicznego dostarczała coś o wiele bardziej potrzebnego i uniwersalnego. To coś pozwalało nie tylko przeżyć, ale i stworzyło nowy rodzaj cywilizacji obozowej. Były to słynne puszki z konserwą wieprzową, tzw. „świnnaja tuszonka", obiekt marzeń zarówno naszej wygłodzonej, niewolniczej gromady, jak i sowieckich strażników oraz sierżantów.

Zdumiewającym jest to, że prawdziwym błogosławieństwem oprócz ich zawartości były same puszki wykonane z pięknej błyszczącej blachy, złote od zewnątrz a srebrne od środka.

Jako, że potrzeba jest matką wynalazków, z tej cudownej blachy niestrudzone i zręczne ręce „bajcow" wyrabiały prawdziwe skarby. W pierwszym rzędzie były to lśniące miski do jedzenia oraz cała gama naczyń kuchennych, jak garnki, kotły, kociołki, manierki, kubki i Bóg jeden wie co jeszcze. Bez tego trudno było sobie wyobrazić jakiekolwiek żywienie.

Ale na tym nie koniec zastosowania tego cudownego materiału. Sam, jako znany „pisatiel" obozowy, wielokrotnie wykonywałem różne napisy i hasła państwowotwórcze z tej właśnie złotej blaszki, wycinając poszczególne litery i umiejętnie ścierając z niej czarny druk. Napisy zawsze umieszczane były na czerwonym płótnie, którego nigdy nie mogło zabraknąć.

Byłem również specjalistą od wykonywania z tego złota pięcioramiennych wypukłych gwiazdek oraz belek dla elitarnej kadry oficerskiej i podoficerskiej Armii Czerwonej. Wyroby te były o tyle trudne do wykonania, że brak było odpowiednich narzędzi. W kraju, gdzie młot widniał na godle państwowym, młotka nie było nawet w najprymitywniejszej postaci.

Z tego co pamiętam muszę też dodać, że „świnnotuszonkowy" był również olbrzymi bęben naszej obozowej orkiestry oraz prawie wszystkie lampki olejowe w ziemiankach.

Tak więc można powiedzieć, że dla badaczy dziejów kultury, obok epoki brązu czy żelaza, obok kultury wypalanych naczyń, dołączyła kultura „świńskiej puszki". Teza ta tym bardziej wydaje się uzasadniona, że o ile mi wiadomo, tego rodzaju produkcja miała miejsce w całym wielkim Imperium.

Wracając do przerwanego tematu „żarcia", chciałbym opowiedzieć o naszych przygodach z kuchnią batalionową. Znajdowała się ona w oddzielnym baraku na uboczu, gdzie łatwiej ją było dozorować, jako że był to obiekt marzeń naszych pustych i wygłodniałych żołądków. Największym szczęściem, jakim dobry los mógł nas obdarzyć było dostanie się na dyżur do tego wyśnionego raju.

Codziennie bowiem kilkuosobową grupę szczęśliwców delegowano do pomocy w kuchni. Gratka polegała na tym, że raz na parę miesięcy można się było najeść i zapomnieć na chwilę o głodzie. Każdy dyżurny dostawał podwójną porcję zupy najtłuściejszej i najgęstszej oraz podwojoną ilość kaszy, również suto okraszonej. Oprócz tego oficjalnego przydziału, każdy taki dyżurny „homo sapiens" zawsze coś dodatkowo wykombinował, podwędził, schował za pazuchę, czy nawet wyżebrał u kucharzy.

Nasz instynkt samozachowawczy kazał najadać się na zapas i tu niestety zawodził zdrowy rozsądek. Wygłodzone żołądki po tak nagłym i obfitym napełnieniu dostawały po prostu rozstroju. W rezultacie nękani potem biegunką, a często i wymiotami przez wiele dni nie mogliśmy wziąć do ust nawet tych naszych głodowych, codziennych posiłków.

Tak właśnie było ze mną po niezapomnianym jednym z dwóch moich dyżurów kuchennych. Byłem przydzielony do bardzo prozaicznych prac. Już nie nawet jako pomocnik kuchcika, ale pomocnik, któregoś tam z kolei pomocnika. Przypadło mi obierać ziemniaki i wynosić obierki wraz z innymi odpadami na specjalne wysypisko. Ponadto miałem zmywać i skrobać podłogi.

Obieranie „kartoszki" nie było wcale rzeczą prostą. Co chwila sprawdzano czy moje obierki są dostatecznie cienkie. Sprawdzali to nasi chłopcy kontrolerzy, ponieważ kucharzom na tym nie zależało, oni zawsze mieli co jeść.

Przy sposobności trzeba dodać, że kucharze byli na ogół w dobrej komitywie z lejtnantami i sierżantami, niestety często pomagając im kraść konserwy przeznaczone dla batalionu. Okradano nas tak niemiłosiernie, że na kilkanaście puszek dziennego przydziału na 800 osób potrafiła zniknąć czasem połowa.

Wracając do mojego dyżuru pamiętam, że wynosząc odpadki udało mi się przemycić kilka kartofli i ukryć je na kuchennym śmietniku. Potem, po skończonym dyżurze trzeba było je odnaleźć i niepostrzeżenie przenieść w inne, mniej strzeżone i bezpieczniejsze miejsce. Żywnościowych zdobyczy nie można było trzymać w ziemiance ze względu na częste rewizje.

Mówi się często, że głód i bieda są złym doradcą. Skrajnie wygłodzeni próbowaliśmy różnych sposobów na zatkanie żołądka byle czym. Częste były potajemne, dalekie nocne wyprawy na kołchoźne pola kapusty czy ziemniaków. Wychodziło się z ziemianek pod pozorem wyższej konieczności. Trzeba było zachowywać się bardzo ostrożnie, czołgając się niekiedy po ziemi bezszelestnie, gdyż pola były silnie strzeżone przez kołchoźników. Również trzeba było uważać na własne obozowe straże. Zdarzały się poważne postrzelenia nieostrożnych amatorów kołchozowej własności.

Zdobytą kapustę przeważnie jadło się na surowo na miejscu. Ziemniaki gotowało się później na leśnym odcinku pracy, tak aby nie zauważyli tego sierżanci. Trudności były z solą, ale sól to już był luksus.

Kiedyś udało nam się złapać w lesie jeża. Koledzy cieszyli się twierdząc, że po ugotowaniu będzie smakowity. Nie bardzo w to wierzyłem, ale głód zmusił mnie do skosztowania tego biednego zwierzaka. Szybko jednak, już po pierwszych kęsach smak jego wydał mi się tak obrzydliwy, ze omal nie zwymiotowałem i z żalem musiałem zaprzestać tej uczty.

Okazuje się, że człowiek nawet tak niebywale wygłodzony pewnych potraw nie może zjeść. Wrażenia smakowo węchowe są bardzo skomplikowane. Niezależnie od tego, że rodzimy się już z pewnymi dyspozycjami w tym zakresie, nie posiadają one charakteru obiektywnego, a często decydującą rolę odgrywa tu czynnik psychiczny. Być może, gdybym nie wiedział, że to jeż, mógłbym to mięso przełknąć. Przypominają się podobne problemy w japońskich obozach jenieckich, gdzie Anglicy z głodu jedli szczury, ale większość tylko wtedy, gdy o tym nie wiedziała.

Tymczasem, gdy minęła zima i zdawało się, że będzie teraz lżej, nadszedł najgorszy i najcięższy okres naszej leśnej niedoli. Okazało się, że dla nas „Paliaczków" sam wyrąb lasu nie był już dostateczną karą. Do sporadycznego, dziennego ładowania wagonów drewnem, o którym dotąd zapomniałem nadmienić, doszło dodatkowe, nocne.

Nie dość, że w ostatnich miesiącach systematycznie opuszczały nas siły i trapiły choroby, to po normalnym dniu pracy, kiedy wyczerpani i zmęczeni zwalaliśmy się na twarde prycze, w środku nocy zarządzano nagły „padiom". Półprzytomni, niewyspani w zupełnych ciemnościach szliśmy kilka kilometrów przez las ku torom kolejowym. Tam czekały już podstawione wagony do załadowania drewnem.

Wmawiano nam jakieś bzdury jakoby drewno to przeznaczone było dla Warszawy, żeby stołeczne tramwaje mogły jeździć. W istocie wiedzieliśmy, że swoją niewolniczą pracą zaopatrujemy Moskwę.

Z miejsca było wiadomo, że moja kondycja fizyczna nie poradzi sobie z tak ogromnym wysiłkiem. Ciężkie, dwumetrowe, świeże i namoknięte bale sosnowe wgniatały się w ramiona bezlitośnie i wydawały się jakby były z ołowiu. Kiedy nie mogąc unieść grubszych kloców, zacząłem nosić cieńsze, natychmiast to zauważono. Obstawa usiłowała mnie zmusić do wysiłku, jak zawsze najpierw przekleństwami, a potem siłą i groźbą pistoletem za nie wykonanie rozkazu.

Ilekroć jednak z pomocą kolegów kładziono na moje barki większy kawałek, załamywałem się pod jego ciężarem. Tylko szczęściu mogłem zawdzięczać, że upadający kloc poza stłuczeniami i otarciem skóry nie zmiażdżył mi nóg czy kręgosłupa. W tych wysiłkach daremnie próbowali mi pomagać koledzy.

O pracy przy ładowaniu wagonów krążył wśród nas taki oto anonimowy wierszyk :

Gwizdnął parowóz, zmącił nocną ciszę,
„Dniewalny" budzi kolegów znużonych.
Jedni udają, że niby nie słyszą,
Inni klną los swój – wstając na wagony.

Wychodzą na dwór – noc, hula śnieżyca,
Wiatr jęczy, skrada się w ubrania dziury.
Br...! Zimno straszne, mróz już szczypie lica
A księżyc drwiąco śmieje się zza chmury.

Poszli czwórkami. Sieredniaki widnieją,
Cień semaforu, budka i zwrotnice.
Rzędy wagonów, ogniska goreją –
Wysokie sztable drzew obok bocznicy.

Wzięli się chłopcy do załadowania,
Jeden w wagonie, trzech drzewo donosi.
Praca nie lekka, lecz na nic szemrania.
Od przemęczenia pot czoła im zrosił.

Kończą. Na górę tylko cienkich kilka.
Praca skończona i drzwi zasuwają.
Przy ogniu stają – odejdą na chwilę,
Trzeba „zadymić" – na kłody siadają.

Odchodzą z pracy zmęczeni o świcie,
Nędzę i wyzysk cicho przeklinając.
Tak, tutaj człowiek pozna wartość życia
Las ten piłując i drzewo składając...

Jako że już znacznie wcześniej nadzorcy wiedzieli o moim nieudacznictwie i nieprzydatności do tego rodzaju prac oraz nieskuteczności wszelkich sankcji, zaczęto mnie zatrudniać przy lżejszych robotach.

Tym razem miałem pomagać w załadowywaniu ciężarówek drewnem, prosto ze „sztabli" w lesie. Było to o tyle łatwiejsze, że samochody, które podwoziły drewno do wagonów miały jakieś prymitywne łańcuchowe urządzenia załadowcze. Ciężarówki, „ziły" i „zisy" były zdezelowanymi, staroświeckimi i rozpadającymi się gratami i do dziś dnia nie mogę się nadziwić, na jakiej zasadzie one w ogóle się poruszały ? Największym zaskoczeniem było paliwo. Był to mianowicie gaz otrzymywany z kostek drewnianych spalanych w specjalnie zainstalowanym kociołku. Wozy te nie miały chyba też żadnych resorów. Być może ze względu na okropny stan dróg, jeśli w ogóle można te rozpaciane, rozryte i pełne wyrw i dołów szlaki, nazwać drogami.

Pamiętam jaki kontrast stanowiły przy tych gazikach pierwsze amerykańskie „studebakery", które pojawiły się w lesie latem. Były to duże, nowoczesne, wspaniałe ciężarówki o kilkakrotnie większym tonażu. Jak się potem dowiedzieliśmy, uważano je wtedy za najlepsze pojazdy wojskowe. Zaopatrywały one armię sowiecką w wyjątkowo trudnych warunkach terenowych, służyły też doskonale jako ciągniki wszelkiego rodzaju dział i innego sprzętu.

Zrozumiałe było, że trud, głód i coraz większe wyczerpanie zmuszało nas pracujących do szukania różnego rodzaju ułatwień. Najbardziej powszechne i najchętniej stosowane były drobne oszustwa. Nie był to wcale nasz jakiś specjalny wynalazek. Cała armia sowiecka i cały tutejszy system oparty był na oszustwie i kłamstwie. Mały sabotaż powodujący zmniejszenie wydajności pracy stosowały miliony niewolników zatrudnionych w Związku Sowieckim.

Trzeba tu dodać, że w tym świecie nieprawości, oprócz powszechnego łgarstwa, oszustwo i perfidia posuwała się do niewiarygodnego stopnia. Tutaj trzeba się było przyzwyczaić, że rzeczywistość często wyprzedzała wyobraźnię.

Obozowa ciężka praca wytworzyła swoistą szkołę przetrwania. Każda akcja wroga była w jakiś zakamuflowany sposób kontrowana. Trzeba było choć trochę zastąpić wysiłek fizyczny umysłowym. W tej walce o życie szare komórki, których nam jeszcze nie zdołano odebrać, nieustannie pracowały.

Przy ładowaniu wagonów stosowaliśmy chytre, nie do wykrycia wewnętrzne puste przestrzenie, tzw. „studnie". Pozwalało to na wcześniejsze ukończenie „zagruzki". Z tych pustych dziur korzystali też niektórzy amatorzy ucieczek, w ten sposób próbując odzyskać wolność. Po pewnym czasie odkryto te braki drewna w wagonach i zaostrzono kontrolę. Ale i nasze metody ulegały ciągłemu udoskonalaniu.

Również w lesie przy układaniu pociętych bali w stosy używaliśmy wymyślnych metod. Dla zwiększenia objętości stosu najpierw należało odciąć gałęzie w pewnym większym odstępie od pnia, a następnie kunsztownie ułożyć na tych sterczących końcach wystające gałęzie kolejnej kłody. Tak skonstruowany „sztabel" był mocno pustawy w środku. Oczywiście widoczne ścianki zewnętrzne były układane szczelnie. Największy kłopot był z czołem stosu, gdzie trzeba było dziury zatykać osobnymi cienkimi krążkami drewna.

Nie wiem czy nasi sierżanci odkryli to oszukaństwo, w każdym razie nie mieliśmy z tego tytułu większych nieprzyjemności. Wiadomo było natomiast, że odkrywały to czasem „dziewuszki" odbierające od wojska dostawy drewna w lesie lub na placu załadowczym i wtedy były awantury.

Pamiętam, jak kiedyś „młądszyj sierżant" Zajac, chłop jak dąb przyszedł wesoły i rozśpiewany na nasz „uczastek". „Kak rebiata ?" zapytał i uderzywszy w sąg noszonym zawsze w ręce kijkiem, jednym susem wskoczył nań. Jak było do przewidzenia, zmyślnie ułożone drewno załamało się pod nim. Zamarliśmy ze strachu, że wszystko się wydało, ale sierżant wygramolił się szybko i zakląwszy siarczyście nakazał tylko natychmiast poprawić sąg.

Przy okazji przypomina mi się opowieść mego ojca, który wraz z innymi więźniami tłukł kamienie w obozie pracy, w Saratowie. Tam też stosowano podobne metody przy wyrabianiu dziennej normy. Kilka dużych kamieni przykrywano z wierzchu cienką warstwą tłucznia i w ten sposób uzyskiwano jakby większą objętość obrobionego kamienia.

W naszej pracy podobnych pomysłów było wiele. Było przestawianie sągów na inne miejsce i zaliczanie ich jako nowych. Były drobne przekupstwa strażników, którzy dla własnej korzyści gotowi byli iść na wszystko. Bywały też nawet z naszej strony próby szantażu i zastraszenia.

Taki właśnie incydent miał miejsce w naszym plutonie. Mieliśmy prymitywnego, bezwzględnego i złośliwego nadzorcę, niestety jednego z naszych kolegów – Mosiejkę. Z pochodzenia chyba Białorusin był typowym wyzwoleńcem z epoki niewolniczej, okrutnym, skorumpowanym zwyrodnialcem. Pełnił funkcję „pomkomzwoda" czyli pomocnika dowódcy plutonu, z którym mieszkał w naszej ziemiance w osobno wydzielonym pomieszczeniu.

Okradany systematycznie ze wszystkiego, poniewierany, poniżany, bity i ciągle karany pod byle jakim pozorem, doprowadzony do ostateczności pluton postanowił zastraszyć go i zemścić się.

Wymyślono równie okrutną co perwersyjną zemstę. Po powrocie z bimbrowej libacji, nocą we śnie założono mu potężną, ciężką kłódkę i zamknięto na genitaliach. Sprawa stała się głośna i przez dłuższy czas bawił się nią cały batalion. Były dochodzenia, kary i dodatkowe

marsze nocne, ale nikt nikogo nie wydał, a klucz zaginął bezpowrotnie tak, że musiał ingerować kowal.

Chcę zaznaczyć, że nasi sierżanci bardzo często wymykali się na popijanie do wsi. Szeroko zakorzeniony alkoholizm w Rosji miał bogate tradycje. Jak gdzieś wyczytałem, już Włodzimierz Wielki, władca Rusi Kijowskiej, chcąc zerwać z pogaństwem, wahał się, jaką by tu dla Rusi zafundować religię. Pociągał go islam, ale zakaz picia gorzałki był na Rusi nie do przyjęcia, bo na ruskiej ziemi bez wódki nie da się żyć. Wybrał więc chrześcijańskie prawosławie.

W Rosji powszechne picie wódki, w każdym miejscu i o każdej porze, do dziś przybiera niespotykane rozmiary. Do dziś jest też rodzajem ucieczki narodu od trudnej rzeczywistości, jest też wynikiem upadku moralnego i umysłowej degeneracji.

Jeżeli chodzi o mnie, to na skutek fatalnej, wspomnianej już rany nogi oraz ogólnych słabowitych wyników przy leśnych pracach, zaczęto mnie zatrudniać jako niemal etatowego dyżurnego, czyli „dniewalnego".

Była to wspaniała funkcja. Trzeba było posprzątać, zamieść, doglądać piecyka i pilnować ziemianki przed nieproszonymi gośćmi. Wiązało się to jednak z pewną niedogodnością. Ubrania nasze były w opłakanym stanie, niemal w strzępach, ponadto brakowało butów, owijaczy i czapek. W tej sytuacji, z tych co pozostawali w obozie, ściągano co lepsze części garderoby i oddawano wyruszającym do pracy w lesie.

Najważniejsze jednak było to, że nowe zajęcie pozwalało na wygospodarowanie sporej ilości wolnego czasu. Oprócz robienia różnego rodzaju notatek i prób poznania lepiej języka rosyjskiego, zacząłem się bawić w wyrabianie różnych blaszanych i aluminiowych grawerskich drobiazgów. Przeważnie były to ryngrafy, polskie orzełki i bogato zdobione sygnety. Przedmioty te wykonywałem z blachy i rurek aluminiowych, które przynosili chłopcy podobno gdzieś z zestrzelonego w pobliżu samolotu niemieckiego. Praca była żmudna i wymagała wiele cierpliwości zwłaszcza, że z braku odpowiednich narzędzi trzeba je było samemu sobie sporządzać. Tak na przykład, za rylec służyła prymitywna igła osadzona w kawałku drewna.

Na ryngrafach zawsze była Matka Boska Ostrobramska i Orzeł Polski. Zdobiły je też napisy czy monogramy, najczęściej litery AK. Jeden taki ryngraf przez pewien czas wisiał nad moim miejscem na pryczy, ale go skradziono. Jeden natomiast zdołałem szczęśliwie zachować i przemycić do Polski.

Dzisiaj, gdy spoglądam na tę drogą sercu pamiątkę, razi mnie strasznie naiwny prymitywizm, niewyszukana i banalna forma oraz nieudolne wykonanie. Nie wiem, jak to było możliwe, że wtedy tego rodzaju wyroby pseudoartystyczne podobały się i wzruszały, a nawet czasem budziły niekłamany zachwyt.

Jak wiadomo taka twórczość była powszechna we wszystkich więzieniach i obozach i to nie tylko na wschodzie. Więźniowie w formie mniej lub bardziej artystycznej próbowali przekazać swój ból, samotność, czy też umiłowanie kraju i głęboką wiarę w Boga.

Ale była również inna twórczość, albo raczej działalność bardziej użytkowa i bardziej praktyczna. Co bardziej obrotni i utalentowani więźniowie dla zdobycia odrobiny żywności, czy paru rubli wyrabiali różne chodliwe towary i przedmioty. Wiem, że byli „producenci" machorki robionej z jakiś suszonych liści, czy też fajek i musztuków struganych z drewna.

Ojciec opisuje, jak sam w obozie wyrabiał karty do gry i uczestniczył w odlewie łyżek aluminiowych w formach własnej konstrukcji.

Potrzeba i głód wyzwalają pomysłowość i inicjatywę. Wiele z tych rzeczy było przedmiotem handlu nie tylko na terenie samego obozu, ale i z miejscowymi mieszkańcami.

Kontakty z ludnością mieliśmy raczej sporadyczne. Sądzę, że nadzorcy starali się pilnować by do takich spotkań nie dochodziło. Usiłowano zapewne w ten sposób ukryć przed nami okropną biedę i zacofanie sowieckiej wsi. Niemniej, to co widziałem i to co miałem okazję usłyszeć przeszło najśmielsze oczekiwania potwierdzając, że Rosja Sowiecka jest krajem pod każdym względem nieobliczalnym.

Przede wszystkim rzucała się w oczy rozpaczliwa nędza zwykłych prostych ludzi. Na wsi pozostali tylko „staryki", „babuszki" i dzieci, czasem spotykało się jeszcze młodsze kobiety, reszta poszła do wojska albo do obozów pracy.

Rozmawialiśmy kilka razy z tymi sympatycznymi babciami, które z prawdziwym bólem, szczerością i jakąś poddańczą dobrocią mówiły o biedzie, głodzie, braku towarów i braku sił do pracy. Nie zapomnę, jak jedna stara, spracowana i zmęczona życiem kobiecina mówiła do nas : „Wot wy Paliaczki szczastliwyje, wy powierniotieś w rodinu, a my zdieś ostaniomsia i kak gołodowali, tak i budiem gołodować..."

Ci nieszczęśni ludzie musieli się przecież czasem zastanawiać nad tym, że jeżeli oni, jak im powiadają, żyją w raju, to jak musi wyglądać piekło w krajach zachodnich. Oni wiedzieli jednak, że tak jak u nich już gorzej być nie może.

W tym miejscu chciałbym wpleść pewną szerszą dygresję na temat tych naszych spotkań i późniejszych jeszcze kontaktów z tutejszym ludem. Zawsze próbowałem dociec i zastanawiałem się, jacy to są ludzie – ci Rosjanie.

Chyba jednym z ważniejszych czynników kształtujących sposób myślenia tego narodu jest jego ciężka i ponura historia. Wielowiekowa niewola mongolska, silne oddziaływanie kultur i obyczajów wschodu, jak również nagły przeskok ze średniowiecznego feudalizmu do socjalizmu, wytworzył bierność, służalczą cierpliwość, poddaństwo i senną bezczynność. Zaś ciemnota, bieda i zacofanie – bezwolną apatię oraz słowiańskie, odwieczne niechlujstwo i coś w rodzaju genetycznej zapyziałości.

Niewątpliwie ta duchowa, wewnętrzna próżnia i bierność narodu zachęcała władców do bezkarnej samowoli z równoczesną jej akceptacją. Jednocześnie dzikie i okrutne elementy mongolskie i azjatyckie przeniknęły głęboko do świadomości rosyjskiej. Wobec surowych i krwawych metod władców lud okazywał bierność, która jak płaszcz ochronny, miała go chronić przed zwyrodnieniem. Cisi i skromni, jak w tym rosyjskim powiedzeniu : „Tisze wady, niże trawy", byli pokorni, bojaźliwi i potulni. Myślę, że ci w gruncie rzeczy poczciwi ludzie nie byli tchórzami, byli tylko sterroryzowani.

Charakterystyczny dla Rosjan jest nawyk godzenia się z losem. Pochodzi on głównie z wielowiekowych represji i poniżeń oraz przekonania o beznadziejności walki z władzą. Zwłaszcza w okresie porewolucyjnym wróg wydawał się niedostępny, bezosobowy, z którym nie sposób było zwyciężyć.

Życie tak ciągle i dotkliwie chłoszcze ten nieszczęsny naród, że ten pozbierać się nie może. Cały dramat tego narodu oddają utarte, powszechne powiedzenia i zwroty, takie jak np. „Ot takaja żyźń", „A niech tam...", „Budziet czto budziet", „Naczalstwo łutsze znajet", czy „Prikaz eto prikaz". Te potoczne wyrażenia oddają charakter ludzi, ich poddanie się losowi i władzy, rezygnację i bierność.

Kwintesencję rosyjskiej filozofii życia ciekawie opisuje R. Kapuściński. Na dalekiej Syberii, zapytana kobiecina: „Kak żywiosz?", odpowiada krótko: „Dyszym...", jakby mimo ciężkich przeciwności życia, chciała się pochwalić, że jeszcze żyje. Jakież w tej odpowiedzi ukryta jest głęboka determinacja i cierpienie.

Człowiek radziecki, to człowiek śmiertelnie zmęczony, słaby i bezwolny. Naturalną tendencją takich ludzi jest ucieczka od wolności. Nienawykli do samodzielnych wyborów

tęsknią oni za silną władzą. Caryca Aleksandra Fiodorowna mawiała, że Rosjan należy trzymać krótko, bo to leży w ich naturze.

Po tej wstawce o mentalności ludu rosyjskiego chcę opisać jeszcze jedną ciekawostkę z tamtejszego wiejskiego świata.

Kiedy próbowaliśmy wymienić trochę przydziałowego mydła na jakąś wędlinę okazało się, że od wielu lat nie widziano tu takich rarytasów. Nie dziwiłby się temu ktoś, kto tak jak ja, zobaczyłby na własne oczy ruską świnię.

To był prawdziwy szok. Było to zwierzę z pogranicza baśniowej fantastyki, tak jakbym ujrzał przed sobą jakiś nie odkryty jeszcze przez człowieka gatunek ziemskiej fauny. Charakteryzował je bardzo długi, chudy tułów osadzony na cienkich, wysokich nogach i zakończony małą głową o szalenie wydłużonym ryjku. Całość w kolorze czarno-szarym. Dziwne, że tak egzotyczny zwierzak nie występuje dziś w ogrodach zoologicznych, bo byłaby to niezwykła sensacja.

Zresztą bydło sowieckie również miało urodę nader dziwną. Gdyby nie rogi, w tych wychudzonych stworzeniach trudno by rozpoznać poczciwą krowę. Widywaliśmy takie krowo-woły przy orce. Znamienne, że za pługiem zawsze szła kobieta. W tym osobliwym pejzażu szczytem zaskoczenia był widok „kriepkoj sawieckoj żeńszczyny" ciągnącej pług zamiast zwierzęcia.

Wracając do naszych obozowych utrapień, wyjątkowo dotkliwą plagą było wszelkiego rodzaju robactwo. Może najmniej dokuczliwe były wszy, gdyż przy pewnym stopniu czystości można się było pozbyć tego plugastwa. Jednak nigdy nie do końca, bo ta zaraza łatwo przemieszczała się z jednej ofiary na drugą. Za to walka ze wszawicą nabierała w Armii Czerwonej przesadnego, niemal heroicznego charakteru, a przy tym mało skutecznego.

Było w tym też dużo propagandy, pokazania bajcom jak to dowództwo dba o żołnierza. Nieustanna, robiona na pokaz „troska o człowieka", gdy w istocie był on ujarzmiony i wyzyskiwany do ostatnich granic, była typowa dla całego sowieckiego socjalizmu.

Pierwszym elementem tej troski było obcięcie nam włosów do gołej pały. Zarówno dla mnie, jak dla wielu z nas było to dodatkowe poniżenie i upokorzenie psychiczne. Był to jakiś akt odczłowieczenia przypominający, że jesteś więźniem, niewolnikiem i nie masz tu nic do gadania. Nie mówię już o stronie estetycznej takiego zabiegu. Po takim goleniu podobni byliśmy do jakiś zbirów czy zbójów. Mnie ponadto kojarzył się mój wygląd z wynędzniałym i wygłodniałym jak zwierzę jeńcem rosyjskim, czy też nieszczęsnym chorym umysłowo. Z taką łysą „mordą" można było się naprawdę znienawidzić.

Drugim zabiegiem higienicznym było odkażanie odzieży w prażarkach przy wysokiej temperaturze. Takiej sterylizacji i przypiekania żadna wesz nie miała prawa przetrwać. Gorzej jednak było z samą odzieżą, bo takie praktyki niszczyły ją i osłabiały jej wytrzymałość. Zwłaszcza narażone były niektóre elementy jak guziki czy części skórzane. To m.in. obok względów oszczędnościowych, pozwalało zrozumieć dlaczego krasnoarmiejcy nie nosili pasków skórzanych, tylko parciane. Autoklawizowana odzież miała dziwny i nieprzyjemny zapach, ani wcześniej, ani potem nie spotkałem podobnej woni.

Innym, na pozór niewinnym, a nawet poniekąd sympatycznym zwierzątkiem była pchła. Mówię na pozór, ponieważ chyba nikt nigdy nie spodziewałby się, że te niepozorne pchełki mogą być tak krwiożercze i występować w takich ilościach.

Zalęgły się w ziemiance i swoje ucztowanie zaczynały po „adboju", kiedy kładliśmy się do snu. Kąsały tak niemiłosiernie, że nie było mowy o zaśnięciu dopóki nad ranem nie ukończyły swej żarłocznej biesiady.

Brak snu był jeszcze jednym środkiem wyniszczającym nasze organizmy i naszą psychikę. Sen był bowiem sprzymierzeńcem uśmierzającym głód i pozwalającym oderwać się na krótko od ponurej rzeczywistości.

Z tą pchlą plagą związana była ciekawa acz niewesoła historia. Otóż, na podściółkę do spania na twardych „narach" używaliśmy przeważnie gałęzi z bogatym igliwiem. Ktoś wpadł na pomysł, aby użyć do tego celu znalezionej w dużej ilości bujnej paproci. Tak też zrobiliśmy rozkoszując się nowym, pachnącym i miękkim posłaniem. Niestety komfort ten trwał bardzo krótko bo okazało się, że chyba wszystkie pchły w całej okolicy zwęszyły tę zmianę i zadomowiły się masowo w świeżej paproci.

Skutek był taki, że po niespełna dwóch tygodniach trzeba było całą podściółkę wynieść i dokładnie spalić. Dotąd się zastanawiam, czy nie było to przypadkiem jakieś odkrycie naukowe w dziedzinie pchlej entomologii, że właśnie to środowisko pchliska tak bardzo sobie upodobały.

To wszystko jednak było niczym w porównaniu z pluskwami, słynnymi rosyjskimi „chłapami". Opisywane i opiewane nawet w literaturze opanowały one bez reszty cały „Sajuz". Stały się symbolem i nierozłącznym elementem ruskiej wegetacji.

Jak głosiła jedna z licznych na ten temat anegdot, pluskwy rosyjskie były święte niczym egipskie skarabeusze, nie wolno ich było zabijać, gdyż płynęła w nich robotnicza krew.

Nam jednak nie było do śmiechu. To był koszmar i prawdziwy horror. Czerwona armia, jak je nazywano od naszej wyssanej krwi, gryzła jak wściekła i atakowała zewsząd i o każdej porze z całą bezwzględnością. Wstrętne i odrażające pluskwiaki były prawdziwymi wampirami i krwiopijcami. Żadne środki nie pomagały by się ich pozbyć, nawet oblewanie całego pomieszczenia wrzącą wodą znosiły bez uszczerbku. Nie darmo znana jest niezwykła żywotność tego ohydnego robactwa.

Kiedyś, jako „dniewalnemu", polecono mi pilnowanie jednej z ziemianek opuszczonej z powodu strasznego zapluskwienia. To co tam zobaczyłem przechodziło wszelkie wyobrażenie. Na ścianach było już nie tysiące, ale chyba miliony pluskiew. Cała olbrzymie, niesamowite płaty ruszającej się brunatno-czerwonej masy.

Początkowo bałem się spać tam i noce spędzałem na dworze. Którejś nocy jednak zapragnąłem normalnego snu pod dachem. Celem zabezpieczenia się przed atakiem pluskiew zbudowałem z dala od ścian, na środku ziemianki, kilkumetrową konstrukcję, coś w rodzaju wysokiego katafalku, aby na jego szczycie przespać się choćby kilka godzin. Naiwne przekonanie, że w ten sposób piekielne robactwo tak łatwo się do mnie nie dostanie, szybko okazało się złudne. Nie doceniłem pluskwiej inteligencji. Te bestie bowiem momentalnie dostały się na sufit i poczęły spadać na mnie z góry niczym obfity deszcz. Nie pozostawało nic innego, jak ratowanie się ucieczką.

Ostatecznie doszło do tego, że takie ziemianki opanowane przez robactwo, a były tam na domiar jeszcze niebywałe ilości prusaków, musiano palić. Jak widać technika radziecka mimo olbrzymich osiągnięć naukowych nie zdołała znaleźć sposobu na tego rodzaju plagę.

Ale i tak mieliśmy szczęście, ponieważ w innych obozach dodatkową jeszcze klęską były miliony komarów, które nie tylko cięły i kłuły boleśnie pozostawiając swędzące zaczerwienienia, ale też roznosiły malarię. Z powodu braku chininy choroba ta w warunkach obozowych była bardzo niebezpieczna i prowadziła do licznych zgonów wśród więźniów.

Ojciec w swoich pamiętnikach podaje, że w obozach w Saratowie i Astrachaniu komary były gorsze od wszelkiego robactwa. W żartobliwym wierszyku pisał :

„Ach te komary, to rzecz nie do wiary,
że komar maleńki taki
tak może dać się we znaki..."

Pewną ciekawostką jest fakt, że żadne zwierzę na kuli ziemskiej nie zabiło tylu ludzi co komary, a liczba ich ofiar jest większa niż poległych we wszystkich wojnach.

Wspominałem już, że w całym systemie komunistycznym by przetrwać, by coś zdobyć, czy coś mieć – trzeba było kraść i oszukiwać. Wszelka nieuczciwość i zakłamanie były codziennością i umożliwiały minimum egzystencji. W armii, tak jak wszędzie, panowało przekonanie, że trudne warunki usprawiedliwiają każdą niegodziwość i że to jest normalne.

Zgodnie z tą zasadą my więźniowie, ale traktowani jako niby żołnierze, byliśmy zmuszani i zachęcani przez dowódców do oficjalnej kradzieży.

Przypominam sobie dwa takie wypadki charakterystyczne dla „niepabiedimoj krasnoj armii", która być może właśnie dzięki takiej postawie moralnej wygrała wojnę.

Jak już pisałem, ciągłym problemem była podściółka do spania. Któregoś dnia dowodzący nami sierżant oznajmił, że tej nocy 20-tu ludzi pójdzie z nim do kołchozu po słomę. Miałem okazję uczestniczyć w tej przezabawnej wyprawie, kiedy to sierżant nakazując bezwzględną ciszę prowadził nas ciemną nocą, niemal na paluszkach, w stronę słomianego eldorado. Po związaniu dużych snopów słomy paskami od spodni, tak samo po kryjomu przytargaliśmy je zgodnie z rozkazem do ziemianki. Jakże wszyscy cieszyliśmy się kładąc się tej nocy w świeże, pachnące i miękkie łoża.

Następnego dnia wybuchła wielka afera, gdyż kołchoźnicy odkryli brak słomy, a pozostawione przez nas słomiane ślady prowadziły prosto do obozu. Wśród Rosjan powstało spore zamieszanie i nagle dostaliśmy rozkaz wyniesienia słomy z ziemianki i natychmiastowego jej spalenia. Przykazano nam surowo ażebyśmy pamiętali, że nikt tu nigdy nie widział żadnej słomy. Wkrótce potem delegacja „dzieduszków i babuszek" kołchoźnianych mogła się naocznie przekonać, że myśmy ich słomy nie ukradli.

Druga podobna historyjka wydarzyła się już znacznie później, w momencie załadowywania nas do wagonów w drogę powrotną do kraju. Tak jak poprzednio, każdy pluton miał jechać w osobnym wagonie. Podstawione „karobki" nie różniły się niczym od tych do transportu drewna. Jako że znowu 50-ciu chłopa trudno było pomieścić w jednym takim wagoniku, ktoś wpadł na pomysł aby gwizdnąć z oddalonej o kilometr, chwilowo nieczynnej, budki kolejowej parę desek na zrobienie choćby prostych ławek.

Gdy nasz sierżant wyniuchał skąd są te deski, zanosiło się na porządną awanturę. Ale tu zaskoczenie było zupełne ! Nakazał on rozebranie po cichu całej budki, tak żeby tego nikt nie zauważył i żeby wszelki ślad po niej zaginął. Rozkaz został wykonany wzorowo, a ze zdobytych desek i pali zbudowaliśmy w wagonie wygodne pięterko.

Generalnie kradzieże były wszędzie. Najbardziej powszechna była kradzież żywności. Nasze „naczalstwo" okradało nas, my okradaliśmy kołchozy. Niestety zdarzały się też drobne kradzieże wśród nas.

Wciąż egzekwowany pseudowojskowy rygor nakazywał dbałość o wszystkie części umundurowania, a te były zawsze narażone na kradzież. Ciągle ginęły buty, sznurowadła, czapki, owijacze a nawet guziki, nie mówiąc już o bluzach czy spodniach. To, jak zaznaczałem, nie było traktowane jak złodziejstwo, po prostu kto silniejszy, bezczelniejszy i sprytniejszy zabierał drugiemu co mu brakowało, aby nie narazić się na nieprzyjemne sankcje dowództwa. Trzeba było dzień i noc wszystkiego pilnować. Usprawiedliwianie się, że nie mam bo „ukrali" (ukradli), czy „pocierał" (zgubiłem), nie było żadnym argumentem. Często sierżanci na takie tłumaczenie, cynicznie używając niewybrednych określeń, odpowiadali wprost : „wyjebi a najdi".

Osobnym rozdziałem łagiernego bytowania było palenie papierosów. W kraju, w którym wszystkiego było brak był to problem nie lada. Ja na szczęście uniknąłem tego nałogu i nie miałem związanych z tym dodatkowych kłopotów. Wielu jednak, zwłaszcza starszych kolegów paliło. Życie partyzanckie, stwarzające ciągłe napięcia i stresy sprzyjało temu.

Tu w obozie używanie tytoniu było też jakąś namiastką jedzenia i odpoczynku po pracy. Uśmierzało głód i pozwalało odprężyć się psychicznie. Tzw. „pierekurka", czyli przerwa na papierosa była rzeczą normalną.

Otrzymywaliśmy niewielkie przydziały machorki, które naturalnie większości palaczy nie wystarczały i musieli to jakoś uzupełniać. Między innymi źródłem dodatkowego tytoniu byli niepalący, którzy wymieniali swój przydział na dowolne inne produkty czy przedmioty. Ja, na przykład, za porcję tytoniu dostawałem łyżeczkę cukru, co było niebagatelną gratką.

Prawdziwi palacze próbowali sami wyprodukować sobie trochę machorki, a raczej czegoś co z biedą przypominało machorkę. Były to jakieś suszone liście, trawy czy rośliny. Trzeba zaznaczyć, że gotowych papierosów w ogóle nikt tu nawet nie znał i nie widział na oczy.

Sam tytoń, jak wiadomo, nie wystarczał, trzeba było jeszcze mieć bibułkę i zapałki, a obie te rzeczy całkowicie były niedostępne. W tej sytuacji rolę bibułki zastępowała gazeta i to nie byle jaka, tylko słynna radziecka „Prawda", która nie miała podówczas innych konkurentów na naszym terenie. Kawałka gazety też nie dostawało się za darmo. Gazety, przeważnie z przed paru tygodni, czytali tylko oficerowie i to nie wszyscy, a było ich w obozie zaledwie kilku. Gazetowy papier był więc również w mocno ograniczonej ilości.

Jeżeli chodzi o zapałki, czyli „spiczki" to przyznam się, że nie widziałem przez cały czas, aby ktokolwiek się nimi posługiwał. Prawdopodobnie w ogóle ich nie było. Papierosy zapalano jeden od drugiego, albo od ognisk, które z kolei rozpalaliśmy od innych ognisk. Ale ktoś powie, że przecież musiano ten pierwszy ogień gdzieś wzniecić. Zgoda – do tego służyły radzieckie „zażygałki", czyli zapalniczki, szczyt ruskiej „tiochniki" przypominający epokę kamienną.

Żeby opisać ten zmyślny przyrząd, posłużę się wielce humorystycznym obrazkiem, jaki miałem przyjemność przypadkiem oglądać.

Otóż pewnego dnia obóz nasz odwiedził ważny major, zastępca dowódcy do spraw politycznych. Ten wysokiej rangi oficer odbył przegląd swego obdartego i brudnego „wojska" i wygłosił łaskawie kilka zdawkowych słów pochwały. Kiedy tak stał przed całym batalionem

w otoczeniu lejtnantów i sierżantów, jeden z nich zaproponował mu „zakurkę". I tu zaczął się cyrk !

Najpierw sierżant wyciągnął z kieszeni kawałek pomiętej gazety, oderwał mały „kusoczek" i dokładnie wygładził go na dłoni. Następnie z jakiegoś brudnego mieszka nasypał nań machorkę, zręcznie zwinął wszystko w trąbkę i pośliniwszy bardzo obficie i starannie z obu stron gazetkę, zlepił to wszystko w coś, co przypominało papieros. W końcu ruchem pełnym służalczości podał uszczęśliwionemu majorowi. I teraz uwaga !

Sierżant z głębi kieszeni od spodni wyciąga kawałek żelaznej rurki z wystającym z obu jej stron grubym knotem. Pociągając knot do dołu dokładnie równa jego koniec z brzegiem rurki. Następnie trzymając rurkę w lewej ręce, prawą uderza o jej kant kilka razy kawałkiem krzemienia dmuchając jednocześnie z całych sił na knot. Po kilkakrotnym powtórzeniu operacji, od powstałej iskry knot się rozżarza, a „tawariszcz major" zapala skręta i zaciąga się nim głęboko z zadowoleniem.

Z upływem czasu wszystkie opisane nasze biedy i niedostatki stały się przyczyną coraz częstszych ucieczek. Wobec zdwojonej czujności, z jaką nas poczęto pilnować, wiele z tych rozpaczliwych prób wyrwania się z tego koszmaru kończyło się niepowodzeniem.

Z reguły złapani uciekinierzy znikali gdzieś, nie wiadomo gdzie. Można się było jedynie domyślać, że osadzono ich w innych obozach o znacznie zaostrzonym rygorze. Każda ucieczka, czy nawet jej próba, uznawana była za najcięższą działalność kontrrewolucyjną. Władze obozowe szalały wtedy i prowadziły niekończące się dochodzenia. Liczne były wypadki strzelania do uciekających, przy czym zdarzały się ofiary śmiertelne.

Tak się zdarzyło, że nasz leśny tandem miał poważne nieprzyjemności i kłopoty w związku z domniemaną ucieczką mego partnera, Jurka.

Kiedy w trakcie robót leśnych, jak zwykle niezadowolony sierżant zrugał nas i zwymyślał za słabe wyniki prac, doszło między nim a mym kompanem do ostrej wymiany zdań, w czasie której Jerzy został kilkakrotnie uderzony w twarz. Po tym przykrym incydencie mocno wzburzony przyjaciel oświadczył, że ma tego wszystkiego dość i oddalił się z miejsca pracy, nie powiadamiając mnie co zamierza. Zostałem sam. Kiedy stwierdzono jego brak, a ja rozpytywany mogłem powiedzieć tylko tyle, że „nie znaju kuda to Michałowskij uszoł", wszystko skrupiło się na mnie.

Trzymano mnie w lesie do późnych godzin nocnych próbując wydobyć ze mnie – jak i dokąd on „udrał" (uciekł). Przyłożono mi nawet pistolet do głowy grożąc zastrzeleniem. Mimo, że sprawa szybko się wyjaśniła i uciekinier znalazł się w obozie, przez dłuższy czas jeszcze obaj nękani byliśmy nieustającym śledztwem i karami.

Okazało się, że przyjaciel udał się do obozu w celu wniesienia skargi do nadzorcy z GRU z zapytaniem, czy w „Krasnoj Armii" dowódcy mogą bić podwładnych.

Czas mijał. Tak wyczekiwana wiosna 1945 roku coraz mocniej obdarzała nas swym zbawiennym ciepłem i światłem. Na dalekich zachodnich frontach wojna zbliżała się ku końcowi. Tysiącletnia Rzesza przeżywała swój „Götterdemerung" i kurczyła się gwałtownie. Ciągle jednak broniąc się ostatkiem sił wierzgała jeszcze i kąsała jak dobijany zwierz.

Ktoś w obozie miał dostęp do radia, dzięki czemu mieliśmy jakie takie ogólne pojęcie o przebiegu walk.

Cały teren Polski był już opanowany i „wyzwolony" przez armie sowieckie, a brunatnego okupanta zastąpił nowy, czerwony. Rosjanie po raz pierwszy wkroczyli na dawne terytorium Niemiec i byli już pod Berlinem. Alianci zdobyli Kolonię, Darmstadt,

Frankfurt i Mannheim. Na froncie włoskim trwała ofensywa polska. Na Pacyfiku, w kolejnych sukcesach amerykańskich marines, zdobyto Filipiny oraz Iwo Jimę.

Tylko u nas i o nas trwała niezmienna cisza. Zapomniani i osamotnieni, wyzyskiwani i poniżani tkwiliśmy wciąż w łapach sowieckiego satrapy. Wolny świat zajęty historycznym odwetem na Niemcach nie interesował się losem Polaków na Wschodzie. Albo udawał, że nie wie, albo też, podobnie jak w Holocaust, nie wierzył w masowy zakres i wyniszczający system łagrów sowieckich.

Dopiero po latach dowiedzieliśmy się o próbach upominania się o nas. Poza wspomnianą już notą naszego Rządu Londyńskiego po aresztowaniu Wileńskiej AK, Konwent Stronnictw Politycznych w imieniu ludności ziemi wileńskiej i nowogródzkiej R.P., wystosował do premiera Churchilla list otwarty.

W liście tym, między innymi, wspomniano o Kałudze, gdzie rozbrojonych i wywiezionych żołnierzy AK siłą wcielono do Armii Czerwonej. W imieniu odwiecznych mieszkańców tych ziem Konwent protestował przeciw tzw. „wyzwalaniu" oraz Linii Curzona, powołując się także na Kartę Atlantycką, która głosi, że w wyniku wojny nie mogą zajść zmiany terytorialne bez zgody i woli zainteresowanej ludności. Stwierdza też, że to wyzwolenie spod jarzma hitlerowskiego rozpoczęło okres nowej, brutalnej eksterminacji narodu polskiego. Lubelski Komitet Wyzwolenia określono jako obcą, wrogą agenturę opartą na bagnetach armii sowieckiej, mającą na celu fałszowanie polskiej rzeczywistości w oczach świata. List kończył się wołaniem o pomoc tym ziemiom, o przywrócenie wolności i niepodległości oraz pełnym rozpaczy i tragicznym ostatnim zwrotem : „Nie odrywajcie nas od Macierzy !"

Jak wiemy, w tym czasie wielka polityka skazała już mieszkańców tych terenów na niewolę, masowe wywózki, prześladowania i wysiedlania.

Trzeba też przypomnieć, że NKWD na wiosnę 1945 r. pertraktowało z gen. "Wilkiem" w sprawie ujawnienia się AK i zaprzestania przez nią zbrojnej działalności. Generał próbował w zamian uzyskać zwolnienie wszystkich aresztowanych akowców, łącznie z wywiezionymi do ZSRR. Te próby świadczyły o ciągłej jeszcze naiwności naczelnego dowódcy wierzącego, że z Sowietami można w ogóle negocjować.

Tak więc dalej pozostawaliśmy skazani na ciężkie roboty, a głód i choroby zabierały z naszego grona coraz więcej ofiar. Ciągle byliśmy traktowani jako jeńcy albo więźniowie, choć żadne z tych określeń do nas nie pasowało. Nie mogliśmy być jeńcami, bo nie walczyliśmy ze Związkiem Radzieckim, ani więźniami, bo nie mieliśmy wyroków skazujących.

Zachód, a potem prosowieckie władze określały nas jako internowanych, ale i ten eufemistyczny w stosunku do nas termin był z gruntu błędny i do dziś budzi wiele dyskusji i kontrowersji. Sowieci bowiem nie przestrzegali statusu przysługującego osobom internowanym. Z braku właściwego określenia używało go nawet dowództwo AK.

Żeby już zupełnie zagmatwać sprawę, formalnie byliśmy wcieleni do wojska sowieckiego, a radziecki żołnierz zawsze mógł być oddelegowany do każdej pracy. Chcąc usprawiedliwić trudne warunki obozowe, mówiono nam, że Armia Czerwona na froncie krwawi i ginie znosząc stokroć gorsze cierpienia, i to niby za naszą wolność.

Cały ten galimatias i zakłamanie wynikało z tego, że Moskwa ze względów politycznych nie chciała się przyznać do tego, że traktuje Polaków jako swych wrogów na równi z Niemcami. Wiem, że w wielu wypadkach jeńcy hitlerowscy mieli w obozach

sowieckich lepsze warunki od Polaków. Łagodniejsze traktowanie jeńców niemieckich niż tzw. internowanych obywateli polskich przewija się w wielu pamiętnikach i wspomnieniach naszych więźniów. Z goryczą pisze o tym także mój ojciec, który mógł się przekonać naocznie, pracując przez krótki czas w obozie dla jeńców niemieckich.

Tymczasem po półrocznym pobycie na „lesowyrubie" stan mego zdrowia uległ znacznemu pogorszeniu. Słaby i delikatny mój organizm nie wytrzymywał głodu i takiego wysiłku fizycznego. Zapadłem na ciężki stan dystrofii, szkorbutu i opuchliny głodowej.

Ciało pokryło się nie gojącymi się czyrakami, a siły do reszty mnie opuściły. Wreszcie jako tzw. „dochodziaga", co w łagiernym języku oznaczało kogoś na zupełnym wykończeniu, znalazłem się w obozowym szpitaliku.

To był najgorszy i najbardziej dramatyczny moment w moim życiu. Położono mnie w smrodliwej, ciemnej norze przeznaczonej dla umierających. Kilkunastu, wycieńczonych do ostateczności ciężko chorych, leżało nieruchomo pokotem jeden przy drugim. Wciśnięto mnie w miejsce dopiero co zwolnione po nieboszczyku. Istny koszmar i okropieństwo. Byłem świadkiem agonii mego sąsiada. Mimo, że moja percepcja psychiczna była już mocno przytępiona, było to dla mnie straszne przeżycie.

Niemal codziennie ktoś ubywał na zawsze z naszego grona. W przytłumionej ciężką chorobą świadomości kołatała się gdzieś i dręczyła do ostatka uporczywa myśl: to już KONIEC...

Ale i tym razem wielkoduszna i miłosierna Opatrzność Boska zlitowała się nade mną, jak gdyby chciała mnie przekonać, że istnieje i jest mi przychylna. Dotąd bowiem sądziłem, że nie jest mi nazbyt życzliwa.

Gdzieś po tygodniu tej upiornej kwarantanny załadowano mnie półprzytomnego chyba na jakiegoś gazika i odwieziono do pułkowego szpitala w Jegoriewsku.

5. Nie samym chlebem ...

Obok nieustannych zmagań o codzienny, przyziemny byt, nie mniej ważna a może ważniejsza była walka o kondycję psychiczną. Nie można się było poddać, nie wolno było się załamać.

Na szczęście w osamotnieniu i cierpieniu nasza psychika sama próbuje się bronić pogłębiając życie wewnętrzne. Wątłą siłę ramion próbuje zastąpić siłą ducha i umysłu. Serce ściśnięte żalem i niewypowiedzianą tęsknotą powoduje podświadomą ucieczkę we własny świat wewnętrzny, duchowy, do którego dostępu nie ma żaden wróg. Duch oraz Intelekt pozostaje nieujarzmiony i wolny.

Pisałem już o naszych zabiegach w zdobywaniu jakichś książek, bez względu na treść i język, o robieniu różnych notatek i o próbach samokształcenia.

Osobną jednak, niezwykle istotną kartą naszych zmagań z losem były pisane przez nas i krążące wśród nas wiersze obozowe.

Była to twórczość osobliwa, spontaniczna i impulsywna, wyrosła z trudnych warunków i powstała z własnych autentycznych przeżyć.

W większości nie była to poezja wysokiego lotu. Często mierna i banalna, a nawet naiwna i nieudolna, była za to gorąca, szczera i przerażająco autentyczna. Wyrażała najmocniej nasze uczucia, pragnienia i marzenia, bunt wobec niesprawiedliwego losu i krzyk cierpiącego serca.

Była ona naszą ucieczką, wzbogacała i uwzniośla nas wewnętrznie. Osładzała gorzką rzeczywistość, podnosiła na duchu oraz przywracała wiarę w Bożą Opatrzność i nadzieję na rychły powrót do Ojczyzny.

W tych obozowych strofach najgłębiej odbijał się nasz ból, nasza tęsknota i nasze rozterki. One też, mimo swojej niedoskonałości, bardziej potrafiły wzruszać niż niejedno arcydzieło klasycznej poezji.

Była to działalność bardzo różnorodna, od wzniosłej modlitwy poczynając, poprzez różnoraką refleksję i lirykę, aż po wesołe wierszyki i piosenki z życia obozowego.

Wiele takich wzruszających wierszyków, przeważnie anonimowych, krążyło wśród nas. W miarę możliwości starałem się zapisywać je w moich notatkach. Z tych, które cudem ocalały (oprócz już wcześniej podanego wiersza „Na wagony") chciałbym parę z nich przytoczyć ratując je, być może, w ten sposób od zapomnienia.

Nutą tęsknoty za krajem, domem i dziewczyną pobrzmiewał krótki wierszyk :

„Szumią lasy, szumią,
tylko w sercu żal,
gdy spojrzę na zachód
w niezmierzoną dal...

Tam moja Ojczyzna,
rodzina i dom,
tam stęskniona matka
zalewa się łzą.

I wspominam chwile
pięknych szczęścia dni,
kiedy o miłości
marzyłem, im śnił..."

Codzienną naszą ciężką pracę leśną przedstawiał wiersz pt. „Las" :

„Las był kiedyś miejscem wytchnienia,
Pełen uroku, życia i swobody.
A tu za Moskwą las niesie cierpienia,
Katorgę dla nas - dla skazańców młodych.

Tu nie usłyszysz ptasiego świergotu,
Lecz krzyki klątw i maszyn wycie
I widzisz co dzień owoc naszych potów –
Sztable wciąż rosną – marne twoje życie.

W lesie tym ginie nasza młodość, zdrowie,
Gdy dzienną zrobisz normę przypisaną.
W nocy cię budzą : „wagony gotowe !"
I tak ładujesz przez noc aż do rana.

Potem pobudka – wstajesz niewyspany.
Zamiast śniadania, rzadkiej zupy miska

I kromkę chleba 200 gram dostaniesz.
Spróbuj być sytym po takim śniadaniu.

Potem „buszłatę" brudną przyodziewasz.
Zbiórka ! – i ruszasz klnąc to wszystko z gniewem.
Sierżant się wścieka dlaczego nie śpiewasz,
Lecz gdy chcesz płakać, trudno wtedy śpiewać.

I znowu praca – to samo co wczoraj.
Śpiesz się, bo normę wykonać dziś trzeba.
Gdy nie – to kiwać będziesz do wieczora
I nie dostaniesz „gariaczych" i chleba.

Nie martw się bracie, wszystko ma swój koniec
I to przeminie, wspomnieniem zostanie.
A teraz jeszcze piłę, topór w dłonie,
Niech jeszcze kilka nowych sztabli stanie ..."

Obok zwykłych wierszyków, były też wiersze pisane jako słowa do znanych melodii. Powstałe w ten sposób piosenki śpiewaliśmy przy ogniskach czy wieczorami w ziemiankach, czasem przy dźwiękach harmonii.

Taką nastrojową, nieco nostalgiczną piosenką o ukochanej dziewczynie, była „Ziemianka" :

Błysk promienia w piecyku wciąż lśni,
Kropla smoły upada jak łza,
A w ziemiance harmonii dźwięk brzmi,
O uśmiechu, o oczach twych gra...

W białych śniegach pod Moskwą wśród pól
Baśń o tobie wyszeptał mi krzak.
Słuchaj, we mnie rozpłakał się ból –
I tak ciebie ogromnie mi brak.

Ja poszedłem w daleki świat burz,
Między nami śnieg, lasy i mrok
A do ciebie nie łatwo dojść już,
A do śmierci wystarczy już krok.

Graj harmonio, wichurze ty graj.
Zapomnianych chwil szczęścia budź czar,
A ziemianka zamieni się w raj,
Gdy w niej spłynie miłości twej żar.

Całkiem inny rodzaj piosenki o naszym obozowym świecie stanowiły słowa wierszyka „Oj wesoło", potraktowanego z lekkim przymrużeniem oka, pogodnie i żartobliwie, choć nieco ironicznie. Stosownie do treści towarzyszyła mu też melodia bardziej żywa i skoczna.

Oj wesoło, to życie płynie wkoło.
Czy ty kiwasz na maszynach, czy piłujesz,
Wagon „gruzisz" albo drogi reperujesz.

Oj wesoło, to życie płynie wkoło,
Kto nie był w lesie ten durak
Nie wie co życia smak !...

Noc jest dla nas bardzo krótka.
Już Wałodzia gra pobudkę,
A dniewalny głośno krzyczy, że „padiom" !
Wkrótce będzie „umywanie"
„Pom-kom-zwod" ciebie wygania,
Wylatujesz ty z ziemianki tak jak grom.

Zjesz śniadanie, masz ochotę
Wtedy ruszyć na robotę.
Już do ciebie krzyczą :"pulej wylataj !"
A niedziela dzień wychodny
Będzie koncert nowomodny,
Będzie humor, będą pieśni, będzie raj !

Wrócisz z pracy – wszyscy znacie
Będzie wnet „politzaniacie",
Albo pół godziny „strojewoj".
Potem tak jak w restauracji
Gra orkiestra do kolacji,
O dziewiątej dadzą sygnał na „adboj" !

Wczoraj byłem ja w „sanczaści"
Doktor mi przyłożył maści,
Potem czegoś był ogromy krzyk !
„Mergancowki" dał pół szklanki
Jutro będzie stawiał bańki,
A pojutrze będę zdrowy już jak byk !...

Tęsknota za domem i najbliższą rodziną była częstym tematem obozowej twórczości. Wielce charakterystyczne było to, że wiele wierszy poświęcone było Matce. Byliśmy wszyscy bardzo młodzi. Większość z nas nie mając jeszcze własnych rodzin, jak duże dzieci, tęskniło do tej najlepszej i najdroższej istoty, jaką jest Matka.
Oto jeden bezimienny, z zachowanych tego rodzaju utworów :

Gdym Cię zostawił płaczącą
Za niedomkniętą bramą,
Nie przypuszczałem, że będę
Tak tęsknił za Tobą – Mamo !

A potem, gdy były chwile wzlotu
I wiele upadków,
Czułem, że jesteś przy mnie,
Że myślisz o mnie – Matko !

I były chwile samotne,
I były płacze bez świadków,

I były myśli o Tobie,
I sny o Tobie – Matko !

Dziś nie pamiętam już woni
Fiołków, ni barwy kwiatków,
A może gdzieś sama w ogrodzie
Ty myślisz o mnie – Matko !

Widzę Cię, widzę niezmienną
I chcę, żebyś była tą samą,
Kiedy ze szczęścia płacząc
Wrócę do Ciebie – Mamo !

Podobny wiersz adresowany do mej własnej matki napisałem w szpitalu obozowym w Jegoriewsku.

Skoro już mowa o moich obozowych wyczynach poetyckich, to zanim podam dla ilustracji parę fragmentów tych wierszowanek, muszę wprzódy dokonać szerszej dygresji o poezji i moim w niej rozmiłowaniu od dziecka.

Cofając się myślą do mych chłopięcych, a potem młodzieńczych lat, jak już wspominałem, zawsze znajdowałem się pod dużym urokiem pięknych wierszy. Poezja z jakąś potężną siłą oddziaływała na moją wyobraźnię. Pod jej wpływem, w zauroczonym umyśle słowa poczynały się zmieniać w czarodziejskie obrazy. Ona najmocniej wyrażała młodzieńcze uniesienia, dostarczała głębokich wrażeń i uczuć, tworzyła niezwykłe zmysłowe napięcie oraz najlepiej oddawała piękno tego świata i sam fenomen istnienia.

Nic innego nie potrafiło tak uczyć dostrzegania piękna jak poezja, nic innego nie wywoływało tak sugestywnych nastrojów.

Słusznie twierdzili ludzie renesansu, że poezja to piękno zaklęte w słowie. Brodzki mówił o niej, że jest najwyższym stopniem organizacji języka. Bo rzeczywiście, to co najbardziej w niej zachwyca to niezwykła giętkość i mistrzostwo słowa połączone z wyobraźnią. Bez wyobraźni i bez zdolności do wzruszenia nie ma literatury i nie istnieje poezja.

Tęsknotę za pięknem i za czymś niewyrażalnym nosimy wszyscy w sobie.

Jak już nadmieniałem, obok wielkiej poezji romantycznej, szczególnym moim zainteresowaniem cieszyła się poezja Kazimierza Przerwy – Tetmajera. Nastrojowa liryka tego neoromantyka nasycona smutkiem i tęsknotą oraz czarująca prostotą i melodyjnością była mi już od czasów gimnazjalnych wyjątkowo bliska. Powtarzałem z pamięci i wielokrotnie czytałem tę poezję pełną bólu, rozpaczy, zwątpienia i wewnętrznego cierpienia. Znajdywałem w jego wierszach własne, często daremne pragnienia i wzloty, moje tęsknoty i niedosyty. One rozwijały i wzbogacały w znacznym stopniu wewnętrzny świat duchowy.

Duże wrażenie wywierały jego cudowne i jędrne erotyki, wiersze o kobietach, o zmysłowej miłości, często mocne i dzikie.

Być może, to właśnie dzięki niemu, moje pierwsze kontakty z dziewczynami, adoracja kobiecego uroku i niepokoje niedoświadczonego serca sprawiły, że sam zacząłem po kryjomu pisać wiersze. Wtedy, jak zresztą i dawniej, przez tę chorobę przechodziło wielu młodych ludzi. Wierszyki, które pisałem nie były przeznaczone dla nikogo, tworzyłem je z własnej potrzeby.

W tamtych czasach, podobnie jak i teraz, pisanie wierszy uznawane było przez większość mych równolatków jako coś nienormalnego, niemęskiego i wręcz śmiesznego, podobnego do głupiego hobby. Taki domorosły wierszokleta traktowany był zwykle trochę z pogardą i lekceważeniem. Do dziś w naszej krzykliwej epoce poezji się trochę wstydzimy.

Jedynie w okresie mego pobytu w sowieckim obozie pisanie wierszy było jakimś zjawiskiem naturalnym i powszechnie akceptowanym.

Nic więc dziwnego, że w tych warunkach powstawała bogata i różnorodna tego rodzaju twórczość. Nic też osobliwego, że i ja próbowałem składać wiersze, podobnie jak to czyniło wielu więźniów, łagierników czy zesłańców. Wiersze pisał mój ojciec, a nawet matka, która nigdy wcześniej nie objawiała takich skłonności.

Oczywiście, nie będę tu nudził i przytaczał wszystkich swych rymowanek, zarówno ze względu na ich dość pokaźną objętość, jak i z uwagi na niski poziom tej „poetyki" przez małe „p". Chcę jedynie zilustrować pokrótce jej charakter oraz pokazać nastroje i uczucia, jakie nas wówczas ogarniały.

Chyba najbardziej znamienny w tym względzie był mój „List z lasu" pisany do rodziców na pierwsze Boże Narodzenie, które przyszło nam spędzić poza domem. Był on świadomie inspirowany przez znany i piękny „List z Sybiru" Or-Ota, zaczynający się słowami : „Mamo, piszę do Ciebie ten list ..."

Przedstawię tu kilka fragmentów tej mojej leśnej epistoły :

Kochana Mamo ! I Ty Ojcze drogi !
Ja piszę do Was i drżę,
Czy list ten trafi w domowe progi ?
Chcę pisać... i boję się.
Odkładam pióro, to zaczynam znowu –
Jakiś jaskółczy niepokój mnie nęka,
Powoli kreślę słowo po słowie,
A każde słowo – to męka !

I znowu piszę – i nadstawiam ucha :
Czy dojdzie ? – Któż mi odpowie ?
Czy dojdzie ? – szepcę – wokół cichość głucha
Nad leśnym legła pustkowiem.
.....
Głowę na rękach wsparłem i marzę –
...A moje myśli dobrzy anieli
Na złotych skrzydłach ponad śniegami
Poprzez bezkresne równiny
Do kraju niosą, kilometrami –
Do kraju ! – Domu ! – Rodziny !
.....
O, jakże często marzę tak słodko,
Dzień każdy, każdą godzinę
Sercem swym z Wami przebywa razem,
Lub myślą do Was płynę ! ...
.....
Dziś pierwsze w życiu Boże Narodzenie,
Świętą Wieczerzę, Nowy Rok, Trzech Króli

Przyjdzie mi bez Was spędzić ukochani ...
Ach, kto tęsknotę, kto mój żal utuli ?
W ten święty wieczór, gdy białym opłatkiem
Tysiące rodzin będzie się łamało,
Niejeden z nas łzę otrze ukradkiem,
Niejedno serce będzie z żalu łkało ...
.....
U nas kochani nic się nie zmieniło,
Jeno przyroda w nowej tonie szacie.
Mróz ziemię ścisnął, śniegu nawaliło
I przyszła zima w całym majestacie.
.....
W mrocznych ziemiankach dalej mieszkamy,
W zaduchu, na twardych pryczach
Zmęczone pracą kładziemy głowy –
Tu śpimy i tu jadamy ...
I tak dzień po dniu upływa szybko,
Każdy z nas tylko o jednym marzy :
Wrócić do kraju – o tak – to westchnienie
Piętno wyryło na każdej twarzy.
Wrócić do domu – chociażby na chwilę,
By móc choć głowę na piersiach Wam złożyć
I móc wyszeptać : „Mamo droga – Ojcze !"
Czy Bóg pozwoli takiej chwili dożyć ?
.....
Na tym już kończę – całuję Was mocno
I całym sercem, całą duszą moją
Życzę Wam Drodzy, aby Was Bóg chronił
I pod najświętszą wziął opiekę Swoją.
.....
Więc bądźcie zdrowi i pełni wiary,
Bo koniec rozłąki już jest niedaleki.
Skończą się męki, i łzy, i ofiary –
By razem nas złączyć – na wieki !

W trudnych i ekstremalnych warunkach było zrozumiałe, że wielu z nas wierzących szukało ratunku w modlitwie o Bożą Opatrzność, Boską Sprawiedliwość i Opiekę Matki Najświętszej.

Ale bywały też chwile załamania, zwątpienia i braku nadziei. Wyrażały się one nieraz buntowniczymi strofami wierszy pełnych gorzkiej skargi na niesprawiedliwość Boskich Wyroków.

Pisałem wtedy :

Dlaczego ? Po co ? – nie ! – z takim pytaniem
Samego Boga już chyba nie wzruszę.
Dlaczego nie chcesz odpowiedzieć na nie
Tym, co czerw toczy nieszczęśliwą duszę.

Nieraz w modlitwach wznoszonych do Ciebie
Padały słowa głośniejsze od dzwonów...
Dlaczego – Panie ? Lecz ginął głos w niebie,
Gdy bezsilny uderzał o spiż Twego tronu !

.....
Smagany kańczugami, pędzony w nieznane
Żołnierz tułacz, gdzieś na dróg rozstaju
Wyciągam rękę – jem chleb wyżebrany...
Panie ! Powiedz dlaczego wygnałeś mnie z kraju ?
.....
Słucham Cię ! Milczysz ?... szumią jeno lasy,
Drzewa kołyszą smutnie koronami.
Sczerniał las cały, utracił koloryt,
Bo Ciebie tutaj Panie nie ma dzisiaj z nami !...

Mimo tego smutnego i przygnębiającego nastroju jakim przesiąknięte były zacytowane strofy oraz mimo trudnych warunków naszej codzienności myliłby się ten, kto by sądził, że obozowe życie nie miało chwil przyjemniejszych i radośniejszych.

Nasze młode serca rwały się do normalnego życia, pragnęły humoru, śmiechu, piosenki, tęskniły za dziewczyną i miłością. Po prostu kochaliśmy życie odczuwając łaknienie czułości i piękna oraz niedosyt istnienia.

Takich miłych i pogodnych chwil dostarczały nam i dawały prawdziwe wytchnienie, między innymi, zaimprowizowane, amatorskie występy obozowej orkiestry i małego zespołu artystycznego.

Tak na marginesie wspomnę, że w czasie wojny przy wielu polskich oddziałach wojskowych utworzonych za granicą były podobne zespoły artystyczne, które podnosiły żołnierzy na duchu i pozwalały łatwiej ukoić ból i tęsknotę za krajem.

Twórcą i duszą takiej właśnie naszej trupy był wielce utalentowany kolega Henryk Czyż, znany i ceniony w latach powojennych dyrygent, kompozytor i pedagog, wybitna postać polskiego świata muzycznego.

Nieoceniony Henio wraz z swym zespołem oprócz godziwej, pięknej rozrywki, jaką nam dostarczał, rozbudzał w nas zamiłowanie do pieśni i muzyki. Muzykalność nie jest najmocniejszą stroną Polaków i jest rzeczą zastanawiającą, że naród, który wydał tylu wspaniałych muzyków, nie potrafi często zaśpiewać najprostszej piosenki. Tę swą pasję popularyzatorską, zrodzoną być może właśnie tu wśród nas w obozie, kontynuował po wojnie starając się przybliżyć szerokiej publiczności znajomość i zrozumienie wielkich dzieł muzyki klasycznej.

Drugą indywidualnością artystyczną był dokooptowany przez Henia Bernard Ładysz, późniejszy wielki śpiewak operowy i światowej sławy bas.

Już wówczas, pracując w obozie jeszcze w kuchni jako kucharz, Benio wyróżniał się pięknym, głębokim głosem. Przypadek sprawił, że Ładysza poznaliśmy już wcześniej, jeszcze w Wilnie, kiedy razem grywaliśmy w siatkówkę na Belmoncie. Był to chłopak bardzo bezpośredni o wyjątkowo wesołym usposobieniu, pełen życia i temperamentu.

Jeśli chodzi o Czyża, to muszę zaznaczyć, że zdobywał on wiedzę muzyczną, między innymi, u wspomnianego już znajomego rodziców prof. Tadeusza Szeligowskiego, a autor „Buntu żaków" uważał go za najzdolniejszego swego ucznia.

Ciekawe, że ci dwaj wielcy przedstawiciele polskiej kultury muzycznej, Czyż i Ładysz, tu właśnie, wśród nas w małym amatorskim zespole zawiązali wielką przyjaźń, która, o ile mi wiadomo, trwa do dnia dzisiejszego.

Grano i śpiewano przeważnie polskie piosenki ludowe, żołnierskie i partyzanckie, od wesołych i skocznych z przytupami, aż po smętne i smutne ballady i romanse. Ze względu na cenzurę władz obozowych zespół unikał pieśni o wyraźnym polskim, patriotycznym wydźwięku oraz nie śpiewał pieśni legionowych. Taki repertuar groził zawsze podjęciem śpiewu przez słuchaczy i przerodzenia się koncertu w polską manifestację. Śpiewane były też stare piosenki rosyjskie i radzieckie pieśni wojskowe.

Dziwne, że podskórna niechęć i wstręt do języka rosyjskiego w tych pieśniach jakoś przestawała działać, a znienawidzone brzmienie „ruskawo jazyka" zupełnie nie raziło. Można nawet powiedzieć, że mowa ta dodawała tym pieśniom swoistego tonu, charakteru i jakiegoś osobliwego klimatu tej ogromnej ziemi i jej prostych w gruncie rzeczy ludzi.

Zwłaszcza piosenki nastrojowe i liryczne o miłości, kochaniu, tęsknocie i pięknie przyrody uświadamiały nam, że nie wszyscy Rosjanie to odczłowieczone bestie i w wielu z nich drzemią normalne ludzkie uczucia.

Te rosyjskie pieśni i songi odznaczały się z reguły niezwykłą melodyjnością i prostotą, dzięki czemu bardzo łatwo trafiały do naszych uszu. Dotyczyło to zarówno tych smutnych, „toskliwych" i „siercoszczypatielnych", jak mówią Rosjanie, gdzie nierzadko przewijały się motywy smętnej dumki ukraińskiej i kozackiej pieśni „pachodnej" – jak i żołnierskich pełnych chwały, w których przebijało sałdackie hurra „Wielkiej Ojczyźnianej".

Moje nieco romantyczne usposobienie i słabość do muzyki, śpiewu i poezji sprawiało, że te piękne pieśni i piosenki wywoływały szczególnie silne wzruszenia. Lubiłem nucić je sobie wykorzystując ich słowa do nauki języka. Zapisywałem je skrzętnie i uczyłem się na pamięć.

Bardzo popularną i chętnie śpiewaną przy ogniskach była niezwykle nastrojowa i jakby niegdysiejsza piosenka żołnierska „W lesu prifrantawom" Zaczynała się od słów :

„Sbieroz niesłyszen, niewiesiom
Sletajet żołtyj list'
Starynnyj wals „Osiennyj son"
Igrajet garmonist ..."

Na marginesie powyższych słów trzeba przypomnieć, że tradycyjnym i niezastąpionym instrumentem w rosyjskich pieśniach była harmonia. Do harmonii i harmonisty nawiązywało też wiele tekstów. O przywiązaniu Rosjan do tego instrumentu świadczył, między innymi, częsty widok frontowego bajca dźwigającego obok plecaka i karabinu zawieszoną na ramionach harmonię.

Drugą bardzo rozpowszechnioną była słynna melodyjna „Ciomnaja nocz" , śpiewana niemal przez wszystkich, kto choć trochę lubił śpiewać :

„Ciomnaja nocz
Tolko wietier chudzid w prowodach,
Tolko puli świstiat pa stepi,
Tolko zwiozdy miercajut ..."

Nie zapomnę, jak nasz „młądszyj sierżant" Zajac był wprost opętany tą melodią. Mając dość przyjemny i donośny głos, chodził po lesie uderzając się nierozłączną rózgą po butach i podśpiewywał bohatersko :

„Smierć nie straszna
Ja nie raz s niej wsteczałsia w baju !”

Choć, jak było wiadomo, nie powąchał on wcale frontu.

Jedna z najpiękniejszych pieśni o chwytliwej i wpadającej w ucho melodii opisywała w prostych, zwykłych słowach pożegnanie z ukochaną dziewczyną dońskiego Kozaka odchodzącego na wojnę. Rzewna, wylewna, smutna i szeroka jak step muzyka sprawiała, że pieśń ta wspaniale nadawała się do popisów wokalnych.

„Na wolnom, na siniem, na tichom Danu
Pachodnaja piesnia zwuczała,
Kazak uchadził na balszuju wajnu
Kazaczka jewo prowożdała –
A ja, ja, ja, ja jaj !
Kazaczka jewo prowożdała ...”

Nasz ensemble grał też przeboje z lat 30-tych, trochę popularnej muzyki lekkiej, między innymi znane walce Straussa i stare walce rosyjskie. Ze śpiewanych dawnych romansów w języku rosyjskim pozostały mi w pamięci : „Studentoczka, wieczerniaja zaria”', „Kagda zażgutsa fanary”, czy „Moj miłyj drug”.

Były jeszcze popularne, aktualne przeboje wojenne, jak np. „Aganiok” zaczynający się od słów:

„Na pozycju dziewoczka prowożdała bajca
Ciomnoj noczju praszczałas’
Na stupieńkach krylca ...”

Czy „Spajom że druzja wiedź zawtra w pachod”, albo też „Altyleristy, Stalin dał prykaz”.

Oprócz tych własnych występów muzyczno-wokalnych, odwiedziła nas raz czy dwa razy jakaś samorodna rosyjska grupa artystyczna. Obok śpiewów chóralnych czy indywidualnych pokazywano różne sztuczki cyrkowe. Cyrk bowiem, ze swą akrobacją i żonglerką, był zawsze uwielbiany przez rosyjskie masy.

Zdarzały się też wizyty kina objazdowego, które wyświetlało nam propagandowe filmy radzieckie.

Z tego rodzaju imprezą związana była jedna z zabawniejszych moich przygód, można powiedzieć – istna heca. Już nie pamiętam co to był za film, ale dostąpiłem zaszczytu uczestnictwa w postępowej, niedoścignionej technice radzieckiej.

W czasie projekcji wyznaczono mnie do kręcenia dziwnego urządzenia dostarczającego prąd na zasadzie rowerowego dynama. Obdrapana i rdzewiejąca machina od razu nie budziła mego zaufania. Istotnie, okazało się, że kręcenie wymaga dużego wysiłku i musi być prowadzone bardzo równo, gdyż w przeciwnym wypadku obraz na ekranie albo bladł, albo też czerniał. Po kilkunastu minutach traciłem siły i kręciłem coraz wolniej. Kiedy zniecierpliwiona widownia krzyczała i tupała, przyspieszałem nieco by obraz się rozjaśnił, ale za chwilę znów gasnął. Szybko więc zrezygnowano z mej pomocy, obdarzając mnie odpowiednią wiązanką „podziękowań”.

6. Sybir

Ciężka praca i warunki obozowe, surowa rosyjska zima w niezmierzonych przestrzeniach leśnych oraz kompletne odcięcie od świata, nasuwało nieodparcie myśl o pewnej analogii naszego losu do zesłanych na Sybir Polaków.

Sybir był, jest i zawsze będzie ponurym symbolem niewoli, męczeństwa i naszej walki z odwieczną tyranią rosyjską. Dlatego też chcę na kartach tych memuarów poświęcić mu osobno nieco więcej miejsca.

Słowa Sybir i Syberia od najmłodszych lat kojarzyły mi się z cierpieniem polskich patriotów oraz okrucieństwem rosyjskich carów. Sybir jawił się jako dalekie, gdzieś na końcu świata straszne więzienie i bezpowrotna, okrutna katorga.

Mama często śpiewała mi piosenki i snuła smutne opowieści o sybirskich zesłańcach. Gdy dzisiaj wspominam te dawne matczyne opowiadania, w których głęboka kobieca wrażliwość na ból i cierpienie mieszała się z jakimś rodzajem patriotycznej dumy i uwielbienia dla tych skazańców, nie mogę oprzeć się wrażeniu, czy nie było to czasem intuicyjne, prorocze przeczucie Jej przyszłego tragicznego losu. Bo przecież w kilkanaście lat później sama znalazła się na syberyjskiej zsyłce.

W mojej egzaltowanej chłopięcej wyobraźni widziałem zesłańców w śnieżnej, lodowej pustyni, gdzie pośród oślepiającej bieli już tylko sama śmierć czeka na swoje ofiary.

Obrazy te podsycały oglądane filmy oraz malarstwo historyczne poświęcone naszej syberyjskiej martyrologii. Właśnie malarstwo, jak zawsze, najsilniej oddziaływało poprzez oglądanie rycin i obrazów ukazujących polskich zesłańców wynędzniałych, oberwanych i skutych kajdanami, pędzonych wśród śniegów i zamieci w niezmierzoną syberyjską dal.

Najbardziej wzruszały i przemawiały do mnie w szczególny sposób wczesne kompozycje sybirskie Jacka Malczewskiego. Takie obrazy jak „Śmierć na etapie", „W kopalni" czy „Wigilia zesłańców" tchnęły niewypowiedzianym smutkiem oraz uderzały wyrazistością ludzkiego cierpienia.

Niezwykłe w swej wymowie były też dzieła innych malarzy, jak choćby „Pochód na Sybir" Pruszkowskiego czy „Krzyż" Chełmońskiego. Na obrazie tym samotny, przechylony, ledwo majaczący w śnieżnej zamieci krzyż, robi szczególnie wstrząsające wrażenie uczucia pustki i zapomnienia. Z tego mistrzowskiego płótna wieje mrozem i słychać cichy jęk syberyjskiego wiatru.

Najgłębsze jednak przeżycia sprawiał i na zawsze wraził się w moją pamięć wspaniały obraz Malczewskiego „Śmierć Elenai". To arcydzieło polskiego malarstwa wzrusza i zachwyca nie tylko głęboką swoją treścią, ale chyba przede wszystkim mistrzowską i piękną formą artystyczną.

Pokaźnych rozmiarów płótno przedstawia wnętrze biednej, zbitej z prostych drewnianych bali , chaty syberyjskiej, gdzie na nędznym barłogu ze skór i słomy leży martwa postać kobiety. Urzekająco piękna dziewczyna z rozrzuconymi i spadającymi na posłanie przepysznymi jasnymi włosami przykryta jest do połowy futrem. U jej stóp siedzi pełen rozpaczy Anhelli, alegoryczna postać polskiego zesłańca. Dramatyczny nastrój tej sceny wzmaga dodatkowo niezwykłe oświetlenie, obrazek Matki Boskiej wiszący w głębi na ścianie i zgaszona świeca u wezgłowia jako symbol śmierci.

Trudno się więc dziwić, że to wspaniałe dzieło, które wisi w Muzeum Narodowym w krakowskich Sukiennicach, jest mi wciąż szczególnie bliskie. Do dziś, ile razy jestem w Krakowie, gdzie z nieukrywanym sentymentem zawsze powracam, staram się po raz kolejny zobaczyć ten obraz i nasycać się jego pięknem.

Nic bowiem nie odnawia serc człowieczych tak silnie jak sztuka.

Sybirskim zesłańcom poświęca też piękne karty nasza literatura, a zwłaszcza poezja. Mickiewicz pisał :

„Po śniegu wraz ku dzikiej krainie
Leci kibitka, jako wiatr w pustynię.
Oko nie spotka ni miasta, ni góry,
Żadnych pomników ludzi, ni natury.
Ziemia pusta, tak niezaludniona
Jak gdyby wczora wieczorem stworzona.
.....
Kraina pusta, biała i otwarta
Jak zgotowana do pisania karta."

Z bardziej współczesnej poezji muszę wrócić jeszcze raz do wspomnianego, przepięknego wiersza Artura Oppmana (Or-Ota) – „List z Sybiru". Utwór ten przepełniony głębokim liryzmem, wielką tęsknotą i przejmującym dramatyzmem powtarzany był i czytany często przez matkę. Przez swą zaskakującą prostotę i swoisty urok znałem go niemal cały na pamięć. On też, jak już pisałem, natchnął mnie i pobudził do napisania podobnego, już częściowo przytoczonego listu z sieredniakowskich lasów.

Dlatego pozwolę sobie przywołać choć parę pierwszych strof tego cudownego w moim odczuciu utworu :

„Mamo, piszę do Ciebie ten list,
Nie wiem, czy go czytać będziesz ?
Nie wiem – czy dojdzie ? Chciałbym spytać kwiatka,
Jak to się u nas wróży listków rwaniem
Lecz kwiaty umarły pod śniegu posłaniem
I o losie tej kartki żaden mi nie powie.
Mamo, jak to okropnie, gdy słowo po słowie
Kładę w to – ach całego siebie !...
I nie wiem, czy też kiedy powrócę do Ciebie ..."

Ciekawe, że na tej wielkiej, trudnej sybirskiej ziemi śniegów i lodów, jałowej tundry i dzikiej tajgi, gdzie przyroda brata się z oprawcą by zniszczyć swą ofiarę, gdzie uderza skrajna bieda i żebracza nędza, są ludzie przyjaźni i o dobrym sercu.

W tymże wierszu poeta pisze o tym, wyrażając równocześnie budującą prawdę, że ludzie dotknięci wspólnym nieszczęściem są dla siebie życzliwsi i potrafią się łatwiej porozumieć. Ludzka solidarność w biedzie i cierpieniu za nic ma racje polityczne. W tym oceanie zła były to ocalające wysepki nadziei. Tę piękną prawdę potwierdzało wielu zesłańców, w tym też moja matka. Być może wielu z nich dlatego tylko przetrwało.

„Ludzie nie są źli tutaj, jest w nich jakaś litość szczera.
Czasem chłop prosty na mnie tak spoziera,
Jak ja patrzyłem niegdyś na pisklę bezdomne.
Czasem gdy wyjdę przed dom, na śniegi ogromne
Na progu pieniądz srebrny albo krążek chleba
Położy jakaś dobra, niewiadoma ręka ...
Jem chleb ten, gdy to piszę i serce mi pęka ..."

I znowu, nawiązując do przytoczonego fragmentu wiersza, kilka słów o mentalności i charakterze rosyjskich ludzi.

„Ruskij czeławiek", im bardziej oddalony od ośrodków władzy, im bardziej był biedny i odrętwiały, tym był serdeczniejszy i bardziej ludzki. I dzisiaj, im dalej od Moskwy, tym wyższa kultura i normy ludzkiego zachowania. Od Uralu na wschód pieniądz przestał być istotną wartością. Ceny i wartości nabiera tu drugi człowiek. Dlatego ludzie są tu lepsi, bardziej dobroduszni, ufni i skłonni pomagać sobie nawzajem. Wspominałem już o tym pisząc o Sybirze. Była tam też mowa o tym, jak wielką rolę w kształtowaniu tych ludzi odgrywa okrutna i twarda przyroda. Odbija się ona często na twarzach, zdradzając charakter podobny do ich ziemi – pusty, otwarty i dziki.

Bierdajew, filozof, rozważał wpływ wielkiej przestrzeni na rosyjską duszę. Doszedł do wniosku, że ogrom Rosji ma ujemny wpływ na sposób myślenia jej mieszkańców. Eliminuje skupienie, a zamiast koncentracji wszystko rozłazi się i rozmydla. Dusza Rosjanina, jak jego kraj, jest nieprzenikniona, niezgłębiona i przepełniona nieokreślonymi marzeniami o wielkiej i szerokiej jak step działalności.

Podając malarsko-poetyckie impresje na temat Sybiru, chciałem podkreślić jak bardzo nasz dom związany był uczuciowo z polskimi zesłańcami i jak narastała we mnie utajona nienawiść i chęć odwetu na moskiewskich tyranach. A przecież wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze wszystkiego o nowej, stokroć straszniejszej bolszewickiej Syberii. Nie mogliśmy przewidzieć ile jeszcze cierpienia i ile naszych ofiar pochłonie ta przeklęta przez Boga i ludzi ziemia.

Cóż znaczy kilkadziesiąt tysięcy zesłanych tam przez carat, z których zresztą większość jakoś przeżyła, z milionami samych tylko ofiar śmiertelnych reżimu stalinowskiego. Jak się oblicza, było wśród nich kilkaset tysięcy naszych rodaków.

Te syberyjskie rozważania pragnę zamknąć przejmującą, pełną wewnętrznego bólu, modlitwą tamtejszych więźniarek przywiezioną z zesłania na Syberii przez moją Mamę...

„Że duch mój osłabł w one dni,
Kiedy wróg deptał święty Wilna bruk,
Że myśli moje szalały obłędnie,
Że w strzęp je szarpał wrogich czołgów huk,
Że w głos wołałam gorze ! Światu – gorze !
Przebacz mi Boże !

Że moje serce stało się jak kamień,
Że uleciały zeń młodzieńcze sny
I moja czułość, pogoda, oddanie.
Że patrzę drętwo już na ludzkie łzy
I na ich twarze od głodu przejrzyste -
Przebacz mi Chryste !

Że mię cierpienie tak obezwładniło,
Że ducha mego wzwyż nie podniósł ból,
Że jestem zawsze tym dziecięciem małym
Co do słońc tęskni i do wolnych pól.
Że nawet pacierz tęsknoty nie zmoże –
Przebacz mi Boże !

A że dziś żyję tą nadzieją jedną.
Że się o jeden tylko modlę cud,

Byś błogosławił ziemię naszą biedną,
Byś moc zwycięską tchnął w nasz polski lud.
Że chcę być jeszcze radosna jak kiedyś
I pragnę ujrzeć jeszcze szczęścia zorze –
Przebacz mi Boże !"

7. Łagrowe mocarstwo

Opisując nasze obozowe losy i ciężką pracę przy wycince lasów oraz przytaczając smutny wątek syberyjski, nie można zapomnieć, że Związek Sowiecki, w porównaniu z innymi krajami, miał najbardziej rozwinięty i najrozleglejszy system karno – obozowy.

Również tradycje tego systemu były chyba najstarsze w Europie. Sięgały one wczesnej Rosji carskiej, która korzystając z ogromnych obszarów swego imperium, zsyłała na wygnanie oprócz kryminalistów, licznych swych politycznych wrogów i to zarówno tych faktycznych, jak i potencjalnych przeciwników.

Dzięki tej schedzie wiekowych doświadczeń Sowieci rozbudowali i rozwinęli te metody do niespotykanych rozmiarów i można ich śmiało uznać za pionierów obozów koncentracyjnych. O tym wszystkim mogłem się przekonać najpierw sam, a później też moi rodzice.

Poza najistotniejszą funkcją więziennego odosobnienia, obozy były wielką wartością ekonomiczną taniej ludzkiej pracy. Największa armia niewolników od czasów faraonów ginąc z głodu i wyczerpania wznosiła zręby „socjalizmu". Niewolnicza siła robocza za cenę nieprawdopodobnego cierpienia ludzkiego budowała kanały wodne, drogi, linie kolejowe, pracowała w kopalniach i ścinała drzewa w tajgach syberyjskich.

W większości przypadków, podobnie jak my, obozy zakładali i budowali dla siebie sami więźniowie.

Masowe zsyłki na dalekie obszary Środkowej Rosji miały także na celu zasiedlanie pustych, niezamieszkałych terenów. Praktycznie z łagrów nie było już powrotu do normalnego życia. Większość tych co przeżyli pozostawała tam na stałe, bądź dobrowolnie, bądź zmuszona do tego siłą. Tacy „specposieleńcy", czyli dożywotni osadnicy zakładali tam rodziny, budowali chaty i uprawiali ziemię.

Sowieckie imperium śmierci zwane „Gułagiem" (od skrótu „Gławnoje Uprawlenie Łagierej"), o ile mi wiadomo, narodziło się na wyspach Sołowieckich w monastyrze z XV w. położonym na jednej z małych wysepek Morza Białego. Tam już w 1918 r. czekiści profanując relikwie i łamiąc krzyże, zamienili klasztor w ciężkie więzienie. Stało się ono jednym z najstraszniejszych obozów o potwornie ostrym reżimie.

Taką ponurą sławę najstraszniejszych miejsc na ziemi zdobyły sobie zwłaszcza Workuta położona na dalekiej północy i Magadan na północnym wybrzeżu Morza Ochockiego. Te dwie nazwy to symbole śmierci i cierpienia budzące przerażenie upiornej i bezpowrotnej zsyłki. Te święte miejsca męczeństwa, gdzie zmarło i zostało zakatowanych miliony więźniów, są jednym wielkim cmentarzem. W Magadanie upamiętnia to dzisiaj potężny, 18-sto metrowej wysokości Pomnik Ofiar Systemu Komunistycznego poświęcony więźniom Kołymy ze 160-ciu obozów tego rejonu.

Pomimo niezwykle ciężkiej pracy w kopalniach, nie praca była tu jedynie zabójcza, i nie okrucieństwo bezkarnych strażników i nie wieczny głód, ale zimny polarny klimat dokonywał spustoszenia fizycznego, jak i przede wszystkim psychicznego. Ciągły mróz,

ciemności polarnej nocy, wycie wiatru i tumany śniegu oraz straszliwa pustka powodowała depresję, przygnębienie i rosnącą potrzebę snu. Obniżona energia witalna stwarzała stany myślowego odrętwienia, bezruchu i bezczynności.

Wielu Polaków, którzy przeszli przez workuckie obozy opisuje te okropne stany psychiczne. Zetknąłem się z wieloma tego rodzaju wstrząsającymi wspomnieniami. W okręgu workuckim znajdowało się około 5 tysięcy naszych rodaków, z których zaledwie pół tysiąca powróciło do kraju. Reszta pozostała tam na zawsze w wiecznej zmarzlinie okrutnej tundry. Jednocześnie przebywało tam ogółem 200 tysięcy więźniów rozmieszczonych w 40-tu obozach.

Jak opowiadała moja matka, która przez jakiś czas też tam była, największa śmiertelność na skutek zimna, głodu i wyczerpania miała miejsce przy budowie linii kolejowej do Murmańska, gdzie jak się oblicza, każdy podkład kosztował jedno życie ludzkie.

Poza setkami obozów i więzień, w europejskiej części Związku Radzieckiego stworzono dwa wyróżniające się ogromne obszary niewolniczej pracy na Syberii i w Kazachstanie. Stalin kontynuując tradycje carów wysyłał tam setki tysięcy skazańców i przymusowych przesiedleńców różnych narodowości, wśród których Polacy stanowili bardzo poważny odsetek. Te masowe zesłania przyczyniły się do silnego zakorzenienia się tam pierwiastka polskiego aż po dzień dzisiejszy.

Cały obszar Związku Sowieckiego był jednym wielkim obozem. W ponad 3 tysiącach obozów skazańcy chodzili do pracy z wrzodami i jątrzącymi ranami, odmrożonymi nogami i rękami, umierali na szkorbut i choroby głodowe, tracili rozum i popełniali samobójstwa.

Z większości tych miejsc niemal niemożliwe były wszelkie ucieczki. Powodowały to olbrzymie przestrzenie, pustka, zimno, brak pożywienia, niedostatek sił, psy i liczne straże. Dodatkową plagą byli brutalni i zwyrodniali kryminaliści, którzy często wysługiwali się strażnikom dręcząc i okradając więźniów politycznych.

Okropne warunki bytowania doprowadzały do różnych buntów i strajków, które były z całą bezwzględnością tłumione. W Kazachstanie taki bunt skończył się rozjechaniem czołgami i rozstrzelaniem tysiąca więźniów.

Ironicznego posmaku tym obozom niewolniczej pracy nadawały szczytne hasła umieszczone nad bramami wejściowymi. Jak np. słowa Stalina : „Praca to sprawa honoru i chwały". Jakże bardzo przypomina to znany nam napis na bramie oświęcimskiej „Arbeit macht frei", podczas gdy te bramy piekieł winny mieć tylko jeden napis : „Porzućcie nadzieję ci, którzy tu wchodzicie !"

A tak na marginesie, jak humorystycznie i zakrawając na kpinę brzmiały nam znane słowa popularnej sowieckiej pieśni o ojczyźnie :

„Szyraka strana maja radnaja,
Mnogo w niej lesow, polej i riek,
Ja drugoj takoj strany nie znaju,
Gdzie tak wolno dyszyt czaławiek .....
Z każdym dniom wsio radostnieje żyt'
I nikto na swietie nie umiejet
Łutsze nas smiejatsia i lubit' ..."

Zaskakujące było to, że za drutami sowieckich łagrów i w kazamatach więzień trzymani tam starzy bolszewicy nie przestawali wierzyć w sprawiedliwość ustroju i słuszność

idei. Własne cierpienia uważali za jakąś tragiczną pomyłkę i za przestępczą samowolę lokalnych kacyków.

Okropności obozowej cywilizacji początkowo były wielką tajemnicą, a potem niebezpiecznie było już o nich mówić. Pierwszą nieśmiałą jaskółką była słynna powieść Leona Pasternaka „Doktor Żiwago", potępiona i skrytykowana w ZSRR.

Jednym z pierwszych, który odważył się głośno naświetlić tę sprawę był Aleksander Sołżenicyn, pisarz i noblista, 11-letni więzień tych obozów. Za ujawnienie prawdy w takich znanych powieściach jak „Archipelag Gułag", czy „Jeden dzień z życia Iwana Denisowicza", został wydalony z ZSRR w roku 1974. Rozumiejąc, że Rosja jest jednym, wielkim łagrem, dedykował swe książki „tym wszystkim, którzy nie dożyli, żeby o tym opowiadać".

W latach 70-tych i 80-tych pojawiło się wiele dzieł literackich na ten temat. Między innymi, o Kołymie i Magadanie wstrząsające powieści: „Saneczki" Gieorgija Zżenowa, oraz „Opowieści Kołymskie" Szałamowa - a Wałodia Wysocki śpiewał z goryczą :

„Najwyżej pieśń zaśpiewam wam
o tym co kumpel widział tam,
gdzie mapa pełna białych plam,
gdzie Magadan, gdzie Magadan."

albo :

„Za niewinność, za wiarę, za ten cały raj
rajskie życie zgotował mi sąd –
Tajgę, tundrę i step po najdalszy skraj
Przemierzyłem wśród śniegów i błot..."

8. Szpital w Jegoriewsku

Wracając do przerwanego mego wątku leśnego, to znalazłem się w wojskowym szpitalu zdany na łaskę i niełaskę miejscowych łapiduchów.

Jegoriewsk, w którym znajdował się szpital, był niedużym miastem położonym około 100 km na wschód od Moskwy i liczącym niecałe 50 tysięcy mieszkańców.

Pobyt mój tutaj wydawał się być prawdziwym rajem. Czuwający nade mną dobry i łaskawy Los nie tylko uchronił mnie przed niechybną śmiercią, ale pozwolił jeszcze przebyć trzy długie miesiące w otoczeniu bardziej cywilizowanym i przyjaznym oraz odzyskać poważnie nadwyrężone chorobą siły.

Pełna ciepła i słońca wiosna potęgowała optymizm i wyraźnie sprzyjała mojej szybkiej rekonwalescencji. Zadziwiające, że tym razem środowisko szpitalne ludzi często ciężko chorych, a nawet umierających wpłynęło bardzo pozytywnie na mój stan psychiczny. Uwolniony od obozowego koszmaru tu można się było poczuć chociaż w części człowiekiem.

Mimo, że warunki ogólne jak i lekarsko-sanitarne nie były tu najlepsze, był to nowy, inny i wspaniały świat. Wszystko było tu cudowne – łóżko, prześcieradło, poduszka , koc, ciepłe i oświetlone elektrycznie pomieszczenia, jedzenie na talerzu, picie ze szklanego kubka, mycie się w ciepłej wodzie, a przede wszystkim miły i serdeczny stosunek personelu.

Niemałym przeżyciem był też widok normalnych, młodych kobiet, sanitariuszek, które w swych białych kitlach wydawały się czasami mym otępiałym zmysłom niczym wyczarowane przez jakąś dobrą wróżkę anioły.

Gdy tylko nieco przyszedłem do siebie, skromne przydziałowe porcje jedzenia przestały wystarczać, a wygłodzony organizm domagał się coraz więcej kalorii.

I tu przyszło mi z pomocą zamiłowanie do rysowania. Zaczęło się od zrobienia ołówkowych portrecików dwóm leżącym obok sąsiadom. Kiedy wieść o „portreciście polaczku" się rozniosła, zdobyłem szerszą klientelę, zwłaszcza wśród damskiego personelu pielęgniarskiego. Największym osiągnięciem było jednak wykonanie podobizn dwóch przemiłych kucharek, które odtąd z wdzięczności dokarmiały mnie po cichu tzw. „dobawkami", czyli dodatkowym jedzeniem.

Nie dość tych profitów, to jeszcze jako „artist" dostawałem sporo czystego papieru, ołówki, a nawet czerwoną kredkę. Korzystając z tego zrobiłem sobie dwa piękne zeszyty, które służyły mi odtąd do robienia różnego rodzaju zapisków i notatek.

A było tego wiele. Przeważnie odtwarzałem z pamięci niektóre ważniejsze wiadomości szkolne, jak wzory matematyczne i fizyczne, daty i fakty historyczne, krótkie charakterystyki poetów i pisarzy, czy wreszcie wybrane informacje z historii sztuki. Było tam też sporo wierszy i piosenek, które znałem na pamięć, a w końcu trochę własnych wierszowanek.

Całe to „pisatielstwo" miało na celu jak najlepsze utrwalenie w pamięci posiadanej wiedzy. Mając dużo czasu, bawiłem się też w szkicowanie projektów architektonicznych. Były one naturalnie wówczas bardzo naiwne i nieudolne, ale cieszyły i rozbudzały wyobraźnię.

Znalazłszy się w nowym środowisku, początkowo brak mi było przyjaciół i kolegów obozowych, zwłaszcza że moi chorzy towarzysze z „pałatki" (sali) byli przeważnie prostymi ludźmi niezbyt skorymi do rozmów. Nie mówiąc już o tym, że wielu ich było Rosjanami.

Wkrótce jednak przypadek sprawił, że zatrudniono mnie w zespole wykonującym wszelkiego rodzaju wykresy obrazujące ogólną działalność szpitala. Było to bardzo przyjemne zajęcie, ale co najważniejsze przy tej sposobności poznałem dwóch wspaniałych ludzi, współpacjentów i starszych kolegów z AK. Szybko polubiliśmy się i zaprzyjaźnili.

Jeden z nich, kolega Kryński, którego imienia niestety nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, był inżynierem i kierował tym naszym graficznym zespołem. Był to wysoki, szczupły i przystojny blondyn o nobliwym wyglądzie, nienagannych manierach i pogodnym usposobieniu. Z jego zawsze starannie ogolonej twarzy biła bystrość i inteligencja.

Drugi kolega, Aleksander Żaba, był jakby jego przeciwieństwem. Był człowiekiem krępym i niskim o niezwykle bystrym i przenikliwym spojrzeniu. Jego czarny, bujny zarost był, jak na nasze warunki, czymś niespotykanym nadającym mu wygląd tajemniczy i trochę egzotyczny. Zawsze powolny, skupiony i poważny posiadał wyjątkową inteligencję i erudycję. Tytułowano go doktorem, ale nie jestem pewny czy był nim w istocie. Sam się określał jako filozof i okultysta.

Obaj panowie bardzo szybko zorientowali się, że w mojej osobie mają do czynienia z ambitnym i żądnym wiedzy młodszym kolegą, dopiero co po maturze. Widocznie to sprawiło, że upatrzyli sobie mnie za swojego obozowego ucznia i studenta.

Mając świeżo w pamięci literaturę młodzieżową i przygodową, którą jeszcze nie tak dawno się zaczytywałem, poczułem się trochę w roli Dantesa z „Hrabiego Monte Christo", którego współwięzień ojciec Faria kształcił w lochu twierdzy If.

Postanowiłem więc jak najskrzętniej wykorzystać nadarzającą się okazję. Codziennie po kilka godzin spędzaliśmy na rozmowach. Dr Żaba prowadził prawdziwe wykłady, a jego

wywodów filozoficznych i okultystycznych słuchałem z zapartym tchem, notując je potem wieczorami w nowo sporządzonych zeszytach. Prelekcje doktora uzupełniał kolega Kryński swymi szerokimi wiadomościami z nauk ścisłych, a zwłaszcza z fizyki współczesnej, matematyki i astronomii.

Myślę, że moje późniejsze, powojenne zainteresowania tymi dziedzinami wiedzy brały się również z tej przypadkowej, szpitalnej edukacji.

Ponieważ, jak wspomniałem, przekazywana przez doktora okultystyczna wiedza była niekonwencjonalna, nieco tajemnicza a nawet trochę dziwaczna, chcę poświęcić jej nieco więcej miejsca i przytoczyć niektóre ciekawsze jej tezy i założenia.

W dużym skrócie okultyzm to nauka tajemna, wiedza hermetyczna, niedostępna dla ogółu egipsko-hellenistyczna forma gnostycyzmu oparta na wierze w istnienie tajemniczych sił w przyrodzie i człowieku. Poprzez zjawiska metapsychiczne i parapsychologiczne oraz praktyki typu magicznego ma ona na celu kierowanie zachowaniem człowieka i przyrody.

Tyle na temat oficjalnej definicji okultyzmu.

Nasz doktor Żaba snując swoje sugestywne i zaskakujące czasem wywody, wzbudzał nie tylko ogromne zainteresowanie, ale wytwarzał równocześnie jakiś tajemniczy nastrój, w którym pobrzmiewał chwilami głos proroka. Twierdził, że jako mistyk, gnostyk, metafizyk a przede wszystkim okultysta, jest w pierwszym rzędzie poszukiwaczem Boga.

Jego wiedza, jak dowodził, jest nauką egzoteryczną, potrójnie tajemną, wywodzącą się ze starożytnego Egiptu i Babilonu. Już za czasów egipskich kapłanów była ona syntezą nauk spirytystycznych, materialistycznych i panteistycznych. Jest to filozofia absolutna, bowiem daje wiedzę i władzę nad siłami nadprzyrodzonymi. Przedmiotem jej jest to co nieznane, ale to co zna skrzętnie ukrywa. Opiera się na matematyce – liczbie, dzięki czemu jest obiektywna i niewzruszalna.

Drogowskazem w życiu człowieka jest liczba i cały świat zawdzięcza jej swój kształt i porządek, jako że liczba jest istotą wszechrzeczy. Ciekawa jest symbolika liczb i ich podział na parzyste, bierne – żeńskie, i nieparzyste, czynne – męskie. Tak np. liczba 5 (2 + 3) to połączenie harmonijne pierwiastka żeńskiego z męskim.

W myśli europejskiej tę interpretację symboliczną i alegoryczną przejęli pitagorejczycy. Pitagoras uważał, że najdoskonalszą z liczb jest cyfra „3" zawierająca w sobie trzy pojęcia : początek, środek i koniec.

Interesujące jest, że Einstein pod koniec życia pragnąc stworzyć uniwersalną teorię wszechświata i zastanawiając się dlaczego stałe fizyczne mają taką a nie inną wartość, doszedł do tego samego wniosku, że o naszym świecie i życiu zdecydowały liczby. To liczby określiły nasz los i budowę naszego ciała. Ich zmiana spowodowałaby, że gatunek ludzki nie mógłby istnieć.

Emocjonujące i frapujące były też opowieści doktora o Atlantydzie. Jego zdaniem ten zaginiony ląd był w swoim czasie pomostem między kulturami Babilonu, Chaldei, Egiptu a nawet Indii i cywilizacją Inków. Zatopienie Atlantydy było powodem przekroczenia pewnej bezpiecznej porcji wiedzy, która naruszyła porządek w przyrodzie.

Już z tego, co zostało tu powiedziane, trudno się dziwić jak bardzo były to dla mnie tematy zajmujące i podniecające. Niewątpliwie związane to było również z moimi zainteresowaniami filozoficznymi próbującymi w młodym umyśle poszukiwać i kształtować swój własny światopogląd.

Słuchałem więc z zapartym tchem o znaczeniu i symbolice ras ludzkich oraz różnych kultur i żywiołów, o gwiazdach i planetach, o wszechświecie i kosmosie i wreszcie o tym co było mi najbliższe – o świecie ducha i materii. Tym zagadnieniem interesowałem się już na długo przed maturą, a przestrzeń, czas, energia i materia wiązały się ściśle z fizyką, którą się pasjonowałem. Fizyka bowiem już dawno wkroczyła na tory transcendentalne zajmując się zagadką bytu, kosmosu i teologii.

Właśnie tę zależność ducha, energii i materii pięknie ujmował nasz natchniony filozof. Te trzy pojęcia stanowią absolutną trójjednię :

Duch jest przejawem Boga
Energia jest przejawem ducha
Materia jest przejawem Energii

A życie to związek ducha z materią przy pomocy energii.

Obok tego rodzaju prelekcji, nie brak też było rozmów i dyskusji na tematy aktualne, a zwłaszcza polityczne. Dr Żaba, jako filozof, sporo mówił i dyskutował o marksizmie. Tak się złożyło, że w szpitalu gdzieś cudem zdobyłem sztandarowe dzieło Marksa „Kapitał". Oczywiście daleki byłem od jakiegoś studiowania marksizmu, a w dodatku książka ta była w języku rosyjskim. Nie mniej pobudzała do rozmów na ten temat.

Pozwolę sobie przeto w tym miejscu streścić krótko nasze rozważania o Marksie. Tym bardziej, że jego filozofię wykorzystała skrzętnie władza leninowska czyniąc ją podwaliną komunistycznego totalitaryzmu, oraz duchowym orężem ideologii proletariackiej.

Źródłem chorej i niszczycielskiej doktryny marksistowskiej był pogląd, że rozwój historii dokonuje się przez skoki rewolucyjne oraz przyjęcie moralnego relatywizmu Nitzschego z jego względnością i subiektywnością prawdy. Doktryna ta stała się narzędziem władania ludźmi i służebnicą polityki, głównie dzięki założeniu, że wobec społeczeństwa i sił dziejowych, jednostka ludzka nic nie znaczy. Brak szacunku dla poglądów indywidualnych oderwało marksizm od myśli krytycznej, bez której nie ma myślenia i niemożliwe jest wszelkie poszukiwanie prawdy.

Marks przeciwstawiał komunizm kapitalizmowi. Według niego, kapitalizm miał być ustrojem przejściowym, który zniknie w drodze rewolucji socjalistycznej. Nie był to jedyny błąd jego wydumanych teorii. Wiele jego przewidywań nie sprawdziło się. Klasa robotnicza nie ubożała, klasa średnia nie przestała istnieć, mechanizacja nie zmniejszyła dochodów kapitalistów, a środki produkcji w rękach państwa okazały się niewydolne i szkodliwe.

Błędna, wręcz kretyńska, a nawet zbrodnicza była teza o zaostrzeniu się w miarę rozwoju walki klasowej i podział społeczeństwa na część postępową i wsteczną, na uciskających i na uciskanych. Wielką pomyłką było zaliczenie chłopstwa do sił konserwatywnych i upatrywanie proletariatu jedynie w miastach. Przyczyniło się to do zbrodniczej polityki władz sowieckich wobec wsi.

Marksizm poprzez nienawistną, antagonistyczną ideologię społeczną, zakładającą walkę klas, stał się oparciem i katechizmem najkrwawszego i najbardziej nieludzkiego systemu na świecie.

Już tylko od siebie dodam, że przez całe dziesięciolecia powojenne nasza młodzież zmuszana była do wkuwania jego poronionych leninowsko-marksistowskich podstaw ekonomii politycznej, jako podstawowej wiedzy obywatelskiej. Ta indoktrynacja na szczęście mnie ominęła, gdyż zaczęła się w połowie lat 50-tych, kiedy już ukończyłem studia.

Chcę na koniec nadmienić, że Marks na skutek swoich rewolucyjnych poglądów był prześladowany w Niemczech i wielokrotnie wydalany z innych krajów europejskich. Jakiś złośliwy żart historii sprawił, że osiadł w Anglii i właśnie w tym kraju, na londyńskim

cmentarzu Highgate, w mieście, które jest niemal symbolem kapitalizmu, znajduje się jego grób. Przez długi czas powojenny było to sanktuarium komunistyczne i miejsce pielgrzymek różnych delegacji z krajów socjalistycznych. Dziś, po totalnym upadku i katastrofie komunizmu na całym świecie oraz triumfu systemu kapitalistycznego, stoi osamotniony i świadczy o porażce przepełnionego pychą umysłu.

Po przytoczonej marksistowskiej wstawce, wracam znowu do mego pobytu w szpitalu.

W międzyczasie zaaferowany niezwykłą i fascynującą edukacją, ani się spostrzegłem jak zbliżał się już koniec kwietnia. Po miesiącu leczenia stan mego zdrowia był już na tyle dobry, że zaczęto przebąkiwać o odesłaniu mnie z powrotem do obozu.

Ale wtedy znowu mój szczęśliwy Los uśmiechnął się do mnie i sprawił, że niespodziewanie lekarskie władze szpitala zadecydowały o zatrzymaniu mnie jeszcze, gdyż jestem im potrzebny. Sądzę, że sprawiła to zaskakująca i niewytłumaczalna sympatia jaką obdarzała mnie sama dyrektor szpitala, dr Rachel Isakowna.

Ta starsza już pani, Żydówka, polubiła mnie zapewne, jak niektórzy sobie żartowali, ze względu na moje krucze, czarne włosy i duży nos sugerujący semickie pochodzenie. Nazywała mnie pieszczotliwie „moj czornyj malczik".

Pewnego dnia, rozanielona pani dyrektor wprawiła mnie niemal w osłupienie, kiedy wezwany do jej gabinetu usłyszałem mniej więcej następujące słowa :

„Malcziszka, na czto tiebia wazwraszczat'sia w rodinu ? U mienia jest' muż, profiesior uniwesiteta i w Maskwie imiejem balszuju kwartiru. Ot u nas niet dzietiej, tak ty kak synok astaniosz sia s nami."

I dalej roztoczyła przede mną wizję wszelkiej szczęśliwości z zapewnieniem, że będę studiował na uniwersytecie i niczego nie będzie mi brakowało. Kiedy grzecznie, ale stanowczo odpowiedziałem, że dziękuję ale jestem Polakiem i mam swą własną rodzinę, nie dając za wygraną, prosiła bym jeszcze poważnie przemyślał jej propozycję.

Po tej niespodziewanej ofercie jedna rzecz nie dawała mi spokoju : Isakowna wspomniała o powrocie do Polski. I znowu zaświtała iskierka nadziei, czyżby ona coś wiedziała, czyżby miano nas uwolnić ?

Ten ożywiony natłok myśli o powrocie podsycał zbliżający się koniec wojny. Znajdujące się w szpitalu głośniki radiowe, obok nadawanych co pewien czas rosyjskich i radzieckich pieśni, podawały wiadomości. Z grubsza więc wiedzieliśmy co się dzieje na frontach.

16 kwietnia rozpoczęła się ostateczna ofensywa na Berlin i wtedy nasze głośniki szalały i nieustannie podawały patetyczne komunikaty o niezwyciężonej Sowieckiej Armii dobijającej „faszistawo zwieria w jewo sobstwiennom barłogie". Ostateczne rozstrzygnięcia następowały jedne po drugich jak lawina. 21 kwietnia Sowieci są już na przedmieściach Berlina. 25-tego następuje spotkanie wojsk Frontu Zachodniego i Wschodniego w Torgau. 29-ego kwietnia Mussolini został powieszony w Mediolanie. Następnego dnia podano uroczyście, że Hitler popełnił samobójstwo, a na ruinach Reichstagu zatknięto zwycięską czerwoną flagę.

Wreszcie 8 maja przyszła upragniona wiadomość, na którą czekały setki milionów ludzi na całym świecie przez ponad 5 długich lat. Niemcy ostatecznie poddali się podpisując bezwarunkową kapitulację wobec sił sprzymierzonych.

Pamiętam, jak zagrzmiał z głośników hymn radziecki „Sajuz nieruszymych sawieckich respublik...". Pamiętam tę nieopisaną, spontaniczną radość, kiedy rzuciliśmy się sobie nawzajem w ramiona dzieląc się tym szczęściem oraz śmiejąc się i płacząc na przemian. Nikt nie zastanawiał się kogo ściska, Polaka, Rosjanina czy Ukraińca. Ta radość pozwoliła na chwilę zapomnieć o nienawiści i krzywdzie. Poczuliśmy się jedną ludzką rodziną, którą zespoliła ta straszna wojna zadając wszystkim tak bolesne i głębokie rany.

Nastroje i atmosfera wśród polskiej części przebywających tu pacjentów ożywiła się znacznie. Wrócił optymizm i nadzieja na powrót do kraju, nadzieja na ujrzenie swoich najbliższych i nowe życie w normalnych warunkach.

Niestety, wtedy już wiedziałem, że moi rodzice zostali aresztowani i przebywają w wileńskich więzieniach, a nasze mieszkanie na Zarzeczu po doszczętnym splądrowaniu, przestało istnieć. Te wieści dotarły do mnie przez Wilno, dzięki życzliwej rodzinie mego przyjaciela Jurka.

Liczyłem naiwnie, że koniec wojny przyspieszy szybkie ich uwolnienie i pozwoli nie długo spotkać się naszej trójce znowu w Wilnie. Tymczasem ich więzienno – obozowa gehenna dopiero się zaczynała, a koszmarny bezmiar cierpień i poniewierki miał trwać jeszcze przez wiele długich lat. Na zbrodniczy plan wyniszczenia polskiego narodu przez zdegenerowany system stalinowski wojna nie miała żadnego wpływu.

Jeżeli chodzi o mnie, to w jegoriewskim szpitalu czułem się coraz bardziej zadomowiony. Moje samorodne, czasem wątpliwe talenty, znalazły tu niespodziewany podziw i uznanie oraz wyjątkowo przychylne środowisko do ich rozwoju.

Nasz zespół graficzny wykonywał teraz dodatkowo szereg napisów i transparentów z okazji zakończenia Wielkiej Ojczyźnianej Wojny. Dr Żaba dalej prowadził swoje ciekawe prelekcje. Ja zaś idąc z kolei w jego ślady zacząłem, o zgrozo, sam zabawiać się w nauczyciela.

Tak się złożyło, że mając zamiłowanie i łatwość uczenia się języków, posiadałem jako taką znajomość języka angielskiego. Dla Rosjan język ten był niemal egzotyczny i prawie zupełnie nieznany. Nie wiem, czy była to jakaś nowa moda, czy przypadek, czy też może zwykły snobizm, dość że dwoje lekarzy poprosiło mnie o zaznajomienie z podstawami tego anglosaskiego „ległydża". Początkowo wymawiałem się zbyt słabym opanowaniem zarówno angielskiego jak i głównie rosyjskiego. Wkrótce jednak doszedłem do wniosku, że będzie to wspaniała okazja do podciągnięcia się samemu w obu językach równocześnie.

Na marginesie warto przypomnieć, że angielski właśnie gdzieś od połowy naszego wieku stał się najbardziej ekspansywnym językiem etnicznym w skali światowej. Jak wiemy, jego obecna rola wciąż rośnie i język ten stał się niezwykle ważnym elementem komunikatywnym wspólnoty nowoczesnych społeczeństw.

Tak więc jestem przekonany, że z tych dziwnych lekcji sam odniosłem więcej korzyści niż moi słuchacze. Nieocenionym skarbem okazał się wytrząśnięty gdzieś z lamusa przez moich „wraczy" stary, sfatygowany słownik rosyjsko-angielski. Na szczęście moje usługi edukacyjne nie trwały zbyt długo, a cenny starodruk pozostawiono mi aż do końca pobytu w szpitalu.

Muszę jeszcze dodać, że ogromną pomocą był też własny mój słowniczek polsko angielski z serii „liliputów", który cudem ocalał przy wszystkich rewizjach i kradzieżach, i który o dziwo, choć w opłakanym stanie, powrócił ze mną do Warszawy.

Moją pozycję w szpitalnym światku umacniały i utrwalały również moje występy pianistyczne w miejscowej świetlicy, gdzie grywałem ze słuchu wyuczone w Wilnie różne prościutkie melodie. Najczęściej były to walce i tanga.

Kiedyś zapytany czy czasem nie gram w brydża, nieostrożnie odpowiedziałem „niemnoszko". Jako, że nie było zbyt wielu graczy znających dość skomplikowane zasady Culbertsona, a personel lekarski lubił sobie pograć, zapraszano mnie wielokrotnie jako czwartego do stolika.

Brydżowe umiejętności zawdzięczałem memu ojcu, który całe życie był zapalonym i doskonałym brydżystą. Usiłował zrobić ze mnie współpartnera, ale szybko zrezygnowałem z nauki. Ojciec zbytnio się denerwował moimi zagrywkami, a ja nie wytrzymywałem jego ciągłych uwag i pretensji.

Czas płynął, a mnie ciągle trzymano w „bolnicy" starając się w maksymalnym stopniu wykorzystywać moje umiejętności. Dodatkowym atutem była już wtedy słaba, ale wystarczająca do potocznego, swobodnego porozumiewania się znajomość rosyjskiego. Przyszła ona sama przez ciągły i bezpośredni kontakt z personelem oraz poprzez liczne lektury w tym języku, których mi sporo dostarczano.

Z językiem rosyjskim zetknąłem się po raz pierwszy w gimnazjum za czasów sowiecko-litewskich, kiedy to wprowadzono obowiązkową naukę litewskiego i rosyjskiego. Podobnie, jak to odczuwała większość młodzieży wileńskiej, obie mowy były dla nas nie tylko zupełnie obce, ale też, jako siłą narzucone, wrogie i nienawistne.

Szczególnie do języka rosyjskiego my, Polacy, mieliśmy od stuleci niemal wrodzoną, historyczną odrazę i niechęć. Język ten był bowiem jednym z głównych narzędzi rusyfikowania Polaków. „Niczto tak nie sojedinajet pobieżdionnyje narody s pobieditielami, kak jazyk" – mawiali nasi wschodni sąsiedzi. Nic dziwnego, że i carowie i ich sowieccy następcy w podbitych, czyli „wyzwolonych" przez siebie krajach, wprowadzali we wszystkich szkołach naukę języka rosyjskiego. Miało to zruszczać nasze dusze, a od roku 1939 zaszczepiać nierozłączną przyjaźń i miłość do Związku Sowieckiego.

Mimo tego negatywnego nastawienia i wewnętrznych oporów zaistniałe okoliczności skłaniały do bliższego zapoznania się z tym językiem. Resztę zdziałało moje zamiłowanie do nauki języków obcych.

Początkowo wszystko wydawało się niespodziewanie łatwe. Przede wszystkim podobieństwo do naszej mowy oraz fakt, że byłem przyzwyczajony do wileńskiego akcentu i sposobu mówienia pełnego rosyjskich naleciałości. Ta sama swoista i śpiewna nuta oraz zawodząca, zaciągająca intonacja.

Jednakże w miarę zagłębiania się w arkana tego języka zaczęły się przysłowiowe schody. Najgorzej było z czytaniem i pisaniem, a wszystko przez te nieszczęsne „bukwy". Silne wpływy grecko-bizantyjskie i niejako chęć zdecydowanego odcięcia się od kultury łacińskiej zaowocowała wynalezieniem cyrylicy. Już sam ten alfabet stanowił niewidzialną granicę między kulturą rosyjską a europejską i stwarzał dodatkowe trudności w opanowaniu języka.

Okazało się również, że wymowa rosyjska też nie jest taka prosta, bo akcentowanie zgłosek jest swobodne i ruchome i nie ma w tym względzie wyraźnych reguł. Także słowiańskie podobieństwo między rosyjskim a polskim bywało paradoksalnym utrudnieniem, gdyż zbytnio wydawało się, że niemal wszystkie słowa są identyczne lub prawie identyczne, a trzeba je tylko odpowiednio miękko i melodyjnie wymówić.

Przypomina mi się na ten temat zabawna anegdota. Otóż polski żołnierz pyta ruskiego bajca : Jak po waszemu stół ? – Stoł, odpowiada krasnoarmiejec. – A jak chleb ? – Chlieb - A jak łyżka ? – Łożka. Wreszcie zdziwiony Polak pyta : „Nu skaži, a kak u was d... ? – Żopa ! Na to nasz : Eh, to warto było dla jednego wyrazu zmieniać cały język na inny ?

Trzeba też powiedzieć, że w przyswajaniu sobie rosyjskiej mowy w ciężkich warunkach obozowych, poza względami psychologicznymi, przeszkadzał kontakt z ordynarnym, koszarowym i wulgarnym językiem, jakiego używali potocznie nasi nadzorcy i prześladowcy.

Nie do wiary jak bardzo ten prostacki, chamski, zdegenerowany i splugawiony język daleki był od języka wielkich poetów i prozaików rosyjskich. Komunizm potrafił zbrukać i odczłowieczyć nawet język narodowy. To była mowa motłochu i hołoty bolszewickiej, zdemoralizowanego wojska, śledowacieli i donosicieli oraz wszystkich mętów społecznych. Musiała się przecież czymś różnić od burżuazyjnej wielkiej literatury rosyjskiej.

Nasi sierżanci lubowali się i prześcigali w wyszukanych przekleństwach. Czynili to tym bardziej bogato i obrazowo, ponieważ „rugacielstwo" czyli przeklinanie było w wojsku przyjętą powszechnie normą, a w obozach wobec więźniów koniecznością i obowiązkiem.

Ciągłe ruganie nas i wyklinanie najgorszymi wyzwiskami miało na celu zgnojenie, wdeptanie w ziemię i pozbawienie nas wszelkiej godności. Była to też forma okazywania swej wyższości oraz, zamiast smagania biczem, „zhumanizowany" sposób znęcania się i poganiania niewolników.

W Rosji im kto potrafi lepiej kląć, tym większe zdobywa uznanie. Ten tylko jest szanowany i uważany za mocnego człowieka, kto klnie, pije, bije i morduje. Używanie najwymyślniejszych wyzwisk i przekleństw należy do dobrego tonu, dodaje mowie ekspresji i stwarza ulubione przez Rosjan skróty myślowe.

Nigdy nie zapomnę, jak jeden z byłych lotników myśliwskich opowiadał nam o swej powietrznej walce z „germańcem". Relacja ta, ilustrowana gestami obu rąk, brzmiała w dużym skrócie mniej więcej tak : „Nu znaicie, tak ja ibi twoj mać (tu ręka w dół) i job twoju mać (tu gest w górę), a germaniec ..." – i znowu te same zwroty i te same gesty obrazowały bitwę – „A patom ja job ... tra, ta , ta, ta i faszist paszoł w pizdu ..."

Ta bohaterska walka oddana była rzeczywiście wiernie, zwięźle i wyjątkowo soczyście.

Jędrność i skrótowość tego rodzaju mowy świetnie też oddaje dowcip o czerwonoarmiejcu, który wyjaśnia koledze – co to jest fajerwerk. „No znajesz, eto s naczała ni chuja (gest), a patom ... ibi ...twaju ... mać ! (gwałtowny gest w górę).

Każdy język obfituje w wulgaryzmy. Ich stosowanie, bądź nie używanie świadczy o kulturze mówiącego. Polszczyzna wiele wulgaryzmów zaczerpnęła od Rosjan. Ale chyba w żadnym języku świata nie ma tak haniebnych i bezczeszczących największe świętości wyzwisk i przekleństw. Chyba nikt tak nie splugawił najpiękniejszego słowa, jakim jest „Matka". Znane powszechnie było powiedzenie „skląć kogoś od matuszki".

Nic więc dziwnego, że po sowieckich doświadczeniach do dziś czuję do tego języka antypatię i odrazę oraz nieodparcie kojarzy mi się on wciąż z prostactwem i chamstwem.

Muszę jednak przyznać, jak już miałem sposobność o tym pisać, że nawet wtedy w najtrudniejszych chwilach słyszałem jakby inny rosyjski język. Język, który w słowach niektórych wierszy i piosenek urzekał i wzruszał jakąś dziwną muzyką smętną, wylewną i szeroką, jak „ruskaja ziemla". Zastanawiające, że przez tyle lat nie uszły mi one z pamięci,

że nawet teraz powtarzam z prawdziwą przyjemnością rosyjskie teksty pieśni i piosenek z tamtych lat.

I później, w czasie studiów miałem pewien krótki okres zainteresowania poezją rosyjską. I wtedy, w jej oryginalnym brzmieniu znajdywałem dotąd dla mnie nie odkryte piękno i zaklętą w niej śpiewną muzykę. Jak mi się wydawało, mogłem wówczas zrozumieć do końca – dlaczego Rosjanie są narodem tak uzdolnionym muzycznie i tak rozkochanym w śpiewie ?

Pod koniec mego pobytu w szpitalu przychylne mi kierownictwo pozwalało na sporadyczne, niemal samodzielne moje eskapady do miasta. Odbywało się to z reguły przy okazji odwożenia lub przywożenia bielizny z pralni, bądź tez transportu jakiś potrzebnych materiałów dla szpitala.

Jeżeli chodzi o samo miasto, to podobnie do Kaługi wyglądało na puste i wymarłe. Przeważały tu domy jednopiętrowe, w dużej części drewniane, ale tak samo zaniedbane, odrapane i brudne. Jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie robiły zaśmiecone podwórka z niezliczoną ilością rozpadających się drewutni, szop, budek, przybudówek i komórek. Wszystko to wyglądało, jak gdyby czas cofnął się tu przynajmniej o sto lat.

Szokujący był widok tutejszego bazaru. To był smutny obraz nędzy i zacofania, przerażający swym ubóstwem i prymitywizmem życia codziennego. Nie pamiętam, abym tam widział jakieś stragany czy nawet najprostsze stoły sprzedażne. Cały handel to „babuszki i dzieduszki" rozkładający na chustkach, szmatkach czy gazetach swój skromny towar. A to pięć czy dziesięć ziemniaków, dwa czy trzy pomidory, a to kilka ogórków, jakaś marchewka czy parę buraków. Jakaś babuleńka usiłowała spieniężyć kawałek chleba. Jej dobre oczy w pomarszczonej oprawie mówiły o wszystkim, o tym całym rosyjskim ludzie wynędzniałym, głodującym, zapomnianym przez Boga oraz pogodzonym ze swym losem i ze swym cierpieniem.

Z moich wyskoków poza obręb szpitala największym wydarzeniem był dwukrotny wyjazd do Moskwy. Raz transportem samochodowym załatwialiśmy w tamtejszej hurtowni zapas leków, drugim razem pociągiem odwoziłem w asyście pielęgniarza jednego z chorych do szpitala moskiewskiego.

Miałem to szczęście, że za każdym razem przydzielano mi dość liberalny i dyskretny nadzór pracowników szpitala. W dodatku moi towarzysze albo mieli chyba przykazane przez panią dyrektor, by pokazać mi nieco stolicę, albo też sami pragnęli pochwalić się wielkością i wspaniałością swej ukochanej Moskwy. W każdym razie w dość ograniczonym czasie starali się pokazać jak najwięcej najważniejszych miejsc tej olbrzymiej aglomeracji miejskiej.

Moskwa za czasów komunistycznych była dumą i wizytówką sowieckiego Imperium. Miasto o złotych kopułach dla prostych „czubaryków" i dzisiaj jest symbolem potęgi i bogactwa narodu. To miasto – gigant miało zadziwić świat swą monumentalnością, mocarstwowością i przepychem. Wszystko tam zostało podporządkowane temu celowi. Kiedyś Moskwę nazywano 3-cim Rzymem (po Rzymie i Konstantynopolu). Nie darmo znane powiedzenie rosyjskie powiada : „Kto nie był w Moskwie, piękna nie widział".

W rzeczywistości, tak naprawdę, poza kilkoma malowniczymi cerkwiami czy soborami, nie wiele tam tego piękna. Nawet metro, chluba miasta, do którego podążyliśmy w pierwszym rzędzie, mimo że było wielkie i przestronne, raziło nadmiernym bogactwem

tandetnego detalu, kryształowych świeczników i olbrzymią ilością różnorodnych złoceń. Jakby złoto miało moc upiększania nawet największego brzydactwa.

Stara Moskwa, również ta sprzed rewolucji, praktycznie nie istnieje, gdyż była przeważnie drewniana i albo rozpadła się ze starości, albo też została celowo zburzona. Na jej miejscu powstały olbrzymie socjalistyczne, ponure blokowiska.

Dawniej z cegły i kamienia budowano tylko pałace i cerkwie, a te niszczyli bolszewicy. Tam gdzie kiedyś skupiała się kupiecka, barwna Moskwa dzisiaj są biura i urzędy ziejące szarzyzną, nudą i pustką. Tam gdzie kiedyś wśród gęstej zabudowy kipiało życie, teraz przebiegają nieprawdopodobnie szerokie i wyludnione ulice. Plac Czerwony to jedna wielka kamienna pustynia.

Nawet zabytkowy Kreml otoczony ponurym, czerwonym murem zrobił na mnie przygnębiające wrażenie. Wzdłuż tego muru ciągną się szerokie pasy wybrukowanego pustkowia. To szpecące i nieprzyjemne odludzie w środku miasta podyktowane było względami bezpieczeństwa sowieckich przywódców. W ten sposób bardzo trudno było niezauważonym zbliżyć się do murów.

Ogólne odczucie pustki było dla mnie charakterystyczną cechą Moskwy, potęgowaną jeszcze przez brak ludzi i pojazdów na ulicach. Pamiętam, jak mnie ten ogrom przestrzeni przerażał swą nieludzką skalą i jak zniechęcał do chodzenia. Nawet przejście na drugą stronę ulicy było niemałą wyprawą i wymagało dobrego zastanowienia czy w ogóle warto dokonywać takiego wysiłku.

Jedną z osobliwości moskiewskiej ulicy było nagminne, powszechne noszenie przez mieszkańców różnych mundurów, orderów i odznaczeń.
Od szarego, jednostajnego tłumu odbijał się wyraźnie człowiek w mundurze. Dopiero mundur i order dawały obywatelowi pełnię satysfakcji.

Ci, którzy nie byli odznaczeni nosili dowolne znaczki przypinane na piersiach. Najpopularniejsze były wszelkiego rodzaju gwiazdy i gwiazdki czerwone z Leninem czy Stalinem.

Myślę, że ta niezwykła, snobistyczna słabość miała swoje źródło jeszcze w Rosji carskiej. Właśnie tam wykształcił się wyjątkowy kult orderu. Przyszedł on z zachodu, ale rozwinął się pod wpływem wschodniego zamiłowania do bogactwa, do złota, różnego rodzaju klejnotów i do wszystkiego co się świeci.

Carska administracja nie szczędziła wszelkich odznaczeń nie tylko w wojsku, ale też urzędnikom i czynownikom. Charakterystyczną dla Rosji orderomanię przedstawia znany, realistyczny obraz Fiedotowa pt. „Świeżo upieczony kawaler orderu". Rozmamłany i ubrany w szlafrok prostak o kretyńskim wyrazie twarzy z dumą pokazuje zawieszony na piersi order.
Istotnie, posiadanie orderu automatycznie nobilitowało i umacniało pozycję społeczną nawet najbardziej prymitywnego indywiduum.

Jednak, jak żeśmy się sami przekonali, w dziedzinie orderów i odznaczeń dopiero władza radziecka wzniosła się niemal na niedoścignione wyżyny. Piersi sowieckich ludzi zabłysnęły prawdziwą obfitością złota, błyszczącego metalu i kolorowej emalii. W tym zadziwiającym, omal patologicznym zjawisku, kryła się nieposkromiona chęć wybicia się z szarej i biednej ludzkiej masy. Było to coś, co wyróżniało człowieka, dodawało ważności i splendoru, coś co wzbudzało zazdrość i polepszało samopoczucie.

Ordery, odznaczenia, gwiazdy, krzyże, medale, odznaki i plakietki często nie mieściły się na piersiach odznaczonych. Typowe, wprawiające w zdumienie, a równocześnie humorystyczne były specjalne zdjęcia generałów i marszałków radzieckich w sztywnych mundurach obwieszonych od stóp do głów świecidełkami.

Poza już wymienionymi, z zapamiętanych jeszcze moskiewskich ciekawostek, warto powiedzieć o niezwykłym wyglądzie dworców kolejowych. Szokowała tu przede wszystkim ogromna, niesamowicie stłoczona ciżba ludzi leżących pokotem na brudnej podłodze, wśród sterty szmat i worków. Ci nieszczęśliwi ludzie w brudzie i zaduchu koczowali tu podobno całymi tygodniami. Moją uwagę zwróciły też wiszące gdzieniegdzie kociołki z napisem „kipiatok" (gotowana woda) z przytwierdzonymi do nich łańcuchami metalowymi kubkami. Do napicia się takiej wody formowały się kolejki. Wszyscy pili z tego samego kubka, a mnie zastanawiał i dziwił taki elementarny brak higieny.

Na zakończenie moich spotkań z Moskwą wspomnę jeszcze o bardzo ciekawym zwiedzaniu tzw. „Trofiejnej Wystawki". Znajdowała się ona na obszernych terenach dawnej Wszechzwiązkowej Wystawy Rolniczej i pokazywała ogrom zdobytych na Niemcach materiałów, wyposażenia i uzbrojenia Wehrmachtu. Eksponaty od najdrobniejszych przedmiotów aż po okręty wojenne w większości wystawione były w ozdobnych i stylowych pawilonach poszczególnych republik radzieckich.

Najciekawsze było to, że wystawa, mająca na celu pokazanie potęgi Związku Radzieckiego, który to wszystko zdobył, w moim odczuciu podkreślała jedynie nieprawdopodobnie bogate wyposażenie armii niemieckiej z zastosowaniem najwyższego stopnia rozwoju techniki.

Kiedy oglądałem zeissowskie dalmierze i skomplikowane urządzenia celownicze przypomniały mi się sowieckie, używane przez nas, celowniki z palców.

Powoli zbliżał się niestety koniec mego pobytu w Jegoriewsku. Na początku czerwca dyrektor Isakowna zakomunikowała mi, że z przykrością, ale jest zmuszona odesłać mnie z powrotem do obozu leśnego.

Jakkolwiek dawno już byłem zupełnie zdrów i liczyłem się wciąż z tym, że dobre czasy się kiedyś skończą, to jednak był to dla mnie swoisty cios.

W ciągu tych paru miesięcy przyzwyczaiłem się do sporej swobody i zżyłem się z tym środowiskiem szpitalnym. Na ostatnie dwa tygodnie dostałem „urlop" od wszelkich prac na rzecz szpitala i wolny czas poświęcałem na intensywne czytanie i robienie notatek.

Nadeszła wreszcie chwila pożegnania, głównie z chorymi z mojej sali i personelem. Okazało się, że najserdeczniej żegnały mnie, nawet z kwiatkami, nasze pielęgniarki. Moich drogich nauczycieli już wówczas w szpitalu nie było, ku wielkiemu ubolewaniu nas wszystkich zostali wypisani już wcześniej.

W trzeciej dekadzie czerwca opuściłem Jegoriewsk.

9. I znowu las

Ponownie znalazłem się w obozie, wśród sieredniakowskich lasów, w swoim starym plutonie. Koledzy i przyjaciele witali mnie życzliwie ale z pewnym zaskoczeniem, bowiem po tak długiej nieobecności wielu z nich sądziło, że nigdy już „gienierała Witieka" nie ujrzą na oczy.

Mój powrót nie przypadł do gustu jedynie „naczalstwu" z uwagi na treść mych poszpitalnych dokumentów. W tzw. „sprawce" było wyraźnie zaznaczone, że bajec Witek Jerzy Stanisławowicz przeszedł takie to a takie choroby związane z przebywaniem na froncie (?) i może być zatrudniony tylko do lekkich prac. Po rosyjsku ostatnie zdanie brzmiało : „godzien k niestrojewoj służbie".

Tak więc wróciłem do swego poprzedniego zajęcia dyżurnego i takiej „mädchen für alles".

Był już lipiec. O wielkiej polityce oraz wojnie na Pacyfiku nie wiele wiedzieliśmy. Dochodziły nas wieści o przyznaniu Polsce ziem niemieckich po Odrę i Nysę. Miała to być rekompensata za zabrane ziemie wschodnie, a równocześnie ukaranie i odsunięcie Niemiec jak najdalej od ZSRR. Mówiło się, że tam właśnie będzie się przesiedlać ludność z terenów zabużańskich przyłączonych do Związku Sowieckiego.

Dla nas, którzy pochodziliśmy z tych ziem oznaczało to nowe zagrożenie. Marzenie o powrocie w strony rodzinne mogło bowiem stanąć pod znakiem zapytania, a przynajmniej niepomiernie się skomplikować w wypadku, gdyby rodzina opuściła wcześniej swoją ojcowiznę i wyjechała na Zachód.

W moim wypadku, jak zapewne też w wielu innych, nie miało to większego znaczenia bo moi najbliżsi zostali uwięzieni i nie wiadomo co się z nimi dzieje. Nie było więc dokąd wracać.

Nieco pomyślniejsze słuchy dotarły do nas o powstaniu Organizacji Narodów Zjednoczonych (ONZ). Wiązaliśmy z tym mgliste i nieokreślone nadzieje na zainteresowanie się naszym losem Wolnego Świata i przyspieszenie upragnionego powrotu do domów.

Dla wielu z nas, gdzieś tam daleko w kraju, czekało Wilno.

W tym miejscu warto przypomnieć co działo się w Wilnie po naszym rozbrojeniu, aresztowaniu i wywiezieniu do Kaługi w lipcu 1944 roku. Oprę się o relacje zasłyszane od rodziców i od znajomych Wilnian, którzy w tym czasie tam przebywali.

Po wkroczeniu do Wilna władze sowieckie zaprowadziły surowy reżim polityczny. Nasiliły się aresztowania, zabójstwa i wywożenie elementu polskiego. Tworzono oddziały milicji i różne pokrewne organizacje paramilitarne z miejscowych szumowin oraz Żydów.

Nowy „wyzwoliciel" był starym naszym wrogiem i trzeba się było mieć na baczności bo sowiecka władza, zgodnie z jej wschodnim zwyczajem i kulturą polityczną, musiała pokonanych wyrżnąć, wychłostać i poniżyć.

Po walkach z Niemcami Wilno było częściowo zniszczone, bez mostów, bez prądu, bez wody. W dodatku miasto było rabowane zarówno przez Sowietów jak i Litwinów, którzy zabierali wszystko co się dało i wywozili do siebie.

Jesienią władze ogłosiły pobór do Armii Czerwonej (roczniki 1909 – 1926). Zmobilizowanych wywożono na wschód. Wywołało to reakcję społeczeństwa i wzrost antysowieckiego nastawienia polskiej ludności. Na skutek szalejącego terroru i zagrożenia zaczęły powstawać nowe oddziały partyzanckie. Znowu narastał problem podziemia i nasiliły się polowania batalionów NKWD na naszych „następców". Wtedy jednak część nowopowstałych ugrupowań partyzanckich nie była już podległa Armii Krajowej. Wyjaśnię, że powstawanie tych nowych oddziałów oparte było m.i. na przekonaniu, że wkrótce dojdzie do wojny ZSRR z Zachodem.

Ogłoszono też dobrowolny zaciąg Polaków do Armii Berlinga. Do tej akcji włączył się aktywnie Związek Patriotów Polskich, którego referat wojskowy objął wileński Żyd, były dowódca sowiecko-żydowskiej partyzantki. Poza bezpośrednio zagrożoną przez NKWD nieliczną grupą młodzieży, chętnych było niewielu.

W końcu roku i na przełomie 1944/45 terror doszedł do punktu kulminacyjnego. W gimnazjach wileńskich wyciągano młodzież ze starszych klas, ciągle ktoś ubywał. Ludzie w tajemniczy sposób ginęli bez śladu na ulicach. Został aresztowany arcybiskup R. Jałbrzykowski. Wtedy też nastąpiło aresztowanie moich rodziców.

Już w grudniu rozpoczęła się tzw. „ Akcja Repatriacyjna" na zachód. Początkowo była jawnie bojkotowana – tu jest przecież Polska ! – mówili Polacy – opuścić czysto polskie Wilno to zdrada ! A jeśli Alianci wygrają ? Nie wszyscy wiedzieli, że po Jałcie sytuacja się zmieniła i los Wilna został już przesądzony.

W 1945 roku rozpoczęły się masowe wyjazdy do Polski. Ta tzw. „repatriacja" odbywała się w jednym wielkim bałaganie organizacyjnym i przy dużych represjach władz. W wielu wypadkach grożono : albo wyjazd do Polski, albo przymusowa podróż na Wschód.

Jak opowiadali mi znajomi Wilnianie, na rodzinę wolno było wziąć jedno łóżko, jedno krzesło i to co każdy miał w ręku. Wyjeżdżający ludzie mieli kłopoty z meblami, które trzeba było zostawić, bo albo nie można ich było sprzedać, albo też pozbywano się ich za bezcen na opał. Z powodu trudności z otrzymaniem wizy i pozwolenia na wyjazd wiele osób repatriowało się nielegalnie, opłacając straże kolejowe odpowiednią ilością wódki.

Duża część rodzin polskich, mimo że była prawdziwymi patriotami pozostała w Wilnie. Niektórzy sądzili, że wróci tu jeszcze Polska, niektórzy zaś, zwłaszcza ludzie starzy, bali się utraty całego mienia i dorobku oraz zaczynania życia od początku w obcych, nieznanych stronach.

Tak między innymi pozostali przezacni rodzice mego przyjaciela Jurka, z którym razem przeżywaliśmy obozowe niedole w Związku Sowieckim.

Po przytoczonym krótkim komentarzu sytuacji w Wilnie i na Wileńszczyźnie, wracając do naszych spraw, trzeba z przykrością stwierdzić, że na naszym leśnym odcinku nic nie wróżyło jakiejś zmiany ku lepszemu. Czas się dłużył i chłopcy coraz bardziej opadali z sił a głód dawał się dalej dotkliwie we znaki. Tylko słońce i ciepło było nam jedynym wytchnieniem.

Dalej jedzenie było podstawową funkcją i czynnością, wokół której obracało się całe obozowe bytowanie.

Ale i w całym systemie sowiecko-komunistycznym, w którym głód i klęski z nim związane nawiedzały kraj często i systematycznie, było to rzeczą powszechną i codzienną. Dlatego woda i chleb, jako pierwotny pokarm, początek wszystkiego i podstawa życia, jako krew i ciało ziemi, traktowane były zawsze w Rosji ze szczególną czcią, pietyzmem i namaszczeniem.

Toteż dlatego chyba tylko w tym kraju istniały związane z tym osobliwe i poważane zawody „wodowoza" i „chleboreza".

W Armii Czerwonej na każdym szczeblu jednostki „chleborez" pełnił niezwykle ważną funkcję. Był to specjalny człowiek, który zajmował się tylko zaopatrzeniem i rozdzielaniem chleba. W naszym batalionie mieliśmy do tych celów pewnego gefrajtra semickiego pochodzenia. Wspominam o nim, ponieważ pomimo niskiego stopnia wojskowego wyróżniał się on spośród niechlujnej i zgrzebnej kadry podoficerów i oficerów. Górował nad resztą nie tylko zawsze nienagannym, świeżutkim i wyprasowanym mundurem, ale też inteligentnym wyrazem twarzy oraz wyszukanym, jak na te warunki sposobem bycia. Chodziła plotka, że był pracownikiem NKWD. Było to możliwe, gdyż tak odpowiedzialnej funkcji „chleboreza" nie powierzało się byle komu.

Ogólnie biorąc, świadczyło to o tym jak niezwykle ważne były w armii oraz w obozach wszelkie przydziały żywności. Przydziały w postaci odmierzonej normy, czy to chleba, czy innych produktów nazywano potocznie pajką (od rosyjskiego słowa „pajok").

Było to coś tak powszechnego i charakterystycznego dla naszego obozowego życia, że nie mogę się powstrzymać od przytoczenia choćby paru strofek żartobliwej „Ballady o pajce". Napisał ją ojciec, przebywając w Kutaisi w podobnej sytuacji jak nasza.

„Posłuchajcie dziatki moje,
Bo to wcale nie jest bajka,
Żem ja przeżył w kraju znoje,
Gdzie władała nami ... pajka.
.....
A więc najpierw, co do chleba
To wam mówić już nie trzeba,
Że suchego, bez okrajka
Była dzienna jego ... pajka.

Nawet w obiad, gdy zgłodniały
Szedł do kotła barak cały –
To tam też był nalewajko
Co nas raczył zupy ... pajką.
.....

Nastała jesień, a z nią znowu chłód, wiatry i deszcze. Zrobiło się wilgotno i błotnisto. Uciążliwość tej nieprzychylnej aury rozjaśniały coraz to częstsze wzmianki i plotki o naszym powrocie. Myśli biegły więc coraz częściej do kraju, ojczystych stron i rodzinnego domu.

Te więzi zacieśniały się też na skutek znacznej poprawy działania poczty, dzięki której wielu z nas otrzymywało częściej listy oraz, co bardzo ważne, paczki żywnościowe a nawet pieniądze. Te przesyłki sprawiły, że nastąpiło nieznaczne polepszenie warunków żywieniowych.

Nie dość, że zwyczajowo każdy obdarowany dzielił się jak mógł z najbliższymi kolegami, to jeszcze można było łatwiej za ruble kupić od innych jakieś przysmaki.

Największym rarytasem, najbardziej poszukiwanym była słonina. Była nie tylko wysoko kaloryczna ale posiadała tę zaletę, że solona długo zachowywała świeżość. Z tego prawdopodobnie względu w Rosji i Związku Sowieckim słonina stanowiła jeden z podstawowych produktów żywnościowych na każdą okazję. Nie darmo rosyjskie przysłowie mówi: „Jeśli w domu jest słonina, cebula i chleb, to głód nie jest straszny".

Zbliżający się koniec naszych leśnych robót oraz ożywienie korespondencji wywołało zwiększenie zapotrzebowania na jakieś pamiątki. Wyczuł to zwłaszcza i wykorzystał między innymi, pewien przyjezdny fotograf, który za parę rubli na miejscu wykonywał zdjęcia.

Była to dla nas wielka frajda. Cóż to będzie za wspaniała pamiątka, fotografia w tych obdartych łachmanach i może jeszcze z piłą w ręku i siekierą na ramieniu. Niestety, tak jak wszędzie i tu zadziałała wszechobecna czujność socjalistyczna i ścisła cenzura. Towarzysz fotograf miał pozwolenie tylko na jeden rodzaj zdjęć. Przed obiektywem można było wystąpić jedynie wystrojonym w specjalnie przezeń przywiezione rekwizyty mundurowe.

Wszystko to było ciekawe i śmieszne zarazem. Już sam aparat był istną zabytkową i muzealną „camera obscura" skleconą niezdarnie z drewnianych deseczek. Mistrz wchodził kilkakrotnie pod dużą, zieloną płachtę, poczym wychyliwszy się długo i uroczyście celebrował moment naświetlania. Najzabawniejsze było jednak przebieranie się do zdjęcia.

Sam mając trochę uciułanych rubli postanowiłem skorzystać z tej niezwykłej okazji. Wybrałem pozę siedzącą, do pasa. Musiałem włożyć tylko nową „gimnaściorkę" oraz okrągłą czapkę z daszkiem. Niżej pozostały dziurawe buty i spodnie całe w strzępach. Trzeba było siedzieć dobrą chwilę nieruchomo, ponieważ czerwona gwiazdka na czapce i „pagony" na ramionach położone były luzem i przy poruszeniu się mogły łatwo odpaść.

Do dziś mam tę fotografię i mimo tej całej komedii i mimo, że wyglądam na niej jak sto nieszczęść, jest mi drogą i wzruszającą pamiątką.

Z upływem czasu pogłoski o naszym wyjeździe zaczęły nabierać realniejszych kształtów. Najpierw nasi sierżanci półoficjalnie potwierdzili te wiadomości pocieszając nas, że na Boże Narodzenie na pewno już będziemy w domu. Wreszcie, jeżeli dobrze pamiętam, gdzieś w październiku „słowo ciałem się stało" i oficjalnie powiadomiono nas o decyzji odesłania wszystkich do wolnej, socjalistycznej Polski.

Ale i tu „Uprawlenie (rząd) Sawieckawo Sojuza" postawiło nam zaskakujące prawo wyboru. Jeśli chcemy zrzec się obywatelstwa radzieckiego (?) i przyjąć polskie (?), wtedy jedziemy do Polski. Jeżeli zaś chcemy wracać do domów (Wilno bądź Wileńszczyzna), wtedy pozostajemy obywatelami sowieckimi (?) i zostajemy w armii.

Jak było do przewidzenia, nie było nikogo kto by wybrał tę drugą opcję. Niestety nie dotyczyło to naszych chłopców, którzy podali się wcześniej za Białorusinów i ten fakt wywołał wśród nich prawdziwą rozpacz.

Trudno opisać z jakim entuzjazmem, radością i nadzieją przyjęliśmy te oświadczenia. Kryły się wprawdzie w nich pewne niepewności i obawy, zwłaszcza przez niezrozumiałe zrobienie z nas obywateli radzieckich. Poza tym, znając perfidię Moskwy, nigdy do końca nie można było jej wierzyć, a ponadto wyglądało na to, że nie ma mowy o powrocie do Wilna czy na Wileńszczyznę.

Wolna Polska. Ale tak naprawdę nikt dokładnie nie wiedział jak tam jest w tej naszej nowej Polsce. Dochodziły głosy o wojnie domowej i o stalinowskich zbirach, których długie ręce sięgały daleko za Bug i o tym, jak NKWD wyłapywała i likwidowała dalej akowców.

Na rozważania jednak i niepokoje nie było już czasu. Niemal następnego dnia podstawiono już przy pobliskiej bocznicy pusty skład towarowy, który miał nas wywieźć z tych przeklętych, przepastnych lasów i ostatecznie zakończyć udrękę obozową.

Tym razem załadunek odbył się w względnie normalnych warunkach, a jak już wspomniałem, nasz pluton potrafił sobie nawet zrobić w wagonie wygodną antresolę. Po rozdzieleniu sakramentalnego, podróżnego suchego „pajoku", rozlokowani w wagonie wraz z manelami ruszyliśmy w wymarzoną powrotną drogę.

Odjeżdżając zostawiliśmy po sobie cały obóz dla następnych więźniów. Widywane tam od czasu do czasu różne grupy Ukraińców pozwalały mieć nadzieję, że tym razem nie będą to nasi rodacy.

10. Powrót do kraju

Pierwszy etap podróży prowadził przez Moskwę, ale miasta nie widzieliśmy wcale. Było wprawdzie kilku śmiałków, którzy wyskoczyli chyłkiem na „zwiedzanie" i o ile mi wiadomo nie zdążyli wrócić przed odjazdem. Pociąg zatrzymał się gdzieś na podmiejskiej, opuszczonej bocznicy, z dala od skupisk ludzkich. Wyraźnie zadbano by ten oberwany,

wynędzniały i zagłodzony transport polskich więźniów nie spowodował czasem jakiś niepożądanych incydentów czy komentarzy miejscowej ludności.

Nocą, ukradkiem opuściliśmy niegościnną Moskwę i linią kolejową na Brańsk podążyliśmy na południowy zachód. Ale czy na prawdę na Zachód ? Ciągle nie było całkowitej pewności czy nasi „sojusznicy" nie umyślili nam jakiejś nowej łagiernej niespodzianki. Czy czasem nie zamierzają akowskich pamieszczyków dalej resocjalizować. Złe doświadczenia nakazywały ostrożność. Śledziliśmy więc pilnie przez małe okienko trasę i kierunek jazdy.

Wśród niekończących się rozmów i dyskusji przeważał jednak zdecydowanie optymizm. Pogodny nastrój jaki panował w wagonie sprawiał, że nawet jednostajny stukot kół wydawał się bardziej przyjazny, jak gdyby wystukiwał jakąś miłą sercu melodię, jakby chciał powiedzieć : „Chłopcy, uszy do góry !"

Gdzieś w rejonie Suchiniczi skręciliśmy w kierunku na Kirow i Mohylew. Po pewnym czasie przyjemną i podniosłą atmosferę zakłóciło nagłe zatrzymanie się pociągu w jakiejś pustej, małej miejscowości. Kiedy po krótkim postoju zarządzono „wysiadkę" ogarnął nas zrozumiały niepokój.

Sformowany w kolumnę marszową batalion ruszył w nieznane. Rozeszła się wieść, że zdążamy do przejściowego obozu. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy oczekując znowu ponurej i prymitywnej obozowej rzeczywistości, wprowadzono nas do schludnych pomieszczeń barakowych usytuowanych wśród rzadkiego, malowniczego zadrzewienia i zakwaterowano w iście „luksusowych" warunkach.

Okazało się, że znaleźliśmy się w miejscowości Kirów i że rzeczywiście miał to być przejściowy pobyt celem doprowadzenia nas do porządku przed ostatecznym wysłaniem do Polski.

Po przebytym obozowym koszmarze, pobyt tu był niemal prawdziwym rajem. Już samo spanie na wygodnych pryczach z poduszką i kocem było czymś nadzwyczajnym. Skończyła się ciężka praca a jedyne obowiązki, jakie na nas nałożono było utrzymanie czystości i pomoc w sprawach gospodarczych.

Najistotniejsza była poprawa wyżywienia, porcje były nieco obfitsze, bardziej kaloryczne, a jedzenie odbywało się w bardziej cywilizowanych warunkach.

Wkrótce po licznych „baniowych" ablucjach wyfasowaliśmy częściowo nowe umundurowanie. Największą atrakcją i niespodzianką była nowa, angielska, gruba bluza wojskowa, taki zachodni „battle-dress". Fakt ubrania nas w angielskie ciuchy unrowskie był dla nas szczególnym wyróżnieniem i dużą satysfakcją. Zaraz też w większości na ramionach nowych kurtek pojawiły się biało-czerwone naszywki a na czapkach, kto tylko miał, umieszczał polskiego orzełka albo inny polski emblemat. Niestety tych wspaniałości mundurowych nie wystarczyło dla wszystkich a zwłaszcza jeżeli chodzi o spodnie i płaszcze. Nie było to wprawdzie paryskie „haute couture", ale i tak byliśmy bardzo dumni z tych nowych ubiorów.

Mnie wyjątkowo obdarowano zdobyczną niemiecką czapką feldgrau obszytą pięknie futrem, na której również zjawił się gdzieś zdobyty, trochę sfatygowany, orzełek legionowy na biało-czerwonym tle.

Akcja umieszczania polskich symboli narodowych na nowym umundurowaniu była tak powszechna i spontaniczna, że mimo początkowych zakazów naczalstwo, choć nie bez oporów, wyraziło w końcu na to cichą zgodę.

Zmieniony przyodziewek uzupełniały nowe buty prawdopodobnie też zdobyte na Niemcach. Tylko „briuki" (spodnie), „abmotki" (owijacze) no i oczywiście zimowe „buszłaki" były w zdecydowanej większości sowieckie.

Tak wystrojeni paradowaliśmy po obozie jak pawie, a nowa odzież nie tylko poprawiała samopoczucie, ale też lepiej chroniła od zimna i mrozu. W tym okresie, w listopadzie, zdarzały się tu mrozy przekraczające –40 stopni Celsiusa.

Tymczasem ciągle wracałem myślami do rodziców. Zgodnie z wieściami przysyłanymi przez zawsze pamiętającą Alinę, mama ciągle przebywała w więzieniu na Łukiszkach, ojciec zaś został wywieziony do obozu na południu Rosji. Zresztą wiedzieliśmy już, że do Wilna nie będziemy mogli powrócić.

Czas mijał, a o wyjeździe cisza. Dużą ilość wolego czasu wypełniałem czytaniem różnych książek i to zarówno w języku rosyjskim, jak i polskim.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, na które jak nas zapewniano mieliśmy już być w domu. Na razie nic nie wskazywało by cokolwiek miało się zmienić. Wśród różnych domysłów zaistniałej zwłoki mówiło się, że może chcą nas tu trochę podtuczyć.

Trzeba podkreślić, że cały czas byliśmy ciągle traktowani jak sowieckie wojsko, co przy naszym umundurowaniu było co najmniej dziwne a nawet śmieszne. Były zbiórki, capstrzyki i niekończące się rozkazy. Wyraźnie zauważalna była też większa ilość oficerów sowieckich.

Kiedy w czasie Świąt, przy skromnym wigilijnym stole znowu popłynęła ku niebu nasza partyzancka modlitwa : „O Panie, któryś jest na niebie
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń..."
Śpiewaliśmy wówczas nieco zmienionymi słowami :
„O Boże, skrusz ten miecz co siekł nasz kraj,
Do Wolnej Polski nam powrócić daj !"

I oto Niebiosa jakby na zawołanie wysłuchały wreszcie naszej modlitwy. W kilka dni po Świętach gruchnęła wieść o wyjeździe, a zaraz potem przyszedł w tej sprawie oficjalny rozkaz.

Bydlęce, jak poprzednio, wagony tym razem wyposażono po bokach w dodatkowe pięterka z desek, a w środku w żelazny piecyk z długą blaszaną rurą wychodzącą ponad dach.

Skład pociągu miał 30 do 40 wagonów, w które całe nasze dwa leśne bataliony załadowały się wyjątkowo szybko i sprawnie. Drzwi wagonów zostały skrzętnie zamknięte od zewnątrz, jakby się obawiano, czy ktoś z nas nie zechce pozostać w sowieckim raju.

Ruszyliśmy. Był to dzień 4 stycznia 1946 roku.

Następnego dnia, kiedy kierunek zachodni trasy się potwierdził a zmęczenie i zdenerwowanie załadunkiem minęło, wróciły dobre nastroje. Zgromadzeni wokół rozżarzonego do czerwoności piecyka, czując jego cudowne ciepło czuliśmy się odprężeni i szczęśliwi. Chcąc wykrzyczeć i wyrzucić z siebie wzbierającą radość poczęliśmy śpiewać z zapałem pieśni partyzanckie i legionowe. Ilekroć mijaliśmy jakieś osiedla ludzkie demonstracyjnie nasilaliśmy siłę głosów.

Chciałoby się wtedy powtarzać piękne słowa Marii Konopnickiej :

„Idziem do Ciebie, ziemio, matko nasza,
Coś z pierworodnej zrodziła nas gliny.
Idziem do Ciebie, rzesza twoja ptasza,
Powracające do gniazd swoich syny."

W tym podniosłym nastroju wjechaliśmy do Mińska, skąd po krótkim postoju na jakiejś zagubionej bocznicy, ruszyliśmy dalej by wreszcie osiągnąć Brześć nad Bugiem. Trudno było uwierzyć, że parę kilometrów stąd była już Polska.

Tu jednak postój przedłużał się w nieskończoność. Liczono nas, sprawdzano, wywoływano z nazwiska po kilka razy. Wyczuwało się też wzmożoną, wyraźną nerwowość w poczynaniach strażników, która częściowo i nam się udzielała. To napięcie powodowane było dodatkowo wywoływaniem z wagonów i zatrzymywaniem niektórych kolegów. Jak się później dowiedzieliśmy, istotnie kilkadziesiąt osób zatrzymało NKWD, z których tylko nieliczni powrócili po 10-15 latach.

Po długim nerwowym oczekiwaniu zasunięto wreszcie drzwi, zaryglowano i zadrutowano od zewnątrz. Jak podawali nasi obserwatorzy przy górnych okienkach, na stopniach każdego wagonu stał striełek z karabinem przewieszonym przez ramię. – Pociąg ruszył...

Niedługo potem, tuż przed wjazdem na most graniczny na Bugu, pociąg zwolnił i wówczas nasi opiekunowie jeden po drugim zaczęli zeskakiwać na most. W ten sposób cały transport już bez straży znalazł się na przeciwległym brzegu, na terenie Polski.

Pamiętam tę niezwykłą chwilę, kiedy za gardło schwycił nagły skurcz i jakby bolesne wzruszenie ... Nareszcie wolni !

Dopiero później dowiedzieliśmy się, że dyskretną opiekę nad nami przejęli uzbrojeni Polacy, prawdopodobnie byli to AL-owcy.

Pierwszą stacją na jakiej się zatrzymaliśmy był Terespol. Gdy pociąg stanął, po dłuższej ciszy i niecierpliwym oczekiwaniu odezwały się pojedyncze polskie głosy i nawoływania. Wreszcie jakieś dobre, nieznajome ręce, pokonując druty i rygle odsunęły z trzaskiem ciężkie drzwi wagonu. Byli to przypadkowi miejscowi cywile. Kiedy dowiedzieli się, że jesteśmy żołnierzami wileńskich oddziałów Armii Krajowej, nie ukrywali zaskoczenia i pełni ciekawości zasypywali nas gradem przeróżnych pytań.

Zaraz też zjawiły się jakieś poczciwe kobieciny, które w wiadrach, koszach, w czym która mogła, znosiły nam pieczywo, masło, sery, owoce, a nawet drewno do naszego piecyka. Było to o tyle wzruszające, że był to zwykły, przyjazny odruch serca obcych nam przecież ludzi, a nie żadna dobroczynna akcja polskich władz. Ci rodacy potraktowali nas z miejsca jak prawdziwych przyjaciół powracających po latach z dalekiej i trudnej podróży. Nic więc dziwnego, że po przyjacielsku fetowaliśmy wspólnie z nimi szczęśliwy powrót, śpiewając, rozmawiając i zajadając przyniesione frykasy.

Nie wiadomo dlaczego w Terespolu przyszło nam spędzić jeszcze całe popołudnie i nadchodzącą noc. To była szalona i radosna noc, nikt oczywiście nie spał.

Ale ta pierwsza noc na polskiej ziemi zapisała się też w pamięci jako noc odwetu i zemsty na znienawidzonych naszych kapo. Sowieckie władze okazały się niewdzięczne wobec swych sprzedajnych naganiaczy i pomagierów. Mimo, że Sowieci doskonale wiedzieli co ich czeka w Polsce, nie tylko nie pozwolono im pozostać w ZSRR, ale nawet nie odseparowano ich od swoich plutonów. W każdym wagonie był przynajmniej jeden taki „polski" sprzedawczyk.

Podobnie jak to działo się w innych wagonach, i naszemu, poprzednio już wspomnianemu Mosiejce, nieźle się od wszystkich dostało. Ponieważ próbował oddawać razy i uciekać, złapano go, zdjęto spodnie i przypalano pośladki na rozpalonym niemal do czerwoności piecyku.

Dziś trudno cywilizowanemu człowiekowi usprawiedliwić takie postępowanie. Ale wtedy dla tego łotra, który traktował nas jak swoich niewolników, była to jedyna sprawiedliwa kara, a dla jego ofiar jakiś rodzaj zadośćuczynienia i satysfakcji. Jak bardzo musiał on być znienawidzony, świadczy jego tragiczny koniec. Jak się dowiedzieliśmy, rok czy dwa lata później przebywając w Gdańsku został tam zamordowany.

Następnego dnia znaleźliśmy się w Białej Podlaskiej. Tu miejscowy Urząd Bezpieczeństwa, podając się za przedstawicieli Urzędu Repatriacyjnego, zrobił nam prymitywne, jak kryminalistom, małoobrazkowe zdjęcia i wystawił tajemnicze zaświadczenia. Wydany dokument zawierał dziwne i niezrozumiałe sformułowania : taki a taki (dane personalne) „został na podstawie rozporządzenia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego zwolniony i udaje się do miejsca zamieszkania w ..."

Skąd zwolniony ? – nie wiadomo. Ani słowa o Związku Radzieckim, o obozie pracy czy o AK. Równie dobrze mogło to oznaczać zwolnienie zbrodniarza z ciężkiego więzienia. Równie absurdalne było stwierdzenie, że udajemy się do miejsca zamieszkania, kiedy wiadomo było, że nikt z nas na terytorium „nowej" Polski takiego miejsca nie ma.

Jak więc widać, w tej „wolnej" Polsce potraktowano nas jak zbrodniarzy. Władze nie okazywały radości z naszego powrotu, o czym nie długo mieliśmy się już sami przekonać. Na drogę dostaliśmy po 2oo złotych na drobne wydatki, bo sama podróż wypuszczonych na wolność przestępców była bezpłatna.

Na marginesie tego jedynego wydanego nam dokumentu tożsamości, warto dla śmiechu dodać jak wysokie musiały być kwalifikacje urzędników UB. Oto w jednym tylko moim zaświadczeniu na pięć wypisanych ręcznie słów zrobiono trzy błędy ortograficzne, pisząc „Jerzy" przez „ż" oraz dwukrotnie „Kraków" przez „u" zwykłe. No cóż, była to cena za tzw. awans społeczny naszych „dołów".

Po oficjalnym, niezbyt miłym przyjęciu, dopiero mieszkańcy miasta sprawili nam prawdziwą radość i urządzili na naszą cześć serdeczne powitanie. To były niezapomniane chwile.

Byliśmy jednymi z pierwszych powracających z ZSRR. Ściskano nas i całowano ze łzami w oczach, jak kogoś najbliższego. Obcy ludzie rozchwytywali nas na kwatery do własnych mieszkań. Wszyscy w sposób niezwykle serdeczny i bezpośredni znaleźliśmy schronienie i swoje przybrane rodziny. A trzeba zaznaczyć, że Biała Podlaska liczyła wtedy zaledwie kilkanaście tysięcy mieszkańców.

My, dwaj Jurkowie, trzymający się ciągle razem, trafiliśmy do dwu uroczych pań w średnim wieku, tutejszych nauczycielek. Z miejsca zostały naszymi „ciociami", z którymi później jeszcze przez dłuższy czas korespondowaliśmy, przesyłając pozdrowienia i zawiadamiając zatroskane dobrodziejki o swoich dalszych losach.

Trudno dziś wyrazić co odczuwaliśmy jedząc po raz pierwszy normalny domowy posiłek, kąpiąc się w normalnej wannie, czy goląc się zwykłą żyletką, żeby już nie wspomnieć o przespanej nocy w miękkim łóżku z czystą pościelą.

Chyba jeszcze tego samego dnia wieczorem, w kościele farnym odbyła się uroczysta msza święta w naszej intencji. Była to niezwykle podniosła i wspaniała religijno-patriotyczna manifestacja, jakiej nie zapomina się do końca życia.

Ubrani w ruskie „cielogriejki" z biało czerwonymi opaskami bądź naszywkami, z ledwo co odrastającymi włosami na gołych, ogolonych głowach, my byli żołnierze wileńsko-nowogródzkich oddziałów Armii Krajowej, dziękowaliśmy na kolanach Bogu za łaskę przeżycia i powrót do kraju. Wzruszenie ściskało za serce a oczy wilgotniały od łez. Gdzieniegdzie słychać było tłumiony, cichy szloch kobiet.

Ale kulminacyjnym momentem tej kościelnej uroczystości było odśpiewanie na koniec mszy świętej „Boże coś Polskę" oraz „Modlitwy Londyńskiej". Setki zdławionych wzruszeniem gardeł w akompaniamencie potężnego brzmienia organów powtarzała błagalne słowa pieśni :

„Boże coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś Ją osłaniał tarczą swej opieki
Od nieszczęść, które przygnębić Ją miały.
Przed twe Ołtarze zanosim błaganie –
Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie !"

Po tej przejmującej i patriotycznej pieśni murami kościoła wstrząsnęła nasza partyzancka Modlitwa :

„O Panie, któryś jest na niebie
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń !"

Po paru dniach sielanki, obdarowani różnymi drobiazgami oraz licznymi produktami żywnościowymi na drogę, a przede wszystkim gnani nareszcie odzyskaną wolnością, wyruszyliśmy koleją w dalszą podróż. Pierwszym etapem miała być Warszawa, gdzie mieliśmy się zgłosić do Państwowego Urzędu Repatriacyjnego.

PIERWSZA DEKADA w KRAJU (1946 – 1956)

„Da Bóg nam kiedyś zasiąść w Polsce wolnej,
Od żyta złotej, od lasów szumiącej,
Da Bóg, a przyjdzie dzień nieustający
Dla srebrnych pługów udręki mozolnej..."

(J. Lechoń- „Polonia Resurrecta")

1. Rozmyślania i refleksje powojenne

Któż z nas po skończonym koszmarze wojny nie próbował zastanawiać się nad skutkami i konsekwencjami tego kataklizmu? Któż nie usiłował dokonać jakiegoś podsumowania, nie rozważał ogromnych strat jakie ponieśliśmy, czy też nie rozmyślał o własnym dalszym losie i o przyszłości własnego kraju?

Po zakończeniu wojny znękany 6-letnimi zmaganiami świat z radością, ale i niepokojem oczekiwał nieznanego jutra. Nas Polaków dotyczyło to w sposób szczególny. Nadszedł czas refleksji nad zaistniałą sytuacją polityczną nowego porządku oraz nad naszym miejscem w obecnej rzeczywistości.

Dlatego, zanim opiszę moje pierwsze spotkanie z powojenną Warszawą, pragnąłbym poczynić kilka ogólnych uwag i przemyśleń na temat ostatniej wojny.

W II wojnie światowej Polska poniosła proporcjonalnie największe straty materialne i najliczniejsze ofiary w ludziach. Ponad 2.000 dni gwałtu i cierpienia uczyniło z naszego kraju nową Golgotę, ziemię straceń i holocaustu dwóch narodów – polskiego i żydowskiego.

Byliśmy państwem, które pierwsze padło łupem bandyckiego napadu, i w którym wojna trwała najdłużej, bo aż do 1947 a jej pokłosie nawet do początków lat 50-tych.

Za zwycięstwo, choć przez wielu uważane za problematyczne, zapłaciliśmy bardzo drogo. Po pierwsze niepodległością, po drugie zaś 6-cioma milionami śmiertelnych ofiar, z tego 2,5 mil. polskich Żydów. Uwzględniając wywiezionych i wszelkiego rodzaju uciekinierów, straciliśmy 1\3 ludności, 78.000 km^2 polskiej ziemi i 30% majątku narodowego. Ponadto na skutek wywózek i przesiedleń tylko w latach 1944–46 6 milionów naszych obywateli musiało opuścić swoje domostwa.

Polskie straty były tym dotkliwsze, że zdecydowana większość ofiar to ludzie młodzi, ludzie wykształceni, odważni i aktywni, którzy nie chcieli służyć tyranom. Oddawali życie tylko za to, że byli Polakami, a swoją śmiercią utrwalali wartości, o które walczyli. Wojna wywołała w naszym kraju wstrząs demograficzny, który bardzo niekorzystnie wpłynął na nasz dalszy rozwój.

Wielką tragedią było niespotykane na tę skalę ludobójstwo dokonane na Żydach, a sposób w jakim to dokonano do dziś szokuje cały cywilizowany świat.

Ogromną stratą dla narodu były setki tysięcy emigrantów politycznych i żołnierzy różnych frontów, którzy z rozmaitych powodów musieli pozostać na obczyźnie. Także tysiące więźniów obozów sowieckich i niemieckich, którzy wrócili do ojczyzny musiało rozpoczynać życie od nowa.

W polityce globalnej, podobnie jak po I wojnie światowej, USA wystąpiło w roli światowego żandarma pokoju i wraz z ZSRR i Anglią ustaliło nowy porządek świata,, który dla nas Polaków oznaczał pozostanie pod okupacją radziecką przez następne dwa pokolenia.

Powtórzyła się tu polityczna strategia Zachodu z lat 30-tych – pokoju za wszelką cenę. Słynna maksyma z okresu zimnej wojny : „Better red than dead" (Lepszy czerwony niż śmierć) dobrze oddaje nastroje ówczesnych zachodnich polityków.

Właśnie ten kontekst zakończenia wojny był dla nas najbardziej przykry i przygnębiający. Już po 1946 r. była to żałoba bez nadziei i pociechy. „Żadnych złudzeń panowie" zdawał się powtarzać za carem nowy okupant. Tak wiele ofiar i cierpień, tyle bezcelowej walki, tyle daremnych działań, po to aby Ojczyzna znalazła się znowu pod obcym butem.

Myślę, że dziś można się jedynie pocieszać, że Związek Sowiecki w tej wojnie nie osiągnął wszystkiego co zamierzał. Rozszerzenie imperium komunistycznego na Europę Zachodnią nie udało się. Poza tym Polska, jakkolwiek dostała się pod silne wpływy Związku Radzieckiego, to jednak nie stała się jego republiką związkową. Niesforny i miłujący wolność nasz kraj okazał się, jak dowiodła tego historia, bombą zegarową, która zapaliła zmurszały system i spowodowała wyzwolenie zniewolonych narodów. W Europie Środkowo Wschodniej Polska była najsłabszym ogniwem i piętą achillesową sowieckiego bloku.

Osobnym tematem do przemyśleń po zakończeniu wojny była i pozostaje do dziś próba porównawczej oceny między hitlerowskim a stalinowskim terrorem wobec naszego kraju i jego obywateli. Zapewne wielu z nas niejednokrotnie usiłowało zestawić i skonfrontować tych dwóch wrogich sąsiadów w ich morderczych dokonaniach na polskim narodzie.

Na pewno trudno w tym wypadku zachować pełny obiektywizm, bowiem ludzkie cierpienie jest w pewnym stopniu niewymierne i subiektywne. Inaczej odczuwamy własny ból, a inaczej cudzy – własny zawsze bardziej dolega. Inaczej będzie to widział zapewne ktoś, kto doznał krzywd od hitlerowskiego oprawcy, inaczej zaś kto przeszedł przez stalinowski terror.

Sądzę, że i moje poglądy w tym względzie, jako kogoś, kto wraz z najbliższymi zetknął się akurat z piekłem obozów sowieckich, mogą być jednostronne. – A jednak ...

Obie strony już od samego początku wojny dokonywały na nas straszliwych zbrodni. Ale gdy hitlerowski terror skończył się w roku 1945, stalinowscy siepacze kontynuowali swój zbrodniczy proceder jeszcze przez wiele długich lat. Kiedy ostatni polscy więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych opuścili je w roku 1945, to w łagrach sowieckich nasi rodacy cierpieli i marli aż po późne lata 50-te.

Nie wiem, czy można się zgodzić z taką tezą, że zarówno dla Niemców jak i dla Rosji Sowieckiej niepodległa Polska była przede wszystkim przeszkodą w ich imperialnych zamiarach, dla jednych w uderzeniu na Wschód, dla drugich na Zachód. Ale podczas gdy Niemcy w sposób otwarty, jako wróg terrorem i zastraszeniem chcieli podporządkować sobie Polaków, to Związek Radziecki udawał przyjaciela, a agresję usprawiedliwiał upozorowanym wyzwalaniem narodu spod ucisku urojonych sił reakcyjno-burżuazyjnych.

Gestapo i NKWD to bliźniacze, mordercze instytucje. I choć agresja i terror były wspólne, ale sadyzm i okrucieństwo były różne. Zwłaszcza też różne były metody działania.

Niemców charakteryzowała pewna gwałtowność, a przede wszystkim jawny terror wobec okupowanej ludności, Sowietów natomiast skrytość, podstęp i wyrachowanie. U nich nie było przypadkowych łapanek ulicznych, były za to solidnie przygotowane listy NKWD i systematyczne likwidowanie najwartościowszych jednostek.

Rosyjski sadyzm był też bardziej podły i obłudny. Zbrodni dokonywano głosząc zakłamane hasła o przyjaznym nastawieniu do Polski oraz o wolności i szczęściu, które nam przynieśli jako wybawiciele.

Niemcy nie byli na tyle perfidni i nie udawali przyjaciół. Wydaje się też, że w dziele wyniszczenia biologicznego i odpowiedzialności zbiorowej nie posunęli się tak daleko jak Sowieci. Poza tym sadyzm sowiecki oparty był w większym stopniu na sferze moralno-psychologicznej. Hitlerowcy przeważnie mordowali pośpiesznie, jawnie i często na miejscu, podczas gdy reżim stalinowski gotował śmierć potajemną, powolną, w mękach, poniżeniu i odczłowieczeniu.

Grażyna Lipińska, wieloletni więzień łagrów sowieckich, w swej książce „Jeśli zapomnę o nich..." przytacza charakterystyczne wypowiedzi polskich więźniarek :

„Lżejsze byłyby te cierpienia, gdyby w otwartej walce wojsko bolszewickie rozstrzeliwało nas jak niegdyś unitów, czy też miażdżyło nas armatami, czołgami i bombami... Ale te areszty, śledztwa, tortury, wyciągane na mękach zeznania, wymuszone przyznawanie się do nie popełnionych win, łamały ludzi fizycznie i moralnie. W dodatku pracowałyśmy w dzień i w nocy dla Rosji, dla jej przyszłej potęgi, a giniemy z trudu, zimna i głodu... Cóż złego uczyniłyśmy, za co oni się tak mszczą ?..."

Ten element terroru trafnie określiła Maria Dąbrowska : „Niemcy walili obuchem w łeb, lecz o ile obuch nie trafił, człowiek żył, choć pod ziemią – wolny i piękny. Rosja działała jak żrący kwas przetrawiający duszę narodu."

Tetmajer zaś pisał :

„I ludziom lepiej, jeżeli zwycięsko
Losy ich zmogą jedną, wielką klęską,
Niż jeśli co dzień po kropli im bryzną
W żyły powolną, lecz pewną trucizną."

Mimo, że obaj wrogowie zwalczali i starali się likwidować najbardziej patriotyczne jednostki, to Moskale przede wszystkim zwalczali zamożniejszą inteligencję i ziemiaństwo. Gnębili ludzi uczciwych faworyzując szumowiny i wszelaką hołotę. Ponadto wbijali klin między warstwy uboższe i bogatsze.

Niemieccy okupanci stosowali kryteria narodowościowe. Dzielili Polaków na Reichsdeutschów, Volksdeutschów i „Nicht-deutschów" i Żydów, natomiast tak samo prześladowali podłych i szlachetnych, biednych i bogatych. To rodziło wzajemną solidarność Polaków, dzięki czemu nie było tylu donosicieli i sprzedawczyków, jak po stronie sowieckiej.

Jeżeli jeszcze wziąć pod uwagę, że ZSRR nie tylko nie był z nami w stanie wojny, ale formalnie był naszym sojusznikiem i dlatego żołnierz polski nie występował zbrojnie przeciw niemu, mogę chyba stwierdzić, że terror sowiecki był bardziej podły i obłudny oraz bardziej okrutny i wyniszczający niż przemoc hitlerowska.

Z obu reżimów totalitarnych komunizm był też bardziej niebezpieczny, gdyż zakładał podbój globalny i jak już powiedziałem, był bardziej zakłamany, zafałszowany i deprawacyjny.

Kończąc próbę porównania obu reżimów, trzeba stwierdzić, że dla Polski decydującą o jej losie konsekwencją II wojny światowej po zwycięstwie nad Niemcami było przekształcenie się Rosji Sowieckiej z mocarstwa europejskiego w mocarstwo światowe.

W ostatniej wojnie Związek Sowiecki potwierdził w całej pełni swe imperialistyczne zapędy. Gąsienice radzieckich czołgów wgniatały w ziemię podbite narody.

Tendencje imperialne podsycała jeszcze chęć prześcignięcia USA, a efektywność działania umożliwiała bezwzględna dyktatura stalinowska oparta na silnym systemie policyjnym.

Imperium, mimo że miało poważne trudności wewnętrzne ciągle marzyło o panowaniu nad światem i dlatego cały czas było niebezpieczne.

Dla nas Polaków, podobnie jak dla całego bloku socjalistycznego w Europie Środkowo Wschodniej, nie była to pomyślna perspektywa. Nic nie wskazywało byśmy prędko mogli się wyzwolić spod dominacji Moskwy. Sytuację mogłaby zmienić tylko nowa wojna, albo upadek Związku Radzieckiego. Wojna groziła nieobliczalnymi skutkami ze względu na broń jądrową, zaś upadek Imperium był na razie mało realny.

2. Pierwsze spotkanie z powojenną Warszawą

Minęło już przeszło pół wieku, kiedy w pamiętnym styczniu 1946 roku wylądowałem na Dworcu Wschodnim w Warszawie. Oto znalazłem się w legendarnej i bohaterskiej Stolicy, w mieście, które wyrwało się kamiennej śmierci, wypalone ogniem, łamane kołem, poćwiartowane niby Jeruzalem czy Kartagina. W mieście nieujarzmionym, na wskroś przesiąkniętym krwią i łzami, tak jak to kiedyś pięknie wyraził Norwid :

.....
„O Ty, młodości mej stolico
Z bruku Twego radbym mieć kamień,
Na którym krew i łza nie świecą..."

Ileż to natchnień spływało z tego bruku, ileż to poetów opiewało Jej piękno i sławę.

„Składano Tobie hymny i piosenki,
Wieńce i wstęgi, wiersze, wodewile,
Sonety małe i ogromne księgi.
I znowu hymny i znów wierszy tyle.
Norwid Cię stroił w czernie, Słowacki w błękit,
Lecz choć sławiono Cię tysięcznym stylem
Ty nigdy strofy nie przyjmiesz ostatniej,
Niewyczerpane źródło naszych natchnień."
(K. I. Gałczyński)

Wiedzieliśmy coś niecoś o ogromnych zniszczeniach miasta w czasie obrony w 1939 roku, a potem podczas heroicznego Powstania w 1944-tym. Początkowo Praga wydawała się zaprzeczać tym ponurym wieściom. Owszem były zniszczenia ale wiele budynków ocalało. Gdy jednak znad Wisły spojrzeliśmy na jej lewy brzeg, ukazał się przerażający, upiorny widok spalonego i zburzonego doszczętnie miasta. Kikuty czarnych od dymu sterczących ruin tworzyły jakiś apokaliptyczny obraz zniszczenia, nad którym zaległa martwa, śmiertelna cisza. Ten wstrząsający obraz umarłego miasta do dziś niezmiennie noszę w sobie, jak koszmarne, niezatarte wspomnienie.

Aby przedostać się z Pragi przez Wisłę trzeba było podróżować otwartą, zapchaną po brzegi ciężarówką przez prowizoryczny, drewniany most pontonowy. Przekraczając rzekę, z prawej strony widniały na poły zatopione w wodzie powalone, pogięte żelazne kratownice Mostu Kierbedzia, niczym groźne szczątki jakiegoś wyimaginowanego potwora. Po lewej zaś ręce, na częściowo zatopionych przęsłach Mostu Poniatowskiego dało się zauważyć liczne rusztowania świadczące o trwającej jego odbudowie.

Muszę tu przy sposobności dodać, że odbudową tego mostu kierował mój późniejszy profesor Politechniki, wybitny konstruktor, Stanisław Hempel.

O tym to moście, między innymi, pisał Wł. Broniewski :

... „z gruzów zwycięstwa,
z odłamków sławy
most budujemy
Przez Wisłę."

Kiedy znaleźliśmy się w lewobrzeżnej, właściwej Warszawie, przerażające wrażenie zniszczenia spotęgowało się jeszcze bardziej. Wkroczyliśmy w nieprzebrane, niekończące się usypiska, zwały i góry gruzów. Idąc wąwozami wśród opustoszałych stosów cegieł i kamieni, ze sterczących gdzieniegdzie resztek murów patrzyły martwe, wypalone oczodoły zamordowanej Stolicy i niezliczone groby.

Kiedy się patrzyło na to morze ruin i grobów chciałoby się powtórzyć słowa L. Pasternaka, który podobnie jak my w 1946 roku powrócił do Warszawy :

„Zbłąkany pośród zgliszcz stanąłem
Wśród wzgórz dymiącej, krwawej cegły,
Wiatr sypał śniegiem i popiołem
Na groby, co wśród ruin legły."

Przygnębiające przeżycia związane z pierwszym zetknięciem się z tym umęczonym miastem oraz to, że związałem się z Warszawą aż po resztę moich dni, skłania mnie do krótkiego przypomnienia jej burzliwych i męczeńskich dziejów.

Jej najtragiczniejsze losy zaczynają się od wojen szwedzkich, kiedy to miasto przez wiele lat było niszczone, palone, łupione i rabowane, zarówno przez wojska szwedzkie jak i rosyjskie. Od czasów Powstania Kościuszkowskiego Warszawa staje się symbolem polskich aspiracji niepodległościowych.

Tu w Warszawie wybucha Powstanie Listopadowe. Tu po słynnym oblężeniu przez wojsko katedry św. Jana w r. 1861, ma miejsce wielka manifestacja antyrosyjska. Tu wreszcie, po Powstaniu Styczniowym, terror moskiewski osiąga najbardziej niespotykane rozmiary.

I wojna światowa nie oszczędza miasta. Rosjanie i Niemcy dokonują masowych zniszczeń i rabunków.

Zaledwie w dwa lata po odzyskaniu niepodległości, Warszawa jako stolica Rzeczpospolitej przeżywa ciężko najazd bolszewicki. W decydującej Bitwie Warszawskiej, o której już była mowa, wojsko polskie odrzuca czerwonych daleko na wschód. O tym boju o Warszawę trafnie i z głębokim wyczuciem sytuacji pisał w sierpniu 1920 r. E. Słoński :

„Ostatnia bije godzina
Wśród spadających wciąż razów.
Już słychać, słychać wyraźnie
Świst knuta i szczęk ukazów.

W gruz się rozpada i kruszy
To, cośmy czcili od dziecka –
Z nahajem w ręku kozackim
Zbliża się wolność sowiecka.

Lepiej jest polec od kuli
Niż wiecznie konać pod kijem –
O ludzie, już nie o Wilno,
Lecz o Warszawę się bijem !"

Wraz z II wojną światową następuje zagłada prawie półtoramilionowego miasta. Męczeńska śmierć Warszawy dokonuje się stopniowo, etapami.

Najpierw bohaterska obrona miasta we wrześniu 1939 r. Walki i bombardowania dokonały ogromnych zniszczeń. Okaleczona Stolica starała się zachować pozory normalności czekając i ufając w pomoc Zachodu, która miała jednak nigdy nie nadejść.

Potem mało znany fakt terrorystycznych nalotów lotnictwa sowieckiego w latach 1941-43.

Wreszcie powstanie żydowskie w Gettcie w 1943 r. i ostatni przerażający czas powolnej agonii miasta podczas Powstania Warszawskiego.

Powstaniu Warszawskiemu zamierzam poświęcić więcej uwagi, a to z dwóch głównych powodów. Po pierwsze, był to dalszy ciąg akcji „Burza", gdzie podobnie jak w Wilnie, chodziło o zdobycie miasta przez oddziały AK przed wkroczeniem wojsk sowieckich. Po drugie zaś, chciałbym przypomnieć tu rolę Moskwy w ostatecznej klęsce powstania.

Mimo złych doświadczeń w akcji na Wołyniu, w operacji „Ostra Brama" oraz we Lwowie, istniała teoretyczna szansa na jakąś formę współpracy ze Stalinem. Stalin musiałby, albo choć częściowo uznać prawowite władze polskie, albo spacyfikować miasto. Kreml wybrał jednak nieoczekiwanie najmniej spodziewany wariant – poczekać aż pacyfikacji dokonają sami Niemcy. W rezultacie Armia Czerwona stanęła na Wiśle i nie udzieliła powstaniu żadnej pomocy.

Dziwne, że jako formalny sojusznik wobec wspólnego wroga, przekraczając Bug, Stalin 19 lipca sam wzywał Warszawiaków do walki. Kiedy jednak ochłonął z pierwszego uniesienia postanowił wykorzystać Niemców do likwidacji polskich patriotów. Nawet próbę sforsowania Wisły przez oddziały gen. Berlinga wielu znawców tego tematu uważa jedynie za pozorujący manewr polityczny, mający na celu przekonać opinię światową o niemożności ratowania powstania.

Churchill na ten temat wyraził się jasno : „Rosjanie pragnęli doprowadzić do całkowitego zniszczenia polskich antykomunistów przy jednoczesnym zachowaniu pozorów, że idą im na pomoc."

Ale też i alianci nie mają tu czystego sumienia. Nie było z ich strony w tej sprawie żadnych bardziej zdecydowanych interwencji na Kremlu, a oczekujący pomocy powstańcy karmieni byli jedynie optymistycznymi komunikatami o masowych bombardowaniach Niemiec. Wprawdzie tenże „Żelazny Winston" w Izbie Gmin złożył hołd bohaterskim powstańcom warszawskim : „Warszawa przebyła cierpienia, które przerastają wszystkie cierpienia tej wojny" , ale to były tylko słowa.

Z militarnego punktu widzenia Powstanie Warszawskie było jedną z największych bitew II wojny. Powstanie, zwane czasami „drugim Stalingradem", jak uważa J. Nowak Jeziorański, zatrzymało marsz Armii Czerwonej na 5 miesięcy i odebrało jej szansę na wyprzedzenie aliantów i zajęciu większej części terytorium Niemiec.

Odbyło się to jednak za cenę ogromnych strat zwłaszcza pośród ludności cywilnej. Takich zniszczeń jak Warszawa nie doznała żadna europejska stolica w czasach nowożytnych. Stalin wkroczył do miasta ruin i grobów, do miasta kompletnie wyludnionego, gdzie prawie 80% zabudowań legło w gruzach.

Na skutek tak strasznych strat ludzkich i materialnych od pół wieku trwa spór, czy Powstanie było tragiczną koniecznością, czy też zbrodniczą głupotą. Dziś, z dalszej perspektywy, myślę że dla każdego polskiego patrioty jest niemal jasne, że była to konieczność. Są bowiem porażki i klęski, które niosą w sobie zarodek chwały i zwycięstwa – Gloria Victis.

Ten rozpaczliwy krzyk narodu, który w obronie swej niepodległości podejmuje walkę w najtrudniejszych warunkach, miał poruszyć serca i umysły wolnej międzynarodowej społeczności, miał wstrząsnąć sumieniem świata. Sądzę też, że ten akt mógł w pewnym stopniu być ostrzeżeniem dla Kremla, że dławienie polskich zrywów niepodległościowych może być bardzo kosztowne.

To prawda, że zginął kwiat młodzieży warszawskiej, ale przecież nasza młoda elita ginęła też masowo na Wschodzie. Kto wie, gdyby ci polegli ocaleli, większość z nich ginęłaby później w więzieniach i łagrach sowieckich, jak to zresztą mieliśmy możność obserwować i przeżywać w powojennych dziejach żołnierzy AK.

Poza wyżej wzmiankowanymi konsekwencjami, 63 dni Powstania Warszawskiego były też inspiracją dla licznych artystów. W dymie i kurzu bitewnym rodziła się poezja i pieśń powstańcza, która potem odgrywała dużą rolę w procesach niepodległościowych kraju.

Przypomnę, że jednym z najwybitniejszych przedstawicieli tej twórczości był poległy w Powstaniu żołnierz AK, Krzysztof Kamil Baczyński, który w młodzieńczej poezji dał wyraz okupacyjnej tragedii swego pokolenia i dramat historycznej katastrofy Warszawy. W wierszu pt. „Warszawa" pisał między innymi :

..... „Bryło ciemna, miasto pożarne,
jak lew stary, co kona długo.
Posąg rozwiany w dymy czarne,
Roztrzaskany czasów maczugą."

Baczyński był też autorem pięknej piosenki :

..... „Raz, dwa – trzy, cztery –
Niech ambasador nosi ordery,
Nam jedna szarża – do nieba wzwyż
I jeden order – nad grobem krzyż...
.....
Z naszych ramion tak czy siak,
Wytryśnie Polska, wolna jak ptak !"

Pieśni powstańcze długo jeszcze były śpiewane w całym kraju przez liczne polskie środowiska patriotyczne. Płynęły słowa „Warszawskich dzieci" :

„Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój
Za każdy kamień Twój
Stolico damy krew ... „

Czy „Marszu Mokotowa" :
„Nie grają nam surmy bojowe,
Ni werble do szturmu nie warczą. ..."

W takiej to zburzonej, wypalonej i wyludnionej Warszawie, w tym bohaterskim mieście ruin, zgliszcz i grobów, przyszło nam się zatrzymać zanim nie rozjedziemy się po Polsce w poszukiwaniu rodzin i krewnych.

Do naszej „jerzowej" dwójki dołączył Ryszard Andrys Jankowski , niewiele starszy od nas ale za to bardziej zaprawiony w boju żołnierz Wileńskiego AK.

Po ponownej rejestracji w PUR i otrzymaniu dalszej zapomogi pieniężnej, udało nam się znaleźć darmową jadłodajnię u sióstr zakonnych na ul. 6 sierpnia, gdzie skromnie ale czysto można było zjeść obiad.

Będąc jeszcze na Pradze, już od pierwszej chwili zaskoczyła wszystkich niezwykła uprzejmość i życzliwość Warszawiaków w stosunku do nas. Szybko przekonaliśmy się, że sprawia to nasz dziwny ubiór ozdobiony na rękawach i czapkach biało-czerwonymi naszywkami czy orzełkami. Łatwo było w nas poznać przybyszów „ze Wschodu". Warszawa nie zapomniała swoich bohaterskich żołnierzy, kochała ich i uwielbiała. Było pewne, że wtedy część tych uczuć przenosiła na nas, zabużańskich akowców powracających z obozów stalinowskich.

W ówczesnej Warszawie sam cudaczny ubiór nie był czymś wyjątkowym. Wynędzniali na skutek wojny i okupacji ludzie chodzili odziani w najbardziej fantazyjne i oryginalne rzeczy, po prostu kto co miał pod ręką. Najczęściej były to właśnie, jak to miało miejsce w naszym przypadku, fragmenty i resztki jakiś mundurów wszystkich możliwych armii, z Wehrmachtem włącznie. Za najwytworniejsze uchodziły oczywiście mundury alianckie, bądź też robione na ich wzór podobne wdzianka.

Jak powiedziałem, stosunek tutejszej ludności do nas był wprost zaskakująco przyjazny. W tramwajach konduktorzy nie brali pieniędzy za przejazd. W sklepach za żywność czy drobne przedmioty codziennego użytku nie brano zapłaty, a często obdarowywano nas dodatkowymi upominkami. Niemal wszędzie obsługiwano nas poza kolejnością oraz informowano o wszystkim bardzo wyczerpująco. Zrozumiałe, że zasypywano nas też tysiącami różnorodnych pytań, wykazując naszym losem wielkie zainteresowanie. Było to przyjemne i wzruszające.

Najgorzej było ze zdobyciem jakiegoś noclegu. W zburzonym niemal doszczętnie mieście ludzie gnieździli się nieraz po kilka rodzin w jednym pomieszczeniu, często nie opalanym, w jakichś na pół rozwalonych domach, bez wody i elektryczności.

Ostatecznie znaleźliśmy cudem miejsce w domu noclegowym prowadzonym przez księży misjonarzy, w którym niestety warunki nie były komfortowe, a spało się na podłodze na siennikach lub grubych tekturach. Lokum znajdowało się na terenie Szpitala Dzieciątka Jezus z wejściem od ulicy Nowogrodzkiej.

Bardzo szybko naszą trójkę opuścił Jurek Michałowski, który udał się do Bydgoszczy do swych dobrych znajomych. Obydwaj z Ryśkiem, zastanawiając się nad swą dalszą przyszłością, doszliśmy do wniosku, że trzeba spróbować dowiedzieć się czegoś o możliwościach dostania się na tutejszą Politechnikę. Byłem wprawdzie po maturze, ale brak mi było w tej sprawie jakiegokolwiek dokumentu i musiałem to jakoś załatwić.

Zamierzałem studiować mą wymarzoną architekturę. Przyjaciel myślał o Wydziale Elektrycznym i był w lepszej sytuacji, gdyż maturę potwierdził mu z miejsca znajomy

profesor z Wilna. Moim opiekuńczym aniołem okazała się w tym względzie spotkana w kuratorium Marysia Lachmanówna, córka znakomitego muzykologa, założyciela znanego warszawskiego chóru „Harfa". Ona to załatwiła mi w kuratorium szybki termin skróconego egzaminu maturalnego. Trzeba się było spieszyć, ponieważ rok akademicki na Politechnice rozpoczął się już w listopadzie ubiegłego roku. Czas naglił również z powodu szybkiego terminu wyznaczonego egzaminu. Po przeszło dwuletniej przerwie trzeba było przypomnieć sobie co nieco i zdobyć gdzieś jakieś podręczniki czy materiały. Egzamin, na szczęście tylko ustny i jedynie z trzech podstawowych przedmiotów, poszedł mi znakomicie i otrzymałem upragniony papierek upoważniający do dalszych studiów.

Był już luty, kiedy udałem się do dziekanatu Wydziału Architektury na Politechnice. Dziekanem był wówczas prof. Zdzisław Mączeński, znakomity znawca budownictwa oraz znany i ceniony przedwojenny architekt. Dziekan po wypytaniu mnie o moje losy wojenne i rodzinę stwierdził, że nie dam już rady dogonić obecnego roku studiów, a poza tym zadał podstawowe pytanie : „Czy ma pan gdzie mieszkać i co jeść ?" Po moich wyjaśnieniach, pocieszając mnie jeszcze, że nie mam się co martwić dwoma utraconymi latami bo inni studenci potracili znacznie więcej, postanowił twardo i kategorycznie : „Przyjmuję pana na obecny Kurs Zerowy Politechniki, po ukończeniu którego, w październiku rozpocznie pan studia na Wydziale Architektury. Jednocześnie zwróci się pan do Pełnomocnika Rządu d.s. Studenckich z podaniem o przyjęcie do Domu Akademickiego, oraz uzyskanie bezpłatnej stołówki akademickiej".

Wobec tak stanowczego stanowiska nie śmiałem dalej oponować i opatrzony odpowiednim skierowaniem opuściłem gabinet Dziekana.

I oto wtedy zdałem sobie nagle sprawę – nie jadę już do Krakowa, nie szukam rodziny i zostaję w Warszawie. Nie przypuszczałem wówczas, że Warszawa stanie się wkrótce moim umiłowanym, niemal rodzinnym miastem, w którym przyjdzie mi spędzić resztę mojego życia.

3. Studenckie początki

Nastała wiosna. Moja pierwsza wiosna w umęczonej Stolicy i zniewolonym kraju. O tej właśnie wiośnie pisał Tuwim :

...”Więc jak pachniałeś, bzie warszawski
Kiedy rażąca i nieznośna
Przyszła, ruiny stroić w blaski
Nowej niewoli pierwsza wiosna ?”

W początkach 1946 roku, wbrew pozorom, Warszawa zaskakiwała niezwykłą żywotnością ludzkiej masy, ludzi zewsząd powracających, starych mieszkańców i napływowej ludności ze Wschodu oraz takich jak my z obozów sowieckich i niemieckich. Z drugiej zaś strony miasto dalej przerażało upiornym milczeniem sterczących zgliszcz ruin i grobów. Obok ożywionej Marszałkowskiej, gdzie wyrosło masę parterowych sklepów, kiosków, straganów i rozmaitych kafejek wyłaniających się z gruzów, gdzie pośród zgiełku drobnych handlarzy ofiarowano na chodnikach drobne usługi, była też inna Warszawa.

Taka, jak choćby ruiny getta, ogromna jak okiem sięgnąć, niesamowita pustynia bezruchu i milczenia, olbrzymia równina gruzu, gdzie dosłownie kamień na kamieniu nie pozostał. Nad jej bezmiarem, czego nigdy nie zapomnę, sterczały jedynie samotne, czerwone

mury kościoła św. Augustyna z wysoką neogotycką wieżą, jak latarnia morska otoczona niezmierzonym oceanem ruin.

Tej tragicznej zagłady i jej ofiar budząca się do życia Warszawa nie tylko nie mogła zapomnieć, ale gdzie tylko to było możliwe starała się utrwalić jej pamięć. Że wspomnę niezapomniany film Makarczyńskiego pt. „Suita Warszawska", pokazujący wstrząsający obraz milionowego miasta zamienionego przez wojnę w bezludną pustynię, która powoli powraca do życia. Film ten, jako przestrogę przed cywilizacją zdolną zniszczyć własne kulturowe dziedzictwo, pokazywano wielu zagranicznym delegacjom i wybitnym osobistościom. Pamiętam, jaki głęboki szok wywoływał on swą dramatyczną treścią.

Nasze sprawy bytowe ułożyły się tymczasem nad wyraz pomyślnie. Rozpoczęliśmy studia, otrzymaliśmy miejsca w Akademiku na Placu Narutowicza oraz mogliśmy korzystać z bezpłatnych obiadów w stołówce akademickiej przy Bratniaku Politechniki. Nadal byliśmy przyjmowani wszędzie niezwykle ciepło i przyjaźnie. Na każdym kroku, jak to tylko było możliwe, służono nam radą i pomocą.

Szczególne słowa wdzięczności należą się Bratniakowi Studenckiemu z jego przemiłym personelem na czele z uroczym i uczynnym prezesem. Funkcję tę pełnił podówczas Bohdan Koy, student Wydziału Inżynierii i Budownictwa, z którym zresztą później po latach stykałem się wielokrotnie na polu zawodowym.

Bratniak ciągle załatwiał nam różnorodne przydziały ubrań, żywności, koców, a nawet pomocy naukowych. Tak więc otrzymywałem jakieś paczki z PCK, Caritasu, pomocy amerykańskiej i szwedzkiej oraz innych organizacji. W ten sposób już po kilku miesiącach byliśmy doskonale zaopatrzeni w odzież, żywność i inne przedmioty codziennego użytku.

Celem zdobycia nieco środków pieniężnych rozpocząłem udzielanie korepetycji z matematyki i fizyki licealistom przygotowującym się do matury.

Muszę też powiedzieć, że nimb jaki mnie otaczał na uczelni był przyczyną co najmniej dziwnego wydarzenia. Otóż, nie wiadomo dlaczego, przedstawiono mnie do odznaczenia „Medalem Zwycięstwa i Wolności", choć przecież my akowcy ani nie zwyciężyliśmy, ani też nie odzyskaliśmy wolności. No chyba, że wypuszczenie z łagru było tą wolnością. Uroczystego wręczenia medalu dokonał premier Osóbka-Morawski w gmachu BGK, gdzie podówczas znajdowała się Rada Ministrów.

Bardzo istotną sprawą było wyrobienie sobie oficjalnych dokumentów. Tak się złożyło, że w euforii odzyskanej wolności, będąc we własnym kraju, we wszystkich podaniach i życiorysach szczerze podawałem zgodnie z prawdą moją przynależność do Wileńskiej Armii Krajowej oraz fakt wywiezienia do Związku Sowieckiego. Ale te właśnie dane, które nastawiały do mnie tak przyjaźnie prezydium Bratniaka, były też powodem pewnego zaniepokojenia.

Jak wiadomo i co było zrozumiałe, nowe władze komunistyczne nie odnosiły się zbyt przychylnie do byłych żołnierzy AK, co mogło mieć wpływ na późniejsze różnego rodzaju restrykcje i szykany. Jak się wkrótce dowiedziałem, wielu starszych kolegów ukrywało swą akowską przeszłość ze względu na ciągłą inwigilację naszego środowiska oraz wyłapywanie co bardziej podejrzanych przez Urząd Bezpieczeństwa współpracujący z NKWD.

Będąc zwykłym, niedoświadczonym szeregowcem, nie sądziłem by chciano się takim jak ja „bandyckim akowcem" i „wrogiem ludu" zajmować. Ten naiwny optymizm okazał się wprawdzie w mym wypadku uzasadniony, ale wydaje mi się, że zawdzięczam to głównie szczęśliwemu losowi, gdyż wielu moich rówieśników o podobnym stażu w AK było poddawanych rozmaitym represjom w różnym czasie.

WARSZAWA

WARSZAWA

Zaabsorbowany studiami, zajęty budowaniem od podstaw własnej egzystencji, upojony młodością i wolnością nie bardzo orientowałem się w nowej politycznej rzeczywistości. Otoczony ze wszystkich stron przez ludzi życzliwych, przyjacielskich i otwartych, początkowo nie zdawałem sobie sprawy z obłudnych i krętackich poczynań komunistycznej władzy. Jedno co wyczuwało się wszędzie, czy to na uczelni, czy wśród coraz liczniejszej społeczności Warszawiaków było to, że ogólnie panowały silne nastroje patriotyczne, wzajemna solidarność oraz powszechny, wrogi stosunek do Związku Radzieckiego i narzuconego nam przez niego rządu.

Pierwszym odruchem po zaspokojeniu podstawowych potrzeb życiowych była odbudowa kraju, a przede wszystkim zniszczonej Stolicy. Cała młodzież akademicka po parę godzin dziennie brała czynny udział w odgruzowywaniu Warszawy.

Głównie oczyszczane były ulice. Odbywało się to w sposób nader prymitywny. Trochę łopat, trochę kilofów, ale przeważnie gruz wędrował z rąk do rąk, po kawałku, cegła za cegłą, ładowany na nędzne furki ciągnięte przez równie nędzne i zabiedzone szkapy.

Tak rozpoczynała się odbudowa Warszawy. Równocześnie, gdzie kto mógł odbudowywał fragmenty rozwalonych czy wypalonych domów. Na sterczących kikutach ścian uzupełniano cegłę, wstawiano okna, kładziono stropy i dachy. Powoli miasto budziło się do życia. Jakby zaczynało się spełniać piękne, pełne nadziei poetyckie proroctwo Staffa :

„Przejdą dni ciężkie i klęski rozgromu
i zapomnimy o ranach i szkodach.
Będziemy jeszcze mieszkać w własnym domu,
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.”

Mój udział w odbudowie Stolicy stał się bardziej konkretny, kiedy w 1948 roku podjąłem pracę w biurze projektowym ZOR. (Zakład Osiedli Robotniczych) Przygotowywałem wówczas podkłady inwentaryzacyjne ruin poszczególnych kamieniczek Starego i Nowego Miasta, a następnie inwentaryzację paru ocalałych kamienic w rejonie nowoprojektowanej Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej (MDM).

Prawie cztero letni okres pobytu w Domu Akademickim na Placu Narutowicza zapisał się w mojej pamięci wyjątkowo miło. Nasze grono „Wilniuków z Kaługi” powiększyło się do pięciu osób i trzymało się razem. Z Bydgoszczy wrócił mój nierozłączny przyjaciel Jurek i rozpoczął studia prawnicze i na ANP (Akademia Nauk Politycznych). Dołączyli do nas Rysiek Bielawski oraz Wiesio Baryń, z którymi razem studiowałem na jednym roku Wydziału Architektury. Z Wiesiem znaliśmy się jeszcze z czasów wileńskich. Obaj razem zajmowaliśmy przez długi czas dwuosobowy pokój, a następnie obaj pracowaliśmy w jednej pracowni biura projektowego.

Ze wspomnianym Wiesiem wiąże się nasza wspólna eskapada na „Wystawę Ziem Odzyskanych” we Wrocławiu, gdzie podówczas zamieszkiwali jego rodzice. Nas studentów architektury interesowały zwłaszcza rozwiązania architektoniczne i sam wystrój plastyczny wystawy. Było to tym bardziej ciekawe, że jej głównym projektantem i artystycznym komisarzem był ubóstwiany przez nas nasz profesor arch. Jerzy Hryniewiecki.

Zwiedzając Wrocław pamiętam, jak przygnębiające wrażenie wywierały ogromne zniszczenia tego miasta, które podobnie jak Warszawę ciężko doświadczyła wojna. Na marginesie tych oglądanych zniszczeń nasuwa się pewna ciekawa uwaga. Otóż, jak łatwo to

było zauważyć, Armia Czerwona stosowała w zdobytych miastach niemieckich mających po wojnie przypaść Polsce szczególną metodę. Po ich zajęciu wypalano je i ogałacano ze wszystkiego. Podobna akcja miała miejsce między innymi w Gdańsku.

Pośród tych radosnych upojeń możliwością nauki i studenckiej swobody, wśród grona bliskich przyjaciół i zawsze pięknych młodych dziewczyn, jedyną troską była myśl o rodzicach. Oni tam na Wschodzie cierpieli niewolę, a głód, zimno i ciężka praca odbierały im siły, zdrowie, a być może i życie.

Szukałem różnych możliwości niesienia im jakiejś pomocy, spowodowania interwencji czy choćby przesłania paczki, a nawet zwykłej wiadomości o sobie. Pisałem listy do różnych władz polskich i sowieckich, wysyłałem zaświadczenia, próbowałem interwencji przez wysoko postawione w hierarchii państwowej osoby, jak między innymi przez M. Spychalskiego, Osóbkę-Morawskiego czy Wiktora Grosza. W te działania włączyła się również rodzina w Krakowie i Jarosławiu. Wszystko bez skutku, a na liczne pisma w większości nie dostawałem nawet odpowiedzi. Wyglądało jakby w bezmiarze stalinowskiej Rosji rodzice zniknęli i zapadli się pod ziemię.

I znowu, jak poprzednio, jedyne sporadyczne i ogólne wiadomości otrzymywałem od Aliny i jej rodziców z Wilna. Dzięki ich życzliwości i serdeczności miałem choć pośredni kontakt z mamą. Przebywała ona wówczas na dalekiej północy w KOMI ASSR nad Peczorą. Moje bezpośrednie listy z Polski nie docierały do adresatki. Gdy w 1948 r. pozwolono wysyłać paczki do ZSRR, nadałem dwie lub trzy, do momentu, kiedy jedna z nich po trzech miesiącach, kompletnie rozbita i okradziona wróciła do mnie na adres Akademika. Jak się później okazało, żadna z nich, podobnie jak listy, nie dotarła na miejsce przeznaczenia.

Z tą zwróconą paczką wiąże się nieco zaskakująca i zwariowana historia, jak zresztą cały ten świat sowiecki, który nas otaczał. Jak wspomniałem, paczka błądziła jakoby jak widmo po bezbrzeżach Rosji przez trzy miesiące. Kiedy Sowieci odesłali ją wreszcie do nadawcy, zażądali od Poczty Polskiej odpowiedniej zapłaty. Ta z kolei przesłała mi rachunek, i to dość pokaźny, jak na możliwości biednego studenta. Ponieważ odwołania w tej sprawie nie odniosły żadnego skutku, poczta nasłała na mnie komornika celem zajęcia majątku osobistego. Po krótkich wyjaśnieniach i oględzinach pokoju akademickiego, wysoki urzędnik skarbowy sporządził protokół umarzający sprawę z dopiskiem : „należność nieściągalna". Co najzabawniejsze, to w rubryce o stanie majątkowym wpisał słowo „Bieda" z wykrzyknikiem.

Wobec tych wszystkich niepowodzeń, tym radośniejszy i tym bardziej nieoczekiwany był powrót mego ojca wczesną wiosną 1949 roku. Pewnego dnia zjawił się u nas w Akademiku wynędzniały, wychudzony w resztkach zniszczonego, jeszcze przedwojennego futra, z nieodzownym ruskim „czemudanem" (drewnianym kuferkiem).

Cóż to była za radość, kiedy po tylu latach rozłąki, trosk, obaw i niepewności padliśmy sobie w ramiona.

Jako przyczynek do losów Polaków na Wschodzie pragnę pokrótce przedstawić nieszczęsną, sowiecką gehennę ojca, opierając się zarówno na jego opowieściach, jak i na pozostawionych w latach osiemdziesiątych obszernych pamiętnikach.

4. Więzienia i obozy ojca

Jak już pisałem, katastrofy dziejowe i wojny pastwiły się nad losem mego ojczulka. To jednak, co przyniosła II wojna światowa, a z nią sowiecko-stalinowski terror, nie mogło ani w części równać się z przejściami i przeżyciami poprzednich dwu wojen.

Aresztowany i wywleczony z domu przez NKWD w noc sylwestrową 1944/45, przeszedł najpierw przez dwa najcięższe i najsroższe więzienia wileńskie. W podziemnym lochu na Słowackiego przebywał w okropnych warunkach w ciemnej, zatłoczonej, śmierdzącej i nigdy nie wietrzonej celi, bez wody i niemal bez jedzenia. Przeżył tam dramatyczną i wstrząsającą chwilę, kiedy po tygodniu usłyszał dochodzący z korytarza więziennego płacz i głos mamy, którą właśnie aresztowano i prowadzono do celi.

Po paru miesiącach tego koszmaru, urozmaicanego intensywnym śledztwem prowadzonym z reguły nocami, niemal dokładnie w dniach zakończenia wojny przeniesiony został do więzienia na Łukiszkach.

Opisując więzienia ojca, pragnę w tym miejscu szerzej potraktować i scharakteryzować jedną z najdotkliwszych i najbardziej rozpowszechnionych okropności stalinowskiego świata, jakim był system więzienny i łagierno-obozowy.

Stalinowska maksyma głosiła, że więzienie wychowuje obywatela. Jako, że trzeba było mieć jak najwięcej ludzi „wychowanych", czyli urobionych, uległych i zastraszonych, więzień stał się najpowszechniejszym „zawodem", a ogół uwięzionych stanowił osobną, bardzo pokaźną, niewolniczą warstwę społeczną. Profesjonalni „wychowawcy" stosowali najdoskonalsze metody śledztwa, tortur i znęcania się nad więźniami.

Odczłowieczenie to najważniejsze i podstawowe narzędzie łamania człowieka – pozbawić go wszystkiego, co człowiecze. Wszelkiego rodzaju tortury poprzez wyniszczenie fizyczne, a zwłaszcza psychiczne, wymuszały dobrowolne żądane zeznania. Nie mówię już o potwornych warunkach, w jakich przebywali skazani. Ta sadystyczna i precyzyjna machina do niszczenia i powolnego zabijania ludzi była tak skonstruowana, aby więzień mógł doznać największych upokorzeń oraz sięgnąć samego dna cierpień i męczarni.

Z więzieniem związane było ściśle śledztwo i sądownictwo. W Związku Sowieckim nie było nigdy niezawisłości sądów. Najwyższym sędzią był Kreml. Cały system sądowniczy był jedną wielką fikcją i oszustwem. Niemal we wszystkich wypadkach z góry decydowano o winie aresztowanego, który od tej chwili był już skazany.

Najstraszniejszym instrumentem sowieckiego „wymiaru sprawiedliwości" było śledztwo. Było ono jednym, bezrozumnym i bestialskim okrucieństwem, jedną nieprzerwaną torturą mającą na celu sfabrykowanie rzekomego oskarżenia, fałszowanie faktów i zastraszenie więźnia w maksymalnym stopniu. Strach zmieniał ludzi w narzędzie cudzej woli, torturowany i załamany człowiek przyznawał się do wszystkiego. Śledztwa były tak prowadzone, że nikt nie miał możliwości sprawdzenia faktów.

Dla zachowania pozorów urządzano parodie sądów i ukartowane procesy pokazowe. W sowieckim świecie, kto raz popadł w konflikt z władzą, był już na zawsze napiętnowany i to nie tylko on, ale cała rodzina, po któreś tam pokolenie.

Dla zilustrowania powyższego koszmaru więziennego przytoczę tu kilka fragmentów wyjętych z pozostawionych pamiętników mojego ojca.

..."Gdy byłem gotowy, zadając mi raz po raz szturchańce, zaprowadził mnie do piwnic w suterenach, gdzie – jak zobaczyłem - znajdowały się rzędem obok siebie cele więzienne z drzwiami okutymi grubą żelazną blachą i z.. judaszami.. w górnej ich części. Mnie dostała się cela oznaczona nr 4-tym, do której – po otwarciu dwoma kluczami ciężkich drzwi – strażnik, oczywiście wileński Żyd, wepchnął mnie zwracając się szyderczo do znajdujących się wewnątrz więźniów... Macie tu jeszcze doktora.. może przyda wam się na co..-

Gdy znalazłem się w celi, w pierwszej chwili ogarnęło mnie przerażenie, gdyż powiał na mnie smrodliwy zaduch – a w małej celi, tonącej w półmroku, bo oświetlonej tylko słabiutką żarówką u sufitu, dostrzegłem kilkunastu w różnym wieku mężczyzn siedzących na gołych narach, które zajmowały całą izdebkę, prócz wąskiego wzdłuż nich przejścia. W przedniej jego części, tuż obok drzwi, znajdował się duży kubeł w formie beczułki, przykryty nieszczelną drewnianą pokrywą. Oryginalny ten mebel, nazywany.. paraszą.., służył całej gromadzie do załatwiania potrzeb fizjologicznych, i to ta parasza – wobec braku jakiejkolwiek wentylacji – była główną sprawczynią tego nieznośnego fetoru, do którego zresztą każdy z aresztantów musiał z biegiem czasu przywyknąć. Co prawda paraszę tę opróżniano raz (wyjątkowo dwa razy) na dobę, lecz to tylko na bardzo krótko poprawiało sytuację.

Kiedy moje oczy oswoiły się z tą mroczną celą, zacząłem przyglądać się towarzyszom niedoli... i wygląd ich sylwetek – chudych, bladych, obrośniętych, podobnych raczej do upiorów niż do ludzkich postaci... wywarł na mnie wstrząsające wrażenie. Lecz w warunkach wegetowania jakie przytoczyłem, nie mogłem dziwić się niczemu i sam musiałem pogodzić się z nimi, jak i z mizernym pożywieniem, które składało się jedynie z porcji rzadkiego i podawanego w cuchnących spluwaczkowych miskach- kapuśniaku oraz 300 gr. chleba na całą dobę. .....

Niemałą torturą, wobec dokuczliwego pragnienia, był dla nas niedostatek wody, gdyż tylko raz (!) na dobę t.j. wieczorem przynoszono nam ją w wiaderku – i to w tak skąpej ilości, że zaledwie niepełny kubek dostawał się każdemu z nas.....

Wielką udręką była dla nas także sprawa snu – gdyż szczupłość miejsca na narach nie pozwalała, by wszyscy mogli równocześnie przespać swoje godziny. Dlatego radziliśmy sobie w ten sposób, że podzieliliśmy się na dwie grupy – i kiedy jedna, złożona z 7-8 osób spała – druga licząca tyleż osób, musiała w tym czasie stać w wąskim przejściu lub, jeśli się dało, siedzieć na samym brzeżku nar. Gdy minęła północ – a nastanie jej określaliśmy.. na wyczucie.., bo zegarka nikt nie miał – następowała zmiana.. i ci co spali, schodzili z nar.. a na ich miejsce pokładali się ci co stali.

Prawdziwą plagą – której i ja po kilku dniach stałem się ofiarą, a która najwięcej dawała nam się we znaki – było ogólne zawszenie. Przybrało ono tak potworne rozmiary, że codziennie każdy z nas dobrych kilka godzin poświęcał na to, aby wybić możliwie jak największą ilość tych pasożytów. – powodujących nieznośne i odbierające sen swędzenie całego ciała, jako też rozmaite przykre zmiany skórne. Trzeba by dodać, że gdy nad ranem syte już wszy uspakajały się, wkraczała do akcji cała chmara pcheł – które kłując boleśnie pozostawiały po sobie również dotkliwe ślady."".....

„Zbyteczne byłoby opisywać, jak w tych potwornych warunkach antysanitarnych upływało nam więzienne życie. Pozbawieni bowiem wszelkich środków do utrzymania minimalnej choćby higieny – bez kawałka mydła, grzebienia itp., cały czas nie goleni i nie strzyżeni i przy tak dotkliwym niedostatku wody – byliśmy oblepieni brudem od stóp do głów i swym wyglądem przypominaliśmy jaskiniowców kamiennej epoki. Nie było też mowy o prysznicu, prażarce lub jakichkolwiek urządzeniach odkażających dla zwalczania ogólnego zawszenia, ani też o żadnej łaźni."".....

„Winienem nadmienić, że po jakimś czasie usunięto naszych żydowskich strażników, a na ich miejsce przydzielono młodych krasnoarmiejców. Co prawda, przed tą zmianą, Żydzi straszyli nas, że dopiero teraz poznamy twardą rękę strażników więziennych, jednak – wbrew ich pogróżkom – nowoprzybyli żołnierze okazali się nieporównanie życzliwszymi i łagodniejszymi dla więźniów." .....

...„Przesłuchania te stały się dla nas zmorą, gdyż co noc, nieraz parokrotnie, podrywał nas na nogi donośny zgrzyt otwierających się żelaznych drzwi celi... i każdego z nas oblewał strach, czy nie przyszedł po niego NKWD-zista, by przed lufą jego pistoletu, pomaszerować na górne rejony więzienia, a co najważniejsze, w jakim stanie wróci do celi, gdzie mógł liczyć tylko na parę łyków wody ze zdobycznej manierki."

Kontynuuję teraz przerwany wątek o losach mego rodzica :

W tydzień po przeniesieniu na Łukiszki, bez sądu i bez jakiegokolwiek wyroku wywieziono go do Związku Radzieckiego, do obozu przymusowej pracy w Jełszance koło Saratowa nad Wołgą. Przebywał tam przez prawie 20 miesięcy pracując przy różnych robotach budowlanych i drogowych.

Ciężka praca, niedożywienie, antysanitarne warunki oraz wiele chorób z najgroźniejszą z nich malarią, powodowały wśród więźniów liczne zgony.

W tym miejscu jeszcze jeden fragment ze wspomnień ojca odnośnie dużej śmiertelności, jaka miała miejsce w obozie.

„Jak było do przewidzenia, długotrwałe niedożywienie – tak ilościowe jak i jakościowe – sprawiło, że zaczęły się mnożyć wśród nas przypadki choroby głodowej, które z biegiem czasu przybrały tak groźne nasilenie...że codziennie, wśród śpiączki głodowej, umierało kilkanaście osób, zwłaszcza wśród Wilnian.

Tę zastraszającą śmiertelność pamiętam dobrze, bo w tym okresie – jako jeden z dwóch lekarzy zatrudnionych w utworzonym poprzednio bardzo skromnym ambulatorium obozowym – prowadziłem też rejestrację zgonów. Dodam tu, że zwłoki – bez trumien a w ubraniu, jakie zmarli mieli na sobie – strażnicy o świtaniu wywozili z obozu i grzebali we wspólnych mogiłach na cmentarzysku, którego położenie nikomu z nas do końca nie było znane."

Kontynuując łagierną gehennę ojca, to następnym etapem był obóz w samym Saratowie gdzie zatrudniony był przy tłuczeniu kamieni na budowę dróg. Z poważnie nadszarpniętym zdrowiem, od niechybnej śmierci uratowało ojca krótkie oddelegowanie do obozu dla jeńców niemieckich, gdzie pracując jako lekarz zdołał jako tako odzyskać siły.

W roku 1947 nowym miejscem obozowej poniewierki był łagier w Kutaisi, w Gruzji, zaś w rok później w Astrachaniu. Tym razem był tam robotnikiem w tartaku. Przebywających tam Polaków dalej dziesiątkowały głód, malaria i inne choroby.

Następnego roku w lutym, jadąc przez Moskwę i Brześć, konwojowany przez sowieckiego striełka, powrócił w pojedynkę do Polski.

Ogrom przebytego nieszczęścia uzupełniały udręki psychiczne : niepewność jutra, bezustanna tęsknota za najbliższymi oraz ciągły brak wiadomości od nich sączył w duszę rozpacz, poczucie niesprawiedliwości i braku nadziei.

A los nieraz potrafił zadrwić sobie okrutnie z i tak już zrozpaczonego, sponiewieranego i załamanego więźnia. Jeszcze na trzy miesiące przed odzyskaniem wolności, ojciec przeżył chwilę strasznego załamania, kiedy cały obóz odjechał do kraju,

a jego jednego zatrzymano. Motywacja władz była zaskakująca i zakrawała na bolesną ironię. Tłumaczono to bowiem faktem, że żona znajduje się na terytorium Związku Radzieckiego.

Dla uzupełnienia dodam, że ojciec wrócił do kraju pozbawiony całego dorobku życia i to nie tylko od strony materialnej, ale i w dużej mierze zawodowej a zwłaszcza naukowej. Bo wraz z zagrabionym naszym całym mieniem zaginęła też jego praca naukowa, nad którą pracował prawie 10 lat. Całe życie musiał zaczynać od początku.

Tego typu katusze zdolne były zdruzgotać najsilniejszą psychikę. O nich to właśnie, o bolesnej tęsknocie, tułaczej samotności i więdnącej nadziei pisał najpiękniej i najprościej, jak potrafił, w swoich listach i wierszach przesyłanych do mamy oraz do nas, do Polski. Listy te zresztą w większości nigdy nie dotarły do adresatów. Niektóre wiersze dopiero po powrocie zostały odtworzone z pamięci i przywiezionych notatek.

Myślę, że winienem dziś ojcu i podobnym jemu nieszczęsnym łagiernikom przytoczenie kilku fragmentów tych bolesnych strof, jako świadectwo niedoli polskich zesłańców i wygnańców na olbrzymiej rosyjskiej ziemi.

Oto wyjątki wiersza pisanego w Jełszance :

.....„I nieraz jeszcze po słońca zachodzie,
Nim dnia spiekotę noc upojna wchłonie
Chowam się w ciche obozu ustronie,
By marzyć o Was na wieczornym chłodzie.

I biegnąc myślą w me strony ojczyste
Lubię spoglądać w to niebo gwiaździste,
Gdzie z gwiazd niejedna, zanim noc przeleci
Tym samym blaskiem i nad Wami świeci.
A gdyby któraś... gońcem mym być chciała
To by tęsknotę Wam moją przesłała ...”

Na koniec przywołam jeszcze obszerniejsze fragmenty „Refleksji Wielkanocnych” pisanych w Kutaisi w 1948 r. a opartych na parafrazie znanego wiersza J. Słowackiego :

.....
„Smutno mi Boże, boś na obcej ziemi
Zesłał mi dolę wygnańczą, tułaczą –
Gdzie za miłymi strony rodzinnymi
Serce z tęsknoty cichą łka rozpaczą...
I czy to w ranne, czy w wieczorne zorze,
Smutno mi Boże !

Tkwi wciąż w pamięci ta wileńska branka,
Areszt... koszmarne więzienia godziny...
Zsyłka... obozy – Saratow, Jełczanka
I ten brak wieści od swojej rodziny.
Że tak wciąż o nią martwię się i trwożę
Smutno mi Boże !

Setki rodaków dzieli ze mną trudy
I okrucieństwa zesłańczej wyprawy –
Ciemne baraki, insekty i brudy –
Głód... i tę troskę o każdy kęs strawy.

Żem na nędzarne zszedł jadło i łoże
Smutno mi Boże !

Nie wszystkim równy los tej poniewierki,
Bo już nie jeden, tracąc zdrowie, siły
Skończył na zawsze czas swojej... prowierki
I odszedł w ciche bez krzyża mogiły –
Że i ja może... kości swe tu złożę
Smutno mi Boże !
.....
Daremnie każdy w sercu swoim pieści
Bliskiej wolności sen złoty, promienny...
Zawodzą z kraju nadchodzące wieści
I snadź nie rychły kres naszej gehenny...
Że jak liść więdnę na obcym ugorze
Smutno mi Boże !
.....
Dziś w te pamiętne Święto Wielkanocy
Tym większa żałość w sercu mym się budzi.
I jeszcze silniej zadrga ból sierocy...
Żem wciąż samotny i wśród obcych ludzi.
Że znów jak nędzarz dziś się spać położę
Smutno mi Boże !

5. Warszawa 1949 – 1955

Kiedy ojciec po powrocie z łagrów nieco odpoczął i podreperował nadwerężone zdrowie oraz doszedł do względnej równowagi psychicznej, jeszcze w tym samym roku rozpoczął pracę w szpitalnictwie. Wówczas razem ze wzmożoną energią i połączonymi siłami kontynuowaliśmy wysiłki ratowania mamy i sprowadzenia jej do Polski.

Znowu niezliczone listy, pisma, zaświadczenia, poświadczenia i deklaracje popłynęły do wszystkich możliwych władz, aż ze Stalinem włącznie. Między innymi dr Jerzy Sztachelski, który wówczas był Ministrem Zdrowia, a którego ojciec znał dobrze jeszcze z Wilna, napisał osobisty list w sprawie mamy do Wandy Wasilewskiej, nota bene jego dobrej znajomej. Również Minister Spraw Zagranicznych, St. Skrzeszewski interweniował w tej sprawie. Na próżno. Prócz nielicznych zdawkowych i suchych zapewnień o rzekomej pomocy w odszukaniu „zaginionej więźniarki", żadnych bliższych danych o miejscu jej pobytu nie uzyskaliśmy. Wiadomo tylko było, i to przez Wilno, że w KOMI ASSR już jej nie ma. Nie przypuszczaliśmy wtedy, że upłynie jeszcze 6 długich lat zanim nieszczęsna Mateńka powróci w ojczyste progi.

Tymczasem w Warszawie trwały spontaniczne prace przy jej porządkowaniu i odbudowie. Moje miasto, jak dziecko rosło i piękniało w oczach. Każdą swą uprzątniętą ulicą, każdym jako tako ożywionym domem, każdym najmniejszym uporządkowanym zakątkiem sprawiało nową radość.

W roku 1949 Stolica liczyła już 600.000 mieszkańców. Ruszyła odbudowa Starego Miasta, wznoszono MDM i oddano do użytku Trasę W-Z z tunelem i nowym mostem przez Wisłę. Król Zygmunt stanął jak dawniej na Kolumnie, a Mickiewicz i Kopernik powrócili na stare, odnowione cokoły na Krakowskim Przedmieściu.

W tym czasie musieliśmy opuścić Akademik i po pewnych perypetiach, razem z Jurkiem, zamieszkać w wynajętym pokoju na Pradze przy ul. Targowej. Wszystko układało się pomyślnie, pracowałem, miałem swoje jakie takie pieniądze, studia szły znakomicie i sporo czasu poświęcałem na spotkania towarzyskie, zawierając nowe przyjaźnie.

Ale też wtedy to właśnie zaczęliśmy sobie powoli uświadamiać, że ten kraj, ta Polska, za którą cierpiało i umierało tylu ludzi, nie była tą, o którą walczyliśmy i o której marzyliśmy. Nasza tzw. demokracja ludowa (!) nie miała nic wspólnego z żadną demokracją. Sejm był jedynie marionetką pozorującą ustrój demokratyczny. W rzeczywistości rządziła tu Moskwa przez swoich agentów i polskich pseudokomunistów.

Fałsz, zakłamanie i arogancja nowej, socjalistycznej władzy coraz bardziej rzucała się w oczy, a prześladowania i zbrodnie dokonywane na polskich patriotach, zwłaszcza zaś na żołnierzach AK, były skrzętnie ukrywane. To były charakterystyczne cechy polskiego stalinizmu od tzw. „wyzwolenia" aż po październik 1956 r.

Mimo, że nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy z obłudnych i krętackich kulisów polityki komunistycznej, rzeczywistość okresu stalinowsko-bierutowskiego stopniowo, z roku na rok stawała się nam coraz bardziej obca, wroga i znienawidzona.

Najgorszą rzeczą było opanowanie kluczowych stanowisk w państwie przez ludzi sowieckich polskiego pochodzenia, o podejrzanych i prawie z reguły sfałszowanych życiorysach, a często nawet nie umiejących dobrze mówić po polsku. Bierut, Berman, Minc, Radkiewicz, Zawadzki, czy Świerczewski to sprzedajni oportuniści, poplecznicy wrogiego nam Związku Sowieckiego.

Jak już dziś wiadomo, desygnowany na prezydenta w 1947 r. przez sejm, wybrany w sfałszowanych wyborach Bolesław Bierut był typowym funkcjonariuszem sowieckim. Już w latach dwudziestych ukończył w Moskwie Szkołę Międzynarodówki Komunistycznej. W Polsce międzywojennej był agentem bolszewickim NKWD, prowadząc działalność rewolucyjną i szpiegowską na rzecz ZSRR.

Powszechną irytację nas Warszawiaków powodowało także zdominowanie całej naszej „góry" przez polsko-sowieckie elementy pochodzenia żydowskiego, które zasiadły w najpoważniejszych organach państwowych, a zwłaszcza obsadziły najbardziej krwawe i znienawidzone Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego oraz Urzędy Bezpieczeństwa. Wzmagało to wyraźnie niechęć społeczeństwa polskiego do Żydów.

I wreszcie, co chyba najgorsze, cały ten aparat władzy opierał się na ludziach nie zawsze wartościowych, często na nieukach oraz dołach społecznych. Nieważne były tu umiejętności, zdolności czy wykształcenie, najważniejsze natomiast bezwzględne posłuszeństwo i lojalność wobec rosyjskiego dyktatu. Najwymowniej świadczyło o tym choćby popularne powiedzenie : „Nie matura, lecz chęć szczera, zrobi z ciebie oficera".

Skoro już mowa o wojsku, trzeba powiedzieć, że było ono specjalnie dokładnie kontrolowane przez Moskwę i licznie obsadzone sowieckimi oficerami. W 1949 r. w Armii Polskiej było na 55 generałów aż 42 radzieckich i ten stan rzeczy utrzymywał się z grubsza aż do 1956 r. Ogółem w L.W.P. służyło 20.000 oficerów sowieckich. Dodam, że informacji tych dostarczył w wielkiej tajemnicy mój stryj Roman, który przez jakiś czas był w Warszawie adiutantem gen. M. Spychalskiego. Z generałem nota bene pracowałem razem w biurze ZOR do roku 1950, kiedy nagle został aresztowany.

Wojsko otrzymało też swego ruskiego namiestnika, pseudo-Polaka, Konstantego Rokosowskiego, który był ministrem Obrony Narodowej, wicepremierem i marszałkiem Polski zarazem. Nazywaliśmy go Wielkim Księciem Konstantym.

Wiedzieliśmy jednak, że najważniejszym namiestnikiem i gubernatorem rosyjskim był ambasador Związku Sowieckiego Lebiediew, który pilnował i w razie poważniejszej niesubordynacji groził zbrojną interwencją sowiecką. Przypominało to kropka w kropkę niesławne czasy stanisławowskie, kiedy to król śledzony był przez ambasadora rosyjskiego Repnina, faktycznego władcę Polski.

Coraz bardziej drażniła nas prymitywna, chamska i z gruntu fałszywa propaganda. Przy jednoczesnym natrętnym i głupawym wychwalaniu wszystkiego co radzieckie oraz zachłystywaniu się przy każdej okazji ich wspaniałym, pełnym szczęśliwości krajem, trwało szkalowanie i opluwanie Polski przedwojennej.

W dziedzinie gospodarki prasa i radio prześcigały się w bałwochwalczym aplauzie na temat ZSRR, jak również polskich wspaniałych na tym polu osiągnięć. Tymczasem prawda, jaką obserwowaliśmy, była mizerna, żeby nie powiedzieć, katastrofalna.

Praca ludzka była mało wydajna, źle zorganizowana i pozorancka ; produkcja nieoszczędna, energochłonna i z byle jakich materiałów. Brak było nowoczesnych technologii.

Reforma rolna rozdrobniła ziemię i przyczyniła się do powolnego upadku polskiego rolnictwa, a kolektywizacja w postaci PGR-ów i przymusowych spółdzielni produkcyjnych była przykładem wyjątkowego marnotrawstwa i wtórnego analfabetyzmu.

W tym czasie bywałem często w Jarosławiu, gdzie odwiedzałem mego wuja, Wiktora Jedlińskiego. Był on w tym rejonie wziętym adwokatem a przede wszystkim wybitnym działaczem ludowym i swojego czasu prawą ręką Witosa. Miałem więc okazję wysłuchania wielu ciekawych poglądów o ówczesnej polskiej wsi i polskiej gospodarce.

Mania beznadziejnego małpowania ruskich wzorów, a w szczególności obłędne idee komunistyczne odbiły się również na naszej nauce i kulturze.

My, studenci na uczelniach, odczuwaliśmy najdotkliwiej te prądy i nową socjalistyczną kulturę, bowiem ta sfera życia dotyczyła głównie młodzieży, jej kształcenia i wychowania. Dlatego, jak się wydaje, najostrzej na nie reagowaliśmy.

Na szczęście dla mojego rocznika, nasilenie tej indoktrynacji nastąpiło gdzieś na przełomie 1949/50 roku i jak już pisałem, było głównie skierowane na młodszych studentów. Na terenie uczelni rozwinął swą działalność Związek Młodzieży Polskiej (ZMP), pozostający pod ideowym kierownictwem PZPR. Agitowano i namawiano, z zastraszaniem włącznie, do wstępowania do tego związku oraz do partii. Łatwo było bowiem złamać nieposłusznym i niepokornym dalszą karierę i przyszłość, zepchnąć ich fałszywymi oskarżeniami na margines, czy też narazić na ostracyzm.

Na ostatnich latach sam byłem w tej sprawie nagabywany parę razy by się zdeklarować, po której jestem stronie. Wystarczała wtedy krótka odpowiedź : „A jak myślicie, skoro moja matka do dziś przebywa na zesłaniu w Związku Radzieckim, i to tylko dlatego, że była Polką ?”

Z innych represji, było szantażowanie profesorów oraz wprowadzony w końcu lat 40-tych urzędowy filtr przy przyjmowaniu na studia wyższe. Odsiewano młodzież z rodzin patriotycznych i z przeszłością akowską.

Na Wydziale Architektury, zgodnie z dyrektywą państwową, wprowadzono nowy wydumany, pompatyczny, pseudonarodowy i pseudoklasyczny styl zwany socrealizmem. Ta ideologia obowiązywała nie tylko w architekturze, o czym będę jeszcze pisał, ale też w całej sztuce, owocując licznymi szkaradzieństwami i potworkami plastycznymi.

Idee komunistyczne, rodem ze Związku Radzieckiego, powoli przenikały i rozprzestrzeniały się również na inne, nawet najbardziej osobiste, sprawy.

Przykre to, ale w dziedzinie kultury wielu naszych intelektualistów, poetów, pisarzy i artystów zgodziło się być narzędziem w rękach komunistów, sprzedając swe talenty za wygodniejsze życie. Władze miały swoich obłaskawionych i karmionych z ręki twórców, niestety nieraz bardzo wybitnych. Czy był to tylko konformizm, tchórzostwo, czy małoduszne karierowiczostwo ? To tak, jakby Prus, Orzeszkowa czy Sienkiewicz pisali ody do carów.

Wielkie szkody wyrządziła też polskiej humanistyce, kulturze umysłowej i poszczególnym ludziom, pewna grupa lewicującej światowej elity intelektualnej. Dała się ona zwieść perfidnej i zakłamanej propagandzie sowieckiej i stała się wpływowym agentem stalinowskiego komunizmu. Wśród nich były takie postacie, jak G.B. Shaw, Romain Rolland, Joliot-Curie, czy H. Wells. Manipulowali oni umysłami oraz siali wątpliwości, robiąc wrażenie, że my malutcy tego świata, nie jesteśmy w stanie dostrzec głębi tej idei, kryjącej się pod ohydą komunistycznej codzienności.

Ale trzeba też przyznać, że w latach wojny ukazały się powieści pokazujące zbrodniczość komunistycznego totalitaryzmu, m.i. takie klasyki jak: „Ciemność w południe" A. Koestler'a, czy np. „Folwark zwierzęcy" G. Orwella.

Z tego okresu warto jeszcze wspomnieć o obłędnym, wprost paranoidalnym wychwalaniu Stalina. Ten kult i wiara w Ojca Narodu, Niezwyciężonego Wodza, Opokę Socjalizmu i Wielkiego Nauczyciela miał zastępować wiarę w Boga. Cała ta apologetyka była tak naiwna i prymitywna, że wprost śmieszna.

Pamiętam, co za komedie wyprawiano w momencie śmierci Stalina. 5 marca 1953 roku, gazety, całe w czarnych obwódkach z olbrzymimi podobiznami wąsatego zbrodniarza, na pierwszych stronach zamieściły patetyczne hasła w rodzaju : „Stalin, Wódz postępowej ludzkości, nie żyje !" Z megafonów i na falach radiowych płynęły słowa pełne bólu i powagi, sztucznie i wolno cedzone oraz wymawiane z udanym patosem. Urządzano wielkie manifestacje żałobne, Katowice przemianowano na Stalinogród, a Bierut zapowiedział wzniesienie pomnika „Ojcu Narodu" przed Pałacem Kultury, któremu też nadano jego imię.

W Biurze Projektów ZOR wraz z kolegami zostałem również poddany przymusowej ceremonii pożegnania tego nadczłowieka. Kazano nam wtedy wszystkim stać na baczność wzdłuż ścian na korytarzu przez około 15 minut. W czasie tej cudacznej farsy surowo pilnowano, by ktoś się czasem nie odezwał, albo co gorsze, nie uśmiechnął. Nie było to takie łatwe, bo w tym dniu panował wśród nas wyjątkowo wesoły nastrój.

Przypomina mi się w tym miejscu wesoły incydent, który się zdarzył w czasie uroczystej akademii z tej okazji. Na zakończenie przemówienia żałobnego pierwszy sekretarz tow. Cedro wypowiedział pomyłkowo: „Niech żyje Józef... Piłsudski!" Oczywiście na tej uroczystości obecność nasza była nadobowiązkowa.

Pisząc o polskim stalinizmie, pozostawiłem na koniec jego najpotworniejszy i najgroźniejszy przejaw, a mianowicie prześladowania i zbrodnie dokonywane na polskich patriotach nie mogących się pogodzić z istniejącym stanem rzeczy.

Powszechnie wiadoma i znana była współpraca polskich służb bezpieczeństwa ze stalinowskim NKWD, mająca na celu inwigilację i wyłapywanie głównie członków AK, WiN-u i NSZ. Usłużny agent Stalina, Bierut podpisał z Sowietami umowę o deportacji z Polski osób uznanych przez władze radzieckie za niebezpieczne. Układ ten był

odpowiedzialny za wywiezienie do Rosji około 300.000 „szkodliwych i niebezpiecznych" Polaków. Zrozumiałe, że ten fakt był ukrywany i nie mieliśmy wtedy o nim pojęcia.

Sowieckie sprzężenie ideologii z terrorem i strachem przejęło nasze UB. Zło i zbrodnie były zawsze pociągające dla mentalności motłochu i marginesu społecznego. Ubeckich oprawców cechowało przy tym bestialstwo i zwyrodnienie. Wzorem radzieckim nagminne było stosowanie wszelkiego rodzaju okrucieństwa i niedozwolonych metod celem wymuszania zeznań - tortur, zastraszania i szantażu w stosunku do rodzin oraz fałszowania zeznań i dokumentów.

Jak podają niektóre obecne źródła, przez więzienia UB przeszło ponad pół miliona Polaków. Tylko w latach 1945-46 w wyniku działania aparatu przemocy zginęło 6,2 tys. osób, a około 45 tys. zostało aresztowanych. Cały kraj pokryty jest grobami ludzi zakatowanych w więzieniach UB, bez wyroków sądowych, często na polecenie tzw. „doradców" sowieckich. Ofiary były chowane nocami, potajemnie, a wielu z nich niewiadome jest do dziś ich miejsce pochówku.

Dziś świadczy o tym choćby dramatyczny w swym wyrazie Pomnik Ofiar Systemu Komunistycznego przy kościele św. Katarzyny w Warszawie.

Tak zamordowani zostali między innymi: Witold Pilecki, St. Sojczyński „Warszyc", gen. Krzyżanowski „Wilk", gen. Fieldorf „Nil", czy tacy dowódcy naszych oddziałów jak „Łupaszko", „Szczerbiec" czy „Bury". Żeby nie wspomnieć o głośnym „procesie 16-stu", kiedy to 16 przedstawicieli polskiego podziemia z ostatnim głównym komendantem AK na kraj, gen. Okulickim, zostało podstępnie aresztowanych i wywiezionych do Moskwy. Skazanych na wieloletnie więzienia, kilku z nich zakończyło tam życie, między innymi gen. Okulickiego zamordowano w więzieniu moskiewskim w rok po rozprawie.

Podobne zbrodnie i różnorodne represje w stosunku do akowców nie ominęły też Politechniki Warszawskiej. Na Wydziale Architektury, razem z nami, studiował Jan Rodowicz (ps. „Anoda"), powstaniec warszawski z batalionu „Zośka", wielokrotnie ranny, odznaczony podwójnie Krzyżem Walecznych i Krzyżem Virtuti Militari. Kiedy w 1948 r. nagle zniknął tajemniczo, okazało się, że został aresztowany, a w kilka miesięcy później zamordowany w więzieniu. Sprawa ta wyjątkowo mocno zszokowała nasze środowisko studenckie.

Tysiące osób skazywano też na długoletnie więzienia. Prowadzono liczne pseudoprocesy o szpiegostwo, dotyczyło to zwłaszcza naszych żołnierzy powracających do kraju z Zachodu. W państwie tak wrogo nastawionym do Moskwy i jej komunistycznych idei, bardzo liczne siły bezpieczeństwa utrzymywane były w ciągłym pogotowiu do spacyfikowania nieposłusznego społeczeństwa

Dziwne to były czasy, kiedy obok tych wynaturzeń, zniewolenia, zakłamania, cierpienia i zbrodni, nasze młode pokolenie rosło pełne zapału, marzeń, ambicji i gorącej aprobaty życia. Kiedy często lekko, z uśmiechem i humorem brało wszystkie te okropieństwa, nienormalności i niedogodności nowej polskiej rzeczywistości.

6. Powrót i sowiecka gehenna mamy

Zanim przejdę do niezmiernie radosnego wydarzenia, jakim był powrót i powitanie, po 11-stu latach, naszej mateńki, muszę słów kilka poświęcić mojej własnej sytuacji życiowej w tym okresie.

Ukończywszy studia w 1951 r. dalej pracowałem jako architekt w Biurze Projektowym, gdzie zajmowałem się mieszkalnictwem. Ten rodzaj działalności był niezwykle istotny, ponieważ zniszczony po wojnie kraj potrzebował setek tysięcy nowych mieszkań. Problem mieszkaniowy, zwłaszcza w Warszawie, był szalenie trudny, o czym szybko przyszło mi się przekonać samemu.

Nieosiągalnym marzeniem było już nawet nie mieszkanie, ale jakaś izba, czy choćby nawet własny kąt. Ponieważ biuro moje wynajmowało jakieś poszczególne pomieszczenia i przydzielało je pracownikom, wystąpiłem i ja o jakiś przydział mieszkaniowy. Jednak, jako kawaler i w dodatku niepartyjny, praktycznie nie miałem żadnych szans.

Dopiero po zawarciu związku małżeńskiego w 1952 roku, udało mi się wraz z żoną otrzymać jeden duży pokój w przedwojennym mieszkaniu przy ul. Lwowskiej. W lokalu tym dwa pozostałe pokoje zajmowały już dwie inne rodziny. Na dodatek w mieszkaniu nie było kuchni, gdyż kuchnia posiadając osobne wejście była zajęta przez naszą koleżankę biurową. Prowizoryczna, wspólna kuchnia znajdowała się w przedpokoju. Wkrótce przyszedł na świat nasz pierwszy syn. Mimo ciasnoty i niewygód, nie tylko że nie narzekaliśmy, ale czuliśmy się doskonale w dobranej, wesołej paczce równolatków biurowych.

Do tego to mieszkania, pewnego październikowego dnia 1955 roku, zawitała nagle i niespodziewanie nasza mateńka powracająca z długoletniej zsyłki syberyjskiej.

Zbyteczne jest tu opisywanie radości i łez szczęścia towarzyszącym temu rozczulającemu spotkaniu. Biedna mama, wymizerowana, kompletnie siwiuteńka, ubrana i okutana w jakąś nędzną ruską odzież, ze zniszczoną i pomarszczoną cerą, mimo swych 54 lat, robiła wrażenie starej, sponiewieranej babuleńki.

Trudno wyrazić i opisać ogrom cierpienia i udręczeń jakie przeszła w czasie tej więzienno-obozowej tułaczki w Związku Sowieckim. W ten sposób stalinowskie imperium zemściło się na bezbronnej kobiecie za jej polską narodowość i patriotyzm.

Mama po krótkim, tygodniowym odpoczynku u nas w Warszawie oraz po nowym, silnym i wzruszającym przeżyciu spotkania się z ojcem, nacieszywszy się nami i 2 letnim wnuczkiem, odjechała z tatą do stałego miejsca zamieszkania. Była to Choroszcz, koło Białegostoku, gdzie przy tamtejszym szpitalu czekało na nią już dawno przez ojca przygotowane, wygodne i obszerne dwupokojowe mieszkanie.

Tak oto po dwunastu latach nasza trzyosobowa rodzinka dzięki cudownej Opiece Bożej połączyła się wreszcie cała, powróciwszy z odległych, zesłańczych krańców sowieckiego świata.

Przez wzgląd na to, że matka jako słaba kobieta o kochającym, czułym i wrażliwym sercu, przeżyła największe katusze oraz dlatego, że jej droga przez mękę była najdłuższa i najokrutniejsza z naszej trójki, pragnę poświęcić jej nieco więcej miejsca.

Jej katorżniczej drodze warto się też przyjrzeć bliżej, ponieważ jest podobna do losu setek tysięcy polskich kobiet aresztowanych i wywiezionych przez NKWD.

Aresztowana została podstępnie 5 stycznia 1945 roku w czasie wręczania paczki żywnościowej ojcu przebywającemu w więzieniu na ul. Słowackiego. Przez prawie rok

znosiła potworne warunki więzienne i prowadzone uciążliwe i intensywne śledztwo. W tym czasie odbył się sąd nad całą grupą polskich kobiet. Otrzymała wtedy 5 lat obozów pracy, co było wyjątkowo łagodnym wyrokiem , jako że rzadko kto dostawał poniżej 10 lat.

Zarzuty były jak zawsze bardzo ogólnikowe. Oskarżono mamę o wrogie nastawienie do Związku Sowieckiego, współpracę z oddziałami AK i co było zupełnie paradoksalne, wychowanie syna na bandytę i polskie burżujskie nasienie.

Zaskakujące było przyznanie się mamy do wszystkiego i wygłoszenie odważnej i płomiennej mowy obrończej. Stwierdziła w niej między innymi, że jest polską patriotką, a syna wychowała w tym samym duchu, co było jej obowiązkiem i z czego jest dumna. Powiedziała też, że mogą z nią zrobić co chcą, a swoich poglądów i tak się nie wyrzeknie.

Trudno powiedzieć, czy stosunkowo niski wyrok był wynikiem tej otwartej deklaracji. Najważniejsze, że uniknęła bicia i torturowania.

Po skazaniu jeszcze przez kilka miesięcy przebywała na Łukiszkach. We wrześniu 1945 przewieziono ją do obozu w Szałutie koło Kłajpedy na Litwie, a stamtąd w lutym następnego roku została wywieziona na daleką północ do łagru Misiu nad rzeką Peczorą. Dotarła tam po 16 dniach morderczej i wyniszczającej drogi w zimnym i ciasnym „eszałonie". Poważnie chora, prawie 6 miesięcy przebywała w łagiernym szpitaliku, poczym pracowała ciężko na roli.

W maju 1947 została przewieziona do Ropczy, a następnie do łagru w Rakpas, gdzie pracowała niemal przez dwa lata. Warto zaznaczyć, że wszystkie te miejscowości znajdowały się przy linii kolejowej wiodącej do Workuty.

15 marca 1949 r. nastąpił dalszy etap wywózki do Kazachstanu poprzez więzienia w Kniai , Pakostie, Kirowie i Swierdłowsku, a następnie Carabas, Pietropawłowsku, Nowosybirsku i Krasnojarsku. Wyczekiwany koniec 5-letniego wyroku zastał mamę w obozie Spask, ale o żadnym zwolnieniu nie było nawet mowy. Tak niebezpieczny dla imperium więzień, jak schorowana i wyniszczona 50 letnia kobieta, była zbyt groźna by mogła być wypuszczona na wolność. Wyroki sądowe nie miały żadnej mocy, a z więźniem można było robić co się chciało. Tak więc zamiast powrotu do ojczyzny, zesłano ją na dalszą poniewierkę aż na Środkową Syberię.

Jesienią 1950 r. znalazła się w więzieniu w Krasnojarsku. Stąd nastąpiło zesłanie do Kańska, a potem do pasiółka Razdolnoje i wreszcie do wsi Szylinka, gdzie pracowała aż do 1955 r. u przebywających tam już wcześniej polskich zesłańców.

Szczytem perfidii było zmuszenie matki, pod groźbą wstrzymania pozwolenia na wyjazd, do przyjęcia obywatelstwa radzieckiego i wyrobienia sobie rosyjskiego paszportu.

To, jak zawsze potem podkreślała, było najgorszym i najboleśniejszym poniżeniem dla niej. Nie dość, że jako „ruskaja graždanka" musiała z własnych pieniędzy opłacić podróż powrotną, to jeszcze, o gorzka ironio, w PRL-u z tego powodu nie uznano mamy za repatriantkę i pozbawiono przysługującej jej z tego tytułu zapomogi. Tak Polska, o której marzyła i do której tęskniła przez tyle lat, odpłaciła jej za 11 lat ciężkiej, niezasłużonej katorgi. Potraktowanie jej jako Rosjanki było haniebnym policzkiem wymierzonym przez polskie władze, który szczególnie głęboko przeżyła.

Jak już wspomniałem, mama powróciła wyniszczona, ze zrujnowanym kompletnie zdrowiem. Ciężka praca i choroby spowodowały trwałą jego utratę, co w konsekwencji stopniowo ograniczało możliwość poruszania się, aż wreszcie, w ostatnim okresie życia doprowadziło do 6 letniego całkowitego unieruchomienia jej w łóżku.

Po tych matczynych ciurmach, łagrach i zsyłkach pozostało nieco smutnych listów, wierszy i modlitw pisanych w chwilach tęsknoty, rozpaczy i braku nadziei na szczęśliwy powrót. Marzenia i oczekiwania na powrót do Ojczyzny dominowały bowiem myśli i uczucia milionów polskich wygnańców na Wschodzie, na przestrzeni wieków.

Kończąc bolesną sowiecką gehennę mojej matki, przytoczę krótki fragment wiersza pisany na dalekiej Syberii :

.....
„O ciężko śmiać się, gdy serce boli,
Gdy zorza zgasła pogodna.
Lecz ciężej płakać, kiedy w niewoli
Łzy moje wyschły już do dna...

O ciężko rzucić na stos ofiarny
Życie, co szczęściu się śmieje.
Lecz ciężej istnieć, gdy rozpacz czarna
Jak robak stoczy nadzieję."

7. Sowiecka machina zła

Opisując ciężkie losy i przeżycia zgotowane przez sowiecki reżim naszej rodzinnej trójce, a zwłaszcza mojej matce, rodzą się dwa zasadnicze pytania. Po pierwsze, na czym polegał ten zbrodniczy charakter imperium stalinowskiego, a po drugie, gdzie należy szukać źródeł zbrodni i okrucieństwa rosyjskiego ?

Myślę, że dla nas Polaków, którzy najbardziej ucierpieliśmy od rosyjsko-sowieckiego reżimu zła, poznanie tych przestępczych cech naszego wschodniego sąsiada i przyjrzenie się bliżej ich genezie, jest szczególnie ważne.

Dla tych, którzy to pamiętają niech będzie to przypomnieniem, zaś dla młodych - ostrzeżeniem.

Niemal wszystkie negatywne cechy władzy radzieckiej biorą swe korzenie z ponurego, despotycznego imperium carów oraz krwawych i barbarzyńskich poczynań rosyjskich władców. Korzenie te sięgają rodzącego się państwa moskiewskiego.

Wielkie znaczenie dla kształtowania się zbrodniczego charakteru władzy miało w początkach imperium moskiewskiego zwłaszcza panowanie Iwana IV Groźnego.

W czasach przywykłych do okrucieństw, podstępu i zbrodni, panowanie Iwana Groźnego budziło, i do dziś budzi swą potwornością powszechną odrazę i przerażenie.

Nie wspominałbym o tym, gdyby nie to, że kiedy czytałem o tym carskim jedynowładcy i o metodach przezeń stosowanych, zdumiewało mnie nieprawdopodobne podobieństwo do krwawych czasów stalinowskich.

Iwan, protoplasta i wzorzec późniejszych moskiewskich władców, stosował bezwzględne mordy i rzezie, rabunki i tortury oraz bezmyślny, ogólny ślepy terror. Jego oprycznicy, czyli gwardia pretoriańska, zdziczała i zwyrodniała, dla przypodobania się carowi zdolna była do każdej zbrodni, do każdego wymyślnego okrucieństwa. Car szerzył bezprawie i niewolnictwo, siał wokół siebie strach, przerażenie i niepewność jutra. Dokonywał strasznych pogromów książąt i bojarów. Stosując odpowiedzialność zbiorową wyrzynał ich całe rodziny wraz z dziećmi. - Czyż to nie przypomina terroru i czystek stalinowskich?

NASZE WIĘZIENIA I OBOZY

W ZSRR

Osoby niewygodne, lub zagrażające jego władzy mordował, bądź skazywał na wygnanie, początkowo do oddalonych klasztorów, a potem na dalekie odosobnione ziemie. Ta metoda po kilkuset latach stała się pierwowzorem sybirskich zsyłek i łagrów sowieckich. Iwan Groźny stosował też masowe wysiedlenia zwalczając separatystyczne tendencje poszczególnych ziem i miast.

Jego polityka terroru doprowadziła do tego, że car miał swoich szpiegów wszędzie. Nawet przy dowódcach wojskowych wypraw wojennych miał swoich specjalnych pilnowaczy i donosicieli. - I znowu przypominają mi się politrucy z armii sowieckiej.

Jednak nawet najbardziej okrutni i zbrodniczy carowie w porównaniu ze Stalinem i jego współpracownikami byli łagodnymi owieczkami. Wzorując się właśnie na wielkich postaciach carów, komunistyczny system zbrodni, okrucieństwa i ucisku doprowadził do iście szatańskiej doskonałości, o jakiej dotąd świat nie słyszał.

Spuścizna pierwszych lat bolszewizmu, bieda, demoralizacja, złodziejstwo, bandytyzm, korupcja i ogólna deformacja psychiczna społeczeństwa, zaowocowała tragicznym triumfem wszechogarniającego zła. Zdegenerowana i zdeprawowana władza, pod oszukańczym pretekstem zbudowania nowej szczęśliwej i sprawiedliwej rzeczywistości, stworzyła żałosny, odczłowieczony świat okrucieństwa i wszechobecnego kłamstwa.

Oprócz opisanego już systemu łagrów i więzień, jedną z charakterystycznych okropności reżimu były metody wyłapywania i aresztowania ludzi oraz wszelkie wywózki w nieznane - wspomniałem już o tym przy okazji masowych deportacji w Wilnie. Przeważnie odbywały się nocami by budzić większy przestrach, zaskoczyć i ukryć szczegóły haniebnej operacji. Takie nocne najście oznaczało często pasmo nieszczęść – rewizję, areszt, śledztwo, łagier i śmierć.

Ofiary ładowano jak bydło do towarowych wagonów i wieziono czasem tysiące kilometrów w głąb Rosji. W nie opalanych, szczelnie zamkniętych wagonach jechała z nimi bieda, głód, wszy, choroby i śmierć. Zimą zamarzali, a latem padali z duchoty i pragnienia. Najsłabsi, głównie dzieci i starcy, nie wytrzymywali takich trudów. Marli, a ich ciała wyrzucano po drodze bez pochówka i bez krzyża.

„Jest w Polsce jedna droga od lat wyjeżdżona,
Na wschód północny wiedzie, znana od stuleci.
Za mężem w noc porwanym płakała tam żona
I od matki oddarte ginęły tam dzieci..."

Tak pisał Kazimierz Wierzyński.

Obok wywożeń do obozów pracy, dokonywano masowych i przymusowych przesiedleń. Te okrutne akcje niewiele się różniły od wspomnianych zsyłek, tyle że dotyczyły całych ogromnych grup narodowościowych. Przesiedlano całe rodziny, które z nędznym dobytkiem rozpoczynać musiały nowe, trudne życie na stepach Kazachstanu czy w tajdze syberyjskiej.

Klasyczny system zbrodniczy nie mógł się obejść bez masowych i indywidualnych mordów. Odbywały się one zawsze w znanym rosyjskim stylu, to jest w tajemnicy, po cichu i skrytobójczo. Rzadko rozstrzeliwano i wieszano, przeważnie strzelano w tył głowy, najchętniej gdzieś w strzeżonym dobrze miejscu, w kazamatach i zakamarkach więzień, czy opustoszałym lesie. Zamordowanych chowano potajemnie i w przypadkowych miejscach.

Ludobójstwo sowieckie nie ma sobie równego w dziejach świata i to zarówno pod względem masowości jak i okrucieństwa. Po częściowym otwarciu archiwów sowieckich Gorbaczow wyraził się : „To wszystko było o wiele straszniejsze niż myśleliśmy". A co jeszcze kryje krwawe archiwum moskiewskiej Łubianki, czy też inne archiwa KGB?

Oprócz masowych zbrodni, Kreml dokonywał wielu indywidualnych, skrytobójczych mordów politycznych na wybitnych przedstawicielach władz, często z najbliższego otoczenia Stalina. Nawet rosyjskich emigrantów za granicą dosięgały kule morderców. Takim krwawym i okrutnym symbolem tego rodzaju mordów stało się zgładzenie Mikołaja II wraz z liczną rodziną.

Jeżeli do tego ludobójstwa dodać jeszcze kompletne nieliczenie się z życiem żołnierzy, których w czasie wojny dziesiątki tysięcy ginęło niepotrzebnie, a setki tysięcy dostało się do niewoli, jeżeli dodać niezliczone ofiary masowych deportacji, zsyłek i przemieszczeń ludności różnych narodów, otrzymamy przerażający obraz komunistycznego „Imperium Zła".

Systematyczne niszczenie osobowości i godności, poniżanie, pastwienie się i szczucie wywoływało po latach chęć zemsty i odwetu. Panujący terror, potrzeba posiadania wroga, któremu można by przypisać oficjalnie wszelkie objawy zła, oraz centralistyczna zasada władzy wykreowała niesłychanie rozbudowany aparat szpiegowania, donosicielstwa i zwykłego kapownictwa.

W sowieckim świecie wszędzie czaił się więc wróg, wszechobecny, niebezpieczny i podstępny, którego należało zdemaskować i zniszczyć. Ta psychoza, niemal dewiacja narodowa, stała się jedną z najbardziej typowych cech reżimu.

Jak przekonali się o tym moi rodzice, każdy niepożądany element najłatwiej było oskarżyć o szpiegostwo. Ileż to najszlachetniejszych ludzi ubabrano, robiąc ich szpiclami, donosicielami, obcymi agentami i „szpionami". Donosicielstwo było powszechne. Na każdym kroku pełno było tajnych informatorów, denuncjatorów, płatnych konfidentów i różnego rodzaju kablowników. Donosił każdy na każdego, nawet syn na ojca. Donos, ten najnikczemniejszy twór piekła, stał się ogólną plagą. Donos nie był weryfikowany i zagrażał wszystkim uczciwym ludziom, a odmowa donosu oznaczała wyrok.

Donosicielstwu towarzyszyła często prowokacja. Była to jedna z najbardziej podłych i podstępnych metod pozbywania się niewygodnych osób.

Upadek moralny społeczeństwa, konformizm duchowy i deformacja świadomości wyzwoliły wszystkie najgorsze instynkty. Swoista szkoła przetrwania zachęcała do korupcji, złodziejstwa i oszustwa w stosunkach międzyludzkich. Ogólny fałsz i zakłamanie zwalniały od wszelkich hamulców moralnych i zachęcały do nadużyć, braku skrupułów, przekupstwa, kanciarstwa i kombinatorstwa. Tylko w ten sposób można było przeżyć.

Szeroko stosowane w Rosji łapownictwo, w ZSRR przybrało zastraszające rozmiary i formy. „Bóg dał ręce, żeby brać" – głosiło stare rosyjskie przysłowie.
Obok wszelkiego zła, charakterystyczną rzeczą tego ustroju była propaganda.

Nieudolny i nieefektywny system dla podtrzymania autorytetu i trwałości władzy potrzebował za wszelką cenę sukcesów. Do tego celu służyła zakłamana i załgana propaganda sukcesu. Dla amorficznej i nieświadomej masy ludzkiej była to jedyna pożywka, którą można było ją karmić, kształtować i urabiać wedle własnej woli. Aby własne sukcesy wydawały się jeszcze większe, wmawiano ludziom, że w innych krajach jest o wiele gorzej. Ograniczano więc i fałszowano informacje o osiągnięciach zagranicy.

Triumf stalinowskiego uprzemysłowienia i kołchoźnego rolnictwa był wielkim mitem propagandowym. Oszukańcze statystyczne dane wykonania planów gospodarczych były nagminne. Panowała ideologia fikcji i fasadowości. Wszelkie wizyty obcych, na każdym szczeblu, były z góry sztucznie przygotowywane.

Dla ilustracji takich paranoidalnych poczynań przytoczę znamienną historię, jaką opowiadał mi jeden z uczestników wycieczki do Moskwy w latach 60-tych. Otóż jeden z wycieczkowiczów, mając rodzinę tuż pod Moskwą chciał ją odwiedzić, musiał jednak uzyskać na to pozwolenie. Nie mogąc się na nie doczekać pojechał tam na własną rękę. Zastał tam potworną nędzę, a wystraszona rodzina zmusiła go do natychmiastowego opuszczenia domu. Na parę dni przed odjazdem do Polski otrzymał oficjalne pozwolenie, z którego skorzystał. Jakież było jego zdziwienie, kiedy znalazł rodzinę w innym miejscu, w innym bogatym mieszkaniu. Gdy zaraz po powrocie zwierzył się z tego kolegom z wycieczki – nagle zniknął. Żadne poszukiwania nie dały rezultatu i odtąd wszelki ślad po nim zaginął.

Cudzoziemiec, czyli „inostraniec", był zawsze podejrzany i wywoływał lęk, bo każde, nawet przypadkowe z nim zetknięcie, mogło być powodem oskarżenia o szpiegostwo. Obcy musieli przestrzegać specjalnych zasad poruszania się po Związku Radzieckim.

Nasza przyjaciółka, B. Wojciechowska, która przez parę lat służbowo przebywała wraz z mężem w Moskwie, opowiadała zadziwiające historie o ścisłym nadzorze jakim otoczyła ich tam służba bezpieczeństwa. Między innymi nie wolno było ani przyjmować, ani samemu składać jakichkolwiek wizyt poza obrębem własnego bloku, który był ogrodzony i pilnie strzeżony, a każdy wyjazd z miasta musiał być odnotowany i odpowiednio uzasadniony.

Znane były także u nas wycieczki samochodowe do Bułgarii przez ZSRR, które miały wyznaczoną trasę, absolutny zakaz wszelkiego z niej zbaczania i obowiązek meldowania się w określonym czasie w punktach kontrolnych. Na tej trasie zabawny incydent miał mój bliski kolega. Wjechawszy w niewłaściwą drogę, tłumaczył się, że w Polsce każdy może jechać gdzie chce. Otrzymał wtedy zaskakującą odpowiedź miejscowego milicjanta : „Za to, że u was jest bałagan, to ja nie odpowiadam."

Dla namolnej i wszechobecnej propagandy sowieckiej żadna sposobność nie mogła pozostać niewykorzystana. Pamiętam, że zetknąłem się z tym nieświadomie, jeszcze jako mały chłopiec zbierający znaczki pocztowe. Spośród ogólnej szarości, znaczki radzieckie wyróżniały się kolorem i dużym formatem. Pokazywano na nich różnorodne osiągnięcia komunizmu i wielkie budowle socjalizmu, kwitnący przemysł i rolnictwo, szczęśliwe i uśmiechnięte twarze robotników i chłopów oraz oczywiście Wielką Rewolucję Październikową – wszystko mocno okraszone czerwonym kolorem.

Mnie jednak, jako dziecku, pozostał w pamięci znaczek pokazujący mapę świata, na której w ostrej czerwieni i napisem CCCP, Związek Radziecki zajmował ¾ pokazanego tam ziemskiego globu. Było to zrobione tak sprytnie, że obie Ameryki były tam uwidocznione zaledwie szczątkowo. Taki psychologiczny chwyt propagandowy miał na celu zastraszenie reszty świata i uświadomienie potęgi Czerwonego Imperium.

Przy okazji trzeba powiedzieć, że oddziaływanie wielkością na rosyjskie masy było ulubionym i wypróbowanym chwytem propagandowym. Poczucie wielkości było rodzajem zadośćuczynienia i dumy radzieckiego człowieka. Tam wszystko musiało być olbrzymie i największe na świecie.

Ale też wszystko musiało być najlepsze, najbardziej sprawiedliwe, najdoskonalsze, niezwykłe i najmądrzejsze. Wmawiano w nas, że nauka i technika radziecka jest przodująca. Oszukańcza propaganda rozdmuchiwała i często fałszywie chwaliła się wielkimi osiągnięciami naukowymi ZSRR. W istocie postęp naukowo-techniczny, poza krótkim

okresem sukcesów w kosmonautyce, był bardzo mizerny. W wielu dziedzinach przemysłu kopiowano zachodnie wzory.

System własnych swych uczonych trzymał w obozach i więzieniach, a postęp techniczny hamowany był przez darmową pracę milionów skazańców. Po co były maszyny, czy nowoczesny sprzęt, skoro na każdą budowę, czy do każdej kopalni można było posłać tysiące rabów. Dla sztucznie rozreklamowanego agrobiologa Łysenki geny, chromosomy czy bakterie były wymysłem kapitalistycznym.

Atomowe mocarstwo swej pierwszej bomby też nie wymyśliło samodzielnie, lecz zawdzięczało ją w dużej mierze kradzieży i szpiegostwu.

Ze słynnymi atomistami radzieckimi zetknąłem się bezpośrednio w biurze projektów „Energoprojekt", gdzie pracowałem od 1955 r. W latach 70-tych i 80-tych uczyli nas jak projektować elektrownie jądrowe. Byli to ludzie co najmniej dziwni. Byli zarozumiali i wypowiadali się jak nawiedzeni, nie uznając żadnych dyskusji i żadnych argumentów merytorycznych. Potrafili tylko bez przerwy powtarzać wydumane, ideowe „tak nada", bo tak się robi w ZSRR. To samo potwierdzili moi koledzy technolodzy w czasie rozmów w leningradzkim „Atomprojekcie". Tylko Opatrzność uchroniła nas, mimo olbrzymich utopionych nakładów, od ukończenia pierwszej elektrowni atomowej na radzieckiej technologii, która była zacofana i niebezpieczna, niczym rodem z Czarnobyla.

Nieodzownym elementem propagandy radzieckiej była cenzura. Żadna niepożądana informacja, żadna wroga treść, choćby w najbardziej zakamuflowanej formie, nie mogła się przedostać do publicznej wiadomości. Rodzajem cenzury było ścisłe odseparowanie się od zewnętrznego świata. Dlatego zamknięto granice, zagłuszano obce stacje telewizyjne i radiowe oraz ograniczano kontakty międzynarodowe.

Poważnym środkiem propagandy był sport. Schowany za szczelną, żelazną kurtyną ten ogromny kraj, od czasu do czasu wypuszczał swych specjalnie hodowanych sportowców. Mieli oni pokazywać światu, jak zdrowe i silne reprezentują społeczeństwo. Na cel ten nie żałowano środków. Ojczyzna potrzebowała za każdą cenę sukcesów. Każda przegrana konkurencja odbierana była jako polityczna klęska oraz zdrada narodu i jego kremlowskich władców. Pamiętam, że podobnie jak w innych dziedzinach, największą rolę odgrywała tu rywalizacja radziecko-amerykańska.

Podsumowując główne cechy sowieckiego reżimu, trzeba powiedzieć, że był on oparty przede wszystkim na terrorze i zakłamaniu, a jego zbrodniczy i wynaturzony charakter brał się z obłędnej ideologii komunistycznej oraz z historycznych tradycji.

Symbolem tej tyranii były zaryglowane drzwi i zapieczętowane usta. ZSRR był krajem wyjątkowego niewolnictwa i to nie tylko tego zewnętrznego, fizycznego, ale też duchowego i mentalnego. Był to system ludzi słabych, przestraszonych istniejącym terrorem, których przeistaczano moralnie przez sączenie w nich kropla po kropli destrukcyjnego zła.

Rosyjskie społeczeństwo, uwikłane w pajęczynę paranoi i strachu, niezdolne było do rozróżniania dobra od zła, prawdy od fałszu.

Wiele tych osobliwości i okropności sowieckiego systemu odczuliśmy bezpośrednio na sobie i dlatego tej charakterystyce poświęciłem tyle miejsca i uwagi.

8. Rok 1956

Zdawaliśmy sobie sprawę, że powrót swój po 11 latach więzień, obozów i zsyłek, matka moja niewątpliwie zawdzięczała przede wszystkim przemianom, jakie nastąpiły w obozie sowieckim po śmierci Stalina. Potępienie, aresztowanie i zgładzenie złowieszczego

Berii, a następnie objęcie władzy przez Chruszczowa wywołało lawinę wydarzeń w ZSRR, które głośnym echem odbiły się też w naszym kraju.

U nas w Polsce tzw. „odwilż" zaczęła się już w 1954 r. rewelacyjnymi relacjami J. Światło w Radiu Wolna Europa pt. „Za kulisami bezpieki i partii". Ja i moi najbliżsi dowiedzieliśmy się o tym z tajnej prasy. Dla komunistycznej władzy był to podobny szok, jak w dwa lata później słynny XX Zjazd KPZR i referat Chruszczowa krytykujący Stalina. Od tego momentu rozpoczęła się powolna erozja komunistycznego systemu.

Dla nas, najbardziej niezapomnianym i brzemiennym w wydarzenia był rok 1956.

W tym czasie, mając już pierwsze poważniejsze sukcesy zawodowe, przeszedłem do Biura Studiów i Projektów Energetycznych „Energoprojekt", za obietnicę szybkiego otrzymania mieszkania. Jako poważny obywatel, wyrobiony architekt i odpowiedzialna głowa rodziny, zacząłem znacznie bliżej przyglądać się i bardziej interesować polską rzeczywistością polityczną. W tym czasie zarówno w biurze, jak i w gronie najbliższych przyjaciół nasiliły się rozmowy na ten temat.

Już w marcu, pierwszym pomyślnym wydarzeniem była śmierć naszego rodzimego „Stalinka" – Bolesława Bieruta.. Tym razem nie kazano nam stać na baczność, ani nie zapędzano siłą na uroczystości pogrzebowe. Czuć było już lekki powiew nadchodzących przemian.

Wkrótce pojawiły się pierwsze masowe protesty przeciw systematycznemu obniżaniu się poziomu życia, niskim płacom i arogancji władzy. Najbardziej zaskakujące było, że to akurat rozruchy robotnicze poznańskiego czerwca były tym symbolem oporu wobec narzuconej władzy i jak się później okazało początkiem końca socjalistycznych złudzeń.

Do nas początkowo dochodziły o tym tylko niesprawdzone wieści i oficjalne komunikaty. Najpierw o rozróbach chuligańskich, a potem o rozruchach i prowokacjach zorganizowanych przez ośrodki imperialistyczne. Ani słowa o robotnikach. Tego rodzaju tłumaczenie podobnych zajść było charakterystyczne dla PRL-u.

Po tych wypadkach społeczeństwo polskie wrzało, aż wreszcie w październiku kocioł wybuchł. Pierwszym sekretarzem partii wybrano Władysława Gomułkę, który miał reprezentować tzw. polską drogę do socjalizmu. Obiecywał demokrację i częściową destalinizację.

Uczestnictwo w odnowie kraju wszystkim nam wydawało się kwestią społecznej odpowiedzialności i patriotycznego obowiązku. Pamiętam burzliwe wiece na Politechnice, no i oczywiście potężną, kilkusettysięczną manifestację na Placu Defilad przed Pałacem Kultury, w czasie której przemawiał Gomułka. Wraz z podnieconym tłumem śpiewaliśmy wtedy zamiast Międzynarodówki – „Jeszcze Polska nie zginęła" oraz wznosiliśmy okrzyki w rodzaju : „Rokossowski do Moskwy!", „Sowieci do domu!", czy „Uwolnić prymasa Wyszyńskiego!" To było niesamowite przeżycie!

Wkrótce potem przyszły wiadomości o powstaniu w Budapeszcie. Ludzie szaleli. To było jakieś gigantyczne, ogólnonarodowe dążenie do wolności i prawdy. Przeżywaliśmy gorączkowe napięcie, łapiąc oddech po latach stalinizmu. Odnowa, reforma, niosła ze sobą nowe wielkie nadzieje i oczekiwania.

Atmosferę napięcia podgrzewały pogłoski o groźbie sowieckiej wojskowej interwencji. Cała Warszawa mówiła o kolumnach radzieckich czołgów zmierzających w stronę miasta. Cały czas czuło się za plecami oddech bezpieki, której działań zawsze było trudno do końca przewidzieć. Krwawa kontrrewolucja wisiała na włosku, ale tym razem zdrowy instynkt i doświadczenia narodu wzięły górę.

Dużą rolę odegrał tu Kościół i uwolniony Prymas, który nawoływał do spokoju. Władza też robiła co mogła, by nas przekonać o zdecydowanych zmianach. Z armii odeszła liczna grupa wyższych oficerów sowieckich z marszałkiem Rokossowskim na czele. Ucichła antyinteligencka retoryka, a Gomułka, chcąc pozyskać wierzącą część społeczeństwa rzucił odkrywczą myśl, że socjalizm mogą budować również ludzie tacy jak my, o nie materialistycznych poglądach.

Niestety bardzo szybko nasze nadzieje zmieniły się w powątpiewanie, a patriotyczna euforia w zwykłe gorzkie rozczarowanie. Wielkie złudzenia trwały krótko. Już po paru miesiącach atmosfera swobody znikła, a Gomułka niezwykle sprawnie spacyfikował rewolucyjne dążenia wolnościowe. Mówiło się, że Chruszczow po nagłej, krótkiej i burzliwej wizycie w czasie wydarzeń październikowych, musiał przywołać Gomułkę do porządku.

Tak czy owak, system mimo pozorów liberalizacji, w swej istocie pozostał nie zmieniony, a ja i większość moich przyjaciół raz na zawsze pozbyliśmy się naiwnej wiary w możliwość dokonania u nas jakichkolwiek zmian demokratycznych. A przecież to właśnie my z Kresów powinniśmy wiedzieć najlepiej czego można się spodziewać po sowieckim reżimie i jego polskich wasalach.

Tej czary goryczy i zawodu dopełniła jeszcze interwencja sowiecka na Węgrzech i krwawe stłumienie powstania w Budapeszcie. – „Point de rêveries, messieurs!”

45 LAT KOMUNY

Jak było mi przeznaczone, moje własne doświadczenia i spotkania ze Wschodem miały trwać równo 50 lat, aż do upadku Czerwonego Imperium.

Przystępuję przeto do opisu ostatniego okresu tej nieszczęsnej totalitarnej epoki, w której przyszło nam tak długo żyć. Mam nadzieję, że opis ten dopełni przedstawionej ogólnej charakterystyki tych ponurych czasów.

Aby jednak tego ponuractwa nie było za wiele postaram się tę część moich wspomnień rozjaśnić nieco szczyptą satyry i humoru.

1. Socjalizm z małpią twarzą

Popaździernikowe rozczarowania sprawiły, że znowu zastosowaliśmy wewnętrzną emigrację, kryjąc się niczym żółwie w swych skorupach i poświęcając się pracy zawodowej oraz życiu rodzinnemu i towarzyskiemu.

W 1957 roku otrzymałem wreszcie oczekiwane i upragnione własne, samodzielne mieszkanie. Był to wprawdzie tylko jeden duży pokój ze sporą kuchnią i łazienką, ale jak na warunki warszawskie, był to wówczas istny luksus.

O tym ile trudów kosztowało wtedy zdobycie choćby jednej izby dowodzi fakt istnej walki na pięści, jaka rozegrała się w momencie mojej wyprowadzki z zajmowanego dotąd pokoju służbowego. W bitwie wzięły udział kilkunasto osobowe grupy reprezentujące obecne i dawne moje biuro. Każda z nich chciała przejąć zwolniony pokój do swojej dyspozycji. W tumulcie, krzyku i podnieceniu oraz przy udziale milicji, ledwo udało mi się wyjść cało z tego zamieszania.

Mimo, że Warszawa systematycznie się odbudowywała, ludności przybywało niepomiernie więcej niż budowanych mieszkań. Ilość mieszkańców stolicy przekroczyła właśnie milion. Podczas gdy propaganda krzyczała głośno o wielkich osiągnięciach w budownictwie mieszkaniowym, to w istocie mieszkania były małe, ciasne oraz biednie i źle wykończone, z kuchniami często ciemnymi i prymitywnie wyposażonymi. Śmialiśmy się wtedy, że budujemy mieszkania z przepychem, bo trzeba się było w nich przepychać między szafą a stołem.

Budowano byle szybko i byle jak. Powtarzanie projektów typowych, ograniczone normy metrażowe i narzucony nowy kanon „piękna", zwany socrealizmem , powodował, że była to w sumie architektura nudna, prostacka, uboga i brzydka.

Podobnie było w innych rodzajach budownictwa, gdzie ponadto raziła sztuczna gigantomania i tym razem rozrzutna polityka gospodarowania przestrzenią. Przykro i smutno mnie, jako architektowi o tym pisać, bo przecież sam byłem jakimś kółkiem w ówczesnym chorym, niesprawnym i wynaturzonym mechanizmie. Dlatego będę chciał jeszcze później wrócić do tego tematu i poświęcić mu trochę więcej miejsca.

Tymczasem nasz I Sekretarz, oprócz ponownego zaciskania śruby, okazał się nie reformatorem, ale wielkim gadułą. W latach 60-tych nie można było już słuchać jego skrzeczącego i monotonnego głosu w wielogodzinnych wystąpieniach. Wodolejstwo i pustosłowie było zresztą cechą całej epoki komunistycznej. Obfitość referatów i przemówień zastępowała realne działania. Na każdym kroku powtarzano do znudzenia wiernopoddańcze deklaracje o przyjaźni polsko-radzieckiej i inne podobne banialuki.

Mielenie językiem i drętwe mowy, z których nic nie wynikało były prawdziwą zmorą całego PRL-u. Dziś jeszcze słyszę słowa Władysława Gadatliwego: „Koleżanki i koledzy –

realizacja nakreślonych zadań programowych – zmusza nas do przeanalizowania – istniejących warunków rozwojowych – itd. – itd.”

Bo też cała ta gomułkowszczyzna była nudna i zgrzebna. Oczekiwana ludzka twarz socjalizmu okazała się smutna, ponura i szara. Nowa „polska droga” prowadziła do materialnej biedy i niedostatku oraz moralnej stopniowej degeneracji.

Stawaliśmy się krajem chronicznego niedoboru wszystkiego. „Rzeczpospolita Reglamentowana” zaczęła powoli wprowadzać kartki. Ponieważ brakowało papieru mówiono, że kiedy go zabraknie na druk kartek przydziałowych, osiągniemy dno. Największe trudności były z mięsem i wędlinami. Żeby ratować podaż wprowadzono operetkowe dni bezmięsne, a środki masowej propagandy głosiły wydumane bzdury na temat szkodliwości spożywania mięsa. Śmialiśmy się wówczas i dziwili, jak to się dzieje, że wokół jest coraz więcej świń, a w sklepach coraz mniej mięsa.

Ogólny brak towarów wywoływał różnego rodzaju absurdalne zjawiska w naszym handlu. Kupowaliśmy często nie to, co było nam potrzebne, ale to co można było dostać – potem można było się zamieniać. Na rynku zaczęła funkcjonować zastępcza mocna waluta, jaką była wódka.

Wszystkie te nonsensy już dawno znane były w Związku Radzieckim. Tam zawsze za wódkę można było wszystko dostać. Ten narodowy pęd do „machniom!” doskonale oddaje następująca anegdota : Jedzie pociąg przez step i nagle się zatrzymuje. Ktoś pyta :”Czto słuczyłoś?” – „Niczewo, pamieniajem parawoz...” – „Na łutszyj?” – „Niet, na wodku!”

Może zabrzmi to dość zaskakująco, ale można powiedzieć, że wielkie przemiany rewolucyjne potknęły się o lady sklepowe. Tak też było u nas. Wszystkie późniejsze robotnicze protesty, które ostatecznie obaliły komunizm miały swój początek w brakach rynkowych i związanych z nimi podwyżkami cen.

Całą tę nędzę i nieudacznictwo w gospodarowaniu tłumaczono naiwnie i obłudnie, z jednej strony trudnościami obiektywnymi w związku z budową zrębów socjalistycznego raju, z drugiej zaś niezindentyfikowanymi wrogimi siłami imperialistycznymi. Wymyślono też naszego rodzimego wroga – był nim spekulant.

Oprócz namolnej propagandy i kultu ZSRR, od czego robiło się nam wszystkim niedobrze, nasilono obłędny kult PZPR-u. Wciąż partia i partia : „Partia to przodująca siła narodu”, „Partia to puklerz prawdziwej niepodległości”, „Wokół partii skupiły się wszystkie zdrowe i patriotyczne siły narodu”. Partia o wszystkim decydowała, fałszując i idealizując równocześnie całą naszą rzeczywistość. Fałszowano też przeszłość. Zwłaszcza stosunki po zakończeniu wojny były zakłamane, fakty przeinaczane, a historia pisana pod dyktando Moskwy. Opluwano przede wszystkim przedwojenne Państwo Polskie oraz Armię Krajową. Zadufani zaś partyjniacy śpiewali: „Tysiące rąk, miliony rąk, a serce bije jedno!”

Tym sercem to oczywiście była komunistyczna PZPR.

Coraz częściej musieliśmy myśleć pojęciami sprzecznymi ze zdrowym rozsądkiem i oczywistym świadectwem zmysłów. Coraz bardziej byliśmy zmęczeni ciągłymi trudnościami i coraz bardziej drażniło nas uprzywilejowanie ekipy rządzącej

Trwała nagonka na Kościół oraz na inteligencję. My w biurach projektowych odczuliśmy to na własnej skórze, kiedy w którymś z przemówień, zapluty przywódca zarzucił nam jeżdżenie samochodami do pracy i noszenie białych kołnierzyków. Wszyscy posiadacze samochodów byli dokładnie sprawdzani i obserwowani skąd mają pieniądze i po co im samochód. Sam gościłem u siebie w domu takiego węszącego ubeka.

Nam katolikom szczególnie utkwił w pamięci rok milenijny Państwa Polskiego, kiedy to władza daremnie usiłowała odciągnąć ludzi od uroczystości kościelnych. Szerokim echem w naszym środowisku odbiło się wtedy słynne aresztowanie przez MO obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w czasie jego pielgrzymki po kraju.

Tak jak cały sowiecki świat, tak i nasze PRL, była szczelnie odcięta od zewnątrz. Żelazna kurtyna nie była tylko czczym sloganem. Wyjazdy za granicę, zwłaszcza te na Zachód, były ściśle ograniczone, a zdobycie paszportu piętrzyło nie do przebycia trudności. Jeżeli już to się komu udało, na granicy czekały go wielokrotne przykre rewizje, wypytywania, oświadczenia i sprawdzania. Dowcipnie ujął to wtedy znakomity satyryk Załucki, pisząc :

„Zaglądali do kufrów, zaglądali do waliz,
Zaglądali do d...
Tam miałem socjalizm..."

Nie zapomnę pierwszego mojego wyjazdu na Zachód w roku 1955, kiedy skromnej grupie młodych architektów udało się wyrwać na krótko za granicę w celach szkoleniowych. Wytknięcie nosa na tzw. wolny świat było już samo w sobie wielką przygodą i ogromnym przeżyciem. Zgodnie z przytoczonym wierszykiem na granicach naszego bloku panował istny cyrk. Odprawy, przeszukiwania bagażu, sprawdzanie dokumentów i oględziny autokaru trwały całymi godzinami. Każdy z nas musiał okazać przydziałowe 5$ (!), poza którymi nie wolno było mieć jakichkolwiek innych pieniędzy. Wyjeżdżaliśmy jak skończone dziady, z własnym jedzeniem w puszkach i planowanymi noclegami w autokarze, bądź w darmowych wycieczkowych ośrodkach młodzieżowych. Brak zielonej waluty sprawiał, że podawaliśmy się za studentów architektury, ukrywając fakt, że jesteśmy inżynierami.

I znowu dla ilustracji przywołam tu Załuckiego, który świetnie tę sytuację naszej turystyki sparodiował :

... „nie cieszy Veronese
nie zachwyca Tycjan
tylko w sercu pretensja gorzka
do Fenicjan,
którym kiedyś wynaleźć forsę się udało...
Wynaleźli, to dobrze –
- ale czemu tak mało ? ..."

Wracając jeszcze do wspomnianego wyjazdu muszę powiedzieć o szoku, jaki wywołał we mnie widok granicy czechosłowacko-austriackiej. Ta granica dwóch światów była wprost przerażająca w swojej wymowie.

Między dwoma rzędami gęsto i wysoko splątanych drutów kolczastych, opartych o wbite w ziemię stalowe, przeciwczołgowe belki, znajdował się kilkunastometrowy pas zaoranej i wyrównanej ziemi posypanej dokładnie zagrabionym piaskiem. Co kilkaset metrów, jak okiem sięgnąć, znajdowały się wieże obserwacyjne z karabinami maszynowymi.

Tego rodzaju widok nie pozostawiał już żadnych wątpliwości – byliśmy w jednym gigantycznym, silnie strzeżonym łagrze sowieckim. W tym łagrze rolę nadzorców i kapo pełniły poszczególne partie komunistyczne. U nas była to PZPR. Działając we wrogim sobie środowisku partia czuła się w Polsce ciągle zagrożona. Ale co najciekawsze, zagrożeniem w pojęciu komunistów, nie był naród polski, lecz jakieś tajemnicze siły wsteczne i reakcyjne, obce wywiady, kapitalistyczni szpiedzy i agenci, czy wreszcie amerykańscy (!) różni prowokatorzy i sabotażyści.

Propaganda komunistyczna w tym okresie dla odwrócenia uwagi od wewnętrznych kłopotów gospodarczych wykorzystywała wspaniałe osiągnięcia radzieckie w kosmosie i rywalizację sowiecko-amerykańską na tym polu. Ten temat, począwszy od 1957 r., kiedy to Związek Radziecki niespodziewanie wystrzelił w kosmos pierwszy sputnik, był nagłaśniany i rozdmuchiwany, a nas młodych zainteresowanych tą nową dziedziną wyjątkowo silnie angażował. Oba mocarstwa zdawały sobie sprawę, że kto zawładnie kosmosem może też zawładnąć Ziemią.

Tematyka była tym bardziej chwytliwa, że początkowo Rosjanie wyprzedzali Amerykanów w podboju kosmosu. Kiedy jednak intensywny program amerykański „Apollo" bardzo szybko dogonił Moskwę, już tak chętnie o tym nie mówiono.

Największym triumfem amerykańskim było lądowanie na księżycu. Dla nas było to niesamowite przeżycie, tym większe, że zrobili to właśnie Amerykanie. Dla Moskwy był to poważny cios, do tego stopnia, że podczas gdy to epokowe wydarzenie oglądał w telewizji cały świat, tylko w Związku Radzieckim je nie transmitowano. Obawiano się bowiem fiaska tej wielkiej kosmicznej machiny propagandowej prowadzonej na własnym terenie. Dla nas, jak żartowaliśmy, okazało się, że łatwiej jest się oderwać od ziemi, niż od Związku Radzieckiego.

W międzyczasie, gomułkowskie rządy waliły się w gruzy. Rok 1968 był tu decydujący. Iskrą zapalną było zdjęcie z warszawskiej sceny mickiewiczowskich „Dziadów". Odbyło się to zupełnie jak za czasów carskich, na skutek interwencji władz i ambasadora ZSRR, zaniepokojonych patriotyczną, antyradziecką reakcją widowni. Wywołało to natychmiastowy bunt, najpierw studentów, a potem licznej inteligencji i intelektualistów.

Marcowe manifestacje brutalnie spacyfikowano, a władze uznały je za wybryki chuliganów, warchołów i różnego rodzaju szumowin. To jeszcze bardziej podburzyło społeczeństwo. Ponadto, ponieważ w zajściach brała udział pewna ilość dysydentów pochodzenia semickiego, uważanych za prowokatorów, wzniecono ogólną nagonkę na Żydów. Zresztą antysemicka histeria wybuchła już wcześniej, po wojnie Izraela z Egiptem w 1967 r. W jej wyniku, z polecenia Moskwy, większość krajów socjalistycznych, a w tym Polska, zerwała wtedy stosunki dyplomatyczne z Izraelem.

W moim biurze oraz w Ministerstwie Energetyki mieliśmy wiele osób pochodzenia żydowskiego, zwłaszcza na kierowniczych stanowiskach. Wielu z nich zostało zwolnionych z posad, a spora część zdecydowała się na opuszczenie Polski na stałe.

Wydarzenia marcowe, jak można było zaobserwować, pogłębiły wrogie nastawienie do Gomułki, a nastroje te nasilił jeszcze haniebny udział Polski w najeździe na Czechosłowację w celu stłumienia „praskiej wiosny".

Ciągłe drastyczne podwyżki cen żywności i dotkliwy brak towarów na rynku doprowadziły w 1970 r. do robotniczych rozruchów i strajków na wybrzeżu oraz w konsekwencji do upadku tow. Wiesława. Krążyło wówczas wśród nas powiedzenie: „Żryj szybko, bo podrożeje!"

2. Prosperity na kredyt

Po ponownym historycznym zakręcie wychodzimy na nową prostą. Rozpoczyna się nowa era, nowej ekipy Edwarda Gierka i jego poma-gierka Jaroszewicza. Choć nie bardzo już wierzyliśmy w jakąkolwiek poprawę, a nowy przywódca mógł się okazać ponownie zwykłym bla-gierkiem, znowu zaświtała nikła nadzieja, że może tym razem reżim zelżeje, a Polska uzyska jaką taką autonomię. Ciągle bowiem mamy jako naród wspaniałą przeszłość, obiecującą świetlaną przyszłość, tylko wciąż fatalną teraźniejszość.

Pierwsze lata nowej władzy zdają się potwierdzać nasze skromne optymistyczne oczekiwania. Zaczęło się od radosnej decyzji o odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie. Tym posunięciem nowy sekretarz usiłował zyskać sobie przychylność społeczeństwa i trzeba przyznać, że przynajmniej w stosunku do mnie to mu się udało. W biurze z miejsca włączyłem się do akcji jako przewodniczący Komitetu Odbudowy Zamku. Wykonane przeze mnie kolorowe afisze z rysunkiem bryły zamkowej wzywały do dobrowolnej zbiórki pieniędzy na ten cel. Na fali entuzjazmu w krótkim czasie przekazaliśmy na Zamek całkiem pokaźną sumę.

Oprócz zwyczajowych obietnic i pięknych haseł, pojawiły się też wyraźne oznaki liberalizacji i widoczne ożywienie gospodarki. Poza inwestycyjnym przemysłowo-budowlanym boom'em, zakupywano różne zachodnie licencje produkcyjne, zwiększono import atrakcyjnych towarów z Zachodu, nawiązywano ściślejszą współpracę z kapitalistycznymi firmami i umożliwiano obywatelom łatwiejsze wyjazdy zagraniczne.

Ogólnie rzecz biorąc, cała gierkowska polityka stała się bardziej otwarta. Z zadowoleniem oglądaliśmy w TV jak Pierwszy Sekretarz składał liczne oficjalne wizyty w USA, Niemczech czy Francji, a nawet w Watykanie. Wizyta u papieża miała mu zjednać przychylność społeczeństwa katolickiego. Na fali powszechnej „odnowy", istotnie presja władzy na Kościół jakby zelżała. Mieliśmy też możność witania wielu wybitnych mężów stanu Wolnego Zachodu. Podobnie jak cała Warszawa, nasz „Energoprojekt" niemal w całości wylegał wtedy na pobliskie Aleje Ujazdowskie, a entuzjastyczne powitania zamieniały się w wielkie manifestacje prozachodnie.

Ja i moi koledzy biurowi odczuwaliśmy te zmiany dość wyraźnie. W energetyce powstawały coraz bardziej nowoczesne rozwiązania technologiczne i budowlane. Przemysł produkował coraz lepsze materiały, a konstrukcje stalowe wróciły do łask i przestały już być synonimem zgniłego kapitalizmu.

Również w Warszawie obserwowaliśmy wzmożony i zakrojony na większą skalę ruch budowlany. Po raz pierwszy dopuszczono do inwestycji zachodnie firmy budowlane.

Jednak mimo wielu pozytywów, jak ktoś się słusznie wyraził, komunizm truł dalej jak bezzapachowy gaz. Na każdym kroku pilnował jakiego myślenia nas nauczyć i jakiej pamięci pozbawić. Propaganda manipulowała ludźmi nieustannie, dyskretnie i niepostrzeżenie, wszędzie gdzie to tylko było możliwe. Podawano bzdurną informację, że jesteśmy 10-tą potęgą gospodarczą świata. Panowała ogólna euforia sukcesu. Budowaliśmy nową, piękną, „drugą Polskę", wbrew siłom reakcji i różnych niedowiarków. O tej propagandzie z ironią i drwiną śpiewał A. Rosiewicz:

„Szła sobie drogą z kulawą nogą, głodna i biedna, obdarta z marzeń,
Deszcze padały, psy ją szarpały, szarpali też dziennikarze.
Już przez nikogo nie kochana, jak nocna służba, jak druga zmiana,
Zapomniana przez pana, wyklęta przez lud – szła – szła na wschód –
Propaganda sukcesu..."

I oto, gdzieś w połowie tej triumfalnej dekady, rozpędzona machina poczęła zwalniać i psuć się. Złote lata realnego socjalizmu funkcjonowały już tylko w demagogicznych hasłach i pustej frazeologii, a trawiące system sprzeczności ujawniły się z całą siłą. Było już jasne, jak żartobliwie to Warszawa określała, że „I w dwa Edzie też daleko nie zajedzie." (nawiązanie do nowego premiera Edwarda Babiucha)

Jako, że PRL coraz bardziej upodobniała się do Kraju Rad, w różnego rodzaju wyborach chodziliśmy do urn jak zawsze bezradni, co wybierają radnych, których przedtem wybrali zaradni. Władza robiła co chciała.

Okazało się, że to radosne lobby przemysłowo – budowlane i poprawa codziennego bytu, była jedynie wynikiem wielomiliardowych pożyczek zaciągniętych w bankach zachodnich. Kiedy strumień dolarów zaczął wysychać, wszystko poczęło się walić.

W rezultacie woluntarystyczna i niekompetentna polityka gospodarcza zmarnowała olbrzymi kapitał, pozostawiając nam ogromne długi z rosnącymi w zastraszający sposób odsetkami.

Ideologia coraz bardziej przegrywała z realiami, które nas otaczały. Na skutek rosnących braków na rynku wprowadzono nam dodatkowe liczne kartki i bony na szereg towarów i produktów. Nasze żony dokonywały cudów przy codziennych zakupach, a w kuchniach nie było już z czego przyrządzać posiłków. W związku z tym „cudem gospodarczym" po kraju rozpowszechniany był zabawny wierszyk pt. „Przepis polski" :

„Wziąć to, czego nie ma
Dodać soli i kminku
Potem zmieszać z tym czego
Chwilowo brak jest na rynku...."

W roku 1978, na tak osłabiony reżim spadł nowy cios – niespodziewany wybór Polaka, Karola Wojtyły, na papieża. Dla nas było to wydarzenie wyjątkowo doniosłe, niezapomniane i wzruszające zarazem. Pamiętam, jak cała Polska siedząc jak oniemiała przed telewizorami oglądała Inaugurację Pontyfikatu Jana Pawła II w Watykanie.

Najbardziej chyba wzruszającym był moment, kiedy nasz prymas ze łzami w oczach padł do stóp polskiego papieża. Nie zapomnę jak w podobnych chwilach i nam ze wzruszenia wilgotniały oczy, a rodzice, którzy ze względu na poważną chorobę mamy, mieszkali już razem z nami, po prostu płakali jak dzieci.

Spełniły się słynne i prorocze słowa wieszcza Juliusza:

„Pośród niesnasków Pan Bóg uderza
W ogromny dzwon.
Dla słowiańskiego oto papieża
Otwarty tron ...

Początkowo PRL starała się przedstawić ten wybór jako własny wielki sukces i jako uznanie dla dorobku kraju oraz jego roli i miejsca w świecie. Ale już w czasie pierwszej wizyty Jana Pawła II w Polsce okazało się, że miliony rodaków powitało go jako przywódcę duchowego w walce o wolność. Przyjazd papieża stał się jedną potężną manifestacją religijno- patriotyczną.

Kościół katolicki, całymi latami represjonowany i rugowany z życia społecznego i politycznego stał się teraz potężną siłą zdolną zagrozić PZPR. Wokół Kościoła zgromadziła się silna i liczna antykomunistyczna opozycja.

Mimo rozpaczliwych apeli Gierka, w 1980 r. doszło do masowych strajków i manifestacji w całym kraju. W tych antyrządowych akcjach znowu prym wiódł Gdańsk, a zwłaszcza Stocznia Gdańska. Pojawiło się nazwisko Lecha Wałęsy, jako przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Strajkowego. Warszawa żartowała, że w Polsce mamy garstkę gierkokatolików, trochę prowiesławnych i 30 milionów protestantów.

W Warszawie, 15 sierpnia, w rocznicę Bitwy Warszawskiej, byłem obecny na dużej manifestacji wolnościowo – niepodległościowej przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Wykrzykiwaliśmy wtedy najbardziej polskie hasła: „Chleba i wolności!" i „Precz z Ruskimi!" Pieśni, przemówienia oraz białoczerwone sztandary – wszystko to podgrzewało atmosferę podniecenia i wzmagało antykomunistyczne nastroje.

Równocześnie docierały do nas w stolicy pierwsze niejasne wieści o wydarzeniach na Wybrzeżu. W biurze wiedzieliśmy, że coś się dzieje, ponieważ telefony z Trójmiastem, gdzie mieliśmy swoje budowy, zostały zablokowane. Czuło się, że sytuacja w kraju staje się poważna. Z zachodniego radia i z ulicznych ulotek dowiedzieliśmy się, że robotnicy żądają niezależnych, wolnych związków zawodowych, prawa do strajku, wolności słowa i zniesienia cenzury.

Wreszcie partia się załamuje, Gierek się kaja, a Plenum KC przyznaje rację robotnikom. Następują zmiany w Biurze Politycznym i w rządzie. To nie pomaga i strajki się rozszerzają. Szczyt napięcia przeżywamy w momencie, kiedy na poniedziałek 1 września cała Polska grozi strajkiem generalnym, jeżeli nie dojdzie do porozumienia w Gdańsku między Komitetem Strajkowym a rządem.

Nasz „Energoprojekt" również zamierzał strajkować. Wywiesiliśmy polskie flagi a przy wejściu stanęła straż z biało-czerwonymi opaskami. Ponieważ trudno było przewidzieć reakcję reżimu, na wszelki wypadek zgromadziliśmy koce i materace, szykując się do strajku okupacyjnego. Dyrekcja oraz biurowi partyjniacy byli zdenerwowani i wystraszeni tak jednolitą i stanowczą postawą załogi.

W niedzielę rano radio i telewizja ogłosiły podpisanie porozumień w Gdańsku i Szczecinie. Ogólne podniecenie opadło. Robotnicy wywalczyli „Wolne, Niezależne Związki Zawodowe". W TV po raz pierwszy pojawił się Lech Wałęsa, który między innymi oświadczył : „Uzyskaliśmy wszystko, co w danej chwili uzyskać mogliśmy".

Po tym przełomowym wydarzeniu Gierek jakoby zachorował, a partia zdjęła go ze stanowiska I Sekretarza i mianowała na to miejsce St. Kanię. Mówiło się wtedy, że „lepszy Kania niż Wania", bo jednostki radzieckie stacjonujące na naszym terytorium pilnie śledziły poczynania nieposłusznych i niepokornych Polaków.

Po upadku ekipy Gierka śmieszyło nas niepomiernie jak partia usiłowała tłumaczyć, że to zachodni kapitalizm chciał zniszczyć Polskę. Dawał pożyczki bez ograniczeń, jak lichwiarz wpędzając nas w olbrzymie długi, by potem żyć wygodnie z naszych odsetek.

Niemniej muszę przyznać, że były to najlepsze czasy naszej ludowej władzy.

3. Fenomen „Solidarności"

Pod nowym kierownictwem partia próbuje się reformować i oczyszczać. Następuje przestawianie mebli i niekończąca się socjalistyczna odnowa. Jak zawsze pełna pustosłowia, czczej gadaniny i pozoranctwa.

Nowe związki, pod nazwą „Solidarność" powstają żywiołowo na fali ogromnego entuzjazmu i zdobywają coraz więcej zwolenników. Powstają niemal we wszystkich zakładach pracy.

W naszym biurze, podobnie jak w całym kraju, wrze. Na 800 pracowników 650 przystępuje do „Solidarności". Co bardziej krewcy i zacietrzewieni paryjniacy odgrażają się, że jeszcze tego będziemy gorzko żałować. Atmosfera jest bojowa i podniosła. Dyrekcja okazuje zdenerwowanie i sfrustrowanie. Krąży dowcip o naszym naczelnym, który miał się ze zdziwieniem wyrazić : „Po co nam nowe związki zawodowe, przecież mamy stare kompletnie nie używane. ?"

Na jednej z naszych tablic ogłoszeniowych pojawia się wiersz autorstwa J. Narbutta :

„Nasz jest ten dzień, a jutro jest nieznane,
Lecz róbmy tak, jak gdyby nasz był wiek.
Pod wolny kraj spokojnie kłaść fundament,

Zjednoczmy się, bo jeden jest nasz cel.
A jeśli ktoś nasz polski dom zapali,
To każdy z nas gotowy musi być –
Bo lepiej, byśmy stojąc umierali,
Niż mamy klęcząc na kolanach – żyć!"

W końcu roku, w dziesiątą rocznicę wypadków grudniowych, w Gdańsku odbywa się podniosła i wielce symboliczna uroczystość odsłonięcia Pomnika Poległych Stoczniowców, połączona z poświęceniem sztandaru „Solidarności". Pomnik przedstawia trzy potężne krzyże z przybitymi do nich gwoździmi Kotwicami Nadziei. Nadziei na wielkie zmiany i wolny kraj.

Na tę uroczystość wyjeżdża nasza biurowa ekipa. Zostaje jednak na rogatkach Gdańska zatrzymana przez MO pod pretekstem usterek autokaru.

Mimo wszelkich prób zdławienia „Solidarności", zdobywa ona coraz szersze poparcie społeczeństwa oraz uznanie i sympatię zagranicy, partia wyraźnie traci grunt pod nogami. Ostatnia szansa to armia. Chcąc ją sobie pozyskać PZPR mianuje gen Jaruzelskiego premierem, a potem także swoim I Sekretarzem. To pierwszy symptom junty wojskowej.

W maju, Kościół ponosi wielką stratę. Umiera ks. Prymas Stefan Wyszyński, nieugięty, niezłomny książę Kościoła. Pogrzeb tego wielkiego „prymasa tysiąclecia" przekształca się w ogromną manifestację narodową, w której bierze udział 300 tysięcy osób. On to, popierając historyczne przemiany i ruch solidarnościowy, modlił się :

„Matko Boża z Częstochowy
Z Ostrej Bramy i z Warszawy
Uczyń Polskę ludem nowym
Bożej chwały, Bożej sławy."

Prawie jednocześnie zatrwożyła nas i zaszokowała wstrząsająca wiadomość o zamachu na papieża. Nikt z nas wtedy nie wątpił, że jest to robota komunistów. Mimo, że sprawa nie została ostatecznie wyjaśniona, do dziś dnia wiele wątków tego na szczęście nieudanego zamachu wskazuje na moskiewskie KGB.

Dla nas na co dzień, najbardziej dotkliwe jest kompletne załamanie się rynku. Praktycznie w sklepach nie ma już niczego. Wszystko na kartki i przydziały, nawet na wódkę. Nawet tacy abstynenci, jak ja muszą kupować alkohol by móc je wymienić na coś innego. W naszym biurze bowiem kwitnie handel wymienny – papierosy za cukier, zapałki za mąkę, kiełbasa za wódkę i tak w nieskończoność. Podobnie jak w sklepach, w zakładowym bufecie czekamy w olbrzymich kolejkach w oczekiwaniu, że może coś „rzucą". Wszędzie kolejki! Wśród nas architektów krąży dowcip, że będziemy teraz sklepy projektowali w odległości od siebie przynajmniej jednego kilometra, żeby się kolejki nie plątały.

Przemysł leży. W energetyce zupełny klops. Olbrzymi deficyt energii, inwestycje stanęły, brakuje ludzi i części zamiennych. Nasz górniczo-energetyczny resort zostaje zmilitaryzowany, ministerstwo obejmuje generał. PZPR przeżywa kryzys, wielu jej członków oddaje legitymacje partyjne. W „Energoprojekcie" przyjęliśmy ten fakt z wielką satysfakcją.

Jaruzelski, wzmacniając władzę, wprowadza do rządu coraz to nowych generałów. W drugiej połowie roku na ulicach Warszawy obserwujemy uzbrojone po zęby i zakute w hełmy oddziały ZOMO i wojska. Reżim chce nas przestraszyć i pokazać kto tu jest panem. W Warszawie popularne staje się powiedzenie : „Polacy, jak ziemniaki, dzielą się teraz na tłuczone, w mundurkach i do wsadzenia."

Przez cały czas słyszymy w TV i czytamy w prasie nieustanne napaści na nowy Związek. Propaganda komunistyczna usiłuje obarczyć winą za wszystko „Solidarność". W łgarstwach, zakłamaniach i nieustających jątrzeniach prym wiedzie premier Rakowski i jego ujadający piesek, antypatyczny i perfidny J. Urban, jako rzecznik rządu.

Nie można już czytać gazet ani oglądać telewizji. Ludność broni się organizując samoistne „dni bez prasy" oraz ostentacyjne, gremialne „spacery" w czasie dziennika telewizyjnego. Doskonale oddaje to krótka fraszka : „Lepsze nic, niż pic!"

My, nowi związkowcy nosimy tymczasem piękne złote znaczki z czerwonym napisem „Solidarność". Muszę tu opowiedzieć, jaką znaczki te przypadkowo wywołały aferę w naszym biurze. Otóż delegacja kolegów, która w ramach konsultacji w sprawie „jądrówki" wyjechała do Leningradu, rozdawała kolegom radzieckim te właśnie znaczki na pamiątkę. Było to coś w rodzaju rewanżu za śliczne znaczki z „Dzieciątkiem Lenin", którymi od lat obdarowywali nas towarzysze za Wschodu. Jakież było nasze zaskoczenie, kiedy zanim jeszcze delegacja powróciła do Warszawy, wiedziała o tym już dyrekcja i odpowiednie władze. Z wielkim szumem potraktowano to jako eksport kontrrewolucji do ZSRR.

W ogólnej euforii artyści scen polskich oraz znany kabaret J. Pietrzaka „Pod Egidą" lansują cały czas wielką, patriotyczną poezję i krzepiące narodowe piosenki. Właśnie jedna z piosenek tego kabaretu staje się wówczas niemal hymnem i pieśnią narodową. Jedna z jej strof pięknie mówi o naszej przeszłości narodowej :

„Zrzucał uczeń portret cara
Ksiądz Ściegienny wznosił modły
Opatrywał wóz Drzymała
Dumne wiersze pisał Norwid
I kto szablę mógł utrzymać
Ten formował legion, wojsko
Żeby Polska, żeby Polska
Żeby Polska była Polską."

W tym samym kabarecie recytowano wiele pięknej poezji patriotycznej. Jak głęboko i wzniośle przemawiały do nas wtedy, w tych trudnych chwilach, słowa wiersza J. Pietrzaka, którego ostatnia zwrotka szczególnie wzruszała i pozostawała w pamięci :

„Hej filomatów następcy !
Hej filaretów prawnuki :
„Zespólmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy !"
Choćby nam kiedyś wraże moce
Świat postawiły na głowie,
Jest święte słowo : POLSKA !
Jest święte słowo : CZŁOWIEK !"

Czy też takie wspaniałe strofy z „Kwiatów Polskich" J. Tuwima :

„Chmury nad nami rozpal w łunę
Uderz nam serca złotym dzwonem
Otwórz nam Polskę, jak piorunem
Otwierasz niebo zachmurzone.
Daj nam uprzątnąć dom ojczysty

Tak z naszych zgliszcz i ruin świętych
Jak grzechów naszych, win przeklętych
Niech będzie biedny ale czysty.
.....
Niech się wypełni dobra wola
Szlachetnych serc, co w klęsce wzrosły
Przywróć nam chleb z polskiego pola
Przywróć nam trumny z polskiej sosny.
Lecz nade wszystko – słowom naszym
Zmienianym chytrze przez krętaczy
Jedyność przywróć i prawdziwość
Niech prawo zawsze prawo znaczy
A sprawiedliwość – sprawiedliwość..."

Rząd usiłuje się przypodobać i udobruchać nas drobnymi ustępstwami. Po raz pierwszy pozwolono obchodzić dzień 11 listopada i po raz pierwszy przypomniano sobie o AK. Warszawska Trasa Toruńska otrzymała nazwę Armii Krajowej, zaś most na trasie imię gen. Grota-Roweckiego.

W dalszym ciągu partia, która czyni wiele hałasu wokół swojej odnowy i planowanych reform, dużo mówi, ale nic nie robi. W zakładach pracy załogi pozbywają się organizacji i komórek PZPR. Premier usiłuje bronić przed robotnikami swoich partyjnych towarzyszy specjalnym dekretem. Dochodzi do takiego absurdu, że robotnicza partia boi się robotników. Podczas gdy społeczeństwo jednoczy się wokół wolnościowych i demokratycznych idei, partia się rozpada i ogarnia ją blady strach.

Dla przykładu, nasz partyjny szef pracowni przyznaje, że członkowie partii otrzymali broń i niedwuznacznie grozi nam jej użyciem, jeśli zajdzie potrzeba.

Przypomina to zupełnie, jak kiedyś mocno i trafnie pisał Gałczyński :

„Gdy wieje wiatr historii
Ludziom, jak pięknym ptakom
Rosną skrzydła –
Natomiast trzęsą się portki pętakom."

Oto w końcu roku, kiedy niemal cały naród kwestionuje ostro dogmat o „wiodącej roli partii", Jaruzelski 13 grudnia ogłasza stan wojenny. Wojsko i partia wprowadzają terror, a MO i UB aresztują parę tysięcy przywódców „Solidarności". Roznieconych patriotyczno-religijnych wartości już nie można było pogodzić z oficjalnym zakłamaniem i radzieckim serwilizmem.

Nieudolny i niereformowalny system mógł istnieć już tylko opierając się na karabinach i czołgach. „Rządy zdrajców, zbrodniarzy i złodziei", jak to określił Zb. Brzeziński, kończyły haniebny żywot w ostatnich przedśmiertnych konwulsjach.

Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (WRON) obejmuje władzę. Pozbawia się nas praw obywatelskich, wprowadza godzinę policyjną, zawiesza związki zawodowe i zamyka całe szkolnictwo. Jednocześnie cała telekomunikacja jest wyłączona, zablokowane są drogi i unieruchomione stacje benzynowe.

Trudno mi dziś wyrazić, co czuliśmy wtedy. Uderzyło to w nas, jak grom nagły i niespodziewany, wywołując szok, ogólne podniecenie i nerwowość oraz wściekłość i gniew połączone z bezsilnością.

Podobne nastroje panowały w moim biurze na Kruczej. Smutek i przygnębienie. Partyjniacy triumfują. Polacy przeciw Polakom. Wojsko Polskie w roli okupanta własnego narodu. Dyrekcja ostro grozi natychmiastowym zwolnieniem z pracy w razie złamania zakazu działalności naszego Związku, lub noszenia znaczka „Solidarności". Do Zakładu wkrada się terror. W tej sytuacji jedyną nadzieją było nasze przekonanie, że tym razem komuniści popełnili kardynalny błąd. I rzeczywiście, zamach ten potępił nie tylko cały naród, ale też cały cywilizowany świat. USA nakłada na PRL sankcje gospodarcze, a „Solidarność" otrzymuje liczne wyrazy poparcia i współczucia demokratycznych wolnych krajów.

Tymczasem w nieciekawej atmosferze i ponurych nastrojach witamy rok wywieszonym w pracowni hasłem: „Wojna, kryzys, miliardowe długi – nadchodzi rok 1982.

Kiedy już ocknęliśmy się po tym gwałtownym i niespodziewanym ciosie, rozpoczęły się konspiracyjne kontrdziałania. „Solidarność" zeszła do podziemia. Na murach miasta, jak za czasów okupacji, pojawiają się symbole „Polska walczy" oraz liczne napisy w rodzaju : „WRON – won za Don", czy „Żadna wrona orła nie pokona".

Najbardziej powszechnym naszym znakiem protestu była wrona w czarnych okularach, a często też w generalskiej czapce.

W kioskach „Ruchu" pojawiają się napisy: „Życia nie ma", „Rzeczpospolita sprzedana", a my na wzór starej, ulicznej piosenki z 1939 r. śpiewamy:

„13 grudnia, roku ubiegłego
wykłuła się wrona
z jajka czerwonego !"

Ostrze złośliwej satyry nie ominęło też Milicji i specjalnych, przeznaczonych do zwalczania „kontrrewolucji", jednostek ZOMO.

Rozszerzająca się, konspiracyjna „Solidarność" wydaje duże ilości odezw, gazetek i ulotek drukowanych na nielegalnie zdobytych z Zachodu kserokopiarkach. Czytamy je prawie jawnie w biurze. Tu też trwa systematyczne zrywanie naszych nalepek i ogłoszeń z tablic informacyjnych. Pamiętam takie jak: „Branżowe Związki na Powązki!", czy „Wyszłam na chwilę – zaraz wracam..."Solidarność".

Odnośnie Stanu Wojennego, do dziś trwa nieprzerwany spór, czy był on koniecznością związaną z grożącą nam interwencją wojsk radzieckich, czy też był ostatnim ratunkiem dla rządzącej PZPR. O ile się nie mylę, opierając się o dzisiejszą wiedzę na ten temat, to nie ZSRR groziło interwencją, ale Jaruzelski prosił o pomoc bratnie wojska. Związek Radziecki obawiał się wprowadzenia do Polski swoich wojsk. Po pierwsze, nie sprzyjała temu sytuacja międzynarodowa gdyż ZSRR wyraźnie już odstawał gospodarczo i technologicznie od Zachodu i stawał się od niego coraz bardziej uzależniony. Po drugie, Rosjanie byli w tym czasie zaangażowani w krwawą i wyniszczającą wojnę w Afganistanie. I wreszcie po trzecie, bali się, że Polacy to nie Czesi i prawdopodobnie będą stawiać zbrojny opór.

W tym aspekcie, próby uczynienia z gen. Jaruzelskiego bohatera narodowego, jak to dzisiaj usiłuje przedstawić lewicująca część społeczeństwa, są tym bardziej absurdalne. Trzeba ciągle pamiętać, że armia nasza była najbardziej zsowietyzowaną instytucją, a Jaruzelski od kilkudziesięciu lat zajmował w niej wiodące stanowiska. Norman Davis, wybitny zachodni znawca historii Polski, pisze : „Jaruzelski Wallenrodem nie był – trzeba nazwać rzeczy po imieniu : był oficerem w służbie imperium sowieckiego od lat młodości aż do emerytury."

Ostatecznie, jak się okazało, PZPR, pod pozorem ratowania ustroju, zapewniła sobie siłą jeszcze 8 lat rządów, ale to już był agonalny okres jej istnienia.

4. Czas nadziei i upadek PRL

Rządy junty wojskowej powodują ogólny paraliż państwa. Niekompetentni generałowie, przyzwyczajeni do wojskowego drylu, kultu rozkazu i przymusowego posłuszeństwa, dyrygują resortami gospodarczymi. Kluczowe zakłady pracy zostają zmilitaryzowane. Ludzie poganiani kijem, z obawy przed utratą pracy udają, że pracują. W fabrykach brak jest energii elektrycznej, surowców i części zamiennych. Ponadto zastój i bezwład umysłowy, rozkładający bojkot i emigracja duchowa społeczeństwa powoduje, że wojskowo-partyjna maszyna przestaje działać.

Wiedzieliśmy już, że władza PZPR się kończy. Mogliśmy już tylko przyglądać się z boku zdychającemu reżimowi. Mimo, że upadająca partia próbowała jeszcze odgryzać się nam boleśnie, coraz bardziej rosła nadzieja na zasadnicze zmiany w życiu narodu.

A sytuacja nasza ciągle się pogarszała. Potworna inflacja, brak zaufania do pieniądza, zacofanie gospodarcze i technologiczne, to głęboki kryzys głoszonej ideologii cywilizacyjnej. Jaruzelski śmiertelnie się obraża na Reagana i jemu przypisuje całe zło dziejące się u nas. Żartujemy, że niedługo kury będzie już można zobaczyć tylko w ZOO, bo bez amerykańskiej paszy powyzdychają. Śpiewamy więc:

„Oj dana, dana, oj dana, dana,
To wszystko wina Reagana!”

Trwają puste, drętwe mowy i apele o jedność narodu. Perfidna, załgana propaganda, z notorycznymi kłamstwami i wypowiedziami Urbana, stara się przekonać nas, że wszystko jest OK.

„Osioł tkwiąc już po pas w łajnie
dalej mówił, że jest fajnie.”

Trudno w takich warunkach spokojnie pracować – w moim zespole trwają nieprzerwane dyskusje i komentarze bieżących wypadków. Zupełnie jak za czasów okupacji stosujemy tzw. „mały sabotaż”. Antyrządowe napisy, niejednokrotnie w niewybrednej formie pojawiają się w korytarzach, windach, a nawet w ubikacjach. Grozi się nam, że jeśli te hasła będą się powtarzały, Biuro zostanie rozwiązane. Kserografy i maszyny do pisania są ściśle strzeżone.

Również nasza sytuacja płacowa jest coraz gorsza i coraz bardziej nerwowa, niższy personel się buntuje. Dział Socjalny załatwił nam przydział... herbaty. Na pracownię przypada torebka tego cennego artykułu. Chcąc rozdzielić równo, używamy łyżeczki. Przypomina mi się pobyt w łagrze sowieckim, gdzie cukier też rozdzielaliśmy na łyżeczki.

Na to wszystko nakładają się inne ogólne negatywne zjawiska. Dziesiątki tysięcy ludzi wartościowych i wykształconych, zwłaszcza młodych, ucieka przy byle okazji na Zachód. Następuje wielka emigracja, podobna do czasów popowstaniowych za caratu. Towarzyszy temu ogólna ucieczka w prywatność i bierność.

Co pewien czas, wulkan sprzeciwu i nienawiści wypluwa coraz to nowe strajki, manifestacje i protesty. My, w Warszawie, jesteśmy świadkami ciągłych rozruchów. Stolica pełna jest milicji i wojska, które urządzają nam systematyczne pokazy siły. Sam kiedyś znalazłem się w środku takiej zadymy i doświadczyłem na sobie działanie gazu łzawiącego.

Z radośniejszych wydarzeń to okazje do specjalnego manifestowania naszych wolnościowych dążeń, jakimi były liczne rocznice narodowe, a przede wszystkim kolejne dwie pielgrzymki do Polski Jana Pawła II.

Znerwicowane i coraz bardziej podszyte strachem władze sięgają po najcięższą broń – morderstwa polityczne. Najpierw pogrzeb Grzegorza Przemyka, studenta zamordowanego przez MO, staje się olbrzymią 60-tysięczną manifestacją antykomunistyczną. W rok później, bestialski mord popełniony przez UB na księdzu Jerzym Popiełuszce, wywołuje już o wiele potężniejszą kilkusettysięczną demonstrację. Zbrodnia ta wywołała głęboki szok i rozpacz milionów Polaków, jak również wstrząsnęła opinią publiczną całego świata. W rezultacie był to dla reżimu tak dotkliwy cios, że do końca swych dni nie mógł się z niego otrząsnąć.

Kiedy w Związku Radzieckim w 1985 r. I-szym Sekretarzem KPZR zostaje Michaił Gorbaczow, nikt z nas jeszcze tego nie przypuszcza, że godziny Imperium Radzieckiego są już policzone.

W 1986 r. w ukraińskiej elektrowni atomowej w Czernobylu ma miejsce potężna katastrofa nuklearna, która pociąga za sobą tysiące ofiar. Niebezpieczna chmura radioaktywna rozprzestrzenia się nad połową Europy. Jest to kolejny cios w cały niewydolny system komunistyczny. Muszę tu zaznaczyć, że ten tragiczny wypadek bardzo niekorzystnie wpłynął na dalsze losy projektowanej przez nas „atomówki" i w obawie przed „promienną przyszłością" doprowadził do ostatecznego przerwania jej realizacji w Żarnowcu.

Rok 1988 jest już tylko dogorywaniem czerwonego Lewiatana. Rozpoczął się generalny demontaż komunizmu na świecie. W Związku Radzieckim, za sprawą Gorbaczowa, dzieją się rzeczy niewiarygodne, trwa pierestrojka i głasność, która powoli, powoduje rozpad komunistycznego systemu.

W czasie wizyty Michaiła Gorbaczowa w Polsce A. Rosiewicz śpiewa mu swój słynny przebój „Wieje wiosna od Wschodu" ze wspaniałym refrenem:

„Michaił, Michaił
Eta pieśnia dla ciebia
Cztoby nowyje reformy
Tak dowioł ty do kańca
Michaił, Michaił
Ty postroisz nowyj mir
Nie anglijskij, nie francuskij
No ty ruskij bohatyr!"

Rzeczywiście, u nas w kraju czuć już nadchodzącą wiosnę ze Wschodu. Młodzież coraz częściej wychodzi na ulicę z antysocjalistycznymi hasłami. W prasie nasila się krytyka stalinizmu. Wznawiają się strajki, głównie na Śląsku i na Wybrzeżu.

Partia dalej się odnawia i bije się w piersi, głosząc coraz to bardziej zaskakujące slogany, jak np. „Nasze błędy naszą siłą", czy „Jesteśmy ci sami, ale nie ci sami". Oczywiście gospodarczo nic się nie poprawia. Trudno było uwierzyć, że PZPR sama siebie, jak baron Münchausen, wyciągnie z bagna za warkocz.

Do nieskrępowanego głosu dochodzi ogólna euforia narodowo-patriotyczna w 70-tą rocznicę odzyskania niepodległości. Publicznie śpiewa się pieśni legionowe. Pojawiają się oficjalnie pierwsze portrety Marszałka Piłsudskiego. Również u nas w „Energoprojekcie" zawisło jego duże zdjęcie z wiązanką kwiatów białoczerwonych.

Zbliża się chwila ostatecznego zrzucenia półwiekowego jarzma sowieckiego i klęska światowego komunizmu.

Nadszedł rok 1989, na który my Polacy czekaliśmy tak długo, rok, który jak kamień milowy wyznacza epoki. - Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy!

System nie jest już w stanie powstrzymać demokratycznych sił. Jeden po drugim następują dalsze symptomy normalności. 11 listopada ogłasza się świętem narodowym, wolnym od pracy. Delegacja Wojska Polskiego przywozi z Katynia urnę z prochami pomordowanych oficerów. Powstają stowarzyszenia „Byłych Sybiraków", „Przyjaciół Wilna" i „Przyjaciół Lwowa".

Jaruzelski już wcześniej zrozumiał, że aby zachować choć część władzy trzeba szukać porozumienia z „Solidarnością". Wynegocjowane przy tzw. „Okrągłym Stole" częściowo demokratyczne wybory do obu Izb Parlamentu, to jedne wielkie nasze zwycięstwo. Ale już przed tym, kiedy premierem zostaje Tadeusz Mazowiecki z „Solidarności, następuje koniec rządów komunistycznych w Polsce. Jest to sensacja na miarę światową i fakt bez precedensu w Europie Wschodniej. Wracamy do kontynuacji niepodległego państwa sprzed 1939 roku z orłem w koronie. W 1993 roku opuszcza nasz kraj ostatni żołnierz sowieckiej okupacyjnej armii.

Nie będę już opisywał moich osobistych wrażeń związanych z tą historyczną chwilą, bo z tego co już powiedziałem można się łatwo domyślić, jak wielce radosne i niezapomniane były to dla mnie akowca przeżycia. Bo przecież skończyły się dwa wieki nieustannej zależności Polski od rosyjskiego sąsiada, a wraz z nimi skończyły się też moje własne niewesołe doświadczenia i spotkania z Rosyjskim Wschodem.

Jako epilog do tych niezapomnianych wydarzeń, przypomnę tylko, że ten polski zapalnik powoduje reakcję łańcuchową wielkich wydarzeń politycznych i w rezultacie jedną potężną „Jesień Ludów" Europy Środkowowschodniej. Pierwsi już w czerwcu ruszyli Węgrzy, a Komunistyczna Partia Węgier przestała istnieć. Potem w NRD, gdzie już od wielu miesięcy trwał egzodus obywateli do NRF i Austrii, ustąpił Honecker i runął znienawidzony mur berliński. Z kolei zrzucono jarzmo sowieckie w Bułgarii i Czechosłowacji. Na końcu zaś rumuńskie krwawe powstanie doprowadziło do rozstrzelania Ceausescu i odzyskania suwerenności.

Mało tego. Na niepodległościowej fali radzieckie republiki nadbałtyckie chcą się oderwać od Związku Radzieckiego.

Komunizm sowiecki rozpada się na naszych oczach. Spełnia się popularne zawołanie : „Komuna na śmietnik historii !" W samym ZSRR dzieją się rzeczy niemal niewiarygodne. Pęka łańcuch wiecznej przyjaźni między radzieckimi narodami. Coraz więcej republik chce się oderwać od Moskwy. W miastach odbywają się wielotysięczne demonstracje potępiające komunistyczne rządy. Gorbaczow przyznaje, że nie wszystko udało się Leninowi i jego rewolucji bolszewickiej.

5. Gorzki smak PRL-owskiej wolności

Podsumowując dzisiaj to kalendarium komunistycznych rządów sprawowanych przy pomocy PZPR, myślę, że najgorszy był dla nas okres bierutowskiego stalinizmu, ale jak już wspominałem, młody wiek, studencka beztroska i niezależność łagodziły w dużym stopniu wszelkie negatywy. Potem już, jako wykształceni i dorośli ludzie, jak większość takich jak my Polaków, musieliśmy uznać fakt, że żyjemy w konkretnej rzeczywistości politycznej i choć nie można było tego faktu akceptować, nie można też było siedzieć z założonymi rękami.

Ja i moi najbliżsi skupialiśmy się przeto prawie całkowicie na pracy zawodowej. Rozpierała mnie młodość, energia i ambicja. Bardzo dużo pracowałem. Nie dość, że

w pewnym okresie miałem jednocześnie kilka różnych posad, to jeszcze nocami robiło się prace konkursowe, z których od czasu do czasu kapnęła jakaś nagroda czy wyróżnienie.

System politycznie stopniowo łagodniał, ale psuł nam ciągle krew i utrudniał codzienne bytowanie. Od samego początku cuchnące peerelowskie miazmaty, skażone dodatkowo półwiecznym zacofaniem truły i deprawowały nas wszystkich. Nie łatwo było się wymknąć z sieci uzależnień totalitarnego molocha.

Zwłaszcza jednostki ambitne, rzutkie oraz inteligencja polska najbardziej czuły się poniżone i skrępowane w swych poczynaniach. Niektórzy z kolegów, by rozwinąć nieco skrzydła i zarobić trochę dolarów, decydowali się na paroletnie kontrakty zagraniczne. Warunki ofiarowywane jednak przez biedne i zacofane kraje trzeciego świata nie były zbyt atrakcyjne. Wiele z tych wyjazdów służyło więc jako pretekst do opuszczenia Polski na dłuższy okres, bądź też na stałe. Ja również sam starałem się o taki wyjazd, ale ostatecznie sytuacja rodzinna oraz oferowane mi takie kraje, jak Mongolia, Afganistan i Libia, zmusiły mnie do zaprzestania dalszych starań w tym kierunku.

Dzisiaj, gdy spoglądam wstecz na swą półwieczną wędrówkę w zafałszowanym i ubogim świecie nieustającej głupoty i absurdu, pod ścisłym nadzorem „dyktatury ciemiaków", jak nazwał reżim PRL niezapomniany w swej mądrości Stefan Kisielewski, stwierdzić muszę, że dla mnie od strony zawodowej i materialno-bytowej były to lata zmarnowane. Sądzę, że były one takie dla całego mego pokolenia, a i częściowo pokolenia naszych dzieci. Można by tu z powodzeniem przytoczyć znane słowa J. Pietrzaka:

„Wredne życie się przetacza jak po grudzie,
Niepotrzebne, głupie dni połyka czas.
Pokolenie utraconych złudzeń,
Generacja zmarnowanych szans..."

Żeby uzasadnić to smutne stwierdzenie trzeba zacząć od tego, że zdegenerowany i odhumanizowany system komunistyczny poczynił przez te lata ogromne szkody w naszym społeczeństwie. Przede wszystkim spowodował kolosalne zacofanie kraju niemal we wszystkich dziedzinach. W roku 1989, Polska była już cofnięta w rozwoju cywilizacyjnym w stosunku do państw rozwiniętych o kilkadziesiąt lat. W gospodarce, ekonomii, budownictwie, w opiece zdrowotnej, nauce i szkolnictwie zajmowaliśmy w Europie ostatnie miejsce. Wiele krajów europejskich, które przed wojną gospodarczo stały niżej niż my, dzisiaj wyprzedza nas o przynajmniej 20 lat.

Ponieśliśmy także niepowetowane straty w sferze moralnej. Komunistyczny zlepek doktrynerskiej ideologii wykreował polską mutację „Homo sovieticus" o bolszewickiej mentalności. Stworzył człowieka bezwolnego, biernego i zacofanego cywilizacyjnie pod każdym względem, a co najważniejsze, zdeprawowanego. Ten „polsovieticus", wyznający tzw. zasadę BMW (bierny, mierny ale wierny), wychowany i wyrosły we wszechobecnym ukrywaniu prawdy i fałszowaniu faktów, nie uważa kłamstwa czy oszustwa za coś nagannego.

Komunistyczne państwo niszczyło też swoją tradycję i kulturę. Fałszowano historię, wymazywano z niej propagandowo niewygodne wydarzenia, tendencyjnie interpretowano fakty. Kult leninowsko-stalinowskiego państwa oraz komunistyczna internacjonalistyczna ideologia niszczyła naszą świadomość narodową. Nakazowo-zakazowa cenzura godziła w niezależną polską myśl polityczno-społeczną. Myślenie było zglajszachtowane, a każda indywidualność likwidowana.

Ta moralna i intelektualna destrukcja wpłynęła zapewne na zaskakujący fakt, że dziś jeszcze spora część społeczeństwa odczuwa dziwną nostalgię za czasami PRL. A może to skutek ludzkiej krótkiej pamięci?

Niedorozwinięty i kaleki system monetarno-bankowy oraz deficyt towarów na rynku sprawił, że pieniądz był niemal nic nie warty. Brak było bodźców ekonomicznych do wydajniejszej pracy. Mała wydajność pracy była też rodzajem sprzeciwu wobec władzy. A tak na marginesie, to dobrze zorganizowana praca nigdy nie była naszą mocną stroną. Być może to nasz romantyzm zagubił gdzieś jej prawdziwy etos.

Wraz z pieniądzem stracił swą wartość czas. Największym pożeraczem czasu były kolejki do sklepów, w których ludzie stali całymi godzinami, a nawet całymi nocami i dniami. Kolejki były w PRL rodzajem wentyla bezpieczeństwa rozładowującego agresję i frustrację wywołaną brakiem zaspokojenia podstawowych potrzeb. W kolejkach można było bezpiecznie wymieniać myśli i ponarzekać, gdyż partyjniacy i tajniacy w nich nie stali.

Złe zaopatrzenie pogłębiał jeszcze nasz handel zagraniczny, którego 2/3 obejmowało kraje RWPG, w tym głównie ZSRR. Tam z wielkiej przyjaźni, sprzedawaliśmy towary za pół darmo, dopłacając słono do tego interesu.

Żeby było weselej, to propaganda przekonywała nas bezustannie o wielkich osiągnięciach socjalizmu w Polsce. Przy sposobności ubolewano, jaki to kryzys panuje na Zachodzie a zwłaszcza w USA, jak tam wszystko drożeje, jakie jest bezrobocie i jak kraj ten gnębi sto innych klęsk.

Najgorsze było to, że z tragedii zniewolenia i upadku kazano nam okazywać radość (np. w pochodach pierwszomajowych). Usprawiedliwieniem, że nie wszystko jest tak jak powinno, była głoszona powszechnie działalność wrogich, kapitalistycznych sił. PRL próbowała nas przekonać, że jedynym naszym odwiecznym wrogiem są Niemcy, a NATO gotowe jest w każdej chwili uderzyć na Układ Warszawski.

Po roku 1945 w bloku sowieckim głoszono fikcję, że wszystkie zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości były dziełem faszystów i tylko ich, w ten sposób spuszczano zasłonę milczenia na własne komunistyczne zbrodnie.

Osobnym rozdziałem tego okresu były represje wobec Kościoła Katolickiego, ale ten temat będę jeszcze poruszał później.

Po tych ogólnych uwagach znowu wrócę do bardziej osobistych spraw.

Podobnie jak w innych dziedzinach naszego życia, dla architektury i budownictwa był to czas regresu i zacofania. Polska Ludowa opętana chorobliwą wrogością do inteligencji traktowała twórczość architektoniczną, jak każdą produkcję fabryczną – byle dużo, tanio i szybko oraz byle jak i byle z czego. Byliśmy poddawani swoistej cenzurze państwa, bo to ono było naszym jedynym inwestorem i prawodawcą.

Braki materiałowe, dyktat wykonawcy, zacofanie techniczne i technologiczne oraz niestaranne wykonawstwo, odbierało nam architektom większą część satysfakcji zawodowej. Na domiar złego, tandetne i nietrwałe materiały, brak dbałości o utrzymanie i konserwację obiektów oraz brak kultury ich użytkowania, powodowały w ciągu paru lat dewastację i niszczenie nowo wzniesionych budowli. Projektowanie architektoniczne poza tym, że było zbiurokratyzowane, nie dawało również wystarczających efektów materialnych.

Dodatkową szkodą intelektualną był ciągły odpływ na Zachód zdolniejszej części młodzieży oraz ludzi kultury, nauki i techniki. Ten drenaż mózgów dotknął też w znacznej mierze nasze środowisko biurowe a szczególnie bliskie mi kręgi architektoniczne. Tylko z mojej najbliższej czwórki przyjaciół, z którymi razem przyszliśmy do „Energoprojektu", trzech architektów wyjechało na Zachód, częściowo dla kariery, a częściowo dla zachodniej waluty.

Poza problemami zawodowymi i bytowymi, dla nas, byłych żołnierzy Armii Krajowej, najbardziej dotkliwe było to, że przez 45 lat musieliśmy żyć z piętnem „bandytów i karłów reakcji" za to, że nie akceptowaliśmy nowego radzieckiego porządku. Wielu z nas było ponadto zastraszonych i bało się mówić oraz zatajało wiele fragmentów swego życiorysu, czasem nawet przed własnymi rodzinami. Podczas, gdy każde miasto musiało mieć pomnik bohaterów armii sowieckiej, jako pomnik wdzięczności i przyjaźni, nie było ani jednego pomnika własnych synów, którzy zginęli w służbie narodu.

Trzeba też powiedzieć, że nasza przynależność do AK była powodem różnorakich represji i dyskryminacji ze strony władzy ludowej. To odium ciągnęło się za mną przez wiele lat. Głównie dotyczyło to pracy zawodowej, gdzie moja przeszłość akowska nie pozwalała na objęcie nawet najskromniejszego, oficjalnego stanowiska kierowniczego. Ale nie ominęło ono też życia prywatnego. Dlatego między innymi przez bardzo długi czas nie mogłem otrzymać przydzielanego przez biuro kąta mieszkalnego. Mój życiorys utrudniał także wszelkie starania o powrót z ZSRR rodziców, a zwłaszcza mamy.

Podobnie mój przyjaciel J. Michałowski z tych samych powodów nie mógł w pełni zrealizować swoich zasadniczych planów życiowych. Przez wiele lat musiał wciąż zmieniać miejsce pracy, a jego usiłowania w dostaniu się na aplikanturę i wpisanie na listę adwokacką spotykały się ze stałą odmową.

Na koniec mego sumarycznego komentarza na temat powojennych naszych losów, trzeba stwierdzić, że najdziwniejsze było to, że komunizm w zasadzie tak naprawdę nie miał zwolenników, potrzebny był tylko niektórym dla kariery. Wszyscy po trosze byli dysydentami z różnych zresztą powodów, a decydenci i dygnitarze najbardziej tęsknili do kapitalizmu.

Obok obłaskawionej i sprzedajnej części elity intelektualnej oraz pewnej grupy ludzi kultury, sztuki czy literatury, reżim wyhodował sobie tzw. działaczy partyjnych. Tworzyli oni oddaną kastę ludzi, którzy mieli władzę i pieniądze. W olbrzymiej części byli to zwykli karierowicze, pseudokomuniści, których kupowało się za lepsze stanowiska.

Byliśmy lokajem, który w gruncie rzeczy nienawidził swego hegemona.

Tak czy owak, mimo że nasz stopień identyfikowania się z państwem był bardzo mizerny, a podział na MY i ONI był wyraźny i silny, długoletnie przebywanie w tym cuchnącym komunistyczno – moskiewskim bagnie pozostawiło zarówno mnie, jak i mnie podobnym, przykry, nie dający się do końca usunąć, zapaszek.

TRWAĆ ... ABY PRZETRWAĆ ...

„Można zawsze znaleźć w swej inteligencji, woli, sercu coś, co pomoże nam w walce z życiem i ludźmi."

(J. Lechoń)

Ciężki i tragiczny okres wojny, a potem trudne czasy komunistycznej hegemonii, wymagały od nas dużej odporności psychicznej. Nieraz już wspominałem, jak ważna była w tych warunkach kondycja psychiczna. Wiele naszych smutków i utrapień płynęło nie tylko z własnych przeżyć i niepowodzeń ale często była to troska o los własnego kraju i los najbliższych nam ludzi.

Od codziennego rozpamiętywania trudnej, a i niekiedy tragicznej rzeczywistości ratowała nas i ocalała postawa duchowa i intelektualna. Wiara w Boga, wiara w sens istnienia, chęć poznawania świata i rozkoszowania się jego niewysłowionym pięknem, uświadamiało nam często, jak wielkim i błogosławionym cudem jest życie.

Rozwijanie i wzbogacanie w sobie świata wewnętrz-nego stawało się podstawowym czynnikiem przetrwania. Nie dać się złamać przeciwnościom losu. Piękne powie-dzenie Pascala : „Człowiek to tylko trzcina, ale trzcina myśląca – trzcinę zegnie burza, ale jej nie złamie" przy-woływała świadomość, że każda z naszych myśli jest realną siłą i cegłą w budowie własnego jutra.

1. Wiara i Kościół

Jak już wiadomo z moich poprzednich wypowiedzi, ja i moja rodzina byliśmy silnie związani z wiarą katolicką. Stąd w dużym stopniu zrodził się mój idealistyczny pogląd na świat. Tego rodzaju postawy wynosi się przede wszystkim z domu i ze szkoły.

Poza niezwykle zajmującymi wykładami z historii kościoła i z zagadnień moralno-etycznych, do jakich miałem szczęście na tajnych kursach nauczania, dużą rolę odegrało też grono najbliższych przyjaciół rodziców, wśród których było kilku księży – wspaniałych, mądrych ludzi i gorących patriotów. Poglądy oraz intelekt tych ludzi potwierdzały już wtedy nasze przekonanie, że księża i kler byli często w naszej historii nie tylko najświatlejszą warstwą społeczną, ale też przykładem prawdziwego patriotyzmu i miłości ojczyzny.

Bo też polski patriotyzm zawsze silnie związany był z katolicyzmem. Katolicyzm najmocniej bowiem identyfikował się z polskością. Jestem przekonany, że właśnie dlatego też Kościół był zawsze tak silnie atakowany przez wrogie nam sąsiadujące mocarstwa. Choć niezależnie, również same względy religijne potęgowały wzajemną niechęć oraz podsycały wrogość i nienawiść do katolickiej Polski.

Polska, pod tym względem nie miała szczęścia do swych najgroźniejszych najeźdźców. Najpierw, jako przedmurze chrześcijaństwa odpierała ataki mongolskich Tatarów i osmańskich Turków. Potem przyszło jej walczyć z najazdami prawosławnej Rosji i protestanckiej Szwecji, aż wreszcie musiała znosić, długoletni zabór rosyjskiego prawosławia i pruskiego luteranizmu (tylko Austria była katolicka).

To wszystko wymagało od polskiego katolicyzmu dużej koncentracji i konsolidacji. Ilekroć bowiem krajowi zagrażało niebezpieczeństwo, wiara ogarniała nasze serca i odwaga wstępowała w broniący się naród. Doprowadziło to do umocnienia Kościoła katolickiego w Polsce.

W tym procesie szczególnie ważny był szeroko rozpowszechniony na ziemiach polskich Kult Maryjny. Ze szczególną siłą występuje on od czasów, kiedy to zagrożony utratą niepodległości naród, powierzył się opiece Matki Boskiej, obierając Ją Królową Polski.

W tej wierze w pomoc N. M. Panny umocniły mnie i moich najbliższych szczególnie czasy wileńskie i cudowny wizerunek Matki Najświętszej w Ostrej Bramie.

Wileńskie kroniki pamięci zachowały przepiękną „Litanię Ostrobramską", napisaną przez B. Rudnickiego. Oddaje ona w sposób prosty i wzniosły zarazem historyczno-dziejowe zawierzenie naszych polskich losów N. P. Ostrobramskiej :

Matko Boska Ostrobramska w podwójnej koronie!
Matko Boska Ostrobramska z Orłem i Pogonią!
Matko Boska Ostrobramska w warownej kaplicy!
Matko Boska Ostrobramska z wileńskiej ulicy!
Matko Boska – Śliczna Panno w pozłocistej szacie!
Matko Boska – moja Matko z dziecięcych zdrowasiek!
Matko nasza z codziennego szkolnego pacierza!
Matko Wilnian – ta z hejnału katedralnej wieży!
Matko z wierszy Adamowych, z filareckiej pieśni!
Matko tych, co ginęli w jesiennych dniach września!
Matko nasza partyzancka z ryngrafów szlacheckich!
Matko ofiar zawleczonych do łagrów sowieckich!
Matko armii spod Tobruku i tej spod Lenino!
Tych co szli przez Ziemię Świętą na Monte Cassino!
Matko Boska Ostrobramska z księżycowym sierpem!
Matko Boska Miłosierdzia dla tych, którzy cierpią!
Matko w niebie królująca, ku której stęsknione
Kroczą marszem już ostatnim, ostatnie plutony!
Wyznacz trasę, trudną trasę, ale dobrze znaną!
Daj nam dojść do Twego nieba poprzez Ostrą Bramę!

Jednak najwspanialszym symbolem naszej wiary w opiekę Matki Bożej jest Klasztor Jasnogórski z cudownym obrazem Najświętszej Marii Panny. Słynna, zwycięska obrona Jasnej Góry w czasach potopu, a potem znów nieskuteczne oblężenie przez Rosjan w czasie Konfederacji Barskiej, uczyniły z Klasztoru legendę, która przez wieki przyczyniała się do podnoszenia ducha Polaków. Sami mogliśmy się przekonać jak wiara w pośrednictwo Najświętszej Panny była niezwykle pomocna w naszych trudnych dziejach. Tkwi ona głęboko w polskiej tradycji historycznej i narodowej. Wiary tej nie zachwiały ani klęski, ani wiekowa niewola. Żołnierz polski, tak jak kiedyś pod Grunwaldem, z Imieniem Marii na ustach i Jej wizerunkami na sztandarach jeszcze wiele razy, aż po ostatnią wojnę, wyruszał w pole pełen wiary i nadziei.

Naszą wiarę w Opatrzność Boską silnie podtrzymywała literatura, a szczególnie poezja. W okresie romantyzmu pojawiły się najwspanialsze dzieła polskich wieszczów pełne pięknych odniesień do wiary ojców naszych i pełne głębokich wartości chrześcijańskich. Od przesadnego, niemal mistycznego mesjanizmu z hasłem „Polska Chrystusem Narodów", aż po wybuchy zwątpienia w Boga i Jego Sprawiedliwość, na czele z Wielką Improwizacją Mickiewicza.

Modlitwa do Boga, polecanie się Jego Opiece i błaganie o pomoc, było od wieków praktykowane w chwilach ważnych i trudnych, zarówno dla jednostki, jak i narodu. Ważną rolę modlitewną spełniały pieśni religijne i religijno-patriotyczne. Śpiewane były nie tylko

w czasie klęsk i niepowodzeń, ale też w chwilach wielkich zwycięstw oraz w innych ważnych momentach dziejowych.

Przywołam tu znowu piękną postać mego prefekta gimnazjalnego ks. dr W. Siekierko, który jako przyjaciel rodziny wiele razy prowadził z nami interesujące dysputy na temat roli Kościoła w walce o tożsamość i suwerenność narodu. Z tych rozmów odnajduję jeszcze jakieś okruchy przypomnienia.

Dziś, zwłaszcza po doświadczeniach lat powojennych, mogę śmiało powiedzieć, że rzeczywiście polski kler katolicki włączał się zawsze intensywnie i masowo w nurt walk wyzwoleńczych w imię wolności i wiary. I mimo, że ponosił przy tym ogromne ofiary, był nieustannie wiodącą siłą w tej walce.

Największe straty duchowieństwo poniosło w czasie II wojny światowej i to nie tylko ze strony hitlerowskich Niemiec, ale także i to chyba w jeszcze większym stopniu, ze strony Rosji Sowieckiej i stalinowskiego terroru. Katolicyzm dla Rosji był zawsze najpoważniejszą przeszkodą do zupełnego zawładnięcia Polską. Dlatego szczególnie ostro i brutalnie był prześladowany i niszczony. Walka z Bogiem i religią, jak już podkreślałem, była ważną częścią ideologii komunistycznej, a ateizm istotnym elementem wewnętrznej polityki. Przy ogromie popełnianych niegodziwości i zbrodni ateizm wydawał się atrakcyjny, gdyż zwalniał z odpowiedzialności przed Bogiem i naznaczonych powinności religijnych, dawał przez to poczucie złudnej wolności. Ostatecznie ateizm, unikający „kwestii sumienia" oraz walczący z chrześcijańskim światopoglądem i systemem wartości opartych o Kościół, okazał się bardzo wątpliwy i niebezpieczny dla samego systemu.

Zagrożony i walczący Kościół paradoksalnie się odradzał, jednoczył oraz nabierał sił i znaczenia w polskim społeczeństwie. Szczególnie znamienne było przejęcie duchowego przewodnictwa w walce z komuną w PRL. W polskich kościołach na całym obszarze kraju odbywały się zebrania naszych organizacji podziemnych, patriotycznych środowisk katolickich, ugrupowań dysydenckich i wszelkich elementów antykomunistycznych. W kościołach śpiewano zakazane pieśni i modlono się za wolną Ojczyznę. Może dlatego u nas nie było magazynów w kościołach, jak to miało miejsce w ZSRR. Bo partia nie tylko się bała zbyt silnego przeciwnika, ale też ogromna jej większość sama była silnie zakorzeniona w wierze katolickiej, choć oficjalnie to ukrywała. Znane było bardzo liczne, ale niemal konspiracyjne, przyjmowanie przez pezetpeerowców sakramentów kościelnych, nie mówiąc już o uczestnictwie w mszach świętych. Sądzę, że tego rodzaju postawę świetnie oddaje następujące parodystyczne powiedzenie:

„Jeśli Boga nie ma, co daj Boże, to chwała Bogu. Lecz jeśli nie daj Boże Bóg jest, to niech ręka Boska broni!"

W rezultacie, jak wiemy, Kościół katolicki wyszedł z tej walki zwycięsko, a Polska stała się, jak nigdy, krajem niepodzielnego katolicyzmu (96% katolików), skonsolidowanego dodatkowo wokół pontyfikatu polskiego papieża.

Trzeba też powiedzieć generalnie, że całe chrześcijaństwo od dwóch tysięcy lat zaprawione było w walce o wiarę i swą tożsamość. Nie załamały je, ani nie zniszczyły prześladowania, schizmy, bunty heretyków, czy wojny religijne. Prześladowcy mijali, imperia rozpadały się w proch, a ono pozostawało niewzruszone i coraz bardziej powszechne. Można by tu powtórzyć końcowe słowa z „Quo vadis?" H. Sienkiewicza :

> „Tak minął Neron, jak mija wicher, burza, pożar, wojna lub mór, a Bazylika św. Piotra panuje dotąd z wyżyn watykańskich miastu i światu."

Dodam jeszcze, że nasze środowisko akowskie niemal gremialnie brało udział we wszelkiego rodzaju patriotycznych spotkaniach kościelnych. Jednym z bardziej zaangażowanych i znanych z nieprzejednanej postawy był kościół św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu. Tu wygłaszał swe kazania ksiądz Popiełuszko podczas słynnych mszy za Ojczyznę i tu znajduje się jego grób. Tu właśnie bywaliśmy na tych mszach, po których w podziemiach kościoła odbywały się spotkania akowskie, a w czasie których między innymi śpiewano żołnierskie i partyzanckie pieśni i deklamowano poezję narodową.

Na zakończenie tych refleksji, pisząc o sprawach wiary, nie mogę pominąć często niezrozumiałej awersji prawosławia do naszego katolicyzmu. Wydaje mi się, że jest to o tyle uzasadnione, że konfrontacja z rosyjskim Wschodem jest nicią przewodnią przedstawionych moich wspomnień.

Prawosławna, ortodoksyjna doktryna Kościoła wschodniego miała swą genezę w podziale imperium rzymskiego oraz związanej z nim schizmie chrześcijaństwa. Procesy te powstały na tle różnic cywilizacyjno kulturowych między Wschodem a Zachodem. Walka o dominację i liczne spory teologiczne pogłębiały wzajemną niechęć Rzymu i Konstantynopola.

Dlatego obrządek prawosławny, a zwłaszcza rosyjskie prawosławie spod znaku przekreślonego krzyża, miało głęboki uraz do świata zachodniego. Ten uraz przeradzający się nieraz we wrogość w decydujący sposób wpłynął na izolację Rosji od reszty Europy. Zakodował też w umysłach Rosjan niemal genetyczną nienawiść do Zachodu i do katolików, którą Rosja przejawia do dnia dzisiejszego. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że władza carska identyfikowała się ze swym Kościołem, zabiegała o jego poparcie i uważała się za jego jedynego i najwyższego zwierzchnika. Car w Rosji zawsze był uważany za Boga. „Car to ruskij Christos" – mówiono- „Car nie Bóg, ale nie mniejszy od Boga."

Nienawiść i nieustająca walka z katolicyzmem sprawiła, że wyznania, które odłączyły się od naszego Kościoła były w Rosji szczególnie protegowane. Z tych samych powodów, odwrotnie, wszelkie próby przechodzenia na katolicyzm były surowo potępiane i ze szczególną zajadłością zwalczane. Za takich znienawidzonych odszczepieńców uznano w Rosji grekokatolików, zwanych również unitami.

Myślę, że właśnie powiązanie nieprzyjaznego nam prawosławia z carskim imperializmem pozostawało dla naszego kraju zawsze niezwykle groźne.

Trzeba też przypomnieć, że prawosławie, jako wróg katolicyzmu, stało się silnym narzędziem rusyfikacyjnym. Cebulaste cerkwie i prawosławne krzyże na naszych terenach miały przypominać nam Polakom, że to ruska ziemia. W tym celu budowano dziesiątki i setki tego rodzaju świątyń.

W okresie komunistycznym awersja do katolicyzmu, mimo powszechnej walki z religią prawosławną, nie tylko nie zmalała, ale wyraźnie przybrała na sile. Odczuliśmy to wszyscy w Polsce szczególnie w okresie powojennym, ale jak już wspominałem represje wobec Kościoła Katolickiego w sposób paradoksalny cementowały go, hamowały proces laicyzacji oraz wzmacniały jego siłę oddziaływania w społeczeństwie. Rozwiał się fałszywy mit, że postępowy świat ulega odczarowaniu religią.

Z tego co zostało powiedziane na temat kwestii religijnych, wynika wyraźnie jak ogromnie ważne były to sprawy dla naszej historii i kultury. Jak nierozerwalnie wiara związana była z naszą postawą patriotyczną. Jak ważnym czynnikiem przetrwania i podtrzymywania polskiego ducha była ona dla naszego narodu. W ciężkich i tragicznych

chwilach, jak wielką rolę odgrywała modlitwa. A ta modlitwa, jakkolwiek rzadko zmieniała zamierzenia boskie, to przede wszystkim zmieniała nas samych. Wlewała w serca balsam pokory i własnej małości, a równocześnie dawała poczucie siły, bezpieczeństwa i spokoju.

2. Kultura i sztuka - wzloty przetrwania

Obok Kościoła, jednym z ważniejszych aspektów, które miały wpływ na naszą historię i na odradzanie się polskiej tożsamości i ducha narodu, była jego moralna siła wyrażająca się w kulturze i sztuce. Jak pisał Mochnacki, to ona była najpewniejszym orężem w walce o przetrwanie.

Ten fenomen polskiego patriotyzmu zrodzonego z literatury i sztuki przytaczany był i opisywany wielokrotnie przy okazji moich indywidualnych losów. Dlatego nie muszę już nikogo przekonywać, jak silną i trwałą rolę odegrała szeroko pojęta sztuka w moim osobistym życiu i jak bardzo pomagała mi ona w najtrudniejszych czasach.

Ponieważ Polska, to nie tylko świat materialny, ale i duchowy, chciałbym przeto jeszcze nieco szerzej potraktować narodowy aspekt tej twórczości.

Jak się wydaje czołowe miejsce zajmowała tu literatura.

Ucisk i wynaradawianie przez zaborców zadziwiająco wpłynęły na niebywały rozkwit naszej literatury i języka polskiego. Stała się ona duchowym przywódcą w służbie Narodu dążącego do zrzucenia jarzma niewoli. Zwłaszcza po upadku Rzeczpospolitej, w okresie romantyzmu, wzbiła się ona na takie wyżyny, których już później nigdy nie osiągnęła. Rola jaką odegrała, a w tym dominacja poezji w polskiej kulturze politycznej, była rzeczą wyjątkową i niespotykaną. To właśnie dzięki literaturze udało się „przechować naród cały na dzień chwały nieśmiertelnej", którym stało się odzyskanie niepodległości.

Romantyzm, mimo swego pozornego oderwania od rzeczywistości, dowiódł, że Polacy oprócz potrzeb materialnych mają też silne potrzeby duchowe. Prześladowany i zniewolony naród chronił się w świecie odrealnionym. Do dziś, od realizmu bliższy nam jest niejako surrealizm. Słusznie ktoś kiedyś powiedział, że Polak pozostaje dzieckiem znacznie dłużej niż przedstawiciele innych narodów. Marazm, trudności ekonomiczne i polityczne zmuszały w pewnym stopniu do odrobiny fantazji, bez której dzień powszedni stawał się bardziej smutny i bardziej beznadziejny.

W okresie wojny w nauczaniu języka polskiego romantyzm wyrosły na wolnościowych hasłach Rewolucji Francuskiej był zawsze szczególnie silnie eksponowany. Dla nas młodych rozmiłowanych w przeszłości, wychowanych na wolnościowej ideologii patriotycznej literatura tego okresu była wielkim pokrzepieniem i pomagała zachować nadzieję, że jako naród wyjdziemy z tej wojny zwycięsko.

Jeżeli mówimy romantyzm, to mamy na myśli przede wszystkim wielką poezję naszych wieszczów z Mickiewiczem i Słowackim na czele. Ci dwaj poeci, niczym „dwa na krańcach swych przeciwnych bogi", sprawowali rząd dusz przez niemal sto lat. Słowo walczyło, inspirowało i zagrzewało. Słowo rodziło czyn, a czyn tworzył nowe słowo.

Asnyk pisał o Słowackim : „Jego pieśń, jak oskard wstrząsnęła śpiącą grobów ziemią, krwawe widmo Ojczyzny wywołując z truny." Cała twórczość Słowackiego jest ściśle związana z Narodem. Polska jest tam stale obecna, pokazywana w chwilach triumfu i chwilach klęski, walcząca o swoją wielkość.

Po upadku powstania styczniowego, kiedy wygasły nieco polityczno rewolucyjne aspiracje romantyczne, pojawił się pozytywizm i realizm. Ale tradycje romantyczne były tak silne, że długo jeszcze działali liczni epigoni romantyzmu, a na początku XX wieku pojawiło się nowe neoromantyczne pokolenie.

Mimo, że proza literacka obfitowała również w bogate i krzepiące akcenty narodowe, a jej bohaterowie utożsamiali wiekową walkę z uciskiem i wynarodowieniem, to jednak poezja pozostawała zawsze najostrzejszą bronią narodową. Ona to najdobitniej podnosiła nas na duchu, najgłębiej trafiała do serc i najgłośniej zapowiadała powstanie niepodległej Polski, jako nieuniknioną konieczność historyczną.

Tak było aż do lat 80-tych. W komunistycznych systemach kultura była o tyle tylko potrzebna, o ile mogła być elementem propagandy. Jak wspominałem, wielu współczesnych poetów i twórców wysługiwało się komunistom. Na ogół jednak poeci zawsze pozostawali wrogami władców. Władzę interesuje głównie zbiorowisko ludzkie, tłum, który ma iść za jej głosem. Poezja zajmuje się każdą pojedynczą duszą, a ta jest niebezpieczna bo wątpi, rozważa czy snuje refleksje. Jakie zagrożenie niosła ona dla systemu mogliśmy się przekonać u nas w biurze, kiedy wywieszane przez nas na tablicach informacyjnych fragmenty poezji niepodległościowej były ordynarnie zrywane przez partyjnych gorliwców.

W latach etosu „Solidarności" poezja znowu zawładnęła Polską i odegrała dużą rolę w obaleniu komunizmu. PRL broniąc się, posuwała się nawet do podłych kłamstw, próbując wypaczać istotne treści oraz ideały naszych poetów i pisarzy. Mickiewicza, na przykład, usiłowano przedstawiać jako rewolucyjnego i postępowego poetę, tendencyjnie i propagandowo nagłaśniając jego wiersz „Do przyjaciół Moskali".

Podobnie PRL starała się zawładnąć spuścizną duchową Żeromskiego, którą zakłamano i odarto z prawdziwego sensu. A był to autor na wskroś antybolszewicki. Pisał o rujnujących skutkach moralnych rewolucji, twierdził, że władzy rosyjskiej nigdy nie uda się zrusyfikować polskiej młodzieży. Polska Ludowa wszystkie jego antybolszewickie i antyrosyjskie teksty objęła ścisłą cenzurą. Ale tak, jak w innych wypadkach, słowa trudno było uwięzić. Zawsze żywe i głośne stało na barykadach zagrzewając do walki o najświętsze wartości ludzkie i patriotyczne.

W niełatwych czasach wojennych i powojennych dawna i współczesna wielka literatura dostarczała nam nie tylko pożywki patriotyczno-narodowej, ale też zwracała uwagę i mocno angażowała w wiele spraw o znaczeniu ogólnoludzkim. Po wojnie bardzo duże znaczenie dla kultury narodowej miał podziemny ruch literacki wydający tzw. „literaturę drugiego obiegu", oraz współczesna polska, zachodnia literatura emigracyjna.

Obok czytania książek wspaniałym środkiem do oderwania się od szarej i smutnej rzeczywistości był dla mnie teatr i film. Oczywiście chodziło o wybrane, najbardziej wartościowe dramaty i sztuki teatralne o wielkich wartościach humanistycznych, moralnych i psychologicznych. Pamiętam między innymi, jak wielką popularnością cieszyła się szuka S. Becketta „Czekając na Godota", do tego stopnia, że stała się ona dla nas jakimś ogólnym symbolem oczekiwania na coś, co ma przyjść ale nie przychodzi.

Co do filmów, to specjalnie interesujące były te, które w sposób mniej lub bardziej zakamuflowany pokazywały powikłane polskie losy i tragizm młodego pokolenia akowców oraz absurdy peerelowskiej rzeczywistości.

W tym okresie chętnie wystawiano sztuki wielkiej dramaturgii rosyjskiej. Wiele z nich przedstawiało charakterystyczne cechy i skomplikowaną mentalność Rosjan. Nas, znajdujących się w sowieckich objęciach, skłaniało to do prób bliższego poznania tego narodu.

Jeżeli chodzi o inteligencję XIX wieczną, to chyba najgłębiej oddają jej cechy i nastroje nieśmiertelne sztuki Czechowa. Pokazują one w sposób tragiczny i śmieszny zarazem niezrozumiałą psychikę tych ludzi. Pokazują jakby wizję Rosji niezdolnej do życia i odchodzącej w przeszłość. Ujawniają obezwładniające nieróbstwo, poddanie się losowi bez szemrania, skłonność do niekończących się dyskusji i filozofowania oraz gadanie często bez

sensu i o niczym. Wysokie wzloty myśli przy niedostatku wiedzy obnażają wszechogarniający bezsens życia.

Jest to przerażający obraz ludzi zaplątanych w sieci doczesnego żywota, miłosne dramaty i egzystencjalne problemy. Obraz dekadenckiej inteligencji zagubionej duchowo i wyobcowanej z teraźniejszego świata.

W mrocznej, nieodgadnionej duszy narodu rosyjskiego jest jakieś bezustanne dążenie do cierpienia. Ten problem tajemniczych głębin duszy ludzkiej poruszał w swej twórczości Dostojewski. Choć ujmował to w sposób uniwersalny, pisząc o wrodzonej amoralności człowieka, drzemiące w nim straszne instynkty, bezinteresowne okrucieństwo i chęć zadawania innym cierpienia, to chyba przede wszystkim myślał tu o swych własnych rodakach. Po doświadczeniach bolszewickiego komunizmu, jakże prorocze okazały się te myśli.

Również inni znani pisarze rosyjscy wyrażają podobne negatywne poglądy. Gribojedow, w „Mądremu biada", chłoszcze satyrą zgniliznę moralną Moskwy, obłudę, lenistwo i ciemnotę, służalstwo i karierowiczostwo. Gogol, czy Gonczarow przedstawiają życie jako liche, bezmyślne, bezcelowe i bezpłodne marzycielstwo oraz pustkę duszy ruskiej pod pokrywką sentymentalizmu. Czy wreszcie Dostojewski, w „Braciach Karamazow", pokazuje odrażające połączenie fizycznego i moralnego zwyrodnienia oraz tchórzostwa ze zdziczeniem.

Bardziej współcześnie i bardziej tragicznie to upokarzające poniżenie, zacofanie i zniewolenie swego narodu przeżywał w swych pieśniach niezapomniany Włodzimierz Wysocki. Z autentyczną rozpaczą i siłą brzmiały jego pełne bólu słowa :

„Biedne ofiary bezlitosnej gry,
Schylony kark w oczekiwaniu ciosu.
Upokorzenie szczerzy do nas kły
I nie odmieni nic naszego losu.
Pośród codziennych świństw i kłamstw
Straciliśmy już ludzką twarz.
Umiemy tylko łgać jak z nut
I w porę zawiązywać but
Kłaniamy się swołoczom w pas!"

Aby wreszcie skonkludować :

„Lecz prawdę mówiąc Wania, to my do Zachodu
Tak pasujemy, jak pieprz do miodu,"

Duszę rosyjską próbowali zgłębiać również niektórzy przedstawiciele polskiej literatury. B. Leśmian pisał : „Zupełny rozstrój, chorobliwe rozdwojenie, niechęć do przeszłości i niewiara w przyszłość, zmusza inteligencję rosyjską do ratowania się obojętnością na sprawy polityczne... i do całkowitego usunięcia się od teraźniejszości."
Przewidywał on nieomylnie, że Rosjanie, niczym samobójcy, przejdą przez etap samozagłady narodowej przez wyniszczenia i szaleństwa.

Jak się okazało, całe to dekadenckie oblicze carskiego imperium doprowadziło rzeczywiście do krwawego przewrotu rewolucyjnego, ale nowe idee i nowe państwo proletariackie nie tylko, że nie potrafiło zmienić charakteru i mentalności ludzi, ale jeszcze zdeprawowało ich i odczłowieczyło w stopniu nie mającym sobie równego w świecie.

Podobną rolę jak słowo pisane odegrała pieśń i piosenka. Rzadko kto z nas zdaje sobie sprawę z tego, jak wiele naród nasz zawdzięcza pieśniom. I to nie tylko tym

wspaniałym, podniosłym i patriotycznym śpiewanym od wieków, ale też tym prostym, zawsze bliskim sercu piosenkom żołnierskim, a nawet zwykłym, często bezimiennym i powstałym samorzutnie, nieraz nieco naiwnym, ale pełnym emocjonalnego ładunku.

To śpiewanie jest swoistą częścią i perłą literatury narodowej, zwierciadłem naszego życia i świadectwem umiłowania wszystkiego co piękne. Te pieśni i piosenki są nierozłączną cząstką naszej historii. To one , pełne autentycznej prawdy przeżyć i zdarzeń, upamiętniają i utrwalają nasze dzieje. To one w niezwykły, pełen głębokiego uczucia sposób krzepiły serca rodaków w najtrudniejszych czasach wojen i niewoli, oraz to one wielokrotnie dawały siłę przetrwania. Jerzy Żuławski pisał :

„Bo pieśń rodzi i pieśń wskrzesza
Pieśń moc daje, pieśń ocala..."

Śpiewanie, zwłaszcza gremialne i manifestacyjne, pieśni patriotycznych czy o charakterze patriotyczno religijnym, zawsze było źle widziane przez okupanta i zaborcę. Pieśń była potężną duchową bronią, dlatego wróg tak ją zwalczał i prześladował. Zawsze istniały zakazane piosenki. Cenzura najeźdźcy brała je pieczołowicie pod lupę, prześwietlała, analizowała i doszukiwała się różnych podtekstów politycznych.

Tak było w ciągu zaborów i tak mogłem to obserwować w ciągu mojego życia, w czasie niemieckiej i sowieckiej okupacji oraz przez cały okres komunistycznej PRL.

Na świadomość patriotyczną pokoleń wpływały i kształtowały ją przede wszystkim wielkie hymny i święte pieśni narodowe, jak: „Bogurodzica", „Gaude Mater Polonia", „Jeszcze Polska nie zginęła", „Rota", czy „Warszawianka". Do nich należały też wielkie hymny błagalne, jak „Boże coś Polskę", czy pełen bólu i rozpaczy, tragiczny chorał „Z dymem pożarów", czy też stara błagalna pieśń, jeszcze z 1830 roku :

„Boże ojcze! Twoje dzieci
Płaczą, żebrzą lepszej doli
Rok po roku marnie leci
My w niewoli, my w niewoli!"

Najbardziej popularne jednak, najbliższe sercu i najczęściej śpiewane po domach były proste, melodyjne piosenki żołnierskie. Te żołnierskie śpiewy pochodzą głównie z obu wojen światowych i tworzą jakby dwa podstawowe zbiory, czy gatunki. W pierwszym prym wiodą piosenki legionowe, w drugim zaś pieśni partyzanckie i pieśni z Powstania Warszawskiego.

O pieśniach legionowych i mojej nimi fascynacji pisałem już przy okazji legendy żołniersko-ułańskiej. Chcę przeto poświęcić trochę więcej miejsca piosenkom partyzanckim, zwłaszcza że zżyłem się z nimi realnie i wrosły one w mój krótki, ale twardy żołnierski etap.

Z pieśni, które najczęściej śpiewaliśmy, dwie były wyjątkowo podniosłe i uroczyste. Nabrały one z czasem charakteru hymnicznego i nawet obecnie, w kręgach kombatanckich AK, są one wykonywane z wielkim pietyzmem w czasie ważniejszych uroczystości.

Pierwsza, wywodząca się z hymnu Polaków na emigracji, wspomniana już „Modlitwa Londyńska", nawiązuje do dawnych pieśni błagalnych. Z uwagi na jej wyjątkowy charakter i ogromną popularność, przytoczę ją teraz w całości :

„O Panie, któryś jest na niebie
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń!
Wołamy ze wszech stron do Ciebie
O polską moc i polską broń.

O Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj
I wolną Polskę nam wywalczyć daj,
By stał się twierdzą nowej siły
Nasz Dom, Nasz Kraj!

O Panie usłysz prośby nasze,
Wysłuchaj ten żołnierski śpiew.
Z nad Wilii, Niemna, Bugu, Wisły
Męczeńska do Cię woła krew!"

Druga pieśń, hymn wileńskich oddziałów AK, już czysto żołnierska, zaczyna się od słów :

„Na znojną walkę, krwawy bój z wrogami
Każdego z nas sumienia wezwał głos.
Przebojem iść – a los iść musi z nami
A jeśli nie – to przełamiemy los."

A dalej, w jednej ze zwrotek mówi o twardym życiu żołnierskim :

„Ta nasza pieśń nie pachnie rozmarynem,
Nie ma w niej dziewcząt, ni pachnących ust,
Jak nasze życie pachnie krwią i dymem –
Pieszczotą rąk – karabinowy spust."

Z innych, bardzo popularnych, śpiewanych często przy leśnych ogniskach utworów, wybijała się melodyjnością i tęsknotą żołnierza tułacza smętna ballada :

„Rozszumiały się wierzby płaczące,
Rozpłakała się dziewczyna w głos.
Od łez oczy podniosła błyszczące
Na żołnierski, na twardy życia los."

O równie nastrojowym charakterze była leśna kołysanka :

„Dziś do ciebie przyjść nie mogę
Idę zaraz w nocy mrok.
Nie wyglądaj za mną oknem,
W mgle utonie próżno wzrok..."

Piosenki AK były różne - pełne bólu i goryczy, pełne chwały i męstwa, były wesołe, niefrasobliwe a nieraz i rubaszne , były też smutne i sentymentalne. Taką właśnie rzewną i sentymentalną piosenką była :

„Deszcz, jesienny deszcz
smutne pieśni gra,
mokną na nim karabiny,
hełmy kryje rdza.
Nieś po błocie w dal
w zapłakany świat
przemoczone pod plecakiem
osiemnaście lat."

Oprócz tych przykładowych piosenek śpiewano też wiele pieśni ludowych, góralskich, a nawet zwykłych rozrywkowych, z których te mówiące o pożegnaniu, rozstaniu czy tęsknocie, nabierały szczególnego znaczenia i miały największe powodzenie.

Oczywiście zawsze chętnie śpiewane były pieśni legionowe, które najbardziej nawiązywały do wielkich wartości niepodległościowych i zawsze urzekały swym pięknem i melodyjnością. Ich znaczenie dla naszej sprawy było ogromne, a głód tych piosenek był tak silny, że kiedy w 1988 r. wydano z nimi płytę, kilka jej kolejnych wydań zniknęło w mgnieniu oka.

O pieśniach z Powstania Warszawskiego i okresu lat 80-tych już częściowo wspominałem.

Powszechnie znana jest rola piosenki okupacyjnej. Zwłaszcza słynęła z niej Warszawa, gdzie humor, drwina i naśmiewanie się z wroga były dowodem niezłomnego charakteru jej mieszkańców. Piosenka uliczna niezależnie od tego, że dawała poczucie solidarności, była też środkiem na zwalczanie strachu i poczucia zagrożenia.

Wiadomo ogólnie, że śpiew i muzyka łagodzą obyczaje, podnoszą na duchu, zaostrzają wrażliwość na piękno oraz pozwalają jakby głębiej przeżywać i mocniej odczuwać otaczający nas świat. Nic więc dziwnego, że nawet klasyczne pieśni i arie z repertuaru wielkich śpiewaków, miały swój udział w krzepieniu ducha i podtrzymywaniu patriotycznych nastrojów w społeczeństwie.

Takiego właśnie cudu dokonywał nasz wielki tenor Jan Kiepura, szczególnie w przededniu wojny, w latach 1938-39. Pamiętam, ile się mówiło o tym i jak rozpisywały się na ten temat gazety, kiedy owiany legendą sławny śpiewak, o którym mówiono, że ma głos jak płynne złoto, jeździł po kraju i organizował swe koncerty wokalne. Imprezy te, z których dochód przeznaczony był zwykle na dozbrojenie wojska, spotykały się ze spontanicznym entuzjazmem społeczeństwa. Często też zamieniały się w manifestacje patriotyczne, krzepiąc serca w obliczu nadciągającej wojny i grożącego niebezpieczeństwa.

Ale nie tylko w Polsce piosenka patriotyczna miała tak duże znaczenie w ciężkich czasach zagrożenia narodowego. Zdumiewające, że w Związku Radzieckim o tak bezwzględnej i obostrzonej cenzurze zaistniał też w piosence i poezji odżywczy nurt walki o naturalne prawa człowieka. W kraju, w którym system życiowych wartości uległ kompletnemu wypaczeniu i gdzie istniała milcząca zgoda na zło, walka o zachowanie godności ludzkiej miała olbrzymie znaczenie.

Najpiękniej wyrażał te dążenia Włodzimierz Wysocki, o którym już wspominałem. Jego egzystencjalnym i uniwersalnym pieśniom wtórował dopiero co zmarły inny radziecki bard Bułat Okudżawa. Podobnie jak u Wysockiego, jego pełne głębokiej, pogodnej refleksji, mądrości życiowej, proste i zrozumiałe songi miały duży ładunek serdeczności i uczucia.

Dzisiaj można śmiało powiedzieć, że ci dwaj pieśniarze mieli swój niewątpliwy jakiś mały udział w upadku radzieckiego imperium.

Z różnego rodzaju pieśniami i śpiewaniem wiąże się nierozerwalnie muzyka. Ciekawe, że polska muzyka również w naszej ostatniej historii bywała prześladowana i zakazywana, mimo że jak wiemy, muzyka reprezentuje sztukę najbardziej abstrakcyjną. Dla narodu muzycznym wieszczem był przede wszystkim Chopin – ten co, jak pięknie pisał o nim Norwid :

Polskę głosił od zenitu
Wszechdoskonałości dziejów,
Wzięty hymnem zachwytów
Polskę Przemienionych Kołodziejów..."

W jego muzyce słychać było huk dział i szczęk oręża, a „grzmot ukrytych wśród kwiatów armat" zagrzewał i wzywał do walki.

Ta na wskroś polska muzyka w czasie okupacji hitlerowskiej była zakazana. Ale i w czasach sowieckich nie było lepiej. Pamiętam, kiedy Lech Wałęsa otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla, zakazano emisji muzyki norweskiej. Cenzura była tak czuła, że wystarczyło, gdy L. Cohen lecąc na koncert do Polski przesłał z samolotu pozdrowienia dla Wałęsy, a już Radio i TV zabroniło odtwarzania jego piosenek.

W trudnych czasach, gdy psychika w osamotnieniu i cierpieniu sama próbowała się bronić, powszechna była ucieczka we własny świat. Świat, który mój uwielbiany Tetmajer tak pięknie i prawdziwie przedstawił w następujących słowach:

„Lubię patrzeć oczyma wewnątrz zwróconemi
W świat, co się niezmierzony sam w człowieku stwarza.
Tak wielki, tak odległy, tak różny od ziemi,
Świat bez wrzawy, bez zgiełku, bez krwi i cmentarza..."

Tego rodzaju emigrację wewnętrzną doświadczałem sam na sobie wiele, wiele razy. Muzyka i związana z nią pieśń była wtedy czymś w rodzaju czynnika wprowadzającego ład w ludzkie wnętrze, układającego nasze myśli i uczucia, wlewającego w duszę słodką, kojącą harmonię.

Pisząc o wpływie literatury, poezji i muzyki wraz z piosenką na polskie narodowe dzieje, nie sposób ominąć sztuk pięknych, a zwłaszcza malarstwa. Sztuka i literatura ramię w ramię walczyła przez stulecia z groźbą utraty pamięci o własnej narodowej przeszłości.

Malarstwo i w ogóle cała sztuka XIX i XX wieku, podobnie jak inne dziedziny twórczości, według niektórych współczesnych krytyków, opętane było narodowym losem i uwikłane w polskość. Potrzeba pokrzepiania serc i rozpalania umysłów była tak silna, że zrodziła również malarskich wieszczów Narodu. Oni to, począwszy od batalisty Suchodolskiego, poprzez mistrza Matejkę, aż po Kossaków, z malarstwa historyczno patriotycznego uczynili oręż ostry jak miecz, a swą twórczość wprzęgli w służbę narodową. Ojczyzną malarstwa historycznego stała się epoka romantyzmu z jej insurekcjonizmem i bonapartyzmem.

Żaden z polskich malarzy nie stworzył tak pełnej syntezy tego malarstwa, jak Jan Matejko. Nikt bardziej nie ukochał naszej historii i nikt lepiej nie połączył wyobraźni i inwencji z tak wielkim sercem i sumiennością gigantycznej pracy. To właśnie Matejko mawiał : „Oddzielać sztuki od miłości ojczyzny nie wolno."

O malarstwie i mojej doń słabości wielokrotnie już wspominałem. Zainteresowanie sztuką oraz zamiłowanie do rysunku i malowania w rezultacie zadecydowało o wyborze zawodu. Było też zawsze wspaniałym azylem, do którego, jak do zamkniętego, zaczarowanego ogrodu, mogłem umykać przed problemami zewnętrznego, nienawistnego, komunistycznego świata.

3. Krótkie spojrzenie na architekturę

Nie byłbym architektem, gdybym pisząc o sztuce i kulturze, nie poświęcił nieco uwag i przemyśleń tematowi tak niezwykle ważnemu w kulturze człowieka, jakim jest architektura, a ogólnie biorąc budownictwo. Jest to bowiem jeden z podstawowych składników kultury każdego narodu, a budownictwo jest jedną z najstarszych działalności ludzkich.

Okazuje się, że również ta dziedzina sztuki odegrała w naszych dziejach dużą rolę i była narzędziem wrogiej działalności politycznej i społecznej. Poprzez burzenie i niszczenie

pomników polskiej architektury oraz narzucanie obcych idei i form w budownictwie, okupant usiłował pozbawić nas pamięci i świadomości narodowej. Hitlerowski teoretyk nazizmu, Rosenberg, twierdził, że „Wystarczy zniszczyć zabytki jakiegoś narodu, a już w drugim pokoleniu przestanie ten naród istnieć."

Na przekór jednak zaborcom, walka z tymi zjawiskami wzniecała dodatkową nienawiść do wroga, a w nas utrwalała poczucie narodowej wspólnoty i polskiej tożsamości.

Dla mnie osobiście, zawodowe zainteresowanie tymi problemami było osobnym, bogatym światem, w którym znajdywałem zadowolenie i jednocześnie schronienie.

Chcę przypomnieć, że architektura jest najbardziej powszechną ze sztuk, tworzy ramy przestrzenne naszego życia codziennego, otacza nas nieustannie i jest najbardziej widoczna. Stworzone przez nią środowisko oddziałuje na ludzką świadomość i psychikę, kształtuje postawy i stosunki międzyludzkie, a jej skutki wybiegają daleko w przyszłość. Architektura zmusza nas do zajmowania postawy estetycznej względem otoczenia, przez co wpływa na rozwój kultury duchowej. Znakomity polityk i noblista, W. Churchill, powiada: „My kształtujemy nasze budowle, potem one nas kształtują."

Zanim przejdę do dwu podstawowych tematów, jakie pragnę tu poruszyć, to jest do funkcji ideowo-politycznej architektury oraz do funkcji socjalno-bytowej, chciałbym pokrótce opowiedzieć o moich własnych pierwszych kontaktach z budownictwem.

Związany z zawodem ojca fakt zamieszkiwania najpierw na terenie podkrakowskiego Sanatorium, a następnie w wileńskim Szpitalu, sprawił, że już jako mały chłopiec zetknąłem się z działalnością budowlaną prowadzoną przy rozbudowie obu tych leczniczych placówek.

Urzekała mnie wtedy głównie fizyczna praca murarzy i ta cudowna przemiana, która towarzyszy budowaniu, kiedy z ogólnego nieładu wyłaniają się powoli zarysy przyszłej budowli. Potem zaś, z upływem czasu, jak przybywające stopniowo szczegóły pozwalają odgadywać przyszły kształt i funkcję poszczególnych elementów wznoszonej budowli. Muszę przyznać, że zamiłowanie do obserwowania wszelkich budów pozostało mi do dnia dzisiejszego, oczywiście jest ono dzisiaj bardziej wnikliwe i profesjonalne.

Mając około 11 lat, po raz pierwszy zetknąłem się i poznałem prawdziwego architekta oraz mogłem się przyjrzeć jak wygląda architektoniczny projekt budynku. Był to inż. Paprocki, znany architekt wileński, który w ramach rozbudowy Szpitala przygotowywał projekt nowego, dużego pawilonu i prowadził z ojcem liczne uzgodnienia.

Słysząc o moich zainteresowaniach rysunkowo malarskich, a być może też w celu przypodobania się swemu klientowi, powierzył mi malowanie akwarelą wybranych elementów w poszczególnych egzemplarzach swego projektu. Pamiętam, jak bardzo byłem tym przejęty oraz jak bardzo onieśmielał mnie i imponował kontakt z tak poważnym inżynierem.

Już samo określenie „architekt" było czymś niezwykle nobilitującym, nie bardzo zrozumiałym, a oznaczającym wybitnie ekskluzywny zawód. Przy sposobności trzeba przypomnieć, że w Polsce do I wojny światowej słowa „architektura" czy „architekt" były niemal wcale nie używane. Nawet dla przeciętnego inteligenta były to pojęcia prawie nieznane i abstrakcyjne. Wówczas powszechnie architekturę określano jako budownictwo, a jego twórców budowniczymi. A tak na marginesie tej uwagi, dzisiaj jeszcze duża część społeczeństwa tak naprawdę nie bardzo wie, co to jest architektura.

Moje zainteresowanie sztuką i architekturą pogłębiał jeszcze kontakt ze wspomnianym już prof. Marianem Morelowskim, byłym pacjentem, a późniejszym przyjacielem ojca.

Profesor wykładał na USB, a potem na tajnym uniwersytecie, historię sztuki. Jego niesłychana erudycja, silna osobowość i rzadko spotykany dar barwnej narracji oraz pasja, z jaką potrafił opowiadać o wileńskich zabytkach, udzielała się słuchaczom. Profesor wiązał zawsze w nierozerwalny sposób kult zabytków przeszłości z historią i kulturą narodową.

Nic więc dziwnego, że i ja pozostawałem pod jego urokiem i nabierałem coraz większego zamiłowania do sztuki. Bo jak mawiał : „Kochać to rozumieć."

On to, jak pamiętam, zawsze silnie podkreślał jak wielką rolę w historii sztuk pięknych, a zwłaszcza architektury odegrało chrześcijaństwo.

Tak jak w całej Europie Zachodniej, tak i w Polsce, sztuka religijna początkowo służyła chrystianizacji kraju i była zaczątkiem wszelkich sztuk plastycznych. Budownictwo sakralne było głównym nośnikiem charakterystycznych stylów poszczególnych epok. Sztuka religijna, przedstawiając obok ikonografii, podstawowe prawdy religijne, stawała się coraz bliższa człowiekowi osiągając swoje apogeum w średniowieczu. Później, kiedy wiara i Kościół dostatecznie ugruntowały swoje znaczenie i swoją pozycję, sztuka stawała się coraz bardziej świecka i powszechna.

Szczególne zasługi dla szerokiego rozwoju kultury i cywilizacji na terenach polskich miały klasztory. Oprócz wspaniałych dzieł budownictwa, działały one głównie na polu sztuki, nauki, piśmiennictwa i literatury.

Po tych nieco osobistych wynurzeniach przystępuję do zasadniczego wątku, a mianowicie związków architektury z szeroko pojętą polityką.

Architektura zawsze miała i posiada do dzisiaj, silne powiązania z polityką. Przy jej pomocy można oddziaływać na masy, sławić ustrój, imponować, przerażać i podporządkowywać.

Im bardziej drapieżny system, tym silniejsze odciskał na niej piętno. Architektura, pełniąc również rolę pamięci narodowej, poprzez budowane pomniki kultury, stała się ważnym polem walki o prestiż państwa i władzy. Każda władza, jak historia długa i szeroka, stara się budować i pozostawić po sobie jakieś wiekopomne budowle. Każdy ambitny władca chce w ten sposób dać świadectwo swej potęgi i pomyślności panowania. Wielce charakterystyczne są tu słowa wielkiego władcy mongolskiego, Tamerlana : „Jeśli wątpisz w naszą potęgę, spójrz na nasze budowle."

Swoimi budowlami władcy wyrażali nie tylko potęgę i bogactwo, ale również idee nieśmiertelności oraz idee panującej wiary i religii. Czy to była nastawiona na wieczność architektura faraonów, czy świątynie greckich lub rzymskich bogów, czy potężne budowle cezarów, królów czy carów, zawsze cechowała je wspaniałość, bogactwo i monumentalność.

W XX wieku, komunistyczne i faszystowskie ustroje totalitarne upodobały sobie szczególnie architekturę do wyrażania swych wielkich idei i do zaakcentowania swej potęgi. Służyły do tego monumentalne budowle i pełne rozmachu założenia urbanistyczne. W latach dwudziestych i trzydziestych faszystowskie Włochy oraz hitlerowskie Niemcy w sposób wyjątkowo butny i przesadny okazywały swą pychę i samouwielbienie w wielkich, aroganckich i sztywnych zespołach architektonicznych. Tysiącletnia III Rzesza celowała w brzydocie oraz braku smaku i gustu. W jej budowlach czuć było jeszcze pruski, ostry dryl wojskowy i militarystyczne zadęcie.

Charakterystycznym przykładem tych tendencji była nowa Kancelaria Rzeszy. Imponował tu wielkością i wystrojem gabinet Hitlera o powierzchni ponad 400 m^2 i wysokości prawie 10 m. Wielkość wodza podkreślona została też długością drogi (ok.200 m) prowadzącej wśród marmurów, kryształów i złoceń, jaką trzeba było pokonać, by dojść do jego gabinetu. Wodza trzeba było podziwiać, a co najważniejsze, bać się go.

Nawet współcześni szefowie państw demokratycznych też starają się pozostawić po sobie jakiś długowieczny ślad, pamiątkę i świadectwo swej działalności. Prezydent Mitterand, w Paryżu, sercu Francji, gdzie nie łatwo jest oczarować świat jakąś nową i piękną budowlą, zdołał z powodzeniem doprowadzić do budowy takich pomników współczesnej architektury, jak szklane piramidy przed Luwrem, czy Wielki Łuk zamykający perspektywę między Luwrem a nowoczesną dzielnicą Defence, czy też wreszcie nowy gmach opery na Placu Bastylii.

Ale wszystkich panujących wodzów naszego stulecia prześcignął w zamiarach budowlanych wszechmocny i wszechwiedzący władca Czerwonego Imperium, Stalin.

W Rosji od wieków carowie stawiali wielkie pomniki dla utrwalenia „na wsiegda" swojego imienia. Wielka „rodzina narodów", wielkie terytorium i wielkie państwo wymagało odpowiednio potężnych i bogatych budowli. Najpierw, nowo zbudowana przez Piotra Wielkiego stolica Rosji, miała zadziwić świat, potem jej miejsce zajęła Moskwa.

Właśnie Moskwa stała się oczkiem w głowie Stalina. Pierwsze na świecie państwo komunistyczne musiało pokazać swoją wyższość nad znienawidzonym systemem kapitalistycznym. Tę rywalizację Stalin rozumiał dosłownie i postanowił wznieść gigantyczny Pałac Sowietów. Budowla ta, o wysokości 415 m , miała prześcignąć wielkością i wysokością największy wówczas wieżowiec amerykański „Empire State Building". Na szczycie tego giganta miał stanąć posąg Lenina o niewyobrażalnych rozmiarach. Sam słynny palec wodza rewolucji wskazujący drogę do świetlanej przyszłości, miał mieć 6 m długości (!).

Ten megalomański projekt, zrodzony w chorej wyobraźni dyktatora, nie doczekał się realizacji. Przeszkodził temu najpierw powszechny głód w Kraju Rad, potem gwałtowny wyścig zbrojeń, aż wreszcie wojna.

Z tą monstrualną budowlą związany jest barbarzyński incydent zburzenia największej i najbogatszej w Rosji cerkwi, zbudowanej w Moskwie na pamiątkę i w podzięce za cudowne jej ocalenie w 1812 roku. Tę ogromną świątynię pod wezwaniem Chrystusa Króla wznoszono przez prawie 50 lat.

Stalin na tym miejscu właśnie zamierzał postawić swój pałac, jako własną świątynię. Zlikwidowanie tego ogromnego skarbu sztuki rosyjskiej o niesłychanie bogatym wystroju, pełnego złota, drogich kamieni, bezcennych ikon, marmurów i granitów, było nie tylko aktem wandalizmu kulturowego, ale też symbolicznym wyrokiem śmierci na wiarę ojców i ich chrześcijańskiego Boga.

Historia tej świątyni, która krócej służyła wiernym niż trwał czas jej budowy, przypomina nieco dzieje potężnej cerkwi postawionej na Placu Saskim w Warszawie. Sobór ten, pod wezwaniem Aleksandra Newskiego, wznoszony przez 20 lat, oddano do użytku w 1912 roku. Wybudowany kosztem polskich podatników w stylu rusko-bizantyjskim, jako symbol ucisku carskiego, był od początku znienawidzony przez społeczeństwo i został zburzony w niepodległej Polsce już w latach dwudziestych.

Trzeba zaznaczyć, że o zabudowie Placu Saskiego, jako szczególnego miejsca, od zawsze decydowała polityka. Już w r. 1841 Rosjanie obdarowali nas postawionym tu pomnikiem „7-miu generałów", polskich zdrajców.

Budowanie cerkwi w polskich miastach, jak już pisałem, było akcją polityczno propagandową i rusyfikacyjną. Poprzez cebulaste kopuły cerkiewne i prawosławne krzyże chciano upodobnić sylwetki naszych miast do rosyjskich. Miało to przypominać Polakom, że to ruska ziemia. Nawet usytuowanie takich obiektów miało znaczenie polityczne. Tak np. niemal na wprost Dworca Wileńskiego na warszawskiej Pradze zlokalizowano cerkiew. Miało to przekonywać przybyszów ze Wschodu, że znajdują się w rosyjskim mieście.

Jakże narzucającą się analogią tego procederu dla nas, Warszawiaków, było postawienie w sercu stolicy pałacu olbrzyma, obcego naszej tradycji i kulturze, pozbawionego ludzkiej skali, potwora architektonicznego rodem z Moskwy, pomiotu pychy i próżności komunistycznej władzy. Budowa tego Pałacu kojarzy się czasem z warszawską „Cytadelą", którą car kazał zbudować, jako karę za powstanie listopadowe, a która miała nam przypominać, gdzie jest nasze miejsce. Czyż te dwa pomniki zniewolenia nie mają jednak czegoś wspólnego?

W powojennej Polsce małpowanie sowieckiej megalomanii budowlanej było powszechne. Wielkie budowle socjalizmu musiały porażać swym ogromem i oszałamiać rozmachem – tego wymagała propaganda polityczna. Nie bacząc na koszty, czy sens ekonomiczny, te dziwolągi w przykry sposób kontrastowały z biedą i zacofaniem kraju.

Drugą ważną funkcją architektury, a może właśnie najważniejszą, bo najbardziej powszechną i najbliższą każdemu człowiekowi, jest jej funkcja użytkowa i socjalno-bytowa.

Najistotniejszym elementem jest tu zagadnienie mieszkalnictwa. Poza koniecznością zaspakajania głodu, od zarania dziejów, drugą co do ważności było znalezienie bądź zbudowanie sobie bezpiecznego dachu nad głową, własnego kąta, własnego gniazda. Ks. J. Tischner powiada, że własny dom, to oprócz warsztatu pracy, świątyni i cmentarza, to najważniejsze miejsce w żywocie człowieka.

Pragnienie posiadania własnego miejsca na ziemi, a zwłaszcza posiadanie domu rodzinnego, jest silnie zakorzenione w ludzkiej psychice.

Idea ta w naszym kraju od wieków natrafiała na poważne przeszkody natury historycznej : wojny, zabory, okupacje, wrogie prześladowania, migracje ludności i masowe wywózki, ciągłe przesuwanie się granic i utrata rodzinnej ziemi.

Ten brak stabilności spowodował, że dom, jako idea, stał się dalekim reliktem przeszłości. Wielkość i wspaniałość rodzinnych domostw związana była zawsze z pozycją społeczną i zamożnością ich mieszkańców. Począwszy od biednej chłopskiej chaty czy zagrody, poprzez ziemiańskie i szlacheckie dworki i dwory, aż po pałace i zamki bogatej magnaterii.

Dwory, dworki oraz pałacyki otoczone starymi, majestatycznymi drzewami, obok biednej na ogół polskiej wsi, często z chatami krytymi strzechą i z rozpadającymi się nieraz wiekowymi karczmami, były charakterystycznym elementem polskiego krajobrazu. Wiek XX z dwoma wojnami poczynił w tym sielsko-wiejskim pejzażu ogromne, niepowetowane szkody. Poza dotkliwymi zniszczeniami wojennymi, najgorsza była obłąkana, pełna nienawiści antyinteligencka i antypolska polityka sowiecka, dostrzegająca w każdym przyzwoitszym czy bogatszym obiekcie zagrożenie dla ustroju. Niszczyła ona przez pół wieku w barbarzyński, bezrozumny sposób te wspaniałe relikty dawnej rodzinnej i rodowej architektury.

Komunistyczna, instytucjonalna niechęć i wrogość do budownictwa indywidualnego, rodzinnego, jak również zubożenie społeczeństwa spowodowało, że Polska stała się krajem ludzi bezdomnych, bez własnego domu z prawdziwego zdarzenia. PRL w pędzie za produkcją masową i z uwagi na państwowy system rozdzielnictwa mieszkań oraz ze względu na politykę propagandową, postawiła na budowę wielkich osiedli mieszkaniowych składających się z ponurych i szarych blokowisk.

W naszej socjalistycznej, powojennej rzeczywistości ten narzucony, powszechny i jednostronny sposób myślenia narobił wyjątkowo dużo zła.

Panujący w naszym wieku prąd modernistyczny w architekturze, ogólnie mówiąc, opierał się na podstawowej zasadzie, że forma powinna wynikać z funkcji, technologii oraz

użytych materiałów. Te racjonalne przesłanki doprowadziły jednak do zubożenia formy o pierwiastki irracjonalne i estetyczne. Budowaliśmy wiele nudnej architektury, wyeliminowaliśmy ornament, zanikało rzemiosło. Architektura stawała się coraz bardziej kosmopolityczna, zatracając systematycznie cechy indywidualne czy narodowe.

Mimo to modernizm przemawiał do wyobraźni i wydawał się wspaniałym środkiem na wszystkie dotychczasowe bolączki budownictwa. Architekci zaczęli naprawiać świat, głosząc piękne hasła o zieleni, świetle, słońcu i przestrzeni. Ale w architekturze mieszkaniowej to był błąd – źle zinterpretowano naturę i psychikę człowieka.

W powojennej budowie wielkich osiedli mieszkaniowych pomagały bardzo zniszczenia wojenne i wymazanie granic własności prywatnej. Wielki głód mieszkaniowy sprawił, że sięgnęliśmy do masowego powtarzania typowych bloków mieszkalnych. Osiedla stały się nudne, brzydkie i ponure, bez cech indywidualnych z budynkami podobnymi do siebie. Olbrzymie mrówkowce mieszkalne stały się zaprzeczeniem wszelkiego humanitaryzmu.

Bardzo szybko, bo w ciągu zaledwie kilkunastu lat, okazało się, że nowe idee urbanistyczne są w pewnym stopniu wynaturzeniem i zmorą mieszkańców miast. Człowiek chce mieć pod ręką wszystko, dano mu zieleń a zabrano miasto, dano mu słońce, a wtłoczono go w wielkie i ciasne wieżowce. Zabrakło normalnej ulicy ze sklepami, kawiarniami i urzędami, pełnej życia i gwaru. Uczyniliśmy osiedla gigantycznymi sypialniami, a brzydotę formy i pudełkowych brył pogłębiały jeszcze tandetne materiały i równie tandetne wykonawstwo.

To była prawdziwa klęska naszej architektury XX stulecia. Władze PRL, mimo protestu wielu środowisk architektonicznych, aż do późnych lat 80-tych, narzucały odgórnie tego rodzaju projektowanie. Sowiecka „urawniłowka" obowiązywała także w budownictwie. W tych paskudnych blokowiskach i bunkrach, wszędzie niemal jednakowych, miały się rodzić jednakowe, posłuszne i bezmyślne homunkulusy. Tu można było je łatwiej doglądać i kontrolować. Wszelki indywidualizm i pluralizm był bowiem śmiertelnym wrogiem ustroju.

A przecież każde miejsce, każdy kraj, region czy miasto, ma swój charakterystyczny wyraz, formę, koloryt, ma swoją niepowtarzalną twarz. Różnorodność jest odbiciem człowieka, jego postaw życiowych, charakterów, talentów, pozycji społecznych czy zawodów, jest warunkiem twórczego, bogatego życia, oraz ma olbrzymie znaczenie kulturowe i rozwojowe.

W mrocznych czasach komunizmu uważano, że architektura jest tylko kosztownym dodatkiem do budownictwa. Zapomniano, że reprezentuje ona ład, porządek i piękno oraz stwarza podświadome środowisko psychiczne. Te wartości architektury kojarzą się nam z dobrem, łagodnością i spokojem. W brzydkich, odrapanych, a nierzadko brudnych wielkich blokach, anonimowi mieszkańcy nabierają negatywnych cech. Cierpi na tym życie społeczne, a budownictwo takie staje się pożywką dla przestępczości.

Już Witruwiusz 2000 lat temu w swoim dekalogu o architekturze pisał, że w budynku najważniejsza jest trwałość, użyteczność i piękno – i... do dziś nic mądrzejszego nie wymyślono.

Podobnie, jak poruszone wyżej fatalne skutki niewłaściwego ideologicznego i politycznego myślenia, równie szybko okazało się, że nasze budownictwo jest dodatkowo niezdrowe, awaryjne, nietrwałe i energetycznie nie oszczędne, a w rezultacie drogie. Okazało się jeszcze, że brak kultury użytkowania i dbałości o powierzone budowle doprowadzał do szybkiego ich niszczenia i dewastacji. Przyczynił się do tego niewątpliwie m.in. masowy napływ elementu wiejskiego do miast.

W drugiej połowie lat 80-tych, po zmianach politycznych oraz na skutek coraz silniejszego oddziaływania tzw. postmodernizmu, nastąpiło nagłe odreagowanie. Wyzwolenie się z ciągle narzucanych rozwiązań, licznych nakazów i zakazów, wywołało tym razem nowe niekorzystne zjawiska, zaczęliśmy architekturę udziwniać, aż do przesady. A wiadomo, że w sztuce każda nadmierna pogoń za oryginalnością powoduje jej wyrodnienie.

Co najważniejsze jednak, powróciliśmy szeroko do budownictwa jednorodzinnego. Marzenie o własnym domu przestało być politycznie i społecznie naganne. Wróciła własność prywatna, a jednostka zaczęła się wyodrębniać, jako niepowtarzalna indywidualność. Stworzyło to potrzebę intymności, prywatności i odosobnienia. We własnej przestrzeni przeżywa się życie inaczej, pełniej i piękniej.

Wraz z domem urzeczywistnia się marzenie o własnym ogrodzie. Bo ogród jest jakby wspomnieniem utraconego raju, coś z ludzkiego snu, znak potęgi człowieka i jego rozumu nad przyrodą. To właśnie pejzaż ogrodowy został nam odebrany przez socjalizm, czas produkcyjnej dumy.

„Mój dom jest moim zamkiem", jak mawiają Anglicy, należy go strzec przed wszelką ingerencją z zewnątrz. Człowiek często przemierza świat w pogoni za szczęściem, a znajduje je u siebie w domu.

Na koniec, dzisiejszym architektom i ich indywidualnym klientom budującym bogate, niekiedy całkiem zwariowane rezydencje, dobrze by było przypomnieć starą jak świat radę, którą dawał jeszcze Cycero : „To właściciel powinien być ozdobą swego domu, a nie dom ozdobą swego właściciela."

4. Humor i pogodny charakter

Życie, choć targane często przez zewnętrzne okoliczności, tak na prawdę pochodzi z wewnątrz nas samych i jest odbiciem naszego charakteru.

Jednym z największych dobrodziejstw człowieka jest pogoda ducha. Wesołość, humor i śmiech są darami natury i wypływają z usposobienia, które nadaje kierunek wszystkim naszym myślom, uczuciom i zmysłom.

Bo przecież w tych czasach, które opisuję, choć ludzie martwili się, cierpieli i ronili łzy, to przecież także tańczyli, radowali się, śpiewali i śmiali.

Oceniając własne życie, mogę śmiało powiedzieć, że właśnie pogodny charakter był mym prawdziwym błogosławieństwem. Po części sprawił to zapewne mój dom rodzinny pełen pogody i optymizmu. Uśmiech i wesołość są bowiem tak samo zaraźliwe, jak smutek czy troska. To przecież optymizm i humor najlepiej pozwala zwalczać niepowodzenia i przeciwności

Uwielbiam do dziś, i zawsze uwielbiałem i przepadałem za wszelkiego rodzaju dobrym żartem, dowcipem, czy anegdotką. Niepomiernie bawiło mnie słuchanie, a zwłaszcza opowiadanie takich przeróżnych dykteryjek. Wiązało się to z tym, że starałem się gromadzić w pamięci jak największą ich ilość.

Humor jest właściwością serca. Śmiech i dowcip w jakiś dziwny sposób rozświetla mroki ludzkiej natury, staje się rodzajem filozofii życia. Stare rosyjskie przysłowie mówi : „Los, nie przeszkadza radości, choćby do ziemi przygiął nas." To przez dowcipy i anegdotki, najbardziej nawet złożone zjawiska często najlepiej się uplastyczniają.

Trudno jest przecenić znaczenia, jakie dobry humor odgrywa w naszym życiu osobistym. Neurofizjolodzy są zgodni co do tego, że śmiech uzdrawia duszę i ciało, powoduje

odreagowanie stresu i osiągnięcie relaksu. Dowcip to forma higieny psychicznej naszego systemu nerwowego w trudnych sytuacjach życiowych. Pewna znana maksyma twierdzi, że „Gdyby śmiech można było kupować w aptece, jak inne leki, wszyscy lekarze wypisywaliby recepty na kilka uśmiechów dziennie." Człowiek nie jest bowiem biedny, gdy potrafi się śmiać, a wesołość to jedna z niewielu rzeczy, które w gotówce dają nam szczęście.

Pośród wielu rodzajów dowcipów, zabawnych powiedzeń, przysłów czy żartobliwych mądrości wybija się w sposób szczególny humor żydowski.

Bogata i oryginalna kultura żydowska pozostawiła nam jeden niezaprzeczalny skarb, jakim jest ich niezrównane poczucie humoru, niewyczerpane źródło pełnego pogody dowcipu. Współczesnym pokoleniom jest on coraz mniej znany, pozostaje zjawiskiem coraz bardziej historycznym, jakąś abstrakcją, która pojawia się od czasu do czasu, aby nas rozbawić.

Oczywiste jest, że tego uciesznego fenomenu nie można w pełni odbierać, rozumieć i nim się prawdziwie delektować, nie znając ciekawej i niezwykłej mentalności żydowskiej, oraz dziwacznego i egzotycznego ich środowiska. Humor ten jest wyjątkowy nie tylko dlatego, że zawiera w sobie znakomitą obserwację życia codziennego, ale przede wszystkim dlatego, że posiada niepowtarzalną, łatwo przyswajalną filozofię życiową i głęboką rabinacką mądrość. Zaskakuje też prostotą oczywistości i naiwnego rozumowania.

Muszę przyznać, że do dziś jestem entuzjastą tego wspaniałego humoru. Żart czy dowcip jest zawsze pewną czynnością artystyczną, a opowiadanie dobrego dowcipu wymaga nie lada sprawności intelektualnej i aktorskiej. Humor żydowski jest pod tym względem szczególny, bo jego zabawność potęguje jeszcze właściwie, a nawet z lekką przesadą, użyty charakterystyczny akcent i melodia żydowskiego sposobu mowy, stwarzający specyficzny i niepowtarzalny klimat.

I właśnie tym klimatem i tą mądrością Żydów można się naprawdę zachwycać. Znawcy kultury żydowskiej twierdzą, że te żarty i dowcipy towarzyszyły Izraelitom od zarania dziejów i były rodzajem samozachowawczego instynktu w trudnych chwilach narodu. Pozwalały łatwiej znieść prześladowania i cierpienia.

My, Polacy, potrafimy chyba najlepiej ocenić to zbawcze działanie humoru i śmiechu. Dla nas też było ono rodzajem samoobrony i wytchnienia, zwłaszcza w ciężkich czasach II wojny światowej, okupacji hitlerowskiej i sowieckiej, czy wreszcie niezmiernie bogatej w dowcipy ery komunistycznej i ludowej Polski.

Często nie uświadamiamy sobie, jak pożyteczną rolę spełniał w naszej ostatniej historii żart. Śmiech to jedna z najgroźniejszych broni. Satyra, ośmieszanie i wyśmiewanie czegoś lub kogoś bywa niejednokrotnie zabójcze.

Już Gogol pisał, że „Śmiech to potężna rzecz, nie pozbawia nikogo życia, ani mienia, ale w jego obliczu grzesznik czuje się jak spętany zając... Ze śmiechem nie ma żartów..."

Szczególnie w systemie komunistycznym obawiano się wszelkiego rodzaju uśmiechania. Uważano, że śmiech jest z natury podejrzany i niebezpieczny, zawsze coś znaczy, czy też jest przeciw czemuś. „Satyra prawdę mówi" – to było groźne dla władzy. Każdy polityczny kawał to policzek dla reżimu, tym boleśniejszy, im bardziej zwięzły, dowcipny i trafny.

W PRL humor polityczny i satyra rozwinęły się wyjątkowo bujnie i przybrały formę ostrej negacji ustroju oraz otwartej walki z nienawistną, narzuconą siłą sowiecką hegemonią. Bo też, w naszej ówczesnej rzeczywistości wszystko było idiotyczne i śmieszne. Nic tak przecież nie bawi i nie śmieszy, jak czyjaś głupota i ciemniactwo. Wszystko było

nienormalne, nieszczere i naciągane, a aroganckie przekonanie partii o swej wyższości, oraz maniakalne uwielbienie Związku Sowieckiego, zakrawało już na całkowitego świra.

Dla mnie i moich najbliższych oprócz wspomnianego humoru doskonałą formą ucieczki od namolnej propagandy, drętwego partyjnego bełkotu oraz kwitnącego chamstwa były różnego rodzaju kabarety. W nich zawsze dzięki nieszczelności cenzury można było znaleźć jakieś ukryte aluzje, niedomówienia, czy też niezwykle zręczne i subtelne prztyczki. Władze traktowały satyrę kabaretową jak coś w rodzaju wentyla upuszczającego trochę złego powietrza. Ale nam powszechnie było wiadome, że przewrażliwiony reżim każdy, najmniejszy nawet prztyczek odczuwał jako brutalny kopniak – i to się właśnie podobało i cieszyło.

W dowcipach i anegdotach politycznych odzwierciedlały się i uwypuklały wszystkie idiotyzmy i niedorzeczności ustroju. Dlatego moje powojenne wspomnienia starałem się okrasić właśnie tego rodzaju dowcipami i anegdotkami. Niemniej jednak myślę, że przytoczenie tutaj dodatkowo jeszcze niektórych ówczesnych dowcipów bardziej zilustruje ten rodzaj humoru i przypomni trochę lepiej realia tamtych czasów.

Bardzo popularne były na przykład zagadki :

- Gdzie jest najwięcej śledzi? – W ZSRR, bo tam każdy każdego śledzi.
- Co to jest agresja? – To napaść jednego państwa na drugie bez zgody ZSRR.
- Co by było, gdyby nie było Związku Radzieckiego? – Wszystko by było!
- Dlaczego w ZSRR brakuje mąki? – Bo oni mąkę dodają do chleba.
- Dlaczego w Monaco nie można wprowadzić komunizmu? – Bo to za duże nieszczęście na tak mały kraj.
- Kto wymyślił ustrój komunistyczny, ludzie prości, czy uczeni? – Ludzie prości! Gdyby uczeni, to najpierw wypróbowaliby na szczurach.
- Jaki wpływ ma socjalizm na kalendarz? – Czym bliżej do socjalizmu, tym dalej do pierwszego.
- Gdzie są najbrudniejsi mężczyźni i najtańsze kobiety? – W Związku Radzieckim, bo tam co drugi to WANIA, a co druga to TANIA.
- Co trzeba robić, jak wiatr wieje ze wschodu na zachód? – Wiać razem z nim.

Z tej serii znane też były zapytania przesyłane do Radia Erewań, w rodzaju jak :

- Czy to prawda, że w ZSRR pszenica rośnie jak słupy telegraficzne? – Prawda, a w niektórych rejonach jeszcze rzadziej!
- Czy w ZSRR każdy może mieć „wołgę”? – Może, ale po cholerę komu tyle wody?
- Co robić, nie lubię Stalina? – Kupić ciepłą bieliznę i ciepłe skarpetki i czekać.
- Czy można w ZSRR opowiadać kawały polityczne? – Można, tylko, że w ZSRR nie tylko kukurydzę „sadzajut”.

O peerelowskiej kondycji gospodarczej opowiadało się setki kawałów :

- Czy w Polsce może być jeszcze gorzej? – Wykluczone, gdyby mogło, to już by było.
- Dlaczego nie ma wieprzowiny? – Bo jest Świnoujście, a nie ma świnoprzyjścia.
- Papież wydał encyklikę o sytuacji gospodarczej w Polsce, zaczyna się od słów : „Jezus, Maria!”
- Trzy drogi do socjalizmu : drogi węgiel, drogi prąd i drogie mięso.
- Szczyt kolektywizacji – zrównanie chłopa z ziemią.
- Szczyt bezpłodności – 40 lat stosunków gospodarczych z ZSRR.
- W sklepie kupujący: Czy jest szynka? – Nie! - ...A co jest? – Socjalizm.

Wyśmiewano też państwowotwórcze i pierwszomajowe hasła :

- Do hasła „50 lat Przyjaźni Polsko Radzieckiej", ktoś dopisał – „I ani chwili dłużej!"
- Do hasła „Niech żyje ZSRR!", dopisano – „Za własne pieniądze!"
- Do hasła „Dzięki RWPG podniesiemy dobrobyt", dodano – „W Związku Radzieckim". Bo to skrót – „Ruskim Wsio, Paliakom Gawno".

Wiele anegdotek opowiadano oczywiście o wodzach rewolucji i naszych bonzach komunistycznych :

- Lenin szuka swoich kalesonów. – Nadiożda, nie widziałaś ty moich kalesonów? – Nie! Pewnie znowu, cholera, zabrali do muzeum.
- W Moskwie wystawiono pomnik ku czci Chopina. – Lenin słuchający jego muzyki.
- Na co umarł Stalin? – Na szczęście!"
- Gomułka zmienia nazwisko na Rockefeller – bo co rok to feler!
- O Cyrankiewiczu – Chude mleko, chudy serek, tylko tłusty nasz premierek.
- Co nam najlepiej wyszło przez 25 lat PRL? – Włosy na głowie Cyrankiewicza.

Na koniec tej serii politycznej przytoczę kilka z ogromnej ilości kawałów o naszej Milicji Obywatelskiej :

- Czemu milicjant chodzi z psem? – Bo co dwie głowy, to nie jedna.
- Co to jest pałka milicyjna? – Bijące serce patrii.
- Dlaczego MO nosi niebieski otok na czapce? – Wskazuje poziom wody w głowie.
- Reklama : Persil g..., Ixi g..., tylko ZOMO pierze równo !

Cała ta przebogata gama humoru uzupełniana była o dowcipy tworzone ad hoc, na różne aktualne wydarzenia. Między innymi słynna 6-dniowa wojna arabsko - izraelska w 1967 r. wywołała falę żydowskich kawałów. Jako, że wspominałem o kapitalnym humorze żydowskim, przytoczę tu przy sposobności kilka jego charakterystycznych przykładów :

- Icek chce się zapisać do marynarki wojennej. Sierżant z Komisji Rekrutacyjnej pyta go – A umiesz pływać? – Icek na to – A co, wy okrętów nie macie?
- Dlaczego Żyd odpowiada pytaniem na pytanie? – Icek -A czemu nie miałby odpowiadać pytaniem na pytanie?
- Halo, czy tu pan minister? – Nie... ale tyż Żyd.

DYGRESJE KOŃCOWE

„Czas, to miara ludzkiej pamięci i pomost dla doświadczeń wieków."

1. Posępne oblicze komunizmu

Wiele już było powiedziane na kartach tych spotkań ze Wschodem o komunizmie. Mam jednak wrażenie, że wobec tak silnego i długotrwałego oddziaływania jego złowrogich odchyleń i deformacji na naszą historię i nas samych, wymaga on dodatkowego uzupełnienia i podsumowania.

Dla Polaków, jak już pisałem, podstawową sprawą było antypolskie nastawienie komunizmu zakorzenione i odziedziczone po carskiej Rosji, która wyrządziła naszemu narodowi wyjątkowo dużo zła .

Rozważając generalnie wrogi stosunek Rosji do nas, nasuwa się pytanie: kto był odpowiedzialny za ten stan rzeczy – władcy ze swoją imperialną machiną państwową, czy też naród rosyjski?

Istnieje pogląd, że przeważnie wrogość między narodami wpajana jest społeczeństwom zwłaszcza przez panujących. Sądzę, a właściwie chciałbym by to była prawda, że tak też jest w przypadku naszego wschodniego sąsiada. Bo czyż, obok zaborczej polityki władców, nie bez winy pozostaje tu samo rosyjskie społeczeństwo? Czy czasem bierność i pasywność ludu nie była jego swoistym wygodnictwem? Czy też po cichu ta ludność nie dawała swojego przyzwolenia na nieprawości wobec Polaków? Czy nie odczuwała rodzaju pocieszenia za własne doznane krzywdy, oraz dumę z potęgi własnego państwa, kiedy pożerało ono swoje ofiary? Jakież musiało być to społeczeństwo, które w czasach komunizmu doprowadziło do takich nieszczęść i takiej erupcji zła.
Trudno to czasem zrozumieć, ale jak się powszechnie uważa, Rosji rozumem się nie ogarnie, i to zarówno tej carskiej jak i komunistycznej.

Nieraz zastanawiałem się nad tym, czy gdyby w Rosji nie było komunizmu, a carat ewoluował by stopniowo w kierunku monarchii konstytucyjnej, nasz stosunek do Moskwy nie byłby dzisiaj inny.

Wprawdzie przedstawiciel XIX-wiecznej polskiej myśli politycznej obozu patriotycznego Fr. Morawski, pisał: „Wydrzyj z pamięci trzynaście wieków istnienia, wszystkie wspomnienia sławy, ofiar i gwałtów, prześladowania wiary, mąk Sybiru, mordów Pragi, zabójstwa Ojczyzny, zdejm całą krew naszą z polskiej ziemi, zgładź wszystkie mogiły, a co najgorsze zedrzyj obraz ciągłego psucia szlachetnego charakteru narodowego, a wtenczas dopiero wezwij mnie do braterstwa z Moskalami."

Ale jednak... – nie należy nigdy mówić „nigdy". Naszą mentalność i świadomość najskuteczniej i niezauważalnie zmienia czas.

Wspomniałem już, że bazą komunizmu były heglowskie i marksistowskie systemy filozoficzne. Z nich narodził się mitologiczny socjalizm, jako pomieszanie rzeczywistości z marzeniem o ludowładztwie oraz jego poroniona, obłędna i utopijna skrajna postać – komunizm.

Jego pozorna atrakcyjność zrodziła się na glebie odwiecznego pragnienia ludzkości stworzenia jakiegoś idealnego systemu organizacyjno-społecznego, bowiem lęk przed zagrożeniem i cierpieniem towarzyszy nam od początku świata.

Ale tęsknota duszy ludzkiej za nieosiągalną doskonałością, jak dowiodła historia społeczeństw, okazała się jedną wielką utopią. Humanistyczne tendencje uszczęśliwiania człowieka zawierały bowiem błąd myślowy. Zakładały, że systemy te będą wolne od naszych niedoskonałości, od skomplikowanej, pełnej sprzeczności natury ludzkiej, która wciąż przegrywa ze złem w niej ukrytym oraz z igraszką potężnych sił losowych.

Zadufani w potęgę rozumu uwierzyliśmy, że zarówno własną, jak i otaczającą nas naturę możemy sobie podporządkować. Przeświadczenie to okazało się złudne i zamiast tę naturę udoskonalić, potrafimy ją jedynie psuć i niszczyć.

Socjalistyczny etos zawsze przemawiał do ludzi wrażliwych na zło społeczne. W gruncie rzeczy piękna idea socjalistyczna walki z nędzą i niesprawiedliwością społeczną oraz wyczulenia na ludzką biedę, krzywdę i cierpienie , kiedy została zawłaszczona przez komunistów zdegradowała się i zmieniła sens tego pojęcia. Komuniści, którzy uważali się za jedynych postępowych i współczujących ludzi, wypaczyli i zohydzili tę ideę do tego stopnia, że dziś socjalizm kojarzy się nam z radziecką władzą i z wszystkimi najgorszymi objawami z nią związanymi. W dodatku określenie komunizmu, jako najwyższego stopnia rozwoju socjalistycznego, zbliżyło te pojęcia.

Moskwa uważała, że jeżeli ktoś nie był socjalistą, to znaczy był burżujem i bydlakiem nieczułym na nędzę innych. A wiadomo, że wcale tak nie było i że system bolszewicki niewiele miał wspólnego z socjalizmem.

Dwie z podstawowych doktryn pierwotnego komunizmu – równość i ograniczenie własności prywatnej zaczerpnięte zostały jeszcze z myśli Rousseau. Twierdził on, że źródłem nierówności wśród ludzi jest własność, zaś prawo naturalne sprzeciwia się nierówności, bo wszyscy rodzą się równi.

Bezkrytyczne przyjęcie tych nieprawdziwych przesłanek miało decydujące znaczenie, że bolszewicy nie zbudowali szczęśliwego i sprawiedliwego społeczeństwa, a wręcz odwrotnie.

Sądzę, że zwłaszcza idea równości wymaga tu szerszego potraktowania.

Ta stara zasada równości wśród ludzi leżała i leży do dziś u podstaw każdego ruchu demokratycznego. Mimo fikcji i fantasmagorii, jaką jest to założenie, dzisiejsze ustroje demokratyczne w dużej mierze opierają się na tej błędnej podstawie, co w dużym stopniu odziera je z nimbu doskonałości. Zresztą mówi się powszechnie, że demokracja jest systemem złym, ale najlepszym, jaki dotychczas wymyśliła ludzkość.

Jestem przekonany, że nie jesteśmy ani intelektualnie, ani moralnie równi i żadna ideologia, najbardziej wzniosła, tego nie zmieni. Jedni są pracowici, inni lenie i pijacy, jedni wykształceni i zdolni, inni matoły – bogaci i biedni, zdrowi i chorzy itp. Jak może kompletny kretyn być równy wybitnie mądremu umysłowi, nieuk – uczonemu, prostak – wyrafinowanemu intelektualiście, czy wreszcie nieokrzesany cham – wykwintnemu dżentelmenowi.

Zasadę równości silnie podbudowuje chrześcijaństwo, które głosi, że każdy człowiek ma taką samą duszę, każde życie taką samą wartość, a każdy z nas tę samą godność. Tak, ale i te piękne poglądy nie mogą zmienić faktu, że tu na ziemi równość nie jest możliwa.
„Jesteśmy równi, tylko nierówność nas dzieli" – słusznie zauważa Tetmajer.

Tak, jak inny jest każdy człowiek, tak samo inny jest każdy naród, a więc równość i braterstwo między narodami to również w pewnym stopniu fikcja.

Szczytne hasło Wielkiej Rewolucji Francuskiej „wolność, równość i braterstwo" okazało się także w dużej mierze czczym mitem. Nie zdołała ona wprowadzić w życie nawet wolności. Wolność jest pojęciem skomplikowanym i względnym, nie istnieje absolutna wolność, jest tylko uświadomiona konieczność. Tradycja, zwyczaje, religia, prawo naturalne

i prawo ludzkie – wszystko to ogranicza naszą wolność. Wpadamy też w niewolę własnych skłonności i ułomności.

Jak powiada Rousseau, „Człowiek rodzi się wolny, lecz żyje w kajdanach." Jak ten pies z bajki Ezopa, wszyscy mamy na szyi niewidzialny łańcuch. Wiele ludzi i całych narodów, choć pragnie wolności, to równocześnie się jej boi. Mimo, że daje nam większą swobodę postępowania, więcej możliwości wyboru, to jednak każdy wybór zawsze jest trudny.

Podobnie, jak Rewolucja Francuska pragnęła urzeczywistnić swoje ideały, tak Rewolucja Październikowa w Rosji przyjęła na swych czerwonych sztandarach podobne hasła. Wolność miała dać władza ludu, równość zamierzała usunąć przepaść między biednymi a bogatymi, zaś braterstwo miało połączyć wieczną przyjaźnią niezliczone narody sowieckiej Rosji. W Grossman powiada: „Rosja wiele widziała w ciągu swej długiej historii, ale jednego nie widziała – wolności."

Słynne słowa M-me Roland, wypowiedziane przed zgilotynowaniem jej w 1793 r., „O wolności, ileż zbrodni popełnia się w twoim imieniu", w Rosji znalazły swoje apogeum.

Najpotworniejszą i najbardziej wypaczoną ideą stała się tzw. dyktatura proletariatu i likwidacja nierówności społecznych, co w praktyce oznaczało przede wszystkim wymordowanie inteligencji i zamożniejszych chłopów.

Bolszewicka „urawniłowka" przybrała zupełnie obłędne formy, jakby jakaś gigantyczna kosiarka wyrównywała i ścinała najdorodniejsze i najwartościowsze pędy narodu. Jak powiada Mrożek... „ komunistyczni apostołowie ludu wmówili biednym i ciemnym ludziom, różnego rodzaju hołocie i szumowinom, że są niemal równi bogom i najwyższym umysłom świata, a przecież nie są i gdyby wcześniej to zrozumieli, tym lepiej byłoby dla nich."

Opętańcze i paranoidalne pojmowanie równości doprowadziło do tego, że komunistyczny walec drogowy tak wyrównał wszystko, że nawet chłopiec nie różnił się niczym od dziewczynki, a brudne i umorusane traktorzystki miały dowieść, że niczym nie różnią się od mężczyzn. Wszystko to było jednak fałszywe i nieszczere, bo wiadomo, że wśród równych byli ci równiejsi, czyli cała „wierchuszka" i nomenklatura partyjna.

Ograniczenie własności prywatnej łączyło się również z komunistyczną ideą równości. W ZSRR przede wszystkim wyraziło się to w antychłopskiej polityce Stalina, wyrażającej się w obowiązkowej kolektywizacji, podniesieniu podatków i obniżeniu ceny zboża. Poczynania te, jak się okazało, były gwoździem do trumny radzieckiej gospodarki.

Ideologiczna propaganda sowiecka nie dopuszczała jakiejkolwiek możliwości używania słów socjalizm i komunizm w odniesieniu do innych krajów, czy innych partii politycznych, o ile nie były one podporządkowane Moskwie. Tego rodzaju niezależne ruchy wszędzie na świecie określane były jako wypaczenia i niebezpieczne odchylenia.

Polska KPP też była nieprawomyślna, ponieważ nie dość pokornie realizowała rozkazy Stalina i to, mimo że była probolszewicka i antypolska. Polscy komuniści od samego początku swojej historii wpisywali się w nurt narodowej zdrady i takimi pozostali niemal do dziś.

Komunizm w Rosji trafił na wyjątkowo podatny grunt nędzy, głodu i zacofania prostego ludu oraz umysłowej dekadencji inteligencji. Był surowo i bezwzględnie realizowany przez dyktaturę proletariatu pałającą nienawiścią i żądzą zemsty do zamożniejszych warstw społeczeństwa.

Był to mechanizm permanentnej wojny domowej. Stworzono nowy świat i nową moralność, zdolną do zdumiewającej łatwości absorpcji wszelkiego zła, konformizmu, hipokryzji i szachrajstwa.

Jak już wspomniałem, komuniści przez 70 lat, jakby na ironię, uważali się za jedynych przedstawicieli postępu, rozumu, honoru i sumienia naszych czasów. Życie komunisty miało być przykładem i normą do naśladowania dla innych. W istocie byli to w większości ludzie prymitywni i chamscy karierowicze zżarci przez korupcję i wyznający bezmyślną zasadę : co stare, to złe.

„Jak weszliśmy w to bagno?" – zapytuje Sołżenicyn, a Mrożek bez ogródek powiada : „Komunizm, to polityczny i intelektualny kicz, kołtuńska ortodoksja – debilizm moralny i umysłowy."

Dzisiaj, gdy spoglądam wstecz na historię komunizmu wiedząc, że oznaczał on śmierć, głód i cierpienie, jakże śmiesznie i tragicznie zarazem brzmią słowa Komunistycznej Międzynarodówki, które obdarci, głodni i wynędzniali obywatele Imperium, z dumą i głębokim przekonaniem, a nawet groźbą, powtarzali:

..... „Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata,
Przed ciosem niechaj tyran drży,
Ruszymy z posad bryłę świata,
Dziś niczym, jutro wszystkim my!"

Równie śmiesznym, wielkim oszukańczym błazeństwem było dla mnie umiłowanie pokoju przez tyrańską i zaborczą Moskwę. Walkę o pokój uczyniła ona naczelnym hasłem swego systemu. Podczas gdy wszyscy wiedzieliśmy, że Związek Sowiecki był najbardziej zmilitaryzowanym krajem świata, czerwony gołąbek pokoju głosił, że tylko on jest jedynym obrońcą pokoju i jedynym sprawiedliwym na naszej planecie. Wszyscy inni to podżegacze wojenni, którzy na wojnach robią krociowe interesy i niemal żywią się ludzką krwią.

Tzw. „walka o pokój" była obsesyjna, natrętna i chorobliwa. Wokół partii komunistycznych na całym świecie powstawały różnego rodzaju organizacje „pacyfistyczne", często międzynarodowe, pod płaszczykiem których prowadzono szeroko zakrojoną propagandę polityczną oraz rekrutację agentów i wzmacnianie wywiadu. Na własnym terenie, w bloku socjalistycznym, najczęściej stosowanym narzędziem propagandowym rozpowszechniania haseł pokojowych, były wielkie manifestacje i imprezy. Organizowano imprezy sportowe, młodzieżowe a nawet naukowe. Tworzono stowarzyszenia i organizacje „Obrońców Pokoju", miłośników i innych uwielbiaczy.

Szczególnie denerwujące były poglądy, że jedynie komuniści kochali prawdziwie ludzi, a małe, bezbronne dzieci, jedynie oni chcieli uchronić od nieszczęścia. Bardzo podatnym gruntem na tego rodzaju propagandę były kobiety i różnorodne organizacje feministyczne. Bo jak pięknie powiedział Horacy: „Wojny zawsze były znienawidzone przez Matki."

Te pacyfistyczne nastroje doskonale ujmuje satyryczna, choć nieco wulgarna, ruska czastuszka :

„S nieba zwiozdeczka upała
priamo miłomu w sztany,
pust'by wsio tam otorwało
lisz by nie było wajny!"

Kiedy wracam do pięknej idei braterstwa narodów w komunistycznym państwie, to muszę stwierdzić, że stała ona w wyraźnej sprzeczności z tradycyjno-historycznym imperializmem rosyjskim. Dlatego Moskwa miała poważne problemy narodowościowe.

Wiek XX był końcem epoki kolonializmu. Nastąpił rozpad wielkich imperiów kolonialnych i powstanie wielu państw tzw. Trzeciego Świata. Nie rozpadło się jednak siłą

utrzymywane ZSRR, mimo budzących się tendencji nacjonalistycznych ujarzmionych narodów i powstających coraz większych wzajemnych antagonizmów.

Zaprzeczało to wyraźnie tezie o wiecznym braterstwie narodów tak pięknie wyrażonej w radzieckim hymnie :

„Sojuz nieruszymych, sowieckich respublik
spłotiła na wieki Wielikaja Ruś."

Jak kruche było to głoszone oficjalnie przez propagandę braterstwo wolnych narodów, mogliśmy się przekonać w 1991 roku, w czasie rozpadu Związku Radzieckiego.

Przypomnę, że jak w każdym reżimie totalitarnym, jednym z najważniejszych ideologicznych zadań państwa było wychowanie dzieci i młodzieży, tak aby byli wierni i fanatycznie oddani swemu wodzowi. Dla zaszczepienia młodzieży nawyków karności i posłuszeństwa, od najmłodszych lat była ona wciągana w paramilitarne formacje.

W Związku Radzieckim zasady te były dokładnie realizowane, a pomagała temu tragiczna sytuacja milionów osieroconych dzieci, zarówno po rewolucji, jak i po Wojnie Ojczyźnianej. Włóczyły się one głodne, bezdomne po całym kraju. Musiały kraść i rabować, żeby przeżyć. To właśnie głównie z tych tzw. „bezprizornych" Stalin zbudował swój system terroru. Zamknięte w internatach, karmione propagandą nienawiści, stawały się jego gwardią pretoriańską w mundurach NKWD.

Deformację moralną, z której rodziła się przestępczość, pogarszały jeszcze zachwiane stosunki rodzinne. Rodzinę zastępowała partia. Komunistycznym ideałem było życie bez rodziny, bez domowego ogniska.

Twierdzono, że nie można wychowywać nowego człowieka kolektywu w indywidualnej rodzinie. Dlatego tak powszechne były domy dziecka, gdzie socjalistyczni janczarzy wychowywani byli bez miłości, bez kobiecej wrażliwości i łagodności. Zresztą robiono wszystko, by kobietę radziecką pozbawić tych atrybutów i to nie tylko tych najważniejszych, psychicznych, ale nawet urody i zewnętrznego wdzięku.

Przy ogromie zła i wszelkich dewiacji wychowawczych, jak zakłamanie i perfidnie brzmiały hasła, których bez przerwy musieliśmy słuchać, o szlachetności i prawości komunistycznej młodzieży.

Znowu się powtarzam pisząc, jaką nieprawością i amoralnością przeżarte było całe społeczeństwo od dołu do góry. Najbardziej zdeprawowana była władza, jako że władza nad drugim człowiekiem jest jedną z najsilniejszych i najniebezpieczniejszych ludzkich żądz.
Opierała się ona na machiawelistycznych przesłankach, że człowiek z natury swej jest zły, oraz że władza nie może kierować się względami moralnymi, a jedynie polegać na sile i przebiegłości.

Mechanizm powstawania nowej, porewolucyjnej władzy sowieckiej znakomicie charakteryzuje i przedstawia znana mi alegoryczna, wspomniana już, powiastka George'a Orwella „Folwark Zwierząt", z roku 1945. Na folwarku Johnsa zwierzęta buntują się przeciw tyranii człowieka i postanawiają obalić rodzaj ludzki. Po tajnych zebraniach i konspiracji w wyniku rewolucji wypędzają człowieka. Ustalają 7 głównych przykazań, z których najważniejsze jest, że wszystkie zwierzęta są równe. Jednakże świnie, jako przywódcy ruchu, dostają dodatkowe przydziały żywności, bo ich umysły muszą działać niezawodnie. Po pewnym czasie, najstarszy knur dokonuje zamachu stanu przy pomocy potajemnie wychowanych i wykarmionych przez siebie psów i ogłasza się wodzem. Po wstępnym strachu i terrorze zaczyna się uwielbienie dla wodza. Pojawiają się wzniosłe hasła.

Ta niesłychanie trafna i sugestywna opowieść chociaż była u nas w PRL lekturą zakazaną i wyklętą, gdyż zbyt wyraźnie nawiązywała do stalinowskiego systemu władzy, to była bardzo poszukiwana i chętnie czytana.

Poruszając kwestię komunistycznego socjalizmu radzieckiego, jeszcze chcę dodać dwa słowa o znienawidzonym przezeń kapitalizmie. Kapitalizm to w skrócie nic innego, jak wolny rynek. Ten pozornie chaotyczny system w istocie jednak jest mechanizmem samoregulującym się. Mimo pewnych mankamentów, a głównie trendu do nadmiernej polaryzacji między biednymi a bogatymi oraz kultu pieniądza, system kapitalistyczny okazał się najlepszym i najwydajniejszym systemem ekonomicznym we współczesnym świecie.

Obecnie, gdy jesteśmy świadkami całkowitego fiaska komunizmu, wręcz śmieszne jest twierdzenie Lenina, że imperializm jest najwyższym stadium kapitalizmu, bo jak się okazało, to właśnie imperializm radziecki okazał się ostatnim stadium socjalizmu.

Znane jest żartobliwe, ale jakże trafne powiedzenie, że „Kapitalizm popełnia błędy socjalne, socjalizm zaś kapitalne.

A propos podobnych sentencji warto przypomnieć parę popularnych określeń z tej dziedziny, używanych przez nas czasem pół żartem, pół serio, jak :

„Komunizm to kara boska za Rewolucję Październikową."

„Komunizm to zwycięstwo idei nad rozumem."

„Komunizm to taki ustrój, gdzie wszyscy mają wszystkiego dosyć."

Jeżeli chodzi o imperialną politykę komunizmu, to na skutek światoburczych zapędów, Związek Radziecki olbrzymią wagę przywiązywał do międzynarodowego ruchu komunistycznego. Wykorzystywał do tego partie komunistyczne w różnych krajach, starając się je integrować pod swym nadzorem. Pod hasłem „Komunizm nie zna granic" tworzył też w różnych okresach liczne międzynarodowe organizacje.

Zwłaszcza partie komunistyczne w poszczególnych krajach służyły Moskwie do celów propagandowych i wywiadowczych. Dzięki propagandzie wiele krajów, szczególnie Trzeciego Świata, dało się nabrać na wzniosłe idee bolszewickie. Co do wywiadu, to Kreml wiedział od dawna z własnego doświadczenia, że dzięki niemu można nieraz więcej zdziałać, niż mogą to zrobić dziesiątki dywizji.

Trzeba przyznać, że polityka radziecka w tym zakresie była sprawna i efektywna, choć wyrafinowana i perfidna. Dyplomacja radziecka była tylko środkiem kamuflującym rzeczywiste zamiary Moskwy.

Istotę tej polityki najtrafniej i najdobitniej ujął prezydent Reagan : „Działania Związku Radzieckiego są prowadzone w celu dokonania światowej rewolucji i zmiany świata w jedno państwo socjalistyczne, lub komunistyczne. Oni zarezerwowali sobie prawo popełniania każdej zbrodni, każdego kłamstwa i każdego oszustwa, aby to osiągnąć... Ich pogląd na moralność jest taki, że nie istnieje nic niemoralnego w tym co przybliża ich cele."

Przypomnę, że pomijając sam Związek Radziecki, zbrodniczy system komunistyczny pochłonął miliony ofiar w innych krajach opanowanych prze idee komunistyczne rodem z Moskwy. Już w latach 20-tych poczęły powstawać pierwsze prosowieckie partie komunistyczne, które w przyszłości miały się rozrastać i przejmować władzę w opanowanych państwach. Wzniecano tam krwawe i wyniszczające rewolucje i wojny domowe.

Tak było w Hiszpanii w latach 30-tych. Tutaj najgorsze było to, że walka po stronie lewicy, która w rzeczywistości była walką o wpływy Moskwy, traktowana była przez wielu naiwnych i zdezorientowanych ochotników jako walka o wolność i demokrację. Wiadomo, że liczne brygady ochotnicze, podobnie jak w Polsce tzw. „dąbrowszczacy", były tworzone

przez partie komunistyczne i moskiewską międzynarodówkę, jak również zachęcane wymiernymi korzyściami materialnymi.

Podobny scenariusz miał miejsce w Chinach. Chiny w latach Mao Tse Tunga stały się poligonem najkrwawszego i najokrutniejszego eksperymentu komunistycznego po Związku Sowieckim. Sam Mao ma na sumieniu około 40 milionów ludzi, którzy byli likwidowani jako wrogowie ludu, ginęli w tzw. obozach resocjalizacji i marli z głodu.

Rosyjsko-chińskim komunizmem we Wschodniej Azji zarażone zostały również inne sąsiednie państwa.

Warto dodać, że Moskwa usiłowała pozyskać jeszcze inne rejony III świata, głównie Bliski Wschód, Afrykę i Indie, uzyskiwała tam jednak przejściowe powodzenie. Jedynie na Kubie udało się na dłuższy czas uzyskać sukces i uczynić ją po dzień dzisiejszy skansenem komunizmu w tej części świata.

Ostatnim krajem, jaki ZSRR chciała sobie podporządkować był Afganistan. W czasie krwawej, 10-letniej, sowieckiej interwencji straciło życie ok. 1,5 mil. Afganów i kilkanaście tysięcy Rosjan. Wojna ta stała się militarną i polityczną porażką Moskwy, a jej niepowodzenia szczególnie nas wszystkich cieszyły

Na zakończenie przedstawionych dygresji na temat komunizmu pozostała mi jeszcze próba dokonania bilansu jego światowych zbrodni. Dla mnie osobiście jest ona nie tylko bardzo ciekawa, ale też wielce pouczająca.

Trzeba powiedzieć, że w czasie ostatniej wojny, podobnie jak to miało miejsce w III Rzeszy, zbrodnia stała się jednym z narzędzi polityki. W ciągu tych 5 lat widzieliśmy więcej straszliwych rzeczy, niż w ciągu poprzednich 5 wieków.

Analiza największych zbrodni świata popełnionych na ludzkości wykazuje, że chyba jedynym niekwestionowanym przez historyków i badaczy rekordzistą w naszych dziejach jest Józef Stalin. Unicestwił on ponad 42 miliony ludzi, to jest więcej, niż zginęło we wszystkich wojnach XX wieku.

Przy Stalinie, Włodzimierz Lenin wydaje się być niewiniątkiem ze swymi 4 milionami ofiar. Ale trzeba pamiętać, że to on właśnie zapoczątkował te megazbrodnie i rozpoczął politykę świadomej eksterminacji ludności na szeroką skalę. To on dał Stalinowi przykład i stworzył podstawy polityczno-ideologiczne do dalszych mordów dokonywanych przez państwo sowieckie i cały system komunistyczny na świecie.

Żeby zdać sobie sprawę z roli komunizmu w procederze ludobójstwa światowego, pragnę przytoczyć przerażający ranking największych zbrodniarzy, mających na sumieniu powyżej 1 mil. istnień ludzkich. Poniższe dane zaczerpnąłem ze źródeł amerykańskich (R. J. Rummel).

1. Józef Stalin	42,6 mil.	6. Hideki Tojo	3,9 mil.
2. Mao tse Tung	37,8 mil.	7. Pol – Pot	2,4 mil.
3. Adolf Hitler	20,9 mil.	8. Agha Mohamed Yohya Khan	1,5 mil.
4. Czang Kai-Szek	10,2 mil.		
5. Włodz. Lenin	4,0 mil.	9. Józef Broz Tito	1,1 mil.

Z tego zestawienia wynika, że z polecenia tych 9 megamorderców zginęło prawie 125 mil. ludzi. Jeżeli doliczyć do tego miliony ofiar wojen, to obraz współczesnej XX wiecznej cywilizacji oraz eskalacji zbrodni, nabiera apokaliptycznego kształtu.

W tym niespotykanym ludobójstwie szczególne miejsce zajmują systemy komunistyczne z 88 mil. zamordowanych, bądź zamęczonych ludzi, co stanowi 70% ofiar.

Nie bez powodu mówi się, że komunizm powinien być potępiony jak nazizm, a ci co go realizowali ukarani przez Międzynarodowy Trybunał, podczas nowej „Norymbergi".

Nie ma słów dla określenia zbrodni stalinowskich. Historia nie zna innego potwora, co miałby na rękach tyle krwi. Niektóre źródła podają, że z jego przyzwolenia, być może, nawet 60 mil. ludzi zostało rozstrzelanych, powieszonych, zagłodzonych, śmiertelnie pobitych, zamęczonych lub uśmierconych z wycieńczenia, bądź środkami medycznymi.

Nieubłagany los zrządził, ze to właśnie my Polacy, obok Rosjan, byliśmy najliczniejszymi i najbardziej dręczonymi ofiarami stalinizmu.

2. Pamięć Przeszłości

Rozwijając kolejno nić moich wspomnień z przeszłości, starałem się przedstawić okropności czasów bolszewicko-sowieckich, a jednocześnie pokazać jak to się stało, że jednak z tego ogromu katastrof i zła zdołaliśmy wyjść jako naród szczęśliwie.

J. J. Rousseau powiedział kiedyś : „Jeżeli nie potraficie zapobiec, by wrogowie was połknęli, nie pozwólcie chociaż aby was strawili!" Dzięki duchowej sile narodu, tak właśnie dokładnie się stało. Duch narodu zawsze był największym, nieuchwytnym i wszechobecnym wrogiem tyranów. Bo nieustanna praca duszy, serca i mózgu to istota człowieczeństwa. Duch pobudzał pracę myślową i kierował intelektem.

Mimo, że procesom historycznym na naszych ziemiach towarzyszyła deprawacja i upadek moralny, mimo, że nie brak było lojalistów, ugodowców, karierowiczów i wszelkich sługusów, czy wreszcie zwykłych kolaborantów i zdrajców, to Naród jednak, mimo to, przetrwał i odrodził się. Okazaliśmy się mistrzami przetrwania. Udowodniliśmy, że w chwilach zagrożenia potrafimy się jednoczyć i potrafimy umierać za swój kraj.

Odchodzi w przeszłość jeszcze jedno stulecie. Żegnamy okrutny i krwawy wiek XX, wiek apokaliptycznych wojen, przerażających eksperymentów społecznych i wyjątkowej erupcji zła. W 300 lat po Kartezjuszu, wiara w moc rozumu legła w gruzach. Rozum ujawnił swe ciemne strony i swój ułomny charakter, a ludzie źle go używając stali się gorsi od zwierząt.

Nasze pokolenie dobija do końca swej ziemskiej wędrówki. Zabieramy ze sobą nasze losy, przeżycia i doświadczenia, a wraz z nimi kawał ostatniej, jakże znowu trudnej i pogmatwanej, historii narodowej.

Złe moce wcisnęły nas między Niemcy a Rosję. Obok kilkuletniej germańskiej przemocy, głównym zagrożeniem był dla nas sowiecko - komunistyczny system. Rosja Sowiecka zabrała nam całe dorosłe życie, tak jak zmarnowała je naszym ojcom, a i w dużym stopniu naszym dzieciom. Doprowadziła też kraj do ruiny materialnej i moralnej pod każdym względem.

Jakby dla pociechy, bieg historii sprawił, że mogliśmy przeżyć załamanie i upadek systemu komunistycznego, jedno z najważniejszych wydarzeń XX wieku.

Te przesłanki zadecydowały, między innymi o tym, że właśnie Rosja, a szczególnie Rosja Sowiecka, stała się głównym tematem przedstawionych tu moich wspomnień. Któż bowiem nie czuje tego lepiej i nie potrafi właściwiej tego ocenić, jak ktoś, kto osobiście został przemielony przez sowiecką machinę. Niechże cały ten ładunek wspomnień i refleksji będzie równocześnie w jakimś stopniu świadkiem oskarżenia w ustawicznie toczącym się procesie „II Norymbergi" przeciw zbrodniarzom sowieckim i komunistycznym.

Zamykając ostatnie karty mojej życiowej kroniki, znowu nieodparcie nasuwa się pytanie : „Po co ten powrót do przeszłości?” Przecież to przyszłość powinna nas bardziej interesować, bo w niej zamierzamy spędzić resztę życia. Trzeba jednak pamiętać, że trudno iść przed siebie nie spoglądając wstecz, bo ziarna przyszłości dojrzewają w glebie minionych epok.

W teraźniejszości zawsze odbijają się echa przeszłości. Minione dzieje wciąż żyją w nas. Dlatego wydaje się, że taki powrót do zakamarków pamięci i takie spojrzenie wstecz, są ze wszech miar potrzebne. Przede wszystkim w imię prawdy i sprawiedliwości, w imię człowieka i człowieczeństwa w ogóle.

Własną historią żyjemy jako naród w podobny sposób, jak każdy z nas żyje swą osobistą przeszłością. Historia jest naszą narodową biografią. Ta polska pamięć, jak w rodzinnym albumie, zaznaczana jest i przechowywana w skarbach naszej kultury. To ona określa naszą świadomość i to ona sprawia, że naród żyje. Prymas Tysiąclecia, ks. Kardynał St. Wyszyński ostrzegał : „Jeśli narody tracą pamięć – tracą życie.”

Przywołane tu wspomnienia i ożywione echa dawnych lat są taką skromną próbą ocalenia choćby skrawka tej pamięci. Wydaje się, że jest to szczególnie ważne wobec postępującej ciągle erozji pamięci historycznej. A tego rodzaju pamięć determinuje nasz patriotyzm, bez którego nie może istnieć żadna demokracja, ani żadne poczucie wspólnoty i tożsamości.

Wymaga tego w sposób szczególny wrogi nam reżim sowiecki wraz z jego niezliczonymi ofiarami. To oni, częstokroć najlepsi z nas, męczennicy i bohaterowie polskiej sprawy, perfidnie i haniebnie przez pół wieku zapomniani, dopominają się od nas choćby drobnego zadośćuczynienia. Dopominają się prawdy wynikającej z odniesienia do przeszłości i do tragedii Polaków. Dopominają się autentyzmu utrwalającego kształt ludzkich znaczeń i człowieczej doli, ku pamięci i ku przestrodze potomnym.

W pomroku sowiecko-peerelowskiej zakłamanej rzeczywistości, pamięć o wschodniej drodze krzyżowej naszego narodu wegetowała w niemal konspiracyjnych warunkach, podtrzymywana głównie przez Kościół i cmentarze. Tu poczęły się pojawiać pierwsze epitafia grobowe ofiar komunistycznego systemu.

W Warszawie najwspanialszym miejscem takiej pamięci i świętym sanktuarium patriotycznym stał się Powązkowski Cmentarz Wojskowy, jedna z najpiękniejszych nekropolii żołnierskich. Tu na grobach tych, co oddali życie za Polskę, do dziś dnia, liczne wycieczki młodzieżowe uczą się własnej historii. Począwszy od Insurekcji Kościuszkowskiej, poprzez powstania, wojnę bolszewicką i Orlęta Lwowskie, aż po żołnierzy I i II wojny światowej oraz bohaterów Powstania Warszawskiego. Tu pojawiły się pierwsze mogiły zamordowanych i zakatowanych patriotów w więzieniach Polski Ludowej i tu wreszcie, już w latach 50-tych, obok obelisku Powstania Warszawskiego, położono płytę z napisem „Katyń” i postawiono krzyż z datą 1940 r.

Miejsce to, jako symboliczna mogiła polskich oficerów i polskich obywateli zamordowanych w Rosji Sowieckiej, było szczególnie czczone przez Warszawiaków. W Dni Zaduszne , w rocznicę Powstania Warszawskiego, oraz 17 września przychodziły tu tłumy i odbywały się prawdziwe manifestacje, a przy Krzyżu Katyńskim pośród niezliczonych wiązanek kwiatów płonęły setki i tysiące zniczy.

Pomnik ten przechodził burzliwe dzieje. Na polecenie władz, płyta i krzyż, pewnej nocy, zniknęły tajemniczo. Krzyż odnalazł się dopiero po upadku PRL, zakopany na przycmentarnym śmietnisku. Dzisiaj znajduje się tu nowy, kamienny krzyż przewiązany łańcuchem kajdaniarskim i z napisem „Katyń”.

Na Cmentarzu Wojskowym największą doroczną manifestacją był dzień 1 sierpnia, rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego. Dzień ten stał się świętem Armii Krajowej. Spotykało się tu wtedy tysiące Akowców i ich sympatyków, urządzano apele poległych i śpiewano podniosłe, patriotyczne pieśni. Obecność tego dnia na cmentarzu była patriotycznym obowiązkiem. I nasza niewielka grupa „Wilniaków" przychodziła tam, gromadząc się przeważnie przy grobie generała „Wilka", naszego legendarnego dowódcy. - Tak pozostało do dnia dzisiejszego.

Komuniści próbowali zawłaszczyć sobie ten cmentarz. Zmienili jego nazwę na Komunalny i chowali tu swoje „wybitne" jednostki, dla których wynajdywano najbardziej eksponowane miejsca. Już od dobrych paru lat trwa obecnie protest mieszkańców Warszawy, a zwłaszcza środowisk kombatanckich, że nie mogą kaci leżeć obok swych ofiar.

Drugim widomym znakiem pamięci w stolicy było, powstałe w latach 70-tych, „Sanktuarium Poległych i Pomordowanych na Wschodzie". Wznieśli je i urządzili księża na jednej ze ścian zewnętrznych kościoła św. Karola Boromeusza na Starym Cmentarzu Powązkowskim. Polska Golgota Wschodu domagała się od dawna takiego pomnika odkłamania historii. Jego twórca, ks. Prałat St. Niedzielak, mawiał bowiem : „Nikt nie wybaczy nam braku pamięci o własnych dziejach." Przesłanie to zostało dobitnie oraz we wzruszający i piękny sposób wyrażone poprzez główny napis : „Boże, zapomnij o nas, jeśli my zapomnimy o nich!"... Trzeba niestety wspomnieć, że ks. Niedzielak przypłacił to życiem, został zamordowany przez „nieznanych" sprawców.

Dopiero jednak upadek PRL i Związku Radzieckiego umożliwił istną eksplozję tak długo ukrywanej prawdy o ofiarach komunistycznego systemu. Pojawiły się liczne na ten temat publikacje oraz wspomnienia byłych więźniów i zesłańców sowieckich. Zawiązano wiele dalszych stowarzyszeń, między innymi „Rodzin Katyńskich" i „Byłych Więźniów Politycznych na Wschodzie". Również polscy patrioci zamordowani przez UB doczekali się swego pomnika pamięci na wzgórzu przy kościele św. Katarzyny na warszawskim Służewcu.

Na ocalałe filary Grobu Nieznanego Żołnierza wróciły tablice z bitew wojny bolszewickiej 1920 r. oraz powstały nowe z walk Armii Krajowej, wśród których znalazły się też napisy; „Operacja Burza" i „Wilno 7-13 VII 1944r."

W całym kraju poczęto budować pomniki Męczenników Terroru Komunistycznego, tym którzy, jak głosi napis na warszawskim pomniku, „ rzucali w polską i obcą glebę wolności Polski siew, Boże ziarno, własną krew..."

Między innymi katyńska zbrodnia znalazła swój wstrząsający wyraz w kruchcie Polowej Katedry Wojska Polskiego w rzeźbie przedstawiającej zmaltretowaną, rozpiętą na krzyżu postać mężczyzny w łachmanach.

Mimo wszystko, najbardziej widocznym i pełnym głębokich refleksji znakiem pozostają zawsze groby, groby tych co służyli Ojczyźnie. Rozsiane po całym kraju i daleko poza jego granicami sprawiają nieustannie, że pamięć przeszłości trwa i zacieśnia więzi pokoleń. Te polskie groby poległych, pomordowanych i zamęczonych zdają się wołać, powtarzając słowa wyryte u wejścia na Cmentarz Monte Cassino : „Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni Jej służbie!"

To przede wszystkim kamienie cmentarne stoją na straży pamięci, a pamięć jak powiada poeta, to też rodzaj cmentarza, w którym – „uczucia przeżyte człowiek w niej składa na wieczny spoczynek..."

Na zakończenie przywołanych tutaj moich „Spotkań ze Wschodem" winienem chyba jedno generalne usprawiedliwienie. Niosą one ze sobą ogromny bagaż bólu, cierpienia

i zbrodni i dlatego być może, niejednemu współczesnemu czytelnikowi mogą wydać się przesadnym cierpiętnictwem przewrażliwionego na tym punkcie autora. Może tak jest, ale takie przeżywaliśmy czasy i taka była prawda.

Trzeba też pamiętać, że cierpienie jest najgłębszą i wszechobecną prawdą świata istot żywych – jest prawem boskim. Krucha ludzka natura jest wyjątkowo podatna na ból, a im większa wrażliwość tym głębiej go odczuwa. Ale też w cierpieniu uwidacznia się nasza siła zewnętrzna, bo czasami sami nie wiemy, jacy jesteśmy silni nawet w nieszczęściu.

3. Współczesność i jej nowe zagrożenia

Zbliża się przełom wieków, który przypomina nam, jak złudne bywają czasem powszechne nastroje o bezpieczeństwie i braku zagrożenia. Sto lat temu, niemal przed I wojną światową, Europa była pełna euforii. Przeżywała bowiem od 1870 r. najdłuższy okres pokoju na Starym Kontynencie. Wydawało się, że mrzonka Kanta o wieczystym pokoju powoli staje się rzeczywistością – a jednak...?

Obecna Rosja, jak już wielokrotnie powtarzałem, jest ciągle niebezpieczna i nieprzewidywalna. Koszmarna Zjawa Wschodu wciąż straszy. Groźne są rosyjskie nawyki mocarstwowości, a imperialna tendencja parcia na Zachód jest dalej silnie wbudowana w psychikę Rosjan. Jej oderwanie od normalnego świata, zakorzeniona nienawiść do zachodniej społeczności, a przede wszystkim bieda i zacofanie cywilizacyjne, mogą pchnąć ten kraj do nowej agresji o katastrofalnych dla świata skutkach. Biedny i głodny nie ma przecież nic do stracenia.

Niebezpieczne są również nagromadzone ogromne ilości broni jądrowej oraz brak środków technicznych i ekonomicznych na jej zabezpieczenie i konserwację.

Aczkolwiek widma pamięci gonią za nami, a doznane razy ciągle jeszcze bolą i dokuczają, Polska wraz ze zintegrowaną Europą czyni wysiłki nawiązania z obecną Rosją partnerskich, dobrosąsiedzkich stosunków.

Jak wiadomo, dotąd żadne takie porozumienie nie było możliwe. Z jednej strony Rosjanie zapatrzeni w swoją mocarstwowość ani myśleli o jakichkolwiek z nami układach, z drugiej zaś strony historia potwierdzała, że Moskwie nie można ufać. A i teraz nie jest to także proste. Resztki zmurszałego imperium ciągle jeszcze aspirują do roli protektora państw Europy środkowo-wschodniej. W świadomości przeważającej części rosyjskich polityków Polska zawsze należała do nich będąc albo częścią mocarstwa, albo jego satelitą.

Między obydwoma narodami istnieją trudne do przezwyciężenia bariery historyczne, mentalne, kulturowe i cywilizacyjne.

Okazuje się, że w dziejach świata wszelkie próby jednoczenia Zachodu ze Wschodem, począwszy już od Aleksandra Wielkiego, dwóch obcych sobie kultur i światów, przypominają zawsze trochę połączenie wody z ogniem.

Mówienie, że zaszłych zmian w Rosji nie da się już odwrócić nie wydaje się realne. Powrót komunizmu w Rosji, choćby jeszcze na jakiś czas, jest możliwy, mówi Michaił Heller, jeden z najwybitniejszych sowietologów i podaje przykład Białorusi. Spadkobiercy Władimira Iljicza i Josifa Wasserionowicza dalej chcą odbudowy ZSRR, dalej nie rezygnują z tworzenia tzw. ustroju sprawiedliwości społecznej. Nowy Związek, czyli Wspólnota Niepodległych Państw, dalej snuje marzenia o „ojczyźnie światowego proletariatu".

Myślę, że dzisiejszy Zachód ciągle patrzy na Moskwę zbyt naiwnie i ciągle nie rozumie odmiennej specyfiki tego kraju, który przypomina obecnie kipiący kocioł i który nie

wiadomo kiedy wybuchnie. Obecna Rosja jest przykładem nietypowym i niepowtarzalnym, to „inny świat", jak określa ją G. Herling-Grudziński.

Paraliż władzy, głęboki kryzys gospodarczy, utrzymujący się kult Stalina, niespotykane przemieszczenia ludności oraz coraz większy napływ do nas nielegalnych emigrantów sprawia, że Polska ma szczególne powody, aby obawiać się ekspansjonizmu rosyjskiego.

Rosjanie, obciążeni imperialnym myśleniem, nie mogą się pogodzić zwłaszcza z utratą Polski. Nic więc dziwnego, że tak głośno i stanowczo sprzeciwiali się naszemu przystąpieniu do NATO. Wobec ciągle niestabilnego Wschodu, tylko Pakt Północno Atlantycki może dać nam rękojmię bezpieczeństwa. Badania statystyczne podają, że 80% Polaków boi się Rosji i chce jak najszybszego członkostwa w tej organizacji.

Nie tylko jednak Polska choruje na tę rosyjską fobię, podobne obawy mają wszystkie kraje Europy Środkowo Wschodniej, wszystkie kraje bałtyckie, a nawet w dużej części Ukraina.

Historyczna ugoda z Rosją jest celem naszej polityki zagranicznej, ale Rosja musi chcieć tej ugody. Oczywiście, możemy przebaczyć, ale przebaczyć to nie znaczy zapomnieć. Nie chcemy też, aby niechęć i uraza do naszego wiecznego prześladowcy była powodem ignorancji i niedostrzegania ogromnych osiągnięć rosyjskich zwłaszcza w sferze kultury, jak np. w literaturze, poezji, muzyce czy malarstwie.

Nawiązując do dzisiejszych trudności w kształtowaniu przyjaznej polityki z naszym wschodnim sąsiadem oraz prób zahamowania i nie dopuszczenia w przyszłości do jego zaborczych wobec nas tendencji, musimy zdać sobie sprawę z tego, że nie możemy sobie wybierać sąsiadów – są, jacy są... i trzeba się z tym pogodzić.

Rodzimy się i jesteśmy dziećmi określonego narodu i określonego miejsca na ziemi. Żyjemy zanurzeni we własną historię. Chcemy, czy nie chcemy, jesteśmy uwikłani w dobre i w złe w losy naszego narodu.

Mówi się, że nie ma narodów lepszych i gorszych, że tylko rządy, czy systemy mogą być dobre lub złe. Zapewne, jest w tym sporo prawdy, ale też wiele narodowych nawyków zależy bezpośrednio od charakteru, psychiki i mentalności społeczeństw, a te bywają bardzo zróżnicowane. Wszystkie te cechy, zalety i przywary, kształtowane były od wieków przez wiele czynników, jak historia, stosunki społeczne, kulturowe czy cywilizacyjne, a nawet położenie geograficzne i klimat. Te oddziaływania nakładały się z reguły na skomplikowaną i pełną sprzeczności naturę ludzką.

Wchodzimy w XXI wiek. Oprócz poruszonej problematyki wschodniej, pojawiają się nowe zagrożenia i niebezpieczeństwa. „Znaki czasu" ulegają wyraźnemu przesunięciu, rodzą się nowe wyzwania i nowe problemy współczesności, zarówno dla narodów, jak i dla jednostek.

Zjednoczenie Europy, wydarzenie być może największe od czasów Karola Wielkiego, oraz integracja natowska zmieniają dotychczasowe, tradycyjne pojęcie suwerenności. Kraje Unii Europejskiej stały się od siebie współzależne, a granice tracą swe dawne znaczenie poprzez wolny ruch ludzi, kapitału i pracy.

Niemałą rolę w poczuciu wspólnoty narodów ogrywają współczesne środki komunikacji oraz informacji globalnej. Silnym elementem integracyjnym jest świadomość wspólnego zagrożenia i degradacji środowiska naturalnego oraz naruszenia równowagi ekologicznej. Antropocentrycznie nastawieni panowie świata przekonują się powoli, jak złudne jest przekonanie człowieka, że stać go na uporanie się z przyrodą i z własną naturą.

Niektórzy uważają, że w obecnym świecie zanika ludzki instynkt stadny i samozachowawczy. Człowiek staje się coraz bardziej leniwy jeżeli chodzi o prokreację. Spada poczucie wartości samego życia.

Mimo pozornej poprawy bytu, ludzie współcześni są coraz mniej odporni. Wszechobecny, narastający stres osłabia nas psychicznie i fizycznie. Ingerująca w naszą kruchą cielesną egzystencję medycyna paradoksalnie zachwiała równowagę natury. Coraz więcej jednostek słabych podtrzymywanych jest przy życiu. Przybywa ludzi upośledzonych, a kuli ziemskiej grozi przeludnienie, zwłaszcza w krajach III Świata.

W sferze psychiki i życia duchowego następuje spustoszenie. Konsumpcja materialna okazuje się niewystarczająca, bo wszystko co wartościowe pochodzi ze sfery ducha. Życie potrzebuje przeżyć, emocji, miłości i piękna, bez tego staje się puste i nie do zniesienia. Ktoś słusznie zauważył, że żyjemy pod tyranią codziennej powszechności, potrzeb, zabiegów i drobnostek, które przysłaniają nam, jak mury więzienne, cały blask i piękno świata.

Uniformacja ludzkich zachowań, poglądów i motywacji sprawia, że życie traci swoją różnorodność i swój urok. Ludzie nie mają sobie wiele do powiedzenia przez co rwą się więzi ogólnoludzkie.

Współczesna cywilizacja nie sprzyja miłości, którą sprowadza często do zwykłego seksualizmu. Rodzina, staje się komórką społeczną coraz bardziej nietrwałą. Na skutek systematycznej sekularyzacji społeczeństw następuje upadek moralny i obyczajowy. Na bezdrożach cywilizacyjnych młodzież błądzi, narasta w niej uczucie pustki, której nie ma czym zapełnić. Pojawia się coraz więcej zła i agresji. Wiąże się to z totalnym kryzysem wartości i brakiem autorytetów. Brak tego fundamentu powoduje, że młodzi ludzie buntują się przeciw prawdom i normom podawanym z góry, na mocy samego obyczaju czy urzędu.

Ludzie, a zwłaszcza młodzież stara się zagłuszać rzeczywistość i redukować frustracje przy pomocy alkoholu, narkotyków czy bandytyzmu. Następuje rozbicie rzeczywistości, powstaje osobne społeczeństwo młodzieżowe, młodzieżowa subkultura, w której siła decybeli zagłusza krzyk serca. Współczesny człowiek potrafi bardziej panować nad światem, niż nad sobą samym.

Od współczesności wieje bezduszny technokratyzm i biurokratyczny chłód. Występuje upadek kultury, atrofia wyobraźni, utrata energii i zobojętnienie. Sztuka wyrodnieje w poszukiwaniu udziwnienia.

A.Huxley, autor „Nowego wspaniałego świata" uważa, że postęp techniczny i naukowy spowoduje bezosobową, totalną władzę administracyjną. Właśnie patologia instytucji administracyjnych staje się w wielu krajach centralnym punktem niepokoju. Grozi nam dominacja biurokratyzmu, a „papierowa cywilizacja" daje coraz większe możliwości nadużywania władzy i manipulowanie człowiekiem.

Niemałe znaczenie ma tu komputeryzacja, której wpływ na nasze życie staje się coraz to bardziej wyraźny. Wykluwa się z niej niepostrzeżenie nowa dyktatura liczb i obrazu.

Pokolenie naszych wnuków, to już pokolenie czysto komputerowe, zaczynające się podpierać w dużym stopniu sztuczną inteligencją.

To właśnie do nich głównie należy kierować słowa przestrogi, że świat bez wojen może być także niebezpieczny i groźny, jeżeli nim niewłaściwie pokierujemy.

Wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej
"Matko nasza partyzancka z ryngrafów szlacheckich !
Matko ofiar zawleczonych do łagrów sowieckich !"

Ojciec mój, Stanisław – dr medycyny, ur. w 1899 r.
Zdjęcie z lat 50-tych.

Ojciec w trakcie pisania pamiętników pt. "Pamiętniki Starego Lekarza"
– lata 1972-1982

Sieredniaki, roboty leśne – r. 1945.
Od lewej Jerzy Michałowski,
Zygmunt Kowalski, oraz autor.

Szpital w Jegoriewsku
– lipiec 1945 r.
Autor wraz z pacjentami
inż. Kryńskim i dr A. Żabą
przy pracach graficznych
dla potrzeb szpitalnych.

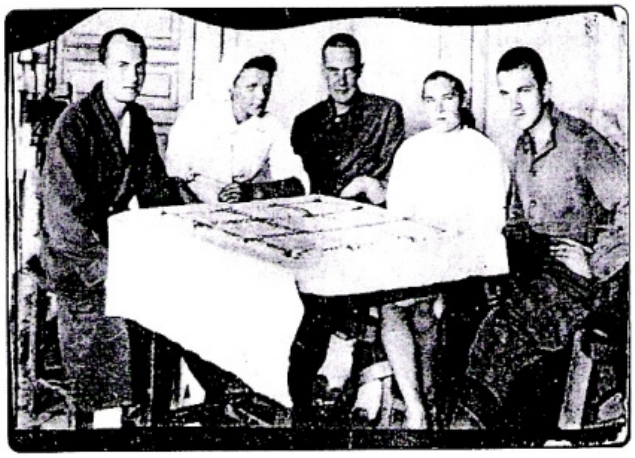

Szpital w Jegoriewsku
– lipiec 1945 r.
Moi "profesorowie" dr Żaba
i inż. Kryński wraz ze mną
w towarzystwie sióstr szpitalnych.

Autor upozowany sztucznie na ruskiego bojca. Zdjęcie wykonane w 1945 r. na robotach leśnych, przez objazdowego fotografa.

MINISTERSTWO BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO

2626

ZAŚWIADCZENIE

Ob. Witek Józef

syn Stanisława ur. 4/IX 1925 w Krakowie

został na podstawie rozporządzenia Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego zwolniony i udaje się do miejsca stałego zamieszkania w m. Kraków

Sekretariat Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego

Warszawa, dn. 15 stycznia 1946 r.

1000 IX/45. Dep. W. i O.

Moje zaświadczenie o powrocie do kraju, wydane przez MBP 15 stycznia 1946 r. w Białej Podlaskiej.